Lwowska Narodowa Naukowa Biblioteka Ukrainy imienia W. Stefanyka

NAUKOWY DZIAŁ CZASOPISM IM. MARJANA I IWANNY KOCIW

Gi 719

PO PRACY:

bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej”

1908 nr 1-52

KATOWICE

F.i. 719

Do pracy.
1908 № 1-52

Nr. 1. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 4 stycznia 1908.

DZWONY.

A gdy skonał w czarnej chacie
Jasieńko miły,
Poszła matka prosić dzwonów
By mu dzwoniły.

— „Mój synaczek, mój rodzony
W trumience leży,
O zagrajcież wy mu, dzwony,
Z tej białej wieży!

Niechaj idzie głos bijący
O jasne słońce,
Przez te pola, przez te lasy,
Z wiatrem szumiące...“

Ale dzwony twarde serca,
Zimną pierś miały,
„Będziem jemu dzwonić, matko,
Za talar biały.“

I wróciła narzekając,
Do pustej chaty,
I strząsnęła wszystkie kąty
I zgrzebne szmaty...

I nic więcej nie znalazła
Prócz onej świty,
Którą syna trup zczerniały
Leżał nakryty.

— Nieszczęśliważ moja dola,
Jasieńku miły!
Chybaż tobie łzy te moje
Będą dzwoniły...

Chyba moje narzekanie
Bić będzie z rosą
Kiedy ciebie na mogiłki
Z chaty wyniosą!“

I wynieśli za próg czarny
Trumienkę lichą,
A za synem poszła matka
Ścieżyną cichą...

I nie grały jemu dzwony
Z wysokiej wieży,
Jeno szumiał las zielony
I wietrzyk świeży...

Jeno dzwonki te liljowe,
Co w borze rosną
Żeby dzwonić chłopskim trumnom
W drogę żałosną.

Marja Konopnicka.

Львівська Бібліотека
АН УРСР

FELIKS KON.

Na Karze.

11

ROZDZIAŁ V.

Zawstydzeni misją, jaka im przypadła w udziale, oficerowie wyszli, za nimi podążyli żandarmi i żołnierze, otworzono cele, ale przez długą chwilę nikt z nas się jeszcze z miejsca nie ruszał...

Cios był dobrze wymierzony... Rząd rozumiał, że przekracza Rubikon i obawiając się, by więźniowie na tę obelgę nie odpowiedzieli doraźnie, murem bagnetów swoich „czynowników“ odgrodził od uwięzionych... Decydując się na ten krok, rząd nie mógł nie pamiętać pierwszej próby zastosowania kary cielesnej do więźnia politycznego Bogolubowa, dokonanej jeszcze w 1878 roku przez Trepowa... Wówczas słynna odtąd rewolucjonistka Wiera Zazulicz odpowiedziała na to podeptanie godności więźnia politycznego wystrzałem do Trepowa, a sąd przysięgłych, któremu nieopatrznie rząd oddał do rozsądzenia tę sprawę, sprawczynię zamachu uznał za usprawiedliwioną. Jedenaście lat od tego czasu minęło... Na jedenaście lat starczyło nauki otrzymanej wówczas od Zazulicz i od sądu przysięgłych. Ale coraz bardziej panosząca się reakcja, świadoma odległość służalcza społeczeństwa po jedenastu latach powracała do porzuconego systemu walki, do katowskiego oręża... To było nawet dla więźniów stanu, nie mających co do rządów carskich żadnych złudzeń, niespodzianką oszałamiającą... Wobec tego cała przez rząd zarządzona mobilizacja była zupełnie zbyteczną. W pierwszej chwili ogłuszeni tem haniebnem rozporządzeniem, niemal że do żadnego czynnego protestu nie byliśmy zdolni. Dzień cały chodziliśmy jak oszołomieni... We wszystkich celach panowała ponura cisza... Czy kto jadł co tego dnia, czy kto spał tej nocy — nie wiem... Jedni leżeli milcząc na tapczanach, drudzy, bardziej nerwowi, latali jak opętani z kąta w kąt po celi. Dopiero nazajutrz więźniowie wypowiadać się zaczęli... Pierwszy, jak zwykle w takich razach, przemawiał Bobochow...

Widziałem wielu rewolucjonistów podczas swej długoletniej tułaczki po świecie, ale rewolucjonistę, któryby tak jak Bobochow harmonizował i kojarzył słowo z czynem, któryby był tak wyrozumiałym i łagodnym względem innych, a surowym względem siebie, nie spotykałem nigdy... Ludowiec-anarchista, przeciwnik walki terorystycznej, ubóstwiający niemal lud i jego instytucje i pokładający wszystkie swe nadzieje w tym ludzie, obrońca praw mniejszości, nawet poszczególnej jednostki Bobochow w ciągu jedenastu lat pobytu na Karze pozostał wiernym sobie. Władze miały go za „okropnego“ terorystę, bo, gdy wysłano go administracyjnie za propagandę śród ludu do archangielskiej gubernji, gdzie warunki pobytu były niemożliwe, uciekł jeden z pierwszych i przy spotkaniu z pogonią wystrzelił w powietrze... Zbyt dumny, zbyt szanujący siebie, by się przed sądem wojennym tłumaczyć, nie powiedział, że ten wystrzał w powietrze miał na celu ściągnięcie uwagi społeczeństwa na warunki bytu wygnańców administracyjnych, i jako terorysta został skazany za „zbrojny opór“ na 20 lat katorgi i do tego terorysty zapamiętale zwalczającego na Karze terorystów, nie zastosowano ani jednego manifestu...

126931

Pod jednym względem wszakże rząd się nie mylił. Większego wroga samodzierżawia na Karze nie miał i ilekroć powstawał jakiś protest Bobochow szedł w pierwszym szeregu. Szczupły, wątły rozpoczynał protesty głodem pierwszy kończył ostatni... Fizycznie słaby, gdy do walki przystępował, odrazu jakby wyrastał i stawał się olbrzymem, od którego niemal że wszyscy oczekiwali inicjatywy.

I tym razem w ciągu nocy Bobochow już zważył i ocenił sytuację i następnego dnia z samego rana nakreślił plan działania...

Należy natychmiast napisać oznajmienie do ministerstwa spraw wewnętrznych i zażądać cofnięcia rozporządzenia w ciągu pięciu miesięcy, zaznaczając, że w razie odmowy uwięzieni, by nie żyć pod groźbą rózgi, sami siebie życia pozbawią. Kopję tego oznajmienia chciał Bobochow wydrukować we wszystkich wydawnictwach rewolucyjnych i zagranicznych i przez to cały świat cywilizowany powołać na świadka naszej walki z caratem o godność człowieka.

Zwykle we wszystkich sprawach więziennych zgadzałem się z Bobochowem, który dla mnie miał urok niezwykły. Tym razem jednak wydawało mi się, że Bobochow błędną obrał drogę. Jako polak interesowałem się losami naszych poprzedników — powstańców 31 i 63 r., pamiętałem groźbę, rzuconą przez władze sybirskie powstańcom 31 r.

„Gdy tu dalej przeciw rządowi knować będziecie, czeka was nie stryczek, nie kula, a batogi, któremi was oćwiczyć każę."

Pamiętałem również, jaką śmiercią zginął ksiądz Sierociński. Uszeregowano żołnierzy, każdemu dano szpicruty do ręki i temi smagać mieli nieszczęśliwego.

Miserere mei, Deus, secundum magnam misericordiam Tuam — modlił się ksiądz, dopóki nie padł trupem po otrzymaniu 6000 szpicrut...

Pamiętałem o tem... I nie mogła mię nie zdjąć obawa o losy Sigidy i Kowalewskiej, oskarżonych o obrazę czynną urzędników.

Przekonywałem Bobochowa, że należy natychmiast rozpocząć protest za pomocą samobójstw, kolejno po dwóch, co tydzień, rzucając losy, na kogo kolej wypadnie i w ten sposób zmusić rząd do cofnięcia rozporządzenia. Mój pogląd podzielał tylko zmarły niedawno w Odesie, były członek Komitetu Wykonawczego „Narodnej Woli" — Spandoni.

Bobochow się nań nie zgadzał.

— Jesteś polakiem — mówił — i wszędzie doczekujesz się murawiewszczyzny. Nie znasz Rosji. Nawet rząd nigdy się nie odważy zastosować chłosty do kobiety. Ta groźba nie istnieje. Na takie rozpaczliwe środki mamy jeszcze czas.

Bobochow nie wierzył, by do kobiety poważono się zastosować chłostę, inni szli dalej. Byli pewni, że po wystrzale Wiary Zazulicz do nikogo z więźniów politycznych rząd tej kary nie zastosuje, że w samem oznajmieniu i odczytaniu rozporządzenia o chłoście rząd szuka satysfakcji dla siebie za niedawną przegranę w sprawie z Masiukowem, że w obec tego nie należy żadnych oznajmień pisać, bo właśnie te oznajmienia mogą skłonić rząd do wykonania groźby dla utrzymania swej powagi. Nie prowokujmy tego — dowodzili. A jeżeli rząd zastosuje do kogo chłostę, wówczas bez wszelkich uprzednich oznajmień, umrzyjmy, o ile możności, wszyscy.

Pogląd ten nie rachował się z jednym, bodaj, że najważniejszym motywem. Rozporządzenie generał-gubernatora — już jak miecz Damoklesa zawisło nad nami. Był to nowy czynnik, z którym nadal mieliśmy się rachować przy wszystkich wystąpieniach. Chęć nienarażenia siebie lub innych na taką poniżającą karę mogła skłonić nas do większych ustępstw, do większej uległości.

Tego dopuścić nie można było bez uchybienia sobie.

Nie łatwo było się zdecydować w tak ważnej, a skomplikowanej sprawie. Oddając życie, każdy chciał najbardziej celowo je oddać.

Pogodziliśmy się wreszcie na wnioski Bobochowa. Pozostawało zredagowanie oznajmienia — naszego testamentu politycznego. Forma walki miała być tak niezwykłą, że najmniejsza nieścisłość wyrażenia mogła nadać całej akcji tło melodramatyczne. My, żywi duchem, występowaliśmy do walki, wybierając najbardziej celową broń, a po naszej śmierci ktoś mógł ten cały protest interpretować, jako akt rozpaczy. Na to nie mogliśmy pozwolić, to też zredagowanie oznajmienia zabrało nam wiele czasu.

Naraz, gdyśmy już dla uchwalenia ostatecznej redakcji zebrać się mieli, doszły nas głuche wieści, że Sigidę już ukarano. Jeden z żołnierzy przyniósł tę wiadomość. Nie wierzyliśmy. Nie byliśmy w stanie, nie chcieliśmy temu wierzyć...

O, jaki okropny był to stan. Jedno słowo z zewnątrz mogło rozwiać ten stan niepewności, a straż i mury więzienne tego właśnie słowa do nas nie przepuszczały.

Użyliśmy nadludzkich wysiłków, napisaliśmy do towarzyszy na wolności i zażądaliśmy natychmiastowej odpowiedzi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

EDMUND LIBAŃSKI.

Z postępu wiedzy i techniki.

(100 000 mil szyn kolejowych. — Kanały spławne, kanał królewski Bug-Dniepr. — Rozwój kanałów. — Szluzy komorowe. — Olbrzymie budowle nowoczesne. — Potworne machiny.)

Żelazne pasy szyn owinęły na wszystkie strony świata cały glob ziemski. Rumak parowy mknie w nieznane dawniej zakątki odległych krain i niesie ze sobą pełne tchnienie nowoczesnej cywilizacji i zło i dobro...

Olbrzymiały siły człowieka, na epokowych wystawach, dają sobie rendez-vous wszystkie narodowości, powstają potężne gmachy, mieszczące produkty pracy wszystkich narodów. Uwidoczniają one zdobycze pracy ludzkiej, emancypację człowieka od ślepych sił przyrody, które trwogą przejmowały pokolenia odległej, zamierzchłej przeszłości.

A jeśli potrafimy ująć razem wszystkie przyczyny, wszystkie potęgi twórczości, które złożyły się na jeden imponujący obraz postępu — bogactwa życia, pełni ruchu i pracy, to zawsze i wszędzie na pierwszy plan wystąpią nowoczesne środki komunikacyjne.

Przyszłe wieki ocenią dopiero w właściwej istocie olbrzymie znaczenie 100000-milowej sieci komunikacyjnej kolejowej, mnogie uczęszczane linje morskie parowców, setki mil żeglugi śródziemnej na rzekach i kanałach i cały ten kompleks wynalazków, roznoszących myśl i słowo błyskawicznie po całej kuli ziemskiej — telegrafy, telefony itd.

Możnaby pisać całe tomy o wpływie ulepszeń i rozwoju komunikacji na życie ludzkie, na obyczaje, na pojęcia, na ustawodawstwo, na poziom etyczny społeczeństwa i odnaleźć wpływ ten wybitnie nawet w szczegółach życia jednostki — wziąwszy pod uwagę przemysł i handel współczesny. Rozwój komunikacji przemienił do głębi współżycie i wymianę produktów, stworzył wprost nowe warunki istnienia i nie ma chyba nikogo, któryby bodaj tego nie odczuwał.

W okresie jednak gorączki budowy kolei i niesłychanego wzrostu linji komunikacyjnych, zapomniano nieco o tych dobrych połączeniach, które służyły długo — długie setki lat przed kolejami dla transportu towarów i osób.

Mamy tu na myśli rzeki i kanały.

Trzeba sobie przypomnieć, że z początkiem stulecia XIX-go drogi przedstawiały się przerażająco, podróż drogą należała do wielkich przykrości, wymagała zdrowia, wytrwałości, szczęścia, pieniędzy mnóstwo i czasu — bardzo wiele czasu.

Transporty towarów były wprost niebezpiecznem ryzykowaniem, nie mówiąc już o wysokiej opłacie za przewóz. Opisy podróży, szczegóły ruchu towarowego na drogach, z tych czasów, najeżone są fatalnymi wypadkami, kalectwem lub śmiercią ludzi, połamaniem wehikułów — pogubieniem pakunków itp. niewesołemi niespodziankami.

Transporty więc rzekami spławnemi były wobec takiego stanu dróg prawdziwem błogosławieństwem i korzystano z tych naturalnych linji.

Starano się główne drogi wodne połączyć ze sobą kanałami.

U nas w czasach upadku Rzeczypospolitej za Stanisława Augusta przekopano wielki kanał królewski między Dnieprem a Bugiem, czyli połączono niejako morze Czarne z Bałtykiem.

Długość kanału wynosiła mil 8, koszt miljon zł. polskich. Roboty rozpoczęte były w roku 1775, kierownictwo techniczne miał gieometra i hydraulik Szulc, wydoskonalony w Szwecji (Korzon: „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta.")

Już w roku 1784 szły statki do Gdańska. Po zwycięstwie Targowicy, imperatorowa Katarzyna II ubezwładniła przez posła Stackelberga intensywne wysiłki, dążące do pod niesienia handlu, ułatwienia zbytu produktów Polski i drogi wodne wykończono dopiero w wieku XIX po wielkiej tragedji bezbronnego narodu.

Znaczenie i potrzeba dróg wodnych były więc uznawane od dawna, a z wzrostem linji kolejowych znaczenie to wcale nie upadło. We wszystkich krajach starano się o spławność rzek i o kanały, przejście statku od jednego poziomu do drugiego, umożebniały szluzy.

Postęp techniki na tem polu, przeprowadzania okrętów przez znaczne różnice wysokości poziomu wód, zaznaczył się wykonaniem pomysłowych epokowych budowli kanałów nowoczesnych. Najprostszem urządzeniem jest tak zwana: „szluza komorowa", którą po raz pierwszy stosowali włosi — a znowu inni twierdzą — holendrzy.

Dwie szluzy (tamy) zbudowane w pewnej odległości od siebie zamykają przestrzeń, nazwaną komorą. Statek płynący pod górę, przechodzi przez wrota dolnej szluzy, które za nim się zamykają. Następnie po otwarciu wrót górnych napływa woda do komory i podnosi statek do tego poziomu wyższego. Statek jadący w dół, musi czekać przed wrotami komory, dopóki nie napełni się jej wodą do wysokości górnego poziomu, poczem wpływa do komory. Wrota górnej szluzy się zamyka, a otwiera teraz dolne, woda spływa do niższego poziomu, statek opada i wpływa na część niżej położoną.

Usiłowania techników dążyły do tego, by tego rodzaju „przeszluzowanie" statku przez komorę odbyło się jak najszybciej (rozmiary komory są zazwyczaj na jeden wielki lub dwa małe okręty), jak najpewniej.

Starano się także, by budowa kanału nie wymagała wielkiej ilości bardzo kosztownych szluz dla przezwyciężenia różnić wysokości. (Kanały prowadzą nieraz przez wysokie działy wód.) Dla tego celu wymyślono imponujące konstrukcje żelazne, podnoszące siłą mechaniczną olbrzymie ciężary kilkunastu tysięcy ton na wysokości 15 do 20 mtr. Stosowano także „równie pochyłe", na których wyciągano statki do poziomu wody wyższej części kanału.

Nie trzeba sobie przedstawić, jakoby kanał spławny w całości wykonywany był w przekopie ziemi, przekracza on nieraz rzeczki i rzeki na wspaniałych budowlach mostowych, może przejść tunelem przez znaczniejszy grzbiet, a często wymaga osobnych budowli, dostarczających wody z dopływów rzek lub jezior.

Kanał Dortmund-Ems w Niemczech, wykończony niedawno, ma u góry szerokości 30 m., na dnie 18·5 m., głębokości 2·5 m., przechodzi przez trzy rzeki na wysokich wspaniałych mostach. Na długości jego 272 km. znajduje się 18 szluz, a różnica wysokości poziomów wody wynosi przeszło 15 km.

Umożliwienie żeglugi na płytszych miejscach rzek, łączenie z kanałami wymagało nietylko ogromnego nakładu pracy, ale i konstrukcji nowych machin „exkawatorów", pogłębiających koryto (bagrujących,) wydobywających materjał ziemny, kamienisty itp., szybko — automatycznie.

Na tem polu technika współczesna stworzyła prawdziwe potwory maszynowe.

Exkawator o sile 45 koni, wyrzuci w 10 godzinach 10000 m^3 ziemi, to znaczy, zastępuje pracę ręczną co najmniej 3000 ludzi.

Olbrzymi statek do bagrowania w porcie Liverpool, 100 m. długi, 15 szeroki, zanurzający się do głębokości 7 m., wydobywa w godzinie 2000^3 m materjału z głębokości 16 m.

Postęp tego działu inżynierji warunkowany jest potrzebą handlu i przemysłu. Praktyka okazała, że kanał i droga wodna wcale nie tworzą konkurencji dla sieci kolei, ale uzupełniają ją.

Taniość transportu wodą (0·28 do 0·35 grosza od jednej tony i kilometra) wciągnęła w obieg produkty surowe: glinę, ziemię, żwir, kamienie, którym i najniższa taryfa koleji nie dozwalała przewozu na większe odległości.

Jeśli mówi się o drogach wodnych w Austrji i naszym kraju, jako o czemś nowem, to trzeba pamiętać, że na tem polu od dawna już wyprzedzili nas sąsiedzi. Anglja ma 6,100 km. dróg wodnych, Francja 4,809 km., Niemcy 2.700 km., a Austrja 72 km., Galicja — żadnej, dzięki troskliwej opiece „ojców narodu", dzięki temu, że przez 40 lat większość sejmowa miała na oku zawsze i wszędzie i wyłącznie bydło i zboże, a w dziedzinie komunikacji „potrzeby strategiczne państwa", nie zaś potrzeby ekonomiczne kraju.

„Kurjer Lwowski".

Rozmaitości

Z historji kawy. Kawa stanowi dziś jeden z najbardziej rozpowszechnionych napojów. Inaczej było w ośmnastem stuleciu; wówczas picie kawy mogło pociągnąć za sobą gorsze skutki, niż dziś używanie alkoholu. I tak w r. 1781 biskup z Paderborn wydał „Edykt kawowy", który pozwalał na użytek kawy „prawdziwym burmistrzom, sędziom i pisarzom sądowym, adwokatom i prokuratorom, lekarzom i aptekarzom, zarządcom i gospodyniom, konduktorom, poczmistrzom i hotelowym, przyjmującym u siebie wiele zagranicznych gości i osoby wysokiego stanu, dalej tym, którzy żyją z rent, potem rabinom i przełożonym gminy żydowskiej, ale z tym warunkiem, że sobie tę kawę sami bezpośrednio z obcych krajów sprowadzą." Pod karą dziesięciu talarów zakazanem było wszystkim tym wymienionym osobom dawać kawę służbie, a toż samo nie było wolno pić kawę praczkom, prasowaczkom i innym wyrobnikom i wyrobnicom.

Wszystkim innym chrześcjanom i żydom, nie należącym do rangi „wolnych", a mianowicie studentom, kościelnym, nauczycielom i nauczycielkom, chirurgom, prostym żołnierzom, podoficerom, rzemieślnikom, wieśniakom i sługom i wszystkim innym, którzy muszą się utrzymywać z pracy rąk, było używanie kawy zabronione w zupełności pod karą 2 talarów.

* * *

Wpływ pracy umysłowej na mózg da się fizjologicznie stwierdzić ilością krwi, wpływającej do mózgu. Z im większem natężeniem mózg pracuje, tem bardziej naczynia krwionośne w mózgu napełniają się krwią. Włoski fizjolog Mosso podaje łatwo wykonalne doświadczenie, którem wyraźnie można okazać, jaki wpływ wywiera praca umysłowa na mózg. Kładzie się człowieka w ten sposób na dźwignię wagi, aby się znajdował w równowadze, przyczem głowa spoczywa na jednym, nogi na drugim końcu dźwigni. Jeżeli teraz człowiekowi temu każemy spełnić jakąś trudną pracę umysłową, naprzykład rozwiązać jakieś trudne zadanie rachunkowe, przy którem mózg jego natęży się, spostrzeżemy, że koniec dźwigni, na którym spoczywa głowa, pochyli się w dół. Jest to dowód, że do mózgu napłynęło więcej krwi, skutkiem zwiększonej pracy mózgowej.

* * *

Kryzys książkowy. Książki nie odchodzą — księgarze wywodzą gorzkie żale. Jest to po części wina ogólnie panującej drożyzny, która zmusza ludność niezamożną i średnio zamożną do zrzeczenia się pokarmu duchowego, wobec trudności zaopatrzenia się w potrzebny pokarm fizyczny. Po części zaś przyczyna leży także w zbytniej produkcji książek — i to po większej części złych książek. Szwajcarja produkuje rocznie 1 książkę na 449 mieszkańców.

Holandja	1 książkę na	1.600	mieszkańców
Danja	1 „ „	1.018	„
Niemcy	1 „ „	2.086	„
Belgja	1 „ „	2.700	„
Norwegja	1 „ „	3.146	„
Francja	1 „ „	3.149	„
Anglja	1 „ „	4.462	„
Włochy	1 „ „	5.320	„
Stany Zjedn.	1 „ „	20.171	„
Austrja	1 „ „	20.454	„

Tępienie szczurów elektrycznością. Głównych broni do walki przeciw szczurom, roznoszącym zarazę dżumy na okrętach i w miastach portowych, dostarczała dotąd chemja, polecając do tego celu rozmaite trujące gazy węglowe, wraz z aparatami do ich najskuteczniejszego użycia w celu wytępienia szczurów. Obecnie i fizyka wystąpiła do boju, a inżynier wiedeński Albert Biederheim stosuje w tym celu prąd elektryczny. W magazynach okrętowych, gdzie się szczury stale kryją, umieszcza się znaczną ilość metalowych kolców, umieszczonych w niewielkiej od siebie odległości i połączonych z przewodem elektrycznym. Między kolce zakłada się przynętę, szczur zaś, który dotknie się kolca, ginie natychmiast, zabity prądem elektrycznym. Do tępienia szczurów w portach lub kanałach służy znowu specjalna łapka metalowa, naładowana silnym prądem elektrycznym, którą spuszcza się na dno kanału, a potem wyciąga z zabitemi zwierzętami. Próby, jakie przedsięwzięto z temi łapkami w porcie tryjestyńskim w Austr., dały bardzo zadawalające wyniki.

* * *

Ożenił się z własną córką. Bardzo ciekawa sprawa zajmuje teraz sądowe władze w Styrji Austrji. Antoni N. utrzymywał przed wielu laty stosunek z dziewczyną, którą jednak wkrótce porzucił. Nie troszczył się już nigdy więcej o nią tak, iż w ciągu lat zapomniał nawet jej nazwisko. Dziewczyna jednak w następstwie tego stosunku wydała na świat córkę. Po wielu latach Antoni N. poznał i pokochał pewną młodą dziewczynę, a że ona kochała go również i nie były inne przeszkody, przeto ożenił się z nią. Żyli z sobą przez parę lat szczęśliwie, gdy przypadkiem człowiek ów wykrył, że ożenił się ze swoją własną nieślubną córką. Wiadomość o tem doszła do władzy i Antoni N. wraz z żoną zostali oskarżeni o kazirodztwo (§ 131.) Sąd jednak uwolnił ich, gdyż nie było mowy u nich o złym zamiarze. Małżeństwo ogłoszono za nieważne.

* * *

Sztuczne rozmnażanie. W tych dniach znakomity profesor uniwersytetu paryskiego, Ives Delage, przedstawił akademji małe zwierzątko morskie, będące produktem sztucznego zapłodnienia.

Już od lat wielu prof. Delage badał i czynił świetne odkrycia w dziedzinie „partenogenezy“, czyli rozmnażania rodzaju zwierzęcego przez sztuczne zapładnianie jajek bez udziału zarodka męskiego.

Pierwsze ciekawe próby w tym kierunku prof. Delage odbywał na t. zw. „gwiazdach morskich“ przez działanie na jajka zwierząt wodą, przesyconą kwasem węglanym czyli zwyczajną wodą selcerską. Jakkolwiek pierwsze próby nie odniosły należytego skutku, jednak jajka doszły do stadjum larwy zwierzątka.

Następne eksperymenty prof. Delage przeniósł na t. z. ursins'a (jeżowca,) posługając się w tym wypadku mieszaniną wody morskiej z tannatem amoniaku, przyczem zauważył, że wbrew dotychczasowym twierdzeniom, tlen do sztucznego zapładniania jest zupełnie niepotrzebny, natomiast używanie mięszanin bez amoniaku nie doprowadzi do wyniku.

Trzy z siedmiu otrzymanych sztucznie zwierzątek żyje dotychczas jeszcze w akwarjum Boskowa, którego dyrektorem jest prof. Delage.

Uczony badacz zaznacza, że jest na drodze do zupełnego wyjaśnienia tego zadziwiającego zjawiska partenogenezy, które dotyczy jednego z największych problematów: o pochodzeniu zwierząt i źródłach życia.

* * *

Jadalne owady. Jest mnóstwo rzeczy na świecie, które nadają się do jedzenia, jeśli ktoś ma smak zepsuty. Niektórzy ludzie zjadają z rozkoszą rzeczy przed którymi inni mają wstręt. W Hamburgu np. dzieci jedzą chrabąszcze. Częstokroć jednak owady stanowią największe przysmaki ludzi bogatych. W r. 1750 jeden z kucharzy podał następujący przepis, dla przyrządzania „szarańczy“: Szarańcze piecze się w maśle lub marynuje w occie i pieprzu, i mają wtedy smak raków.

Na Wschodzie zjadają również szarańczę. Krajowcy w Brazylji i w Indji jedzą „szarańczę olbrzymią“ którą smażą jak kiełbasę. Hotentoci również lubują się w szarańczy, zwłaszcza w samiczkach. Murzyni w Bango jedzą nietylko szczury i węże, ale także szkorpjony, termity — i muchy. Te ostatnie wygniatają na ciasto i wypiekają w formie babki.

Z literatury i sztuki.

Nr. 12. (na grudzień) „Przewodnika zdrowia“ (Czarnowski Berlin Weissenburgerstr. 27) wyszedł i zawiera:

Treść: Reforma w pojęciach przyrodniczych. Podług dra Jeżeka (z 3 rycinami). — Zaburzenia żołądkowe i jelitowe wogóle. Podług dra Jeżeka (z 11 rycinami). — Choroby żołądka. Zaburzenia w trawieniu wskutek przeładowania żołądka. Choroby żołądka wskutek zaziębienia. Wrzody żołądkowe. Rozszerzenie żołądka. Rak żołądka. Jak należy zapobiegać chorobom żołądkowym i jak je leczyć? — Choroby włosów. — Zmysł powonienia i jego zaniedbanie. — W jaki sposób usuwać z oka jęczmyk? — Przestrogi i rady. — Rozmaitości. — Piśmiennictwo.

* * *

Nowe książki.

Jaką metodą się leczyć? Podług dra Klimaszewskiego i innych lekarzy przyrodniczych. Nakładem Wydaw. „Przewodnika Zdrowia“ (Czarnowski, Berlin, Weissenburgerstr. 27.) Cena z przesyłką: 55 fen. = 65 hal. = 30 kop.

Kącik humorystyczny.

Pan radca.

W pewnej niemieckiej wiejskiej szkółce odbywał „pan radca szkolny“ wizytację. Odchodząc zwrócił nauczycielowi uwagę na to, żeby dzieci przyuczał więcej do grzeczności; powinny były przy końcu każdej odpowiedzi uprzejmie dodać: „panie radco.“ Następnego dnia miała się odbyć taka sama wizytacja w poblizkiej wiosce. Zganiony nauczyciel coprędzej uwiadomił swego kolegę o wymaganiu pana radcy, aby mógł naprzód dzieci odpowiednio przygotować. Wchodzi pan radca, zadaje pytania, a uważne dzieci kończą każdą odpowiedź według wskazówki nauczyciela. Przyszła wreszcie w egzaminie kolej na historję biblijną, a mianowicie o upadku pierwszego człowieka. Radca pyta:

— Co rzekł Pan Bóg do Adama?

— Ziemia niechaj będzie przeklęta w tobie, panie radco — brzmiała odpowiedź.

Aby zatrzeć wrażenie, pyta pan radca prędko dalej:

— A co rzekł Pan Bóg do węża?

— Na brzuchu twoim czołgać się będziesz, panie radco!... — odpowiedział chłopak.

Szybko pan radca daje znak uczniowi, aby usiadł i zwraca się do innego ucznia, aby karzące słowa zakończył. Tenże odpowiada:

— Proch pożerać będziesz, jak długo żyć będziesz, panie radco!

Na takie grzeczne komplementa nie pozostało panu radcy nic innego, jak wynieść się co prędzej ze szkoły.

* * *

Różnica między bogatym a biednym.

W pewnej szkole na Śląsku wyjaśniał katecheta różnicę pomiędzy bogatym a biednym. — Powiedz mi Karliczku, jak nazywamy ludzi, którzy nie mają pieniędzy, noszą liche odzienie, jeść co nie mają, a często chodzą boso lub po żebrach? — Karliczek: To są ludzie biedni. — Katecheta: Dobrze. A teraz powiedz nam, jak się nazywają tacy, którzy mają ładne szaty, moc pieniędzy, konie, powozy, piją wino, jedzą ryby, ślimaki, żabie uda?... — Karliczek (wpadając): A to są prosięta...

Z. M.
„Kropidło“

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 2. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 11 stycznia 1908.

WYCHODŹCY.

— Matuleńko, mówcież że mi,
Dokąd idziem po tej ziemi?
Noc posępna, grzmi ulewa,
Wicher z hukiem łamie drzewa
A na czarnem niebie w dali
Kilka krwawych łun się pali...
Ach, jak tęskno tu, mateczko,
Za chateczką, za wioseczką,
Gdzie szumiały złote kłosy,
Gdzie dzwoniły ptasząt głosy,
Gdzie żniwiarzy tłum wesoły
Zbierał plony do stodoły,
Gdzie twarz każda tak radosna
Niby kwiatek, niby wiosna...
I my świat ów pożegnali,
By tak błąkać się tu w dali?

— Nie płacz, nie płacz, ma dzieweczko,
Za wioseczką, za chateczką!
Nie płacz, mała!... Nasze pole
Zarastają dziś kąkole...
Prawie każdy człowiek z wioski!
Siał nadzieję, zbierał troski!
Ojciec przodem ruszył, dziecię,
By zarobek znaleźć w świecie,
Z płaczem nędzną chatę rzucił,
Poszedł, poszedł i nie wrócił...
Nie tak dziko wiatr wygrywa,
Nie tak groźna noc burzliwa,
Nie tak straszno, nie tak ciemno —
Głodna jesteś? O, pójdź zemną!
Tam gdzie huczy grzmot ze stali,
Tam gdzie jasność bije w dali.
Tam gdzie łuny krwawią nieba
Idziem, dziecko, szukać chleba!

— Matko, matko! Tam daleko
Łza nie zaschnie pod powieką...
Słychać jakiś huk ponury,
Jakieś wrzaski śród wichury,
Dołem ciemność a z wysoka
Łuna niby krwi posoka.
Jakiś łoskot, poświst wrogi —
Och, zawróćmy, matko, z drogi!

— Nie czas, nie czas, moja mała,
Gdy nas dola tu zagnała!
Grzmią maszyny dookoła,
Klątwą świecą ludzkie czoła,
Czarne dymy błękit mroczą
I strudzeni bez sił kroczą —
Źle nam, ciężko na tym świecie,
Lecz żyć trzeba, moje dziecię!

— Matuleńko, mówcie tedy,
Czemu to tam tyle biedy?
Czemu klątwą świecą czoła?
Czemu wszystkim źle dokoła?
Czemu we łzach ludzie biedni
Zdobywają chleb powszedni?
Czemu innym na tej ziemi
Nigdy tak się świat nie ściemi?
Czemu Pan Bóg dla swych dzieci
Jednej doli nie roznieci?
Czemu dziatwie najwierniejszej
Daje żywot najciemniejszy
A gdy na jej łzy spoziera,
Tylko liczy, nie ociera?...
Matko! Czemu nie żal Jemu
Tak żyć kazać... Czemu? Czemu?...

Tak szeptało drobne dziecko
Dążąc błonią mazowiecką
Obok biednej swej macierzy,
Gdzie fabrycznych świat rubieży
Tytanicznych łun pożogą
Pośród nocy świecił wrogo.
Matka milcząc przodem kroczy
Tylko chustą kryje oczy — —
Lecz szumiały głucho drzewa,
Szumiał wicher i ulewa,
Noc szumiała mazowiecka
Zapytaniem tego dziecka.

A. Niemojewski.

FELIKS KON.

Na Karze.

12)

ROZDZIAŁ VI.

Otrzymaliśmy ją nazajutrz... Była krótką... Sigidę ukarano... Umarła... Kaluźnaja, Kowalewska, Smirnicka otruły się... Konają... Huker (towarzysz, który się znajdował w tak zwanych „wolnych komendach“) dwukrotnie strzelał do siebie.. Ranny, zdaje się, lekko... Przeniesiono do lazaretu...“

ROZDZIAŁ VII.

Było to więc prawdą... Mieliśmy już wreszcie w ręku tę „upragnioną“ pewność a jednak chwilami nie dawaliśmy jej wiary... Według ustawy, przed zastosowaniem do kogokolwiekbądź chłosty, lekarz powinien stwierdzić, że stan jego zdrowia dopuszcza tego rodzaju karę... Sigida była chorowitą... Miałżeby lekarz upodlić się do tego stopnia, że uląkł się zaprotestować przeciwko temu?... Chłosta odbywa się w obecności lekarza, miałżeby on być obecnym przy tem i swą obecnością uprawiać ten podły akt gwałtu?

W głowie się nam pomieścić nie mogło i dopiero wiele miesięcy potem, dowiedzieliśmy się, jak to morderstwo zostało dokonanem...

Rozkaz o wykonaniu chłosty został przesłany zarządzającemu katorgą dla kryminalistów Homuleckiemu, ale i ten posiwiały na służbie więziennej czynownik wzdrygnął się, otrzymawszy ten rozkaz i zaczął szukać środków, by go

nie wykonać... Zwrócił się do lekarza więziennego... Nie mniej niż zarządzający katorgą oburzony lekarz natychmiast napisał świadectwo, w którem stwierdził, że stan zdrowia Sigidy wywołuje obawy, żeby w razie zastosowania do niej chłosty, nie umarła na atak sercowy...

Nie pomogło to... Nazajutrz przyjechał na Karę Bobrowskij, jeden z tych sprawców, którzy się pastwili nad Kowalską, gdy ją z rozkazu Korfa wywożono do Wierchnieudińska i kazał przyprowadzić Sigidę do kancelarji...

— Głupstwo! Wytrzyma! — orzekł Bobrowskij po przyprowadzeniu Sigidy.

Oburzony lekarz oznajmił, że nie będzie obecnym przy tym mordzie...

— Obejdzie się i bez pana...

Lekarz trzasnął drzwiami i wyszedł, przekonany, że w obec wyraźnego nakazu prawa, chłosta bez jego obecności nie będzie mogła być wykonaną...

Ale gdy idzie o zamordowanie więźnia politycznego — prawo milknie.

Sigidę ukarano... Wystarczyło świadectwo czynownika.

Półomdlałą, nieprzytomną odprowadzono ją do więzienia kryminalnego, gdzie się znajdowały Kałużnaja, Smirnicka i Kowalewska w jednej celi z kryminalistkami... W jednej chwili cela jak gdyby zamarła... Nawet kryminalistki poczuły, jaka zbrodnia została popełnioną.

Zasłoniwszy nary, na których leżały, szalami od oczu postronnych, towarzyszki otoczyły Sigidę, robiąc daremne próby uspokojenia jej, ukojenia...

— Mamo! dzieci! — jakby żegnając się po raz ostatni z matką, z małemi braciszkami i siostrzyczkami swemi — szeptała nieprzytomna Sigida...

Nazajutrz już nie żyła... Niektórzy przypuszczają, że wstrząśnienie moralne, jakiego doznała spowodowało śmierć... Być może... Jest to jednak mało prawdopodobne... Podobno, w ciągu nocy Sigida miała chwile przytomności... Wątpliwem jest wobec tego, czyby czekała wyzwolenia przez śmierć naturalną, mogąc przez zażycie trucizny położyć kres swym męczarniom... Siedzące z nią towarzyszki posiadały truciznę... Gdyby zapragnęła tego, nie miałyby ani prawa ani chęci jej odmówić... Przypuszczenie, że umarła ze wstrząśnienia, opartem jest na oznajmieniu lekarza... W tym jednak wypadku z wielką ostrożnością do takiego oznajmienia odnieść się należy, bo tego rodzaju wersja broniła lekarza przed zarzutami władzy, że wydał świadectwo tendencyjne... W interesach lekarza leżało udowodnić: uprzedzałem, że tak będzie, tak się też i stało... „Żadne uboczne względy mną nie powodowały..."

Być może, że po upływie 18 lat lekarz, który dotąd żyje, zechce odsłonić tajemnicę zgonu Sigidy... Dopiero wówczas można będzie mówić o tem, czy się otruła, czy umarła następnego dnia po chłoście... Pozostałe towarzyszki, Kałużnaja, Smirnicka, Kowalewska, dopóki Sigida żyła, myślały tylko o niej, wyłącznie nią były zajęte i dopiero z chwilą jej skonu przystąpiły do protestu... Przygotowania były krótkie, trucizna była pod ręką... Uścisnęły się na pożegnanie i zażyły truciznę... Po kilku godzinach Kałużnaja już była w agonji, Kowalewska, zachowując do ostatniej chwili przytomność, ciężko chora leżała na łóżku, a Smirnicka, chwiejąc się na nogach, przechodziła od jednego łóżka do drugiego, żegnając jedną przyjaciółkę i podając wodę drugiej... Pod wieczór Kałużnaja umarła. Dopiero wtedy położyła się Smirnicka.

Gdy po chwili Kowalewska znowu słabym głosem zawołała: „pić!" — już Smirnicka nie była w stanie podnieść głowy z posłania.

Lekarz, który właśnie był nadszedł, chciał skorzystać z tej sposobności i podać Kowalewskiej w szklance antidotum...

Domyśliła się tego i odtrąciła szklankę...

— Gdybyś pan był porządnym człowiekiem, raczej zastrzyknąłbyś mi truciznę niż dawał antidotum...

Zawstydził się lekarz, i odszedł... A nazajutrz z rana umarła Kowalewska, wieczorem zaś Smirnicka.

Szczegóły te zakomunikowano nam znacznie później, w owym zaś czasie wiedzieliśmy tylko to, co zawierał przytoczony przezemnie liścik.

Gdyby całe więzienie dało zgodę na proponowaną przez garstkę formę protestu sprawa byłaby łatwą, zabarykadowalibyśmy wszystkie wyjścia, oblali naftą ściany i podpaliśmy więzienie wraz z sobą. I kto wie, czy to nowe wydanie „pochodni Nerona" nie oświeciło by ciemni życia państwa carowego, czy od tego ognia nie stopniałaby skorupa obojętności, czy zakrzepłe serca nie zaczęły by bić goręcej i czy ta ofiara żywcem ginących w płomieniach ludzi nie pchnęłaby najobojętniejszych do czynu...

Ale była to utopja... Jedni zmęczeni długoletniem więzieniem już do takiej ofiary nie byli zdolni, inni zasadniczo występowali przeciw takiej olbrzymiej ilości ofiar, jeszcze inni nie uznawali formy biernego protestu, nie rachując się zupełnie z tem, że w naszem położeniu o innej formie nie mogło być mowy, bo wszyscy stykający się z nami czynownicy byli tylko „knutami w ręku kata", odbierającymi i wykonywującymi rozkazy „króla-wielkiego samowładnika świata połowicy", „siedzącego daleko... o pięć set mil... na swej stolicy".

Nie, o udziale wszystkich w proteście nie mogło być mowy... Ale zanim mieliśmy przystąpić do protestu, trzeba było koniecznie ustalić ilu weźmie w nim udział i kto. I to nie było łatwem, bo jakże pytać ludzi, czy chcą umierać... Prowadzić agitację na rzecz samobójstw nie sposób... Można umierać samemu, ale powoływać do tego innych trudno...

Garść tych, dla których ta sprawa już dawno była rozstrzygniętą i którzy już nieraz pomiędzy sobą ją omawali, po naradzie, zwykłym zwyczajem na Karze, puściła w obieg po celach następującą kartkę:

„Uprasza się towarzyszy, pragnących za pomocą samootrucia wyrazić protest przeciwko nikczemnej zbrodni, dokonanej na Sigidzie, by się zeszli w „Jakutce" na naradę w kwestji ostatniego listu do towarzyszy na wolności i oznajmienia do rządu. Dla ustalenia ilości protestujących w ten sposób uprasza się ich o podpisanie tej kartki".

Podpisało ją 14-stu: 1) Preobrażeńskij, 2) Adrjan Michajłow, 3) Spandoni, 4) Bobochow, 5) Iwan Kałużnyj, 6) Wołoszenko, 7) Zewczenko, 8) Sergjusz Dikowskij, 9) Pawło Iwanow, 10) Kon, 11) Sękowski, 12) Paszkowski, 13) Majer i 14) Nagornyj.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

EDMUND LIBAŃSKI.

Z postępu wiedzy i techniki.

(Czar sztuki. — Scena i życie. — Teatr Grecji. — Kult Dionizosa. — Technika sceny. — Wystawa sztuk teatralnych. — Kemedjanci. — W antrakcie za sceną. — Iluzje i mechanika podziemna. — Malarstwo dekoracyjne. — Apollo i Merkury. — Muzy a impressarjo. — Sztuka narodowa).

Piękno i sztuka! Poezja, malarstwo, wymowa i muzyka, zespolone na scenie teatru w całość porywającą duszę, dla rozkołysania uczuć odwiecznie bijących w biednem sercu ludzkiem! Czyż to może mieć co wspólnego z postępem techniki? A jednak artysta, który skupia w sobie rozstrzelone, słoneczne promienie życia i jego cienie, wstrząsając nas do głębi, czyż weźmie nas pełnym czarem swej sztuki bez tych złudzeń — fata morgany, techniki?

W życia zawieruchach, powszedności bytu rozwiewają się ideały, w szarości codziennych walk serca martwieją, a oczy przestają widzieć piękno duszy ludzkiej — lecz oto zbliżyliśmy się na chwilę do ołtarza sztuki, do sceny... I nagle czar piękna rozwiewa mgły ciasnego widnokręgu... rośnie przed nami kawał życia, ze sceny płyną tajemnicze fale wewnętrznych szeptów i tajonych marzeń: „daleko nieraz człowiek od człowieka, a tak blisko... tak bliski!..."

I całe audytorjum, setki ludzi żyją i czują na chwilę podnioślej, szerzej i serdeczniej, rozumieją się! to czar!... to potęga sztuki!

Na ten czar składają się i artyści, ci, co odtwarzają postaci poety i... złudzenie, które stwarza technika, naśladownictwo form i efektów realnych, materjalnych warunków życia.

A przecież tak nie było przy narodzinach sztuki dramatycznej. Nie było techniki sceny, całe audytorjum wchłaniało słowa poety i akcję, zasłuchiwało się w cudnych strojach, opiewających wszystko, co piękne i szlachetne, co wzniosłe i wielkie, co wstrząsa dusze i warte było życia...

Tak było w Grecji!

Najstarsze egipskie misterja, tajemnicze obrzędy na cześć Izydy i Ozyrisa, były najdawniejszem przedstawieniem scenicznem, świątynia była pierwszym teatrem, a artystami — złośliwi mówią... komedjantami — byli kapłani.

Właściwą jednak kolebką teatru był kraj wiecznej wiosny czarującego błękitu i złocistego słońca, kraj, któremu szmaragdowe fale morza nuciły baśnie i legiendy o walkach i miłostkach bogów o pięknie, tylko... o pięknie i sztuce, o radości życia. Grecy kochali piękno, poili się czarem, który otaczał całe ich bujne życie, jasne, niekłamane, nieznające hypokryzji czasów późniejszych... I Grecja dała ludzkości teatr...

Plutarch przyznaje temu słowu pochodzenie boskie (od „deos" — bóg). Teatr starogrecki, to miejsce najpiękniejszego kultu Dionizosa — bożka wina i radości, promiennej wiosny światła i zorzy młodzieńczych uczuć — bożka pełnego humoru, wesela i figlarnych psot.

Na wiosnę w miesiącu Elaphebolian (marzec), gdy uroczy świat Hellady budził się radośnie, a słońce coraz płomiennej i miłośniej całowało ziemię i morze, wówczas ożywiony, wesoły orszak z śpiewem dytyrambów, podążał z statuą bożka ku Atenom, gdzie zakończeniem uroczystości były z niezmiernym przepychem wystawiane przez trzy dni komedje, tragedje, satyry najsłynniejszych poetów.

Wielki i szczery był ten zachwyt upajający! — wino rozpalało głowy, rozmarzało serca: „Evoe Bache!" płyną śmiechy i żarty, wiatr zanosi szum gajów oliwnych, szept fal morskich — pląsają pary, a na to wszystko patrzy rozświetlony cudowny błękit wiosny. Kult tego bożka wyrodził się w bachanalje i orgje później dopiero w czasach zepsucia, któremi osławił się Rzym w okresie upadku, w Grecji wytworzył on i utrwalił teatr, świątynię sztuki.

Rozległy łagodny stok pod niebem Grecji, to miejsce widzów, (teatron), amfiteatralnie urządzone ławki otaczają środek, miejsce śpiewów, tańców i przedstawień; (orkiestra) wraz z rozwojem sztuki dramatycznej przybywa drewniany budynek za orkiestrą, z którego wychodzili artyści (skena). Na tej skenie, czyli jak dziś nazywamy, scenie oznaczano nader prymitywnie miejsce odbywającej się akcji, gry artystów, a dla lepszego objaśnienia służyły w czasach późniejszych „periakty", olbrzymie, obracalne, trójkanciaste słupy, na których wieszano kulisy.

W takim to teatrze słuchało 20000 osób utworów gienjuszów Ajschylosa, Sophoklesa, Eurypidesa, znaczących trzy okresy rozwoju sztuki dramatycznej, swoich oblubieńców, grane były przez artystów w maskach, przedstawiających charakter roli. Nie znali grecy potęgi mimiki, pantominy, mężczyzni grali role kobiece, często jeden aktor zmieniał trzy razy maskę, występując w różnych rolach. Teatr Grecji był instytucją państwową, na którą nie żałowano kosztów.

„Teatry przepełnione", woła jeden ateńczyk — „place musztry puste, a chwała i sława, która była udziałem wodzów, dostaje się poetom i artystom".

Mijały wieki — historja cywilizacji poucza nas, jak ponownie powstały widowiska, jak teatr odzyskiwał swój wpływ i jak artysta ze sceny już bez maski czarował słuchaczy; technika sceny mało co jednak sie zmieniła.

Za czasów Szekspira herold objaśniał zmianę okolicy, wszystko potrzebne dla zrozumienia akcji i w ten sposób grano sztukę bez pauzy a dziś nie zadowolilibyśmy się tylko samą grą artysty, bo naturalizm zapanował i w sztuce scenicznej. Dla całkowitego złudzenia, dla poddania się suggestji sceny czar sztuki ujęty być musi w ramy iluzyjnej prawdy — naturalizmu.

Tej iluzji służy postęp techniki scenicznej, postęp, który umożliwia bajeczne wystawy nowoczesnych sztuk, a autorom daje odmienne nowe pole dla popisu fantazji.

Ale na to wszystko trzeba było nowego „ducha czasu", bo wśród walk i starcia się światopoglądów w okresie pasowania się ciemnoty ze światłem, teatr wydawał się czemś gorszącem — artysta-komedjant czemś niższym od zwykłego zjadacza chleba.

Przy końcu XVIII stulecia były fakty, że aktorowi odmawiano rozgrzeszenia, a dobry chrześcjanin nie powinien był odwiedzać teatru.

I technika sceny nie rozwijała się. Dziś nie wystarczy sama poezja i czar sztuki, gra znakomitego artysty — „milieu" sceny i całe otoczenie dostrajać się musi swemi efektami do dzieła dramatycznego, by zająć odrazu naszą wyobraźnię, pochwycić i przytrzymać uwagę i zajęcie. Dekoracje wymagają specjalnego fachowego artysty - malarza, oświetlenie wymaga niezmiernie precyzyjnego urządzenia, zmiany wymagają kunsztownie, znakomicie i szybko funcjonujących mechanizmów, a to wszystko: całego sztabu personalu pomocniczego, kierownika, który musi mieć ciągłe czucie ze sceną, rozumieć jej potrzeby, to znaczy, sam powinien być artystą.

Technika scenerji nowoczesnego teatru jest niedawnym nabytkiem. Wagner wprowadził umieszczenie orkiestry poniżej podjum sceny, a rosnące wymagania publiczności zmuszały techników teatralnych do zastosowania coraz nowszych, lepszych pomysłów i urządzeń scenicznych i wszystko to na to, by „choć na chwilę jedną w lepsze krainy powieźć duszę biedną..."

Zasłona spada, rozlega się grzmot oklasków, olbrzymi amfiteatr rozwidnia się jasnością elektrycznych żyrandolów, przerwało się złudzenie sceny, pauza i oczekiwanie następnego aktu.

(Dokończenie nastąpi).

Rozmaitości

Pochodnia wodna. W marynarce znaną jest już od pewnego czasu t. zw. pochodnia wodna, której zadaniem jest oświecanie dalekich przestrzeni morza i umożliwienie przez to spostrzegania zbliżających się torpedowców. Pochodnia wodna składa się z metalowego cylindra, zawierającego wytwory chemiczne, które w zetknięciu z wodą wytwarzają acytelen i powodują jego zapalenie się. Cała trudność polegała dotychczas w niemożliwości rzucania tych pochodni na daleką odległość. Teraz jednak udało się skonstruować armatę, którą można wystrzelić takie pochodnie na 3000 metrów odległości. Podczas wojny pancerniki zarzucają dokoła siebie wielkie koło pochodni wodnych i mogą obserwować, co się dzieje na morzu w obrębie tego koła, przyczem same pozostają dla nieprzyjacielskich okrętów niewidzialnemi.

Pochodnie te bywają rozmaitej wielkości; siła ich światła wynosi od 100 do 3000 świec, a trwanie światła od 50 minut do 3 godzin.

Po za wojną mogą pochodnie wodne również ważne oddawać usługi, zwłaszcza przy akcjach ratunkowych. Równocześnie z rzuceniem pasa ratunkowego rzuca się i pochodnię, która w zetnięciu z wodą natychmiast się zapala, oświeca powierzchnię morza i wskazuje rozbitkom pas ratunkowy. Światło pochodni jest tak intenzywne, że widocznem jest w obrębie pięciu mil morskich. Ważną korzyścią jest to, że pochodni tej nie ugasi ani burza, ani woda, tak, że nigdy nie zawiedzie. Przytem cena jej nie jest wysoka, tak, że wynalazek ten uzyska zapewne wkrótce szerokie rozpowszechnienie.

* * *

Choroby sercowe w zimie. Ludzie, chorzy chronicznie na serce nie znoszą zimna, bo ono zmusza serce do większych wysiłków. Mianowicie zimno pędzi krew do wewnętrznych części ciała ludzkiego, a do powierzchnich części dopływa nic lub nieznaczna całkiem ilość. Jeżeli więc serce jest słabem, to w warunkach tak niekorzystnych i dłuższy czas trwających, łatwo następuje przepracowanie a tem samem pogorszenie cierpienia sercowego. Lecz ujemny wpływ pory zimowej na chorych na serce tem bynajmniej jeszcze się nie wyczerpuje. Jak wiadomo, chorzy na serce mają wielką skłonność do reumatyzmu i kataru; choroby te odznaczają się u nich szczególną zawziętością. Jasnem jest, że zimą nabywa je się daleko łatwiej, aniżeli w innej porze roku. Więc też każdy chory na serce z zamiłowaniem przebywa zimą w pokoju lub izbie, aby nie doznać zaziębienia. Lecz i to ma swoje ujemne strony o tyle, że dla chorych na serce ruch, podniecający obieg krwi, jest właśnie nieodzowną koniecznością życiową. Brak ruchu przyczynia się bowiem do otyłości, do której chorzy na serce w szczególniejszej mierze są skłonni. Dlatego trzeba tego unikać, bo silna otyłość utrudnia oddech a w pewnych warunkach

także ruchy serca, które przez to stale większe pensum pracy musi wykonywać. Prócz tego wpływa bardzo ujemnie na duszę i usposobienie chorego nasza szara zima północna. Bogacze wyjeżdżają w takich razach do krajów cieplejszych, jak Włochy i Egipt, i tam leczą się wśród warunków całkiem odmiennych. Ciepły klimat, piękno natury, ruch na świeżem powietrzu, działają korzystnie na duszę i ciało, konserwując tym sposobem bogaczy do podeszłego wieku. Lecz czyż może w dzisiejszym ustroju kapitalistycznym podobnych wygód doznać biedny proletarjusz, wyrobnik, nędzarz? Wiemy — nawet tutaj nie może on doznać słusznej i koniecznej opieki w razie choroby.

* * *

Zbytki bogaczek amerykańskich. Jeden z dziennikarzy amerykańskich, stara się udowodnić, że do obecnego przesilenia finansowego w Stanach Zjednoczonych między innemi przyczyniły się bez wątpienia niesłychane wydatki na tualety i zbytki, których piękne amerykanki bezwarunkowo od mężów swych lub ojców wymagają. Dziennikarz oparł swe zarzuty na obliczeniach liczbowych. Według tych obliczeń, w Nowym Jorku znajduje się 6000 pań, które rokrocznie wysyłają 40,000,000 dolarów (170 miljonów mk.) tylko na tualety — każda z nich zatem rocznie mniej więcej 6700 dolarów. Nie są to zaś bynajmniej liczby najwyższe. Wiele z pań sfery najbogatszej wydaje rocznie na zbytki po 40,000 dol. Twierdzenie to popiera ów dziennik ciekawem istotnie zestawieniem pozycji rachunkowych, które niedyskretnie wydobył poufną drogą z rozmaitych pierwszorzędnych magazynów konfekcyjnych.

Budżet „światowej" damy nowojorskiej, zdaniem jego, przedstawia się jak następuje:

Futra przez rok	5,000	dolarów.
Tualety obiadowe	5,000	„
Tualety balowe i operowe	8,000	„
Zarzutki operowe	2,500	„
Tualety wizytowe	3,000	„
Tualety poranne	3,000	„
Tualety automobilowe	2,000	„
Negliże	800	„
Bielizna	1,500	„
Kapelusze	1,900	„
Amazonki	750	„
Trzewiki	800	„
Pończochy	500	„
Wachlarze, koronki	2,500	„
Rękawiczki	450	„
Chusteczki do nosa	600	„
Chem. czyszczenie sukien	1,000	„
Razem	38,600	dolarów.

czyli 164,000 marek.

Tyle „tylko" wydaje „dama" nowojorska na zbytkowne stroje, nie licząc innych wymagań. Wobec tych cyfr i najciemniejszy człowiek nie będzie twierdził, ażeby to było po sprawiedliwemu w dzisiejszym ustroju kapitalistycznym, że jedna osoba zużywa setki tysięcy marek na zbytki, podczas kiedy miljony biedaków żyją w niedostatkach i nędzy. Choć — przyznać musimy z bólem — jest dużo jeszcze tak zakutych łbów.

* * *

Trzęsienia ziemi w Kaliskiem? Sensacyjną wiadomość podaje „Gazeta Kaliska". Oto w dniach ostatnich rozeszła się po okolicy wiadomość, że we wsi Smaszewie powiecie konińskim uczuć się dało trzęsienie ziemi.

Podług zeznań naocznych świadków, zaraz po godzinie 11 przed południem w lesie smaszewskim zauważono dwa silne wstrząśnienia podziemne, między któremi słychać było jakby gotowanie się pod ziemią. Wystraszeni fornale uciekli na folwark, również przejęte strachem konie rzuciły się do ucieczki.

Czy falowanie ziemi uczuć się dało gdzieindziej, dotychczas niewiadomo. Fakt trzęsienia ziemi w Kaliskiem jest bardzo możliwy pod względem geologicznym, a oprócz tego, jak kroniki miejscowe opiewają, w dniu 3 grudnia 1786 r. uczuć się dało również trzęsienie ziemi w Kaliszu i w odległych o 2 mile Iwanowicach. Opis ówczesnego trzęsienia ziemi znajduje się w kalendarzu na rzecz szkoły rzemiosł w Kaliszu, wydanym na rok bieżący.

Ofiary dzikich zwierząt w Indjach. Europejczyk z trudem sobie wyobrazi, jak wielką jest liczba ofiar ludzkich, pochłanianych rokrocznie przez dzikie zwierzęta w Indjach. Ostatnie sprawozdanie urzędowe wykazuje, że w roku 1906 nie mniej jak 2084 ludzi utraciło życie z powodu zwierząt drapieżnych; w roku 1906 było 2051 ofiar. Przez same wilki utraciło życie 178 ludzi; w Sholapur, Bombay, jeden wściekły wilk spowodował 16 wypadków śmierci. W dystrykcie Madras największymi nieprzyjaciółmi ludzi są tygrysy. W Bengalji słonie potratowały 18 ofiar. Największe jednak spustoszenia wyrządzają jakowite węże. W r. 1905 zginęło od ich jadowitych ukąszeń 21.797 ludzi, a w r. 1906 było 22.854 ofiar. Wzrost śmiertelności spowodowany został wysokim stanem wody, przez który gady obficiej, niż zwykle, nawiedzały osady ludzkie.

* * *

Środek na dyfteryt. Profesor uniwersytetu monachijskiego Rudolf Emmerich ogłasza, że wynalazł nowy środek przeciw zabójczej chorobie dyfterytu, środek ten nazwał „Pyocyanase". Wdmuchuje się on choremu w gardło, gdzie niszczy wszystkie bakcyle dyfterytu.

Kącik humorystyczny.

Trzy iskry.

Na drucie telegraficznym spotkały się raz na sekundę trzy różne iskry, pędzące z zawrotną chyżością.

— Dokąd droga? — spytała pierwsza.

— Spieszno mi — odparła druga — mam wieść radosną obnieść po ziemi.

— Przegonię cię; tak odparła trzecia — bo niosę nową prawdę, która zdobędzie świat.

— Ja was i tak prześcignę — ozwała się pierwsza. Ja jestem nieprzezwyciężona.

— Dlaczegóż to? — zapytały obie.

— Bo roznoszę po świecie oszczerstwo.

I zanim dwie pozostałe mogły znaleść na to odpowiedź, już oszczerstwo rozeszło się po całej ziemi.

„Kropidło".

* * *

Dobry doktor.

Profesor (przedstawiając studentom chorego robotnika): — Oto macie panowie przypadek ogólnego zapalenia nerwów. Przyczyna? Ten człowiek walczył, dzięki swemu zawodowi jako prosty robotnik, z ustawicznemi zmartwieniami i troskami o kawałek chleba... No... tu pomoże kilka ciepłych... okładów.

„Kropidło".

* * *

Nowa Targowica.

Biorą ci ziemię — biorą ci mowę
Lecz się polaku nie trwóż, o nie!
Tam już Dziembowski mózg swój wysila,
Więc nie będzie tak źle.

Tylko się wyrzecz zmartwychpowstania,
Złotej wolności czarownych snów —
On ci lokajem być nie zabrania,
Więc służ, a będziesz zdrów.

Pocóż to głupstwa śnić niekulturne,
Tylko masonów godna to gra.
Precz z wolną Polską — przeczytaj Turnę,
Ujrzysz, że rację ma.

Jeśli cię gnębi jarzmo przemocy,
Gdy w twarz ci wciąż plwa . . . . . .,
Ty, jak pies, wiecznie służ w dzień i w nocy
I wierz, że czuwa Bóg!...

„Kropidło"

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 4. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 25 stycznia 1908.

FELIKS KON.

Na Karze.

14)

ROZDZIAŁ VII.

Łzy mu się kręciły w oczach... Przez chwilę nie odpowiadał, potem szepnął:

— Bobochow i Wańka (Kałużnyj) konają... Żandarmi już wiedzą...

W owej chwili zrozumieć nie mogłem, dlaczego Bobochow i Kałużnyj umarli, a my wszyscy pozostaliśmy przy życiu.

Okazało się, że po mojem pierwszem przebudzeniu się obudzili się Kałużnyj, Bobochow, Sękowski i Iwanow... Sękowski i Iwanow tak, jak i ja, przełknęli drugą dozę trucizny i usnęli na nowo, a dla Bobochowa i Kałużnego, już podzielonej na odpowiednie dozy trucizny, nie starczyło... Wiedząc, że resztki morfiny były schowane pomiędzy cegłami w szklannym słoiku na piecu, wdrapali się na piec, wydostali słoik i zjedli całą zawartość... Tylko w tak straszny sposób udało im się uskutecznić samobójstwo...

Wiadomość, że żandarmi już wiedzą o wszystkiem, magicznie podziałała na wszystkich, którzy się w tym czasie obudzili... Lada chwila mógł lekarz więzienny pospieszyć z nieproszoną pomocą. By uniknąć tego, zerwaliśmy się z posłania i przy pomocy towarzyszy przeszli do innych cel... Nadzieja, że jeszcze nie wszystko przepadło, jeszcze w nas tliła. Zażyta w większej ilości morfina podziała paraliżująco na pęcherz moczowy... Łudziliśmy się nadzieją, że to spowoduje zatrucie... Ale już nazajutrz i ten promyk nadziei zgasł bezpowrotnie...

Wówczas stanęło przed nami straszne pytanie: co dalej? śmierć towarzyszy już sama przez się stała się czynnikiem, pobudzającym do powtórzenia samobójstwa, natomiast motywy tego okropnego protestu nakazywały powstrzymanie się na pewien czas od tego kroku. Zdawaliśmy sobie jasno sprawę z sytuacji. Rząd się przerachował... Myślał, że wystąpienia czynne z naszej strony dadzą mu pretekst do użycia siły i do zmasakrowania nas... Ale cóż pocznie na to „Ave, Caesar, morituri te salutant“?

I znowu o naradzeniu się w szerszem kole towarzyszy, o wzajemnem oddziaływaniu na siebie w kierunku powtórzenia samobójstwa — nie mogło być mowy. Każdy zrozumiał, że wypadki mogły osłabić wolę ludzi, że zachęcać do samobójstw nie sposób... To też tylko bliżej żyjący z sobą dzielili się pomiędzy sobą myślami i wrażeniami, informując się wzajemnie o powziętej decyzji. Trzech z nas: Adrjan Michajłow, Sergjusz Dikowski i ja, po głębokiem namyśle i zważeniu sił, doszło do wniosku, że śmierć towarzyszy ujawniła przed całym światem nasz stosunek chłosty, którą nam grożono... Rząd już dziś nie może tłumaczyć się nieświadomością... Gdyby jednak i nadal swego rozporządzenia nie cofnął, protest powinien być powtórzony... Kwestja terminu, kiedy ma nastąpić to powtórzenie, była jeszcze w projekcie Bobochowa zadecydowaną. Kolei syberyjskiej jeszcze wówczas nie było. Komunikacja pomiędzy Karą a Petersburgiem była utrudnioną: zwykłe listy szły 6—8 tygodni. Dla otrzymania odpowiedzi z Petersburga trzeba było czekać niemniej, niż cztery miesiące. To skłoniło swego czasu Bobochowa do wyznaczenia pięcio-miesięcznego terminu. Termin ten postanowiliśmy utrzymać, a po upływie tego terminu Dikowskij i ja mieliśmy się otruć... W dwa tygodnie po nas miał to samo zrobić Adrjan Michajłow...

ROZDZIAŁ VIII.

Nadzwyczaj charakterystycznem było postępowanie władzy, zarówno miejscowej, jak i gubernjalnej, po tych strasznych zajściach...

Zwłoki zmarłych towarzyszy jeszcze się znajdowały w celi, gdy do więzienia wkroczyli żołnierze i stanęli przed drzwiami każdej celi, poczem wszedł komendant Masiukow również w otoczeniu wojska...

Wywołało to wśród uwięzionych pewne poruszenie, znowu myśl o rozwożeniu do różnych więzień błysnęła w głowach wielu, niektórych oburzyło to otaczanie się żołnierzami...

— To nie ja... Taki otrzymałem rozkaz — tłómaczył się Masiukow.

Okazało się, że mu rozkazano również odebrać nam apteczkę...

Biurokracja pozostała wierną sobie... Całe zło tkwiło w apteczce...

— Dopóki rozporządzenie nie będzie cofniętem, samobójstwa nie ustaną — zdenerwowany do ostatniego stopnia krzyknął komendantowi Mańkowski. — Odebranie apteczki nic temu nie zaradzi. Masiukow znowu powołał się na rozkaz, klnąc się i zapewniając, że on temu wszystkiemu nie winien, że tylko okoliczności się tak nieszczęśliwie zbiegły.

Nikt mu nie odpowiadał.

Apteczkę zabrano i komendant wraz z żołnierzami opuścił więzienie i tegoż dnia, o ile mu można wierzyć, wysłał depeszę do departamentu policji z zawiadomieniem o otruciach, w której powtórzył słowa Mańkowskiego: „dopóki rozporządzenie nie będzie cofniętem, samobójstwa nie ustaną“!

Nazajutrz przybył naczelnik irkuckiego zarządu żandarmskiego Plotto i wiceprokurator z Czyty. Znowu zmobilizowano wszystkie siły zbrojne i w ich otoczeniu władze weszły do więzienia. Większość uwięzionych w żadne rozmowy się z nią nie wdawała, kilku jednak zbyt było podnieconych, by milczeniem okazać swą wzgardę i namiętnie napadło na rozporządzenie Korfa. Plotto i wiceprokurator odpowiedzieli ogólnikami. Ale zbrodnia była zbyt uderzającą, formy prawne były zbyt jawnie podeptane, by jako tako uczciwy przedstawiciel sądownictwa, mógł zachować się zupełnie obojętnie. Wiceprokurator też podobno — tak nam zresztą zakomunikowali z wolności — zdumiony tem niesłychanem bezprawiem, wszczął sprawę o ukaranie Sigidy wbrew opinji lekarza... ale na rozkaz z Petersburga sprawę umorzono a zbyt naiwnego prokuratora odwołano z Kary. Bardziej niezależny naczelnik żandarmów wolał tylko o wszystkiem pokornie zameldować departamentowi policji i stamtąd czekać wskazówek, niż narażać na szwank karjerę. Odwiedził nas, napisał „bumagę“ i odjechał. Z punktu widzenia biurokraty było to wszystko, co mógł i powinien był uczynić. Być może zresztą, że uczynił jeszcze „coś“ więcej, bo dnia następnego Masiukow i żandarmi w obecności oficerów i żołnierzy dokonywali w całem więzieniu... rewizji. Jako trofea zabrali kilka miesięczników legalnych, dla nas wszakże zakazanych. Zwykła historja. Gdyby szukano tru-

cizny, rewolwerów, noży wreszcie — byłoby to zrozumiałem, ale jaki związek mogły mieć wydawane legalnie miesięczniki z otruciem — tylko biurokrata zrozumieć jest w stanie.

Kilka dni po tem przyjechał na Karę gubernator z Czyty, Choroszekin. „Dopóki piorun nie uderzy, chłop się nie przeżegna" — mówi przysłowie rosyjskie. Przed trzema tygodniami cała ta hałastra czynownicza pisała rozporządzenia, posyłała ludzi, zarządzała środki. I oto cel został osiągnięty. Politycznych zrównano z kryminalistami, zastosowano do nich chłostę. Kilku otruło się? umarło? Czyż to nie było do przewidzenia? Więc czemuż teraz zamiast wznieść śpiew tryumfu „grom pobiedy rozdawajsia", ci sami oprawcy, po dokonaniu uplanowanego krwawego czynu, śpieszą jeden po drugim na Karę. Jedno z dwojga. Albo zbrodnia dokonaną była na zasadzie prawa i wówczas — dura lex, sed lex — należało się godzić ze skutkami, albo było to bezprawie, a w takim razie po cóż było to robić? Ale biurokracja rosyjska tem właśnie się odznacza, że pragnie według wyrażenia Szczuryna i niewinność zachować i kapitału się dorobić, dopuszcza się najohydniejszych czynów a chciałaby zachować opinję najbardziej ludzkiej władzy na wzór owego policmajstra mickiewiczowskiego, który, gdy dziecko ciężaru kajdan udźwignąć nie mogło, „sam łańcuch oglądał i stwierdził, że zgadza się z przepisaną wagą".

Nie łatwą była rola gubernatora. Miał przed sobą ludzi, którzy żadnych żądań nie stawiali, „buntów" nie czynili, przeciwnie samych siebie skazywali na zagładę. A jednak ta ich śmierć, w więzieniu, schowanych wśród gór gdzieś na końcu świata, była gorszą od bunu, nabierała rozgłosu i zrywała z twarzy dzikich barbarzyńców maskę europejczyków.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Dwie opinje naukowe o wykopaliskach w Staruni w Galicji.

W nowopowstałym miesięczniku literackim p. t. „Ateneum Polskie" (Lwów) zamieszczają dr. Józef Siemiradzki i Tadeusz Wiśniowski swoje zdania o wykopaliskach w Staruni, mających dla nauki epokowe znaczenie. Ciekawe ich uwagi podajemy także czytelnikom naszym:

1) Wykopalisko w Staruni. Podczas zakładania nowego szybu w kopalni wosku firmy Campe i Möller, w Staruni nad Bystrzycą Sołotwińską, natrafiono w głębokości 12 metrów od powierzchni, pod warstwą napływów Bystrzycy na pokład żwiru i iłu, przepełniony mnóstwem szczątków roślinnych — wybornie zachowanych, a wśród nich niezliczoną moc owadów — przeważnie chrząszczy, jedną dużą ćmę, z rodzaju prządek (Bombyx), kawałek ważki, szkielet ptaka, prawdopodobnie przepiórki, żabę, zachowaną wraz ze skórą i mnóstwo mięczaków słodkowodnych i lądowych. Cała ta fauna, niezwykle dobrze zachowana, oraz flora leśna, zupełnie podobna do flory dzisiejszych lasów podolskich, wskazuje na wiek pokładu względnie bardzo młody, bo polodowcowy lub co najwyżej międzylodowcowy. Stan zachowania niezwykle dobry szczątki organiczne zawdzięczają tutaj przesiąknięciu pokładu ropą naftową i woskiem ziemnym.

Pod warstwą ze szczątkami roślinnymi natrafiono na grząski ił, a w nim na głowę mamuła, zachowaną wraz ze skórą. Zanim interwencji kierującego inżyniera p. Lebiedzika udało się powstrzymać robotników od uszkodzenia cennego zabytku, już z głowy pozostały tylko drzazgi, a ze skóry bezwartościowe skrawki. Dopiero po spełnieniu tego wandalizmu, resztę szkieletu wydobyto w lepszym stanie, tak, iż uda się prawdopodobnie z wyjątkiem głowy, której zapewne z potrzaskanych okruchów zestawić się nie da, złożyć całkowity szkielet. Mamut, który niewątpliwie ugrzązł w bagnisku nadrzecznem, znajdował się bowiem w postawie stojącej, dzięki przesiąknięciu pokładu iłu ropą naftową, zachował całą swoją skórę, z której znaczną część udało się wydobyć. Skóra ta, pozbawiona tylko naskórka i włosów, była jednak gęsto owłosioną, jak świadczą pozostałe w górnej warstwie skóry nietknięte cebulki włosowe. Przy niektórych kościach, zwłaszcza przy kręgosłupie, zachowały się całe pęki elastycznych ścięgien. Skóra od wewnętrznej strony wymacerowana całkowicie przedstawia jedynie tkankę łączną o konsystencji i wyglądzie szarego pilśnia. Ścięgna są tak dobrze zachowane, iż np. tylna stopa wydobyta w całości, zachowała elastyczność wiązadeł stawowych. Trąby i dolnej szczęki nie znaleziono. O metr niżej, w tym samym przesiąkłym ropą ile, natrafiono na jeszcze lepiej zachowany trup nosorożca (Rhinoceros tichorhinus), z którego udało się wydobyć w całości głowę z dwoma rogami, zupełnie nieuszkodzoną, oraz lewą nogę przednią, wraz z całkowitą skórą tych części.

Reszta, jako leżąca poza szybem, musiała być na razie pozostawioną w ziemi z powodu niemożności założenia w tym miejscu osobnej bocznej sztolni dla odkopania reszty nosorożca.

Ciekawa ta warstwa, w której spodziewać się należy dalszych jeszcze niespodzianek, a zwłaszcza możliwości znalezienia śladów dyluwjalnego człowieka, sięga do głębokości 20 metrów. Z tej bowiem głębokości wydobyto jeszcze kawał gałęzi, zdaje się brzozowej, opalonej na końcu, oraz kij na jednym końcu niezgrabnie jakby tępem narzędziem krzemiennem ucięty.

Za zezwoleniem właścicieli kopalni istnieje zamiar, po uzyskaniu potrzebnych na to funduszów przez Akademję Krakowską, przeprowadzić rozległe poszukiwania w dyluwjalnej warstwie w Staruni, o których w swoim czasie wiadomość podamy.

Z wyjątkiem nosorożca, który dotąd pozostaje jeszcze w Zarządzie kopalni, wszystkie inne wykopaliska ze Staruni zostały już przewiezione do Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie.

Dr. Józef Siemiradzki.

2) Kilka słów o dotychczasowych znaleziskach w Staruni. Niedawno rozeszła się wiadomość, że w kopalni wosku w Staruni robotnicy wydobyli mamuta czy też mastodonta z całym szkieletem, ba — nawet skórą owłosioną etc. Rzecz była wprost sensacją, bo dotychczas znajdowano zwierzęta dyluwjalne, w ten sposób zachowane, tylko w lodach i zmarzłej ziemi Syberji. Cały szereg przyrodników lwowskich i krakowskich podążył zatem, aby sprawdzić rzecz na miejscu, a relacje posypały się w rozmaitej formie z szpalt dzienników, tygodników itp. Stwierdzono przy tem, że w każdym razie zwierz znaleziony jest młodym i nie dużym słoniem, nie mastodontem, pokłady zaś, w których odkryto go przy sposobności kopania nowego szybu, należą mimo znacznej głębokości (14 m.) i przesiąknięcia ropą, do warstw dyluwjalnych. Szkielet, przedewszystkiem głowa, uległ przy odkopywaniu w pierwszej chwili znacznemu uszkodzeniu, ale ocalały części najcenniejsze bo najrzadsze, jak cały kręgosłup, stopy z wiązadłami, łączącemi kości zupełnie ruchomo itp. niemniej liczne płaty skóry i zęby, ważne dla oznaczenia zwierzęcia.

Wyłoniła się kwestja, jaki to słoń — czy mamut (elephas primigenius), czy też inny gatunek t. zw. „słoń dawny" (elephas antiquus), który żył u nas także w czasach dyluwjalnych, ale dawniejszych — przed dobą mamuta i znacznie rzadziej. Rozstrzygnięcie sprawy miało znaczenie nie małe, gdyż wobec mamutów syberyjskich, znajdowanych tam wśród lodów lub w zmarzłej ziemi nietylko z skórą, ale nawet z całem mięsem, mamut galicyjski mógł być tylko sensacją i nauce prawdopodobnie nic nie dawałby nowego, natomiast „słoń dawny", w ten sposób zachowany, byłby pierwszym i jedynym egzemplarzem na świecie. Pozorny brak włosów na skórze (mamut, jako zwierzę północne, był bardzo okficie owłosiony) i pewne właściwości kłów (raczej siekaczy), przemawiały zdaniem niektórych za przynależnością okazu staruńskiego raczej do gatunku Elephas primigenius. Kiedy wszakże porównano dokładnie zęby trzonowe z zębami pospolitego u nas mamuta i bardzo rzadkiego „słonia dawnego", pokazało się, że jest on jednak mamutem; zgadza się to z rezultatami przeprowadzonego na prędce badania mikroskopowego skóry, w której znaleziono liczne pochewki włosowe z samemi włosami, zniszczonemi widocznie tylko na powierzchni. Oznaczenie to rychło doznało — jak się zdaje — potwierdzenia, nie mniej nie spodzianego, jak sam mamut staruński. Oto znaleziono w ciągu dalszych robót górniczych w tym samym szybie, wybornie zachowanego nosorożca, z z dwoma rogami na głowie, jeszcze pokrytej skórą. Niestety — na razie można było wydobyć tylko połowę zwierzęcia, jest to jednak — jak można wnosić, Rhinoceros antiquitalis (tichorbinus), który żył współcześnie z mamutem, tak, że kości obu zwierząt nieraz napotyka się także i u nas

razem. W Syberji znajdowano go zachowanego ze skórą etc., jak mamuty, można zatem przypuszczać, że i nosorożec staruński nie będzie miał — jak się zdaje — donioślejszego znaczenia dla nauki, przedstawiając przedewszystkiem bardzo cenny okaz muzealny.

Natomiast to, co wydobyto dotychczas w Staruni obok mamuta i nosorożca, a więc wybornie zachowane liście drzew, bardzo bogata fauna owadów znakomicie zakonserwowanych, drobne kręgowce, jak żaby, bodaj jakieś ptaki itd., to wszystko przedstawia materjał, który po opracowaniu może przynieść mnóstwo nowych, ciekawych i ważnych faktów naukowych. Dlatego należy się cieszyć, że sprawą wykopalisk staruńskich, dzięki rychłej i prawdziwie obywatelskiej interwencji starosty Wasilewskiego, zajęto się zaraz w sferach naukowych gorąco; ochroniono bowiem w ten sposób wszystko przed zniszczeniem, o ile nie uległy uszkodzeniu już wpierw niektóre przedmioty, jak np. sam szkielet mamuta. Do kierowania stroną naukową całej akcji Towarzystwo polskich przyrodników im. Kopernika delegowało natychmiast specjalną komisję, a niestrudzony i tyle zasłużony dla fizjografji kraju prof. Marjan Łomnicki, wysłany na miejsce przez Muzeum Dzieduszyckich, nadzorował osobiście dotychczasowe roboty przez parę tygodni, przy czem udało się wszystko, co dotychczas znaleziono, pozyskać dla Muzeum Dzieduszyckich. W ten sposób spełniono nie małą część zadania. Ale nie ulega wątpliwości, że należy prowadzić intensywnie prace poszukiwawcze dalej i nie koniecznie w zależności od robót górniczych. Można przypuszczać dziś na pewne, że w czasach dyluwjalnych znajdowało się tam głębokie bagnisko z obfitemi wyciekami ropy naftowej, w którym w ciągu tysięcy lat topiły się najrozmaitsze zwierzęta, konserwując się potem aż po nasze czasy, dzięki działaniu węglowodorów naftowych. Otóż to cmentarzysko wymarłej już fauny i jedyny w swoim rodzaju zielnik dawnej wegietacji tej części ziemi, czekają dzisiaj dalszych poszukiwań, prowadzonych przez specjalistów i energicznie. Akademja Umiejętności krakowska, która obecnie całą akcję weźmie w swoje ręce — być może przy współudziale Muzeum Dzieduszyckich — jest tą Instytucją niewątpliwie, która w pierwszym rzędzie zdoła wykonać zadanie, jak należy.

Dr. Tadeusz Wiśniowski.

Statut górnośląskiego knapszaftu

według uchwał walnego zebrania z dnia 27-go lipca 1907, ważny od 1-go stycznia 1908.

(Ciąg dalszy.)

III. O członkach.

1. Podział członków.

§ 6.

Co do członkostwa knapszaftowego należy rozróżniać:

a) członkostwo w kasie chorych;

b) członkostwo w kasie pensyjnej.

Członkami kasy chorych są według § 9 ustępu 1 wszyscy do członkostwa w kasie chorych zobowiązani robotnicy i urzędnicy, a także urzędnicy wstępujący do kasy chorych według § 9 ustęp 3 i 4.

Członkowie kasy pensyjnej dzielą się na:

a) czynnych członków kasy pensyjnej;

b) inwalidów.

Czynnymi członkami kasy pensyjnej są robotnicy i urzędnicy oznaczeni w § 26, tak długo, jak są zatrudnieni na werkach (kopalniach) do knapszaftu należących albo w administracji knapszaftu.

Inwalidami są dawniejsi czynni członkowie kasy pensyjnej, którzy jako niezdatni do pracy zawodowej wstąpili w stan spoczynku z rentą inwalidzką.

2. Obowiązki członków.

§ 7.

Członkowie obowiązani są:

1) postępować według statutu i przepisów wydanych celem wykonania statutu;

2) usłuchać zawezwań wydanych do nich w celu wykonania statutu, przybywać na terminy wyznaczone i pozwolić się badać i egzaminować lekarzom;

3) przy badaniach lekarskich o wadach i kalectwach, a także o dawniejszych chorobach, wszystko według prawdy objaśnić i powiedzieć;

4) donosić natychmiast o śmierci członków rodziny do leczenia uprawnionych lekarzowi leczącemu;

5) we wszystkich sprawach knapszaftowych, o ile nie ma innego przepisu, z wnioskami o uchwalenie wsparć statutowych i z innemi życzeniami zwracać się do właściwych starszych knapszaftowych, a w stykaniu się z starszymi knapszaftowymi, lekarzami i innymi urzędnikami knapszaftu zachowywać się odpowiednio;

6) płacić składki ustanowione statutem;

7) pobierać wsparcia w terminach do wypłaty przeznaczonych;

8) stawiać wnioski w właściwem miejscu o renty na mocy prawa rzeszy o zabezpieczeniu na wypadek okaleczenia;

9) o ożenieniu się i rozłączeniu małżeństwa, o zmianie miejsca zamieszkania i pracy, o rozpoczęciu i zakończeniu służby wojskowej, o uwięzieniu, o ile kara wynosi więcej, niż miesiąc, o urodzeniu i śmierci członków rodziny uprawnionych do wsparcia donosić w przeciągu 14 dni starszemu knapszaftowemu, albo zarządowi, jeżeli nie należą do żadnego obwodu knapszaftowego;

10) wracać wsparcia do kasy knapszaftowej, o ile takowe bezprawnie otrzymali.

Jeżeli członek knapszaftu nie stara się o renty wymienione w ustępie 1 pod numerem 8, natenczas może mu zostać ukróconą jego renta inwalidzka o tę część, za którą w innym przypadku knapszaft byłby dostał odszkodowanie na mocy tych praw lub statutu.

3. Prawa członków.

§ 8.

Członkowie są uprawnieni:

1) pobierać wsparcia z knapszaftu stosownie do przepisów statutu dla siebie i członków swej rodziny;

2) brać udział w zarządzaniu knapszaftem według przepisów niniejszego statutu.

Każdy członek knapszaftu otrzymuje jeden egzemplarz statutu oraz każdorazowych zmian.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmaitości

Zaćmienia słońca w r. 1908. Rok przestępny, 1908, tem się będzie odznaczał, że nie zajdzie w nim ani jedno zaćmienie księżyca, a natomiast będą trzy zaćmienia słońca, z których jedno zupełne, a dwa obrączkowe. To zupełne zaćmienie nastąpiło w Europie w nocy z d. 3 na 4 stycznia a zatem w Europie widzialnem nie było, obserwować je można było tylko z wysp Oceanu Spokojnego, mianowicie z grupy wysp na północ od Tahiti, z t. zw. wyspy Hull. Wyspa Hull otoczona jest rafami koralowemi w ten sposób, że wylądować na niej prawie niepodobna. Podobnież i wyspa Flint, na północ od Tahiti, nie jest bardzo dostępną, mimo to, amerykański astronom, William Lockyer, wybrał ją za punkt obserwacyjny. Wyspa ma 4 kilometry długości, 800 metrów szerokości, wznosi się na stromych skałach koralowych i jest dlatego dobrym punktem obserwacyjnym, ponieważ w czasie zupełnego zaśmienia słońce stoi nad tą wyspą 74 stopni nad horyzontem. Ostatnie zaćmienie słońca w r. 1907 było z powodu niepogody zupełnie niewidzialne. Następne przypadnie dopiero w r. 1912 i będzie mogło tylko przez jedną minutę być obserwowane w Ameryce południowej. Oprócz dwóch obrączkowych zaćmień słońca w r. 1908 będą podobne zaćmienia w r. 1909 widzialne, w razie pogody, w Syberji i Grenlandji. W r. 1911 przypadnie zupełne zaćmienie słońca, ale w takim punkcie Oceanu Spokojnego, gdzie niema ani skrawka stałego lądu, żadnej choćby najmniejszej wysepki. Zaćmienie w kwietniu roku 1912 będzie mogło być obserwowane w Hiszpanji. Dnia 3 stycznia 1908 przygotowaną została wielka wyprawa obserwacyjna z obserwatorjum w Löck na wyspę Hull pod kierunkiem znanego i wielce zasłużonego astronoma, Williama Campbell. Biorący

w niej udział astronomowie zaopatrzyli się w najnowsze koronografy i spektografy, olbrzymie aparaty fotograficzne, oddające z najdokładniejszą ścisłością obrazy z całego przebiegu zaćmienia.

* * *

Czy Faraon utonął w morzu czerwonem? Nad kwestją tą zastanawia się uczony egiptolog Maspero w „Journal des Debats". Badacze historji żydowskiej przyjmują, że tym faraonem, który ścigał uciekających żydów i utonął wraz z wojskiem w morzu, był faraon Meneptah. Tymczasem pokazało się, że od roku 1899 znajduje się mumia Meneptv w muzeum w Kairze, którego dyrektorem jest Maspero. Dnia 8 lipca br. zbadał tę mumję dokładnie dr. Elliot Smith, i doszedł do przekonania, że mumja ta, jakkolwiek zniszczona i okradziona z kosztowności, nie jest wcale mumją topielca. Znaczne zwapnienie naczyń i inne oznaki wskazują, że Meneptah umarł w podeszłym wieku. Faraon Meneptah był otyłym, tęgim mężczyzną, wysokiego wzrostu. Rysy twarzy są dobrze zakonserwowane. Wszystko przemawia przeciw twierdzeniu, jakoby Meneptah utonął w morzu czerwonem.

Niektórzy przypuszczają, że prześladowcą żydów był Amenophis III lub Seon II. Są to jednak przypuszczenia bez cienia dowodu.

Kroniki egipskie milczą wogóle o tej całej aferze, o której rozpisują się szeroko źródła żydowskie. Maspero tłumaczy to w ten sposób:

„Grupa obcych niewolników ucieka z Delty, pobija wojsko i chroni się na pustynię synajską. Co znaczyło to drobne zajście graniczne, wobec napadu libijskiego, które Meneptah odparł w piątym roku swego panowania, albo wobec inwazji assyryjskiej, która wkrótce potem omal że nie doprowadziła państwa jego do upadku? Współcześni zaledwie je zauważyli, gieneracje następne nic już o niem nie wiedziały".

* * *

Środek przeciw kłamcom. Profesor Muensterberg, znany psycholog z uniwersytetu w Harvarda Nowym Jorku skonstruował dwa małe aparaty, które — jak twierdzi — wykazują z absolutną pewnością, czy zaprzysiężony świadek zeznał prawdę, czy też popełnił krzywoprzysięstwo. Muensterberg dowodzi, że nikt, nawet najgorszy zbrodniarz nie może popełnić krzywoprzysięstwa bez pewnego wewnętrznego wzruszenia, które objawia się przyspieszeniem pulsu itp. Aby więc stwierdzić, czy ktoś powiedział prawdę, czy skłamał, trzeba tylko stwierdzić stan jego wewnętrznego podniecenia. Do tego służą właśnie dwa aparaty, skonstruowane przez profesora. Jeden, nazywany „automeotografem", notuje, podobnie jak używany w medycynie pulsometr, mimowolne odruchy, przenoszące się na ramię człowieka wskutek pewnych asocjacji myślowych. Drugi aparat nazywa się „pneumografem" i służy do odpisywania długości oddechu, oraz do stwierdzenia jego przyspieszeń pod wpływem wewnętrznego podniecenia. Bo „każdy oddech ma swoją historję" — jak mówi Muensterberg. W trudniejszych przypadkach zaleca jeszcze profesor „sphygmografu", który przytwierdzony na plecach, notuje siłę uderzeń serca. W ten sposób więc można niezawodnie stwierdzić wiarogodność zeznań świadka. Interesujące jest, że raz zastosowano już praktycznie te aparaty, jednakże z ujemnym wynikiem. Było to podczas głośnego procesu Orcharda. Mimo wszakże, że Orchard kłamał bez przerwy, aparaty nie stwierdziły żadnego podniecenia wewnętrznego. Ale przedsiębiorczy amerykanie nie zrażają się niepowodzeniem i zamierzają dalej czynić próby z aparatami.

* * *

Przyczyny wybuchów w kopalniach węgla. Wiadomą jest rzeczą, że wybuchy w kopalniach węgla pochłaniają tysiące ofiar. Groźnym wrogiem górnika jest pył czyli miał węglowy, który przesyca atmosferę: zapalając się łatwo sam przez się, powoduje wybuch równie łatwo, jak gaz. Taki wybuch nie obejmuje jednak większej przestrzeni i niezbyt wielką posiada siłę. Daleko groźniejszym jest wybuch gazów, nazwanych przez górników francuskich „le grisou". Jest to metan, czyli gaz błotny, w którym 4 atomy wodoru połączone są z jednym atomem węgla; gaz ten lżejszy znacznie od powietrza, stanowi 95 proc. gazów kopalnianych, reszta przypada na azot, tlen oraz dwutlenek węgla. Gazy te, zmieszane razem, tworzą ów „grisou", tem niebezpieczniejszy, że niema ani barwy, ani smaku, ani zapachu — słowem niczem nie zdradza swego istnienia w atmosferze. Gdy zawartość jego w atmosferze wynosi 6 do 19 proc. za najdrobniejszą przyczyną następuje wybuch, przyczem powietrze w kopalni przesyca się dwutlenkiem i tlenkiem węgla, od którego duszą się ci górnicy, którzy na razie, po wybuchu, ocaleli. Po takiej katastrofie powstaje zwykle w kopalni pożar, który do reszty uniemożliwia ratunek. Najpospolitszą przyczyną zapalenia się gazów bywa nieostrożne obchodzenie się górnika z lampą bezpieczeństwa Davy'ego, albo iskra elektryczna. Iskry, powstające skutkiem uderzenia kilofem o skałę, katastrofy nie wywołują.

Z literatury i sztuki

50-letni jubileusz „Halki". W dniu 1 stycznia b. r. minęło lat pięćdziesiąt, kiedy po raz pierwszy wystawiono w Warszawie dzieło St. Moniuszki p. t. „Halka". Od tego czasu wystawiono ją w samym teatrze warszawskim blisko 600 razy z niebywałem powodzeniem, również w Krakowie i innych miastach polskich.

Moniuszko, autor „Halki", napisał prócz tego dziewiętnaście oper, z których ważniejsze są „Straszny dwór", „Hrabina", „Verbum nobile", „Flis" itd. Prócz tego skomponował niezliczoną ilość pieśni najrozmaitszego zakroju.

W „Halce" zachodzi przepiękna arja „Szumią jodły na gór szczycie" i inne.

* * *

„Scena i sztuka" (Warszawa) w najnowszym numerze daje obraz ruchu artystycznego całej Polski. Z obfitej treści należy podkreślić: Koźmian o Fredrze. — Muzyka i teatr za Oceanem. — E. Węsławskiej „Odrodzona sztuka polska w Wilnie". — K. Hoffmana „Polskie T-wo dramatyczne". — S. B. „Z salonu sztuki" i N. Jastrz. „Szkoła artystyczna pp. Chalus i Dunin". — St. Łapińskiego „Harmonja łódzka". — Szopskiego „Z Filharmonji i Opery". — Przybylskiego „Tydzień teatralny warsz." — Wiadomości „Z za kulis", z kraju. — Ze świata. — Rozrywki warszawskie i kwiatów, artystyczne zdobnictwo.

* * *

Pomnik Słowackiego. Komitet obchodu setnej rocznicy urodzin Juljusza Słowackiego uchwalił wznieść pomnik Słowackiemu we Lwowie na placu przed teatrem miejskim.

* * *

„Polski Przegląd Emigracyjny". Czasopismo poświęcone sprawom polskiego wychodźtwa, wychodzi 10 i 25 każdego miesiąca. Lwów, ul. Teatyńska 7.

* * *

„Myśl Niepodległa" (Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10). Treść nr. 50 (2 dekada na styczeń): Skarga dziecka. — C. H. de Meray: Ostatnia Venus. — Relacja Satyra. — Kanonizacja Wyspiańskiego. — Kazimierz Grosman: O wolnomyślnej i bezmyślnej niereligijności. — A. D. White (tłom. z ang. Wojciech Szukiewicz): Dzieje walki wiedzy z teologją. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Wolna gmina. — Zapiski. — Książki.

* * *

„Społeczeństwo", tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny (Warszawa, Zórawia nr. 29 m. 2). Treść nr. 3: Stracone zachody. — Staś u spowiedzi. — Rok polityczny. — O płowej Zośce i Wicku. — Spuścizna polityczna. — O nędzy i żebraninie, Leon Choromański. — Zagadnienie narodowości, Otton Bauer. — Pracownicy handlowi. — Echa: Starym trybem. — Medycyna fabryczna. — Kronika.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 5. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 1 lutego 1908.

DO CHAT! DO CHAT!

Do chat! do chat!
Gdzie chleb w popiele czarny,
Gdzie pracy pot ofiarny,
Gdzie w bólu zgięty brat
Krzyż dźwiga swój codzienny —
Do chat! do chat!...

Tam nieśmy siew promienny,
W ten szary biedny świat!
Przez lud! przez lud!
Z harf naszych pieśnią brzmiącą,
Z pochodnią socjalizmu lśniącą —

By pierzchła bieda i głód,
By pierś rozegrzać skrzepłą
Wiekowy otrząsnąć brud,
Skrę światła rzućmy ciepłą
W wielką potęgę — w lud!

FELIKS KON.

Na Karze.

15)

ROZDZIAŁ VIII.

Trzeba było się zdecydować na jedno: albo cofnąć rozporządzenie i w ten sposób położyć kres dalszym samobójstwom, albo nie zwracać na nie uwagi, nie liczyć się ani z oficerami, ani z opinją i rozporządzenia nie cofać. Zdawałoby się, że trzeciego wyjścia nie ma. Choroszkin znalazł jednak trzecie wyjście.

Znowu zgromadzono nas na korytarzu, dla wysłuchania gubernatora.

Już pierwsze słowa, jakie z jego ust padły, żadnej nie przedstawiały wątpliwości, że otrzymał on rozkaz uspokojenia więźniów, ale bez uchybienia powadze rządu. Rząd się może cofać, ale przyznać się do tego nie wolno.

Gubernator zaczął od oznajmienia, że „będąc przypadkowo na Karze“, korzysta z tej okazji, by wyjaśnić niektóre kwestje, źle przez nas zrozumiane. Było to co najmniej niemądre. Wszyscyśmy dobrze wiedzieli o tem, że gubernator łże, że przyjechał na Karę wyłącznie z powodu zaszłych wypadków. Już samo zaznaczenie tej przypadkowości na początku mowy — jak gdyby kto pytał o to — wyraźnie świadczyło, że gubernator obawia się, by więźniowie nie przypuszczali, że rząd się uląkł. Rząd by się miał lękać? To myśmy się niepotrzebnie przestraszyli. Według słów gubernatora nikt nigdy nie miał na myśli nas napastować, godzić na naszą godność. Rząd dba o życie ludzi, dba i troszczy się o nasze życie. Pod tym względem nasze obawy są zupełnie bez podstawy. Nie znaczy to wcale, żeby odczytane nam rozporządzenie miało być cofnięte. O, nie! Nie generał-gubernator i nie gubernator wydał to rozporządzenie. Pochodzi ono z najwyższego źródła i cofniętem być nie może. Rząd musi się bronić, musi bronić swych urzędników przed takimi aktami, jak ten, jakiego dopuściła się Sigida.

Porzućcie nieuzasadnione nadzieje, porzućcie nieuzasadnione obawy! — kilkakrotnie powtarzał Choroszkin w ciągu mowy.

Faktycznie było to cofnięciem się, bo według dosłownego brzmienia odczytanego nam rozporządzenia, mieliśmy ulegać chłoście za wszelkie zakłócanie dyscypliny więziennej, ze słów zaś Choroszkina wynikało, że kara taka grozi nam tylko w wypadkach wyjątkowych, jeżeli ktoś z nas czynnie zelży kogoś z urzędników.

Może kto pragnie zadać jakie pytanie? — zapytał Choroszkin po ukończeniu mowy.

Grobowe milczenie. Z oprawcami nikt w rozmowę się nie chciał wdawać. Nie zrozumiał tego milczenia prokurator. Powtórzył znowu zapytanie. I znowu taka sama odpowiedź.

Spędzę tu jeszcze kilka dni. Może kto się namyśli i zechce otrzymać wyjaśnienie, niech przez komendanta da mi znać.

Nikt nie zechciał. To psuło szyki gubernatorowi. W rozmowie daleko więcej można wypowiedzieć, daleko bardziej złagodzić, niż w oficjalnej przemowie. Wreszcie z rozmowy można wysnuć wnioski o prawdopodobieństwie powtórzenia protestu. A tu nic... nic.

By wyjść z przykrego położenia, gubernator nakazał komendantowi przeprowadzenie śledztwa. Postawiono dwa pytania: jaką trucizną się truto i skąd ją wzięto. Do śledztwa pociągnięto tylko pięciu, Iwanowa, Lewczenko, Sergjusza, Dikowskiego, Sękowskiego i mnie, których żandarmi spostrzegli w chwili, gdy dla uniknięcia spotkania z lekarzem, przechodzili z Jakutki do innych cel. Na te pytania odmówiliśmy odpowiedzi. Dopiero wówczas dodano trzecie zapytanie, jakie były powody otrucia się. Mieliśmy obawy, że rząd zechce sobie objaśniać wybuch tak ostrego protestu tem, że chłoście uległa kobieta, a nie wogóle więzień polityczny. Chcieliśmy wreszcie, by władze centralne, które z Petersburga całą tą akcją kierowały, zdawały sobie jasno sprawę z tego, że mamy ich za zwykłych morderców, i że nie mogąc czynnie przeciw nim wystąpić, rzucamy im w twarz swe życie. To właśnie napisaliśmy w zeznaniach. Mord dokonany na Sigidzie był z góry uplanowany. Gdybyśmy byli wolni, rząd by się nie odważył na ten mord, wiedząc, że odpowiemy tak, jak Wiara Zasulicz, z bronią w ręku.

Swiadomość bezkarności dodała mu odwagi. Ale mylił się. W Rosji są jeszcze rewolucjoniści, którzy dowiedziawszy się o zbrodni rządu, o śmierci Sigidy, o naszym proteście, odpowiedzą mu tak, jak na to zasługuje i jak na rewolucjonistów przystało.

Musiukow czytając te zeznania, drżał, jak w febrze.

— Co powie Choroszkin? — jęczał.

Choroszkin kazał mu zażądać od nas innych zeznań. Odmówiliśmy. Nie mając innego materjału w tej sprawie, musiał odesłać te zeznania do Petersburga.

ROZDZIAŁ IX.

Odjechał gubernator. Kilka dni ciągnęły się jeszcze rozmowy o jego wizycie a potem wszystko na pozór po-

wróciło do normy. Ale tylko na pozór. W rzeczywistości całe życie uległo zmianie. Więzienie dawniej jednolite podzieliło się na dwa nierówne obozy. Jeden wielki obóz tych, co dla tych lub innych powodów, nie brali udziału w otruciu, drugi z garstki osób, które ubiegły protest wyodrębnił od reszty. I jedna i druga strona tęskniły od dawnego stanu, pragnęły go całą duszą, marzyły o nim. Ale ta spowiedź, jaka się odbywała przed otruciami, udaremniała wszystkie dążenia. Spowiadano się przed umierającymi. Któż mógł przypuścić, że pozostaną przy życiu i będą panami jak najbardziej ukrytych od wzroku obcych, postronnych ludzi drgnień duszy? Najniewinniejsze słowo, ruch, giest, przez zrozumiałą nadwrażliwość, tłumaczono sobie opacznie, i wzajemna nieufność wzrastała.

Gdy dziś przypominam sobie te chwile, cisną mi się do głowy słowa wieszcza:

„Kiedy na żale ten świat niema ucha,
„Gdy ich co chwila nowina przeraża
„Bijąca z Polski jako dzwon z cmentarza
„Gdy im prędkiego zgonu życzą straże,
„Wrogi ich wabią zdala, jak grabarze.
„Gdy w niebie nawet nadziei nie widzą
„Nie dziw, że ludzi — i świat sobie brzydzą,
„Że utraciwszy rozum w mękach długich
„Plwają na siebie i zrą jedni drugich...

Okropny to był stan, co ważniejsza — beznadziejny. Tylko jakieś niezwykłe zdarzenie mogło przywrócić dawną harmonję, dawną, tak potrzebną i tak upragnioną zgodę.

Takim niezwykłym zdarzeniem była dla ogółu więźniów wiadomość, że garść ludzi nosi się z myślą powtórzenia samobójstwa.

Nauczeni gorzkiem poprzedniem doświadczeniem, kiedyśmy we trzech — Michajłow, S. Dikowskij i ja postanowili po upływie pięciu miesięcy znowu rozpocząć samootrucia — zadecydowaliśmy nie wspominać o tem nikomu, by zaoszczędzić towarzyszom męczarń. Według omówionego wówczas przez nas planu z początku się miałem otruć tylko ja i Dikowski, a po upływie 2 tygodni po nas — Adrjan Michajłow. On też miał być wykonawcą naszej ostatniej woli i zakomunikować towarzyszom o wszystkiem już po zażyciu przez nas trucizny.

Od chwili powzięcia tej decyzji, związani z sobą taką tajemnicą, często szeptaliśmy pomiędzy sobą po kątach. Brano nam to za złe, nie wiedząc, nie podejrzywając nawet, co przed nimi taimy.

Dziwnego doznawaliśmy wówczas uczucia. Łatwo zdecydować się na śmierć za pięć miesięcy, ale nie łatwo to wykonać, gdy się nie żyło jeszcze wcale, gdy dusza rwie się do życia, do czynu, do walki. Podczas pierwszych 2 miesięcy tylko czasami i to przypadkiem wspomina się o tej śmierci. Niekiedy łapie się samego siebie na gorącym uczynku marzeń o przyszłości. Z biegiem czasu jednak wszystko przypomina o wiszącem nad głową dobrowolnym wyroku. Gdy się otrzymuje list od matki, w mózgu świdruje myśl, że już więcej jak 12—15 listów się nie otrzyma.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Alkohol a kobiety.

Często szczęście całej rodziny robotniczej, przyszłość dzieci, pada ofiarą tego zgubnego nałogu. Ile kobiety muszą znieść upokorzeń, ile razy mąż podniesie rękę na matkę swoich dzieci, ile razy ojciec w stanie nietrzeźwym bije niemiłosiernie dzieci! Tego całego męczeństwa nie spisałby nikt nawet na wołowej skórze. Z tem złem musimy rozpocząć walkę, tę klęskę musimy odwrócić od tych, których ciężki los smaga tak przez całe życie. Kobiety musza z największem zainteresowaniem śledzić tę ważną sprawę, a często same przez nieświadomość zło sieją. Niejedna kobieta posyła po wódkę i namawia męża, żeby pił, ale w domu, bo nie pozwoli mu iść do stowarzyszenia między towarzyszy.

Przykład odgrywa ważną rolę w tym wypadku, a kobiety pierwsze powinny zupełnie wstrzymać się od używania alkoholu i pod żadnym warunkiem nie dawać go swoim dzieciom. Alkohol nie zawiera też żadnych właściwości leczniczych i leczyć w żadnej chorobie nim nie można.

Kobiety muszą zdać sobie jasno sprawę z tego, że żaden uświadomiony mężczyzna ciągle w domu przy piciu siedzieć nie będzie, a jeżeli wzbrania mu zajmować się sprawami publicznemi, to jeszcze prędzej odda się pijaństwu. Faktem jest, że robotnicy należący do organizacji, mniej używają alkoholu a prawie wszyscy przywódcy partji są zupełnymi abstynentami, czyli wcale nie używają alkoholu. Ludzie, oddający się nawet umiarkowanemu używaniu alkoholu, nie są zdolni do wielkich czynów, bo używanie trunków zabija w ludziach wolę, odbiera im siły i chęć do walki o lepsze jutro.

Kobiety swoją obecnością na zgromadzeniach mogą dużo złemu zaradzić, a szczególnie, jeżeli same nic pić nie będą i mężów swoich trochę przypilnują.

Należy już w młode dzieci wpajać wstręt do używania wódki, przy każdej sposobności wskazywać dzieciom następstwa używania alkoholu, a przedewszystkiem bezwarunkowo świecić przykładem, a walka ta z tą klęską biednych ludzi może liczyć na pewne powodzenie. Kobiety mogą zatem dużo w tym wypadku zdziałać a same odniosą wielkie korzyści i swoje dzieci wychowają na zdolnych i odpornych ludzi.

„Głos Kobiet".

Ruch prasowy w Królestwie.

Nowe pismo warszawskie „Kultura polska" przynosi ciekawe zestawienie liczb, charakteryzujących intenzywność ruchu prasowego w Królestwie.

Pokazuje się np., że wolności „konstytucyjne" w r. 1905 obniżyły o dwa miljony egzemplarzy miesięczną prenumeratę wszystkich pism, wychodzących w Królestwie (porównywamy tu miesiąc maj i listopad roku 1905).

Zestawiając cyfry wykazów z tego okresu odkrywamy smutny fakt, że liczba prenumerat pocztowych w roku 1906 (22,012.140 egzemplarzy) spadła blisko o 6 miljonów egzemplarzy w porównaniu z rokiem 1905 (27,970.242), a chociaż w roku bieżącym nieco się podniosła, przedostatniej wysokości nie odzyskała, a co gorsza, objawia znowu dążność do spadku (końcowe miesiące przedstawiają o 200.000 mniej, niż środkowe).

Rok miniony był niezwykle obfitym zarówno co do urodzin, jak co do śmiertelności czasopism. Tytułów wydawnictw peryodycznych było w Warszawie 185, na prowincji 36. Z tej liczby zamknięto (13 ukazało się tylko w 1 numerze) przymusowo i dobrowolnie w Warszawie 55. Pism, które wychodziły w ciągu całego roku bez przerwy zmiany tytułu było w Warszawie: dzienników 6, tygodników 33, dwutygodników 10, miesięczników 19, kwartalników 6, półroczników 3 — razem 77; z przerwami i zmianą tytułów: dzienników 4, tygodników 5, dwutygodnik 1, miesięcznik 1. Ogółem 88 pism, które jako prasa warszawska przechodzą do roku następnego.

185 pism wydano w 80,000.000 egzemplarzy; ponieważ zamknięte stanowiły 5,502.000 egzemplarzy, zatem 88 pism, wychodzących przez cały rok w Warszawie, rozeszło się w 75,000.000 egzemplarzy. Taki jest przybliżenie preliminarz prasy warszawskiej na rok przyszły.

Prasa prowincjonalna miała mniej organów; po zamknięciu 7 pozostało: dzienników 10, tygodników 7, wychodzących dwa razy na tydzień 4, miesięczników 2 — razem 23, które się rozeszły w 3,700.000 egzemplarzach. Cała tedy prasa polska w Królestwie w dniu 1 stycznia 1908 r. obejmowała 111 pism w 78,700,000 egzemplarzach.

Poczta warszawska (oprócz posyłanych w niewielkiej ilości za markami) wyekspedjowała w roku minionym 24,466.078 pism peryodycznych, czyli około 68.000 egzemplarzy dziennie. Tyle wysyła jedna wielka gazeta europejska.

Gdyby nasza ludność, uznająca się za polską (obejmująca około 8 mil.), była oświeconą, to biorąc z niej tylko piątą część, potrzebującą codziennie czytać jedno pismo perjodyczne, wypadłoby, że ona (1,600.000 przez 300 dni) zużyłaby 576,000,000 egzemplarzy. Tymczasem nasza zużywa zaledwie 78,700.000, czyli siódmą część sumy pożądanej.

Takie są statystyczne obliczenia „Kultury polskiej". Smutny bilans jest w gruncie rzeczy jeszcze smutniejszy, niż się zdaje. Albowiem w tych miljonach wysyłanych numerów

znaczna część jest szowinistyczną lub klerykalną lub ugodową trucizną!

Jakże mała jest liczba, przypadająca na organy, które rzeczywiście przyczyniają się do wszechstronnego rozwoju kultury polskiej!

Statut górnośląskiego knapszaftu

według uchwał walnego zebrania z dnia 27-go lipca 1907, ważny od 1-go stycznia 1908.

(Ciąg dalszy.)

IV. Kasa chorych.

1. Przymus do wstępu; prawo do wstępu; uwolnienie od obowiązku do wstępu do kasy chorych.

§ 9.

Członkami kasy chorych są, bez oświadczenia wstępu:

1) robotnicy, którzy na werkach (kopalniach) do knapszaftu należących i połączonych z nimi zakładach, albo w związku knapszaftowym są zatrudnieni, o ile zatrudnienie z swej natury lub naprzód przez kontrakt roboczy nie zostało ograniczone na mniej, niż tydzień;

2) urzędnicy werkowi (kopalniani) i knapszaftowi, jeżeli zarobek lub myto nie wynosi więcej, niż $6^2/_3$ mk. na dzień roboczy, albo 2000 mk. na rok, jeżeli zarobek lub myto liczy się na większe odstępy czasu.

Jako myto lub zarobek liczy się także tantjemy i zapłaty w naturaljach; wartość ostatnich liczy się według przeciętnej wartości ustanowionej przez urzędnika rewirowego.

Do wstępu uprawnieni są także inni urzędnicy werkowi (kopalniani) i urzędnicy administracji knapszaftu.

Urzędnicy, uprawnieni do renty (pensji) państwowej, zatrudnieni po werkach (kopalniach) fiskalnych, mają prawo do wstępu, jeżeli władza przełożona się na to zgadza.

§ 10.

Od przymusu do wstępu należy uwolnić na ich wniosek takie osoby, które z powodu okaleczenia, kalectwa, chorób przeciągłych lub wieku tylko po części albo tylko przez pewien czas są zdatne do pracy, jeżeli związek ubogich, do wsparcia zobowiązany, na to się zgodzi.

2. Początek i koniec członkostwa.

§ 11.

Członkostwo rozpoczyna się:

a) dla członków obowiązanych do wstępu z podjęciem pracy na werku (kopalni);

b) dla członków mających prawo do wstępu z dniem nadejścia piśmiennego zgłoszenia wstępu u zarządu; zapłata składek znaczy tyle, co zgłoszenie wstępu.

Członkostwo kończy się:

a) dla wszystkich członków, skoro opuszczą pracę, na mocy której stali się członkami, z wyjątkiem przypadku w § 12;

b) dla członków uprawnionych do wstępu prócz tego, jeżeli doniosą zarządowi o swojem wystąpieniu albo składek do kasy chorych nie płacą w dwóch po sobie następujących terminach.

Z utratą członkostwa połączona jest utrata wszystkich wsparć dla członków i ich rodzin z kasy chorych. Wyjątek stanowi przypadek w § 13.

§ 12.

Członkowie, którzy przed wystąpieniem z pracy, zmuszającej lub uprawniającej do członkostwa, co najmniej dwa lata bez przerwy należeli do kasy chorych knapszaftu albo do osobnej knapszaftowej kasy chorych, pozostaną członkami kasy (dalsze zabezpieczanie się) tak długo, jak mieszkają w obrębie Rzeszy niemieckiej i nie przechodzą do pracy, na mocy której staną się członkami innej kasy knapszaftowej albo innej kasy, założonej według przepisów prawa o kasach chorych — jeżeli doniosą o tym swoim zamiarze w przeciągu tygodnia zarządowi albo zapłacą w przeciągu tego tygodnia całkowite składki do kasy według przepisów statutu (§ 89).

Członkostwo kończy się, jeżeli składki nie zostały zapłacone w dwóch po sobie następujących terminach płatności.

Jeżeli członkowie ze strony werku (kopalni) uzyskają urlop z pracy, zmuszającej ich do członkostwa, natenczas należy za nich płacić za czas urlopu całkowite składki według statutu (§ 89). Jeżeli jednak urlop trwa dłużej, niż trzy miesiące, natenczas uważa się takich członków po upływie tego czasu jako występujących z pracy (§ 11 ustęp 2a).

§ 13.

Osoby, występujące z kasy chorych wskutek braku pracy, zatrzymują dla siebie prawo do wsparć najniższych, jakie prawo przepisuje w przypadkach wsparcia, które zdarzają się podczas braku pracy i w przeciągu trzech tygodni po wystąpieniu z kasy, jeżeli występujący przed wystąpieniem conajmniej trzy tygodnie bez przerwy należał do kasy knapszaftowej albo do innej kasy chorych, założonej na mocy ustawy o zabezpieczeniu chorych.

Prawo do wsparcia upada, jeżeli interesowany nie mieszka w obrębie Rzeszy niemieckiej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmaitości

Wiljam Thomson. Gdy przed kilku miesiącami Ramzay, głośny chemik angielski, wynikiem badań swoich, wykazującym, że pierwiastki chemiczne mogą ulegać przemianie, że rad przemienia się na heljum — znakomity fizyk, Wiljam Thomson wystąpił stanowczo w liście do Timesa przeciw tej hipotezie. Ostatni to raz wówczas w szerszym świecie profanów wspominano nazwisko wielkiego uczonego, o którego zgonie nadchodzi wiadomość z Londynu,

Lord Kelvin — taki tytuł otrzymał uczony od królowej Wiktorji za swoje zasługi — położył wiekopomne zasługi w dziedzinie badania mechanicznej teorji ciepła i jego związku z elektrycznością oraz pomiarów najsubtelniejszych zjawisk elektrycznych. Wraz z Joulem zestawił termodynamiczną skalę temperatur, a wyniki jego badań stały się podstawą nowoczesnego poznania zjawisk cieplnych. Te wiadomości teoretyczne umożliwiły doprowadzenie maszyn parowych i motorów gazowych do obecnej doskonałości.

Niezmiernej doniosłości są prace zmarłego w dziedzinie elektryczności — lord Kelvin zbudował między innymi elektrometr, bez którego dzisiaj żadne laboratorjum fizyczne, ani elektrotechniczne obyć się nie może. Teoretycznym zbadaniem zjawisk elektrycznych w kablach podmorskich umożliwił Thomson prawidłową komunikację telegrafu podwodnego. Gieografja fizyczna zajmowała go żywo, badał przypływ i odpływ wód oraz kształt ziemi.

Urodził się Willjam Thomson w roku 1824 w Belfaście, studja odbywał w Glasgowie, Cambridge i Paryżu, w r. 1846 został profesorem fizyki w Glasgowie. W 1890 r. powołano go na stanowisko Royal Society w Londynie, a w dwa lata później otrzymał tytuł lorda Kelvina.

Thomson był redaktorem Cambridge and Dublin Mathematical Journal, gdzie w roku 1848 zamieścił słynną pracę swoją „On the distribution of electricity on spherical conductors". W 1899 roku porzucił działalność profesorską. Zmarł 17 grudnia 1907, w domu swoim Netherhall w Largs, w hrabstwie Ayrshire, w Szkocji.

* * *

Kastrowanie chorych i zbrodniarzy. W jednem z czasopism prawnych ogłasza Max Lederer artykuł, traktujący o nowym sposobie zwalczania zbrodniczości w Ameryce. Sposób ten polega na tem, że jednostki, uznane za szkodliwe dla społeczeństwa, pozbawia się zdolności rozmnażania się, celem zapobiegania dziedziczności zboczeń psychicznych, oraz skłonności zbrodniczych. Pomysł to nie nowy, gdyż kastrowanie (pozbawianie części rodnych) za karę znało już prawodawstwo greckie, staro-indyjskie, egipskie i żydowskie, a cel tej kary nie jest obcy staremu prawodawstwu niemieckiemu. W ostatnich czasach ochronny ten środek stanowił przedmiot teoretycznych roztrząsań; ze względów jednak łatwo zrozumiałysh wzbraniano się stosować go w praktyce. Pierwszy Stan Indjana w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej uczynił krok stanowczy, ogłosiwszy 9 marca 1907 ustawę, której najważniejsze postanowienia opiewają:

„Każdy zakład, mieszczący umysłowo chorych, idjotów i seksusalnie zboczonych, musi mieć w liczbie urzędników prócz lekarza zakładowego, dwóch chirurgów. Jeżeli komisja rzeczoznawców uzna, że dany osobnik nie powinien mieć potomstwa i jeżeli niema prawdopodobieństwa, by stan jego doznał polepszenia, natenczas chirurgowie mają przedsięwziąć operację celem przeszkodzenia możności rozmnażania się".

Zarządzenie to opiera się na teorji dziedziczności skłonności zbrodniczych, wedle której człowiek rodzi się już zbrodniarzem. Jeżeli jednak przyjmiemy, że zbrodnia jest wynikiem stosunków społecznych i że zbrodniarz, dostawszy się w odpowiednie warunki, może stać się pożytecznym członkiem społeczeństwa, wówczas będziemy musieli określić ustawę Stanu Indjana, jako barbarzyńską.

* * *

Cement zamiast pancerza stalowego. Inżynier Lorenzo Dadda w Genui ogłosił nowy sposób chronienia okrętów wojennych przed pociskami armatnimi. Zamiast płyt stalowych proponuje włoski inżynier cement, który jest o wiele lżejszy i tańszy niż stal, a mimo to również odpornym. Dadda dowodzi, że Japończycy stosowali ze skutkiem ten system przy obwarowaniach ziemnych. Gdyby wynalazek włoskiego inżyniera okazał się praktycznym, potaniałaby znacznie budowa okrętów wojennych, mianowicie zaoszczędzonoby 10 miljonów marek na każdym okręcie.

* * *

Najwyższe budowle na świecie. Ciekawe zestawienie najwyższych budowli świata podaje następująca tabliczka:

1. Na pierwszem miejscu stoi wieża Eiffla, mająca 300 metrów wysokości.
2. Metropolitan Life Insurance Campanile, Nowy-Jork, 200 metrów.
3. Singer Building, Nowy-Jork—186 m.
4. Obelisk w Waszyngtonie—169 m.
5. Ratusz w Filadelfji—167 m.
6. Mole Antonelliana w Turynie—164 m.
7. Nowa wieża katedry w Ulmie—161 m.
8. Wieża katedry kolońskiej—156 m.
9. Katedra w Rouen—150 m.
10. Wielka piramida egipska—135 m.
11. Kościół św. Mikołaja w Hamburgu—144 m.
12. Katedra w Strassburgu—142 m.
13. Bazylika św. Piotra w Rzymie—139 m.
14. Wieża kościoła św. Stefana w Wiedniu—138 m.

Z literatury i sztuki

„Promień", miesięcznik poświęcony sprawom młodzieży kształcącej się. Po rocznej przerwie ukazał się pierwszy numer we Lwowie.

„Promień" — mówi redakcja — będzie szerzył wśród młodzieży szkolnej myśl wolną i niepodległą, nieskrępowaną policyjno-klerykalnym kagańcem, będzie prowadził walkę z przesądem i kłamstwem, wsączanem w młode umysły, jako bojownik cywilizacji nowożytnej, nowożytnego ducha. Tam, gdzie „zakuwają w jarzmo kozy skalne", gdzie „dla duszy ludzkiej piszą prawidła", budzić będzie poczucie dumy, która przystoi ludziom wolnym, poczucie osobistej godności, cywilnej odwagi, z niewolników w mundurkach czynić będzie obywateli. Tam, gdzie bramę zamknięto na cztery spusty przed wszelkim swobodnym powiewem, „Promień" będzie niósł wieść o prądach nowych czasów, o bojach, ogarniających ludzkość całą, o ideałach wszechludzkich, o sprawie wydziedziczonych, którzy stać się mają dziedzicami wszystkich prac, czynów i porywów ludzkości — o sprawie proletarjatu. Tam, gdzie uczą, że ojczyzna się kończy na czarno-żółtym słupie granicznym, „Promień" będzie wzniecał poczucie jedności dla braci obu pozostałych zaborów, będzie wzniecał cześć dla tej wspólnoty dziejowej, zrodzonej w mękach Kufsteinu, Moabitu i Szlisselburga, zrodzonej w krwi rewolucjonistów — dla Polski..."

Na wstępie numeru składa tow. Emil Haecker hołd cieniom Stanisława Wyspiańskiego. Następuje artykuł, wykazujący konieczność samokształcenia. W obszernym dziale „Z wydawnictw" omówiono wspaniały podręcznik ekunomji Żeleznowa, dalej znajduje się wzmianka o stanie współczesnej krytyki literackiej w Polsce, o nowych publikacjach z dziejów porozbiorowych, wreszcie „pokłosie antyklerykalne", korespondencje, dział „Varia" itd. Wreszcie: wezwanie do składek na rzecz ucznia, chorego piersiowo, wykluczonego za socjalizm z gimnazjum w Tarnowie.

Cena dwuarkuszowego numeru nadzwyczaj niska: 20 halerzy (rocznie tylko 2 korony i 80 halerzy z przesyłką). Adres redakcji i administracji: Lwów, Chorążczyzna 12.

„Społeczeństwo", tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny (Warszawa, Zórawia nr. 29 m. 2). Treść nr. 4: Trudne położenie, J. Kord. — Rok polityczny. — Janusz Korczak: Szkoła życia. — J. Wł. Dawid: Mózg i dusza. — Otton Bauer: Zagadnienie narodowości. — Dr. W. Szczawińska: Instytucje społeczne dla ochrony niemowląt we Francji. — Echa. — Kronika.

„Przewodnik zdrowia", miesięcznik poświęcony pielęgnowaniu zdrowia (adres: Czarnowski, Berlin, Weissenburgerstr. 27) Treść nr. 1 (na styczeń): Szczęście ludzkie wogóle. — O konieczności i znaczeniu małżeństwa. — Choroby włosów. — Błędne podstawy w małżeństwie i wychowaniu. — Szczepienie ospy w Galicji od roku 1903 bez przymusu administracyjnego. — Przestrogi i rady. — Rozmaitości. — Piśmiennictwo.

„Myśl Niepodległa", (Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10). Treść: nr. 51 (3 dekada na styczeń): Metoda gadzinowa. — Tajemnice a postęp, Jadwiga Olszewska. — Baśń chrześcijańska, M. C. Walewska (hr. Wielopolska). — Błyski myślowe. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Wolna gmina. — Siostry Miłosierdzia. — Zapiski. — Książki.

„Głos Kobiet", pismo poświęcone sprawom kobiet pracujących. Wychodzi raz na miesiąc pod redakcją Dory Kłuszyńskiej w Cieszynie (Śląsk austr.) ulica Zamkowa nr. 14 I. Przedpłata roczna wynosi 1 koronę i 10 halerzy (95 fen.) numer pojedyńczy 6 halerzy (5 fen). Treść nr. 1: Za grzechy nie popełnione. — Jak kobiety zdobywają prawo wyborcze. — Alkohol a kobiety. — Kobiecy ruch robotniczy w Królestwie Polskiem. — Listy czytelniczek. — Kronika.

Pisemko to możemy towarzyszkom jaknajgorącej polecić. Niska cena umożliwia każdej niewiaście jego nabycie.

„Miesięcznik dla popierania ruchu wstrzemięźliwości" (Pleszew — X. Niesiołowski). Treść nr. 50: Młodzież polska wobec ruchu etycznego. — Wpływ alkoholizmu na wzrastanie nieuczciwości. — Monopol rosyjski i kuratorja trzeźwości. — Jak naród polski walczył z alkoholizmem dawniej i jak powinien dzisiaj walczyć? — Do polskiej organizacji abstynenckiej młodzieży: Kół Elt, Związku Nadziei itd. — Zdania i myśli znakomitych mężów o alkoholiźmie. — Wiadomości ze świata. — Ziemie polskie. — Rozmaitości. — Z ruchu wstrzemięźliwości. — Z piśmiennictwa.

„Zakopane". Pod takim tytułem zaczęło wychodzić dwa razy w miesiącu pismo, poświęcone sprawom Zakopanego w Galicji, pierwszej dziś stacji klimatycznej polskiej w Tatrach.

Pomnik Chopina. Grono osób z arystokracji warszawskiej zawiązało komitet, aby wystawić pomnik Chopinowi (czytaj Szopenowi) wielkiemu muzykowi polskiemu. Uchwalono pomnik wystawić w Warszawie na placu Wareckim. Koszta pomnika są przewidziane w wysokości 100 000 rubli.

Kącik humorystyczny.

Mądry sędzia.

Posprzeczała się przekupka z policjantem w Białej. Obrażona „władza" zapytuje ją, gdzie mieszka?

— W d... — mówi przekupka.

Sędzia Tr., znany w Białej ze swych mądrych wyroków, skazał babę na 24 godzin aresztu za — fałszywy meldunek!... „Kropidło".

* * *

Ze szkoły jednorocznych.

Kapitan: Hm, hm! Jednoroczny nazywa się Hirsch, a przez głupią deskę nie potrafi przeskoczyć!... „Kropidło"

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 7. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 15 lutego 1908.

Z poezji Ady Negri.

W przekładzie Marji Konopnickiej.

PIEŚŃ PŁUGA.

Jam jest miecz rdzawy, co ziemi pierś porze,
Jam siła jest i ciemnota.
Głód we mnie zgrzyta i palą się zorze:
Jam nędza — i bryła złota.

Znam bicz ognisty, którym siecze łany
Południe od żaru sine,
I znam świst smyczy, którą huragany
Grad pędzą w cichą dolinę.

Znam cierpkie wonie, co wiosna je z ziemi,
Tryumfująca i żywa,
Z pąkami kwiecia, z szmerami srebrnymi
Zdrojów i muszek — dobywa.

Każdy dzień pracy wyostrza me noże,
Złoci mnie trudów godzina.
Silny, wytrwały, mój lemiesz w ugorze
Niepłodne skiby rozcina.

Do chat zapadłych, do nędznych bud z gliny,
Gdzie deszcz przez pował się leje,
Gdzie przez otwarte wskroś chrustu szczeliny
Zimowe świszczą zawieje, —

Gdzie przy gasnących polanach ogniska
Lenistwo czołga się gadem,
Gdzie trąd ohydny na twarzach wybłyska.
Pożerczym szerząc się jadem, —

Wchodzę i patrzę. A zaś zapomniany
W kącie, wśród głuchej tej zmory
Odwiecznych mroków, co dusi te ściany
Dymiącej, wilgotnej nory, —

Gdzie leżą, febrą strawione ryżowisk,
Kobiece ciała, jak snopy,
I gdzie w barłogu mizernych legowisk,
Rozgłośnie chrapiąc, śpią chłopy, —

Ja czuwam jeden, i jeden się płonię,
I śnię o nowej jutrzence,
Gdy, jak proporzec polny, na zagonie
Młodzieńcze zatkną mnie ręce;

Kiedy lud dzielny i pracą natchniony
Czarne rodzajnych ziem bryły
W słońcu przeorze na świeże zagony
Nowego życia i siły.

A wtedy białe powieją sztandary.
Z krwi bratniej oschną oręże,
I nienawiści zdeptany wąż stary
Pod ciosem światła polęże.

I wskróś miłością przepojonej ziemi,
Tchnącej wiosennych róż wonią,
Z walk oczyszczone między zawistnemi
Wolne się szranki odsłonią.

Wtedy głos ludu pod niebo uderzy,
W najdalsze lazurów końce,
Jak łkanie szczęścia, jak życia krzyk świeży:
— Chleb! Spokój! Praca! i — Słońce!

FELIKS KON.

Na Karze.

17)

Jeden z uwięzionych Iwan Starynkiewicz wystąpił z wnioskiem urządzenia święta z powodu tego zwycięstwa i wybawienia dwóch towarzyszy od niechybnej śmierci. Wszyscy jednogłośnie wniosek ten poparli... Lody pękły... Dawne dobre a serdeczne stosunki na nowo zapanowały w więzieniu. Nie było już tylko poprzedniego nastroju, który na zawsze wyrugowany został przez ciężkie a bolesne wspomnienia o tych, którzy to „zwycięstwo“ przypłacili życiem, o tych sześciu, pochowanych w jednej bratniej mogile na cmentarzu karyjskim, których wszyscy bez wyjątku uznawaliśmy za najlepszych, najdzielniejszych, najbardziej gotowych do ofiar. Biały drewniany krzyż z napisem: „Nikto że lubwi bolsze imat', da kto duszu swoju położyt za drugi swoja“. (Nikt więcej nie posiada miłości nad tego, kto duszę swą odda za przyjaciół swych), postawiony zmarłym przez towarzyszy był jedynym w tych warunkach możliwym dla ujawnienia wyrazem ich czci dla męczenników. Carat pomimo swej chęci i woli, również złożył hołd ofiarom swego mordu.

Tragedja na Karze stała się owego czasu głośną w całym świecie ucywilizowanym. Na wielkim mityngu w Hyde-Parku w Londynie nawet Gladston, który dotąd obojętnie się zachowywał względem tego, co się działo w Rosji, oburzony do najwyższego stopnia, piętnował carat za katowanie inteligentnej kobiety do śmierci. Umysłom angielskim tak się bowiem ta sprawa przedstawiała... Wówczas rząd dbał jeszcze o opinję zachodu i rachował się z nią... Pod wpływem tej poruszonej przez samobójstwa karyjskie opinji ukazem carskim zniesiono stosowanie kary cielesnej do kobiet.

Ta zmiana w ustawodawstwie, to wyzwolenie dziesiątków tysięcy kobiet — katorżanek od chańbiącej kary — to pomnik spiżowy dla tych, co w tej sprawie życie złożyli, co legli, by inni bardziej czuli się ludźmi...

Od karyjskiej tragedji minęło już 18 lat... Wiele czynów, wielu ludzi zginęło od tego czasu w bezbrzeżnem i

Львівська Бібліотека
АН УРСР

bezdennem morzu zapomnienia. Chwilami się zdawało, że w tej przepaści giną i męczennicy karyjscy. Nie zginęli. Gdy na chwilę „słońce swobody zabłysło“ nad Rosją, gdy „wiatr zachodni ogrzał państwo carów, gdy drgnęła kaskada tyraństwa“ i przedstawiciele ludu sądy sprawować zaczęli nad sługami carskimi za wszystkie przestępstwa, zbrodnie i mordy, znowu imionami poległych na Karze jak szpicruta smagano carat... Ich imiona stały się symbolem walki o godność ludzką i pominąć ich było nie sposób...

ROZDZIAŁ X.

Po tylu przejściach zdawało się, że nareszcie nastąpi chwilowy spokój. Walka nas zmęczyła. Spokoju tego pragnęliśmy. Nie dawano nam go jednak. Co pewien czas wpadali żandarmi z rewizją. Szukali, szperali. Dawniej rewizji takich dokonywano tylko formalnie, obecnie zaś z każdego ruchu żandarmów widać było, że rzeczywiście czegoś szukają, że na znalezieniu im bardzo zależy. Zachodziliśmy w głowę, szukając przyczyn tej nagłej ich gorliwości, ale nikt oczywiście nie mógł się domyśleć, że wywołał ją fałszywy donos Ossowskiego, który poruszył nie tylko władzę miejscową, ale nawet władze centralne. Szukano ni mniej, ni więcej, jak materjałów wybuchowych, które rzekomo miały być na Karze na użytek rewolucji przygotowywane.

Gdyśmy kpili z żandarmów, dowiedziawszy się o tym donosie Ossowskiego, z tryumfem nam oznajmiono:

— A o zamachu na cara nie uprzedzano was!...

Można sobie wyobrazić nasze zdumienie na takie dictum. Okazało się jednak, że w posiadaniu żandarmów znajduje się depesza z Petersburga, zaadresowana do nas, co do znaczenia której nie mógło być, jak się zdawało żandarmom, żadnej wątpliwości.

Treść owej depeszy była następująca:

„Wujaszek przyjechał. Operacja odbędzie się we wrześniu“. „Wujaszek“ — według interpretacji żandarmów i Ossowskiego — to car; „operacja“ to zamach.

Dziwić się tylko należy, że mając taki niezbity dowód w ręku, nie oddano nas pod sąd...

Gdyśmy się o tem dowiedzieli, śmieliśmy się do rozpuku i podziwiali pomysłowość Ossowskiego, który doskonale wiedział, co znaczy ta depesza i w tak znakomity sposób wyzyskał ją, by wyłudzić od Masiukowa kilka rubli. Spawa była zugełnie prostą. Już wspominałem o tem, że nasze środki materjalne zawsze były bardzo szczupłe. W ciągu 1889 i 1890 roku zeszczuplały one jeszcze bardziej. Czas robi swoje. Nawet najbliżsi, ongi zrozpaczeni straszną karą, jaka na głowę ich krewnego spadła, powoli stopniowo przyzwyczajają się do jego nieobecności, a nieraz zapominać zaczynają o jego istnieniu... Takich zapomnianych było na Karze wielu i co rok ilość ich wzrastała...

Nędza i głód zmuszały do pomyślenia o sposobach zapełnienia coraz bardziej rozrastających się luk w budżecie. Przez krewnych znanego poety-katorżnika Piotra Jakubowicza-Mielszyna, który dzielił nasz los na Karze, zawiązaliśmy stosunki z wydawcami petersburskimi i otrzymaliśmy obstalunek na tłumaczenie „Hygjeny dziecka“ Uffelmana.

Cała trudnoźć polegała na przesłaniu rękopisu tłumaczenia do Petersburga, jednakże pokonaliśmy tę trudność, rękopis szczęśliwie doszedł do miejsca przeznaczenia i on był tym „wujaszkiem“, którego miano „operować“, czyli poprostu mówiąc drukować we wrześniu. Zakaz zajmowania się wszelką pracą zarobkową zmuszał do takiego konspiracyjnego zawiadomienia, a ta konspiracja przy łaskawym współudziale bujnej fantazji Ossowskiego i jeszcze bardziej bujnej głupoty i bezmyślności żandarmów przekształciła się w zamach na cara.

Pytanie p o c o, by nas o przygotowywanym zamachu uprzedzać miano — dla żandarmów nie istniało. Oczywiście, według ich mniemania mieliśmy taką rangę rewolucyjną, że nie meldować nam o tak ważnym akcie było nie sposób.

W takich wypadkach jak ten, pomimowoli wspominaliśmy komendanta Nikolina. Był to łotr skończony, ale nie był głupcem i walki z wiatrakami by nie toczył. Ale cóż? Wszelki przez władzę najwyższą zamianowany urzędnik już przez to samo jest uosobieniem rozumu, taktu i sprawności i uczciwości. „Prikazut i akuszerom budiesz“! — Rozkażą i staniesz się akuszerem — mówią rosjanie... Rozkazano i Masiuków, osioł, tchórz, nicpoń, człowiek bez charakteru i karciarz — stał się komendantem. Nie było sfery w jego działalności, w którejby się zorjentował i postępował, jak należy, rząd go jednak trzymał na urzędzie. Skończyło się to panowanie na tem, że zdefraudował nam pieniądze. Systematycznie przegrywając w karty, „pożyczał“ sobie na odegranie od nas, oczywiście bez naszej wiedzy i woli, a gdyśmy się spostrzegli na tem, przyznał się do wszystkiego, błagając o litość nad nim, obiecując wszystko co do grosza wypłacić. Według mnie, nie należało mu przebaczać. Przeciwnie, sprawie tej należało nadać jaknajwięcej rozgłosu: niechby cały świat wiedział jakiego komendanta tak zapamiętale rząd bronił do ostatka. Większość jednak była innego zdania, przebaczono mu, a gdy groźba sądu zniknęła, z długu się nie uiścił.

Cała ta defraudacja ujawnioną została już po wyjściu naszem na „wolne kwatery“, po przeniesieniu 13 towarzyszy do więzienia w Akatuju we wrześniu 1890 r. O tym Akatuju już dawno od pięciu lat krążyły pogłoski, ale rząd wciąż się wahał i zwlekał. W 1900 atoli roku te pogłoski stawały się coraz bardziej upoiczywemi, z wolności nam komunikowano, że stare więzienie akatujskie już odnawiają, że lada dzień mogą nas przenieść. Ze wszystkich tych zarządzeń widać było, że rząd pod wpływem wypadków listopadowych się zdecydował na krok ostateczny. Był to bowiem krok ostateczny.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Latający człowiek.

Jak Farman uczył się latać?

Przed paru dniami donoszono, że Farman zdobył nagrodę z powodu pomyślnej próby przelecenia jednego kilometra sporządzanym przez się statkiem powietrznym. Obecnie, w pewnem angielskiem pismie, opisuje swe liczne usiłowania, ogrom pracy, które go doprowadziły do celu. Farman opisuje, jak następuje:

„Dopiero, gdy widziałem eksperymenty Santosa Dumonta, zacząłem robić małe modele, których było około dwudziestu. Niektóre z nich funkcjonowały w zamkniętej przestrzeni, ale na wolnem powietrzu przestawały funkcjonować. Ostatecznie wybrałem kilka najlepszych modeli i po wielu zmianach i uzupełnieniach wykonałem w większych rozmiarach (od 2 do 3 m.) i puszczałem je ze wzgórza, wysokiego na 80 m. Na wszystkich możliwych miejscach przymocowałem do nich ciężary, aby wybadać punkt ciężkości. Trwało to długo; wreszcie udało mi się spuścić jeden z moich próbnych aparatów z wysokości 80 m. Aby nie tracić czasu, przystąpiłem do wybudowania wielkiej maszyny, która miała także dźwigać motor. Miała ona być zbudowana na tej samej zasadzie, którą Santos Dumont doszedł do swych wyników, jedyny, który dotychczas zdołał o własnych siłach wznieść się ponad ziemię. Aparat ten ważył wraz z motorem 10 centnarów; mimo to byłem przekonany, że z pewnością będę nim latał.

Doznałem jednak rozczarowania. Albowiem maszyna moja mknęła z szaloną szybkością po ziemi, ale opuścić matki-ziemi nie chciała. Rozczarowany nieco, dokonałem znowu nowych poprawek, podczas których robiłem ciągłe próby z ujemnym skutkiem. W końcu pewnego dnia, po nowych zmianach, zauważyłem ku wielkiej radości, jak maszyna po kilku setkach metrów wzniosła się nad ziemię. Lecz, po odbyciu małej przestrzeni, około 40 m., znalazłem się znowu na ziemi. Nastąpił znowu miesiąc zmian i ulepszeń, aż wreszcie pewnego poranka, w obecności około 50 osób, przedsięwziąłem nową próbę. Aparat podniósł się z ziemi i udało mi się przelecieć w powietrzu kilkaset metrów. Osiągnąłem to, o czem tak dawno marzyłem; mogłem robić spokojne poruszenia i przytem zatrzymać się w powietrzu około 2 m. nad ziemią. Po kilku wzlotach czułem się w powietrzu tak pewnym, jak na rowerze.

Jednakowoż dwa jeszcze rozstrzygające pytania wymagały rozwiązania. Umiałem wzlatać i spadać, ale musiałem latać tylko w linji prostej; chodziło jeszcze o wykonywanie zwrotów i utrzymanie równowagi w powietrzu. Nie wiem, jak doszedłem do rozwiązania tych kwestji. Dzień po dniu, od wczesnego ranka, robiłem niezliczone doświadczenia ze sterem i śrubami. Wkrótce znalazłem sposób rozwiązania:

jeżeli zwróciłem ster nagle w lewo i w tym kierunku równocześnie podałem ciężar mego ciała, to aeroplan zwrócił się także na lewo. Udało mi się opisać koło. Trudność czynienia zwrotów była pokonaną; ale długo jeszcze musiałem pracować, zanim wyuczyłem się ustawiać dokładnie wiosła. Pozostał jeszcze problem najtrudniejszy: utrzymania równowagi. Pytanie to jest nadzwyczaj zawiłe, ponieważ w powietrzu znajdują się 4 formy równowagi, które muszą być utrzymane. Cyklista np. musi uważać tylko na prawo i lewo, na aeroplanie zaś trzeba nadto uważać, by się nie przechylić w tył lub naprzód. I to jeszcze nie wszystko, albowiem oprócz tych czterech kierunków, może jeszcze aeroplan wykonać nagły skok lub rzucić się w bok pod ostrym kątem i dlatego jeździec musi z wielką przytomnością umysłu śledzić jego poruszenia. Dlatego też jestem przekonany, że — przy obecnym stanie wiedzy — tylko niewielu potrafi sterować „maszyną cięższą od powietrza". Aeroplan znajduje się jeszcze w okresie dzieciństwa i długi jeszcze zapewne czas pozostanie sportowem zajęciem, aczkolwiek już widzę, jak aeroplany-omnibusy w 5 godzinach odbywają drogę z Paryża do Londynu. Ja sam spodziewam się, że w ciągu dwóch następnych lat przelecę w ciągu 60 minut z Paryża do Rouen. I jestem silnie przekonany, że w przeciągu roku będziemy posiadali aeroplany, które z łatwością będą przelatywały 50 do 100 mil angielskich przy kosztach, które w porównaniu z kosztami automobilu są nieznaczne".

Aparat Farmana składa się z dwu pochyłych płaszczyzn, 2 m. szerokości, około 10 m. długości, umocowanych nad sobą w odległości 1·5 m.; ma on kształt podłużnej skrzynki bez prostopadłych ścian, przy której dno i wierzch połączone są szeregiem prostopadłych słupków. W środku dna znajduje się motor o sile 50 PS., który porusza bezpośrednio wielką dwurzędną śrubę, a przed nim znajduje się siedzenie kierującego.

Cały aparat spoczywa na 5 kołach, dwa większe przednie koła są, jakby nogami ptaka, przymocowane na przedniej części, część tylna maszyny ma tylne koła. Za pomocą tych kół bierze latawiec rozpęd o szybkości 60 km. na godzinę, wznosi najwyżej po 100 do 200 m. ponad ziemię i rozpoczyna lot.

Długo i wytrwale uczył się latać. Ma on również swej osobistej zręczności do zawdzięczenia, że „prześcignął" w lataniu innych, którzy rozporządzali tymi samymi środkami technicznymi i urządzeniami. W tym osobistym przymiocie leży główna przyczyna powodzenia Farmana, wskutek czego jego koledzy niełatwo go doścignąą, zwłaszcza, że krzywy lot nastręczał Farmanowi najwięcej trudności. Osiągnął on dotychczas ze wszystkich najwięcej. Pokazał on, że „maszyną do latania" „cięższą od powietrza" można po odbyciu drogi 1 klm. powrócić do miejsca wzlotu.

Statut górnośląskiego knapszaftu

według uchwał walnego zebrania z dnia 27-go lipca 1907, ważny od 1-go stycznia 1908.

(Ciąg dalszy.)

§ 18.

Członkowie otrzymują jako wsparcie chorych:

a) jeżeli leczenie odbywa się w ich pomieszkaniu, połowę ustanowionego zarobku przeciętnego swojej klasy zarobkowej na każdy dzień roboczy począwszy od trzeciego dnia po dniu zachorowania;

b) jeżeli umieszczono ich w lazarecie, a mają członków rodziny, których utrzymywali dotąd ze swojego zarobku, prócz wolnego leczenia i utrzymania, trzecią część ustanowionego przeciętnego zarobku swojej klasy zarobkowej za każdy dzień choroby począwszy od dnia w którym ich umieszczono w lazarecie;

c) jeżeli ich umieszczono w lazarecie, a członków rodziny nie utrzymywali, dziesiątą część ustanowionego przeciętnego zarobku swojej klasy zarobkowej za każdy dzień choroby od dnia, w którym ich umieszczono w lazarecie, conajmniej jednak 20 fen.

Jeżeli zachorowanie nastąpiło z powodu nieszczęśliwego wypadku przy pracy, wtedy członkowie pobierają od początku piątego tygodnia po wypadku aż do ukończenia trzynastego tygodnia jako wsparcie chorych:

a) w przypadku wymienionym w ustępie 1 pod a dwie trzecie części ustanowionego przeciętnego zarobku swojej klasy zarobkowej za każdy dzień pracy;

b) w przypadku wymienionym w ustępie 1 pod c szóstą część ustanowionego zarobku przeciętnego swojej klasy zarobkowej za każdy dzień choroby, najmniej jednak 20 fen.

Różnicę pomiędzy wsparciem chorych ustanowionem w ustępie 1 i w ustępie 2 musi kasie chorych knapszaftu zapłacić posiedziciel tego werku (kopalni), w którym się zdarzył nieszczęśliwy wypadek.

Wsparcie chorych należy pobrać w czasach przez zarząd przepisanych i w miejscach płatniczych przezeń wyznaczonych. Jeżeli członkowie są umieszczeni w lazarecie, wtedy wypłata może zostać uskutecznioną bezpośrednio członkom rodziny.

§ 19.

Członkowie, którzy z knapszaftowej kasy chorych pobierali wsparcie dla chorych bez przerwy albo w przeciągu 12 miesięcy za co najmniej 36 tygodni, w razie nowego przypadku wsparcia, jeżeli tenże jest spowodowany przez tę samą nie wyleczoną chorobę, w przeciągu następnych 12 miesięcy mają prawo do wsparcia chorych tylko za najwyżej 13 tygodni.

§ 20.

Członkowie, którzy naumyślnie chorobę spowodowali albo brali z własnej winy udział w bijatykach lub pasowaniu się prawa do wsparcia chorych podczas takiej choroby nie mają.

Członkowie, którzy poszkodowali kasę chorych przez czyn karygodny, za który mogą utracić honorowe prawa obywatelskie, tracą na czas 12 miesięcy od spełnienia czynu karygodnego prawo do wsparcia chorych.

b) Wsparcie położnic.

§ 21.

Członkinie, które podczas ostatniego roku, od dnia rozwiązania liczywszy, conajmniej przez 6 miesięcy należały do (knapszaftowej) kasy chorych albo innej na mocy ustawy o zabezpieczeniu chorych utworzonej kasy chorych albo do gmińskiej kasy chorych, dostaną przez 6 tygodni po rozwiązaniu wsparcie położnic wysokości statutowego wsparcia chorych.

c) Zapomoga pośmiertna.

§ 22.

W razie śmierci członka kasy chorych płaci kasa chorych jako zapomogę pośmiertną 25 razy wzięty przeciętny zarobek ustanowiony dla klasy zarobkowej zmarłego, co najmniej jednak 25 razy wzięty miejscowy zarobek dzienny zwykłych robotników pracujących na dniówkę, a jeżeli ta suma nie dosięgnie 40 mk., wtedy kasa chorych płaci jednak 40 mk.

Zapomoga pośmiertna przeznaczona jest przedewszystkiem na pokrycie kosztów pogrzebu i w wysokości wydatków udowodnionych należy ją wypłacić temu, który o pogrzeb się wystarał. Coby zbywało, należy wypłacić pozostałej połowicy małżeńskiej, a w razie, gdy takowej nie ma, najbliższym spadkobiercom. Jeżeli takich osób nie ma, natenczas nadwyżka pozostaje w kasie.

Jeżeli członek zachorował a zemrze po ukończeniu swojego prawa do wsparcia chorych, wtedy należy wypłacić zapomogę pośmiertną, skoro niezdatność do pracy trwała aż do śmierci a śmierć nastąpiła wskutek tej samej choroby przed upływem roku po ukończeniu prawa do wsparcia chorych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmaitości

Pomnik dla wynalazcy maszyny do szycia. W Amplepais, we Francji, ma być wzniesiony pomnik Bartłomiejowi Thimounierowi, wynalazcy maszyny do szycia. Był on synem ljońskiego farbiarza, rodem z Amplepais, właściwie nie wynalazł, lecz udoskonalił przyrząd do szycia, którego

twórcami byli w r. 1814 dwaj Anglicy: Tomas Stone i Jones Henderson. Thimounier nie posiadał wiadomości technicznych, nie rozporządzał pieniądzmi. Sam własnoręcznie w r. 1829 wyrobił wszystkie kółka i szrubki. Maszyna funkcjonowała prawidłowo. Zapoznawszy się z nią, inżynier Beaunier kazał sporządzić we warsztatach 90 maszyn podobnych, ale robotnicy przewidując, że nowy wynalazek chleb im odbierze, porąbali maszyny. Nie zrażony tem Thimounier, zabrał swoją na plecy i chodził od miasta do miasta, usiłując zjednać dla niej zwolenników, a napotykając tylko na drwiny. Wreszcie wyruszył do Anglji i tam doznał przychylniejszego przyjęcia, ale umarł w r. 1857, nie doczekawszy się tryumfu swego wynalazku. Maszyna przez niego zbudowana przechowywana jest w muzeum w Lugdunie jako pamiątka.

* * *

Wyzyskiwanie dzieci przez matki. W jednym z niemieckich czasopism lekarskich opowiada pewien lekarz berliński, że został wezwany do pracowni malarskiej, w której zemdlało dziecko, służące za model. Dziecko owo zemdlało skutkiem znużenia, a ponieważ było chorowite, więc uwolniono je od uczęszczania do szkoły. Za to matka wynajmowała je jako model do „aktów" i dziecię stało codziennie w pracowniach malarskich trzy do czterech godzin dziennie. Wypadek ten stał się przedmiotem ogólnej dyskusji. Z kół artystycznych otrzymały dzienniki berlińskie zapewnienie, że artyści nie wyzyskują dzieci jako modelów, ale że matki to czynią, wlokąc swe dzieci z jednej pracowni do drugiej, ażeby zarobić w ten sposób kilka marek dziennie.

* * *

Czterechsetletnia rocznica systemu kopernikańskiego. Angielskie pismo naukowe „Scientific Review" przypomina, że w bieżącym roku przypada 400-letnia rocznica nauki Kopernika o obrocie ziemi dookoła słońca. W r. 1508 kanonik Mikołaj Kopernik w Toruniu wyłożył kilku zaprzyjaźnionym z sobą uczonym z całą ścisłością położenie ziemi w systemie wszechświata i dowiódł im, że słońce jest środkowym punktem, dokoła którego obraca się ziemia i inne planety. Przez 30 lat jednak myśli te, które oznaczały nietylko zupełny przewrót nauki astronomicznej, ale i również odnowienie filozofji, pozostały tajemnicą małej garstki uczonych, grupujących się dokoła Kopernika. Tak długo wahał się Kopernik z ogłoszeniem nowego systemu, który stał w sprzeczności z nauką przez kościół głoszoną. Gdy nakoniec przyjaciele jego i uczony biskup Tiedeman Giese i uczeń jego Joachim Rheticus namówili go, aby wydał swe dzieło, nie miał już pociechy ze sławy, którą zyskał, gdyż w roku 1543 został rażony apopopleksją i pierwszy egzemplarz swego dzieła otrzymał na łożu śmiertelnem, gdy już stracił przytomność.

Gdyby Kopernik żył dłużej, naraziłby się był na takie same prześladowania ze strony kleru, co Galileusz i Gjordano Bruno.

* * *

Fotografja na odległość. Inżynier paryski Paskal Berjouneau przedstawiał przed gronem fachowców swój nowy przyrząd do przesyłania fotografji drogą telegraficzną. W przeciwieństwie do sposobów dotychczasowych, Berjouneau wynalazł taki system fotografowania z odległości, co pozwoli na najszersze zastosowanie wynalazku. Zastosował on telegraf iskrowy. Po przesłaniu fotografji, przybyłego na pokaz ministra poczt., z Marsylji do Paryża, p. Berjouneau przystąpił do wysłania, przy pomocy telegrafu iskrowego, wizerunku łódki. Na obu krańcach sali demonstracyjnej umieszczono przyrząd do telegrafu iskrowego. Doświadczenie powiodło się najzupełniej. Wynalazca oświadczył, że ustawienie takie aparatu nie będzie kosztowało więcej, niż 400 fr. Odległość nie gra żadnej roli.

* * *

Zwapnienie aterji mózgowych. Zwapnienie naczyń krwionośnych zdarza się często w mózgu, udar mózgowy nie jest niczem innym, jak objawem tej właśnie choroby; jest to pęknięcie naczyń krwionośnych, które przez zwapnienie stały się kruchemi, poczem krew zalewa i niszczy masę mózgową. Lekarze rozróżniają kilka rodzajów tej choroby. Czasami przebieg jej jest powolny zaczyna się osłabieniem nerwowem, drażliwością, wyczerpaniem, bezsennością i wówczas zmieniają ją często z neurastenją. Chorzy cierpią na ból głowy, zawroty, kongestje, cera ich twarzy jest raz czerwona, to znów blada. Jeżeli chory zaczyna się wcześnie leczyć i zastosowuje tryb życia do odmiennych warunków obiegu krwi, cierpienie jego może trwać długo przy znośnym stanie. Musi więc żyć spokojnie, nie używać alkoholu, jeść przeważnie roślinne potrawy. Druga forma tej choroby ma szybki przebieg; ponieważ kora mózgowa ulega szybkiemu zniszczeniu, przeto następuje często idjotyzm lub upadek moralny, chorzy popadają w pijaństwo lub zbrodnię. Często lekarze zapoznawają tę chorobę i uważają jej objawy za udawanie. Charakterystyczną rzeczą jest, że najlżejsze skaleczenie głowy przyspiesza znacznie zwapnienie aterji mózgowych.

Z literatury i sztuki

„Sfinks". Pod tym tytułem zaczął wychodzić w Warszawie miesięcznik literacko-artystyczny i naukowy wielkich rozmiarów. Nr. 1 tego pisma (12 arkuszy druku = 192 stron) zawiera między innemi: Wł. Bukowińskiego: Setna rocznica Słowackiego. — Głosy pożegnalne o Wyspańskim W. Sieroszewskiego, K. Tetmajera Matuszewskiego, Wawrzenieckiego. — St. Żeromski: Magdalena. — M. Konopnicka: Jungfrau. — W. Gomulicki: Z rozmyślań. — W. Dzierżanowski: Z motywów jesiennych. — E. Abramowski: Świadomość zapomnianego. — Oceny i sprawozdania, o teatrze, sztuce etc. Prócz tego umieszczone są jeszcze utwory i prace: Daniłowskiego, Drogoszewskiego, Gallego, Kasprowicza, Makowskiego, Markowskiej, Nawrockiego, Nowaczyńskiego, Orkana, Popowskiego, Siedleckiego, Staffa. Zeszytu dopełniają dwa portrety Słowackiego i Wyspiańskiego oraz rysunek „Wiarusa" z „Warszawianki". Cena zeszytu osobno 80 kop. Adres: Warszawa, Miodowa 15.

„Społeczeństwo", tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny (Warszawa, Zórawia nr. 29 m. 2). Treść Nr. 6: Od Redakcji. — Zamach w Portugalji. — Oktawjusz Mirbeau: Ogród udręczeń. — Slaz: Zjazd w Hull. — Rok polityczny. — Janusz Korczak: Szkoła życia. — Otton Bauer: Zagadnienie narodowości. — J. Wł. Dawid: Mózg i dusza. — Echa. — Z teatru. — Henryk S. Kamiński: Duch mój. — Fala morza.... — Kronika.

„Panteon", miesięcznik naukowy, społeczny i literacki. Treść nr. 3: Iza Zielińska: Kościół i państwo (ciąg dalszy). — Fr. Mirandola: Spłynęła na nich zemsty moc. — Józef Wassercug: Apostolstwa w dziejach ludzkości, Zoroaster. — Amalja Hertzówna: Fleur-de-Lys (dramat w 1 akcie). — Jerzy Huzarski: Pięcioksiąg w świetle racjonalistycznej krytyki II. — Jan Barczyński: Wolna myśl w prasie polskiej. — Leon Gorecki: Djalogi polityczne. — Wacław Nałkowski: Uzupełnienie artykułu p. Moszczeńskiej pt. „Zajzd wolnomyślicieli w Warszawie". — Wszechświatowy ruch wolnej myśli.

Adres: rue Lhomond 4, — Paris.

Emil Haeker: **Stanisław Wyspiański.** Z portretem Wyspiańskiego. Kraków, 1908. Nakładem „Naprzodu". Str. 71. Cena 30 halerzy.

Kącik humorystyczny.

Ojcowskie troski.

Radca G. (do swego pełnego nadziei synalka): Błagam cię, synu, nie schodź nigdy z drogi cnoty! Pochodzisz wprawdzie z dobrej familji, więc cię tak odrazu nie zamkną... Ale nawet gdyby cię uwolnili z powodu dziedzicznego obciążenia, to i to byłoby mi bardzo nieprzyjemnie!

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 8. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 22 lutego 1908.

Z poezji Ady Negri.

W przekładzie **Marji Konopnickiej.**

CZYŚ TY PRACOWAŁ?

A więc mnie kochasz! Wyznałeś, i drżący —
Milczysz i czekasz, a barwę z oblicza
Ściera ci fala bladości;
Chcesz, by ci kwitła ma wiosna dziewicza,
Uśmiechu ust mych chcesz i mej miłości?

— Lecz powiedz, znasz-li ty uniesień burzę?
Za ideały znasz-li święte boje?
Wiesz-li jak sercem ból miota?
Na jaki ołtarz składasz siły twoje,
Duszę, myśl, tchnienie twojego żywota?

Czyś ty pracował? Czy znasz ty u dzieła —
W męskiej, surowej dla jutra ofierze —
Bezsennie spędzane noce?
Jakiej chorągwi i jakiej ty wierze
Kwitnących twoich lat oddajesz moce?

Nie odpowiadasz? — Idź więc! Idź! W próżniaczo
Straconych godzin sen gnuśny i pusty
Pogrąż się, cielcze ty złoty!
Powróć do balów, do kart, do rozpusty...
Ja nie sprzedaję serca, ni pieszczoty!

O gdybyś ty był strudzonym nędzarzem,
A dumą pracy promienne oblicze,
I w piersi iskrę miał ducha;
Gdyby twe ręce były — wyrobnicze,
Lecz w oku — widna myśl, co z serca bucha; —

Gdybyś plebejem był, ale nad tymi,
Którzy w bezczynu gnuśnieją bagnisku,
Wysoko czoło niósł własne;
Gdyby w twym mózgu, jak w żywem ognisku,
Płomienie ducha paliły się jasne, —

Kochałabym cię! Kochała za dzieła
Młodzieńczej siły, za życie surowe,
Za bój, co broni nie składa,
I na pierś twoją schyliłabym głowę,
Czcią gorejącą, a miłością blada.

Lecz ty — kto jesteś? Czego się spodziewasz,
O, niewolniku złoconego śmiecia?
— Precz z drogi! Odstąp odemnie!
Pogardzam tobą! Żebrzesz nadaremnie,
Marny wyrodku marnego stulecia!

FELIKS KON.

Na Karze.

18)

Na Karze znajdowaliśmy się w specjalnem więzieniu dla politycznych, straż w tym więzieniu trzymali żandarmi, główny zarząd więzieniem też do żandarmów należał. Żadnych przymusowych robót nie było, obchodzenie się z więźniami było w czasach normalnych grzeczne, a w chwilach gdy rząd robił kroki w celu przeprowadzenia jakichkolwiek zmian, więźniowie występowali solidarnie i jednolicie przeciwko temu. Ta jednolitość i solidarność była solą w oku rządu. Skruszyć ją i złamać — było najbliższym celem rządu, pierwszym krokiem do przeprowadzenia zmian. Na Karze to się udać nie mogło. Trzeba więc przedewszystkiem przenieść politycznych do innego więzienia, ulokować w jednych celach z kryminalistami, znieść wszelkie przywileje, krócej mówiąc zrównać z zwykłymi kryminalistami. Zdecydować się na to wcale nie było łatwo, bo ci polityczni mogli odpowiednio oddziałać na siedzących w jednej celi z nimi kryminalistów i w rezultacie zamiast ukorzenia politycznych mogło nastąpić zbuntowanie kryminalistów, wcale dla rządu oczywiście niepożądane. Był nadto jeszcze jeden bardzo poważny szkopuł. Dopóki polityczni korzystali z pewnych przywilejów, można ich było pod wielu względami upośledzać, nie wypuszczać po upływie prawem przewidzianego terminu na „wolne kwatery“, zabraniać pisania listów w pierwszej osobie i zmuszać do pisania w imieniu komendanta, wysłać po ukończeniu katorgi do krainy jakutów, podczas gdy kryminaliści pozostawiali w położonym na południu kraju zabajkalskim, a nadto im pozostawiano wybór miejsca zamieszkania itd. Po zrównaniu w prawach z kryminalistami oczywiście wszystkie te „przywileje“ kryminalistów musiałyby być również stosowane do politycznych. Wreszcie wieczna zmora rządu obawa, by kto z politycznych nie uciekł z wspólnego z kryminalistami więzienia, zwłaszcza po usunięciu straży żandarmskiej, było to bardziej łatwem — ochładzała zapały rządu... Sromotnie w listopadzie przegrana sprawa, skłoniła go jednak do tego ryzykownego kroku.

Wiadomości o przeniesieniu do Akatuja w połowie 1900 roku już nam komunikowano półoficjalnie, a w sierpniu dla uroczystego oznajmienia nam o tem przyjechał nadamurski generał gubernator baron Korf, ten sam, który onego czasu kazał wysłać Kowalską do Werchniendińska i którego podpis figurował pod słynnem rozporządzeniem o chłoście.

Zebrano nas w podwórzu, otoczono żołnierzami i żandarmami, i Korf wygłosił mowę. Oznajmił o przeniesieniu nas do Akatuja, a zrównaniu z kryminalistami... „Rząd będzie ściśle przestrzegał instrukcji i ani w jedną, ani w drugą stronę, ani w stronę ulżenia, ani też w stronę pogorszenia Waszego położenia od niej nie odstąpi...“

Mówił głosem niepewnym, wpatrując się w nasze twarze. Być może, że przeczuwał nrebezpieczeństwo, jakie mu groziło jeżeli nie z naszej strony, jako całości, to ze strony jednego z nas, chorego na umyśle Fomierewa, tego carysty, o którym już wspomniałem.

Ostatnie wypadki pogorszyły jego stan, był bardziej zdenerwowany, bardziej podniecony. Kilka dni spędził w ogólnym lazarecie, ale gdy pod oknami pokoju, który za-

mieszkiwał, ochłostano dwóch kryminalistów, powrócił do więzienia... I teraz oto, gdy usłyszał słowa Korfa o zrównaniu nas „w prawach" z kryminalistami, okropna scena chłosty, której był świadkiem na nowo stanęła mu przed oczyma, niespostrzeżenie wymknął się z podwórza na korytarz, schwycił polano i już wiacał z powrotem na podwórze, by doraźnie ukarać niegodziwego czynownika, tak opacznie wykręcającego miłościwe zarządzenia carskie, gdy ktoś z towarzyszy zauważył go, rozbroił i odprowadził do celi.

Dziwną moc ma milczenie. Jak przedtem Choroszkin, tak obecnie Korf doznał na sobie tej potęgi... Nikt mu nie odpowiadał, nikt nawet miną, ruchem, giestem nie ujawnił tego, że słyszy, że rozumie o co idzie... Pod wpływem tego grobowego milczenia Korf plątać się zaczął, bełkotał coś, jakby chąc się usprawiedliwić, że on osobiście nie przyczynił się niczem do zmian jakie zaszły, wreszcie zapytał, czy nie pragnie kto postawić jakich pytań.

Nikt mu nie odpowiedział ani słowem, ani ruchem. Odczuł wówczas, że mamy go za kata i że dlatego milczymy... Jeszcze bardziej zmieszany, już zrobił kilka kroków w stronę bramy więziennej, gdy jeden z towarzyszy, wbrew wszystkim przemówił, stawiając jakieś dodatkowe zapytanie... Korf, jak gdyby się ucieszył, zaczął z ożywieniem odpowiadać, przekonywać, że będzie bacznie pilnował, by wszystkie ulgi, z jakich korzystają kryminaliści, stosowano i do nas.

Oburzeni na towarzysza, który tak niebacznie postąpił, słuchaliśmy tych słów zbroczonego we krwi Sigidy barona i nie mógł nas nie obrażać ton jego zapewnień...

— Nigdy nie pozwolimy na zrównanie nas z kryminalistami, zwłaszcza co do stosowania nas do chłosty — przerwał okrzykiem to przemówienie Korfa jeden z uwięzionych... Zdetonowany generał-gubernator zaczął zapewniać, że nikt o tem nawet nie myślał i nie myśli...

— A Sigida! — krzyknął drugi towarzysz.

Nie należało tego robić. Imienia tej męczennicy nie należało wymieniać w rozmowie z tym, którego ręka podpisywała rozkaz o ukaraniu jej... Nie należało sprawcy dawać sposobności do tłumaczenia, wykręcania się...

Stało się jednak... Ludzie już przestali panować nad swymi nerwami i postąpili nielitościwie... Korf się tłumaczył, zwalał winę na innych, wzdychał, mówił, że należy zapomnieć o przeszłości, której cofnąć nie sposób...

Jakie to charakterystyczne! Kat, przekonywujący skatowanych o konieczności zapomnienia jego czynów!

Zadowolony, że mu się udało przełamać lody milczenia, Korf odszedł, a myśmy powrócili do swych cel poniżeni, oplwani.

Nie długo jednak trwał ten stan. Już o zmierzchu tego samego dnia, gdyśmy zebrali się w celach w oczekiwaniu kontroli wieczorowej, naraz w korytarzu wszczął się niezwykły tumult biegania. Słychać było krzyk, jęk, trwożliwe jakieś wołania.

— Co się stało? Co się stało? — rozlegały się zapytania ze wszystkich cel...

Po chwili, która wydała nam się długą jak nieskończoność, otrzymaliśmy odpowiedź na to pytanie.

Fomierow, bardziej niż inni podniecony wypadkami dnia, nie porzucił myśli o czynnej odpowiedzi na wyzwanie Korfa. Zaczaił się z polanem w ręku w ciemnym kącie korytarza i gdy przyszedł nadzorca więzienia Pachoroków z całej siły ugodził go polanem w głowę. Pachoroków runął bez zmysłów na podłogę, przestraszeni zandarmi z krzykiem „biją naszych" rzucili się w kierunku bramy więziennej i gdyby staroście nie udało się ich zatrzymać i uspokoić, zaalarmowaliby wojsko i polałaby się krew.

O Fomierowie wiedziano, że jest umysłowo chorym. Spokój starosty wpłynął uspokajająco na żandarmów. Ze słowami: „Prawda! to warjat" powrócili na korytarz. Tu już Pochorukowa nie było. Znajdujący się przypadkowo w korytarzu towarzysze pochwycili go na ręce i zanieśli do celi szpitalnej, gdzie towarzysz Prybylew udzielił mu pierwszej pomocy, poczem go odniesiono do jego mieszkania, gdzie po kilku tygodniach kuracji wyzdrowiał.

Podczas całego tego zajścia najbardziej spokojnym z nas wszystkich był Fomierow. Przedewszystkiem oznajmił on żandarmom, że to on wykonał zamach na Pochorukowa i że nikt z więźniów o tym jego zamiarze nie wiedział, potem na zapytanie towarzyszy, dlaczego właśnie na Pochorukowie zemścił się za czyny całej biurokracji, objaśnił, że właśnie Pochorukow podczas jego pobytu w lazarecie więziennym kazał ukarać na ciele kryminalistów.

Tegoż samego dnia zabrano Fomierowa do lazaretu. Tu uznano go za warjata, nieodpowiedzialnego za swe czyny i sprawę formalnie umorzono. Miała ona jednak ogromne nie formalne znaczenie. Było to groźne „momento" skierowane pod adresem administracji więziennej, z którem się ona nie rachować nie mogła.

Kilka dni po tym wypadku wypuszczono do tak zwanych „wolnych komend" trzech żonatych towarzyszy: Rechniewskiego, Suchomlina i Luriego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Groza nowoczesnej bitwy.

W Londynie wyszła niedawno ciekawa książka p. t. „Human Billets". Autorem tej książki jest oficer japoński Sakurai, uczestnik straszliwej walki o Port Artura, z której wyszedł kaleką. Ujął on wspomnienia tej pełnej grozy walki we wstrząsający opis, gdzie w żywych epizodach przesuwają się wszystkie okropności nowoczesnej techniki wojennej.

„Kolumny nacierające rwały się w górę. Droga dookoła zaścielona była trupami, konającymi i rannymi. Była to droga iście piekielna. U góry blade reflektory rosjan rzucały upiorne błyski. Szereg drutów kolczastych, naładowanych elektrycznością tamował przejście. Inżynierowie i pjonierzy zaopatrzeni w nożyce, wyprzedzili szeregi, aby usunąć przeszkodę, lecz rażeni prądem padali nieżywi na ziemię, lub zawisali na drutach. Przed ostatecznym szturmem wypili żołnierze resztę wodę ze swych blaszanek delektując się nią, jak złotym nektarem. Droga szła dalej po wykrzywionych kurczem przedśmiertnych trupach i rannych, wijących się w bólach. Za nami wytaczano z trudem armaty, mające pomagać przy szturmie. Koła ich, obite żelazem przechodziły ze zgrzytem po trupach i jęczących w mękach konania. Ludzie znużeni drogą zebrali się do szturmu na stoku góry. Pułkownik zachęca ich kilku słowami, poczem maszerują dalej! Koło szańców rosyjskich zaczyna się rzeź. Nasze bomby pękają skutecznie, w niewielu minutach wszystko spustoszone. Dokoła lecą deski, kamienie, pękają worki z piaskiem, głowy, ręce, nogi wyrzucane z siłą lecą w powietrze. Buchające płomienie, dym i błyski strzałów, powlekają nasze oddziały złowrogim, czerwonawym blaskiem.

Nim zdołaliśmy przejść szańce, ukryli się nasi przeciwnicy w ciemności. Wśród wrzasku i zamieszania brzmi rozkaz: „kompanja Sakurai naprzód!" Na czele moich ludzi pospieszam naprzód. Słyszę, jak sierżant mój Ito z prawej strony woła: naprzód! Tymczasem błyszczących w ciemności bagnetów coraz mniej, ludzi moich również ubywa. Nagle czuję uderzenie i potykając się padam na ziemię. Dostałem postrzał w prawę rękę. Znów błyskają reflektory rosyjskie bladem światłem. Dokoła widać stosy trupów. Podnoszę zranioną rękę, jest ono zdruzgotana w stawie. Owijam pospiesznie ranę i z pałaszem w lewej wołam do żołnierzy, by szli za mną. Nagle powstaje straszliwy wrzask... „kontratak"! W samej rzeczy, oddział nieprzyjacielski... w oka mgnieniu jesteśmy otoczeni i okrzyk trjumfalny rozlega się dokoła. Bronimy się. Słychać już tylko szczęk broni i świst kul nieprzyjacielskich karabinów maszynowych, padających wśród nas. Ludzie padają jak trawa pod kosą. Dokładnie już tego opisać nie mogę... Chwilami czułem, żem powalił jednego z nieprzyjaciół.

Przypominam sobie jeszcze szczęk krzyżujących się jasnych kling. Nareszcie ochrypłem, nie mogłem już dłużej wołać. W końcu jeszcze złamała mi się szabla w ręku"...

Dwukrotnie raniony, padł Sakurai na ziemię. Nieprzyjaciel zostawił go na polu bitwy, myśląc, że nieżywy. „Były to najstraszniejsze, najboleśniejsze, najgorsze chwile mego życia. Już tylko powtarzałem ciągle słowa Nelsona: „Bogu dzięki spełniłem swój obowiązek..."

Tyle japoński oficer. Opis tej rzezi powinien poruszyć wszystkich ucywilizowanych ludzi do walki przeciw ohydzie wojny i przeciw militaryzmowi.

Wzrost ludności świata.

Liczba ludności najgłówniejszych narodów, należących do rasy białej, wzrosła w ostatnich 10 latach o 63.000,000 głów. W r. 1895 obliczono ludność całego świata na 506 miljonów, a obecnie obliczają ją na 750 miljonów. Ludność poszczególnych krajów przedstawia się w cyfrach w sposób następujący:

	1895	1905
Rosja	125,000.000	141,200.000
Stany Zjednoczone	68,934.000	83,143,000
Niemcy	52,279.000	60,665.000
Japonja	42,271.000	46,975.000
Wielka Brytanja	36,221.000	43,221.000
Francja	38,409.000	39,306.000
Włochy	31,296.000	33,604.000
Austro-Węgry	43,228.000	43,355.000

Rosja wykazuje najwyższą cyfrę urodzin, mianowicie 49 na tysiąc głów, ale też równocześnie wykazuje najwyższą cyfrę zgonów, mianowicie 31 na tysiąc. Najniższą cyfrę urodzin ma Francja, bo 21 na tysiąc głów, jeżeli się więc uwzględni wysoką liczbę zgonów, bo aż 19,6 na tysiąc osób, to zrozumiałym staje się skąpy wzrost ludności francuskiej. W Hiszpanji, Włoszech, Austrji, Węgrzech i Japonji ilość urodzin przewyższa liczbę 32 na tysiąc głów, zaś liczba zgonów jest zmienną. Najniższa liczba jest w Japonji, bo tylko 20 na tysiąc, a najwyższą w Hiszpanji, tj. 25.8.

Godne uwagi są zestawienia, dotyczące wzrostu ludności w rozmajtych krajach. Według nich największy przyrost posiada Rumunja, gdzie ludność w ostatnim lat dziesiątku wzrastała rocznie o 194 procent; następnie wykazują najwyższy procent wzrostu ludności inne państwa wschodnie, a mianowicie Bośnia 1.60, Bułgarja 1.54, Grecja 1.52, Serbja 1.51, dalej Niemcy 1.46, a wreszcie Rosja z procentem 1.37, ale to tylko wskutek uwzględnienia w tym rachunku obszarów azjatyckich, gdzie przyrost ludności jest bardzo znaczny; Rosja europejska wykazuje mniejszy procent przyrostu, a to 1.11, Polska 1.38, Finlandja 1.37. Reszta państw europejskich idzie w następującym porządku: Niderlandy 1.23, Danja 1.11, Norwegja 1.11, Szwajcarja 1.09, Węgry 0.98, Belgja 0.98, Wielka Brytanja 0.90 (przyczem jednak Irlandja wykazuje zmniejszenie się ludności o 0.54 procent), Austrja 0.90 itd. Na ostatniem miejscu znajdują się Włochy z 0.66 i Francja z 0.15 procent. Francja zatem ma zaledwie dziesiątą część względnego przyrostu Niemiec. Bezwzględnie jest ta różnica o wiele większa, albowiem ludność Niemiec zwiększyła się w ostatnim okresie liczenia rocznie o 854 820 głów, zaś ludność Francji tylko o 58 064. Kraje nieeuropejskie wykazują po części o wiele znaczniejszy przyrost ludności aniżeli kraje europejskie; stoi to jednak po części w związku z silną imigracją. Ludność Stanów Zjednoczonych wzrasta w każdym razie nie w tym stopniu, jakby się tego można spodziewać; wzrost bowiem wynosi rocznie tylko 1.89 procent. Najwyższy przyrost ludności ma zachodnia Australja, a mianowicie 11.49. Na Kubie zmniejsza się ludność o 0. 31 procent rocznie.

Z Turcji i niektórych państw zamorskich brak danych statystycznych.

Statut górnośląskiego knapszaftu

według uchwał walnego zebrania z dnia 27-go lipca 1907, ważny od 1-go stycznia 1908.

(Ciąg dalszy.)

d) Wolne lekarskie leczenie członków rodziny.

§ 23.

Chorujące żony i dzieci, nie mając jeszcze 15 lat, takich członków, którzy mieszkają w obrębie obwodu leczniczego (Kurbezirk), utworzonego według ustępu 2, mają prawo do wolnego lekarskiego leczenia, jeżeli oznaczeni członkowie rodziny sami nie podlegają przemusowemu zabezpieczeniu na przypadek choroby.

W celu udzielania wolnego lekarskiego leczenia osobom, wymienionym w ustępie 1 w § 47, według potrzeby, o której istnieniu zarząd rozstrzyga według własnego widzimisię, tworzy się obwody lecznicze (Kurbezirke) w obrębie obwodu towarzystwa (knapszaftu). Dla każdego obwodu leczniczego ustanowionym zostaje lekarz (lekarz obwodowy), do którego powinni się zgłaszać uprawnieni do leczenia po wolne leczenie pod warunkami wymienionymi w §§ 64 i 69.

Członkowie rodziny, którzy nie mieszkają albo nie przebywają w obwodzie leczniczym, nie mają prawa do wolnego lekarskiego leczenia.

Prawa do leczenia w lazarecie nie ma żaden członek rodziny.

e) Zapomoga pogrzebowa dla członków rodzin.

§ 24.

Członkom udziela się zapomogi na pogrzeb w razie śmierci żony albo dziecka nie mającego jeszcze 15 lat, jeżeli te osoby same nie były zabezpieczone na mocy prawa, wskutek czego należałaby się ich pozostałej rodzinie zapomoga pośmiertna.

Zapomoga (pogrzebowa) wynosi w razie śmierci żony 30 mk., w razie śmierci dziecka 15 mk.

Przepis z § 22 ustępu 2 należy zastosować do zapomogi pogrzebowej.

f) Nadzwyczajne wsparcie.

§ 25.

W przypadkach biedy mogą zostać udzielone wsparcia nadzwyczajne członkom kasy chorych, członkom ich rodziny lub rodzinie pozostałej, według uznania zarządu.

Nadzwyczajne wsparcia można udzielać także wtedy, kiedy możnaby wyleczyć chorych członków tylko w osobnej lecznicy albo w kąpieli, albo jeżeli do wyleczenia potrzebne są jeszcze inne środki leczenia, niż te, które wskazano w paragrafie 14 ustępie 1 pod numerem 1.

1. Przymus do wstępu. Prawo do wstępu.

§ 26.

Ci robotnicy i urzędnicy, którzy według § 9 ustępu 1 należą do kasy chorych jako członkowie, stają się zarazem bez wniosku członkami kasy inwalidzkiej, jeżeli:

1. skończyli 18 rok życia i nie przekroczyli 40 roku życia;

2. według lekarskiego badania wykażą się jako do pracy werkowej (kopalnianej) trwale zdatni, cieleśnie i umysłowo zdrowi i wolni od takich chorób i wad, któreby wczesną śmierć lub wczesną niezdatność do pracy zawodowej czyniły prawdopodobną.

Ci urzędnicy, którzy według § 9 ustępu 3 są uprawnieni do wstępu do kasy chorych, mają według warunków wyznaczonych w ustępie 1 prawo do wstępu do kasy inwalidzkiej jako członkowie.

§ 27.

Członków kasy inwalidzkiej dzieli się według ich stanowiska w pracy i wysokości zarobku na 5 klas.

Należą do I klasy członków: wszystkie robotnice, do II klasy członków: robotnicy zarabiający mniej niż 2,10 mk. przeciętnego zarobku dziennego (§ 17, klasa zarobkowa I i II), do III klasy członków: robotnicy z przyjętym dziennym zarobkiem przeciętnym 2,10 mk. i 2,70 mk. (§ 17, klasa zarobkowa III i IV), do IV klasy członków: urzędnicy i dozorcy z miesięcznym zarobkiem niżej 125 mk. i robotnicy z przyjętym dziennym zarobkiem przeciętnym 3,30 mk. i więcej (§ 17, klasa zarobkowa V do VIII), do V klasy członków: urzędnicy i dozorcy z miesięcznym zarobkiem od 125 mk. i więcej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmaitości

Saturn bez pierścienia. Dnia 8 stycznia 1908 r. astronomowie zaobserwowali dziwne przeistoczenie się Saturna: jasny pierścień, okalający go, zniknął całkowicie. Tego rodzaju zmiany miały miejsce już w XVII wieku. Współcześni

astronomowie próżno łamali sobie głowę nad rozwiązaniem tej zagadki, zaledwie badania lat ostatnich oświetliły należycie ten dziwny fakt. Pierścień Saturna, równoległy do jego równika, jest silnie pochylony ku jego orbicie; Saturn zaś obraca się koło słońca tą samą drogą co i ziemia, tylko na znacznie większej od słońca, niż ona odległości.

Wobec tego obserwując bieg Saturna, widzimy ciągle, jak kształt jego pierścienia, w zależności od tego, jakie położenie zajmuje planeta względem nas, przedstawia się nam już-to formie silnie rozciągniętej elipsy, która się z biegiem czasu wciąż zwęża, lub też z bocznego profiiu cienkiego, w którym to wypadku tracimy pierścień całkiem z oczu. Przedostatnie zniknięcie pierścienia datuje z roku 1891; w 1899 dochodzi on do stadjum największej szerokości elipsy, od tej chili zaś znowu się stopniowo zwęża, by zniknć nam z oczu w 1908 r.

Zjawisko to jest tedy perydyczne i może być zawsze z góry przepowiedziane. Następne zniknięcie pierścienia przypada na rok 1921.

Pierścień Saturna utworzył z się materji lotnej, otaczającej warstwami planetę. Wewnętrzna warstwa w pewnych odstępach czasu rozrywa się, przez utworzoną szczelinę można obserwować powierzchnię planety — zewnętrzna warstwa gra rolę ekranu. Saturn jest również kapryśny co do ilości swych satelitów. Od 1655 do 1848 r. odkryto ich 8.

Z chwilą udoskonalenia aparatów telegraficznych liczba ich wzrosła do 10; możliwe, że po pewnym czasie przybędzie ich jeszcze kilka. Że Saturn jnst ciałem na pół lotnem można wnioskować stąd, iż mimo to, że jast 720 razy większy od ziemi — cięższy jest od niej 96 razy.

* * *

Etykieta dworska za Ludwika XVIII. Drugi tom pamiętników p. de Boigne zawiera sporo humorystycznych obrazków, dotyczących etykiety dworskiej panującej za czasów Ludwika XVIII. Oto próbka, dowodząca, jak śmiesznym może się stać człowiek w atmosferze lenistwa, pochlebstwa i przeświadczenia o swej wyższości gatunkowej nad innymi ludźmi.

Żony ambasadorów cudzoziemskich nie mogły być przyjmowane przez króla w sposób otwarty; czyniono im tylko łaskę, inscenizując „przypadkowe" spotkania się, w których wszystko było opracowane i przewidziane, jak w pantominie baletowej. W pamiętnikach de Boigne znajduje się taki opis przyjęcia żony posła angielskiego, lady Elżbiety York. Scena rozegrała się w apartamentach ks. Angouleme, siostrzenicy królewskiej. Asysta księżnej składała się z tuzina dam dworu, które zajęły krzesła z poręczami lub bez poręczy — zależnie od swej rangi. Sporo czasu musiano czekać na zjawienie się króla, który przy swej tuszy wlókł się powoli przez olbrzymią ilość komnat pałacowych. Nareszcie król się pokazał: wszystkie damy powstały... Król z należącem do etykiety zdziwieniem, zwrócony do swej siostrzenicy, wygłosił formułę, która po setki razy powtarzała się od czasów Ludwika XIV. „Pani, nie wiedziałem, że się pani znajduje w tak miłem towarzystwie..." Księżna Angouleme odpowiedziała również obowiązującą w takim wypadku formułką, poczem król paroma słowami „zaszczycił" p. York.

A trzeba dodać, że przecież ci ludzie byli świadkami wielkiej rewolucji, że księżna Angouleme (córka Ludwika XVI) pamiętała śmierć swych rodziców, była więzioną, a Ludwik XVIII tułał się po świecie i jako rezydent przesiadywał w Mitawie na łasce cara Pawła... I takie doświadczenia nic nie podziałały na pozbycie się takich śmiesznych, drobiazgowych kuglarstw etykietalnych.

* * *

Najdłuższa kolej linowa w świecie. Inżynier G. Dietrich z Lipska opisuje otwartą niedawno kolej linową wiszącą, systemu Bleicherta, w północno argentyńskich Kordylierach i oddaną na użytek publiczny dla ruchu towarowego i osobowego.

W północnych górzystych okolicach Argentyny są pokłady bardzo obfite metali i nigdzie podobnej ilości dotąd nie wykryto. Z powodu wielkiej trudności komunikacyjnej nie było można wyzyskać tych skarbów. Rzeszypospolita Argentyńska jest prawie trzy razy tak wielka jak cesarstwo niemieckie, a liczy tylko 6 miljonów mieszkańców, zatem zaledwie jedną dziesiątą część tego, co Niemcy. Sieć kolei w Argentynie ma zaledwie 17000 km., co świadczy, jak słabo rozwinięte jest państwo pod względem ekonomicznym. — Rudy żelaza, miedzi, srebra i złota znajdują się w Kordylierach w pokładach znanych od setek lat, a wyzyskanych dotąd w minimalnej części. Wszelkie projekty dotarcia drogą utartą z ostatniej stacji kolejowej w Chiletico (1100 m. nad p. m.) do ruin w Upulungos, okręgu Famatina, rozbijały się o trudności techniczne, albowiem są tam góry, dochodzące do 7000 m. wysokości. Chilecito od Upolungos jest odległe w linji powietrznej o 35 km., a różnica wysokości tych dwóch miejscowości dochodzi do 4000 m. Dotychczas dostawano się tam ścieżkami, dostępnymi tylko dla mułów, okrążając góry i nakładając 150 km. drogi. Odległość stacyj końcowych w poziomie wynosi 34.67 km., różnica wysokości między jedną a drugą stacją jest 3510 m. Wydatność kolei obliczono na 40 ton na godzinę przy zjeździe z góry, pod górę zaś na 20 ton.

Z literatury i sztuki

„Myśl Niepodległa", (Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10). Treść nr. 53 (dekada druga na luty): Świadomość narodowa. — Wład. Oster: Związek rodzinny. — Dr. W. Miklaszewski: Pogrzeb. — Błyski myślowe. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Wolna gmina. — Zapiski. — Książki.

„Społeczeństwo", tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny (Warszawa, Zórawia nr. 29 m. 2). Treść nr. 7: Almar: Horyzont polityczny. — Janusz Korczak: Szkoła życia (Stołownia. Dom robotniczy). — Oktawjusz Mirbeau: Ogród udręczeń. — Otton Bauer: Zagadnienie narodowości (Dokończenie). — J. Wł. Dawid: Mózg i dusza. — Wacław Nałkowski: O okolicach bieguna południowego. — Leon Choromański: Wystawa sztuki stosowanej. — P.: Negatywy. — Zjazd delegatów kultury polskiej. — Kapitalizm we Finlandji. — Kronika.

„Młoda Polska". Pod tytułem „Zbornik Mołodoj Polszi", nakładem wydawnictwa petersburskiego „Eos" ukazał się zbiór tłumaczeń z następujących utworów polskich: G. Daniłowskiego „Pociąg", K. Tetmajera „Tryumf", W. Grabińskiego „Uczta Baltazara", St. Żeromskiego „Dr. Piotr", Wł. Reymonta „Przed świtem", St. Przybyszewskiego „Goście", St. Wyspiańskiego „Meleager", oraz rzeczy A. Niemojewskiego i J. Żuławskiego.

Setna rocznica urodzin Słowackiego. Pod przewodnictwem radcy dworu Adama Krechowieckiego odbyło się we Lwowie trzecie posiedzenie sekcji obchodowej, komitetu obchodu setnej rocznicy urodzin Juljusza Słowackiego. Głównym tematem obrad była w pierwszym rzędzie sprawa przewiezienia zwłok poety do kraju. Sekretarz prof. dr. Hahn podał do wiadomości, że prezydjum komitetu wystosowało pismo do prezydenta gabinetu francuskiego Clemenceau, w celu usunięcia trudności prawnych, na jakie przewiezienie zwłok napotyka. Pismo to podpisane przez prezydjum miasta, jakoteż prezydjum komitetu wręczy p. Clemenceau osoba uproszona przez komitet. Na ankietę krakowską w sprawie wyboru miejsca złożenia zwłok poety, postanowiła sekcja jednogłośnie odpowiedzieć, że miejscem złożenia zwłok poety powinien być Wawel — zgodzono się też na to, że osobnych list składkowych w tym celu komitet lwowski nie wyda. Kilka list komitetu krakowskiego rozdano między komitetowych i instytucje lwowskie.

Drugim punktem obrad była sprawa pomnika. Po dłuższej dyskusji uchwalono wnieść podanie do namiestnictwa o pozwolenie zbierania składek na pomnik. Upoważniono nadto prezydjum do wydania odezwy zachęcającej społeczeństwo do składek na pomnik.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 9. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 29 lutego 1908.

Piosnka śląska.

Hej! Ślązacy, hej rodacy,
Przyszłość woła nas,
Jak do pracy, — to do pracy
Dalej bracia wraz.

My górnicy — robotnicy
W ziemi schodzim głąb,
W wiecznych mrokach i ciemnicy,
Życia kładziem zrąb.

Do roboty! huczą młoty,
Wykuć nowy świat,
Blask rozpalić słońca złoty
Dla ubogich chat.

Hej Ślązacy, hej rodacy
Przyszłość woła nas,
My bezdomni oto ptacy,
Czas to zmienić, czas!
W własnej ziemi my żebracy,
Czas to zmienić, czas!

FELIKS KON.

Na Karze.

19)

Świadczyło to o tem, że Korf dotrzymuje obietnicy i te ulgi, z których dotąd korzystali tylko kryminaliści, i do nas nadal stosować zamierza... Minęło jeszcze trzy dni i zakomunikowano nam listę 17 osób, które mają być nazajutrz wypuszczone do „wolnych komend“. W ich liczbie byłem i ja. Pozostawało 13: Bierezniuk, Czujkow, Mojżesz Dikowskij, Dulęba, Dzwonkiewicz, Iwanow, Jakubowicz, Lewczenko, Mańkowski, Nagornyj, Sękowski, Spandoni i Zundelewicz których wysyłano do Akatuja.

Nigdym nie przypuszczał, że może nastąpić chwila, gdy staną otworem przedemną wrota więzienne, a ja z bolem i smutkiem będę opuszczał więzienie... A jednak tak było... Trzynastu towarzyszy, których pędzono o kikaset wiorst od Kary, których czekała bodaj że najstraszniejsza walka, walka na dwa fronty, z otaczającymi ich kryminalistami i z władzą, ciągle stało przed memi oczyma i, wychodząc z więzienia, czułem się winnym wobec nich, winnym tego, że nie podzielam ich losu, nie wezmę udziału w ich walce...

— Prędzej, panowie: Czekamy na was! — pobudzali nas do wyjścia za bramę żandarmi, a myśmy się ociągali, jakiś wstyd niewypowiedziany trzymał nas na miejscu... Żegnaliśmy się z tymi skazanymi na dalszą mękę. Wielu płakało...

— Do widzenia!

Żegnaliśmy się tem słowem, zupełnie nie wierząc, żebyśmy się jeszcze kiedykolwiek w życiu ujrzeć mieli...

Komendant przysyłał coraz to nowych gońców, byśmy opuścili więzienie. Przedstawiciele nowej władzy, która po żandarmach obejmowała zarząd, też nas naglili do wyjścia...

Skorzystaliśmy z tego i zastrzegliśmy sobie prawo pożegnania się jeszcze raz w dzień ich wyjścia z Kary. Obiecano to nam i słowa dotrzymano... Na trzeci dzień wpuszczono nas znowu do więzienia... Wszyscy towarzysze byli na nowo zakuci w kajdany i wesoło pobrzękiwali łańcuchami. Było im lepiej, niż nam. Jedni żartowali, drudzy obiecywali za rok powrócić... O pierwszej godzinie po południu weszli do więzienia kozacy, kazano się nam pożegnać i wyjść...

Po półgodzinie wyprowadzono ich z więzienia. Pożegnaliśmy ich jeszcze raz z daleka, bo już nas do nich nie dopuszczano... Skręcili na drogę i poszli... Po chwili już tylko brzęk kajdanami wskazywał na kierunek, dokąd ich prowadzono... Potem i ten dźwięk zamarł, a wraz z nim na zawsze istnieć przestało słynne więzienie karyjskie...

ROZDZIAŁ XI.

Niewesoło było nam na duszy w chwili, gdy nas wypuszczano z więzienia... Otworzono przed nami wrota, żandarmi poszli przodem, my za nimi... Szliśmy apatycznie, przeczuwając w duszy chwilę pożegnania z towarzyszami, nie myśląc, ani zastanawiając się, dokąd idziemy i poco...

Ocknęliśmy się dopiero w chwili, gdy żandarmi zatrzymali się przed swemi koszarami i zadali nam pytanie: „A wy, panowie, dokąd?“ Okazało się, że przyzwyczajeni długoletniem więzieniem, szliśmy... za żandarmami. Rumieniec wstydu oblał nam twarze... Odwróciliśmy się od tylu naszych długoletnich aniołów opiekuńczych i poszliśmy szukać towarzyszy, już dawniej wypuszczonych z więzienia. Szliśmy długo... Zupełnie odzwyczailiśmy się od chodzenia... Dziesięć minut drogi ogromnie nas zmęczyło. Gdyśmy przechodzili koło jednej z izb, przybiegły nam na spotkanie psy i łasić się do nas zaczęły...

— Muszą tu nasi mieszkać — zauważył ktoś z towarzyszy.

Domysł jego był trafnym. Po chwili z izby wybiegła Witolda Rechniewska (z domu Karpowicz), administracyjnie zesłana w sprawie „Proletarjatu“ na pięć lat do Zachodniej Syberji, której dopiero po upływie tego terminu pozwolono przyjechać do męża na Karę.

Zmęczeni zrobiliśmy w jej izbie pierwszy przystanek. Po kilku minutach byli tu już wszyscy towarzysze.

Rozmowa się jednak nie kleiła. Pozostawieni w więzieniu na pastwę rządu towarzysze nie wychodzili nam z głowy.

Nazajutrz wypuszczano z więzienia cztery towarzyszki. Wyszliśmy na ich spotkanie... Dziwnym zbiegiem okoliczności, te cztery towarzyszki reprezentowały trzy różne epoki ruchu rewolucyjnego. Najstarsza z nich, Zofja Leszern von Herzfeld, była przedstawicielką słynnego „chożdżenja w narod“, epoki, kiedy rewolucjoniści po raz pierwszy jako apostołowie rzucili się do ludu z dobrą nowiną socjalistyczną. Drugą z kolei była Anna Korba, jedna z najwybitniejszych działaczek „Narodnej Woli“, członek Komitetu Wykonawczego z czasów po 1 (13) marca 1881 r., kiedy z rąk rewolucjonistów padł Aleksander II. Korba, razem z drugą, wypuszczoną tegoż dnia z więzienia Iwanowską, była skazaną na 20 lat katorgi

w sprawie Graczewskiego w 1882 roku. Wreszcie czwarta, Dobruskina, była skazaną w sprawie ostatnich mohikanów, „Narodnej Woli“ — Hermana Łapatina itd. Towarzyszki też z niewesołem sercem opuszczały więzienie, w którem pozostawały słynna Jakimowa-Kobyzewa, uczestniczka zamachu na Aleksandra II, Saława i Trinidatska i Ananjina.

Z towarzyszkami spotkaliśmy się po raz pierwszy, a jednak od pierwszej chwili czuliśmy się z nimi, jak bracia.

— Chodźmy na cmentarz! — zaproponowała Dobruskina.

Pragnęliśmy tego sami i udaliśmy się tam tego samego dnia... Tylu umarło na Karze, żeśmy już tu mieli „swój“ cmentarz...

Nie mogę się tu powstrzymać od podania niektórych cyfr, które lepiej, niż wszelkie opisy, kreślą stan rzeczy na Karze.

Skończyli samobójstwem: 1) Bobochow, 2) Iwanajn, 3) Kowalewska, 4) Kałużnaja, 5) Kałużnyj Iwan, 6) Siemianowskij, 7) Smirnicka, 8) Sigida, 9) Rodin. Zmarli: 1) Ananjina (już po moim wyjeździe), 2) Atanades, 3) Armfeld, 4) Bohomdec (po moim wyjeździe), 5) Wejmar, 6) Żukow, 7) Iljaszenko, 8) Lebiediewa, 9) Lisowska, 10) Opryszko, 11) Popko, 12) Rogaczew, 13) Uspiński.

Ogółem było przez cały czas istnienia więzienia na Karze 217, umarło 22, a zatem przeszło 10 proc. Zwłaszcza ogromnym jest procent zmarłych kobiet. Na 32 umarło na Karze 9, a do tego dodać należy jeszcze Rossikową, przewiezioną z Kary do więzienia w Irkucku, gdzie wkrótce umarła. Długo staliśmy nad grobami towarzyszy, przeżywając jeszcze raz w duszy ostatnie zajścia w więzieniu, i dopiero na odchodnem zauważyliśmy, że o kilka kroków od „naszych“ grobów znajdował się grób zmarłego na Karze jakiegoś żandarmskiego oficera... Sprawiło nam to przykrość... Tu już można się było chyba obejść bez takiego sąsiedztwa. To jedno raziło, bo poza tem cmentarzyk ten, „nasz cmentarz“ — jak się wyrażano — był bardzo schludnie utrzymywany przez towarzyszy.

Już zmierzchać zaczynało, gdyśmy opuszczali cmentarz... Trzeba było pomyśleć o noclegu i dla Dobruskinej i dla siebie... Rząd, co prawda, oddał nam do dyspozycji kilka domków, ale nie były one jeszcze podzielone pomiędzy towarzyszy, którzy i tu się rozlokowywali według sympatji, i czasowo spaliśmy, gdzie się dało... Dopiero po upływie kilku dni zaprowadzono jaki taki ład, rozlokowano wszystkich i rozpoczęto przygotowywania na zimę. Dotąd tej troski nie mieliśmy. Opiekuńczy rząd dostarczał drzewa na opał więzienia. Na „wolności“ sami musieliśmy się o to troszczyć. Nie było to przykrem. Przeciwnie. Po tylu latach siedzenia nawet jesienny las nas nęcił. Uzbrojeni w siekiery i piły, udaliśmy się o świcie do lasu i rozpoczęła się robota... Niektórzy, a bodajże nawet większość, po raz pierwszy w w życiu wykonywali taką robotę; to też dziwić się należy, żeśmy względnie cało wyszli z tej pierwszej próby... Były wypadki, że drzewo, już zupełnie spiłowane, stało dalej, jak zupełnie nietknięte... Spychaliśmy go i wówczas padało, ale niekiedy w zupełnie inną stronę, niż przewidywaliśmy, i tylko wypadek zarządził, że nikogo nie zdruzgotało. Niekiedy znowu niezupełnie przepiłowane drzewo przedwcześnie padało i znowu w najmniej pożądanym kierunku...

Z wypadków, jakie się wówczas zdarzyły, zapamiętałem trzy: w jednym wypadku Luri i Dejcz już zwalone drzewo przepiłowywali na polana. By te polana były równe, Dejcz odmierzał pięć ćwierci, a Luri siekierą robił znak na drzewie, gdzie piłować należy. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć — odmierzył Dejcz i zatrzymał palec na miejscu. Luri uderzył siekierą i kawałek palca Dejcza odleciał... W dwóch innych wypadkach, mniej zresztą poważnych, odznaczyła się Polonia: Tadeusz Rechniewski i ja. Stanowiliśmy parę w piłowaniu. On był fizycznie silny, ja znacznie słabszy i nieraz piły pociągnąć do siebie nie byłem w stanie. Chcąc mi dopomóc, Tadeusz pchnął ją, piła się zgięła i padła mi na palce. Nie widząc tego, Rechniewski pociągnął piłę i mój palec został rozpłatany aż do kości. Innym razem, już w jaki miesiąc później, piłowaliśmy drzewo przed domkiem, zamieszkanym przez Rechniewskich. Głęboki śnieg pokrywał całe podwórze. Klęczyć dla piłowania w śniegu było bardzo niedogodnie, to też postanowiliśmy położyć ogromne drzewo na kozłach by piłować, stojąc... Rechniewski uniósł w górę z jednego końca drzewo, ja podstawiłem kozioł, on je opuścił nań mniej powoli, niżby należało, kozioł pękł, roztrzaskał się na drobne kawałki i jeden z tych kawałków ugodził mnie w skroń... Padłem, jak nieżywy. Wniesiono mię do mieszkania Rechniewskich, cucono, sprowadzono towarzysza-lekarza. Doznałem wstrząśnienia mózgu, ale wkrótce przyszedłem do siebie...

Nie zważając na te drobne wypadki, roboty te miały dla nas wielki urok i pozostawiły bardzo przyjemne wspomnienia... „Wolność“ jednak niosła z sobą i mniej przyjemne zjawiska. W „wolnych komendach“ z konieczności ta równość materjalna, jaka cechowała nas w więzieniu, znikła... Jedni znaleźli zarobki lepiej płatne, inni gorsze, jeszcze inni żadnych znaleźć nie mogli. Podatek postępowy, wprowadzony dla zmniejszenia tej nierówności, łagodził ją tylko, ale nie niweczył. A tej nierówności materjalnej towarzyszyły i inne wyróżnienia: jedni żyli lepiej, ubierali się lepiej, mogli korzystać z wszelkich dobrodziejstw wolności, inni byli tego pozbawieni...

Mnie osobiście to już niemal nie dotyczyło wcale. Byłem na wylocie z Kary... Dni mego pobytu tu już były policzone. „Wylot“ ten nie obył się atoli bez charakterystycznego dla biurokracji rosyjskiej curjosum. Pewnego pięknego poranku zostałem wezwany do nadzorcy, który mi oznajmił, że otrzymał depeszę od zarządzającego nerszyńską katorgą z następującem zapytaniem: „Zapytaj pan Kona, gdzie pragnie zamieszkać po wyjściu z katorgi“. Odpowiedziałem, że w jednem z miast kraju zabajkalskiego i coprędzej pobiegłem do towarzyszy zawiadomić ich o tej tak ważnej dla wszystkich nowinie. Był to pierwszy wypadek, że nas zrównano z kryminalistami i pytano, gdzie chcemy zamieszkać, nie wysyłając bez pytania do kraju jakutów... Wielka radość zapanowała wśród towarzyszy... Winszowano mi, winszowano sobie... Projektowano nawet urządzenie uczty... Po kilku dniach jednak nadszedł drugi telegram: „Wysłać Kona do kraju jakuckiego do dyzpozycji miejscowego gubernatora“...

Okazało się, że naczelnik katorgi zbyt był naiwnym i rzeczywiście uwierzył w owo zrównianie z kryminalistami... Gubernator skarcił go za to i... sprawiedliwości stało się zadość: politycznych po dawnemu wysyłano do Jakutki.

Towarzysze namawiali mię, bym pod pretekstem choroby zatrzymał się jeszcze kilka tygodni i przeczekał mrozy styczniowe. Nie zgodziłem się na to... Ciężko mi było rozstawać się z ludźmi, z którymi tyle czasu spędziłem razem, obok których walczyłem; żal mi było porzucać drogie wielkie mogiły karyjskie... Ale „dołgije prowody — lisznija śliozy“ długie pożegnania — to zbyteczne płacze. Pożegnałem wszystkich i znowu z partją kryminalistów ruszyłem w świat.

KONIEC.

Zakaz pracy nocnej.

Jeszcze większą potrzebą od wypoczynku niedzielnego jest wypoczynek nocny. Od setek miljonów lat cała natura ożywiona przywykła spać w nocy, wskutek czego stało się to potrzebą naszego organizmu, której naruszać nie można bezkarnie. I jeżeli w niektórych wypadkach potrzeby produkcji zmuszają ludzkość do nieprzerywania pracy w nocy, to powinno być ograniczone do wypadków konieczności bezwzględnej i odpowiednio wynagradzane. Człowiek, który w dzień śpi, a w nocy pracuje, cierpi od takiego trybu życia i musi wynagrodzić sobie to bardziej obfitem pożywieniem, większem ciepłem w mieszkaniu i odpowiedniemi wygodami.

Dlatego

praca nocna powinna być w zasadzie zniesiona.

Te zaś zawody, w których ona może być dopuszczona, nie są bynajmniej tak liczne i powinny być wyraźnie w prawie wymienione. W żadnym razie nie może być pozostawione policji czy administracji rozstrzyganie, dla kogo ma być pod tym względem robiony wyjątek.

Do rodzajów pracy, która musi trwać bez przerwy, albo odbywać się właśnie w nocy, należą: te zakłady przemysłowe, gdzie technika nie pozwala na przerwanie produkcji, np. wielkie piece, których na niedzielę gasić niepodobna; służba komunikacyjna, którą w nocy można ograniczać, ale niepodobna przerywać, na wielkich linach kolejowych, przy tele-

grafie, w wielkich centrach miejskich; praca czyniąca zadość potrzebom duchowym, więc drukowanie i rozsyłanie gazet, które rano wychodzą i są koniecznością dzisiejszego życia politycznego, zarówno dla kapitalisty, jak i robotnika; przygotowywanie produktów spożywczych, potrzebnych do rannego posiłku ludności i parę drobniejszych zawodów.

Otóż te wyjątki powinny być przedewszystkiem płatne specjalnie, według taryfy daleko wyższej od zwykłej, powtóre praca nocna wraz z dzienną nie powinny przewyższać określonego przez prawo lub umowę dnia roboczego. Jeżeli za tem jaki robotnik ma pracować w nocy, to nie dość, że powinien być za to osobno wynagradzany, ale oprócz tego jego praca dzienna powinna być o tyleż skrócona. Tylko wtedy bowiem praca nocna nie będzie zbyt wielkich szkód przynosiła organizmowi, wtedy też zapobiegnie się takim nieszczęściom, jak wykolenie pociągów, pochodzące stąd, że maszynista po całodziennej pracy siada na lokomotywę, aby odbyć nocną zmianę.

Z przeszłości Australji.

Cofnijmy się o 120 lat, kiedy to pierwszy „transport" europejczyków wylądował na południowo-wschodniem wybrzeżu Australji — w Botany Bay (teraz Sydney). Było wszystkiego 1100 osób, w tem około 350 żołnierzy i ludzi wolnych: reszta — przestępcy. Ludzie wolni i zesłańcy mieli się zająć uprawą ziemi i rzemiosłami, wojsko miało ich pilnować i bronić od dzikich australczyków. Taki rozkaz otrzymał dowódca ekspedycji, kapitan Philip. Wykonanie nie było łatwe. Ziemia dziewicza nie odrazu daje się pokonać i zmusić do posłuszeństwa pracy ludzkiej. W dodatku mało kto z pomiędzy przybyszów miał pojęcie o rolnictwie. Rezultat był taki, że przeszło przez dwa lata ludność nowej kolonji żyła zapasami, przywiezionymi z Anglji. Te się wyczerpały, więc pół porcji i głód. Dodajmy do tego charakter ludności, a będziemy mieli ładny obrazek: żołnierze odmawiali posłuszeństwa oficerom, ci zdawali się zupełnie ignorować obecność gubernatora, a przestępcy używali prawie zupełnej swobody. Stosunki pogorszyły się znacznie w latach 1792— 1794, gdy Nowa Południowa Walja nie miała władzy cywilnej i oficerowie rządzili jak im się podobało. O pożytku kolonji nikt ani myślał, (a emigrantów dobrowolnych i przymusowych ciągle przybywało), przestępców albo katowano i wieszano bez powodu, albo patrzano spokojnie, jak ci grabili, palili i rozbijali na wielką skalę. Nic dziwnego: im lepiej stali deportowani pod względem majątkowym, tem oficerowie mieli większy dochód; oficerowie bowiem przywłaszczali sobie monopol sprzedaży spirytusu a szczególnie rumu i zarabiali na tem do 1,200 procentów. Ludność i wojsko piło strasznie: w roku 1800 dowóz alkoholu do Sydney wynosił 90 tysięcy litrów, co przy ludności pięciotysięcznej czyni 18 litrów na głowę. Zakaz wywozu rumu niewiele pomógł — szwarcowano w olbrzymich ilościach. Rozprężenie doszło do szczytu w roku 1808, gdy wojsko zrzuciło i uwięziło gubernatora Iligh, urzędnika nietaktownego i bezwzględnego, i wprowadziło sądy wojenne. Wtedy nareszcie Anglja reagowała i przysłała człowieka bardzo zdolnego i energicznego, L. Marquaire, i, co ważniejsze, dodała mu pułk piechoty liniowej, bez którego największa energja nic by nie pomogła. Wojsko australijskie, tak zw. „pułk wódczany" zostało wpakowane na okręty i odesłano do Anglji.

Pod rządami Macquarie'ego Nowa Południowa Walja rozwinęła się gospodarczo ogromnie.

Stopień moralności jednak prawie że się nie podniósł. Rum i wódka panowały niepodzielnie. Swoboda przestępców była tak wielka, że jeden z nich, niejaki Watt, skazany na 14 letnie zesłanie za grube oszustwa, zdobywa sobie miejsce redaktora jednego z głównych dzienników, trzęsie całą kolonją i rządzi gubernatorem. Kradzieże, oszustwa, rozboje i zabójstwa należą do zjawisk codziennych (wszystko jak u nas) bandy po 100, a nawet po 150 „Bushrangerów" operują na wsi i po miastach; grabią farmy, rozbijają banki. Cała kolonja jest nieustannie w drodze do sądu. Wyrok skazujący należał jednak do rzadkości. Przedewszystkiem adwokaci, przeważnie powydalani z Anglji za oszustwa, uciekali do wszelkich środków, aby klienta uniewinnić; a po za tem, jakżeż mieli przysięgli wskazywać swego byłego, lub obecnego kolegę? Typową była sprawa o mężobójstwo: winą była oczywista i przewodniczący zaznaczył w mowie do przysięgłych, że jest tylko jeden wyrok możliwy — szubienica. Morderca został zupełnie uniewinniony... pomiędzy przysięgłymi był tylko jeden głos za skazaniem; reszta członków sądu, to wszystko ex-przestępcy, którzy albo swoją karę odbyli, albo się od niej wykręcili umiejętnie.

O zawieraniu małżeństw nie było mowy. Kontyngens prostytutek ogromny: każdy okręt z Anglji przywoził nowy transport. Stosunki ówczesne charakteryzuje doskonale zdanie jednego murzyna; przez 14 lat służył on wiernie swemu panu, objechał z nim pół świata, a po roku pobytu w Sydney okradł go i usiłował otruć. Badany sądownie zawołał z płaczem: „W Sydney Żako wcale nie mieć charakter. Żako teraz łotr! W Sydney wszyscy łotry, pan sędzia pewnie także łotr"!

A teraz Australja, która do roku 1868 (zniesienie deportacjj) przyjęła 137,443 zesłańców, czyli przeszło 1,780 rocznie, teraz ta Australja jest prawie ideałem dobrze zorganizowanego społeczeństwa, przykładem kraju „spokojnego", ziemią ludzi uspołecznionych.

Stanisław Arct.

Rozmaitości

Walka wieloryba z parowcem. Załoga pewnego wielkiego parowca przewozowego towarzystwa żeglugi Hamburg-Ameryka, który zawinął do portu Plymouth, opowiada o ciekawej przygodzie, która wydarzyła się podczas podróży. W pobliżu Corunia ujrzano z pokładu olbrzymiego wieloryba, który płynął przed parowcem, wyrzucając w górę strumienie wody. Parowiec dopędził niebawem potwora morskiego, a mijając trącił go silnie w bok. Zwierzę, podrażnione tem, zwróciło się przeciw okrętowi i rozpoczęto formalną walkę z nieznanym sobie przeciwnikiem. Wieloryb rozpędzał się i uderzał całą siłą w ściany okrętowe, tak, że statek drżał we wiązaniach. Ale uderzenia te nie mogły oczywiście uszkodzić statku. Po dłuższym dopiero czasie zwierzę zaniechało dalszych ataków i popłynęło dalej swoją drogą. Załoga ocenia długość potwora co najmniej na 50 stóp.

* * *

Jak Edison pracuje. W wychodzącym w Berlinie dwutygodniku „Neue Revue" opowiada były współpracownik Edisona dr. Kolben ciekawe szczegóły o pracach sławnego wynalazcy Tomasza Edisona. Kolben twierdzi, że Edison zna doskonale całą literaturę przyrodniczą i elektrotechniczną, ale nauki teoretycznej posiada mało. Nieraz długo sili się na rozwiązanie jakiegoś zagadnienia naukowego, bezskutecznie; za to doskonale umie zamienić teorję w praktykę. Mylnem jest mniemanie, jakoby Edisonowi wynalazki udawały się z błyskawiczną szybkością; przeciwnie, długo i wytężająco musi pracować, nim dojdzie do rezultatu. W chwili takiej pracy przebywa jego sztab złożony z inżynierów, konstruktorów, werkmistrzów itd. ciężkie godziny; muszą nieraz dniem i nocą być ne zawołanie mistrza. Dr. Kolben opowiada, że raz w jesieni 1899 Edison w fabryce swej w Scheneclady pracował nad pomysłem nowego motoru elektrycznego; przez 5 tygodni nie wychodził z fabryki, w pracowni swej jadł i spał najwyżej 4 godziny na dobę, myślał, dawał wskazówki, doglądał wykonywania modeli, robił próby z gotowymi modelami, a ten jego zapał udzielił się wszystkim współpracownikom.

Głównie dzięki tej wytrwałości i obstawaniu przy raz powziętym planie zawdzięcza Edison swe kolosalne sukcesy.

* * *

Telegrafon. Znany inżynier duński W. Poulson wynalazł przyrząd, który może przyjmować rozmowy do 3000 słów, przez dowolnie długi czas je przechowywać i wedle potrzeby z doskonałą czystością i wiernością odtwarzać. W połączeniu z maszyną do pisania ma ten wynalazek nadzwyczajną doniosłość. Budowa telegrafonu jest niezwykle prosta. Obok jednego z biegunów elektromagnesów przy

przy telefonie przesuwa się drut stalowy długości około 5000 m. owinięty na dwa walce. Otóż przerwy czy falowanie magnetyzmu w elektromagnesach telefonu (powstające wskutek przerw podczas mówienia) udzielają się podczas przesuwania owemu drutowi stalowemu, które je jednak przez długi czas przechowuje. Jeżeli się następnie ten drut, mieszczący w sobie niejednostajne działanie magnetyczne, przesuwa zaraz albo po pewnym czasie, z tą samą szybkością obok drugiego podobnie urządzonego elektromagnesu aparatu (magnes-oddawczy), to magnetyzm drutu stalowego wytwarza w przewodach otaczających elektromagnes prądy indukcyjne, które w połączeniu z telefonem dają się słyszeć jako oryginalna rozmowa. Energja głosu została tu więc zachowana w formie magnetyzmu. Piszący na maszynie może zatem po wielu latach przepisać rozmowę zawartą w drucie stalowym. Znaczenie telegrafonu z tego także względu ma wielka doniosłość, ponieważ piszący, przepisując rozmowę dyktowaną przez telefon, może miejsce niewyraźnie lub niezrozumiałe powtórzyć kilka razy. Wreszcie służy telegrafon jako instrument kontrolny dla mowców telefonicznych, ponieważ przez powyżej opisane postępowanie gwarantuje w każdym czasie autentyczne ich odtworzenie. Telegrafon odtwarza nie tylko mowy ale wszystkie inne głosy. W porównaniu z fonografem ma telegrafon obok tego, że reprodukuje wyraźnie i nie oddaje ubocznych szmerów, także tę zaletę, że przyjmuje i przechowuje 3000 słów, gdy na walcach przy fonografach zmieści się tylko 300 do 400 słów.

* * *

Sztuczna kamfora. Chemja organiczna ma do zanotowania nowy sukces. Udało się jej wytworzyć w drodze sztucznej kamforę. Dotychczas sprowadzano kamforę z wyspy Formozy, będącej w posiadaniu japończyków. Wydobywano ją zapomocą destylacji z drzewa kamforowego (Laurus Camphora). Obecnie udało się chemikom wytworzyć sztuczną kamforę, która nie ustępuje w niczem naturalnej, a jest o wiele tańszą. Odkrycie to oznacza przewrót w wielu gałęziach przemysłu. Kamfory używa się głównie do wytwarzania masy celuloidowej i do celów leczniczych. W Paryżu i Mannheimie mają wkrótce powstać fabryki sztucznej kamfory. Naturalna kamfora kosztuje obecnie 1000 mk. za 100 kilo. Sztuczna będzie pięć razy tańszą.

Z literatury i sztuki

„Witeź“, czasopismo społeczno-polityczne i artystyczno-literackie — wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca w Warszawie.

Wyszedł zeszyt 2-gi i zawiera prace: Art. Śliwiński: Słowo optymizmu. — M. Sokolnicki: Szkice polityczne. — Jan Kleczyński: Włościanie w końcu XVIII wieku. — Wład. Orkan: Naszła nas burza... — G. Daniłowski: Evviva!... — J. Matuszewski: Kiedy Słowacki stał się mistykiem? — Z. Rygier-Nałkowska: Małżeństwo. — W. Wolski: Ballada o Witeziu. — Henryk Stan: Przebudzenie. — W. Lis: Portugalja. — Feljeton zbiorowy. — Misericordia. — Sprawozdania. — Notatki.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Książęca 6.

„Myśl Niepodległa“, (Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10). Treść nr. 54 (dekada trzecia na luty): Nauczyciel ludu. — Ucisk myśli niepodległej w sztukach plastycznych. — Antoni Miller: Prostytucja ... a Rzym. — A. D. White tłom. z ang. Wojciech Szukiewicz: Dzieje walki wiedzy z teologją. — Chmurki. Po drodze. Tym, co budują. Kolej rzeczy. W polu. Pamięci święta. — Szperacz: Poszepty historji. — Zdziczenie moralne. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Wolna gmina. — Zapiski. — Książki.

„Ateneum“. Ukazał się w Poznaniu zeszyt I. i II w jednym tomie „Ateneum“, które wydawnictwo swe zawiesiło przed rokiem w Warszawie. Tom ten poświęcony jest St. Wyspiańskiemu. W artykule wstępnym redaktor Cezary Jellenta ujmuje koncepcje Polski u Mickiewicza, Słowackiego, Norwida i Żeromskiego. Dalej następują artykuły: Michała Sobeskiego: „Wyspa Cytora“. — St. Przybyszewskiego: „Listy miłosne Marianny d'Alcoforado“. — Lud. Różyckiego: „Droga do „Salome“, dramat Cezarego Jellenty „Medura“, wiersz Józ. Kościelskiego, przegląd sztuki i literatury polskiej i obcej, bibljografja itd. Do zeszytu dołączone są trzy światłodruki.

„Scena i sztuka“, pismo artystyczne w Warszawie. Nr. 7 daje obraz polskiego ruchu artystycznego w artykułach „Kątski i jego epoka“ A. Maruszewskiego, „Program kandydata o teatr poznański“ Janowskiego, „Nasz kult muzyczny“ J. Kadena,. „Ruch artystyczny w Łodzi“ St. Łapińskiego, „Chmura nad teatrem lwowskim“ S. T., „Nasz przemysł artystyczny“ S. B., „Pierwsza Carmen“ J. R., „Teatr żydowski“ M. O., „Z koncertów“ F. Szopski, dalej „Tydzień teatralny“, „Wiadomości z za kulis“ i bieżące korespondencje z Rzymu, Londynu, Wilna, Kijowa, Grodna, Piotrkowa, Łodzi, Pabianic, Kalisza, Sosnowca i Radzynia.

Całości dopełniają, jak zawsze, portretowe sylwety artystyczne: Barcewicza, W. Bogusławskiego, Hermanki, Federowiczowej, Nikorowicza, Łapińskiego, Feldmana, Chełmońskiego, wielu artystów prowincjonalnych, kabaretowego humorysty Ludwikowskiego itd., a zamyka obfitą tę treść artyst. „Ruch i giest“ na scenie i w życiu p. Marcele jako też humor teatralny z ilustracją Kostrzewskiego.

„Promień“, miesięcznik poświęcony sprawom młodzieży szkolnej. Treść Nr. 2: Furja klasyfikacyjna. — Nieznajomy: O samokształceniu. — F. Mirandola: O jakże wam zazdroszczą. — Edmund Weisberg: Dzieje wolnej myśli w Europie. — W.: Ankieta ministerjalna w sprawie reformy szkolnej. — Z wydawnictw. — Przegląd czasopism. — Listy młodzieży. — Korespondencje.

Adres redakcji i administracji: Lwów, Chorążczyzna l 12. Prenumerata w Niemczech rocznie 3 marki.

Wystawa. Na obecnie otwartej wystawie we lwowskiem Tow. Przyj. Sztuk pięknych pomieszczono olbrzymi obraz Stanisława Fabiańskiego, zatytułowany „Z caratu“, a przedstawiający chwilę pogromu żydów w Kijowie po wydaniu manifestu konstytucyjnego przez cara Mikołaja II. Z najnowszych prac wystawiono dzieła: Augustynowicza, Fałata, Hulewicza, Kwiatkowskiego, Reyznera, Sichulskiego, Skoczylasa, Schayerównej, Sęka i Wygrzywalskiego. Wystawa rzeźb Drexlerównej zostanie otwartą w przyszłym tygodniu.

Kącik humorystyczny.

W końskim kasynie.

Hrabia Alfons: Jak się to stało właściwie, że ten Kolumb odkrył Amerykę?

Hrabia M. de Weschke: Prosta rzecz, chciał się do Indji dostać.

Hrabia Alfons: No tak... ale... czegóż ten idjota nie płynął przez tego... przez kanał Suezki?

„Kropidło“

* * *

Humor i satyra.

Proboszcz (do małego Józka): A więc tak już na psy zeszedłeś, że z piwnicy plebańskiej jabłka kradniesz! Ale powiedz no mi gałganie jeden: Jak się to zowie ta istota, przed którą nic się nie ukryje, która wszystko wie i widzi, wobec której ja nawet jestem nędznym proszkiem?...

Józek (płacząc): A to jest... pani gospodyni!

* * *

Prawdziwy kłopot.

Katarzyna: (wpadając do pokoju) — O laboga! laboga! A cy też to jegomość chory cy co! Cięgiem ino lata do koluśka...

Proboszcz: Daj spokój Katarzyno! Rano mam kazanie, po południu zgromadzenie centrowe, a tu mi się obie mowy tak pomięszały, że ani wiem co mówić rano a co po południu!...

„Kropidło“

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 10. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 7 marca 1908.

Z poezji Ady Negri.

W przekładzie Marji Konopnickiej.

RĘKA W MŁOCARNI.

Toczą się pasy, zgrzytają kół zęby...
Nie spoczywając, choć pot rosi czoło,
Pieją najmici wesoło.

W tem krzyk szalony, okropny okrzyk dziki,
Ryk rozdartego w leśnej kniei zwierza
Nagle w powietrze uderza.

Porwana w tryby młocarni się kręci
Skrwawiona ręka — o, dolo przeklęta!
Kobieca ręka ucięta.

Toczą się pasy, zgrzytają kół zęby,
Lecz raźną piersią już głowy najmitów
Nie brzmią wśród trzasku i zgrzytów.

Z potem zmieszane po twarzach łzy płyną...
Grzmi motor, huczy młocarnia parowa
Głusząc westchnienia i słowa.

A między tryby, kręci się i kręci
Skrwawiona ręka — o, dolo przeklęta!
Kobieca ręka ucięta.

Amnestja.

(Z rosyjskiego).

...Upłynęło 50 lat i w wielu dziedzinach życia zapanował spokój... W jaki sposób się to stało — nie pytajcie, wszystko bowiem tam było: i wzmocniona, i nadzwyczajna, i wojenny, i oblężenie, a raz nawet zaprowadzono zupełnie coś nowego, chrzcąc go mianem — stanu ekstraordynaryjnego...

W ciągu owych lat 50 wiele wody przepłynęło zarówno w rzekach, jak w prasie urzędowej i półurzędowej, a p. Mienszykow święcił jubileusz napisania miljonowego artykułu przeciwko polakom. Upłynęło lat 50 błogiego spokoju i rozkwitu i datę tę należało uczcić godnie, świątecznie, uroczyście... Postanowiono więc zrewidować, i to ściśle — więzienia.

Była to praca niemała... Była to raczej nie praca, lecz... ekspedycja karna. To też żaden z urzędników ministerjalnych nie rwał się do niej. Nareszcie, po wielu trudach, ekspedycję sformowano. Wzięli w niej udział urzędnicy, dwaj lekarze i pięciu anglików, którzy dowiedziawszy się o jakiejś ekspedycji, doszli do wniosku, że musi to być chyba ekspedycja do bieguna północnego i, na wszelki wypadek, zapisali się do niej. Ściągnięto od nich po 1000 rubli składki, jakieś jeszcze dodatki i — pozwolono.

Rewizja trwała długo, o! bardzo długo, a prawdziwego przestępcy, godnego amnestji, nie można było znaleźć. Nie dlatego, broń Boże, aby ich brakowało, ale dlatego, że ciążyły na nich winy, których w żaden sposób przebaczyć nie można było. Jeden np. był studentem aż dwuch fakultetów. To było okropne! Drugi kiedyś wyśmiewał się z artykułów patrjotycznych „Rossji“. To było straszne! Trzeci...

Nareszcie znaleźli!... Członkowie ekspedycji odetchnęli... Kamień odpowiedzialności spadł im z serca. Znaleźli... A stało się to całkiem nieoczekiwanie.

Znaleziony był srebrnowłosym starcem, o wybladłych, jak obicie w trzeciorzędnej restauracji, oczach i brodzie niezwykle długiej i postrzępionej. Pędził on żywot w najskromniejszym zakątku więzienia. Ba, wogóle cało to więzienie było osobliwe... Przerobiono go z gimnazjum. Wówczas — 50 lat temu — przeważał pogląd, że szkół było zbyt wiele, więzień zaś — zbyt mało.

Anglicy, jak wiadomo, niczemu się wogóle nie dziwią, w tym jednak wypadku, z otwartymi w podziwie ustami przyglądali się starcowi, komisja zaś przystąpiła do badań. Przedtym jeszcze myto go przez trzy dni, nawet w gorącej wodzie, dwuch fryzjerów zaledwie mogło się uporać z jego brodą i czupryną, aż wreszcie po doprowadzeniu doczesnej powłoki do wyglądu możliwie „ludzkiego“, prezes zapytał więznia:

— Pańskie imię, nazwisko i imię ojca?

Starzec odpowiadał z trudnością. Głos jego był podobnym do skrzypienia drzwi. Z przypomnieniem imienia poszło mu dość łatwo, co do nazwiska prosił o zwłokę pięciominutową, imienia jednak ojca w żaden sposób przypomnieć sobie nie mógł.

— To już tak dawno — tłómaczył się.

— Można w ostateczności odnaleźć ojca — wtrącił jeden z członków komisji, ale spostrzegłszy sam, że palnął głupstwo — zamilkł skonfundowany.

— Kim pan jesteś? — zapytał prezes.

— Ja?

— No, tak — pan.

— Ja? — Redaktorem.

— Jakiej gazety?

Starzec wymienił tytuł pisma, nikt jednak nie mógł sobie przypomnieć, czy takie wychodziło kiedykolwiek.

— Prawdopodobnie popełnił jakąś straszną zbrodnię — zadecydował prezes komisji i ciągnął dalej indagację.

— Zabił pan kogo?

— Nie.

— Podburzał pan ludność?...

— Nie!

— Może pan agitował za strejkiem kolejowym.

— Ale gdzie tam!...

— Więc za cóż?

Po srebrnej brodzie więźnia zaczęły spływać łzy.

— Za to, że nie miałem, nie... miałem... pieniędzy...

— To nie może być — przerwał prezes. — Ubóstwo jest u nas istotnie karane, ale nie tak surowo. Zawsze są stosowne okoliczności łagodzące. A może pan się trudnił żebraniną uliczną?

— Widzicie, panowie — ciągnął starzec — w gazecie mojej pisało się o różnych rzeczach, ale najwięcej o — kapuście i o sposobie konserwowania jej na zimę. Ale i to się nie podobało. Za każdy niemal numer nakładano na

nas kary pieniężne, to tysiąc rubli, to dwa, a najczęściej trzy. Przeciętne, tak, mniej więcej, pół miljona na miesiąc. Miljony, panie prezesie, zebrane na wydawnictwo, starczyły nam zaledwie na kilka dni. Nie mogliśmy potem płacić, więc — koza. Wydawaliśmy gazetę w ciągu półtora roku, a potem, jakeśmy obliczyli, wypadło około trzech miljardów kary, co, według obowiązującej taksy, równało się 185 latom więzienia. Więc siedzę...

— A obliczenie było dokładne?

— Zdaje mi się. Były wprawdzie miesiące, ale te odrzucono dla okrągłości rachunku. „Pańskie szczęście" — powiedzieli.

— Hm... zauważył prezes. — Choć to nielegalnie... Zresztą, przecież pan i tak umrze przed odsiedzeniem kary.

Na obliczu więźnia odmalowało się przerażenie.

— Co pan mówi, panie prezesie! Ja nie mogę, mnie nie wolno umrzeć — wołał z rozpaczą. — Wyliczono mi według taksy. Jak odsiedzę — doskonale, ale wcześniej — nigdy!

Komisja uchwaliła, aby wdrożyć sprawę o jego amnestję. Dyskutowano długo i namiętnie. Wreszcie ogłoszono staruszkowi-redaktorowi następującą rezolucję:

„Odwołać niezwłocznie za swoim podpisem wszystko, co było napisane szkodliwego przeciwko konserwowaniu kapusty i innym rzeczom i zredukować termin kary więziennej do lat 50".

Na starczej twarzy redaktora wykwitły zorze zachwytu...

Walka z alkoholizmem.*)

1. Co to jest alkoholizm.

Wszyscy zgadzają się, że źle jest upijać się, ale nie wielu jest takich, którzy wiedzą, że źle jest wogóle pić trunki, nawet w niewielkiej ilości, „umiarkowanie", jak to mówią. Przeważnie ludzie nie domyślają się nawet, jak strasznie krzywdzą siebie (i nietylko siebie, jak się okaże z dalszych rozdziałów), jakie niepowetowane straty ponoszą przez używanie napojów, zawierających spirytus (napojów alkoholizowanych). Mówiąc o klęskach, szerzonych przez używanie napojów alkoholizowanych, czyli przez alkoholizm, mamy na myśli nietylko wódkę; alkohol znajduje się także w piwie, w winie, likierach itp., chociaż nie w jednakowej ilości w każdym z napojów.

Piwo zawiera zwykle 4% alkoholu,
wino „ „ 10% „
wódka „ „ 25% „

a więc mieści się czystego alkoholu

w 1 litrze piwa . . . 40 gramów
w 1 litrze wina . . . 100 „
w 1 litrze wódki . . . 250 „

Na nasze miary wypadnie to, że zawiera czystego alkoholu:

1 kwarta piwa . trzecią część kwaterki
1 kwarta wina . dwie piąte części kwaterki
1 kwarta wódki całą kwaterkę.

Widzimy z tej tabliczki, że najmniej spirytusu zawiera stosunkowo piwo, ale też piwa pije się zwykle więcej niż wódki — wychodzi więc na jedno właściwie.

Skutki nadużywania piwa nie rzucają się tak w oczy, jak skutki nadużywania wódki; są jednak tem niebezpieczniejsze, że, niewidoczne na razie, sprowadzają w końcu ciężkie, niebezpieczne choroby wewnętrzne.

2. Choroby spowodowane używaniem alkoholu.

Gdy widzimy człowieka słaniającego się, bełkoczącego bez związku i sensu niezrozumiałe wyrazy, łatwo domyślimy się, że jest to pijak; łatwo też zrozumieć, gdy człowiek taki w końcu zachoruje na obłęd opilczy (delirjum tremens) i umiera, że przyczyną jego choroby i śmierci było — nadużycie alkoholu.

Ale w tak jaskrawy, tak widoczny sposób ginie od alkoholu tylko drobna, zaledwie dziesiąta część wszystkich ludzi, używających alkoholu. Reszta — dziewięć dziesiątych zapada na choroby, których nazwy ani trochę nie zdradzają pochodzenia tych chorób, od używania trunków, a które są tak częste, że z pewnością niema człowieka, coby o nich nie słyszał! Są to ciężkie zasłabnięcia narządów trawienia, wątroby, serca, nerek, naczyń krwionośnych, mózgu i całego systemu nerwowego. Kiedy słyszymy, że ktoś choruje na otłuszczenie serca, wątroby, osłabienie serca, zwyrodnienie nerek, paraliż serca i mózgu, wodną puchlinę i wiele, wiele innych chorób — ani nam przez myśl nie przejdzie, że może to mieć coś wspólnego z używaniem napojów alkoholizowanych, a jednak tak jest! Jednak alkohol bywa bardzo często jedną z główniejszych przyczyn tych chorób, niekiedy nawet jedyną i wyłączną ich przyczyną.

Jak wielu ludzi zapada na te choroby, wprost nie chce się wierzyć. W Szwajcarji, w 18 większych jej miastach, od wielu dziesiątków lat badają każdy wypadek śmierci i jeżeli jest on w jakimkolwiek związku z alkoholizmem, zapisują go w odpowiedni sposób. Otóż, po obliczeniu okazało się, że przeciętnie blisko 10½% dorosłych mężczyzn (to znaczy, więcej niż co dziesiąty mężczyzna) umiera wyłącznie albo przeważnie na skutek używania alkoholu!

Wszystkie te ciężkie choroby, o jakich mówiliśmy wyżej, mogą być spowodowane bez różnicy przez każdy z napojów zawierających alkohol; musimy jednak zaznaczyć szczególne niebezpieczeństwo używania piwa, które zwykle uchodzi za tak niewinny napój. Niebezpieczeństwo ma źródło nietylko w tym, że piwo, zawiera alkohol, ale także w tym, że piwo pije się zwykle w większych ilościach, skutkiem czego żołądek i kiszki muszą przyjmować i przetrawiać więcej płynów niż mogą, drogi obiegu krwi otrzymują płynów za dużo, serce wzmożoną gwałtownie pracą musi pędzić te masy płynów przez całe ciało, nerki muszą filtrować o wiele większą ilość płynów, niż ich budowa pozwala. Słowem: cały organizm człowieka pracuje nadmiernie i osłabia swoją sprawność i żywotność.

3. Zmniejszenie się odporności na inne choroby u alkoholików.

Alkohol, jak widzieliśmy, powoduje wiele ciężkich, niebezpiecznych chorób. Ale potrafi on jeszcze i w inny sposób rabować człowiekowi zdrowie i życie.

Każdemu wiadomo o istnieniu chorób tak zwanych zakaźnych, to znaczy takich, które pochodzą od wtargnięcia do organizmu człowieka drobnoustrojów: drobniutkich żyjątek, zwanych mikropami lub bakcylami. Wtargnięcie takich zarazków do ciała ludzkiego nie zawsze wywołuje chorobę: organizm zupełnie zdrowego człowieka jest w stanie walczyć z nimi i może nie dopuścić do choroby, zniszczyć te zarazki. Otóż, wielokrotna obserwacja na chorych pokazała, że ludzie, używający alkoholu, daleko prędzej, łatwiej i częściej niż inni ulegają rozmaitym chorobom zakaźnym, jak: suchoty, cholera, dyfteryt, drętwica, gorączka ropna i t. p. Ażeby to sprawdzić jeszcze lepiej, robiono doświadczenia ze zwierzętami. Brano pod kontrolę kilka zwierząt jednego gatunku, wieku i t. d.; niektórym z nich dawano przy pożywieniu alkohol, innym — nie. Szczepiono następnie wszystkim jednakową ilość zarazków jakiejś z chorób zakaźnych, naprz. suchot, księgosuszu i t. p. Cóż się działo? Oto we wszystkich wypadkach, stale, zwierzęta, którym dawano poprzednio alkohol, zapadały prędzej, niż te, którym alkoholu nie dawano. Wniosek stąd bardzo wyraźny, że alkohol osłabia odporność ciała naszego na działanie chorobotwórczych zarazków, czyli czyni nas podatniejszemi, skłonniejszemi do chorób zakaźnych.

4. Choroby umysłowe, spowodowane przez alkoholizm.

Liczne i ciężkie są choroby mózgu i całego systemu nerwowego, wywołane używaniem alkoholu. Tak zwany „obłęd opilczy" (delirium tremens) nie jest jedyną chorobą tego rodzaju; jest tylko najbardziej znaną. Idzie za nią cały smutny szereg innych, ciężkich, nieuleczalnych chorób umysłowych, całe lata, często dziesiątki lat dręczących alkoholika. Jak one są częste, najlepiej mogą zaświadczyć pouczające cyfry, wzięte ze szpitali dla obłąkanych. W jednym z zakładów dla umysłowo chorych w Berlinie, na 100 chorych mężczyzn więcej niż 46 dostało obłąkania na skutek używania alkoholu; w takimże zakładzie w Wiedniu ze 100 mężczyzn więcej niż 40 zawdzięczało obłąkanie alkoholowi; w Bazylei wśród 100 obłąkanych 45 było alkoholikami. Tak więc blizko połowa wszystkich wypadków obłąkania u mężczyzn *) ma źródło w alkoholiźmie!

*) Przedruk z „Wiedzy".

*) O wiele mniejsza jest pośród kobiet liczba chorych umysłowo na skutek pijaństwa; w szpitalu w Bazylei naprz. wynosi ona tylko 6 na 100.

Jak prawdziwe są powyższe obliczenia, wskazuje ta okoliczność, że w tym samym stosunku, w jakim zwiększa się z roku na rok spożycie alkoholu, zwiększyła się także liczba chorób umysłowych, spowodowanych alkoholizmem. We Wiedniu naprzykład w latach 1851—60 liczba alkoholików wśród obłąkanych wynosiła około 12%, w roku 1887 — już 34% z górą, a w roku 1895—blizko 40 z połową %. W Bazylei te same liczby wskazują: w latach 1851—60 — około 18%, a w 1871—1880 już 44 i pół %!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Statut górnośląskiego knapszaftu

według uchwał walnego zebrania z dnia 27-go lipca 1907, ważny od 1-go stycznia 1908.

(Ciąg dalszy.)

§ 28.

Osoby płci męskiej, które przez swe zachowanie się nie umożliwiają stwierdzić, czy dane są wymagane przez ustawę warunki dla ich obowiązku wstępu, płacą już przed umożliwieniem tego stwierdzenia składki do kasy pensyjnej. Osoby takie uzyskują prawo do świadczeń kasy pensyjnej wtedy dopiero, gdy ich uzdolnienie do wstępu zostało stwierdzonem i mianowicie dopiero od chwili tego stwierdzenia.

Pozatem nie wolno pobierać od osób składek do kasy pensyjnej, które wskutek niewypełnienia ustawowych wymagań nie mogą być przyjęte na członków kasy pensyjnej.

§ 29.

Jeżeli w ciągu trzech lat, licząc od dnia nastania członkowstwa, przejawiają się u członka stany chorobowe, które, gdyby zostały zauważone przed przyjęciem do kasy pensyjnej, wykluczałyby członkowstwo, i jeżeli wtedy zostanie udowodnionem, że stan ten w rzeczywistości istniał już przed przyjęciem, to członkowstwo począwszy od początku jest nieważnem.

§ 30.

Członków kasy pensyjnej innego jakiego pruskiego stowarzyszenia knapszaftowego przyjmuje się przy podjęciu pracy w obwodzie stowarzyszenia bez względu na ich wiek z zaliczeniem dotychczasowych ich lat służby, o ile ukończyli ośmnasty rok życia i stali się po raz pierwszy członkami kasy pensyjnej, zanim przekroczyli czterdziesty rok życia, i o ile nie są niezdolni do pracy zawodowej.

Jeżeli pomiędzy wystąpieniem z pracy, warunkującem członkowstwo w dotychczasowem stowarzyszeniu, a podjęciem pracy w obwodzie stowarzyszenia istnieje przeciąg czasu więcej jak trzech miesięcy, to przyjęcie do kasy pensyjnej zależnem jest jeszcze od warunku określonego w § 26 ustępie 1 liczbie 2.

2. Początek i ukończenie członkowstwa.

§ 31.

Dla członków obowiązanych do wstępu rozpoczyna się członkowstwo z chwilą, gdy zadość uczynią warunkom, określonym w § 26 ustępie 1 lub § 30, jeżeli nawet przepisane poświadczenia co do wieku i zdrowia zostaną dopiero później doręczone.

Dla członków uprawnionych do wstępu rozpoczyna się członkowstwo od dnia nadejścia piśmiennego oświadczenia przystąpienia do zarządu knapszaftu.

§ 32.

Członkowstwo kończy się:

a) dla wszystkich członków, jeżeli występują z pracy, warunkującej ich członkowstwo, dobrowolnie lub wskutek wypowiedzenia albo zwolnienia przez właściciela werku;
b) dla członków nie obowiązanych do wstępu oprócz tego, gdy zameldują zarządowi swe wystąpienie lub gdy nie uiszczą składek w sześciu następujących po sobie terminach płacenia.

§ 33.

Członkowie kasy pensyjnej, którzy nie będąc niezdolnymi do pracy, występują z pracy warunkującej członkowstwo lub do niego upoważniającej i nie stają się członkami innej jakiej pensyjnej kasy knapszaftowej, uprawnieni są przy co najmniej pięciu latach służby zachować uzyskane do tej pory prawa do świadczeń kasy pensyjnej przez płacenie co miesiąc 50 fenigów opłaty. Utrata nabytych praw następuje w tym wypadku dopiero wtedy, gdy zaniechanem zostało płacenie tej opłaty przez sześć miesięcy z rzędu.

§ 34.

O ile nie istnieją warunki §§ 33 i 58, to z utratą członkowstwa związaną jest również utrata praw do świadczeń kasy pensyjnej.

Jeżeli zaś robotnik lub urzędnik, który przedtem należał do kasy pensyjnej stowarzyszenia lub innej jakiej kasy pensyjnej i członkowstwo swoje stracił po 1 styczniu 1908 roku wstąpi, lub wstąpi na nowo do kasy pensyjnej stowarzyszenia jako członek przy warunkach oznaczonych w § 26, to prawa jego w kasie pensyjnej po roku członkowstwa wznawiają się znowu w tych rozmiarach, w jakich istniały w chwili utraty członkowstwa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Rozmaitości

Ofiary swego zawodu. Według zestawienia jednego z pism angielskich padło ofiarą swego „zawodu“ w ciągu ubiegłego stulecia: dziesięciu prezydentów, dwóch carów, dwóch sułtanów, jeden szach i jedna cesarzowa; w ciągu ośmiu lat nowego stulecia zginęli trzej królowie, jedna królowa i jeden prezydent. W lipcu r. 1900 zginął król Humbert w Brescji od kuli, a obecnie król portugalski zginął tą samą śmiercią. Dnia 5 września 1901 prezydent Mc. Kinley w Buffalo zraniony kulą przez Leona Czolgosza, uległ otrzymanym ranom w dziewięć dni po zamachu. W świeżej pamięci są jeszcze wypadki w Belgradzie, w lipcu 1903 r. ofiarą których padł król Aleksander i królowa Draga.

Listę zamordowanych w 19 stuleciu monarchów, rozpoczyna car Paweł I, uduszony przez rosyjskich szlachciców w nocy z 23 na 24 marca r. 1801. W siedmiu lat później dnia 8 maja uduszono w więzieniu Selima III. Potem następuje dłuższa pauza, przerwana w r. 1831 zamordowaniem hrabiego Capo d'Istria, prezydenta Grecji i gwałtowną śmiercią księcia Parmy, Karola w r. 1854. Dnia 13 sierpnia 1860 r. w 8 dni po wstąpieniu na tron, pada książę Daniło I w Montenegro ofiarą krwawej zemsty, a 14 kwietnie 1863 r. Abraham Linkoln, szesnasty prezydent Stanów Zjednoczonych ginie w Waszyngtonie w teatrze z ręki aktora Johna Wilkesa. W roku 1865 zamordowano Michała Obrenowicza, księcia serbskiego. W 9 lat później ginie prezydent Equadoru, dr. Moreno. Dnia 4 lipca 1878 umiera w więzieniu sułtan Abdul Aziz Chan, jak się jednak po wielu latach okazało, zginął on z rąk morderców. W 5 lat później, w lipcu r. 1881 kula zabójców trafiła znowu prezydenta Stanów Zjednoczonych, gienerała Garfielda. W r. 1881 ma miejsce straszny zamach dynamitowy w Petersburgu, któremu ulega car Aleksander II, w r. 1890 pada prezydent San Salvadoru, Menender od sztyletu, a w 4 lata później ginie tą samą śmiercią z rąk włoskiego anarchisty, prezydent francuski Carnot.

W dalszym ciągu następuje śmierć szacha perskiego Nazr-ed-Dina w r. 1896, prezydenta Urugwayu, Body w r. 1897, prezydenta Guatemali, Barriosa w r. 1898. We wrześniu tego samego roku, na wybrzeżu jeziora genewskiego, pada trafiona zabójczą stalą Luccheniego, cesarzowa austrjacka Elżbieta.

Sprawcami tych zamachów kierowały motywa najróżnorodniejsze. Tyranobójstwo popełniano w różnych stuleciach, pod różnemi formami rządu.

Królobójstwo propagowali między innemi jezuici. Ich to ręka uzbroiła człowieka, który zabił króla francuskiego Henryka IV. Interesujące szczegóły o knowaniach jezuitów znajdzie czytelnik w broszurze „Worek Judaszów“.

* * *

Senzacyjny proces. Z Londynu donoszą: Niejaki Druce, wnuk stolarza z Bakerstreet w Londynie wytoczył proces księciu Portlandowi o cały jego majątek, wynoszący kilkadziesiąt miljonów, utrzymując, że dziadek jego, stolarz Druce był właściwie księciem Portland bezpotomnie zeszłym z tego świata. Mianowicie wiadomą było wszystkim rzeczą, że ks. Portland był ogromnym dziwakiem. Unikał ludzi, ciężyła mu nawet obecność służby, tak, że naprzykład kazał

w swoim zamku Portland wykopać w ziemi długie korytarze i po tych korytarzach spacerował, aby się nie spotkać ze służbą podczas spaceru po ogrodzie i parku otaczającym zamek. Korytarze te kończyły się gdzieś w lesie, należącym do księcia.

Druce utrzymuje w swojej skardze procesowej, że ten książę Portland tymi podziemnymi korytarzami dostawał się do lasu, stamtąd jeździł do Londynu i tam prowadził rzemiosło stolarskie, ożenił się był z jakąś mieszczką londyńską i miał z nią syna. A potem, gdy mu zaczęła już cieszyć ta rola podwójna i księcia i stolarza, urządził swój fikcyjny pogrzeb, mianowicie do trumny kazał włożyć mnóstwo ołowiu i pogrzebać siebie jako stolarza, a żył już dalej jako książę. Wreszcie jako książę umarł naprawdę, a wtedy majątek i tytuł przeszedł na jego bratanka. Skarga ta miała o tyle w sobie prawdopodobieństwo, że naprawdę książę Portland był niesłychanym dziwakiem, że fotografja stolarza Druce i fotografje księcia Portlanda przedstawiały prawie jedną i tą samą osobę, tak niesłychanie podobne były te twarze. W ubiegły poniedziałek dokonano exhumacji zwłok i okazało się, że nieprawdziwe było twierdzenie strony pozywającej, iż w trumnie był ołów zamiast zwłok ludzkich. Tym sposobem proces, który od kilku miesięcy poruszył całą Anglję, upadł.

Z literatury i sztuki

„Głos kobiet“, pismo poświęcone sprawom kobiet pracujących. Treść Nr. 2: Kobieta w walce o wolność. — Socjalistka przed sądem. — Listy czytelniczek. — Z Kopalń. — Kronika.

Adres „Głosu kobiet“: Cieszyn (Śląsk austrjacki) ulica Zamkowa 14 I. Rocznie 1 koronę i 10 halerzy (95 fen.).

„Myśl Niepodległa“, (Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10). Treść nr. 55 (dekada pierwsza na marzec): Usta i nogi. — Dr. W. Miklaszewski: Kartka z praktyki lekarskiej. — Marja D.: W sprawie świadomości narodowej. — Michał Marczewski: Upiór. — Zdziczenie moralne. Kalendarz wolnego myśliciela. — Wolna gmina. — Zapiski. — Książki.

„Witeź“, czasopismo społeczno-polityczne i artystyczno-literackie, wychodzi 1 i 15 kazdego miesiąca w Warszawie. Treść Nr. 3: G. Daniłowski: W drażliwej sprawie. — M. Sokolnicki: Szkice polityczne. — W. Nałkowski: Dwie drogi i dwa środki postępu. — J. Kleczyński: Szlachta w końcu XVIII wieku. — Artur Graf: Okręt wśród lodowców (przekład A. Bronisławskiej). — W. Sieroszewski: Tułacze (powieść) Stan. Mieczko: Wyspiański o Hamlecie. — Lemański: Djalog—L. Wasilewski: Stronnictwa galicyjskie. — W. Lis: Ekspansja austrjacka na Bałkanie. — Feljeton zbiorowy: Misericordia. — Notatki: Książki nadesłane.

Redakcja: Warszawa, ul. Książęca 6.

Nr. 2. (na Luty) **„Przewodnika Zdrowia“** (Czarnowski Berlin Weissenburgerstr. 27) wyszedł i zawiera:

Treść: Cel i podstawa małżeństwa. — Suggestja a Hypnoza. — Co powinien hypnozyter wiedzieć i o czem koniecznie pamiętać? — Kto ulega hypnotyzmowi? Kto jest suggestywny? — Jogurt, jako środek przedłużenia życia. — Przestrogi i rady — Rozmaitości. — Piśmiennictwo.

„Scena i sztuka“ (Warszawa), w Nr. 8-ym obficie ilustrowanym przynosi szereg zajmujących artykułów, jak „Teatr czeski i stulecie jego twórcy“ (Jerzy Bandrowski), „Ignaś Paderewski w konserwatorjum“ (A. Maruszewski), „Nasz kult muzyki“ (J. Kaden), „Kandydaci i kandydatki o teatr poznański“, „Witrażowy przemysł artystyczny“ (S. B.), „Tydzień teatralny“ (Z. Przybylski), „Koncerty i opera“ (F. Szopski), niedrukowany „Marsz żuawów“ (Omańskiego), „List otwarty do Polsk. Tow. dramatycznego“ (Hoffman), „Stowarzyszenie artystów teatrów warsz.“ (A. St.), wiadomości z zakulis, bieżące i korespondencje z kraju (Poznań, Wilno, Sosnowiec, Włocławek, Puławy, Suwałki i z Berlina p. t. „Sliwiński król monopolu teatralnego“). „Humor teatralny“ zamieszcza ilustrowaną satyrę „Gościa upartego“. Całość zdobią liczne sylwety artystów i artystek polskich.

„Społeczeństwo“, tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny (Warszawa, Zórawia nr. 29 m. 2). Treść nr. 9: Bolesław Rozstański: Konwencje międzynarodowe. — Almar: Horyzont polityczny. — Janusz Korczak: Szkoła życia (Zabawy. Dom ludowy). — Otto Bauer: Zagadnienie narodowości (dokończenie). — Echa. — Kronika.

„Przegląd bibljoteczny“. Nowe pismo wychodzi w Warszawie. Jest niem „Przegląd bibljoteczny“, wydawany przez Towarzystwo Bibljoteki Publicznej w Warszawie pod red. Stefana Dembego, czasopismo ilustrowane, poświęcone bibljotekoznawstwu, bibliotekarstwu i bibljografji.

„Złoty Róg“. Przy redakcji „Ateneum“, wychodzącego w Poznaniu pod redakcją Cezarego Jellenty rozpoczęte zostaje wydawnictwo „Złoty Róg“. Będzie to zbiór monografji, poświęconych najwybitniejszym, a nie dość oświetlonym i zrozumianym twórcom polskim, mianowicie poetom, stylistom, humanistom, malarzom, rzeźbiarzom, muzykom — a także miastom i epokom, mającym indywidualny charakter artystyczny. Z pomiędzy twórców obcych a wszechświatowego znaczenia wejdą do „Złotego Rogu“ głównie ci, których z polskimi łączy pewne tego rodzaju podobieństwo umysłowości, że bądź wywierają oni wyróżniający się wpływ na twórczość polską, bądź nadają się do blizkiego z nią powinowacenia skutkiem pewnej współbieżności uczuć i światopoglądu. Tomy „Złotego Rogu“ ukazywać się zaczną z wiosną r. b., a wychodzić będą w ilości kilku do kilkunastu rocznie. Cena oznaczona zostaje na mk. 1.60 za tom. Prenumeratorzy „Ateneum“ mają prawo do zniżki o jedną trzecią część. W pierwszym szeregu ukażą się przygotowane już do druku: Jan Kochanowski, Wit Stwosz, Stanisław Wyspiański, Józef Chełmoński, Jacek Malczewski, Jan Stanisławski, Stanisław Moniuszko.

Kącik humorystyczny.

Dobrze gada!

Arcybiskup, jadąc powozem do swoich dóbr, spotkał kapucyna jadącego konno.

— Hej! frater! a to co za moda? Kiedyż to św. Franciszek jeździł konno?

— Wówczas — odrzekł kapucyn — gdy św. Piotr jeździł powozem. „Kropidło“

Szczyt polskiej bezczelności.

Co byłoby szczytem polskiej bezczelności? Gdyby polak wygrał główny los na pruskiej loterji państwowej!

„Kropidło“

Rzeźnik i piekarz.

Piekarz: Wie pan, gdym w domu zważył te cztery funty mięsa, które kupiłem u pana, brakło przeszło pół funta.

Rzeźnik: Tak? A bo zapodziały mi się gdzieś funty i zamiast nich przy ważeniu panu mięsa położyłem na wagę czterofuntowy bochenek chleba, który kupiłem u pana.

Nie...

— Co słychać w Persji?

— Szach się trzęsie.

— Ze złości?

— Nie; tymczasem ze strachu.

„Kropidło“

Na Górnym Śląsku — w szkole.

Nauczyciel: Jak się nazywa to zwierzę, które znajduje się na odwrotnej stronie feniga?

Uczeń: To zwierzę nazywa się kruk!

Nauczyciel: Źle! To przecież jest orzeł. Ale skąd ci też przyszło do głowy mówić, że ten orzeł jest krukiem?

Uczeń: Bo... kradnie! „Kropidło“

W Portugalji.

— Wasza królewska mość musi rządzić liberalnie.

— Ani mi się śni!...

— No, to się może smutnie skończyć...

— Co? pan ośmielasz się grozić mi? Dobrze! Powiem zaraz... mamie!... „Kropidło“

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 11. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 14 marca 1908.

Jan Kasprowicz.

Z CHAŁUPY.

I.

Pierwsze lata, kiedy się pobrali,
Szczęście kwitło, jak w polu makówki,
Mieli chatę, szkapsko i dwie krówki,
Byli młodzi — siali i sprzątali...

Ale potem — niech się Bóg pożali...
Ciężkie zimy i ciężkie przednówki
I w pierzynie wciąż liczniejsze główki...
Poszło bydło, chata i tak dalej.

Dziś, jak dzieje się zwykle z tą sprawą,
Kiedy kłopot zagnieżdża się w łoże,
Kiedy bieda pochwyci za szyję:
On zakończył w karczmisku pod ławą,
Dzieci w służbie, a ona nieboże
Od wsi do wsi dziś żebrze i pije.

II.

W poniedziałki, pogoda czy słoty,
Czy na sucho, czy człowiek się schlasta,
Hej, z tłomokiem na plecach do miasta,
Aż na czole srebrzyste lśnią poty.

Bo cóż robić?... te troski niecnoty!
Sama jedna na świecie niewiasta!
Jak na drożdżach potrzeba wciąż wzrasta,
Trza podatku, trza odziać sieroty!

I dziś z targu pośpiesza w swą stronę,
Nakupiła to soli, to krupy,
Nawet niesie dla dzieci kołacza...
Ale jakże wróciwszy rozpacza!
Tlą się jeszcze resztki jej chałupy,
A dzieciska na węgiel spalone.

III.

Lichy knotek na murku w izdebce
Pokazuje mi kształty w półmroku:
Cztery ściany, dwa łóżka przy boku,
W kącie dziaduś zdrowaśki swe szepce.

Z szarej miski resztki żuru chłepce
Dwoje dzieci w drugim, trzecim roku,
A matula na wpół z drzemką w oku
Nad najmłodszem, co leży w kolebce.

A gdzie ojciec?... Pracuje w fabryce
Het za wioską... daleką ma drogę!...
Musi wrócić, czekają na niego...
Lecz już późno, sen klei źrenice...
Ach, a może... Panie! chroń od złego...
Tak, maszyna urwała mu nogę...

IV.

Zanim zgaśnie jutrzenka, nim spłoną
Złotej zorzy rumieńce na niebie,
Chłop już z werka półdrzemiąc się grzebie,
A dyć dzwonią, trza z pługiem, trza z broną.

Jeszcze słońce z płomienną koroną
Nie uwieńczy tej ziemi i siebie,
Aż już baby i chłopy o chlebie
I o żurze ku żniwnym zagonom

Idą, gwarząc, lecz gwarzą coś smutnie
Czasem Kaśka lub Bartek żart utnie,
Ale żarty, jak gdyby nie z duszy.
Czasem piosnka gawędkę zagłuszy,
Lecz i zwrotki coś tęskne. nie cieszą,
Nie dziwota, wszak na pańskie śpieszą.

ALEKSANDER WŁACUCHA.

Jak rumun umiera.

(Przekład z rumuńskiego).

Padał śnieg. Wicher podnosił w powietrzu całe góry zimnej śnieżnej kurzawy i rozsypywał ją na wszystkie strony. Ani w górze, ani pod nogami nic nie było widać prócz białego śniegu. Woźnica mój popędzał zmęczone konie, które nie mogły wyciągnąć sań z śniegu, sięgającego im do samego brzucha. Z trudnością dotarliśmy upadającymi z zmęczenia końmi do wioski Petraszkan, w połowie drogi pomiędzy Bełładem i Pośpieszanami.

O dalszej jeździe niepodobna było myśleć, Pomimo niecierpliwości i nieprzezwyciężonej chęci dostania się jak najprędzej do domu, zmuszony byłem spędzić tu calutką noc. Nadszedł wieczór, a w perspektywie mieliśmy jeszcze przejechać wielką górę niedaleko Florent. Nawet przy pogodzie taka droga dla zmęczonych koni byłaby niemożliwą. Miałem w wiosce Petraszkan znajomego popa, więc kazałem się zawieść do jego domu. Ojciec Bazyli był zdumiony, ujrzawszy mnie.

— Bój się Boga, przecież mógłeś zginąć wśród takiej zamieci!

W piecu palił się ogień. Poczułem zapach świeżego chleba. Teraz dopiero zrozumiałem, do jakiego stopnia przemarzłem... Ręce zupełnie zesztywniały, nie mogłem poruszać palcami.

Wiatr szumiał, zrywając z dachu słomę. Od silnych porywów wichury stukały okna.

— Ot, co się dzieje na dworze...

— Pan Bóg się na nas gniewa — odrzekł pop.

Żona popa wzdychała i żegnała się za każdym razem, gdy wicher stukał do okna zasypując je śniegiem. Ja jeszcze nie mogłem oprzytomnieć. Rozmowa, ruch, meble w pokoju, wszystko wydawało mi się jak gdyby widziane w jakimś śnie. Miałem chwilami wrażenie, że się budzę z długiego i ciężkiego snu.

— Wypij gorącego wina i to z pieprzem — zachęcała mnie popowa.

Poczułem niezwykle przyjemny aromat wina; gorąco rozeszło się po ciele i co było dalej, nie pamiętam.

Gdym się obudził dokoła panowała ciemność; zaczął mnie ogarniać lęk, przez długi czas nie mogłem zrozumieć, gdzie się znajduję i co się ze mną stało. Ktoś stukał do okna. Podniosłem głowę, zacząłem się przysłuchiwać, usłyszałem głos ludzi.

— Kto tam? — krzyknąłem z przestrachem.

— Prędzej, ojcze duchowny, mój ojciec umiera.

Wówczas zrozumiałem, że rzeczywiście oddawna już słyszę przez sen ten rozpaczliwy krzyk. Chcę się obudzić, lecz nie mogę.

— Zaraz, zaraz... — Zacząłem szukać w ciemności drzwi rękami.

Ojciec Bazyli już wstał, zapalił cienką woskową świeczkę, przymocowaną do lichtarza, następnie wziął modlitewnik i wyszedł. Przez ten czas zdążyłem i ja się ubrać.

— A ty po co? — zapytał mnie z łagodnością. — Do świtu jeszcze daleko, zaśnij troszkę.

— Pójdę z tobą.

Zawieja ucichła. Było zimno. Przede drzwiami nawiało olbrzymią górę, schody były całe pokryte śniegiem.

— Czy to ty, Safto?

— Ja, ojcze. Wczoraj wkrótce potem, gdy go wyspowiadałeś, zasnął... Ku wieczorowi zrobiło mu się gorzej... Dostał kurczów, powiada, że go wewnątrz pali, prosi pić...

Jakaś ciemna, niezgrabna postać, ostro uwydatniająca się na tle śniegu, zbliżyła się ku nam.

Cała wieś robiła wrażenie olbrzymiego cmentarza. Nie było słychać nawet zwykłego psiego ujadania. — Gdy wszedłem do chaty, na razie nie mogłem nic odróżnić, wszystko przesłonięte było dymem. Ciężki zaduch, idący od chorego, tamował mi oddech.

— Czy nie poznajesz mnie, Joanie? — zapytał ojciec Bazyli.

Była cisza, Joan leżał nieruchomo wyciągnięty na pościeli z otwartemi ustami, z oczami podniesionemi w górę, jakby tam coś widział. Zawichrzona broda zakrywała jego zapadłe piersi. Pasma włosów przylgnęły do skroni. Suche szklanne oczy były nieprzytomne. Nigdy w życiu nie widziałem straszniejszej głowy.

— Koniec niedaleki — powiedział ojciec Bazyli, kiwając głową.

— W piątek skończyło się czternaście tygodni... Proszę spojrzeć, co się zrobiło z jego ciałem! Ciągle się drapał, cała skóra przegniła.

Tudora podniosła okrycie. Całe piersi starca przedstawiały jedną wielką ranę.

— Co mu się stało? — zapytałem z przerażeniem.

— A czy my wiemy? Z początku zrobiła się mu mała ranka, nie większa od dziesiątki, a później to ją wciąż drapał aż się zrobiła taka wielka... I cośmy nie robili!... Już taka widać wola boska.

Joan obudził się. Z piersi wydarło mu się ciężkie westchnienie, jakby podnosił ciężar. Potem przeciągnął się i zgarniał coś palcami.

Ojciec Bazyli otworzył książkę i zaczął odmawiać modlitwę przy konającym. Tudora i Safta uklękły przy łóżku chorego i wzdychały.

— Spij, drogi Niko, spij, ptaszyno moja. Jeszcze nie prędko dzień zaświta — szepnęła Tudora do swego synka.

Jeden z chłopaków, śpiących na piecu, posłyszał hałas i obudził się. Safta podeszła ku niemu, położyła go na poduszkę i nakryła. Potem dorzuciła kilka gałęzi do ognia.

Ozwał się ciężki jęk niewypowiedzianego cierpienia.

— Umiera — krzyknęła Tudora, łamiąc ręce.

Obudzone dzieci zaczęły płakać. Przelękły się i nie rozumiały, co się stało. Pop wziął zapaloną woskową świecę i wsunął ją w ręce umierającego. Joan ścisnął świecę suchymi palcami, chciał się podnieść, lecz upadł na wznak i cicho jęknął. Stygnące już ciało nie czuło więcej bólu. — Wydawało się ono teraz o wiele dłuższe.

Wschód różowiał. Tudora wyszła za nami na ulicę.

— Co zrobić, ojcze, nie mamy nawet za co pochować.

— Nie troszcz się o to, Bóg ci dopomoże.

Biedna kobieta z płaczem upadła na progu. Wieś budziła się. Dym słupami podnosił się w cichem powietrzu świeżego poranku. Domy, drzewo, góry i niebo — wszystko było białe, oblane jakiemś mlecznem światłem.

— Ot, jak ludzie umierają — powiedział ojciec Bazyli.

Ja milczałem — bo wszystko to, co się stało przed chwilą, wydawało mi się tylko strasznym snem.

Po kilku minutach mój towarzysz dodał cichym głosem, jakby odpowiadając na moje smutne myśli:

— Biedni ludzie! Jak strasznie oni cierpią i nikt o tem nie wie, nikt im nie wierzy.

Walka z alkoholizmem.

(Przedruk z „Wiedzy").

5. Alkohol a zbrodnia.

Lecz nietylko w postaci chorób umysłowych przejawia się działanie alkoholu na mózg. Alkohol nie doprowadza do obłędu każdego, kto go używa; działa on na mózg pijącego w inny jeszcze sposób: zbrodnie i wszelkiego rodzaju przestępstwa przeciwko obyczajności mają w alkoholu obfite i niezawodne źródło. Otton Lang,*) którego nazwisko stanowi dostateczną rękojmię, że nie pominął on przyczyn natury społecznej, dochodzi do wniosku, iż obok tych czynników społecznych, alkoholizm odgrywa wielką, może nawet największą rolę wśród pobudek do przestępstw wszelkiego rodzaju. Oto co pisze on na 23 swojej książeczki: W r. 1891 w Zurychu odsiedziało karę za bójki, poranienie, pobicie itd., słowem za obrażenia cielesne — 141 osób. Z tej liczby 100 przestępstw spełnionych zostało w dnie, kiedy konsumcja alkoholu jest większa, to jest: w soboty, niedziele i poniedziałki, i tylko 41 wypadek miał miejsce w resztę dni w roku; z tych zaś 41 przestępstw 25 spełnionych zostało w porze nocnej, albo w szynku lub przed szynkiem, i tylko co do pozostałych 16 wypadków można przypuszczać, że nie zostały one wywołane przez alkohol. Znaczy to, że ze 141 karanych więzieniem osób 125 zawdzięcza spełnione przez siebie przestępstwa i karę za nie-alkoholowi! „Smutne myśli nasuwa ta okoliczność — pisze Otton Lang — że taka masa przestępstw przypada właśnie na niedzielę, ten jedyny w tygodniu dzień wypoczynku, który powinienby być dniem pokrzepienia, pożytecznej gawędki i szlachetnych rozrywek! Niestety, jest on dziś dla wielu dniem nieszczęścia... i będzie nim póty, póki życie towarzyskie u nas nie uwolni się od niezbędnego traktowania kieliszkiem".

O tak! dla wielu — bo nietylko dla tej setki skazanych na odsiedzenie kary. Po części są to ludzie obarczeni rodzinami, i kiedy mężowie lub ojcowie rodziny siedzą w kozie za przestępstwa, spełnione po pijanemu, ciężkie troski i kłopoty, nie mówiąc już o wstydzie, są udziałem matek i żon!...

Dalej, według obliczeń Lang'a, w Szwajcarji ze 100 przestępstw przeciwko obyczajności 60 spełnionych zostało po pijanemu; widzimy więc, jak wielkę i tu jest rola alkoholu! Na szczególną uwagę zasługuje przytem okoliczność, że pośród wszystkich trzech przestępców — jest bardzo niewielka stosunkowo liczba pijaków nałogowych,**) zawodowych: 27 na 100; reszta — są to pijacy przypadkowi, okolicznościowi, uczestnicy jakiegoś wesela, chrztu, imienin itd., słowem, jakiejś uczty okolicznościowej, uczty, kończącej się solenną pijatyką i... bójką.

Do takich samych wniosków dochodzi, po ścisłych i sumiennych badaniach w Austrji, profesor Löffler. Wypływa z jego obliczeń. że na 100 przestępstw różnego rodzaju 60 do 80 popełnionych zostało w stanie nietrzeźwym. 681 ludzi, karanych w ciągu lat 1895—1896 więzieniem za przestępstwa, spełnione po pijanemu, odsiedziało ogółem 294 lata! Dwieście dziewięćdziesiąt cztery utraconych lat życia i pracy!... Ta liczba nie obejmuje jeszcze zabójców i morderców; co do nich, cyfry mówią same za siebie: z pośród 7 zabójców (w Wiedniu) 5 spełniło zbrodnią w stanie pijanym; z pośród 17 morderców 2 w czasie zbrodni byli pijani, 7 — znanych pijaków.

Niewątpliwie, we wszystkich tych wypadkach zbrodni i przestępstw, popełnianych po pijanemu, nie da się zaprze-

---

*) Znakomity prawnik szwajcarski, jeden z najczynniejszych członków partji socjalistycznej szwajcarskiej, autor pracy pod tytułem: „Alkoholizm a przestępstwo".

**) Którychby mogła poniekąd usprawiedliwiać chorobliwa, wrodzona skłonność do pijaństwa (bardzo często wreszcie odziedziczona po ojcu pijaku)

czyć wpływ przyrodzonych skłonności, wpływ braku opieki w dzieciństwie lub ohydnego wychowania, złego otoczenia itd., to jest tego wszystkiego, co nazywamy czynnikami społecznymi; nie zmniejsza to jednakże ani trochę tej części winy, która spada na alkoholizm. Alkohol odgrywa szczególną rolę wśród całej masy innych przyczyn, prowadzących człowieka do przestępstwa: potęguje on działanie innych czynników, przyśpiesza to działanie, i oto w jaki sposób. W stanie trzeźwym rozmaite względy mogą powstrzymać popędy zbrodnicze w człowieku, którego okoliczności zrobiły podatnym do zbrodni: czasem rozwaga, ostrożność, kiedyindziej obawa przed karą, nie dopuszczają do spełnienia zbrodni. Wódka, wógóle alkohol, znieczula niejako na te wszystkie względy, usuwa te czynniki hamujące, powstrzymujące człowieka; usypia ona w jego mózgu wszelką zdolność do rozwagi, do krytycznego sądu, do panowania nad sobą: uwalnia dzikie zwierzę z więzów, które je w stanie trzeźwym krępują!

Do cyfr, zebranych w Szwajcarji i Austrji, dodajemy te, które oświetlają stosunki niemieckie. W okręgu heidelberskim (650.000 mieszkańców) przypada w jednym roku 21 wypadków gwałtownej śmierci i najmniej 54 ciężkich, niebezpiecznych obrażeń — zadanych na skutek używania trunków. Profesor Aschaffenburg oblicza, ile strat pociąga za sobą pijaństwo. W ciągu jednego roku ludność Niemiec traci na skutek obrażeń cielesnych blizko 100,000 przechorowanych dni roboczych!

Lecz przejmujące te liczby nie mówią jeszcze wszystkiego, nie wykazują całego ogromu zła i nieszczęść, spowodowanych alkoholizmem. Kto porachuje wszystkie cierpienia i łzy matek, krzywdy, wyrządzane dzieciom przez pijaka-ojca? Począwszy od pierwszego upicia się, po którym nastąpiła pierwsza kłótnia, pierwszy brutalny wybuch gniewu — aż do chwili, kiedy szpital dla obłąkanych przytula pijaka i uwalnia od niego nareszcie nieszczęśliwą rodzinę — ileż to wstydu, ile bólu, ile grubjaństwa musiała ona wycierpieć, ile zniszczonych nadziei, ile straconej radości życia. Ile ohydnych scen i — jaka może być przyszłość dzieci, wychowanych w takich warunkach, świadków tego wszystkiego?! W Czechach liczono w 1900 roku 25 tysięcy pijaków, którzy posiadali 55 tysięcy dzieci... Zimny dreszcz przejmuje od takiej jednej liczby! Pięćdziesiąt pięć tysięcy dzieci, wychowanych przez pijaków. Co z tych dzieci wyrosnąć może?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Statut górnośląskiego knapszaftu

według uchwał walnego zebrania z dnia 27-go lipca 1907, ważny od 1-go stycznia 1908.

(Ciąg dalszy.)

3. Świadczenia kasy pensyjnej.

a) Pensja inwalidzka.

§ 35.

Członkowie kasy pensyjnej otrzymują w razie niezdolności do pracy zawodowej dożywotnią pensję inwalidzką.

Członek niema prawa do pensji inwalidzkiej, jeżeli niezdolność do pracy została z rozmysłem spowodowana. Udzielenia pensji można całkowicie lub częściowo odmówić, jeżeli członek niezdolność do pracy spowodował przy dokonaniu stwierdzonej na mocy wyroku karnego zbrodni lub rozmyślnego przekroczenia. W wypadkach ostatniego rodzaju może być pensja inwalidzka, o ile członek posiada rodzinę zamieszkującą wewnątrz kraju, której utrzymanie opędzał dotychczas ze swego zarobku, całkowicie lub częściowo przekazaną rodzinie.

§ 36.

Roczna suma mającej być w pojedyńczym wypadku udzielonej pensji inwalidzkiej określa się wyłącznie według ustanowionych dla klas członkowskich (§ 27), co miesiąc następujących kwot zwyżkowych, tak, że wysokość pensji udzielonej równa się sumie wysłużonych przez członka w pojedyńczych klasach członkowskich kwot zwyżkowych.

Kwoty zwyżkowe wynoszą:

w I klasie członkowskiej 0,50 marek
„ II „ „ 0,75 „
w III klasie członkowskiej 1,15 „
„ IV „ „ 1,35 „
„ V „ „ 1,60 „

Pensje inwalidzkie, jakie według tego mają być udzielone, widoczne są z dołączonej do ustaw tabeli.

Uwaga: Tabela dla obliczenia pensji inwalidzkiej.

Czas składkowania		Miesięczna wysokość rocznej pensji inwalidzkiej wynosi, jeżeli po oznaczonym czasie składkowania nastąpi niezdolność do pracy, przyczem czas składkowania rozciągał się tylko w klasie członkowskiej				
lat	miesięcy	I mk.	II mk.	III mk.	IV mk.	V mk.
	1	0,05	0,06	0,10	0,11	0,13
	2	0,09	0,13	0,19	0,23	0,27
	3	0,13	0,19	0,29	0,34	0,40
	4	0,17	0,25	0,38	0,45	0,53
	5	0,21	0,31	0,47	0,56	0,67
	6	0,25	0,38	0,57	0,68	0,80
	7	0,30	0,44	0,66	0,79	0,93
	8	0,34	0,50	0,76	0,90	1,07
	9	0,38	0,56	0,85	1,01	1,20
	10	0,42	0,63	0,95	1,13	1,33
	11	0,46	0,69	1,05	1,24	1,47
1	12	0,50	0,75	1,15	1,35	1,60
2	24	1,00	1,50	2,30	2,70	3,20
3	36	1,50	2,25	3,45	4,05	4,80
4	48	2,00	3,00	4,60	5,40	6,40
5	60	2,50	3,75	5,75	6,75	8,00
6	72	3,00	4,50	6,90	8,10	9,60
7	84	3,50	5,25	8,05	9,45	11,20
8	96	4,00	6,00	9,20	10,80	12,80
9	108	4,50	6,75	10,35	12,15	14,40
10	120	5,00	7,50	11,50	13,50	16,00
11	132	5,50	8,25	12,65	14,85	17,60
12	144	6,00	9,00	13,80	16,20	19,20
13	156	6,50	9,75	14,95	17,55	20,80
14	168	7,00	10,50	16,10	18,90	22,40
15	180	7,50	11,25	17,25	20,25	24,00
16	192	8,00	12,00	18,40	21,60	26,60
17	204	8,50	12,75	19,55	22,95	27,20
18	216	9,00	13,50	20,70	24,30	28,80
19	228	9,50	14,25	21,85	25,65	30,40
20	240	10,00	15,00	23,00	27,00	32,00
21	252	10,50	15,75	24,15	28,35	33,60
22	264	11,00	16,50	25,30	29,70	35,20
23	276	11,50	17,25	26,45	31,05	36,80
24	288	12,00	18,00	27,60	32,40	38,40
25	300	12,50	18,75	28,75	33,75	40,00
26	312	13,00	19,50	29,90	35,10	41,60
27	324	13,50	20,25	31,05	36,45	43,20
28	336	14,00	21,00	32,20	37,80	44,80
29	348	14,50	21,75	33,35	39,15	46,40
30	360	15,00	22,50	34,50	40,50	48,00
31	372	15,50	23,25	35,65	41,85	49,60
31	384	16,00	24,00	36,80	43,20	51,20
33	396	16,50	24,75	37,95	44,55	52,80
34	408	17,00	25,50	39,10	45,90	54,40
35	420	17,50	26,25	40,25	47,25	56,00
36	432	18,00	27,00	41,40	48,60	57,60
37	444	18,50	27,75	42,55	49,95	59,20
38	456	19,00	28,50	43,70	51,30	60,80
39	468	19,50	29,25	44,85	52,65	62,40
40	480	20,00	30,00	46,00	54,00	64,00
41	492	20,50	30,75	47,15	54,35	65,60
42	504	21,00	31,50	48,30	56,70	67,20
43	516	21,50	32,25	49,45	58,05	68,80
44	528	22,00	33,00	50,60	59,40	70,40
45	540	22,50	33,75	51,75	60,75	72,00
46	552	23,00	34,50	52,90	62,10	73,60
47	564	23,50	35,25	54,05	63,45	75,20
48	576	24,00	36,00	55,20	64,80	76,80
49	588	24,50	36,75	56,35	65,15	78,40
50	600	25,00	37,50	57,50	67,50	80,00
51	612	25,50	38,25	58,65	68,85	81,60
52	624	26,00	39,00	59,80	70,20	83,20
53	636	26,50	39,75	60,95	71,55	84,80
54	648	27,00	40,50	62,10	73,90	86,40

§ 37.

Prawo do wypłacania pensji rozpoczyna się od dnia, w którym nastąpiła utrata zdolności do pracy.

Jako dzień nastania niezdolności do pracy uważa się, o ile inny czas w wyroku nie został ustanowionym, dzień, w którym postawiono wniosek o udzielenie pensji.

Wypłacanie pensji kończy się z upływem miesiąca śmierci, o ile według § 38 uprawnionemu pensja nie została cofniętą.

§ 38.

Jeżeli w stosunkach pobierającego pensję nastąpi zmiana, która nie każe go więcej uważać jako niezdolnego do pracy zawodowej, to pensja ma mu być cofniętą.

Cofnięcie poczyna się z upływem miesiąca, w którym zarządzenie orzekające cofnięcie zostało doręczonem.

Przypuszcza się, że zmiana uprawniająca do cofnięcia pensji nastąpiła, jeżeli inwalida bez usprawiedliwiającego powodu wzbrania się stawić do wyznaczonego badania lekarskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmaitości

Pożar trzynastopiętrowego domu. Telegramy z Nowego Jorku przyniosły straszny opis pożaru, który wybuchł w domu Parkera przy placu Unji w Nowym Jorku. Dom ten ma 13 pięter, pożar zaś wybuchł na dziesiątem piętrze. Ci, którzy się dowiedzieli o tym pożarze na niższych piętrach, pouciekali co rychlej. Ci zaś, którzy byli na wyższych piętrach, mieli wkrótce zamkniętą wszelką drogę do odwrotu. Trzynaste piętro tego gmachu mieściło w sobie ogromną drukarnię. Zecerzy, korektorzy, maszyniści, jako też cały zarząd tej drukarni nie wiedzieli o tem, że pożar się szerzy na piętrze dziesiątem, a kiedy na koniec zauważyli, że zanadto jest gorąco i wyszli do środkowej sieni, gdzie jest winda, ucieczka przez schody i windę już stała się niemożliwą. Wszyscy też oni uciekli na dach, który w tym domu, jak we wszystkich drapaczach nieba, zrobiony jest jako ogromna platforma, otoczona wysoką balustradą. Cały personał począł dawać machaniem rąk i krzykiem znać zgromadzonej publiczności, żeby ich ratowała. Ale nie było absolutnie możności, bo pompy straży ogniowej wskutek niskiego ciśnienia wody sięgały tylko 8 piętra, a wyżej nie dochodziły. Wskutek tego ogień na wyższych piętrach nie nie tylko nie był stłumiony, ale z każdą chwilą powiększał się coraz bardziej.

Słońce zaszło, ciemności ogarnęły miasto, a tam w górze, wśród tych ciemności, na dachu 13-piętrowego domu, kilkaset ludzi przygotowało się na śmierć niezawodną. Wtedy naczelnikowi straży ogniowej przyszło na myśl, cisnąć z dachu innego drapacza nieba w poprzek przez ulicę grubą linę na dach palącego się domu. Wybrano do tej operacji najsilniejszego strażaka. Ten cisnął z całej siły, ale lina spadła na ulicę. Wyciągnięto ją i ciśnięto znowu i znowu nie dotarła do dachu. Tak kilka razy rzucano ją napróżno, gdy tramwajem nadjechał jakiś atleta z cyrku. Widząc, co się dzieje, wyjechał co prędzej windą na dach sąsiedniego domu i cisnął linę. Koniec jej, mający spory kamień uwiązany, zaczepił się o balustradę platformy palącego się domu. Rzucili się zagrożeni i po chwili linę wciągnęli na platformę. Mając tym sposobem połączenie, rozpoczęto tworzyć na linie kosz na kółkach. Na tym koszu wyratowano prawie wszystkich, bo tylko dwóch czy trzech zecerów nie można się było dorachować. Nie dorachowano się także trzech strażaków. Musieli zginąć wewnątrz gmachu. Od palącego się domu Parkera zajął się „Hotel de Florence", stojący w pobliżu i będący także „drapaczem nieba". W tym hotelu znajdowała się prześliczna galerja obrazów Waltera, wartości przeszło 5 miljonów marek. Spłonęła ona do szczętu. Ogólne straty z tych dwóch spalonych domów obliczają na trzydzieści miljonów marek.

* * *

Drogie pogrzeby. Na pogrzeb króla portugalskiego i jego syna wydano wysokie sumy. Przy tej okazji wyliczają dzienniki lizbońskie, ile kosztowały pogrzeby panujących i naczelników państw. W starożytności na pogrzeb Aleksandra Wielkiego, króla Macedonji, wydano — licząc na niemiecką monetę — 25 miljonów mk.; znaczną sumę pochłonęła trumna szczerozłota. Pogrzeb cesarza Wilhelma I kosztował 520000 mk.; pogrzeb w. księcia Mikołaja dwa razy tyle. Wieńce i kwiaty, złożone na trumnie prezydenta republiki francuskiej Carnota, kosztowały 150000 mk. Pogrzeb królowej Wiktorji kosztował 800000 mk. Najkosztowniejszym w ubiegłym stuleciu był pogrzeb księcia Wellingtona, zwycięzcy Napoleona pod Watterlo; na pogrzeb ten wydała rodzina 1,700.0000 mk.

Z literatury i sztuki

„Sfinks", miesięcznik literacko-artystyczny i naukowy. Treść zeszytu 2: Wł. B.: Ku wielkim duchom. — A. Mickiewicz: Nadeszły inne czasy. — Stefan Żeromski: Młodości. — Rom. Minkiewicz: Utracić wiarę w człowieka. — Aischylosa „Ofiary" przełożył Jan Kasprowicz. — Antoni Szech: Z pod skał Tyrolu. — Ign. Chrzanowski: Książka o romantyzmie francuskim. — Leopold Staff: Żywiąc się w lesie (21 sonetów). — Savitri: Z wrażeń. — Or-Ot: Uliczna piosnka. — Wł. Orkan: Powrót. — A. Grzymała Siedlecki: Metamorfozy Cyda. — Hr. J. A. Gobineau: Dwa djalogi z cyklu „Savonarola" przeł. Ign. Grabowski. Wł. Bukowiński: Z poematu „Echa". — St. Lack: Nowy dramat Orkana (List z Zakopanego). — Ant. Beltramelli: Slepy (przeł. z włoskiego Z. Ankowska) — J. Kodisowa: Krytyka pojęć naukowych i jej znaczenie dla naszego poglądu na świat. Nadto sprawozdania z literatury polskiej przez N. Miłkowską, („Ibsen" Feldmana) i A. Drogoszewskiego („Gromnice" Zabojeckiej i „Pieśni walki" Savitri), ze sztuk plastycznych przez St. Popowskiego i z muzyki przez J. Frankowskiego.

Dodatki artystyczne: Portret A. Mickiewicza, ozdoby i winiety H. Minkiewicza, St. Popowskiego i J. Rembowskiego, okładka artystyczna J. Rembowskiego. Adres „Sfinksa", Warszawa, ul. Miodowa 15.

„Sceny i sztuki" (Warszawa), najnowszy nr. 9 przynosi wyczerpujący obraz całotygodniowy polskiego ruchu artystycznego już to w działach stałych jak „Tydzień teatralny warszawski", „Z za kulis", „Wiadomości bieżące i ze świata" już to w licznych korespondencjach z kraju (Kijów, Poznań, Wilno, Radom, Granica) i z za granicy (Praga, Czeska, Paryż, Petersburg), wreszcie w artykułach osobnych jak „Teatry amatorskie w Polsce" (Z. Przybylski), „Kątski i jego epoka" (A. Maruszowski), „Przedstawienia i koncerty robotnicze" (Jerzy Bandrowski), „Teatr krakowski" (Wł. Prokesch), „Ze starej i młodej gwardji" (Z.), „Wystawa warsz. szkoły szt. p. w Petersburgu" (A. B.), „Artystyczny karnawał i salony warszawskie" (T. K.), „Z serji debiutów". Całość urozmaicają liczne portretowane sylwety artystów i artystek polskich, humorystyka teatralna i korespondencja estetyczna p. Marcele.

Najnowszy numer 10 z piękną ilustracją tytułową przynosi cały szereg artyłów, jak „Publiczność a sztuka" Jerzy Bandrowski, „Z dziejów teatru amerykańskiego" (T. K.), „Kątski i jego epoka", „Pijani" dramat Grubińskiego (Z. S.), Soatopelk Czech, pisarz czeski i ruski itd.

„Krytyka", miesięcznik wychodzący w Krakowie. Na czele numeru na marzec pomieszczono artykuł (f) pt. „Wizyta w Poznaniu" — dalej: St. Wyspiański: Ze sztuki — śmieci (z niewydanych rękopisów). — Jan Jastrzębiec Hempel: Marzyciel. — Tad. Miciński: Wiersz. — Manfred Kridl: „Mickiewicz" Artura Górskiego. — Dr. H. Biegeleisen: Arjanie polscy. — M. Zabojecka: Poślubieńcy buntu. — Wł. Orkan: Z epilogu pt. „Franek Rakoczy". — Bol. Gorczyński: Nierządnica a kobieta uczciwa. — Przekłady z poezji włoskiej J. Ruffera. — F. Mirandola: O roztocz nad nią pióra. Numer zamykają stałe rubryki, a więc przegląd prasy polskiej i obcej, przeglądy teatralne, sprawozdania naukowe i literackie.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 12. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 21 marca 1908.

My i oni.

Na niebios stropie jaśnieje słońce,
Pieszczotą swoją z zimy snu budzi,
Rumieńce rzuca ciemne, gorące,
Na kwiatów szaty i twarze ludzi.
W promieniach jego wesoło rosną —
Z wonią i pieśnią — ciesząc się wiosną.
Purpurą świat się i złotem stroi,
— Ale nie wy, bracia moi!
Wy w głębi ziemi, wśród dymu siarki,
Od wschodu słońca po zachód słońca
Pod jarzmem pracy zginacie karki —
A w waszych norach noc jest bez końca.
Słońcami dla was fabryki, piece,
Gwiazdami — nocne warsztatu świece.

Złocistem żytem, srebrną pszenicą,
Ojczyste wielkie kwitną zagony.
Perłami rankiem kłosy się świecą,
Jesieną dadzą stokrotne plony,
W dalekie pójdzie to ziarno światy
I nosi chleby i zdrowie w chaty.
Od pszczół miodowych niwa się roi —
— Lecz nie dla was, bracia moi!
Dozorców krzyki, lub chorych jęki,
To wiosną, latem, dla was piosenki...
Miód uczuć waszych, miłosny wianek —
Kala i niszczy w rozpuście panek.
A gdy dlań wiosną ruń kwitnie świeża —
Do was głód zęby swoje wyszczerza.

Dla możnych świat ten — jeden bal wielki.
W godach, jak we snach czarowanych, toną.
Dla nich tryskają winem butelki
I drży rozkoszą tancerki łono.
Z orgji idą w przybytki cudów,
Gdzie ich fetysze... Leją krew ludów,
By złoto zdobyć... odwieczni kaci!
— Nie tak jak ty, moja braci!
Ty w paszczy nędzy toniesz złowrogiej,
Która cię plami, gryzie i siecze...
Lecz pracą — w przyszłość torujesz drogi,
W walce o postęp — twoje lśnią miecze!
Tyś jest Atlasem, który z olbrzyma
Siłą na barkach cały glob trzyma.

MICHAŁ MARCZEWSKI.

UPIÓR.

(„Myśl Niepodległa“).

Noc ciemna szła, pozaczem na dworze drogi wszystkie i dróżki zalała panująca od rana plucha, gdy stary Powała zjawił się na plebanji po dobrodzieja, kokoszę przyniósł jak się patrzy, jaj mędli dwa i cościć jeszcze w supełku, co się duchownej osobie przynależy, wedle owego olejem świętym namaszczenia.

Wiadoma bowiem rzecz, gdy o duszę katolicką idzie, człek rad do skrzyni sięga.

Ma takowa po śmierci spokojności wiecznej nie zaznać, a jeszcze, czego Boże broń, żywych swemi pokutami trapić, to lepiej juże zaraz.

I Panu Bogu chwała i umierającemu lekciejszy zgon.

A tu akuratnie samej Powałowej na tamten świat się zbierało.

Chłop więc zawiniątka gospodyni w kuchni wręczył, o księdza się pokornie dopraszał a i z nogi na nogę przestępował na znak, że mu niby siarczyście pilno było.

Kto tam bo wie, ile Pan Jezus komu chwil do życia jeszcze ostawił?

Dobrodziej na ten czas właśnie skromną wieczerzą grzeszne swe ciało pokrzepiał.

Szczękał nóż o opróżniane talerze, dzwoniła w szklance łyżeczka, od stołu rozchodził się zapach kiełbasy z kapustą i to charakterystyczne mlaskanie mięsistych warg, głoszących najwymownej w ten sposób dziękczynną pieśń bez słów za smaczne dary boże.

Pomimo to przed Powałą na progu kuchni stanął niezwłocznie.

Usta miał pełne jadła, lecz już je serwetką ucierał.

— No, cóż tam, stary, nowego? Baba cię, słyszy, chce porzucić?

Stary się do księżej ręki z nabożeństwem przyssał.

— A jużci, dobrodzieju, jużci!... Pognieważ się na nas Pan Jezus, pognieważ... Dochtora trzaby jej może, tyle myślę: nie strzyma... Ledwie zipie. Księdza chce!...

— A to i rację ma — mruknął sługa boży — wam wszystkim jak co, to aby do medyka! O cielsko wam idzie, o cielsko, aby co więcej mogło żryć i boski majestat obrażać!.. A dusza dla was nieśmiertelna, to pies! He, he!...

Na twarzy chłopa odbił się wyraz wewnętrznego zakłopotania.

— At, dobrodzieju, słabość już takowa do życia jest, każdy by rad choć krzynkę dłużej na świat oczami spoglądać...

Dobrodziejowi brwi się zmarszczyły.

— Każdy, każdy!... Pewno, że każdy! Ale nie każdy o Bogu pamięta, o zbawienie dba!...

— Hano, kto katolik jest — pośpieszył chłop — to każdy... Jać też przecie do dobrodzieja...

Jeszcze raz poparł swą prośbę ucałowaniem księżowskiego łokcia i wreszcie zasłużył sobie widocznie na pewną łaskawość, wysupławszy z rogu chustki pokaźną kupkę koprowiny.

Ksiądz dojrzał trzepocącą skrzydłami kurę, zoczył mędle jaj, przeliczył pieniądze i złagodniał znacznie.

— To to widzę, widzę, żeś przyszedł, kiedy trwoga to do Boga! Tylkoś niepotrzebnie gadał, że to Pan Jezus się na ciebie pognieważ. Kogo Bóg do swej chwały woła, ten na gniew Jego narzekać nie powinien. To łaska boska raczej, wielka łaska!

Naraz był gotów do drogi.

— A bryczka jest?

Powale zrobiło się nieswojo.

Podrapał się za uchem frasobliwie.

— Przecież to niedaleczko, proszę jegomości.

— Niedaleczko?!

— Jużci! Trzecia chałupa za kościołem.

— Trzecia chałupa?

Nie pasowało mu to jakoś. Zastanawiał się czas krótki i znowuż wybuchnął gniewnie.

— A więc to ty chłopie myślisz, że do ciebie Pan Jezus będzie piechotą szedł?! W takie błoto, w taki deszcz?!... Tobie się widzi, że jak sobie w trzeciej chałupie za kościołem siedzisz, to możesz już z synem bożym za pan brat być, co?!... Ty chcesz, żebym ja w taką noc tobie przenajświętsze sakramenta nosił?!... A niedoczekanie twoje!... Ani mi się śni!.. Bez furmanki krokiem się z domu nie ruszę!... Kto sługi bożego, kto Jezusa nie szanuje, kto dla oleji świętych konia ze stajni leni się wyprowadzić, ten niechaj sobie zdycha jak pies!... Powiedziałem i już!

Zawrócił i z takim impetem do pokoju wracał, że chłop za nim musiał biec i za łokcie go chwytać, całować po rękach a przepraszać i zapewniać, iż tylko z wielkiej desperacji całkiem mu z pamięci i koń i furmanka wypadły.

— Jać, proszę jegomości dobrodzieja, duchem szkapsko zaprzęgę, niech ta się aby dobrodziej nie gniewa!...

Gdy o spókój nieśmiertelnej duszy chrześcijańskiej idzie..

Powałowa tymczasem spieszyła się nie na kpiny.

Zanim chłop jej zaprzągł do wasąga, zanim dobrodziej się ubrał należycie, zanim kościelny się znalazł, zanim co, już babina, która tak Boga przy skonaniu oglądać pragnęła, skończyła swą doczesną wędrówkę.

Ksiądz nad zimnym prawie trupem odprawił co należało, pociechą jedynie się wykpił, że jako nieboszczka życzenie w ostatnim momencie takowe miała, to jej ono za wszystkie spowiedzi i rozgrzeszenia u Pana Boga starczy.

Człowiek robił, co mógł, a stało się oto, jak Pan Jezus chciał.

Zresztą na szczególne medytacje nie starczyło na razie czasu.

Ciasna izba zapełniła się kumami i kumotrami, rodzina się ze wsi zbiegła, dzieci i wnuki; baby podniosły wrzask, ledwo że uradzić na prędce zdołano, jaki pogrzeb teraz wypada urządzić przyzwoity, z możliwą ostentacją na cmentarzu i z serkiem dla familji i sąsiadów, którzyby w kondukcie żałobnym uczestniczyć chcieli.

A czekał ich spacer nie lada.

Parafja, do której należeli Powałowie, dopiero powstawała.

Składało się na nią: pozwolenie odnośnej władzy, stara kaplica, którą zwano jedynie kościołem, ale którą właściwie na kościół należało przebudować, plebanja, o której dachu ksiądz miewał kazania niedzielne i wreszcie sam ów dobrodziej, świeżo z wikarego mianowany proboszcz, twierdzący uporczywie na przekór Pismu Świętemu, że Chrystus piechotą chodzić nie może.

Cmentarza nowa parafja jeszcze nie miała; grunt na niego dopiero targowano.

Nieboszczyków więc chowano tymczasem na starem miejscu we właściwej parafji Męczydołki Książęce, gdzie obok sporego murowanego kościoła we wspaniałej plebanji z cegły mieszkał stary proboszcz Skoczylas, przezywający swych dawnych, odpadłych od niego parafjan, odszczepieńcami a młodego ich proboszcza Piątka fałszywym prorokiem.

Z trupem nieboszczki Powałowej trzeba było drałować wiorst bitych siedm.

Hano!... Trudno!

Umarłych grzebać — powiedziane jest.

— — — — — — — — — — — — — —

Po długotrwałej szarudze ziemia rozmiękła i skrzypiące koła wozu grzęzły w czarnej błotnistej mazi po osie.

Gwałtowne powiewy jesiennego wiatru, potrząsając wiechami ogołoconych z liści drzew, obsypywały milczącą gromadkę ludzi gradem niewyschłych jeszcze deszczowych kropli, kałuże pluchotały pod podeszwami ciężkich chłopskich butów i potykająca się na wyboistej drodze szkapa wzbijała tylnemi kopytami całe kaskady lepkich bryzg.

Bryzgi te padały na twarz drepcącego tuż koło wozu Powały, na wóz i na złożoną na nim trumnę, znacząc na niej całe mgławice gwiazd, całe systematy światów, składających się powoli na coraz grubszą powłokę, szczelnie kryjącą jej wieko płynnym, skapującym na boki całunem.

To były jedynie łzy na pogrzebie.

Po chłopce płakała ziemia. (Dalszy ciąg nastąpi).

Walka z alkoholizmem.

(Przedruk z „Wiedzy").

6. Alkohol i dziedziczność.

Ale, jak gdyby niedość było tych klęsk, przychodzi jeszcze kwestja dziedziczności. Alkohol szkodzi nietylko temu który go używa: jego niszcząca działalność rozciąga się na dzieci i wnuki pijącego, które cierpią w ten sposób za winy niepopełnione. Z zupełną pewnością stwierdzono, ze potomstwo pijaków jest zwyrodniałe pod każdym względem. Łatwo przekonać się o tem. Przedewszystkiem, wielka liczba przyrodzonych poważnych chorób mózgowych, jak: idjotyzm, głupkowatość, epilepsja (padaczka), ma źródło w pijaństwie rodziców. Obliczono, że we Francji naprzykad 55 z połową procentów wszystkich idjotów (to znaczy, więcej niż połowa) pochodzi od rodziców-pijaków; z pomiędzy chorych na epilepsję — 52% miało rodziców pijaków. Ale pomijając nawet tę nadzwyczajną skłonność do chorób mózgu u dzieci pijaków — odznaczają się one wogóle słabym rozwojem jak ciała, tak i umysłu. Badając potomstwo pijaków, nauka znajduje wśród 10 rodzin pijaków tylko 17 z połową procentów dzieci zdrowych, prawidłowo rozwijających się, podczas gdy wśród 10 rodzin niepijących było dzieci zdrowych 82 procenty. Podajemy niżej tabliczkę, ułożoną przez Demme'go (w książce pod tytułem: „Wpływ alkoholu na organizm dziecka").

Z pomiędzy dzieci	W 10 rodzinach pijaków (57 dzieci)		W 10 rodzinach niepijących (106 dzieci)	
Umarło w pierwszych dniach życia . . .	12		3	
Umarło w pierwszych miesiącach życia z konwulsji i kataru kiszek	13	25 czyli 43,8	2	5 czyli 8,2
Idjotów	6	„ 10,5%	0	
Ułomnych	5	„ 8,7%	2	„ 3,3
Miało wzrost karłowaty	5	„ 8,7%	0	
Epileptyków w wieku chłopięcym	5	„ 8,7%	0	
Chorowało na taniec św. Wita	2		1	
Rozwijało się umysłowo zbyt powoli	2		0	
Rozwijało się fizycznie jak należy (normalnie)	22	„ 38,8%	54	„ 88,5
Rozwijało się normalnie fizycznie i umysłowo	10	„ 17,5%	50	„ 81,9%

Widzimy więc dokładnie z tej tabliczki, jaka olbrzymia jest różnica między rozwojem tak fizycznym, jak i umysłowem dzieci pijaków a dzieci rodziców niepijących!

Ale od pijaka do człowieka zupełnie niepijącego mamy setki stopni pośrednich: są ludzie, których pijakami nazwać nie można, ale którzy nie są też niepijącymi — są ludzie mniej lub więcej pijący. Zależnie od tego, dzieci ich nie są zupełnie zwyrodniałe; nie są to kaleki lub idjoci, którzyby się nadawali do przytułku dla nieuleczalnie chorych, lecz nie będą z nich także ludzie zaopatrzeni dostatecznie w zdolności fizyczne i umysłowe, w siły do życia, do ciężkiej walki o chleb powszedni. Co czeka takie dzieci? Umęczenie w ciągu wielu lat — po to tylko, aby musiały zginąć po kilko albo kilkonastoletniej walce z czychającą na nie śmiercią...

Dodajmy, że nietylko ciągłe, chroniczne pijaństwo ojca, ale nawet jednorazowe upicie się decyduje już o całem życiu dziecka, w takim stanie spłodzonego, o jego zdrowiu fizycznym i duchowem, o jego zdolności do życia i pracy!

Jeżeli przypomnimy następnie, że pijaństwo zwiększa szanse nieszczęśliwych wypadków, jeżeli zwrócimy dalej uwagę na fakt, że wielka liczba kobiet zawdzięcza brak pokarmu przeważnie pijaństwu ojca, to — poruszyliśmy w ten sposób najpoważniejsze zarzuty, jakie się z całą pewnością przeciw alkoholizmowi postawić dadzą, jakkolwiek nie wyczerpaliśmy wszystkich.

7. Picie umiarkowane.

Kiedy mowa o tych okropnych skutkach pijaństwa, ludzie zwykle pocieszają się, że są to przecież tylko skutki nadmiernego używania trunków, którego szkodliwość jest powszechnie uznana i którego nikt bronić nie myśli.

W samej rzeczy, wszyscy przeważnie zgadzają się na to, że umiarkowanie w spożyciu alkoholu jest dla człowieka groźnem niebezpieczeństwem — ale zupełna niezgoda panuje co do tego, gdzie leży granica pomiędzy umiarkowaniem a nieumiarkowaniem?! gdzie kończy się pierwsze, a zaczyna drugie?! Po większej części tak bywa, że każdy uważa za umiarkowane to, co sam wypija, i nawet ten, który choruje na skutek nadużywania alkoholu, nie chce się zgodzić na to, że pił za dużo; powie tylko, że „nie jest wytrzymały na trunki".

Tymczasem z roku na rok coraz większa liczba badaczy przychodzi do wniosku, że o wiele groźniejsze niebezpieczeństwo tkwi w tak zwanem umiarkowanem, ale ciągłem używaniu trunków przez masę, niż w pijaństwie dorywczem. Bez wątpienia, organizm człowieka może sobie dać radę z taką ilością alkoholu, jaką zawiera 1 litr piwa naprzykład; szkoda, jaką taka jednorazowa doza alkoholu przynosi ciału wyrównywa się, naprawia sama przez się z biegiem czasu. Ale, jeżeli, nie czekając tego wyrównania, wypijamy znowu choćby tak samo niewielką ilość alkoholu i tak wciąż, stale w ciągu lat i dziesiątków lat, to nie trzeba się dziwić, jeżeli nabawimy się w końcu ciężkiej choroby przez zatrucie alkoholu, chociaż ani razu nie piliśmy nieumiarkowanie, ani razu nie byliśmy pijani. „Ziarnko do ziarnka — a zbierze się miarka". Jedna kropla wody nie przebije kamienia, ale spadając wciąż, stale na jedno miejsce, wydrąży go w końcu z pewnością.

Wiedzą o tem angielskie towarzystwa ubezpieczeń na życie. Odróżniają one dobrze w swoich regiestrach „umiarkowanych" od „niepijących"; z obrachowań tych towarzystw okazuje się, że liczba wypadków śmierci wśród abstynentów (niepijących) jest o 25 proc. mniejszą niż wśród „umiarkowanych" w tym samym wieku. Że tu chodzi nie o jakieś przypuszczenie, ale o zupełną pewność, dowodzi lepiej niż wszelkie słowa ten fakt, że towarzystwa te zmniejszają niepijącym zupełnie wysokość składki o całe 15 proc.!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Statut górnośląskiego knapszaftu

według uchwał walnego zebrania z dnia 27-go lipca 1907, ważny od 1-go stycznia 1908.

(Ciąg dalszy.)

b) Pensja dla wdów.

§ 39.

Wdowom po czynnych członkach kasy pensyjnej i po inwalidach udziela się aż do ponownego zamążpójścia pensję lub pensję na dożycie, jeżeli już nie wyjdą zamąż.

Jeżeli małżonek przy zawarciu małżeństwa był już inwalidą, to wdowa ma prawo do pensji dla wdów wtedy tylko, jeżeli małżonek został później znowu uznany za zdolnego do pracy i pracował na werku (kopalni lub hucie).

§ 40.

Pensji dla wdów nie udziela się:

a) jeżeli małżonek zawarł małżeństwo dopiero w wieku powyżej pięćdziesięciu lat i pomiędzy nim a jego małżonką istniała różnica wieku dwudziestu i wyżej lat;

b) jeżeli śmierć lub inwalidztwo małżonka zostało spowodowanem przez karygodny czyn i małżonce na mocy wyroku sądu karnego został udowodnionym współudział lub pomoc.

§ 41.

Pensja dla wdów wynosi połowę pensji inwalidzkiej, jaką zmarły małżonek pobierał lub byłby pobierał. Pensje dla wdów, jakie według tego mają być udzielone, widoczne są z dołączonej do ustaw tabeli.

Uwaga: Tabela dla obliczania pensji dla wdów.

Czas składkowania małżonka		Po oznaczonym czasie składkowania małżonka wynosi miesięczna wysokość rocznej pensji dla wdów, jeżeli czas składkowania małżonka rozciągał się tylko w klasie członkowskiej			
lat	miesięcy	II mk.	III mk.	IV mk.	V mk.
	1	0,03	0,05	0,06	0,07
	2	0,06	0,10	0,11	0,13
	3	0,10	0,15	0,17	0,20
	4	0,13	0,20	0,23	0,27
	5	0,16	0,25	0,28	0,33
	6	0,19	0,29	0,34	0,40
	7	0,22	0,34	0 40	0,47
	8	0,25	0,39	0 45	0,53
	9	0,29	0,44	0,51	0,60
	10	0,32	0,49	0,57	0,67
	11	0,35	0,54	0,62	0,73
1	12	0,38	0,58	0 68	0,80
2	24	0,75	1,15	1,35	1,60
3	36	1,13	1,73	2,03	2,40
4	48	1,50	2,30	2,70	3,20
5	60	1,88	2,88	3 38	4,00
6	72	2,25	3,45	4 05	4 80
7	84	2,63	4,03	4 73	5 60
8	96	3,00	4,60	5,40	6,40
9	108	3,38	5,25	6,08	7,20
10	120	3,75	5,75	6 75	8,00
11	132	4,13	6,33	7 43	8,80
12	144	4,50	6,90	8,78	9,60
13	156	4,88	7,48	8,10	10,40
14	168	5,25	8,05	9,45	11,20
15	180	5,63	8,63	10,13	12,00
16	192	6,00	9,20	10,80	12,80
17	204	6,38	9,78	11,48	13,60
18	216	6,75	10,35	12,15	14,40
19	228	7,13	10,93	12,83	15,20
20	240	7,50	11,50	13,50	16,00
21	252	7,88	12,08	14,18	16,80
22	264	8,25	12,65	14,85	17,60
23	276	8,63	13,23	15,53	18,40
24	288	9,00	13,80	16,20	19,20
25	300	9,38	14,38	16,88	20,00
26	312	9,75	14,95	17,55	20,80
27	324	10,13	15,53	18,23	21,60
28	336	10,50	16,10	18,90	22,40
29	348	10,88	16,68	19,58	23,20
30	360	11,25	17,25	20,25	24,00
31	372	11,63	17,83	20,93	24,80
31	384	12,00	18,40	21,60	25,60
33	396	12,38	18,88	22,28	26,40
34	408	12,75	19,55	22,95	27,20
35	420	13,13	20,13	23,63	28,00
36	432	13,50	20,70	24,30	28,80
37	444	13,88	21,28	24,98	29,60
38	456	14,25	21,85	25,65	30,40
39	468	14,63	22,43	26,33	31,20
40	480	15,00	23,00	27,00	32,00
41	492	15,38	23,58	27,68	32,80
42	504	15,75	24,15	28,35	33,60
43	516	16,13	24,73	29,03	34,40
44	528	16,50	25,30	29,70	35,20
45	540	16,88	25,88	30,38	36,00
46	552	17,25	26,45	31,05	36,80
47	564	17,63	27,03	31,73	37,60
48	576	18,00	27,60	32,40	38,40
49	588	18,38	28,18	33,08	39,20
50	600	18,75	28,75	33,75	40,00
51	612	19,13	29,33	34,43	40,80
52	624	19,50	29,90	35,10	41,60
53	636	19,88	30,48	35,78	42,40
54	648	20,25	31,05	36,45	43,20

§ 42.

Prawo do wypłacania pensji rozpoczyna się dla wdów po czynnych członkach kasy pensyjnej od dnia śmierci małżonka, dla wdów po inwalidach od pierwszego dnia miesiąca następującego po dniu śmierci.

Wypłacanie pensji kończy się:

a) jeżeli wdowa ponownie wychodzi zamąż, z upływem miesiąca, w którym nowe małżeństwo zostało zawartem;

b) jeżeli wdowa nie wyjdzie ponownie zamąż, z upływem miesiąca śmierci.

Dla tych wdów, które na mocy prawa Rzeszy o zabezpieczeniu na wypadek pobierają rentę, kończy się z prawem do renty również prawo do pensji dla wdów.

Prawo do pensji dla wdów utracone przez ponowne zamążpójście nie odzyska się przez to, że ponownie wydana stanie się po raz drugi wdową.

c) Wyposażenie wdów.

§ 43.

Wdowy uprawnione do pensji otrzymują w razie ponownego zamążpójścia jako wyposażenie tyle, ile wynosi ich pensja na dwa lata, conajmniej jednak 150 marek. Wdowom po takich członkach, którzy utracili życie z powodu nieszczęścia przy pracy, nie udziela się wyposażenia, jeżeli na mocy prawo Rzeszy o zabezpieczeniu na wypadek mają prawo do odszkodowania w razie zamążpójścia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmaitości

Mnisza rzeczpospolita. Na górze Athos, położonej między Saloniką a Konstantynopolem, przebywa w 20 klasztorach około 10000 mnichów. Są 3 główne klasztory słowiańskie: rosyjski Pantalejmona, serbski Chilandari i bułgarski Zograf; reszta 17 są greckie. Zarząd spoczywa w ręku delegacji, złożonej z 20 członków (po jednym z każdego monasteru), wybierającej z pośród siebie profosa, t. j. przewodniczącego. W ten sposób, choć większość mnichów stanowią słowianie, (samych rosjan jest przeszło 5000), rządy są greckie i tem tłumaczy się stałe, nurtujące rzeczpospolitą mniszą i niezawsze ukrywane niezadowolenie słowian. Z wyjątkiem gubernatora tureckiego, kilku przy nim urzędników i garstki Serderów macedońskich dla obrony i usługi monasterów, nie ma na Athosie osób tureckich. Niewiastom wstęp jest wzbroniony, to też nawet gubernator turecki żyje tu bez rodziny, aby uszanować prastare zwyczaje, uświęcone tradycją, sięgającą wieku X. Mnisi dzielą się na dwie kategorje: cenobitów i djorytmitów. Pierwsi mają w ręku 11 monasterów; żyją w nich życiem wspólnem, mają rządy monarchiczne, t. j. podlegają władzy przełożonego, i nie mogą posiadać własności prywatnej. W dziewięciu pozostałych monasterach, należących do idjorytmitów, życia wspólnego nie ma; rządy są republikańskie, a mnisi mają prawo posiadać i pomnażać własność prywatną. Grupują się w kółka, złożone z 5—6 osób, a zależne od swoich patronów, którzy razem tworzą senat rządzący monasterem. Rosyjski monaster jest cenobicki i dyscypliną swą nadaje ton całemu życiu na Athosie. Reguła jest nadzwyczaj surowa. Nabożeństwo trwa całą noc; zaczyna się o pierwszej po północy i trwa do siódmej rano — i dłużej. Prócz tego są nabożeństwa poobiednie. Mięsa mnisi nie używają nigdy; posty są ścisłe, ciężkie i częste. Monaster św. Pantałejmona wywiera wpływ religijny w duchu prawosławia na całą Rosję, a środkami do rozszerzenia tego wpływu są z jednej strony wydawnictwa broszur treści pobożnej, z drugiej liczne i częste pielgrzymki z Rosji w grupach po 500 osób i więcej.

* * *

Miasto na drzewach. W amerykańskiej Kanadzie, w samem sercu bezgranicznego dziewiczego lasu, który liczy szerokości 200, a długości 400 mil, ciągnącego się między jeziorami Wyższem i Winnipeg, znajduje się całe miasto zbudowane i rozpostarte na drzewach. To ciekawe miasto, mające poetyczną nazwę Nest-City, czyli Miasto-Gniazdo, liczy obecnie przeszło 3000 mieszkańców, zajmujących 500 domów drewnianych, niby ptasie gniazda przytwierdzonych do drzewa, ukrytych i zawieszonych wśród liściastych konarów olbrzymich drzew, na wysokości 6 lub 7 metrów. Wielkie pnie staro-drzewów stanowią niby rodzaj słupów, na których opierają się domy, czem wielce ułatwiają zbudowanie tego oryginalnego miasta. Pod tym względem Nest-City można przyrównać do pewnego rodzaju wiszącej Wenecji. Każdy domek, opierający się na jednym lub kilku pniach, połączony jest ze swoim sąsiadem wiszącem mostem z drzewa i całą siecią długich korytarzy, tarasów oraz balkonów. Wielki pomost, zawieszony również w powietrzu, w środku miasta, zajmuje miejsce rynku lub publicznego placu. Tam zgromadzone są budynki publiczne, urzędy, sklepy, oraz wielka kawiarnia, która z woli mieszkańców otwartą jest dla publiczności tylko 3 dni w tygodniu, i to w ciągu pięciu godzin dziennie. Mieszkańcy tego gniazda wszyscy zajmują się łowiectwem i żyją wspólnie we wielkiej zgodzie i harmonji.

Z literatury i sztuki

„Kultura“, miesięcznik naukowy, społeczny i literacki pod redakcją Zenona Pietkiewicza w Warszawie. Treść zeszytu II na luty: Jerzy Kurnatowski: Przywilej celny (Krytyka liberalizmu i nacjonalizmu ekonomicznego). — Julja Dicksteinówna: Ruch kobiecy jako czynnik demokratyzujący w społeczeństwie. Jan Iwański: Wacław Grubiński (sylwetka literacka). — Dr. W. Miklaszewski: Rodzina. — Stanisław Barycz: Ze sceny i estrady. Czasopisma polskie. Przegląd czasopism obcych. Polemika. — Leon Bourgeois: Solidaryzm.

Adres „Kultury“: Warszawa, Wspólna 49 (m. 15.) Prenumerata kwartalnie 2 ruble.

Czytania historyczne. Zebrały i ułożyły Helena Witkowska i Marcelina Kulikowska. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. 1907 i 1908 r.

Mamy przed sobą jedenaście książeczek tego wielce pożytecznego wydawnictwa. Są to starannie i umiejętnie wybrane ustępy z dzieł rozmaitych dziejopisarzy polskich w ten sposób, ażeby składały się one na całkowity obraz dziejów narodu polskiego.

Myśl ułożenia czytań historycznych nasunęła się — jak powiada przedmowa — z doświadczenia na polu pracy nauczycielskiej i ze spostrzeżenia, że w wypożyczalniach publicznych szczególnie dopominano się o książki historyczne. Myśl tę jeszcze bardziej poparła uchwała pedagogów na kongresie francuskim w Lille w 1905 r., ażeby przy wykładzie historji odczytywać wyjątki z dzieł cielniejszych dziejopisów.

Dla przykładu, w jaki sposób są ułożone te czytanki, podajemy treść pierwszej książeczki. Rozpoczyna ją Tadeusz Wojciechowski, kreśląc: „O czem mówi nam nauka historji?“ Dalej idą następni pisarze: Władysław Smoleński: „Czem właściwie powinna być nauka historji, jej cele i zadania“; E. Romco: „O gieograficznej całości ziem polskich“; prof. Rostafiński: „Fizyczny opis dawnej Polski“; Wiktor Czermak: „O zajęciach, wierzeniach i obyczajach słowian pierwotnych“; A. Brückner: „Rozwój cywilizacji w Polsce“; Franciszek Piekosiński: „O powstaniu społeczeństwa polskiego“; Michał Bobrzyński: „Gieneza społeczeństwa polskiego“; Stanisław Smolka: „Gieneza państwa polskiego“; Oswald Balzer: „Okresy w historji ustroju Polski“.

Redaktorki czytanek historycznych nie zadawalniają się wszakże samem tylko przedrukowaniem ustępów z dzieł historycznych, lecz dla powiązania ich w całość dodają pojaśnienia od siebie. I tak w książeczce, której treść podaliśmy, umieściły osobny treściwy artykulik: „Powstanie państwa i społeczeństwa polskiego w literaturze historycznej“.

Epoka Piastowska ujęta jest w czterech książeczkach: „Ważniejsze wypadki i postacie dziejowe od zaprowadzenia chrześćjaństwa do podziału Polski na dzielnice przez Bolesława Krzywoustego (966—1138)“); „Ustrój państwowy i stosunki społeczne w Polsce Piastowskiej“; „Ważniejsze wypadki i powstania dziejowe od podziału Polski na dzielnice do śmierci Kazimierza Wielkiego (1138—1370)“; „Kultura w epoce Piastowej“.

Na odtworzenie obrazu epoki Jagiellońskiej składa się siedm książeczek — jak widzimy ze spisu wszystkich zeszytów. Prawie pięćdziesiąt dziejopisarzy znajdujemy na ich kartach.

Przy nauczaniu młodzieży takie czytania historyczne muszą oddawać ogromną usługę.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 13. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 28 marca 1908.

MICHAŁ MARCZEWSKI.

UPIÓR.

(„Myśl Niepodległa“).

Płakał ten szary przesycony potem ugor, który się karmi trupami, a rodzi chleb, płakał mokry piach, którego garśćmi ciskają na zamknięte trupa oczy, płakała ta brudna deszczowa woda, tworząca głód i urodzaj, zresztą nie było więcej z nikąd żalu.

Chłopy szły bezmyślnie, obojętnie niby stado pędzonych na ruń baranów.

Jedno, co ich pchało naprzód, to był serek, ów obyczaj weszły im w krew i kość, jedno, co ich trzymało w ryzach — to majestat śmierci, którą i wół przeczuwa zdala jeszcze od bydłobójni.

A droga, choć długa i uciążliwa, kończyła się nareszcie i im bliżej wrót cmentarnych, tem niżej pochylały się łysiny zamkniętych w sobie gospodarzy, tem szczelniej owijały się wełniane chusty koło ust kumoszek i tem poważniejsza nieboszcze towarzyszyła cisza.

Bo i, prawdę rzekłszy, nie było wiele o czem gawędzić. O ziemniakach i oziminach, o Wawrzkowej ciołce i o szkapie Tabunia, którą wściekły pies ze dworu pokąsał, wiedzieli już wszyscy, co zaś do owej duszy wiedzionego właśnie na wieczny spoczynek ciała, to wypadało raczej milczeć z przyzwoitości.

Młodsza Powalczanka widziała, jako z matczynych ust wyszedł płomyczek niebieski i siadł se na krawędzi łóżka niby wróbel na płocie.

Bóg ta ich raczy wiedzieć!

Pewno jużci ta nieboraczka trzepoce bialuśkiemi skrzydełkami ponad ową zachlapaną trumienką i radaby ku niebu a nie może.

Jakże jej bo do wrót rajskich pukać, kiedy kosteczki jeszcze na wyboinach podrygują?...

Zamiast więc jej nieśmiertelne uszy byle gębowaniem urażać, rozumiał każdy, jako im się jeno z pochówkiem spieszyć należy; ciału grzesznemu spokój zapewnić tutaj na ziemi a duszy szczęśliwość wieczną tam, w niebiesiech.

Z tą też zapewne myślą ostateczną wóz, truma i ludzie stanęli wreszcie na gruncie parafji Męczydołki Książęce przed wspaniałą z cegły plebanją.

Tak obyczaj nakazuje chrześćjański.

Ksiądz wyjdzie, modlitewkę wypowie, wodą pokropi a potem wierni mogiłkę z piasku usypią chędogą i już przy serku i żal pójdzie serdeczny i języki się należycie rozplączą.

— At, była gospodyni Powałowa!...

— Niemasz już gospodyni Powałowej!...

— Daj jej ta, Panie Boże, odpoczywanie wieczne!

— A światłość wiekuista niechaj ii świeci!...

Pop jednak swoje, a czart swoje.

— — — — — — — — — — — — — —

Ksiądz Skoczylas był, co się nazywa ksiądz.

Kiedy leżał, to albo spał, albo z gospodynią o obiedzie i innych rzeczach traktował; kiedy siedział, to albo w karty grał, albo jadł, albo pił, a jak się wyprostował a jeszcze na ambonę wlazł, to miewał takie kazania:

„...I przyjdzie straszny dzień sądu ostatecznego i zawoła na mnie Pan:

— Skoczylas, Skoczylas, gdzie twoje owieczki?!... — A ja myk!“

Tak przynajmniej fama niosła szeroka, daleka i podobno sam pan gubernator, Jego Ekselencja, mąż, mimo swej niebotycznej powagi, lubiący czasami zbytki, pytał się przy sposobności księdza Skoczylasa, ile prawdy jest w owem podaniu.

Proboszcz naturalnie nazywał to wszystko infamją, od kazania ręce umył niby on Piłat Pontski, ale długo o owym wypadku pamiętał i potem, gdy kiedy w gniew wpadał, groźnie wykrzykiwał:

— Dam ja wam, hultaje, psubraty, świnie! Dam ja wam świnie!...

Srogi był wówczas bardzo.

Brwi mu się krzaczaste stroszyły niby kolce u jeża, oczkami małemi ciskał błyskawice, pięścią nawet komuś niewidzialnemu wygrażał w powietrzu.

Strasznie mu się już owa nierogacizna przejadła.

W dzień pogrzebu Powałowej na księdza naszła znowuż taka świńska kanikuła.

Przywędrował do wsi węgier, gospodyni w dobrej wierze zawiodła go do chlewika a on zdrajca za głupią operację nad trzema prosiakami policzył sobie złotówkę.

— A żeby cię piorum trzasł!

Księdzem trzęsło po prostu oburzenie.

— Zawszem powtarzał, zawsze mówiłem, psia krew! Żebym owce miał, baraninę bym jadł, wełnę bym jeszcze sprzedawał, a ze świniami to tak! Smród, kwik, trychiny i jeszcze taki poganin, świętokradca!... Bodajeś jajka święconego nie doczekał.

Węgier jednakże ani myślał się wynosić; w kuchni sobie nawet na ławie przysiadł, ręce koło pieca grzał a sążniste przekleństwa osoby duchownej odskakiwały od niego niby groch od ściany.

Uparty się udał, jucha.

Nic, tylko złotówkę i złotówkę.

Naraz przypomniało się proboszczowi, że miał na szczęście pieniądz taki.

Żółte to było, z mosiądzu, widocznie fałszywe.

Gdzieś, czy to przy kartach we dworze, czy na targu w miasteczku jakaś służka antychrysta wsunęła mu tę monetę.

Solą ją posypywać musiał, by zbielała, brzęku jej tylko nie mógł już nadać żadną miarą, no, aleć węgier, chwalić Boga, nie muzykalny a zresztą jakżeż to tak?... Na plebanji, w miejscu na pół świętem i srebro o podłogę próbować?!

Umilkł dobrodziej, udobruchał się jak gdyby, ręką na węgra machnął jedynie:

— Ano, niechaj ci Pan Jezus moją krzywdę na tamtym świecie pamięta! — i zawrócił po gotówkę do izby.

Otworzył biurko, wyjął z niego puszkę blaszaną, przeznaczoną na drobnicę, znalazł w niej zaraz poszukiwaną złotówkę i zastanawiał się tylko, skąd w tej groszowej jego kasie wziął się rubel cały, połyskujący wśród powodzi dydków i trojaków niby odblask pełni księżyca w zasypanem zżółkłemi liśćmi bagnisku, gdy niespodziane, podniósłszy głowę, dojrzał przez okno prące na plebanję chłopstwo z trumną Powałowej. Tego mu jeszcze brakowało.

— Rabusie, łotry, odszczepieńcy!... Boga żywego sprzedawcy!...

Krew w nim wszystka zastygła jakby, nos mu zbielał niczem kreda święcona, miał już wybuchnąć gromem spra-

wiedliwego gniewu, lecz widocznie duch święty oświecił go jakimś nagłym pomysłem.

Szarpnął się gwałtownie, zakrzątał gorączkowo.

— A, glizdulki, robaczki ziemne!... Parafijki wam się własnej zachciało a cmentarzyka to nie macie!... A, bydlątka boże, duszyczki djabłu zaprzedane, do kościółka wam chodzić daleko, ale na mogiłki własne to was nie stać!...

Nalane jego gołe i łyse oblicze wykrzywił uśmiech złośliwego zadowolenia.

— Chodźcie, chodźcie, chrabąszczyki, złodziejaszki!... Do mnie, do waszego starego pastucha!... Tak, tak!... Ja wam i modlitewkę i błogosławieństwo i mogiłkę i serek taki, że aż hu!...

Zapomniał o sprawach interesujących go przed chwilą; i o rublu prawdziwym i o fałszywej złotówce i o czekającym na nią węgrze; mechanicznie brał coś w garść, coś zamykał i zawracał ku drzwiom z jedyną myślą w głowie, z jedynym okrzykiem na ustach:

— Wawrzyniec, psia paro, biegnij duchem do kościelnego, niechaj cmentarz na klucz zamyka i ani psa kulawego za wrota nie puszcza! A klucz do mnie nieś!... Ruszaj się, żywo!... A nuże go. Prędzej! No, już!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Walka z alkoholizmem.

(Przedruk z „Wiedzy").

8. Przyczyny alkoholizmu.

Kiedy słyszymy o tym ogromie nieszczęść, spowodowanych przez alkoholizm, kiedy dowiadujemy się o jego olbrzymiem rozpowszechnieniu, o zwiększaniu się tej klęski z roku na rok, powstaje wtedy bardzo naturalnie pytanie: skąd pochodzi alkoholizm? W jakim gruncie ma on swoje korzenie? Z jakiego źródła czerpie soki?

Na te pytania mieli socjaliści, aż do ostatnich prawie lat, zawsze tę jedną odpowiedź:

Alkoholizm jest skutkiem nędzy społecznej, nieuniknionym owocem gospodarki kapitalistycznej; dla tego też walczyć z alkoholizmem można tylko w jeden sposób: zwalczając obecny porządek społeczny.

Taki pogląd przemawia do przekonania jednych — dla swojej prostoty, przypada do gustu innym — bo jest wygodny: usprawiedliwia on niejako pociąg do kieliszka, zdejmując zupełnie odpowiedzialność z jednostek i wkładając całą winę na panujący porządek kapitalistyczny. Jednakże przy całej trafności tego poglądu, stoi on w zbyt rażącej sprzeczności z wielu faktami, ażeby mógł on był długo się utrzymać.

Zaznaczamy z naciskiem, że dalecy jesteśmy od tego, by zaprzeczać wpływu warunków społecznych na rozwój alkoholizmu; przeciwnie, twierdzimy, że warunki społeczne w tysiącach i setkach tysięcy wypadków stanowią jedne z najgłówniejszych pobudek do pijaństwa.

9. Przepracowanie się i złe odżywiane.

Zbyt długi dzień roboczy jest bezwątpienia pierwszym w szeregu warunków, sprzyjających krzewieniu się alkoholizmu.

Robotnik jest zmuszony spędzać długie godziny w źle przewietrzanym lokalu, w dymie, kurzu, zaduchu i upale, wykonywując z gorączkowym pośpiechem jednostajną a ciężką, wyczerpującą pracę — czyż trudno zrozumieć, że jest to przyczyna, która — w związku z wielu innemi — skłoni go do szukania orzeźwienia i pokrzepienia w kieliszku.

Gdy płaca jest skąpa, niewystarczająca na opędzenie najpilniejszych potrzeb robotnika i jego rodziny, nie wystarczająca w żaden sposób na pożywienie zdrowe i smaczne — czyż można się dziwić, że zechce on łykiem wódki okrasić swój nędzny posiłek: kawał dławiącego w gardle chleba ze zjełczałą słoniną! lub popłukać kuflem piwa ohydny obiad w pośpiechu zjedzony w brudnej garkuchni. A cóż mówić o tysiącach tych, którzy pracują zdala od miasta i dla których nawet najnędzniejsza knajpa, z tego lub innego powodu, jest marzeniem niedostępnem? Oto siedzą oni rzędem pod murem, w kurzu, trzymając między kolanami ubogie naczynie ze strawą zimną, bez smaku, przyniesioną przez żonę lub dziecko. Któż będzie się dziwił, że zechcą oni odrobiną wódki lub butelką piwa uczynić znośniejszym ten nędzny posiłek?

W większości zawodów warunki pracy same popychają do picia. Dorożkarz naprzykład lub woźnica musi o wczesnym, zimnym świcie zimowym wlec się, po niedostatecznym wypoczynku, ze swego nędznego barłogu na mróz, śnieg, zawieje: jakże ma ciężki dzień rozpocząć, jeśli nie od kieliszka wódki, który sen z powiek zepchnie, doda humoru? jak zrobić znośniejszym ten szesnasto, często ośmnastogodzinny dzień roboczy, jeżeli nie — wstępując raz wraz do szynczku narożnego?

10. Mieszkanie.

A mieszkanie robotnicze? Jak wygląda ten pałac, w którym znajdzie odpoczynek zmęczony, po gorączkowej ciężkiej pracy dnia? Któż nie zna mieszkania rodziny robotniczej: nędznej, zimnej, wilgotnej i dusznej nory, ze złem piecem i jeszcze gorszą wentylacją?!

Oto jest miejsce, w którem wyczerpany całodzienną pracą ma spędzić owe z niecierpliwością wyczekiwane wolne godziny wieczorne! Czy może ono nęcić kogo? Gdybyż przynajmniej ta izba do niego jednego należała! miałby godzinę spokoju i wypoczynku przed snem. Ale jakże często jest on właścicielem zaledwie kąta tej izby, która służy za mieszkanie całej rodzinie gospodarza, jest jego sypialnią, jadalnią, kuchnią, nieraz warsztatem nawet. Cóż dziwnego, że nie pilno mu po robocie do tego „domu"? że rano pragnie opuścić go jak najprędzej i nie wracać, nie widzieć go, aż przyjdzie czas ułożyć się na posłaniu*). Gdzież więc spędzić parę godzin przed snem? Tam, gdzie spotkać się można z przyjaciołmi albo towarzyszami pracy, których te same przyczyny z domu wypędzają — w szynku.

Schodzą się tam nietylko dla pogawędki; jest to także często jedyne miejsce, gdzie się robotnicy naradzić ze sobą mogą, obgadać sprawy swojego fachu albo sprawy partyjne. Ale za prawo gawędy w szynku trzeba płacić spożyciem trunków.

„Nie codzień przecież wołają robotnika do szynku obowiązki związkowe lub partyjne!" — mogą nam zarzucić; „ileż to godzin spędza on tam bez potrzeby sam lub z towarzyszami, zamiast użyć tego czasu z pożytkiem na przeczytanie gazety, książki, na odwiedzenie koncertu lub teatru!"

Zgadzamy się z tem najzupełniej; jest to i nasze zdanie, że robotnik lepiej zrobiłby, spędzając wieczór w czytelni lub teatrze. Ale — jak to daleko zwykle bywa do najbliższej czytelni, jeżeli wogóle w danej miejscowości istnieje czytelnia! Zaś o teatrze, wobec jego niedostępnych cen, niema co mówić! Przypuśćmy jednak, że czytelnia jest w pobliżu, teatr — dostępny: czy możliwe jest, czy człowiek jest zdolny — po jedenasto, dwunasto i więcej godzinnym dniu roboczym, strawionym w pracy, w kopalni, cegielni, fabryce lub warsztacie — używać przyjemności duchowych? czy jest w stanie odczuć przyjemność w czytaniu książki, w muzyce, choćby nawet w poważniejszej rozmowie?

Wobec warunków, w których żyje i pracuje dziś przeważna część robotników, może być mowa o prawdziwej zdolności do rozkoszy umysłowych lub artystycznych w kilku godzinach wieczornych, jedynie w stosunku do drobnej garści najsilniejszych i najbardziej odpornych jednostek. Wszak czytanie, koncert, teatr itp. wymagają naprężenia uwagi, pracy nerwów i mózgu, a czyż dzień roboczy ze wszystkiemi jego męczarniami nie wyssał doszczętnie z robotnika wszystkich sił i zdolności do pracy? przecież zdarza się nawet, że robotnik, ażeby móc odrobić żądaną ilość pracy, musi swoje siły podniecać sztucznie, wódką, czyli: musi wydać sił więcej niż ich posiada...

Można przytaczać przykłady za przykładami, można nagromadzić góry faktów, świadczących, jak dalece dzisiejsze warunki społeczne popychają człowieka do pijaństwa. Kto zna warunki bytu robotnika, kto potrafi zrozumieć, jak poniżającą jest nędza, którą ofiaruje dzisiejszy porządek społeczny jako wynagrodzenie za pracę, nędza wszelkich stopni i odcieni, kończąca się na najniższym szczeblu zabójczymi warunkami życia i pracy chałupników i nie ludzkimi już,

*) Inspektorowie przemysłowi, zwiedzając berlińskie szwalnie, magazyny sukien i ubiory (w których po większej części warsztat jest zarazem sypialnią robotników), stwierdzili, że tylko 2,6 proc. wszystkich magazynów miały pomieszczenia, odpowiadające najskromniejszym wymaganiom hygjeny (30 do 40 metrów sześciennych na człowieka); reszta zaś dawała swoim robotnikom powietrza mniej niż mają więźniowie, pracujący w więzieniach karnych. W 36 proc. blizko przypadało na każdego „wolnego" robotnika 3 razy, a nawet 10 razy mniej, niż ma więzień!

ale wprost będlęcymi warunkami egzystencji robotnika rolnego; kto uprzytomni sobie to wszystko, ten nie dziwi się, że pijaństwo wciąż wzrasta.

Znużony i przybity, pożądający spokoju, którego mu dom dać nie może, albo pragnący rozrywki i choć iskierki wesela, radości, której mózg wyczerpany nie jest w stanie szukać w pracy umysłowej, przestępuje spracowany robotnik próg szynku. Z kieliszka tryskają strumienie radości i wesela; żeby je otrzymać, nie potrzeba wielkiego wysiłku — starczy otworzyć usta i kieliszek wychylić. Wódka podnieca, rozprasza smutek, rodzi dobry humor... Odurza i zagłusza wspomnienie wszystkich bólów i cierpień dnia dzisiejszego, a także — nie dopuszcza do niego świadomości, że taki sam los czeka go każdego wieczoru w ciągu całego życia, które sądzono mu przynieść w ofierze pańszczyznie kapitalistycznej...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Statut górnośląskiego knapszaftu

według uchwał walnego zebrania z dnia 27-go lipca 1907 ważny od 1-go stycznia 1908.

(Ciąg dalszy.)

d) Wsparcie dla sierot.

§ 44.

Dzieciom po zmarłych czynnych członkach kasy pensyjnej i po inwalidach udziela się aż do ukończonego 15 roku życia wsparcie sierot. Prawo do wsparcia sierot powstaje tylko raz, chociażby nawet zarówno ojciec jak i matka sierot w czasie zgonu byli członkami kasy pensyjnej. Nieślubne dzieci po zmarłych kobiecych członkach kasy pensyjnej liczą się jako pół sieroty.

Wsparcie sierot wynosi na miesiąc:

a) dla półsierot 6 marek
b) dla sierot bez ojsca i matki 12 marek.

§ 45.

Wsparcia sierot nie udziela się:

a) dla dzieci ze związku, zawartego przez inwalidę, o ile nie został on później znowu uznanym za zdolnego do pracy i nie począł pracować na werku (kopalni lub hucie);
b) dla dzieci, które nie pozyskały prawnego stanowiska dzieci ślubnych.

§ 46.

Prawo do wypłacania wsparcia sierot poczyna się dla sierot po czynnych członkach kasy pensyjnej od dnia zgonu członka, dla sierot po inwalidach od pierwszego dnia miesiąca następującego po dniu śmierci.

Jeżeli półsieroty stają się całkowitemi sierotami (t. j. bez ojca i matki), to otrzymują one wyższe wsparcie sierot dopiero od pierwszego dnia miesiąca następującego po dniu śmierci ostatniego rodzica.

Prawo kończy się z upływem tego miesiąca, w którym sierota ukończyła 15 rok życia albo zemrze przed upływem tego czasu, albo zostanie przyjętą za własne dziecko. Dla tych sierot, które na mocy ustaw Rzeszy o zabezpieczeniu od wypadków pobierają rentę, kończy się z prawem do renty również prawo do wsparcia sierot.

Wypłata następuje na ręce prawnego zastępcy.

e) Wolne leczenie inwalidów i członków rodziny oraz wdów i sierot; wolne leki dla inwalidów.

§ 47.

Inwalidzi, którzy mieszkają w obrębie obwodu leczniczego (§ 23 ust. 2), mają dla siebie, dla swych małżonek i dla swych dzieci poniżej 15 lat w razie zachorowania prawo do wolnego leczenia przez odnośnego lekarza obwodowego oraz dla siebie — nie dla swych małżonek i dzieci — prawo do wolnych leków. Prawo do wolnego leczenia przysługuje również zamieszkującym w obwodzie leczniczym wdowom i sierotom uprawnionym do pensji (§§ 39—46).

Wymienione świadczenia udziela się jednak wtedy tylko, jeżeli osoby do tego uprawnione same nie podlegają przymusowi zabezpieczenia na wypadek choroby. Prawo do leczenia w domu chorych (lazarecie) wogóle nie istnieje.

f) Zapomoga pogrzebowa dla inwalidów.

§ 48.

Do kosztów pogrzebowych inwalidów udziela się wsparcie, które pomijając od wypadku oznaczonego w § 22 ust. 3 wynosi dla męskich inwalidów 60 marek, dla żeńskich 40 marek.

Przepis § 22 ust. 2 ma zastosowanie do zapomogi pogrzebowej.

g) Zapomoga pogrzebowa dla członków rodziny inwalidów i dla wdów i sierot.

§ 49.

W razie śmierci

a) małżonki albo dziecka, nie mającego jeszcze 15 lat, inwalidy;
b) wdowy uprawnionej do pensji (§ 39 i nast.)
c) sieroty upoważnionej do pensji (§ 44 i nast.),

jeżeli sami zmarli nie znajdowali się w stosunku zabezpieczeniowym na mocy prawa, na podstawie którego osobom po nim pozostałym przysługuje prawo do wsparcia pośmiertnego, udziela się zapomogę pogrzebową, wynoszącą

dla żon inwalidów i wdów 30 marek,
dla dzieci inwalidów i sierot 15 marek.

Postanowienie § 22 ust. 2 ma zastosowanie do zapomogi pogrzebowej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmaitości

Kanał Panamski. Omawiając w szeregu niezliczonych artykułów podróż na zachód eskadry admirała Evansa, prasa amerykańska zwraca ponownie uwagę na kanał Panamski, utrzymując, że odegra on pierwszorzędną rolę w rozwoju politycznym i ekonomicznym Stanów Zjednoczonych. Gdyby kanał ten był skończony w chwili obecnej, eskadra amerykańska oszczędziłaby sobie 7,000 mil drogi. Wprawdzie doprowadzenie do końca budowy kanału kosztować będzie jeszcze conajmniej 300 mil. dolarów, lecz wydatkowanie nawet tak olbrzymiej sumie będzie prawdziwym „bussiness'em" wobec faktu, że kanał otworzy dla Stanów wrota do swobodnego i dogodnego przejazdu ku brzegom wszystkich krajów na kuli ziemskiej. Pozatem kanał Panamski umożliwi Stanom Zjednoczonym wysłanie okrętów wojennych ku zachodnim brzegom kontynentu północnego lub południowego bez narażenia się na przejazd przez niebezpieczną cieśninę Magellana.

Linja wodna z Nowego Jorku do Jokohamy przez kanał Suezki wynosi 1,304 mile, przez kanał Panamski 10,093 mile, koleją Tehenentepec 9,242 mile, przez S. Francisco lądem i wodą 7,439 mil.

Odległość między Nowym Jorkiem a Szanghajem przez kanał Suezki wyności 12,360 mil, przez Panamski zaś — 10,855 mil, zaoszczędza się zatem 1,505 mil drogi.

Po przekopaniu kanału skróci się również znacznie podróż z Nowego Jorku do Hong-Kongu lub Manili.

Skrócenie drogi morskiej o jakieś 1,000 mil z górą jest w stosunkach handlowych zapewnieniem sobie zysków olbrzymich i tak oczywistych, że rozwodzić się dłużej nad tą sprawą nie potrzeba. W znaczeniu militarnem kanał Panamski pozwoli flocie wojennej Stanów czuwać na dwuch frontach — zachodnim i wschodnim. Po za tem przekopanie kanału Panamskiego zbliży Stany do wprowadzenia w życie groźnej dla starej Europy doktryny Monroego: Ameryka dla amerykanów. Na szczęście dla tej Europy budowa kanału posuwa się naprzód powoli, gdyż natrafia na poważne przeszkody techniczne. W planach robót zachodzą także różne kwestje sporne, wpływające na opóźnienie ukończenia robót.

* * *

Badania nad olbrzymim meteorem. W pobliżu Canon Djabolo, w miejscowości położonej w Ameryce półn. znajduje się w ziemi wielki okrągły loch, głęboki na 600 stóp, który już oddawna zwracał uwagę amerykańskich geologów. Obecnie także prowadzi badania nad tem szczególnem wygłębieniem wyprawa naukowa pod przewodnictwem prof. Jerzego P. Merila

z muzeum naukowego w Waszyngtonie. Wgłębienie owe uważają obecnie za miejsce, w którem przed tysiącami lat zderzył się z ziemią olbrzymi meteoryt i z szalonym rozpędem wrył się w ziemię, żłobiąc za sobą okrągły loch, który ma trzy ćwierci angielskiej mili średnicy.

Ściany jego są tak strome, że nawet kozy i owce, które się tam zbłąkały, nie mogą się stamtąd wydostać. Na dnie znajdują się też liczne szkielety zwierząt, które w ten sposób zginęły. Dawniej skłaniano się więcej do zdania, że wygłębienie należy uważać za zasypany krater wygasłego wulkanu, jednakowoż liczne kawałki żelaza meteorycznego, znajdowane na brzegach otworu, osłabiały to przypuszczenie. Według zdania amerykańskich uczonych musi się ten potężny meteor, który się wówczas wkopał w ziemię, dziś jeszcze znajdować w głębi. Ekspedycja ma właśnie za zadanie wykopać i wydobyć tę olbrzymią bryłę. Zapomocą wielkich maszyn rozpoczęto wiercenia. Dotychczas jeszcze nie natrafiono na twardy grunt, natomiast wydobyto mnóstwo odłamków żelaza meteorycznego. Wiercenia mają dosięgnąć milę angielską w głąb.

Meteoryty, które dotąd obserwowano, skadały się przeważnie z kamieniałej masy, pośród której znajdowały się odosobione części żelaza. Jednak okoliczność, że w otoczeniu tego „krateru“ nie znaleziono masy kamienistej ale tylko części samego żelaza, naprowadziła profesora Merila na myśl, że meteor z Canon Djabolo składa się tylko pewno z masy metalowej. Srednicę jego oblicza uczony na 500 stóp. Powierzchnia takiej bryły w formie kuli wynosiłaby około 65 miljonów stóp kwadratowych, a ciężar 16,000.000 ton żelaza. Nie jest możliwem jeszcze podać czas owego zderzenia, choćby nawet w przybliżeniu, jednak to można na pewno twierdzić, że zjawisko to miało miejsce w czasach, kiedy działanie wulkaniczne w owych okolicach jeszcze nie wygasło. Można natomiast obliczyć szybkość, z jaką taki olbrzym uderzył o ziemię, na podstawie bowiem licznych obserwacji znaną jest przeciętna szybkość spadających meteorów. Jest ona mianowicie 50 do 100 razy większą, aniżeli szybkość, jaką posiada kula karabinowa, która u wylotu z lufy posiada szybkość około pół mili angielskiej na sekundę. Być również może, choć to nieprawdopodobne, że ten potężny pocisk roztrzaskał się wskutek strasznego uderzenia o powierzchnię ziemi. Energja jego mogła się zamienić przy tem uderzeniu w ciepło, i z wyjątkiem pojedyńczych odłamów, nastąpiło zupełne rozpuszczenie w gazy. Znalezione na brzegach lochu części meteoru poddano dokładnemu badaniu naukowemu i znaleziono w nich djamenty, co jest zjawiskiem niezwykłem. Djamenty te w małych kryształkach wytrzymały próbę i znalazły zastosowanie przy szlifowaniu połud. am. djamentów.

Dawnymi czasy wierzono powszechnie, że ziemia mogłaby się rozbić wskutek zderzenia z jakimś kometą. W następstwie tego pojawienie się jakiego kosmicznego wędrowca, wywoływało ogólny strach i trwogę. Tymczasem badania astronomiczne udowodniły, że obawy takie są bezpodstawne. Meteor z Canon Djabolo jest bezsprzecznie najważniejszym przykładem takiego zderzenia. Mógł on zrządzić tylko miejscową szkodę. Tysiąc razy większy wystarczyłby zapewne, aby roztrzaskać kulę ziemską. Bryła żelaza o 16.000,000 ton., która pędzi w przestrzeni z szybkością 25 mil ang. na sekundę, wyrządziłaby w mieście nowoczesnym straszne zniszczenie, a możliwości takiego zjawiska trudno przeczyć. Ziemia w swoim obrocie spotyka się ciągle z takiemi częściami meteorów, najgorszego kalibru, z tak zwanym prochem gwiazd. Meteor, który jest przedmiotem badań amerykańskich uczonych, byłby największym z tych „prochów“, które dotychczas na ziemi znaleziono.

Z literatury i sztuki

„Panteon“, miesięcznik naukowy, społeczny i literacki. Treść nr. 4: Czy wolna myśl może być polityczną? — Wacław Nałkowski: O duszę młodzieży. — Jerzy Huzarski: Pięcioksiąg w świetle racjonalistycznej krytyki (dokończenie). — Ludwik St. Liciński: W cyrku. — Leon Górecki: Djalogi polityczne (II). — Józef Wassercug: Apostolstwa w dziejach ludzkości, Zoroaster (ciąg dalszy). — Stanisław Brzozowski: Stanisław Wyspiański. — Bruno Winawer: O ewenemencie literackim smutnym i o ewenemencie literackim pocieszającym. — Piotr Brodzic: O nowym dramacie. — Projekt klubu wolnomyślicieli. — Bibljografja wolnej myśli. — Książki nadesłane.

Adres „Panteonu“: rue Lhomond 4 — Paryż (Paris).

„Miesięcznik“ dla popierania ruchu wstrzemięźliwości na marzec wyszedł i zawiera: II roczne sprawozdanie sekretarza Głównego Zarządu „Wyzwolenia“, Towarzystwo zupełnej wstrzemięźliwości w Poznaniu na rok 1907. — Stan „Wyzwolenia“. — Prasa wobec walki z alkoholizmem. — Wiadomości ze świata. — Ziemie polskie. — Rozmaitości. — Z ruchu wstrzemięźliwości. — Od redakcji. — Z piśmiennictwa. — Z literatury.

Adres „Miesięcznika“: A. Samulska, Pleszew-Pleschen (Prov. Posen).

„Myśl Niepodległa“, (Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10). Treść nr. 56 (druga dekada na marzec): Zasoby umysłowe naszej inteligiencji. — Jan Iwański: Co zrobili katolicy? — Dr. W. Miklaszewski: Co mówi biblja o powietrzu? — Jan Wantuła: Dr. Juljan Ochrowicz. — A. D. White (tłom. z ang. Wojciech Szukiewicz): Dzieje walki wiedzy z teologją. — Michał Marczewski: Upiór. — Giovanni Cena (tłom. W. Rzymowski): Z cyklu: Człowiek. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Wolna gmina. — Zapiski. — Książki.

Treść nr. 57 (dekada trzecia na marzec): Ludzkość. — M. C. Walewska (hr. Wielopolska): Misoginizm kościoła katolickiego. — Dr. W. Miklaszewski: Po tamtej stronie Bałtyku. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Zapiski. — Książki.

Prenumerata z przesyłką kwartalnie 2 ruble 50 kopiejek.

„Witeź“, dwutygodnik społeczno-polityczny i literacko-artystyczny w Warszawie. Treść nr. 4: Art. Śliwiński: Jedyna odpowiedź. — J. Kleczyński: Szlachta w końcu XVIII w. — Wł. Gumplowicz: O rynkach. — Edw. Słoński: Z pamiętnika. — W. Makowski: Na temat „Dziejów Grzechu“. — M. M. Poznański: Z tryoletów. — Antoni Szech: Z nad świeżej mogiły. — Odrowąż: Wywłaszczenie. — L. Wasilewski: Po wyboracch sejmowych. — Numer zamykają feljeton zbiorowy, sprawozdania itd.

Nr. 3 (na marzec) **„Przewodnika zdrowia“** (Czarnowski Berlin, Weissenburgerstr. 27) wyszedł i zawiera:

Treść: Z kim się łączyć w małżeństwo? (Wzajemny wybór małżonków ze stanowiska zdrowotnego). — Precz ze szczepieniem ospy! — Praktyczne metody hypnotyzowania (3 ryciny). — Nauka o wielkim palcu u ręki. — Post jako złota zasada życia. — Przestrogi i rady. — Rozmaitości.

Kącik humorystyczny.

Podwyższenie płac oficerskich.

Robotnik (do lajtnanta): No, no, niech się pan pocieszy! Z tej odrobiny pieniędzy, którą pan teraz dostaje, musi niejeden z nas utrzymać całą, liczną rodzinę!

Lajtnant: No... tak, bo wy jesteście robotnicy — — Robotnik: A wy czem jesteście? — — „Kropidło“

* * *

Szczyt wygody.

Hrabina (do pokojówki): Przykrzy mi się, szalenie mi się przykrzy. Joasiu, ziewaj za mnie! „Kropidło“

* * *

Na porost włosów.

Franek Makolągwa, fornal dworski widział, jak dziedzic mył sobie głowę wódką.

— Doprosom się tyz łaski jaśnie dziedzica, a nie škoda tyz to daru boskiego?

— Głupiś Franek — od tego lepiej włosy rosną...

— Oj rety! A dyć, doprosom sie tyz łaski jelemoznego dziedzica, a dyć jo też tele tego gozolcyska pije, ażeby mi już w gardle broda urosła, a tam przecie nima ani włoska! — „Kropidło“

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 14. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 4 kwietnia 1908.

Ada Negri

KARTKA Z KRONIKI.

Czytam...
„Lud zebrał się i ruszył. Cały
Tłum ludu zajął ulice i place,
I tak stał, z piersi własnych czyniąc wały,
O chleb dla dzieci krzycąc, i o pracę“.
Czytam...
„W pałacach wśród srogiego brzęku
Lud wytłukł szyby. Zawarto wnet bramy
I okiennice. Wojsko, z bronią w ręku
Wyszło na ulice. Już widok ten samy
Był straszny! Kobiet wzniosły się lamenty,
Żołnierze zbledli. A w tem głos komendy:
— „Ognia!“ — i gęsto padły insurgenty...
Jak się ten głodny motłoch burzy wszędy!“
. . . . . .

Zamykam książkę.
...Kto winien? I w imię
Zwycięzców, i tych co padli, zaczynam
Czuć jakieś głuche wzburzenie olbrzymie;
I nieznanego w mroku coś przeklinam.

MICHAŁ MARCZEWSKI.

UPIÓR.

(„Myśl Niepodległa“).

Tak spieszył, tak popędzał, tak zabiegał, tak gorączkował i tak był zajęty swoim porachunkiem z odszczepieńcami, że dopiero po niewczasie spostrzegł się, że miał do czynienia z pieniędzmi.

Skoczył do izby, a tam puszka na biurku stała otwarta; leżała w niej złotówka fałszywa a rubel prawdziwy znikł.

Rzucił się do kuchni:

— Gdzie węgier?!

A z węgra ani dymu, ani popiołu.

Rubla, którego mu dobrodziej w roztargnieniu rzucił, wziął, jeszcze go czelnie na kamienną płytę przed drzwiami ciskał, resztę z niego akuratnie wydał, potem zabrał manatki i poszedł w świat szeroki.

Rzeczywiście, na różku ławy, koło pieca, leżała kupka koprowiny; kilka poobcinanych dziesiątek, dwie żółte, przedziurawione czterdziestówki i cała kolekcja wycofanych z obiegu trojaków, szóstaków, groszy.

— Jezus Marja!... Sama fałszywa moneta!

I teraz już księdza proboszcza porwała ostatnia pasja.

Sama pani gospodyni, której to przez lat kilkanaście z rzędu nie dziwota było w takiej go i w owakiej pozycji oglądać, gębę jeno rozdziawiła, ręce rozkrzyżowała i stanęła jako owa żona Lotowa w biblijny słup soli na widok płonącej Sodomy z Gomorą.

— Matko niepokalanego poczęcia!

Najprzód to się bialuchny zrobił niby ten opłatek przenajświętszego sakramentu z cymborji, tylko patrzeć a wiaterek go z ziemi zwionie i na powietrzu nim kręcić zacznie niczem lśniąca śnieżyna; zaraz jednak potem poczerwieniał.

Gdzie tam rak, gdzie tam mak!

Twarz mu tak urosła, jakby ją kto nieprzymierzając miechem kowalskim nadął, żyły na niej powystępowały kiełbasami, grubszemi od sznurów w dzwonnicy, oczka wywalił nie gorzej od onego kota, któremu dzieciuchy ogon w rozczypaną szczapę drzewa wsadziły i już sam Wawrzek miarkował: czy by mu go w bok kułakiem nie wesprzeć? aliści jak on na niego nie huknie:

— Łapaj, trzymaj, goń!...

Jak za owy swój pieprzowy cybuch nie chwyci, żeby niby tego węgra bić, jak czapki na głowę nie naciśnie, jak się nie kopnie, to ani się kto obejrzał, już on na ganku stał.

A tam w sam raz chłopy na niego z pochowkiem czekały.

Powała sam czapką mu się do kolan schylał, a i baby jak baby; ta do ręki, tamta za łokieć bierze a inna to i całkiem nieprzyzwoicie za sutannę ciągnie ku sobie.

No i pomieszało się dobrodziejowi przed oczami w ową chwilę wszystko.

I owa złotówka moczona w soli i ów rubel prawdziwie srebrny, i węgier oszust i jego reszta fałszywa, i ci zdrajcy odszczepieńcy, i cmentarz, którego nie było, i podzielona parafja, wszystko, wszystko, wszystko w jedną taką kupę grochu z kapustą.

Chłopstwo do niego niby, żeby ze święconą wodą ku trumnie szedł, a on na nich:

— Precz, precz, precz!... Potępieńcy, szatani, ateusze!... Boga się nie boicie, sług jego nie macie za nic!... Krzywdą, oszustwem, rabunkiem żyjecie!... Precz odemnie, djabli rogaci, precz!...

Oni do niego w prośby, w płacz, w pisk, a on im jeno pięścią przed nosami wymachuje i ani, ani.

— Łotryście gorsze od łotrów, świnieście gorsze od świń, bydłoście gorsze od bydła! Wyście Chrystusa we mnie powtórnie na krzyż przybili, wyście jako wilki moją owczarnię rozdrapali i nie będzie wam od mnie ani cmentarza, ani wodą pokropienia, ani modlitwy! Kto was, chamy, na tamten ćwiat wyprawia, ten niechaj was, dranie, grzebie!

Tyle oto od niego usłyszeli.

Sutannę zakasał, gromadę rozgarnął i puścił się na drogę węgra gonić.

Tylko z pod niego w górę ciskało bryzgami błoto i tylko mu się on cybuch pieprzowy, niby ów patyk wieszany psom u szyi, między nogami merdał.

— — — — — — — — — — — — — —

Późno wieczorem wracał chłop Powała do domu.

Wracał nie sam.

Dreptali zanim po lepkiem błocie kumowie a kumoszki, szkapsko ciągnęło wóz skrzypiący, na wozie w lichej trumience podrygiwały na wyboinach kości jego baby, a i dusza jej nieśmiertelna trzepotała gdzieś w powietrzu ponad gromadą zmęczonemi skrzydełkami, smutna, iże ją spodziewany na dziś spokój wieczny ominął.

A bo i jakże inaczej?

Ksiądz, chociaż do serca gadał, aże się niewiasty popłakały, przy swojem obstał do końca.

— Nie masz u mnie dla was ani cmentarza, ani wodą kropienia, ani modlitwy! Kto was na tamten świat wyprawia, ten niechaj was i grzebie!

Wrota cmentarne na klucz zamknął i rób człeku, co chcesz!

Ani pochowku, ani serka, ani nabożeństwa, ani honoru.

Gromada naturalnie straszecznie wobec tego zmarkotniała.

Sromota jak sromota, do tej to pretensje mogła mieć jeno rodzina; żeby jednak w nowej parafji pierwszy nieboszczyk musiał się upiorem stać, tego by sobie żaden z gospodarzy nie życzył.

A już baby, chociaż i półgębkiem, toć zaczynały po drodze w ten sens dogadywać:

— Oj moiście, moiście serdeczni!... Źle się to poczęło, źle się, widzi Bóg, skończy!... Źle!...

Stara Skupiowa, która, niby że to na nogi zapadająca, u woza się uczepiwszy, tuż za Powałą się wlokła, dawaj tedy pomrukiwać i różności pleść.

— Jużci, kumoterku, jużci! Niechaj ta po waszemu ostanie, jak chce, jenom ja od dawności, od samej, wiedziała, iże wyńdzie licho. Jakieście do tego kunia po dobrodzieja wziąć zabaczyli, tak mi zara cosik nieprzymierzając do ucha szepło. Hej, hej, sakrament nieboszczka na zimno przyjena, rozgrzeszenie ją sztywną zastało!... Hej, hej, na nic to, kumoterku, na nic!...

Za starą zaś ten i ów, który o suchym pysku fałat drogi szedł, niby to milczy, milczy, a jeno sucha i jak się gdzie przypasuje, wraz swojego trzygroszniaka tka.

— A boć co to, to to! Prawda będzie wasza! Święte słowa, święte słowa! Aby jeno z takowej przyczyny jakie dopuszczenie boże na wieś nie poszło?! Dużo to trza? Maluczko; kropelek parę braknie i już!

Tu wiatr powiał silniejszy, koła wozu skrzypły żałośnie i ludzie zbili się pospiesznie niby owce w ciasną kupę i szmer poszedł wśród nich nabożny, jako że i droga w sam raz wedle Uroczyska szła.

— W imię ojca i syna!...

— Wszelki duch Pana Boga chwali!...

— A djabeł nie weźmie, nie weźmie, nie weźmie!...

Na stronie, w czystem polu, pod lasem, gdzie w torfowisku żabska tylko na wiosnę rechotały, zamigotał ogieniek bladziuchny, niebieskawy, zamigotał, zadrygał, zerwał się z ziemi i niby ta śmieciuszka na gnoisku, poskoczył parę razy w bok i pod pieniuszczek się jakiś skrył.

Hi hi!... Nie na długo — na krótko, bo wnet za nim wysunął się i drugi i trzeci...

Za ręce się jakby ujęły niczem dziewuchy na łące i dawaj hasać drobniutko, wolniutko, leciutko, jako nogami ziemi nie tykające czarownice na czarciem weselu.

Hu, ha!...

Koń Powały zatrzymał się nagle w miejscu. Podniosł łeb, wyciągnął szyję, postrzygł uszami na wszystkie strony i wreszcie zarżał głośno, przeciągle.

Bydlątko boże poczuło w pobliżu dusze pokutujące.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Walka z alkoholizmem.

(Przedruk z „Wiedzy").

11. Czy złe warunki społeczne są jedyną przyczyną pijaństwa?

Jakkolwiek głęboko jesteśmy przeświadczeni o szkodliwym wpływie obecnych warunków społecznych, to jednak — czy jest ten wpływ w samej rzeczy jedyną i wyłączną przyczyną tak szerokiego rozpowszechnienia alkoholizmu?

Czy alkoholizm szerzy się rzeczywiście jedynie wśród najbiedniejszych z biednych, w najnędzniejszych warstwach społeczeństwa? A te wszystkie warstwy społeczne, bardzo dalekie od nędzy, które życia towarzyskiego nie rozumieją zupełnie bez „wstawiania?!" A korporacje studenckie, a koła oficerskie, a wszelkie wogóle zebrania ludzi bogatych i zamożnych — czyż obchodzą się bez trunków?! Czy widzimy pijaków tylko w bluzie robotniczej, a niema ich we frakach, mundurach i habitach? A któż to zaludnia szpitale dla alkoholików, w których płaci się po 15—25 marek dziennie i wiecej nawet?

Naturalnie, jest różnica pomiędzy alkoholizmem bogacza i alkoholizmem biedaka. Bogacz dużym kosztem, bo za pomocą szampana, reńskiego, koniaków i likierów funduje sobie delirjum tremens (obłęd opilczy); biedak zarabia sobie na nie — zwyczajnym kornusem. A obie drogi jednakowo dobrze prowadzą do celu, i obłęd biedaka niczem się nie różni od obłędu bogacza...

Widzimy tedy, że pijaństwo nie jest dobytkiem klas niższych jedynie; żadna warstwa społeczna nie jest od niego wolna: tylko, że każda klasa ma taki alkoholizm, na jaki ją stać!

Wreszcie, cyfry najlepiej nas o tym przekonają.

W Szwajcarji w roku 1901 zanotowano 366 wypadków śmierci na skutek pijaństwa. W tej liczbie robotników, wyrobników itp. było tylko 188; reszta zaś — 178 osób (to znaczy prawie połowa wszystkich) należała do tak zwanych klas wyższych! Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że ogólna liczba ludzi zamożnych jest o wiele mniejsza, niż nieposiadających, to okaże się, że w Szwajcarji alkoholizm bodaj że bardziej jeszcze jest rozwinięty wśród klas posiadających, jak wśród nieposiadających. A co w takim razie myśleć o nędzy społecznej, jako wyłącznej przyczynie alkoholizmu?

A dalej: czy znajdujemy potwierdzenie tego zdania w poszczególnych warstwach robotniczych? Wiadomo powszechnie, że kobiety robotnice o wiele gorzej są płatne od mężczyzn, a więc żywią się nędzniej, bardziej są wyczerpane; czy są dla tego więcej skłonne do trunków, niż mężczyzni? Zapytajmy cyfr: mówią one, że w Szwajcarji w ogólnej liczbie ludzi, którzy ponieśli śmierć na skutek alkoholizmu, przypada na 10 mężczyzn — 2 kobiety, a więc 5 razy mniej!

Albo: czy dobrze zazwyczaj płatny zecer ma większą odrazę do wódki niż wygłodzony robotnik przemysłu włóknistego?!

Widocznie więc działają na rozwój alkoholizmu i inne jakieś przyczyny, obok nędzy społecznej.

Czy można wytłomaczyć przy pomocy nędzy społecznej fakt, że — jak to Vandervelde (przywódca socjalistów belgijskich) wykazał dla Belgji — wraz z podniesieniem się trzykrotnym zarobków wzrosło pięciokrotnie spożycie alkoholu, podczas gdy ludność podwoiła się tylko.

To samo zaznacza John Rae (Dżon Re) dla jednej z kolonji australskich, Wiktorji (w książce pod tytułem: „Ośmiogodzinny dzień roboczy"); pisze on mianowicie, że wraz ze wzmożeniem się życia gospodarczego, daje się tam zauważyć powiększenie liczby osób, więzionych za pijaństwo.

Socjalista niemiecki Adolf Braun, obliczając dochody i wydatki (budżet) robotników norymberskich, dochodzi do wniosku, że ze zwiększeniem dochodów wzrasta stale wydatek na napoje wyskokowe.

Jeżeli więc twierdzimy z jednej strony, że złe warunki społeczne prowadzą do alkoholizmu, to z drugiej strony nie możemy pominąć milczeniem i tego, że podniesieniem dochodów zwykle towarzyszy zwiększenie wydatku na trunki.

Jakże się to dzieje, że dwie rozmaite, tak sprzeczne ze sobą przyczyny, prowadzą do jednego i tego samego skutku?

Dziwny ten zbieg okoliczności da się wytłomaczyć tylko w ten sposób, że alkohol cieszy się wyjątkowymi względami na skutek szeroko rozpowszechnionego przesądu, mianowicie ogólnego mniemania o jego pożytku dla zdrowia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wolne związki zawodowe w Królestwie Polskiem w roku 1907.

Pierwsze związki zawodowe w Królestwie Polskiem powstały przed dwoma laty, w czasie, kiedy ruch rewolucyjny objął całe państwo rosyjskie. Pierwsze próby założenia związków zawodowych przedsięwzięto już w lipcu 1905 r., lecz większe ich rozszerzenie datuje właściwie od grudnia tego samego roku. Stosunki polityczne były bowiem takie, że młode dopiero związki nie mogły otwarcie agitować; oprócz tego rozszczepił się ruch zawodowy natychmiast na kilka grup: powstały bezpartyjne, neutralne związki (jak u nas w Niemczech), dalej socjalistyczne, które swą przynależność do

socjalnej demokracji Królestwa Polskiego i Litwy wyraźnie w ustawie uznały, wreszcie żydowskie związki itd. Najwięcej atoli zwolenników zyskały wolne związki. W r. 1906 rozwinęły one ożywioną agitację, przyczem zwróciły swą uwagę przedewszystkiem na zawody, które zatrudniały najwięcej robotników. Powstały wtedy następujące wolne związki: tkaczy, metalowców, robotników drzewnych, górników, szewców i krawców. Wkrótce zapanował ożywiony ruch: zaczęto agitować, organizować, zajmować się prowadzeniem strejków i lokautów, zwoływano liczne konferencje i zebrania, wreszcie pomyślano o wydawaniu pism fachowych i o podobnych sprawach w zakres ruchu zawodowego wchodzących. Z końcem roku naliczono już około 50 tysięcy zawodowo zorganizowanych robotników. Niemal w każdej gałęzi przemysłu i w każdej branży założono lub próbowano założyć związki zawodowe. Środowiskiem ruchu były przeważnie wielkie miasta Warszawa i Łódź, jakoteż większe obwody przemysłowe: dąbrowskie zagłębie węglowe i obwód radomski.

Nadszedł rok 1907, który młodym związkom przyniósł dużo ciężarów i kłopotów. Zaraz na początku roku dostały się związki w krzyżowy ogień. W Łodzi wyrzucili fabrykanci przeszło 30 tysięcy robotników na bruk. Lokaut trwał 18 tygodni. Pośrednio uczestniczyły w tej zaciętej walce wszystkie związki; wszędzie zakładano specjalne komisje, które zbierały składki na wydalonych. Śladem lokautu łódzkiego szły wkrótce inne. Te zamachy na ruch zawodowy jakoteż trudności, związane z nielegalnem istnieniem związków, wzmagające się przesilenie gospodarcze, wreszcie ustawiczne represje ze strony rządu zadały związkom zawodowym głębokie rany. Energja i środki tychże wyczerpały się prędko. Tą okoliczność wyzyskały niebawem polsko-narodowe organizacje, gorliwie popierane przez burżuazję. Nowe rozdwojenie powstało tak w młodym ruchu zawodowym. Wszystkie wymienione wypadki nie pozostały bez skutku: działalność związków stała się słabszą, liczba członków spadła, a niejeden z mniejszych związków przestał istnieć. Nastał czasowy zastój. Ale nie długo potrwał ten stan odrętwienia: z nadejściem wiosny zwołały niemal wszystkie związki konferencje, na których postanowiono rozwinąć działalność na legalnej drodze.

Z końcem kwietnia wyszedł pierwszy numer „Związkowca", pisma legalnego, którego zadaniem jest popieranie ruchu zawodowego. W artykule wstępnym wskazano na to, że istniejące prawne przepisy o związkach i towarzystwach z dnia 4/7 marca 1906 wyzyskać należy w interesie ruchu robotniczego, zakładając na mocy tych niedostatecznych przepisów legalne związki. Zarazem ogłosił „Związkowiec" normalny statut dla legalnych związków zawodowych.

W połowie roku ubiegłego powstał w przemyśle włóknistym, metalowym, drzewnym itd. cały szereg legalnych związków. Rozwój był względnie szybki, przyczem jednak stare rozdzwojenie niestety istnieć nie przestało. Warszawa, Łódź, Lublin, Radom, Suwałki — miasta te są głównemi środowiskami ruchu. Tam znajdują się zarządy najważniejszych związków, które wszędzie, gdzie można, zakładają filje związkowe. W ciągu drugiego półrocza rozwinęły związki gorliwą czynność, lecz z końcem roku wstrzymały cały ruch nieprzewidziane wypadki. Nowym związkom odmówiły władze legalizacji, niektóre z istniejących już związków zostały na przeciąg stanu wojennego zamknięte, mianowicie związki pomocników handlowych, szewców, krawców, kapeluszników, garbarzy, piekarzy itd.

Liczne i różnorakie związki, jakie do owego czasu powstały, dzieliły się na następujące grupy: 1) narodowe polskie (organ: „Życie Robotnicze"); 2) socjalno-demokratyczne związki partyjne (nielegalne); 3) związki żydowskie; 4) wolne, neutralne związki (organ: „Związkowiec"); 5) związki, które do wymienionych grup się nie zaliczają (urzędnicy banków, litografi itd.

Bliższe szczegóły o wolnych związkach znajdujemy w nr. 1 „Związkowca" z dnia 5 stycznia b. r.:

Organizacja. Większe, scentralizowane związki rozszerzają swą działalność na cały kraj, mają zwolenników w obwodzie danej gałęzi przemysłowej i zakładają filje w innych miejscowościach. Inne znów związki, lokalne ograniczają swą czynność tylko na pojedyńcze gubernje lub miasta. Przeważna część związków są związkami przemysłowymi, które na członków przyjmują wszystkich robotników, wyuczonych i niewyuczonych, którzy pracują w danej gałęzi przemysłu (np. centralny związek tkaczy); niektóre zaś — związki fachowe — przyjmują na członków tylko wyuczonych robotników (np. związek malarzy). Najwyższą instancją jest walne zebranie delegatów, zastępujących wszystkie filje. Zadania walnego zebrania są następujące: wysłuchania sprawozdania zarządu, ustanowienie etatu, uchwalenie wypracowanych instrukcyj i regulaminów, wybór zarządu, komisji nadzorczych itd.

Kierownictwo związku leży w rękach zarządu. Pełnomocnicy filji lub osobne biura z ustanowionymi urzędnikami pomagają mu w załatwianiu bieżących spraw. Zarząd zajmuje się zakładaniem nowych filji, zarządzaniem pieniędzy, wypłacaniem zapomóg, kierowaniem zatargów zawodowych itd.

Z końcem zeszłego roku istniało 7 centralnych związków, które liczyły ogółem 97 filji i 42 tysięcy członków. Centralny związek tkaczy (siedziba w Łodzi) miał w 12 filjach 20 tysięcy członków; związek metalowców 21 filji — 15 tys. członków; związek robotników pracujących w cukrowniach 21 filji — 15 tys. członków; związek robotników drzewnych 10 filji — 2000 członków; związek szewców 9 filji — 800 członków; związek malarzy 3 filje — 400 członków (wszystkie te związki mają swą siedzibę w Warszawie); wreszcie związek murarzy (z siedzibą w Łodzi) liczył 400 członków.

Oprócz tych centralnych związków istniały w Suwałkach lokalne stowarzyszenia krawców, szewców, garbarzy i robotników budowlanych, w Łodzi lokalne stowarzyszenia krawców, w Radomiu i Lublinie — malarzy. Dokładnej liczby członków tych stowarzyszeń stwierdzić nie było można, wysoką ale nie jest. Liczbę wolno zorganizowanych robotników szacują na ogółem 45 tysięcy. Z tym rezultatem, osiągniętym w przeciągu pół roku, mogą być wolne związki zupełnie zadowolone. Wprawdzie posiada organizacja różne jeszcze braki, mianowicie brak jej odpowiednich kierowników i lepszego ustalenia. Trzeba jednak uwzględnić, że dopiero kilka związków odbyło swe walne zebrania, na których wybrano zarządy.

Działalność. Rok ubiegły rozpoczął się dla klasy robotniczej masowym lokautem w Łodzi i zakończył się dla niej zamknięciem wielu fabryk, masowem rozpuszczeniem robotników i usiłowaniem przedsiębiorców, by zdobyte już warunki robocze robotnikom znowu odebrać. Hasło do tych czynów wyszło zawsze z Łodzi. Wzmagający się zastój gospodarczy jakoteż towarzyszące mu okoliczności utrudniły związkową działalność bardzo znacznie. Przedewszystkiem starały się związki o utrzymanie zdobytej już pozycji. Mianowicie pomogały robotnikom w miarę możności przy lokautach, dzikie strejki starały się na dobrą drogę wprowadzić, rozpuszczaniu robotników i obniżaniu zarobków zapobiegały, gdzie się dało i pośredniczyły w zatargach.

Oprócz tego baczyły związki na uregulowanie różnorakich warunków roboczych: pracę akordową, domową i nadgodzinną jakoteż stosunki w kasach chorych starały się dla robotników pomyślniej ukształtować. Dalej zakładały biura obrony prawnej i pośredniczenia w pracy, płaciły wsparcia strejkującym i bezrobotnym. Urządzały czytelnie i odczyty, przyczem wzięły do pomocy także istniejące już towarzystwa samokształcenia.

Wszystko, co przedewszystkiem ustaleniu związków służyło, mogło się naturalnie w skromnych tylko ramach obracać. Wszelako świadczy to o tem, że wolne związki nie szczędziły trudów i zabiegów, by wszelkie zjawiska życia robotniczego objąć.

Jeżeli zewnętrzne warunki nie staną rozwojowi ruchu zawodowego na przeszkodzie, to twierdzić można, że wolne związki staną się niebawem rozstrzygającym czynnikiem w życiu gospodarczem Królestwa Polskiego.

W każdym razie przyznać trzeba, że robotnicy polscy pod zaborem rosyjskim zrozumieli współczesny ruch robotniczy o wiele lepiej, jak robotnicy polscy pod zaborem pruskim. U nas idą jeszcze wielkie masy robotników za głosem krzykaczów klerykalno-narodowych, którzy oczywiście o polepszenie losu robotniczego wcale nie myślą.

Rozmaitości

Córka rodzaju męskiego. Wesoła scena rozegrała się w urzędzie stanu cywilnego w Dunkierce (północna Francja). Panna Leys, przystojna, dwudziestoletnia brunetka, zaręczyła się, a matka jej udała się do urzędu po papiery, aby móc dać na zapowiedzi. Od urzędnika dowiedziała się, że nie posiada wcale córki, ale syna, zapisanego pod podaną datą. Nie pomogły wszelkie zapewnienia i przysięgi, że to pomyłka, urzędnik nie chciał wydać dokumentów i obstawał przy swojem, że chodzi tu o syna. Po wielu tarapatach nareszcie sprawa się wyjaśniła: imiona Gauden Arsene, które nadano nowonarodzonej, uważał urzędnik za męskie i stosownie do tego zapisał do księgi ludności syna. Mimo tego oświadczono matce, że dziecko jej w księdze jest synem i że wskutek tego zapowiedzi wyjść nie mogą. Para narzeczonych musi jeszcze kilka tygodni poczekać na ślub, gdyż władza musi najpierw zezwolić na poprawienie pomyłki w księdze ludności. Aby czara goryczy dopełniła się do reszty, otrzymała szczęśliwa narzeczona wezwanie, wystosowane do pana Arsena Leys, aby się zgłosił do władzy wojskowej celem rozpoczęcia służby wojskowej.

* * *

Człowiek latający — pisze „L'Humanité" — nie jest już chimerą. Jeszcze kilka doświadczeń, jeszcze kilka ulepszeń, a aeroplany wejdą w życie.

W przeszłą sobotę w pobliżu Paryża Henryk Farman, zdobywca wielkiej nagrody klubu latania w powietrzu, odbył nową próbę ze swoim aeroplanem, w którym wykazał pewne ulepszenia. Za pierwszym razem odbył kilometrową podróż powietrzną, obecnie obleciał przestrzeń dwa i pół kilometry wynoszącą. Przestrzeń ta była oznaczona słupami, w odległości 500 metrów jeden od drugiego ustawionymi. Farman trzymał się na wysokości od trzech do czterech metrów i lekko płynął w powietrzu. Wykonał z wielką łatwością ośm obrotów i w danej chwili, zgasiwszy palnik, śpuścił się spokojnie na ziemię.

Zgromadzona licznie publiczność zrobiła wspaniałą owację temu zdobywcy powietrza.

Zachęcony jego przykładem drugi aeroplanista Delagrange puścił się także w podróż powietrzną na swoim statku, lecz zdołał przelecieć zaledwie od 200 do 300 metrów. Niezrażony tem, oświadczył, że przy ponownej próbie weźmie także udział i jest pewny, że mu się lepiej uda.

Zapowiada się ciekawa walka — walka nie szkodę, lecz korzyść ludzkości przynosząca.

* * *

Jak długo żyją zwierzęta. Długość życia zwierząt bezkręgowych bywa nader rozmaita. Mniejsze gatunki mięczaków żyją po 2—4 lat. Wiek skójek dochodzi do 12—14 lat, a życie skójki perłowej wynosi 50—100 lat.

Pijawka lekarska żyje 3—5 lat; wiele osobników większych określają na 26—27 lat.

Wiek trychiny według ścisłych oznaczeń wynosi 31 lat.

Owady wogóle żyją króciej. W każdym razie długość życia pary królewskiej termitów dochodzi 4—5 lat, pszczoły królowej do 5 lat. Królowe mrówek żyją po 15 lat.

Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że chrząszcze w warunkach nieprzyjaznych i w razie braku pożywienia żyją do 6 lat, gdy tymczasem w warunkach normalnych giną daleko prędzej.

Wiek pająków wogóle jest krótki, wynosi bowiem 1—2 lata, niektóre jednak (zresztą nieliczne) gatunki żyją po 7 lat.

Skorupiaki, zwłaszcza homar i rak rzeczny, żyją długo; ten ostatni do 20 lat.

Inne grupy zwierząt bezkręgowych nie odznaczają się długowiecznością. Wyjątek stanowią ukwiały i korale. Ukwiały, hodowane w akwarjum na stacji zoologicznej w Neapolu, żyły po 15—24 lat, a wiek kolonji korali dochodzi do 22—28 lat.

Co się tyczy zwierząt kręgowych, to obserwacje wskazują następujący wiek: żaba drzewna do 10 i pół lat, trytony — 15 lat, kruki — 100 lat, orzeł skalny — 118 lat, sokoły — 164 lat, a słonie 150—200 lat.

„Nauka dla wszystkich".

Z literatury i sztuki

Nowa powieść Sinclair'a Nasz amerykański towarzysz partyjny Upton Sinclair, którego powieść „Bagno" wywarła silne wrażenie w Stanach Zjednoczonych i zmusiła władze amerykańskie do ściślejszego nadzoru nad fabrykacją konserwów, obecnie wydał nową powieść p. t. „Metropol", w której opisuje zwyczaje i obyczaje wyższego towarzystwa w New-Yorku.

Towarzystwo to składa się z posiadaczy miljardowych kapitałów. Im kto większy ma kapitał, tem większe w tem towarzystwie ma znaczenie, tem większym cieszy się szacunkiem, chociażby umysłowo był ograniczony, a pod względem moralności kwalifikował się do kryminału. Z pomiędzy kobiet są te najwięcej ocenione, które wyrzucają najwięcej złota na zbytki i swoje zachcianki. Wszystko się ocenia tylko ze stanowiska pieniężnego.

Zbytki miljarderów amerykańskich przypominają zbytki cezarów rzymskich z dni upadku Rzymu, które malowniczem piórem nakreślił Zygmunt Krasiński w Irydjonie.

Jeden z miljarderów wydaje obiad w połowie listopada. I oto co przychodzi na stół jego. Jagnięta, chowane w sztucznych cieplarniach i karmione z łyżki mlekiem — funt po 7 fr. 50 cent; brzoskwinie z południowej Afryki — sztuka po 50 fr.; winogrona z oranżerji w Hamburgu, granaty z Japonji, kuropatwy z Egiptu, szampinjony z porzuconych kopalni w Michiganie, sałaty, wyhodowane pod wpływem światła elektrycznego, grochy z Porto-Rico...

Potentaci ci pieniężni okradają instytucje, któremi rządzą, wykraczają przeciwko ustawom kompanji, na czele których stoją, wszyscy o tem wiedzą, lecz nikt nie ośmiela się wystąpić przeciwko nim, zaskarżyć ich do sądu, bo każdy wie, że nić nie wskóra, a ściągnie na siebie gniew i prześladowanie.

Doświadcza tego na sobie bohater powieści, adwokat Allen Montague z zamożnej rodziny Stanów południowych, wprowadzony przez swego brata aferzystę do wyższego towarzystwa.

Dyrektorowie pewnej kompanji ubezpieczeń, wbrew ustawom, zatrzymują dla podziału pomiędzy sobą miljony, które powinnyby właściwie iść w podział pomiędzy akcjonarjuszów. Jest to kradzież widoczna, którą łatwo wykazać. Lecz kiedy jeden z akcjonarjuszów występuje ze skargą, żaden z prawników nie podejmuje się tej sprawy. Montague bierze ją i rozpoczyna proces. Wnet wszystkie drzwi przed nim się zamykają. A kiedy sprawa ma przyjść do sądu, skarżący akcjonarjusz, dobrze opłacony przez dyrektorów, cofa swoją skargę. „Naprzód"

„Nauka dla wszystkich". Pod tym tytułem wychodzi w Warszawie od Nowego Roku miesięcznik, poświęcony rozszerzaniu czyli popularyzowaniu nauk wszystkich gałęzi. Dotąd wyszły trzy numery tego pożytecznego wydawnictwa; pod względem treści — wszystkie przedstawiają się bardzo dotatnio. Treść artykułów, bardzo przystępnie napisanych, wspomagają jeszcze drobne ryciny. W „Nauce dla wszystkich" pomieszczono dotąd między innemi następujące artykuły: Stanisław Wyspiański. — Tramwaje elektryczne. — Życie polskie w dawnych czasach. — Z dziejów żeglugi. — Życie w oceanie. — Samorząd miejski. — Mieszkania robotnicze. — Z popularnej literatury historycznej itd.

Cena tego wydawnictwa jest bardzo przystępna, bo wynosi rocznie tylko 75 kopiejek (1.60 mk.) Adres redakcji „Nauki dla wszystkich": Księgarnia M. Arcta w Warszawie, Nowy Świat 53.

Pod hasłem — Więcej Światła — wydawnictwo to wydaje także bibljoteczkę p. t. „Książki dla wszystkich", z których każdy pojedyńczy tom po niskiej cenie osobno jest do nabycia.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 15. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 11 kwietnia 1908.

MICHAŁ MARCZEWSKI.

UPIÓR.

(„Myśl Niepodległa“).

Powała trumnę z nieboszczką w izbie ustawił, świecę u jej wezgłowia zapalić kazał i wnet do jegomościa pobieżał co tchu.

Hano, może ta i prawdę proboszcz z Męczydołków Książęcych rzekł; ksiądz Piątek nieboszczkę do śmierci sposobił — niech że ją więc i grzebie.

Na plebanję tymczasem goście zjechały.

Przybył ladmestratur z Kunicewa, omętra z miasteczka i jakademik z Warszawy.

Usiadły se panowie w najczyściejszym pokoju, księdza między siebie wzięły i dawaj w karty grać.

Lampy ze świecami im się palą, butelczyny z winkiem kole nich stoją, a gospodyni po kuchni się krząta, kiełbasę im w cieście osmaża, krupnik gotuje, aże zapach z sieni na dwór bucha niby z gorzelni.

Nic to!

Rada by widocznie niewiasta plebanję jak się patrzy sprezentować, gości w niej z ceremonją przyjąć należytą.

Ogórki jej kiszone do głowy wpadły, krzyknęła na dziewkę, żeby jej aby oskoma na kiełbasę nie brała, chwyciła za klucz w drzwi, niby, ku piwnicy.

Tak ją też chłop w progu przycupił.

W pierwszej chwili pewnoby go może i całkiem wygrzała.

Tęga była w sobie baba i młoda, zaczem, przy gospodarstwie chodzący, impetu jeszcze większego nawykła a i w rękach jej się paliło.

— Cóż to wy, psie krwie, chamy! We łbach wam się przewraca?!... To już ksiądz bez wasze interesy kawałka strawy do ust wziąć nie może spokojnie!... Ani mi się śni teraz mu głupstwami usposobienie przerywać. Panowie goszczą, nie takie jak wy tałatajstwo! Na łopatą przyklepanie jutro czasu starczy, albo i pojutrze!...

Zmiękła jednakże nieco, gdy ją w łapę cmoknął trzy razy.

— Niech juże ta dobrodziunia dobrodziejowi aby słówko rzeknie. Taki już na nas lament wypadł dokuczny... Trumnisko w izbie stoi, gromnicy hyżo ubywa a toć przecie dusza katolicka; sam ją jegomość olejami świętemi smarował...

Popatrzyła na niego, popatrzyła, aż mu wreszcie słówko łaskawsze cisnęła.

— Ano, to siądźcie sobie tutaj, poczekajcie jeno chwileczkę. Powiem mu, powiem, niechaj krzynkę aby spokojności zażyje. Boga przecież w sercu trzeba mieć!

Wziął przeto chłop Boga w serce, usiadł skromniutko na uboczu i jął końca owej krzynki wyczekiwać.

Bo co racja, to racja.

Pies, i ten nie lubi, jak mu się kość ogryzaną nogą nadepce, a cóż dopiero taka osoba.

Zapomniał o trumnisku, pozostawionem w chałupie, od gromnicy, topniejącej niby omasta w tyglu, czapę jeno między kolana wsunął, ręce palcami jedna z drugą splótł i oczy w buzujący się pod blachą ogień wlepił bezmyślnie.

Pewnie, że się owa spokojność księża kiedyś skończy a i na jego biedę czas jaką radę skuteczną przyniesie.

I ciągnęły się chwilki obiecane jedna i druga, nieco przydługie, tak, że dobrą parą to by drogę do Męczydeł Książęcych tam i z powrotem zrobił.

Wróciła gospodyni z piwnicy, ogórków salaterkę do pokoju zaniosła, potem kolację wydawać poczęła i gwar powstał w proboszczowej jadalni, szczęk noży i widelcy, brzęk talerzy i kieliszków, śmiech wesoły i mlaskanie ustami, aż wreszcie dawna powróciła cisza i tylko z za trzecich drzwi stłumione odzywały się odgłosy:

— Pik!

— Tref!

— Pięć bez atu!

— Karo!

— Kiery!

— Proboszcz leży, leży jak długi!

I oto chłopu zdało się naraz, że nie w kuchni na plebanji siedzi, tylko gdzieś w jakimś wielkim, wielkim jakby ze wszystkich kościołów na całym świecie zbudowanym kościele. I nie w piecu się pali przed nim ogień, tylko taka gruba, gruba jakby ze wszystkich gromnic na świecie ulepiona gromnica. A gromnica ta płonie niejednym płomieniem, tylko trzema a płomienie te ani kopcą, ani z wiatrem poruszają się jak zwykle, jeno za ręce jakby ujęły się, niczem dziewuchy na łące, i dawaj hasać drobniutko, wolniutko, leciutko, jako nogami ziemi nie tykające czarownice na czarciem weselu.

Hu ha!...

Żachnął się chłop, gębę już otworzył żeby modlitewkę odpowiednią zaszeptać, spojrzy: a tu u jego nóg, pod ową grubaśną gromnicą coś takiego potwornego stoi, ni to trog ni to trumna, w owem pudle jegomość spoczywa, ale ani ten, młody, ani tamten, stary, tylko taki pośredni, do żadnego z nich w zupełności niepodobny a tak jakby obydwuch był rodzoniusieńkim bratem. Ki djabeł, kie licho?

Na trupa nie wygląda, na żywego także, oczy mu kruki wydziobały, a on patrzy, w gębie mu węże gniazdo założyły a on gada:

— Powało, Powało, chłopie serdeczny, nie bój się mnie i nie uciekaj. Jam już zmarł, dawno zmał, tylko że spokojności nie mogę zaznać wiecznej i włóczyć się muszę po świecie na utrapienie własne, bo nie pogrzebli mnie ludzie, jak się należy, mogiłki mi nie wykopali dość głębokiej, nabożeństwa po mej śmierci nie było, ni honoru!

— Powało, Powało, chłopie serdeczny, weź łopatę mocną, stalową, pochowaj mnie do ziemi, do matki, niechaj ludzi widok mój nie straszy.

— Wygrzebiesz mi grób, Powało, będziesz szczęśliw i wolny na wieki; nie wygrzebiesz — twoja zostanie wina. Siądę na cię i jak na łysej kobyle jeździć na tobie będę do skończenia świata, amen.

Zrozumiał stary gospodarz, że to nie przelewki, pomyślał: kupić, nie kupić — potargować wolno, plunął w garść, ujął rydel i dawaj ziemię ryć.

Ale co dołka ugrzebie, to mu go piach obsuwający się z pod owego pudliska z żywym nieboszczykiem zasypie

Probuje raz, probuje trzeci, zgrzał się, spocił a z miejsca ani rusz. Na gładkiej ziemi żadnego śladu z jego roboty nie zostało, aż on gadający truposz począł z radości niby swywolne źrebie rżeć i tupać w dno pudła nogami, które całkiem do końskich kopyt były podobne.

I tu to dopiero rozjaśniło się Powale, że ze złym miał do czynienia.

Odrazu zmienił swe postępowanie.

Nie namyślając się wiele, rzucił daremną pracę, ile miał w garści siły, z rozmachu wyrznął upiora w łeb rydlem uniósł poły u sukmany i nabrawszy tchu w piersi, dalej w nogi.

Lecz chłop przez rów — upiór przez rów, chłop przez płot — upiór przez płot, chłop w pole a upiór za nim niczem ten wiatr, który w kominach wyje i wiechy z chłopskich chałup strąca.

Już chłopu sił brakło, już mu pięty w glinie więzły, a upiór go garścią za włosy rozwiane chwytał, gdy naraz niby cud jawny zalśniła przed nim gładziuchna szyba jeziora.

A niezwykłe to było jezioro, taka na wiorstę wielga kropielnica; i nie zwyczajna woda w niej się znajdowała, jeno chrześćjańska woda, święcona.

Powała krzyżem świętym szybko się przeżegnał, ręce nad głową złożył i śmiało na szczupaka do onej wody chlusnął.

I naraz stała się rzecz straszna i całkiem już nikomu niepojęta.

Chłop poczuł, że w wodzie zrobiła się z niego ryba, że ryba ta, to jest on sam, zapłątała się w zdradliwe sieci i że sieci te wraz z ową rybą, to jest z nimże, z Powałą, żywym człowiekiem, wyciąga siedzący na krawędzi kropielnicy ksiądz Piątek i śmieje się jeszcze zadowolony i wesoło sobie żartuje.

Hej rybo, rybeńko,
Pójdże do mnie, serdeńko!

A tu już i sama gospodyni księża z rozpaloną patelnią czeka.

— Ho, ho! A tóżto z jegomości rybak, niczem biblijny! Takiego tęgiego karpia na sam adwent ułowił!...

Lęk chłopa porwał okrutny, szarpnął się rozpaczliwie, zleciał z ławki na podłogę i roztworzył przerażone oczy szeroko.

W księżej kuchni spokój już panował zupełny. Ogień pod blachą wygasł dawno, garnki z niej posprzątano, dziewka służebna chowała do szafki pomyte talerze, nad kominkiem pstrzyła się przykręcona lampczyna i w migotliwem jej świetle zbudzony z męczącego snu gospodarz ujrzał przed sobą kilku nieznanych sobie panów w towarzystwie pani gospodyni i przyglądającego mu się bacznie dobrodzieja samego, proboszcza.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków. Amen.

— — — — — — — — — — — — —

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do słownictwa górniczego polskiego.

W górnictwie węglowem zagłębia Dąbrowskiego — powiada „Przegląd Górniczo-Hutniczy“ — w przeciągu długiego szeregu lat używano wiele nazw górniczych, wziętych z języka niemieckiego; przed kilku laty grono górników miejscowych podjęło zadanie spolszczenia tych nazw i wprowadzenia ich w użycie“.

Ponieważ i u nas w zagłębiu górnośląskiem dotąd przeważnie są używane nazwy górnicze niemieckie, wobec tego uważamy, że pożądanem będzie, jeżeli czytelników naszego pisma zapoznamy ze spisem nazw spolszczonych, podanych w wymienionem powyżej czasopiśmie. Dodać winniśmy, że wiele jeszcze nazw wymaga spolszczenia.

Abbau — Odbudowa.
Anszleger — Sygnalista.
Abbausztreka — Chodnik odbudowy.
Aufzac — Podchwyt.
Ainfala — Upadowa.
Ablezung — Zmiana.
Bresztynga — Łom.
Bremsberg — Pochylnia.
Bremza — Hamulec.
Bremzować — Hamować.
Bremzowacz — Hemowacz.
Borloch — Otwór wiertniczy.
Borować — Wiercić.
Bajszychta — Dniówka przystanna.
Bona — Pomost.
Bruch — Zawalisko.
Bergi — Kamienie.
Cechenhaus — Izba zborna albo dom zborny.
Cyndsznura — Lont.
Cyndra — Lont.
Curyk — Nazad.
Cug — Pociąg.
Cymerhajer — Cieśla.
Durchib — Przecinka
Dyng — Ugoda.
Flec — Pokład.
Forwerts — Naprzód.
Eilort — Podszybie.
Fedrować — Wyciągać.
Fedrunek — Wydobycie.
Maszyna fedrunkowa — Maszyna wyciągowa.
Firung — Przewodnik.
Flek — Tabliczka.
Fajer — Ogień.
Forszus — Zaliczka.
Ferlezunek — Zapis.
Fersta — Piętro.
Forant — Zapas.
Folować — Ładować.
Fertig — Gotowe.
Gezenk — Szybik ślepy.
Geltag — Wypłata.
Glikauf — Szczęść Boże.
Grundsztreka — Chodnik główny.
Gizd — Miał.
Hengebank — Nadszybie.
Halt — Stój.
Hangować — Spuszczać.
Hajer — Górnik.
Hałda — Zwał.
Hercsztyk — Krzyżownica.
Krankszychta — Dniówka choroby.
Kwerszlag — Przecznica
Karowacz — Taczkarz.
Lajtung — Kierownik.
Mittelsztreka — Chodnik pośredni.
Oberhajer — Dozorca.
Szprajc — Rozpora.
Szychtenbuch — Dziennik.
Szychta — Dniówka.
Sztreka — Chodnik.
Sztrajch — Rozciągłość.
Sztus — Ściana.
Szus — Strzała.
Szram — Wręb.
Szramać — Wrębywać.
Szleper — Wozak.
Szala — Klatka.
Szpica — Strzała.
Szplint — Zatyczka.
Szprung — Uskok.
Szyber — Łupek.
Szlafhaus — Dom noclegowy.
Wyper — Wywrot.
Waserzega — Sciek.
Zol — Spodek.
Zumpfsztreka — Chodnik wodny.

Statut górnośląskiego knapszaftu

według uchwał walnego zebrania z dnia 27-go lipca 1907 ważny od 1-go stycznia 1908.

(Ciąg dalszy.)

h). Nadzwyczajne wsparcia.

§ 50.

Nadzwyczajne wsparcia mogą być przyznane członkom kasy pensyjnej oraz osobom do nich przynależnych (z rodziny) lub po nich pozostałym w wypadkach nadzwyczajnej

potrzeby, zwłaszcza ułomnym, do zarobkowania na swe utrzymanie niezdolnym sierotom, które przekroczyły piętnasty rok życia, i niezdolnym do zarobkowania bez środków inwalidom dla wychowania swych szkolnych dzieci.

4. Wspólne postanowieuia.

§ 51.

Świadczeznia kasy pensyjnej zależne są od upłynięcia trzech lat czasu czekania. Natomiast pensję inwalidzką udziela się już przed upływem czasu czekania, jeżeli niezdolność do pracy spowodowaną została przez nieszczęśliwy wypadek przy pracy zawodowej. Wdowie i sierotom takiego inwalidy nie przysługuje prawo do pensji dla wdów i zapomogi dla sierot.

§ 52.

Wsparcie wypłaca się z dołu w miejscach i dniach wyznaczonych do tego przez zarząd. Wypłacanie można uczynić zależnem od przestawienia poświadczenia, że się żyje.

§ 53.

Uprawnieni do zapomogi inwalidzi, wdowy i sieroty, którzy są cudzoziemcami, mogą być, jeżeli nie posiadają miejsca zamieszkania w państwie niemieckiem lub jeżeli swe miejsce zamieszkania w państwie niemieckiem poniechały, odszkodowane trzykrotnym roczną kwotą zapomogi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmaitości

Do czego służą relikwie. Mieszkańcy w Altovilla Iroina, ubolewają od lutego r. b. nad tajemniczem zniknięciem „cudownej krwi“ św. Pellegrino, która z kościoła tamtejszego została oczywiście skradziona. Zaaresztowano z tego powo-



Bartek zwycięzca w roku 1871 pod Dijon.

Lejtnant v. Draufgeher: Vorwärts Bartek! Vorwärts gute, edle, brave Polen!! Walczycie jak lwy. Pruska ojczyzna będzie się umiała wam odwdzięczyć.



Bartek zwycięzca w roku 1908 pod Poznaniem.

Lantrat v. Draufgeher. — Cała wieś wywłaszczona! Wynosić się! Vorwärts.
— Panie lantracie, chyba ja nie. Mam krzyż żelazny. Walczyłem pod Dijon.
— Walczyć za naszą ojczyznę — to wasz psi obowiązek Nie chcecie być Prusakami, to vorwärts ze wsi. Ziemia dla naszych kolonistów. Hat er verstanden, Bartek verdammter.

Bieżące wsparcia oblicza się według roku kalendarzowego i wypłaca się je w miesięcznych ratach, zaokrąglając w górę do pełnych pięciu fenigów.

Prawo do świadczeń spoczywa, dopóki uprawniony odsiaduje karę więzienną pzzekraczającą miesiąc lub też dopóki znajduje się w domu pracy lnb jakim zakładzie poprawczym. Jeżeli uprawniony ma osoby przynależne (z rodziny), zamieszkujące w kraju, o których utrzymanie dotychczas się troszczył, to należy im owe świadczenia w wysokości uprawnionej przekazać.

du wiele osób , lecz nie znaleziono ani kroli cudownej krwi. W ostatnim czasie dopiero wykryto, że relikwia skradzioną została przez czterech bandytów, których policja podejrzywała o współudział w głośnem morderstwie. W dzień uroczystości Wniebowstąpienia wkroczył urzędnik policyjny do mieszkania bandyty Paesaniego w Neapolu i znalazł tam flaszeczkę z poszukiwanym cudownym płynem, ukrytą w spodnicy jaskrawo przybranej figury Matki Boskiej. Stwierdzono, że członkowie Kamorry (bandy rozbójniczej) odbywali potajemnie pielgrzymki do tej prywatnej kaplicy, aby wymodlić sobie pomoc nieba do swych zbrodniczych planów, i byli

najmocniej przekonani, że skradziona krew będzie dla nich skuteczną ochroną przeciw prześladowaniom ze strony policji. Burmistrz miasta Altovilla i ksiądz udali się do Neapolu, aby skarb odebrać. Niejednokrotnie zdarza się, że zbrodniarze modlą się o powodzenie do tych samych świętych, do których uciekają się inni pobożni ludzie, wrosząc o obronę przed zbrodniarzami. I łatwo zdarzyć się może, że przejeżdżający lasem podróżny klęka przed cudowną figurą, prosząc o bezpieczne przybycie drogi, a w kilka chwil później klęka przed tą samą figurą zbój, prosząc o pomoc przy obłupieniu podróżnego.

* * *

Krystalizacja heljum. Technika niskich temperatur nowoczesnej chemji, której wielki rozwój w latach ostatatnich umożliwił skropienie wielu gazów, a także powietrza atmosferycznego, postąpiła znowu wielki krok naprzód i święci nowy tryumf. Uczony amsterdamski, profesor Kemerlingh-Onnes zdołał doprowadzić gaz heljum do stanu stałego skupienia. Próby w tym kierunku czyniono już od lat kilku, ale ponieważ stale dawały one rezultat ujemny, więc zaczęto już nawet przypuszczać, że gaz ten nie zmienia stanu skupienia. Profesor Onnes był jednym z głównych badaczów heljum i także dawno już przedsiębrał usiłowania, aby skroplić lub skrystalizować ten gaz. Wynikiem badań było stwierdzenie, że krytyczna temperatura heljum wynosić musi 268 stopni Celziusza poniżej zera. Na tej podstawie oparł Onnes dalsze eksperymenty, dążąc do zniżenia temperatury do tej granicy, a równocześnie zwiększając ciśnienie w szklanej, grubej rurze, w której gaz był umieszczony. Przy ostatniej próbie oziębił Onnes za pomocą płynnego wodoru do minus 259 stopni rurę, mieszczącą 7 litrów heljum pod ciśnieniem 100 atmosfer. Z chwilą, gdy ciśnienie zmniejszył nagle do normalnego, pojawiła się w rurze mgła, która zgęściwszy się, opadła na dno w postaci białej śnieżnej masy. Aczkolwiek rura była szczelnie zamknięta, wystarczyło 20 sekund, by skrystalizowany gaz przeszedł znowu w stan lotny. Pośredniego przejścia w stan płynny nie zauważono wcale.

Tryumf swej pracy zawdzięcza profesor Onnes w niemałej mierze doskonałym urządzeniom instytutu, na czele którego stoi. Jest on specjalnie przystosowany do eksperymentów z nizkiemi temperaturami, a maszyny pracują w najdoskonalszy sposób. Na dowód tego przytoczyć można, że tam jedynie udało się otrzymać w ciągu godziny cztery litry skroplonego wodoru. A do skroplenia go trzeba najniższej z osiągniętych dotąp temperatur (— 259° C), jakoteż znacznych ilości gazu wodorowego. Jak wiadomo, powietrze skrapla się już przy mniej więcej 160 stopniach celsiusza poniżej zera, skutkiem czego jest to połączone z mniejszą trudnością techniczną.

Z literatury i sztuki

Adam Antoni Kryński, redaktor „Prac filologicznych", wybitny znawca filologji słowiańskiej, twórca nowej pisowni polskiej, mianowany został zwyczajnym profesorem slawistyki na uniwersytecie lwowskim.

* * *

„Krytyki" miesięcznika literacko-społecznego wychodzącego w Krakowie, wyszedł zeszyt IV za kwiecień i zawiera następującą treść:

(f.): Błogosławieni... pokój czy niepokój czyniący? — Jadwiga Marcinowska: Wzgórze Kronosa. — Dr. Bolesław Limanowski: Naród, państwo i międzynarodowość. — Manfred Kridl: „Mickiewicz" Artura Górskiego. — Antoni Szech: Z „zabaw" warszawskich. — M. Zabojecka: Poślubieńcy buntu. — Feliks Gwiżdż: Ucieczka. Droga tęsknoty. — Dr. H. Biegeleisen: Arjanie polscy. — Iza Moszczeńska: W kwestji miłości. — St. Lack: Budowa tragedji. — Przegląd: I. Prasa polska. II. Prasa obca. — III. Lux: Ruch wolnej myśli. — IV. H. Orsza: Ze spraw wychowawczych. — V. M. Szukiewicz: Jeszcze kilka uwag o sztuce krakowskiej. — VI. Argus: Z myśli heretyckich o polityce galicyjskiej. VII. Genjusz a społeczeństwo. — Sprawozdania naukowe i literackie.

* * *

„Myśl Niepodległa", (Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10). Treść nr. 58 (dekada pierwsza na kwiecień): Liberaliści — Mieszko: Swój i obcy. — Dr. W. Miklaszewski: Po tamtej stronie Baltyku. — W. Rzymowski: Na drogach rewolucji. — Leon Rygier: Wschód (Z poematu „Mikołaj Kopernik). — Kalendarz wolnego myśliciela. — Wolna gmina. — Zapiski. — Książki.

* * *

„Kultura", miesięcznik naukowy, społeczny i literacki. Treść zeszytu III (na marzec): Jerzy Kurnatowski: Przywilej celny (krytyka liberalizmu i nacjonalizmu ekonom.) — Dr. W. Miklaszewski: Rodzina. — Jan Iwański: Dzieje grzechu. — Jan Bełcikowski: O istocie współczesnego dramatu polskiego. — Zenon Pietkiewicz: Litwa. — Nonicz: Zamiast Kroniki: Myśli melancholika. — St. Barycz i w—wowski: Ze sceny i estrady. Nowe książki. Notatki bibljograficzne. Czasopisma polskie. Przegląd czasopism obcych. — J. O: Z ruchu kobiecego. — Jerzy Kurnatowski: Polemika. — Jan Ludwik Popławski. — Leon Bourgeois: Solidaryzm.

Adres "Kultury": Warszawa, Wspólna 49 (m. 15). Kwartalnie 2 ruble.

Setna rocznica urodziu Słowackiego.

Odbieramy następującą odezwę, podpisaną na czele przez Akademię Umiejętności i Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, Uniwersytet i Politechnikę we Lwowie, Marję Konopnickę, Stefana Żeromskiego i t. d. i t. d.:

„W jesieni 1909 roku sto lat upłynie od dnia urodzin Juljusza Słowackiego.

Za życia przez nielicznych znany i kochany, upomniał się o wszystko po śmierci. Włada dziś miljonami dusz polskich, unosi je z sobą ku promiennym szczytom natchnienia swego, zachwyca niezrównanym urokiem swego słowa. Zjadaczów chleba w aniołów pragnie przetworzyć.

Jeśli żywi nie tracą nadziei, jeśli potrafią w potrzebie stać się owymi kamieniami, które Bóg rzuca na szaniec warowni polskiego ducha: ileż w tem Jego zasługi! i jak owocny Jego pogrobowy, nieustający i płodny czyn.

Kochał lud więcej niż umarłych kości, to też odpłacamy mu miłością wszyscy, dla których lud polski jest wiecznotrwałą opoką narodowego bytu.

Setna rocznica urodzin Juljusza Słowackiego niechże będzie narodowem świętem! Niech nas skupi i połączy nietylko w przemijającym hołdzie dla jednego z największych w narodzie, ale niech będzie płodnym w następstwa doniosłe społecznym faktem! Niech nas zjednoczy w ciężkiej dziejowej chwili i niech nas pokrzepi na dalszą wędrówkę ciernistą.

Obchód narodowy setnej rocznicy urodzin Słowackiego powinien stać się objawem znaczącym naszego duchowego życia, imponującym dowodem naszej cywilizacji, — w której djademie błyszczy i iskrami ciska płomienny genjusz Juljusza.

Gotujmy się zawczasu i godnie na wielkie święto Króla Ducha. Okażmy, że żyją w nas te ideały, które przekazał nam twórca Beniowskiego i Horsztyńskiego, niezrównany mistrz ukochanej mowy naszej i jej niezłomny Książę.

Niech powstaną wszyscy, dla których jest On źródłem niewyczerpanem najczystszych uniesień i najszlachetniejszych wzruszeń, wszyscy, którzy czczą Go jako wodza na drogach nowych ku ziemi obiecanej wiekuistego Piękna — niech powstaną i niech się złączą w jeden potężny chór uwielbienia i podzięki.

Od Warty po Niemen i Ilkwę niechaj szerzy się wieść radosna i krzepiąca, że zbliża się rok Juljusza Słowackiego, obchód narodowy na Jego cześć, a na pożytek Polski.

We Lwowie, w marcu 1908 roku.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 16. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 18 kwietnia 1908.

POGANIE

I.

Gdy Rzym się tarzał w zbytkach i rozpustach
I wyuzdane pieśni miał na ustach,
Gdy garść wybranych tonęła w rozkoszy
I rozrzucała pełne garści złota,
By życia użyć, nim go śmierć nie spłoszy,
Z miedzianem czołem zstępując do błota,
I z bladą trwogą pełzała spodlona
U stóp królewskich wielkiego Nerona,
I kiedy w Rzymie win płynęły strugi,
Unosząc wieńce przy ucztach zwidniałe,
I tłum Krezusów miał tyle zasługi,
Że sobie żyły przecinał zaspałe —
U dołu tłumy marniały wzgardzone,
Co snu nie znały spokojnego w nocy,
Lecz wytężały wciąż oczy znużone,
Na łup oddane gwałtom i przemocy.

Aż w miljonach wyrosłych wśród nędzy —
Co dostarczały krwawą pracą ramion,
Wybranej garści uciech i pieniędzy —
Pokrytych śladem niewolniczych znamion,
Powstał kult nowy, kult Chrystusów wiary.
Pogańskie rzesze strwożone zapałem
I tryumfalnym rozgłosem fanfary —
Co pozywała pod nowe sztandary —
Chciały lud zmiażdżyć ramieniem skarlałem.
Lecz choć przez ciernie, przez krew i przez stosy
Stąpać musiały męczeńskie zastępy,
Choć krzyk rozpaczy bił nieraz w niebiosy
I burza rwała chorągwie na strzępy,
Tłumy wyznawców jak powódź wzbierały,
Hartowne wiarą w nowe ideały,
Aż runął wreszcie do stóp ich bóg stary,
Co na cześć własną wypróżniał puhary,
I co się tuczył pracą miljonów,
Ochłap im tylko rzucając ich plonów,
Na dzikich gruzach dawnego ustroju,
Wyrosła młoda ludzkość z krwi i znoju
I umieściła potężna w swej sile
Napis: „poganie!“ na rzymskiej mogile.

II.

Minęły wieki. — W zbudowane gmachy,
Bije grom czasu i rozrywa dachy.
Więc nowa wiara w spruchniały dom wkracza,
W podwórza fabryk, na zagon oracza,
I silnym hymnem wstrząsa piersi ludu —
Co znowu wzamian śmiertelnych mozołów,
Ochłap dostaje z biesiadniczych stołów —
Aby był gotów do drogi, do trudu.
A kiedy pękną na koniec okowy,
Co ruch krępują ludzkości swobodny,
I lud powita świt dnia purpurowy,
Co zajaśnieje nad ziemią pogodny,
Przyszłość umieści potężna w swej sile
Napis: „poganie!“ na mojej mogile.

Zmartwychwstańcie

wy wszyscy, którzy przygnieceni jesteście troską, jak życie utrzymać.

Wy wszyscy, którzy w podziemiach spędzacie życie, aby inni w zbytku i rozpuście pod jasnem słońcem trud wasz trwonili.

Wy wszyscy, którzy wśród turkotu maszyn i zgrzytu kół nie słyszycie pieśni zmartwychwstania nowej potęgi: klasy roboczej.

Wy wszyscy, których panowie tego świata cierniami i goryczą obdarzyli, którym jarzmo najemnika na kark wtłoczono.

Wy wszyscy, którzy pragniecie żyć nowem życiem wolnego człowieka; których myśl rwie się poza widnokrąg roboczego zwierzęcia.

Wy wszyscy Zmartwychwstańcie.

Wielki dzwon myśli nowej, dobrej; nowiny huczy: zbudźcie z odrętwienia ducha Waszego i —

Zmartwychpowstańcie.

MICHAŁ MARCZEWSKI.

UPIÓR.

(„Myśl Niepodległa“).

(Ciąg dalszy).

Rozmowa Powały z księdzem Piątkiem była przedewszystkiem nierówną.

Ksiądz stał, a Powała siedział na podłodze, wszyscy się dookoła uśmiechali, a oszołomiony swym upadkiem wieśniak, przeżywający przed chwilą straszne męczarnie żywcem smażonej ryby, szukał lękliwemi spojrzeniami śladów owej rozpalonej patelni, której zapach czuł jeszcze nieopodal siebie w powietrzu.

Pozatem...

Hm!... Pozatem... Jakby tu rzec?

Ksiądz naturalnie swoją rację miał.

Cóż to on jest?... Biskup, dziekan, albo chociaż kanonik, żeby starszemu proboszczowi jakieś rady, wzkazówki albo zgoła nakazy posyłać?,.. Ksiądz Skoczylas wie, co robi, i choćby na razie źle co zrobił, to on jeden za swoją winę przed kościelną władzą, albo Bogiem odpowiada!

— Ale tu, tu wina jest wasza, chłopska, chamska!

Powale dech w piersi sparło, oczy mu na wierzch mało nie wylazły ze zdziwienia.

— Jakże to tak, dobrodzieju, księże proboszczu?

— A oto tak: staraliście się o utworzenie u was nowej parafji?...

— Staraliśmy się, a jużciż.

— Prosiliście, abym waszym proboszczem został?

— Prosiliśmy jako żywo.

— A kościół toście wybudowali?

— Kościół?... kościół, proszę łaski jegomościa, przeć je.

— Kościół je, a cmentarz gdzie?

— Cmentarz?...

— Cmentarz?... Ano cmentarza to jużciż niema.

Na to nie mogło być żadnej innej odpowiedzi i ksiądz puścił cugle swojej płomiennej wymowie.

— Brzuchów omastą w posty nie paście, gardzieli wódką w dnie święte nie palcie, na świecidła, na mazanki, na jubki, na rozpustę i na plugawe książki pieniędzy nie traćcie a będzie wam kościół i cmentarz, i żenić was będę i chrzcić i grześć!... Ale dziś, Bóg widzi, nie jam winien, tylko wy, nie mój grzech, tylko wasz! Bez miejsca poświęcanego na kości waszych ojców żyjecie i dla was to nic! Deszcz kapie na Chrystusa w kościele, ale żadnego z was to nie boli! Dach u mnie zacieka na plebanji i wy się gromu bożego nie boicie; z miejsca na miejsce cały dzień się jeden z drugim po wsi szwędza i tylko wam karty, flaszka, próżniactwo i kradzież w głowie!

Jasno stąd wychodziło, że każdy za siebie obstać musi.

Jak kto sam se nie poradzi, to już mu ta i ksiądz nie pomoże.

Podniósł się chłop z podłogi, czapą sukmanę otarł. „Niech będzie pochwalony", powiedział i do domu z medytacją powrócił.

Terkotały juże tam kumoszki i najstarsze chłopy i tak i siak całą ową sprawę wywracały, czekały na niego sąsiady i rodzina i ciekawe i z przychylności, czemby w razie jakowej potrzeby pomocność rzetelną okazać, ale ich Powała wszystkich skrytem milczeniem odprawił, w kącie tuż koło trumny siadł i tylko pytającym rzekł, jako kiedy pora przyjdzie, swoje myślenie, co mu robić potrza, ma.

Hano, widział każdy, iże go desperacja brała.

I jużci!

Noc zapadła martwa i głucha, wieś się cała do snu pokładła, światła pogasły, psy zcichły, kury drugie zaczynały piać a on się z miejsca nie ruszał, oczów od topniejącej gromnicy nie odwracał.

Już przycupłe w komorze dziewuchy myślały, że mu się co złego zdarzyło, gdy on nagle, ledwo świt, na nogi się porwał raźno, supełka ze skrzyni dobył, czapkę nadział, kij wziął i z izby na dwór wybieżał.

Gdzie poszedł i co do południa prawie robił? nikomu nie było wiadomo; w obiad go tylko zoczyli ludzie, jak od Kociołków przez Buzowy lasek wracał i to nie sam, z Kostkem urlopnikiem, a obaj przytem byli czerwoni; urlopnikowi nawet jakby się nogi nieskładnie plątały.

Ale Powale jakoś nic nie szkodziło.

Widocznie cości bardzo mocne myśli swoje miał.

Miast do ludzi zacnych a statecznych zajrzeć, z tym i owym pomyślenie uważyć, on ci wszystkich niby chłystków minął. Piotrowiaków sobie jeno obydwuch do pomocy zwołał, wóz z nimi chyżo w parkę koni zaprzągł, trumnę z nieboszczką na wozie złożył, słomą ją całkiem przykrył i nic nie mówiąc, boczkiem wyjechał.

Tylko ich pastuch za Tatulami widział, jako pole torfowiska na drogę ku Męczydołkom Książęcym skręcili.

I działo się to akuratnie tak.

A w Męczydołkach Książęcych na plebanji nie było pod ten czas nikogo.

Ksiądz Skoczylas, niby ową resztą fałszywą z prawdziwego rubla pokrzywdzony, pojechał do pawiatu na tego węgra, przepadłego nie wiadomo gdzie, przed naczelnikiem się skarżyć, że to zaś w miasteczku dzień wypadł targowy, zabrała się z nim i gospodyni. W mieszkaniu jeno dziewkę służebną, głupowatą Jagnę, zostawili z tem, by chudoby strzegła a nikogo takiego do wnętrza nie puszczała, chyba żeby zjechał jaki pan, albo od jakiego pana kto.

W tem też właśnie Kostek urlopnik swoją głowę miał.

Jak tylko Powała przed ganek gładziutko zajechał, tak ten z woza chyc i dawaj za dzwonek terpać, jakby mu się paliło.

Tak więc dziewucha raźno przez drzwi wejrzeć musiała.

— O la Boga, rychtyk dziedzic chtórny.

Na progu ją jednak zaraz niejakie zwątpienie zdjęło; widzi: chłopy.

— Czegojta wam się znowuj u dzwonków wieszać — powiada — proboszcza nie masz w plebanji a pewnikiem i przed wieczór nie przyjadom!

Gębę jeszcze pyzatą odęła i tak na nich, niby samu szlachcianka.

Ach ty dójko świńska! Ty rzęsopasie!...

Tylko że z Kostkiem to nie łatwo z jednej misy jeść.

Zabrał się on ci do niej i zaraz z góry.

— Jest, czy niemasz — nie twoja sprawa; otwieraj ino na oścież — podarek proboszczowi wieziem!

— Podarek?...

Ciekawość ją brała.

— Jużci podarek!

— A jaki?

— Jaki? Trojaki: długi, szyroki, wysoki. Nogi ma a nie chodzi, w zęby go bijom a on śpiwa!

— Ejże!

— A nie ejże, tylko otwieraj. Czasu nam ostało mało, do miasteczka po słoninę trza jużci wydążyć też!

Chciała już im odsunąć rygli, gdy przyszła jej myśl jedna jeszcze.

— Hano, jak podarek mata, to możeta i bez kuchnie wieść; snadniej wam się tylko wniesie.

Lecz tu już i Piotrowiakowie wleźli na nią obcesem.

— Ii... co tam po próżnicy mielesz ozorem, mąki i tak z tego nie będzie! Maciorę, ci się widzi, mamy, albo i cielaka?... Fortypian z Zaborowa przysłali, bez ganek każą stawić!... Rzuć mądrowanie, ruchaj się! Dali go....

To ją wreszcie przekonało.

— Fortypian?!... Jezusie!...

Zatupotała piętami po sionce, zakrzątała się gorączkowo.

— A któż was ta wiedział, że fortypian?... Zara czemuście nie gadali... Duchem bym wam odemkła!...

A na ten moment jakby Powała czekał.

— Jużci!... Odemkła!... Gadali!... Do cię gadać, a do krowiego ogona prośby pisać — to jenda rzecz! Lepiej byś oto tera, niźli żale pleść, do kuchni zbiegła, rogóżki nam jakowej przyniosła buciska byśma se poobterli, zanim na księżowe pokoje z owym statkiem wliziema. Nie, to ci całkiem freterowanom posadzkę zaświnima.

Wystawił nogę, uwalaną w gnoju po cholewę.

I dziewka ogłupiała do szczętu.

Pobiegła do onej kuchni po tę niby rogożę a tu chłopy trumnisko szparko do księżego salonu wstawiły, drzwiami trzasły, na wóz powskakiwały i hajda!...

— — — — — — — — — — — — — —

Jak sobie jegomość Skoczylas postąpił ze znalezionym w mieszkaniu trupem Powałowej, nikt nic na pewno nie wiedział, czy pokropił go obficie wodą święconą? czy odmówił nad nim modlitewkę szczerze? milczą o tem kroniki miejscowe, jako że pogrzebanie odbyło się stante pede, w ciszy i bez ludzkiego zbiegowiska.

Jedno tylko stało się głosnem na całą szeroką okolicę, że starego Powałę jęła nawiedzać dusza jego nieboszczki baby.

Położy się chłop na noc do snu wedle pieca, na ławie, zamknie spragnione spokoju oczy, a tu: puk, puk! w szybkę okienka, albo: łup, łup! po dachu; a jak co, to i w kominie takie harce wyprawiać zacznie, że choć człowieku za pas nogi, bierz i zmykaj, gdzie pieprz rośnie!

Wszelakiego zapobieżenia chłop się chwytał.

To świeczkę z wieczora pod doniczkę schowa, to wrota nitką poświęcaną opasze, to płachtę mokrą w sieni przed drzwiami rozpostrze a i dziurkę od klucza pakułami w smole maczanemi zatka, nie pomaga nic i basta.

Zmarnował się chłop, z bezsenności wysechł jak wiór,

widzi, że z upiorem się nie upora, idzie tedy do księdza i tak a tak, całość mu opowiada.

I dopiruści dobrodziej na niego.

— Cóż to — powiada — chłopie, chamie, czaramyś się chciał od takowej rzeczy zwolnić? To ci — powiada — poganinie jeden, z religji świętej nie wiadomo, jako że dusza pokutująca na modlitwę krewniaków i powinowatych nawet liczy?!... Całkiem jużeś odurniał i za żywota w ręce djabłu się oddajesz?... Ruchaj że mi do domu a po gospodarstwie i inwentarzu się rozejrzyj, czy aby ciele masz, które bez woli boskiej ogonem macha i pomyśl, że jak ty Bogu, tak Bóg tobie! Ma dusza twej nieboszczki baby spokojności wiecznej zaznać, nie czarować powinieneś, ale na mszę na tę intencję dać a może ci jeszcze ulży!

Msza odprawioną została, dobrodziej za nią ciele wziął, czy to aby pomoże? nie wiadomo.

Ha! Jeżeli nie — to znaczy: za mało było modlenia.

Ma jeszcze chłop w chlewiku parę prosiaków, gęsi dziewuchy chowają coś sztuk dwanaście, możeby się i jędor znalazł, wreszcie: w supełku na dnie skrzyni są uciułane ruble; starczy tego w ostatecznym razie na mszy kilkanaście.

— — — — — — — — — — — — — —

KONIEC

Walka z alkoholizmem.

(Przedruk z „Wiedzy“).

12. Domniemany pożytek alkoholu dla zdrowia.

Bardzo wielu ludzi żywi głębokie przekonanie, że piwo, wino, wódka, wogóle — napoje wyskokowe posiadają dużo stron dodatnich; że są one nietylko dla zdrowia nieszkodliwe, ale przeciwnie, są pożyteczne, potrzebne, nawet niezbędne. To szeroko rozpowszechnione przekonanie, a raczej przesąd jest niewątpliwie jedną z najgłówniejszych przyczyn rozpowszechnienia alkoholizmu; jest on podatnym gruntem, na którym wyrósł alkoholizm. Jest to zupełnie naturalne: jeżeli uważamy jakąś rzecz za pożyteczną, za dobrą, za niezbędną nawet, to zwykle staramy się nabyć jej jak najwięcej, stosownie do środków, niekiedy nawet — ponad możność.

Za dawnych czasów (w średnich wiekach) istniał pogląd na alkohol, jako na eliksir życia; wódka nazywała się po łacinie „aqua vitae“ (akwa wite), co znaczy „woda zycia“, jak wreszcie i dziś nazywa się w wielu językach (naprz. po francusku). Być może, że nasze względy dla alkoholu są resztkami owego zabobonu średniowiecznego. Być może także, że pozostała nam ta wiara w alkohol jak środek odżywczy wraz z różnemi innemi przykazaniami dawnej medycyny, które dzisiejsza nauka oddawna zarzuciła jako błędne.

Tak czy inaczej, nie ulega wątpliwości: że wszystkie zalety, które widzą pospolicie w alkoholu, wobec krytyki naukowej są niczem więcej, jak tylko — złudzeniem, oszukiwaniem samego siebie!

Ale mało kto wie o tem; przeważnie ludzie wierzą w jakiejś urojone zalety piwa, wina, wódki. Przecież, gdyby tak nie było, gdyby ludzie mieli chociażby najmniejsze pojęcie o tem, że każdy z tych napojów zawiera niebezpieczny w swych skutkach alkohol, to przynajmniej nie dawanoby ich dzieciom! Tymczasem dziś dzieje się to bardzo często; niejeden „dobry“ ojciec daje dziecku skosztować, „posmakować“ piwa lub wódki; są i tacy, co w dobrej wierze stale dają dzieciom wino. Przecież w tym wypadku niema już tamtych innych przyczyn, któremi zwykliśmy pijaństwo tłomaczyć i usprawiedliwiać!

Wszyscy lekarze, wychowawcy, nauczyciele, jednogłośnie twierdzą, że użycie alkoholu, nawet w najmniejszej ilości jest dla dzieci bezwarunkowo szkodliwe i nawet niebezpieczne; że grozi zdrowiu, że zatrzymuje ich wzrost, niszczy zdolności do nauki. Można więc jedynie dawanie dzieciom napojów wyskokowych uważać za dowód ograniczenia, ciemnoty rodziców, ich najzupełniejszej nieświadomości co do skutków używania alkoholu.

Alkohol jest pożywny, alkohol wzmacnia i zmęczonemu daje nowe siły do pracy, alkohol rozgrzewa człowieka, pomaga znosić zimno... Czego alkokohol nie robi — w mniemaniu powszechnem!

Te i tym podobne przesądy zachęcają do używania alkoholu; szczególnie niebezpieczne są one dla tych, którzy dzięki warunkom społecznym pozbawieni są i dobrego odżywiania i sił do pracy, i którzy na skutek tego najbardziej potrzebują wzmocnienia sił — dla klasy robotniczej!

Badania naukowe w ostatnich lat dziesiątkach obaliły te wszystkie przesądy co do jednego. Wykazały one przedewszystkiem, że alkohol nie nadaje się dla człowieka, jako środek odżywczy, ponieważ przeszkadza organizmowi we wszystkich jego najważniejszych czynnościach. Wykazały następnie te badania, że po użyciu alkoholu nietylko ze nie wzmagają się siły człowieka, ale przeciwnie, nawet najmniejsza ilość alkoholu wyraźnie, widocznie, zmniejsza, niszczy te siły. Po tym pozornym przyroście sił, który daje się zauważyć natychmiast po użyciu alkoholu, prędko następuje upadek sił i całkowicie pokrywa pierwotne podniesienie ich, tak że w ogólnym rezultacie mamy wielką stratę sił. Zostało to stwierdzone z największą pewnością dla wszystkich form pracy fizycznej, czy to chodzi o ciężką orkę robotnika rolnego, o ćwiczenia sportowe, czy o pracę ślusarza, zecera, stolarza lub górnika.

Dalej, badania naukowe wykazały, że ciepło, które się wytwarza w ciele człowieka po użyciu alkoholu, nie idzie mu na pożytek, bo jednocześnie zwiększa się wydatek ciepła, to jest większa ilość ciepła wychodzi z ciała, co w rezultacie daje stratę ciepła. Każdy, kto posiada ciepłomierz (termometr), może to sam sprawdzić bardzo łatwo: zauważy on, że po użyciu alkoholu termometr wskaże mniej ciepła, niż człowiek miał przedtem.

Jednak, pomimo to, że te rzeczy są dziś już z całą pewnością stwierdzone przez naukę, — masy ludowe nic o tem nie słyszały, do większej części społeczeństwa nie doszły te wiadomości. Ale wówczas nawet, kiedy szerokie warstwy dowiedzą się o tem, z trudnością uwierzą, bo pozory przemawiają na korzyść alkoholu.

Głód, dręczący człowieka, pozornie zmniejsza się, gdy wypijemy kieliszek wódki lub kilka szklanek piwa. Naturalnie, gdy zapełnimy żołądek tymi płynami, musi zniknąć uczucie głodu. Kto sądzi z pozoru — mówi, że pożywił się, ale kto patrzy na dalsze skutki, ten wie, że te trunki nigdy nie mogą zastąpić człowiekowi chleba; stają się one w żołądku raczej kamieniem niż chlebem. Ludzie, pijący dużo piwa, nabierają nawet pozorów zdrowia — dobrej tuszy, rumianej twarzy; w rzeczywistości ów zdrowy wygląd jest bardzo poważnym, nawet niebezpiecznym stanem chorobliwym!

Uczucie zmęczenia znika, gdy się pije, to prawda. Ale nie znika samo zmęczenie przez to, że my go nie czujemy. Gdy człowiek znużony pracą po wypiciu kieliszka wódki przestaje odczuwać zmęczenie, — myśli, że nabrał świeżych sił, że alkohol wrócił mu zdolność do pracy. Smutna to pomyłka! Po krótkim czasie zniknie poczucie siły, ustępując miejsca jeszcze większemu niż poprzednio wyczerpaniu. Zmęczenie nie da się usunąć żadnymi trunkami; usunąć je można jedynie — wypoczynkiem. Uczucie zmęczenia — jak trafnie mówi Bunge w swojej książce o alkoholizmie — jest dla organizmu ludzkiego tem, czem klapa bezpieczeństwa (sygnał ostrzegawczy) dla maszyny. Kto zagłusza zmęczenie wódką i pracuje w dalszym ciągu, postępuje tak, jak ktoś, coby przemocą zamykał klapę bezpieczeństwa w maszynie, żeby móc ognia dokładać.

Tak samo jest i z owem uczuciem ciepła po wypiciu, alkoholu. Oszukujemy tylko siebie samych; wydaje nam się, że się rozgrzewamy od trunków, tymczasem w rzeczywistości tracimy ciepło i dopiero wtedy na dobre narażamy się na przeziębienie. Najlepszym potwierdzeniem tego jest fakt, że blizko połowa wszystkich ludzi, których znaleziono zmarzniętych na śmierć (w naszym klimacie), była w stanie pijanym.

Jeszcze mniej alkohol może pomóc na wszelkiego rodzaju zmartwienia lub cierpienia fizyczne lub duchowe. Oczywiście, złamany cierpieniem i troskami, przy kieliszku zapomni na chwilę o swej niedoli, bo alkohol odurza mózg, ale czy usunie przez to nieszczęście samo, czy poprawi się przez to jego los? I tu więc oszukujemy tylko samych siebie.

Pomagają nam w tem gorliwie — we własnym oczywiście interesie — piwowarzy, gorzelnicy, właściciele wielkich handlów win, knajp bogatych i biedniejszych, używając najrozmaitszrch przynęt, by ludzi do trunków zachęcić. Wielkie lustrzane szyby, rzęsiste, tysiąckrotnie odbite światła, grzmiące orkiestry, wygodne i zaciszne „gabinety“ — wszystko to ma na celu — ściągnąć publiczność do trunków; gdy kogo nie stać na drogie trunki, przed tymi stoją otworem tysiące podrzędniejszych szynków, gościnnie ofiarujących swoje towary — niedrogo: kosztem drobnej monety i — zdrowia!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Reklamacje podatkowe.

Dokąd należy reklamację zwrócić? Reklamację (Einspruch) wysłać należy do komisji oceniającej (Einkommensteuer-Veranlagungs-Komission) w przeciągu 4 tygodni (28 dni) licząc od dnia odebrania uwiadomienia lub od ostatniego dnia wyłożenia spisów. Jeżeli komisja zażalenie odrzuci, można w przeciągu 4 tygodni od dnia odebrania odpowiedzi wysłać protest (Berufung) do wyższej Komisji podatkowej (Einkommensteuer-Berufungs-Komission). Żadnych nazwisk na adresie podawać nie potrzeba; wystarczy podać nazwę komisji podatkowej i miejscowość (zwykle miasto podatkowe).

Za przeprowadzenie sprawy w obydwóch komisjach nic płacić nie potrzeba.

Wnioski o zniżenie podatku stawić można także ustnie do protokołu u landrata lub burmistrza jako przewodniczącego komisji oceniającej.

Co należy w reklamacji powiedzieć? Przeciwko ustanowieniu podatku państwowego reklamować można zawsze, jeżeli podatek ustanowiono za wysoki lub jeźli nie uwzględniono okoliczności, które dochód roczny zmniejszają. W reklamacji trzeba więc dochód roczny obliczyć i udowodnić, że właściwy dochód jest mniejszy aniżeli przyjęto.

Jak obliczyć dochód roczny? Dochód roczny oblicza się według dochodu w roku ubiegłym. Robotnika np., który ma tylko zarobek z pracy, opodatkują na rok 1908 podług tego, ile zarobił w roku 1907. Do zarobku rocznego dolicza się także płacę za godziny nadliczbowe. Natomiast nie wlicza się przypadkowych podarków, kieszonkowego itd. Kto mieszka we własnym domu, musi do dochodów także wliczyć wartość własnego mieszkania. Oprócz tego liczy się do dochodu procenty od kapitałów (np. od oszczędności), dochody od własności (domu, gospodarstwa), dochody stałe, jak renty, pensje, emerytury (z wyjątkiem rent wojskowych). Nie wolno odciągać od dochodów wydatków na utrzymanie domu, lekarzy, aptekę, służbę, wychowanie, ubranie, pożywienie.

Co wolno odciągać od dochodów?

1) Robotnik, który nie pracuje w tej miejscowości, gdzie mieszka, może odciągnąć koszta podróży na miejsce pracy. Również odciągnąć może wydatki na osobne ubranie do pracy (górnicy i inni, którzy przy pracy noszą osobne ubranie).
2) Kto dom posiada, odciąga od dochodu koszta reparacji, zużycia, ubezpieczenia ogniowego, koszta wodociągów, gazu itd., o ile one służą lokatorom, oraz państwowy podatek gruntowy i budynkowy.
3) Procenta od długów, które opodatkowany płacić musi.
4) Renty, wymiary itd.
5) Opłacane składki do kasy chorych, ubezpieczenia od wypadku, na niemoc i starość, ubezpieczenia na życie, od ognia, gradobicia — za siebie i członków rodziny, jeżeli ci osobno podatku nie płacą.
6) Opodatkowany, nie mający wiecej jak 3000 mk. rocznego dochodu, który na mocy prawa utrzymać musi dzieci, rodziców lub dziadków, może za każdą z tych osób odciągnąć po 50 marek od dochodu. Kto daje utrzymanie 3 lub 4 osobom tego rodzaju, tego zniżają w podatkach o jeden stopień, kto utrzymuje 5 i więcej osób wyżej wymienionych, tego zniżają o dwa stopnie w podatkach. Do osób wyżej wymienionych, za które można odciągać po 50 marek, nie należą żona i dzieci wyżej lat 14, które stale pracują u ojca lub których dochód przekracza połowę zwyczajnego zarobku dziennego jaki w miejscu wedle ich wieku i płci się płaci.

Jezeli reklamacja wykaże, że dochód roczny wynosi mniej niż 900 marek, zostaje podatkujący z podatku zwolniony.

Jeżeli zachodzą nadzwyczajne okoliczności, które podatkującego wprowadzają w przykre położenie gospodarcze, może komisja oceniająca na wniosek podatkującego podatek o najwięcej trzy stopnie zniżyć. Do tego rodzaju okoliczności zalicza się nadzwyczajne ciężary na utrzymanie i wychowanie dzieci, konieczność utrzymywania biednych krewnych, długotrwała choroba, zadłużenie i innego rodzaju nieszczęścia.

Kto płaci podatki? Podatki musi płacić każdy pruski poddany bez względu na wiek, a więc także starcy, dzieci, kobiety, jeżeli mają samodzielne dochody.

Czy żona lub dzieci płacą osobno podatki? Zarobek żony dolicza się do zarobku meża i podatek płaci się razem. Jeżeli naprz. mąż zarabia 700 mk. rocznie, a żona 350 mk., to opodatkują męża od 1050 mk. Żona tylko wtenczas płaci podatek osobno, jeżeli żyje w rozłączeniu z mężem.

Osoby małoletnie (niżej 21 lat), które mają samodzielne dochody, płacą podatek osobno. Dochodu ich nie dolicza się do dochodu ojca.

Z literatury i sztuki

Popularne wydanie „Sztuki Polskiej“. Przed kilku laty wyszło jedyne w literaturze polskiej wydawnictwo: wielki zbiór barwnych reprodukcji najznakomitszych dzieł malarstwa polskiego z tekstami objaśniającymi. Po wyczerpaniu się pierwszego nakładu przystąpił wydawca p. Altenberg we Lwowie do opublikowania nowego, taniego wydania. Różnica ceny — przy większej jeszcze może staranności wydawnictwa — bardzo znaczna. Zamiast 30 koron, jak poprzednio, będzie nowe wydawnictwo kosztowało tylko 12 koron, obejmuje bowiem 12 zeszytów po 1 koronie, razem około 50 barwnych reprodukcji wielkiego formatu. (Korona = 85 fen.)

Pierwszy zeszyt nowego wydania, przybrany w nową okładkę artystyczną pomysłu J. Makarewicza, zawiera 4 dzieła z drugiej połowy XIX wieku. Są tam: H. Rodakowskiego „Jenerał Dembliński“, Matejki „Lirnik“, „Jesień“ Chełmońskiego i jeden z najbardziej charakterystycznych obrazów Wyspiańskiego „Caritas“.

A zeszyty następne — jak świadczy pierwsze wydanie „Sztuki Polskiej“ — będą zawierały dzieła takich artystów, jak Michałowski, Grottger, Matejko, Kossak, Gerson, Podkowiński, Malczewski, Gierymski, Chełmoński, Fałat, Wyczółkowski, Stanisławski, Pankiewicz, Ruszczyc itd. — słowem tych wszystkich postaci, które rozniosły sławę malarstwa polskiego po całej Europie i tylko w ojczyźnie swej nie zawsze znalazły należyte zrozumienie i uznanie.

* * *

„Myśl Niepodległa“, (Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10). Treść nr. 59 (druga dekada na kwiecień): Apelacje do ramienia świeckiego. — Wład. Oster: Związek rodzinny. — Szalom Asz (tłom. W. R.): Grzech. — W. Rzymowski: Dokument ubóstwa. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Wolna gmina. — Zapiski. — Książki.

* * *

„Poradnik teatrów i chórów włościańskich“. Pod tym tytułem zaczął wychodzić we Lwowie miesięcznik, poświęcony teatrom amatorskim i chórom. Pisemko to zawiera mnóstwo cennych wskazówek i może oddać bardzo wiele usług w tej dziedzinie szczególnie towarzystwom, które powinny dbać o życie towarzyskie w jaknajszerszym zakresie. Adres redakcji: Lwów, ulica Kopernika 19. Prenumerata roczna 2 korony (mk. 1,70).

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 17. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 25 kwietnia 1908.

Jarosław Vrchlicki.

Z HERAKLITA.

(Przekład Marji Konopnickiej).

Od niepamiętnych dni zamierzłchych w dali
Wszystko jest w ruchu.
Gwiazdy i słońce — to kręgi na fali —
Wszystko jest w ruchu.
I liść pędzony podmuchem jesieni,
Ptak i zwierz z boru, i wielcy i mali —
Wszystko jest w ruchu.
I miazga w drzewie, i krew żył człowieka.
I tony fletni, i pieśń, co mnie pali...
Wszystko jest w ruchu.
Miłość i zawiść, i gniewy i swary,
Ci co walczyli, i ci, co kochali,
Wszystko jest w ruchu.

ANTONI SZECH.

(Ksiądz Antoni Wysłouch)).

Z „zabaw“ warszawskich.

Noc była ciemna — chmurna.

Wiatr wył ponuro, jakby stada jakichś piekielnych wilków czy szakali i ciskał się o smutne ściany pawilonów cytadeli — to znowu z fos i okopów podnosił tumany białe sypkiego śniegu — i kręcił nimi — i pędził je gdzieś daleko — daleko — w ciemność.

Rzekłbyś, że na smutnych placach cytadeli — pod ścianami więzień — u wrót kazamatów — na stokach, gdzie tyle poginęło ofiar — duchy jakieś tu pomordowanych — czy może morderców — dzikie wyprawiają harce — czy zabawy przy muzyce wichrów, przy śpiewach upiorów, przy westchnieniach męczenników, co tam za murem cierpią.

Wszak to karnawał — tylko że karnawał w cytadeli — inaczej objawiać się musi — inni tu uczestnicy hucznych zabaw — i inne tony muzyki.

Fałszywym zgrytem wśród tej muzyki wichru — i jęków nocy — zadźwięczały odsuwane zapory wrót dziesiątego pawilonu — błysnęły słabo chwiejące się od wiatru latarki — a przy ich posępnem, smutnem świetle ukazały się szeregi żołnierzy, zbrojnych w bagnety, a wśród nich grupa skazańców.

I dla nich karnawał — i oni potańczą — na powrozach pośród widm tych białych, co z wiatrem się kręcą — i im zahuczy muzyka wichury, z dodanym jeszcze na cześć ich wyłączną, warkim bębna odgłosem — i monotonnem skrzypieniem szubienic.

Tylko, że zamiast wesela — groza na ich twarzach — lęk — bladość — i łzy w błędnych oczach.

Tylko, że zamiast życia i sprężystości w ruchach — drżą pod nimi nogi — straszliwie drgają im nerwy.

Tylko, że wzrok ich tak straszliwie dziwny — opętańczy — czy obłędny.

Boć to cytadelowy karnawał — to zabawy w przybytku okrucieństwa, męczarni i grozy — inaczej tam wyglądają uczestnicy zabaw.

Inne tam śmiechy.

I inne spojrzenia.

Na stokach cytadeli szereg czarnych szubienic. Niewyraźnym konturem odbijają się one na tle nocy ciemnej i chmur ciemnych.

Światła drgających latarek oświeciły najbliższe, dalsze majaczą niepewnie — i zda się, że tysiąc ich tu — że szeregu tego końca niema — że to jakiś bezkres tych smutnych rusztowań — i że idą one kędyś w nieskończoność — w większą kędyś otchłań — do piekła.

Na szubienicach kołyszą się wisielce — bliższe rozpoznać można, bo światła jeszcze z nich nie zeszły — inni już w cieniach nocy. — I stękają słupy szubienic. — I drgają światła latarek, z któremi oddalają się, skrzypiąc po śniegu, żołnierze — i huczy wiatr — i tańczą śnieżne tumany.

A wisielce — to kołują z wiatrem — spokojnie — równo, z powagą.

To znowu skoczą raźno w lewo lub prawo — w jaką stronę wicher je rzuci.

Wesołe — wesołe zabawy.

Cytadelowy karnawał.

Noc była ciemna.

Wicher dął ponuro — ten sam. co z wisielcami igrał w cytadeli — i grał im do tańca.

I uderzał w wielkie okna ratuszowej sali, oświecone — jasne.

I szczelinami się wciskał do wnętrza — gdzie cała „piękna“ zebrana Warszawa.

„Na biednych“ tam tańczą. — Wszak potańczyć warto — kiedy tyle dziatek bez chleba — kiedy tyle matek płacze nad kołyską swych wychudłych dzieci.

Tylu ludzi płacze, czemuż tym niema być wesoło? Takie dobre ludzie mają serca, że nawet tańczyć nie chcą inaczej — ani śmiać się — ani flirtować — ani się stroić — ani się najadać — tylko dlatego — że inni płaczą — drżą z zimna — i mrą z głodu.

I tem więcej tańczą — im tamtym smutniej.

Ogromna sala natłoczona po brzegi. — Muzyka gra dziarskiego mazura. I dziarsko tańczą postrojone panny — piękni młodzieńcy.

Przecież to nasz narodowy taniec — nasza chluba — termometr narodowego ducha. W mazurze rozpoznasz czy dobrze, czy źle z nami — jak tańczy go młodzież — jeśli z życiem i ogniem — to śmiało patrz w przyszłość — jeśli słabo, niezdarnie — to płacz, patrjoto.

Tej nocy dziarsko tańczono. — Któż to teraz śm[illegible] wątpić o potędze narodowego ducha — teraz kiedy [illegible] cała, jak długa i szeroka od „jedynie prawdziwych po[illegible] brała lekcje jedynie prawdziwego patrjotyzmu.

I wdzięcznie uśmiechały się piękne warsz[illegible] i dowcipami sypali dziarscy młodzieńcy — i [illegible] — i huczno — i wesoło — wesoło.

A wicher od stoków cytadeli — od słupów szubienic — i ciał wisielców przebiegał raz poraz — poprzez puste ulice Warszawy — aż tu, do tych jasnych okien — i z tym sennym uderzał w nie jękiem, z jakim tam się miotał o długie mury więziennych pawilonów.

Ale te jęki wichru za oknami — co zdawało się jęki mordowanych męczenników niósł ze sobą — i jękami tymi płakał — ochoty tylko dodawały do lepszej zabawy.

„Słyszy pan Stach, jak ten wicher płacze" — mówiła nadobna i poetyczna Mania — „ja tak lubię konstrasty — mnie takie głosy wiatru pobudzają do zabawy. Potańczmy".

Może z tym wichrem — z tym jękiem, co płynął nad miastem — i biegł ulicami — i bił się w okna — leciały duchy pomordowanych w tej chwili — tych, których ciała tańczą tam w ciemnościach — pod czarnymi słupami — wśród tumanów śniegu.

Może one chciały wejść do tej sali — gdzie rodacy tak się bawią wesoło — i z wyrzutem spojrzeć w te rozbawione i rozflirtowane twarze panienek i młodzieńców — tej „przyszłości" narodu — tej młodzieży, której duch „nad poziomy" ulatać ma niby — a w sercach żarczyć się płomienie święte.

Może...

I wyrazem oczu przemówić do nich — powiedzieć im więcej niż najwymowniejsze usta powiedziećby mogły.

I w głąb duszy ich rzucić skargę.

I w głąb serc ich plunąć hańbę.

Że gdy oni giną — męczennicy — szaleńcy wolności.

Tym wesoło.

I przypłynęły z wichrem tu pod okna. — Ale ujrzawszy — odeszły.

Bo niewarto.

Niewarto zabawy psuć.

I serca — i duszy tam szukać niewarto!

— — — — — — — — — — — — — —

I po „białym mazurze" — pójdą o brzasku już dnia nowego wypocząć snem dobrze zasłużonem — po trudach zabawy.

Czy po trudach poświęcania się dla płaczących bliźnich.

Czy po trudach dobrego uczynku — ulżenia niedoli.

I marzyć będą o czarnych czy blond wąsach panów — lub o obnażonych ramionach pięknych dziewic.

I odgadywać niedomówione lub dwuznacznie wyrzeczone słówka tej lub owej „piękności".

I tłómaczyć znaczące spojrzenia.

A ten sam brzask dnia, gdy wejdzie — oświeci tam w cytadeli — martwe i zimne i zeszpecone siała skazańców — którym ostatnich chwil życia nie osłodziło nawet ani najbłachsze złudzenie współczucia rodaków.

Ani nadzieja wdzięcznej pamięci pokoleń.

I oni — ci skazańcy — także marzyli kiedyś.

Ale o szczęściu narodu.

Ale o walkach i bojach.

Ale o słońcu i blaskach *).

(Z „Krytyki").

Walka z alkoholizmem.

(Przedruk z „Wiedzy").

13. Zwyczaj picia, zmuszanie do picia.

Do sieci, zastawianych przez tych, którzy mają interes w krzewieniu alkoholizmu, przyłącza się wpływ obyczaju: sugiestja wywierana przez wielką liczbę pijących, często — poprostu przymus z ich strony. Dziś, kiedy wszyscy prawie używają alkoholu w tej lub innej postaci, kiedy „picie" po prostu weszło w zwyczaj, — każdej poszczególnej jednostce wydaje się niepodobieństwem uchylić się od tego zwyczaju; ten ostatni staje się poniekąd rodzajem przymusu towarzyskiego. Ten, kto zechce wyłamać się z pod panowania tego przymusu, i czy to w restauracji burżuazyjnej, czy też w garkuchni proletarjackiej zamiast jak zwykle wina, piwa czy wódki, każe sobie podać wody, limoniady lub mleka — narazi się z pewnością na docinki, żarty, bardziej lub mniej dowcipne, grubsze lub płytsze, bezsensowne, ale — zjadliwe. To też tylko odważniejsi i wytrwalsi nie ulegają temu przymusowi i wywalczają sobie swobodę postępowania jak im się podoba.

*) Oczywiście nie o bandytach tu piszę — choć zbrodnia kary śmierci — zawsze potępienia godna.

14. Robotnicy wobec alkoholu.

O ile więc jest zrozumiałe, ze przy współdziałaniu tych wszystkich czynników: nędzy, nieswiadomości, pokus i zwyczaju, robotnik często pada ofiarą alkoholizmu, to tembardziej konieczne, tembardziej niezbędne jest uświadamianie sfer robotniczych, co do domniemanych zalet alkoholu. Należy wyjaśnić i udowodnić im, że owe zachwalane zalety alkoholu są to w rzeczywistości — złudzenia, i to ciężkie złudzenia, które przypłacać trzeba zdrowiem i życiem.

Na domiar złego, proletarjusz i za te złudzenia, jak za wszystko, płaci cenę podwójną. Chce on zaradzić wódką na głód, na złe odżywianie się! Tymczasem wódka nietylko nie pożywia, ale przeciwnie wyciąga mu z kieszeni sporą część skąpego zarobku, za którą można było kupić naprawdę pożywnych rzeczy. Tworzy się prawdziwe błędne koło, złe warunki odżywiania prowadzą do alkoholizmu, a alkoholizm pociąga za sobą jeszcze gorsze warunki odżywiania. W dodatku, alkohol łatwiej niszczy organizm źle odżywiany, niż dobrze odżywiany.

Aby mniej odczuwać wyczerpanie po zbyt długim dniu roboczym, ucieka się robotnik do wódki. W samej rzeczy po wypiciu nie czuje on już, jak bardzo wyczerpała go praca; to też nazajutrz wraca on pokornie do jarzma, zaprzęga się znów do roboty, którą jednakże dać może jedynie kosztem swego zdrowia. W interesie robotnika jest, by odczuwał on w całej pełni znużenie po pracy, by to znużenie wskazywało mu granice, poza które nie wolno człowiekowi swego wysiłku posuwać — pod groźbą poważnej szkody dla zdrowia; by uczyło go, że powinien zwalczać złe warunki pracy, powstać przeciwko zbyt długiej pańszczyźnie. Z tego powodu szczególnie krzywdzi robotnika alkohol, maskując uczucie zmęczenia. Dodajmy, że działanie alkoholu na organizm przemęczony jest bardziej niszczące, niż na świeży i silny. Doskonale formułuje to Otto Lang:

„Znużenie i głód — pisze ten autor — ważną odgrywają rolę w życiu człowieka. Te dwa stany pouczają go, ze zapas sił, jakie posiadał, już wyczerpał się cały i że ciało domaga się nowego dowozu materjałów spożywczych. Jeżeli robotnik nie słucha tego głosu ostrzegawczego i stara się go przytłumić alkoholem, — będzie to woda na młyn pracobiobiorcy (fabrykanta itp.), dla robotnika zaś pewna droga do zguby. To też zadaniem naszem powinno być zwalczanie wszelkiemi siłami alkoholizmu, który w tym wypadku występuje jako najgorszy wyzyskiwacz i wróg robotnika".

To samo można powiedzieć i o innych czynnikach, pobudzających do picia.

Gdy robotnik pije, by nie czuć dymu, kurzu, gorąca, zaduchu — robi sobie krzywdę, a dogodność przedsiębiorcy.

Kiedy odurza się wódką, by zapomnieć o nędzy, troskach, zmartwieniach wszelkiego rodzaju, kiedy „zalewa robaka", — czy usuwa rzeczywiście zło, czy poprawia sobie los? Nie, przeciwnie, dodaje jeszcze zło do zła!

Słowem, gdy robotnik słucha podszeptów tych wszystkich złych warunków społecznych, zachęcających go do kieliszka, to postępuje jak najgorszy wróg siebie samego. Zamiast bowiem odważnie walczyć o poprawę tych warunków przy pomocy silnej organizacji ekonomicznej i politycznej — ukrywa on tchórzliwie przed sobą samym nędzę swego istnienia, przytępia i zagłusza w sobie poczucie konieczności zmiany.

Właśnie dla tego, że robotnik niema środków na dobre odżywianie się, nie powinien on wydawać na wódkę, która nietylko wyciąga mu z kieszeni grosze potrzebne na pożywienie, ale w dodatku jeszcze osłabia go i rodzi różne choroby i niecezpieczeństwa.

Właśnie dla tego, że robotnik źle mieszka, nie powinien wydawać na trunki, które go robią mniej odpornym na skutki złych warunków mieszkaniowych.

Właśnie dlatego, że robotnik przez warunki swojej pracy i tak wystawiony jest na cały szereg niebezpieczeństw, nie powinien przez picie trunków narażać się na nowe niebezpieczeństwa.

W ciasnych mieszkaniach robotniczych — pisze Lang — mnożą się powody do nieporozumień, sprzeczek, waśni, kłótni. Czy wódka pomaga do porozumienia, do zgody pomiędzy sąsiadami? Wiemy wszyscy, że nie. Wiemy wszyscy, że zabiera ona resztę zastanowienia i zimnej krwi i popycha do brutalności, do okrucieństwa, do zbrodni. A podwójnie odpokutuje za to robotnik, podwójnie zemści się na nim alkohol, dzięki zależności robotnika od przedsiębiorcy, dzięki niepewności jutra, bezbronności przeciwko brutalnej przemocy policyjnej".

Dwie przyjaciółki.

Marysia: Dzień dobry, Jadwigo, coś ty taka posmutniała i spłakana?

Jadwiga (z płaczem): O mój Walek, gdyby on wiedział, w jak okropnem położeniu ja się znajduję a zemną siedmioro dziatek, które on z całego serca kochał! Napróżno wyciąga jego ukochany Janek swoje rączęta do drzwi i woła tata. Już go nigdy nie zobaczy! O mój Boże, dlaczego nie zmienisz takiego porządku na świecie, gdzie tyle ojców ginąć musi w czeluściach ziemi, pozostawiając w nędzy i rozpaczy biedne wdowy i sieroty!

Marysia (wzruszona do łez): Nie płacz, Jadwigo, i nie lamentuj. Przecież raz już zapomnieć musisz o tej okropnej w twem życiu chwili. Twój Walek i tak już z grobu nie powstanie.

Jadwiga: Wiem ja dobrze o tem, Marysiu, ale tu masz przeczytaj sobie to pismo z knapszaftu. Niech też djabli wezmą taką sprawiedliwość.

Marysia: Co, to tylko te parę marek chcą ci dać z knapszaftu? Przecież Walka potłukło w kopalni i wskutek tego zmarł!

Jadwiga: Lekarz powiada, że zmarł na zapalenie płuc, z okaleczenia już był wyleczony.

Marysia: Jadwigo, pamiętasz jeszcze, jak przed rokiem mówiłam ci o związku górniczym, gdym dała mojego Karola wpisać?

Jadwiga: Mówiłaś mi, mówiłaś!

Marysia: Tyś wtedy wyzywała na mnie, że to związek socjaldemokracki, że tam są tacy ludzie, co chcą kościoły obalić. Widzisz, gdyby twój Walek był od tego czasu członkiem, to po pierwsze byłabyś otrzymała od związku po dwutygodniowej chorobie po 50 fenigów na dzień albo trzy marki tygodniowo aż do czasu jego śmierci t. j. przez 24 tygodni. Po drugie byłabyś po jego śmierci otrzymała 60 marek wsparcia pośmiertnego. Po trzecie byłabyś teraz miała obronę prawną od związku bezpłatnie. Byłabyś się mogła domagać teraz tego, na co narzekasz i czego panowie dać ci nie chcą. Tyś zdawała się być dawniej bardzo mądrą, jeszcześ na mnie wyzywała. Teraz możesz pójść do kościoła, który tak stoi jak stał, choć socjalistów z dniem każdym przybywa, możesz klęczeć dzień, tydzień a nawet cały rok, to jeszcze losu swego nie zmienisz. Serca kapitalistów nie zmiękną na niedolę twą. Jam ci przed rokiem mówiła, że wiara ze związkiem nie ma nic wspólnego. Wiara to nie koza na powrozie, co by ją mógł złodziej ukraść. Ale nasi mężowie są na powrozie kapitalistycznym i z tych nas okradają w najlepszym wieku. O tem powinny przedewszystkiem kobiety pamiętać.

Jadwiga: Gdybym ja to była wiedziała, że mnie taki los spotka, byłabym cię chętnie usłuchała i nieboszczyka mojego męża do związku napędziła. Jak to człowiek może być omamiony na tym świecie. Teraz dopiero poznałam ten świat, teraz widzę dopiero, w jakiem to piekle znajduję się żywcem wraz z mojemi dziatkami. O, ja biedna kobieta, gdybym lepiej mogła umrzeć i to razem z mojemi dziatkami.

Marysia: Uspokój się, Jadwigo, i nie płacz, bo tem pogorszysz tylko swoje zdrowie. Widzę, żeś się nareszcie przekonała o dobroci naszych panów. Tyś, Jadwigo, nie jest pierwsza, ani ostatnia. Wielkie morze łez wypłynęło już z oczu sierót i wdów po zabitych i skaleczonych górnikach, po tych wszystkich, którzy wskutek nieszczęśliwego wypadku utracili zdrowie swoje lub umarli w młodych jeszcze latach, a następnie od lekarza się dowiedzieli, że „śmierć nie ma z wypadkiem nieszczęśliwym nic wspólnego". Tym sposobem pozostają tysiące istot bez chleba. Potem się owe wielkie panie i panowie skarżą na dzieci robotnicze, że źle wychowane, że stają się złodziejami, prostytutkami, zbrodniarzami i t. d. A kto winien temu wszystkiemu? Obecny porządek kapitalistyczny, który częstokroć pozostawia sieroty i wdowy bez chleba.

Jadwiga: Marysiu, ty wiesz najlepiej, w jakiem położeniu się znajduję. Może byś poszła ze mną do sekretarza tego związku, to on się może nademną zlituje i przeprowadzi mi tę sprawę przeciwko panom. Przecież ci socjaliści tak niesłusznie przez panów i księży oczerniani będą mieli więcej serca dla poszkodowanych sierót i biednej wdowy.

Marysia: Nie mogę ci na razie nic przyobiecać, Jadwigo, ale zabierz te pisma, co ci przysłali w tej sprawie i przyjdź który dzień po niedzieli do mnie, to pójdziemy do sekretarza. Jeżeli będzie miał trochę wolnego czasu, to ci może napisze. Bo wierz mi Jadwigo, że gdyby mieli wyprocesować renty każdej wdowie, która za życia męża na związek wyzywała i na demokratów, to ja jestem pierwszą, którabym przeciwko temu wystąpiła. Tyś nie płaciła, Jadwigo, do związku a powiedz mi, coś uciułała z tego?

Jadwiga: Nieskoro żałować, ale mam nadzieję, że mi tam napiszą.

Marysia: Czy wiesz, kto Konstantowej rentę wyprawił, przecież ona miała to samo co ty?

Jadwiga: Ona tam gdzieś jeździła do pismaka; może by mi też doradziła?

Marysia: Wiesz gdzie jeździła? Do biura związku górniczego. Ona płaciła za niego, a on wcale o tem nie wiedział, że był członkiem związku. On lubił mocno swój kriegerverein.

Jadwiga: To pierwsze słyszę od ciebie. Zkąd ona była taka mądra, że sobie tak umiała postąpić?

Marysia: Z domu, jej ojciec był kasjerem tego związku. Ona trzymała to w tajemnicy gwoli niego a po drugie chciała mieć spokój od takich jak ty, Jadwigo, niedoświadczonych kobiet. Ale na dziś do widzenia Jadwigo! Na przyszły raz więcej.

Jadwiga: Do widzenia, Marysiu! Niech aby ciebie taki los ominie, jaki mnie spotkał.

Franek od Zabrza.

Rozmaitości

Jubileusz wróbla-wychodźcy. Wróbel, będący wśród ptaków ulicznikiem, doczekał się 50-letniego jubileuszu przebywania w Ameryce. Przed pół wiekiem przewieziono go celem przeciwdziałania pladze owadów, niszczących owoce. Wr. 1852 przywieziono do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej 8 parek, które wyginęły. Drugi transport przybył w roku następnym, 50 wróbli wypuszczono w porcie nowojorskim, drugie tyle zamknięto w kaplicy cmentarza Greenwood, i potem, na wiosnę 1854 r. wypuszczono je na wolność. Wróble nie rozmnażały się. Dopiero transport, wyprawiony w r. 1857 z Anglji i rozpuszczony po całym kraju zaaklamatizował się. Wabiono je wszędzie ziarnem, oswoiły się i śmiertelność wśród nich ustała. Obecnie amerykanie zastanawiają się, czy ta emigracja przyniosła im korzyści, czy straty. Wielu dowodzi, że suma strat przeważa, bo jakkolwiek wróble tępią owady, jednocześnie wszelako w sadach owocowych czynią spustoszenia. Zachodzi nawet obawa, że wróbel, zapraszany usilnie przed laty pięćdziesięciu, przestanie być uważany za pożądanego gościa i że zaczną się z nim obchodzić, jak z intruzem.

* * *

Cukierki z koniakiem i likierem. Wszyscy, przyjaciele i nieprzyjaciele alkoholu, godzą się na to, że dzieci nie powinny w żadnej formie dostawać alkoholu. Jeżeli bowiem alkohol jest trucizną, to jest on nią przedewszystkiem dla dzieci. Jedna tylko ważna gałąź produkcji środków spożywczych, zdaje się, że nie wie o szczególnem niebezpieczeństwie alkoholu dla dzieci, mianowicie wyrób c

kierków. Zdarzyło się w pewnem mieście niemieckiem, iż lekarz przyszedłszy do chorej kobiety, zauważył, że jest pijana. Zjadła ona dosyć dużo cukierków, napełnionych wódką i upiła się. Lekarz ten stwierdził, że 50 sztuk tych cukierków zawierało 7 do 10 kieliszków wódki, t. z. dosyć, aby upoić nawet przywykłego do alkoholu. Jest to dowód jak niebezpieczne są cukierki z wódką. Wcale nie jest zakazanem sprzedawać dzieciom alkohol w tak niewinnej formie. Ostrzega się przed rozmaitymi środkami tajemnymi, dotąd jednak nie znalazła się władza sanitarna, któraby objaśniła i ostrzegła rodziców przed temi zdradliwemi łakociami. Na każdą drobną sprzedaż wódki musi się dziś mieć zezwolenie władzy. W rzeczywistości jest jednak sprzedaż cukierków z wódką niczem więcej, jak drobną sprzedażą alkoholu. Nie chodzi o formę, w jakiej on jest sprzedawany; obojętnem jest, czy się wódkę sprzedaje w naczyniu szklanem, czy w czekoladowych kostkach. Gdyby jednak jakiś kupiec chciał otworzyć szynk i sprzedawać alkohol częściowo w trwałych naczyniach z chleba i cukru — a technicznie jest to możliwe — toby mu władza zamknęła wkrótce sklep, gdy na tę sprzedaż nie wydała koncesji. Ale w kostkach czekoladowych — jakkolwiek one się nazywają — można swobodnie sprzedawać wódkę nawet dzieciom, a w jakiej ilości, tego dowodzi powyżej opisany wypadek. Rodzice powinni na tę sprawę więcej zwracać uwagi, jak dotychczas.

* * *

Historja o kompasu u arabów. Bardzo mało wiedziano dotychczas o historji kompasu u arabów. Ciekawy przyczynek do tej kwestji daje E. Wiedermann w „Berichte der deutschen physikal. Gesellschaft" (1907, zeszyt 24). Wynika z niego, że z początkiem wieku 13 arabowie znali już magnesowanie za pomocą pocierania i używali kompasów w postaci ryb, w których wnętrzu znajdowała się igła magnesowa. W razie potrzeby rzucano rybę do misy z wodą, a ona głową wskazywała północ; takich ryb magnetycznych używali też do tłumaczenia snów — w jaki wszakże sposób, nie wiadomo. W jednem piśmie (al gazari) znajduje się przepis następującego doświadczenia: sporządzenie ryby i ptaka z drzewa wypełnionego solą; w ptaku ma się znajdować kamień magnesowy, w rybie igła magnesowa; rybę i ptaka wrzuca się do wody; gdy się sól rozpuści, ptak uniesie rybę na powierzchnię.

* * *

Handel religijny. (Przyczynek do historji kultury.) W roku 1300 papież Bonifacy VIII. ustanowił zupełne odpusty stuletnie. W Rzymie dzień i noc dwóch księży zasiadało przed ołtarzem św. Pawła i grabkami zagarniało pieniądze, które wierni tam rzucali. Gdy się próba tak świetnie udała, skrócono zupełny odpust najpierw na 50, a w końcu nawet na 25 lat. W roku 1210 założył Franciszek z Asyżu zakon Franciszkanów. Papież Urban VI. oddał im prawidłowo sprzedaż odpustów (1388), z którymi rozesłał ich na całą Europę.

Skoro przybyli do jakiegoś miasta, wywieszali z okna sztandar papieża i urządzali wielką wrzawę głosząc, iż mają pełnomocnictwo uwalniania dusz z czyścia. Na każdy grzech mieli dokładną taryfę, ile musiał im zapłacić grzesznik, żądający absolucji, to jest odpuszczenia. I tak np. kosztowało:

	Groszy turenskich	Dukatów	Karlinów
Ojcobójstwo, matkobójstwo, bratobójstwo siostrobójstwo kosztuje	1	1	1
Zabójstwo żony dlatego, który chciał się powtórnie ożenić	8	2	—
Dzieciobójstwo dla ojca i matki . . .	1	1	8
Świętokradztwo, kradzież, podpalenie, rozbój, krzywoprzysięstwo	36	9	—
Grzech przeciw naturze i bestjalność dla duchownego	90	12	6
Spółkowanie z zakonnicą	36	9	—
Kazirodztwo	4	—	—

Jeden z tych przekupniów odpustów franciszkanin Tetzel wygłaszał straszliwe opisy piekła i czyśca. Wołał on grzmiącym głosem: „Nie pościłeś w piątek, więc jesteś skazany na wieczne męki piekielne, jeśli nie otrzymasz odpustu. Ba, to drobnostka, przypuśćmy, żeś zabił ojca swego i matkę swą, żeś zelżył przenajświętszą dziewicę matkę Chrystusa. Jakaż straszna czeka cię za to kara.

A kiedy doprowadził słuchaczy do szczytu przerażenia, dodawał spokojnie: „To nic wszystko, to odkupisz, skoro pieniądze zabrzęczą w skrzyni papieża". A na koniec dodawał: Ile razy dukat brzęknie na tacy, już dusza wyskoczy z czyśca do nieba! To też miał obfite dochody: w r. 1507 we Fryburgu w ciągu dwóch dni zebrał on 2000 florentów, a w r. 1508 w ciągu trzech tygodni 3000 talarów.

Z literatury i sztuki

Nr. 4 (na Kwiecień) **„Przewodnika Zdrowia"** (Czarnowski Berlin Weissenburgerstr. 27) wyszedł i zawiera:

Treść: Ważność kształcenia własnego charakteru. — Praktyczne metody hypnotyzowania. — O rozbudzeniu ze snu hypnotycznego. — Stany pohypnotyczne czyli poddawania terminowe. — Kilka ważnych uwag przy poddawaniu suggestji hypnotycznych. — Zewnętrzne zabiegi przeciw wypadaniu włosów i łuszczeniu. — Przestrogi i rady.

* * *

Zielniczek lekarski czyli abecadłowy spis chorób z podaniem odpowiednich środków roślinnych — z 12 kolorowymi tablicami, wyobrażającymi 125 roślin lekarskich. Nakład „Przewodnika Zdrowia" (Czarnowski, Berlin Weissenburgerstr. 27). Cena z przesyłką: 1,60 mk. = 1,90 kor. = 80 kop.

Ileż to ziół leczniczych ginie rok rocznie bezużytecznie, gdyż ich albo wcale nie znamy, albo też nikt nas nie pouczył o ich sile leczniczej. Dlatego trzeba z radością powitać powyższą książeczkę, mającą na celu obeznanie szerszej publiczności z ziołami lekarskimi.

Treściwe dziełko zawiera mnóstwo bardzo praktycznie uporządkowanych wiadomości przeważnie o naszych ziołach krajowych, zasługujących na szczególniejszą uwagę także rolników. Umiejętne zestawienie zyskało jeszcze przez załączone, bardzo udatne kolorowe podobizny opisanych roślin. Metodą poglądową może każdy bez wyjątku, przy dobrej woli, rozpoznać w naturze opisane i wyobrażone zioła, może zawrzeć niejako przyjaźn serdeczną z dobroczynnymi przedstawicielami cudów otaczającej nas przyrody. Istnieje dużo książek i atlasów botanicznych, mniej więcej ponętnej powierzchowności i treści, lecz podręcznika, tak jasno i dokładnie odpowiadającego wielustronnym potrzebom, a tak taniego nie było dotąd ani w naszem piśmiennictwie, ani w obcem. Z tej też przyczyny dziełko to zostało tłomaczone na niemieckie i ukazało się już w drugiem wydaniu. Powinnoby się znajdować w każdej rodzinie!

* * *

Poradnik teatrów i chórów włościańskich organ „związku teatrów i chórów włościańskich" przynosi w trzecim zeszycie (za marzec) następującą treść: Baw się, narodzie — wiersz A. Asnyka. — Znaczenie i dzieje widowisk teatralnych przez J. J. Kapuścieńskiego. — Reżyserja czyli przygotowanie sztuk do grania przez E. Webersfelda. — Chłopi-emigranci (wiersz) J. Jedlicza-Kapuścieńskiego. — „Gorzałka", ciąg dalszy obrazka scenicznego Anczyca. — Wiadomości z teatrów, korespondencje i t. d.

* * *

„Myśl Niepodległa", (Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10). Treść nr. 60 (dekada trzecia na kwiecień): Kraj koterji — Witold Wrzos: Z praktyki szkoły polskiej. — Jerzy Kurnatowski: Etyka społeczna. — Kurowski: Na zamku biskupim w Bodzentynie. — Lambro: Miczkiewicz i Marx. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Wolna gmina. — Zapiski. — Książki.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 18. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 2 maja 1908.

ANDRZEJ STRUG.

Na pogorzeli.

Opowiadanie.

Do Gródek Rylski miał już niedaleko. Tuż zaraz zapadała się ziemia i szła pochyło, pochyło w głąb mglistej przestrzeni, a hen w dole po przez białawy tuman czerniały dachy chałup. Ledwo, ledwo widać je było. Chwilami deszcz przycichał i zdawał się ustawać.

Wtedy wieś wyciągała się w nieskończoność, wpełzała paru skrętami popod pochyłość gruntu, to zapadała się aż na dno parowu.

Goło i przestrono było wokoło, jak na pustyni. Obrzydliwość okolicy harmonizowała z obrzydliwością pogody. Z niehamowaną nienawiścią patrzył Rylski na czarne strzechy. Na domiar przemoczony papieros nie chciał się palić.

Ileż to trudu, upokorzeń, ile gadania i ceregielów kosztowało pozyskanie tej nędznej okolicy...

Byli tu nasamprzód oświatowcy i zasypywali lud elementarzami, czytankami, broszurkami Promyka, rozmaitemi historjami: „O pijaku Urbanie“, o „Urwisie Dyrdusiu“, o „Bydlęciu odętym“. A że owo „państwo“ dawało to wszystko za darmo, więc brali gospodarze, kłaniający się dobremu państwu.

Potem przyszedł czas na rozmaitości patrjotyczne, na anekdoty o królach polskich, na wierszyki liryczne o ojczyźnie, na płaczliwe historyjki o różnych biednych a zacnych kmiotkach, na które czułe były serca chłopskie.

Słuchając tych historji, czytanych głośno po chałupach przy mdłym promyku lampki, przyćmionej jeszcze dla oszczędności, pociągali słuchacze nosami.

Inni to już byli „panicze“, którzy ciągali w te strony owe książeczki. Gadało to ze strasznem przejęciem i prawie że nawpół z płaczem, tak „jakby byli wszyscy czegoś winowaci“, jak powiadał mener rewolucyjny na całą okolicę, towarzysz Jan Chowaniec z Gródków.

Widział on dużo i przetrwał oświatowców i ludowców i narodowych demokratów, dopóki, zawsze ciekawy ostatnich prądów, nie zatrzymał się na „socjalnej nauce“.

Że zaś cenił swoją godność — nie poddawał się odrazu nowej prawdzie i nowym ludziom, ale gruntownie ugadywał się z każdym, oponował, upierał się przy swojem po chłopsku, jak narowisty koń, doprowadzał ludzi do rozpaczy i wściekłości. Sam Rylski po paru konferencjach, po których Chowaniec jakoś zupełnie nie zdawał się być przekonanym i gadał w kółko jedno i to samo, zaklął srodze i zły za straconą fatygę i za zawód, nawymyślał mu porządnie, już się zupełnie nie krępując, bo uważał wszystko za stracone. Aliści, kiedy już pozostawało mu tylko splunąć i pójść precz, Chowaniec podał mu czarną twardą, jak kopyto, łapę i uroczyście zdjął magierę:

— No, kiedy tak szczerze gadacie, to ja wasz i cała ta het okolica wasza. Na dobry początek, niech się ta nam wiedzie, a niech się wiedzie!...

I jak go nie łupnie po dłoni swoją twardą i szeroką jak łopata dłonią. Zupełnie jak na jarmarku, kiedy ugoda stanie.

Potem gadali już jak swoi i umawiali się szczegółowo o rozmaite rzeczy, jak i co i kiedy, a Rylski cichaczem rozcierał sobie spuchniętą dłoń.

Z niezmiernem zdumieniem słuchał teraz nowych mądrych słów, jakiemi wyłuszczał swoje racje nowy towarzysz. Zupełnie jak inny człowiek.

— No i po co te wszystkie komedje? Komu one były potrzebne? Ja wam to, Janie, powiem po szczerości, żem już sobie dzisiaj o was pomyślał: głupi jest człowiek ze szczętem i jeno udaje, że coś wie, a w gruncie głupi jest, jak but. No i patrzajcieże ludzie...

— To już taki zwyczaj mój jest. Wziąć się a przyczaić przed nowym człowiekiem. On swoje niech gada, a ja nic — cicho. Póki wszystkiego już, co ino wie, nie wypowie. To wtedy i mnie jest wiadomo, z kim jest sprawa. Wy toście mnie się, żeby tak powiedzieć, już za drugim razem spodobali i myślę sobie: można. Jeno, że tu o wielkie rzeczy się rozchodziło, więc się strzymałem i rzekłem sobie: pomalusku. A kiedyśma się już dogadali, to wiedzcie i starszyźnie waszej tam we Warszawie też powiedzcie, że jak ja Chowaniec Jan co tu powiem, to tego słuchają hen, hen, wokoło, jak jeno oczy zajrzą.

Tu wstał chłop i szerokim ruchem zatoczył koło ponad widnokręgiem uroczyście, godnie, jakby wódz a hetman.

Gadali wtedy oto tu, na tem samem miejscu, na wzgóreczku popod krzyżem. Tylko letnia była pora i słonko zachodziło właśnie pogodnie poza las, a wokoło pachniały świeżo zżęte ściernie i porykiwało powracające do domu bydło i kurzyło hen po drogach...

A chłop stał pod figurą, wietrzyk wieczorny motał mu siwiejące długie włosy, czerwone promienie zachodu uczyniły wąsatą twarz wyrazistą a piękną, jak obraz. Oczu od niego oderwać nie mógł Rylski, a on stał i prawił, jakby w natchnieniu, jakby nie do jednego człowieka mówił, jeno do całych tysiąców, do wszystkich hen ludzi, siedzących wkoło po wsiach ludnych.

— Płona jest ziemia u nas, piasek a kamienie, a łąka jak jest, to mokra, a lasy wkoło rządowe, moskiewskie. Biedny kraj i ladaco; ni dla oka pociecha, ni dla brzucha sytość. Ale to ja wam jako tutejszy z dziada pradziada powiadam, nie ma takich ludzi wiele w całej Polsce, jak tutak som. Zobaczycie, będziecie widzieli! Som bogate chłopy gdzieindziejsi — na Powiślu — po Sandomierskiem i jeszcze gdzie, co na borowinach tłustych orzom, gdzie się rodzi pszenica, a burak. Som różni, som i mądrzejsi od naszych... Ale słuchajcie, co wam powiem: takich kwardych, a wiernych, a na wszystko najgorsze wytrzymałych ludzi — nigdzie nie znajdziecie! Tu od maleńkości dziecko we głodzie się chowa, po głodnej matce, tu u nas do śmiertelnej godziny człek niedojada. Chleb — to dla nas święto, a mięso widzimy, jak z dopustu Bożego padnie któremu krowina, albo owieczka. Tem żyjemy, co z tego piachu wyorzem, pługiem po kamieniach styrbający. — Hej...

(Dokończenie nastąpi.)

W kopalni.

Z powieści Żeromskiego „Ludzie Bezdomni."

Poszli długim chodnikiem. Zblizka i zdala szły szeregi wózków, ciągnionych przez konie. Każdy z tych pracowników wlókł tak za sobą całemi latami przeklęte wozy. Gdy mijali postępującego w ciemności, odwracał na bok głowę i oczy, które już razi żółty blask światła.

Przyszli wreszcie do szybu, który ich z dna kopalni miał podrzucić o sto metrów wyżej. Woda lała się tam strugami, kapała w szalę, ciekła po drzewie cymbrowiny. Stanęli w mokrej windzie, wśród ludzi wrzeszczących, przemokłych, ze złemi twarzami i w ciągu jednego momentu wyniesieni zostali na powierzchnię górną. Szli stamtąd ciemnym i nieskończenie długim korytarzem. Było w nim zimno i wilgotno. Strop walił się tu i owdzie, wyginał kapy i miażdżył okładziny. Smiertelnej czarniawy nie rozświetlały nawet ogniki górnicze. Czasami tylko słyszeć się dawał odległy turkot i krzyk wozaka. I znowu z zmroku wynurzał się koń-górnik, odwracał swe smutne, stęsknione, beznadziejne oczy, jakby mu był wstrętny widok człowieka, i ginął w wiecznym grobie.

W pewnej chwili Judym usłyszał przed sobą w ciemnościach rozmowę, a raczej monolog. Ktoś mówił dobitnym głosem:

— Fuks, mówię, nie zwalone!

Chwilę trwało milczenie i znowu odezwał się ten sam głos z podwójną natarczywością:

— Nie zwalone, Fuks! Kiej nie zwalone, to nie zwalone...

Korzecki pociągnął Judyma do ściany i szeptem objaśniał, co to znaczy:

— Czasami koła jednego z wózków, szczeplonych między sobą, z szyn wyskoczą. Wówczas koń, imieniem Fuks, staje, gdyż nie ma siły uciągnąć, a zresztą i następne wózki zaraz się wykolejają. Poganiacz musi nadnieść i wstawić wózek w szyny. Gdy to uczyni, woła na konia, że już tę robotę wykonał. Ale nieraz przyczepi mu o jeden wózek za wiele i wówczas koń również staje, sądząc, że to skutek wykolejenia. Poganiacz zapewnia go krzykiem, że „nie zwalone", ale koń, pociągnąwszy zleka, nie rusza się z miejsca, gdyż czuje ciężar większy, niż należy. Wówczas furman musi go przekonać: idzie wzdłuż wózków aż na sam ich koniec i stamtąd dopiero jeszcze raz uroczyście krzyczy swoje: Fuks, nie zwalone! Natenczas biedny koń godzi się z myślą, że go wyzyskują, zbiera siły i wlecze dalej w ciemności swą dolę. Może nawet przychodzi do świadomości, co to jest, może nawet po cichu wzdycha, albo ściska zębce, ale przystać musi na taki układ, bo gdyby marzył, albo usiłował protestować za pomocą, dajmy na to, stania, toby mu poganiacz batem grzbiet wyłoił i na tem skończyłoby się polepszenie stosunków.

Walka z alkoholizmem.

(Przedruk z „Wiedzy").

15. Klasa robotnicza a alkoholizm.

A czy chodzi tu jedynie o szczęście osobiste i pomyślny rozwój jednostek? Czyż klasa robotnicza nie ma obowiązku dbać najbardziej o to, ażeby przyszłe jej pokolenie było jeszcze zdolniejszą, dzielniejszą, jeszcze bardziej sprawną i gotową do boju armją, niż dzisiejsze robotnicze szeregi walczące? Czyż nie dość, że jak przekleństwo dziedziczne, ciąży na dzieciach robotniczych niedostateczne odżywianie się i przepracowanie rodziców, obok złego wychowania i tysiąca innych okropności i braków bytu robotniczego — czyż trzeba powiększać szereg tych osłabiających i wyradzających czynników jeszcze o jeden, o alkoholizm? Wszak wiemy z doświadczenia, że walka klasowa staje się z roku na rok ostrzejszą, że przeciwnik rośnie w siły, czyż nie powinna i klasa robotnicza starać się wszelkiemi siłami o to, aby jej przyszli bojownicy także wzrastali w siły, żeby mogli sprostać wrogowi? Czyż nie powinna zatem zwalczać najbezwzględniej, zwalczać wszelkimi środkami, tego wszystkiego, co szkodzi zdrowiu i siłom tak jednostek, jak całej klasy?

Musimy dobrze zdać sobie sprawę z tego, że alkohol nie tylko spycha proletarjusza w gorszą jeszcze otchłań nędzy, nietylko powiększa niebezpieczeństwa, które mu grożą zewsząd; ale — co najgorsza — wstrzymuje on powstanie tych aspiracji, które są w stanie robotnika z obecnych warunków wydźwignąć! W ten sposób alkohol staje się nietylko przeszkodą, hamulcem dla walki klasowej, ale nadto — potężnym środkiem w rękach klas panujących. Alkohol jest więc kółkiem w maszynerji ucisku i wyzysku społecznego; pomaga on utrzymywać klasę uciemiężoną w jej nieświadomości, złudzeniach, słabości woli i umysłu, ażeby nigdy nie mogła otworzyć oczu na ucisk i wyzysk!

16. Burżuazyjni przeciwnicy alkoholu a ruch przeciwalkoholiczny robotniczy.

Z klasowego położenia robotnika w dzisiejszem społeczeństwie, ze złych warunków jego pracy, wypływają z natury rzeczy, z żelazną koniecznością, i złe odżywianie się, i nędzne mieszkanie, i ostateczne wyczerpanie robotnika. To też, nawet wówczas, gdy ani kropla alkoholu nie będzie przez robotników wypita — nie znikną jednak same przez się złe warunki ich bytu. Podkreślamy to umyślnie, aby odróżnić nasze poglądy na alkoholizm od zapatrywań burżuazyjnych przeciwników alkoholizmu, którzy bardzo sobie uprościli zadanie. „Cała nędza społeczna pochodzi z pijaństwa — powiadają oni. — Niech robotnik przestanie pić, a starczy mu z pewnością pieniędzy i na lepsze odżywianie się, i na mieszkanie, i na wszelkie inne potrzeby". Krótko załatwiają się ci panowie z kwestją społeczną!

Nic wspólnego niema obecny ruch proletarjacki w celu zwalczania alkoholizmu, z temi kazaniami ludzi, podnoszących walkę z alkoholizmem w imię — zadowolenia z obecnych warunków społecznych.

Ruch proletarjacki stawia kwestję wyraźnie: walka proletarjatu z alkoholizmem jest tylko środkiem pomocniczym w walce klasowej.

Dla każdego, kto wie, z doświadczenia, co to jest walka klasowa, jest jasne, że może ona być prowadzona lepiej, łatwiej, skuteczniej przez robotników niepijących, wrogich alkoholowi. W interesie zatem walki klasowej należy rozpocząć jak najprędzej walkę z alkoholizmem.

Widzieliśmy już wyżej, że alkoholizm poza nędzą społeczną ma swoje źródła w nieświadomości mas co do niebezpieczeństwa używania alkoholu, w powszechnem a mylnem przekonaniu o jego zaletach, wreszcie w przyzwyczajeniu do picia, w zmuszaniu do picia. Tym wszystkim zatym źrodłom alkoholizmu należy wypowiedzieć wojnę bezlitośną, wojnę na śmierć i życie.

Naturalnemi, gotowemi ramami dla tej walki są bezsprzecznie organizacje robotnicze, polityczne i ekonomiczne. One też z całym zapałem wzięły się już do roboty uświadamiającej w tym kierunku w wielu krajach, jak oto: w Szwajcarji, Belgji, Austrji.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Statut górnośląskiego knapszaftu

według uchwał walnego zebrania z dnia 27-go lipca 1907 ważny od 1-go stycznia 1908.

(Ciąg dalszy.)

5. Wzajemny stosunek kilku roszczeń; roszczenia z innych zabezpieczeń; roszczenia względem osób trzecich; stosunek do innych stowarzyszeń knapszaftowych.

§ 54.

Jeżeli według niniejszego statutu ten sam wypadek daje prawo zarówno do wsparcia z kasy chorych, jak i do kasy inwalidzkiej, wtedy wsparcie z kasy chorych wypłaca się całkowicie, wsparcie z kasy inwalidzkiej natomiast tylko o tyle, o ile przewyższa wsparcie z kasy chorych.

§ 55.

Jeżeli wskutek wypadku przy pracy (Betriebsunfall) uzasadnionem jest prawo (do wsparcia) zarówno według ni-

niejszego statutu jako też według prawa Rzeszy o zabezpieczeniu na okaleczenie, wtedy zabezpieczenie na okaleczenie, o ile prawo na to pozwala, musi wynagrodzić za wsparcia kasy chorych i kasy inwalidzkiej.

§ 56.

Jeżeli choroba, okaleczenie lub śmierć członka spowodowane zostały przez osobę trzecią, wtedy członek lub jego rodzina na żądanie zarządu knapszaftu powinna do wysokości statutowych wsparć knapszaftowych odstąpić knapszaftowi swoje prawo do żądania wynagrodzenia od tej trzeciej osoby.

§ 57.

Jeżeli członek przyjęty na mocy § 30 do kasy pensyjnej stanie się inwalidem albo zemrze, pozostawiając wdowę uprawnioną do renty, wtedy każda interesowana kasa pensyjna powinna sumę opłaconych u niej cząstek pomnażających udzielić jako rentę inwalidzką lub wdowią. Przy tem liczy się czas członkostwa niżej jednego roku także w kasach pensyjnych, które obliczają tylko roczne cząstki pomnażające o tyle, o ile ten czas członkostwa z czasem członkostwa w innych interesowanych kasach pensyjnych można uzupełniać na całe lata. Cząstkę pomnażającą za czas członkostwa niżej roku oblicza się wtedy według liczby pełnych miesięcy składkowych.

Obliczenie, ustanowienie i wypłacanie wsparcia za interesowane kasy pensyjne następuje przez ten knapszaft, do którego kasy pensyjnej członek należał na ostatku. Knapszaft ten winien donieść natychmiast innym interesowanym knapszaftom, ile udziałów na nie przypada. Udziały płatne w przeciągu ćwierćrocza należy najpóźniej do końca pierwszego miesiąca następnego ćwierćrocza nadesłać, jeżeli nie mają być ściągnięte w przymusowej drodze administracyjnej.

Spory o udziały w płatnych wsparciach rozstrzyga w tych wypadkach wyższy urząd górniczy z wykluczeniem drogi prawnej, zaś minister handlu i przemysłu, jeżeli knapszafty należą do rozmaitych wyższych obwodów górniczych.

Wsparcia dla sierot, które płacić trzeba dzieciom takiego członka, tak samo wsparcie pogrzebowe z kasy pensyjnej oblicza się zawsze według statutu tego knapszaftu, do którego należał zmarły w chwili śmierci jako czonek lub inwalid, a ponosi je tenże knapszaft sam.

§ 58.

Przepisy § 57 stosowane są także wtedy, jeżeli członek kasy pensyjnej knapszaftu po 31 grudnia 1907 wstąpił do pracy w obwodzie innego pruskiego knapszaftu, przez co stał się członkiem kasy pensyjnej tamtego knapszaftu.

§ 59.

Zarząd jest uprawnionym do zawarcia umów z innymi poza pruskimi, niemieckimi knapszaftami, aby osięgnąć stosunek wzajemności, a może w umowach zgodzić się także na inne zasady, jak te, które określono w §§ 57 i 58.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rozmaitości

Śmiertelność dzieci robotników i chłopów w Rosji wzmaga się w przerażający sposób. Najwyższa cyfra śmiertelności przypada na gubernie, w których wybuchła klęska głodowa. W gubernji kazańskiej na 1000 dzieci umiera rocznie 439 niżej roku, w astrachańskiej 525, w samarskiej 576. Śmiertelność jest spowodowana z jednej strony brakiem pożywienia, z drugiej zaś zaniedbaniem ze strony matek, które przez cały dzień muszą być na robocie w polu.

* * *

Meteory. Przed kilku dniami przyniosły dzienniki wiadomość o meteorze, który, padając z nieba, wybił wielki otwór w okręcie, znajdującym się na pełnem morzu. Obecnie znowu donoszą o podobnem zjawisku z Plymouthu. Parowiec holenderski „Ocean" kursujący między Rotterdamem a Filadelfją, raportuje, że w oddaleniu około 200 mil od lądu amerykańskiego upadł tuż obok niego w morze meteor wielkości potężnej. Upadek ten wywołał olbrzymie fale, które przewaliły się przez pokład parowca. Jednocześnie wyłoniły się z wody chmury gazu tak gęstego, że załoga, obawiając się uduszenia, musiała szukać ratunku pod pokładem. Kapitan Beukert razem z załogą dopiero po kwandransie był w możności wyjść znowu z pod pokładu. Zastał go pokrytym grubo pyłem brunatnym. Zaledwie marynarze ochłonęli z wrażenia, kiedy nagłe spadł z nieba w morze deszcz rozżarzonych meteorów. Straszne to widowisko trwało znowu kilka minut, poczem, jak daleko okiem sięgnąć było można, morze fosforyzowało. Majtkowie opowiadają, że rozżarzone, sypiące iskrami meteory lśniły wszystkiemi barwami tęczy.

* * *

Jak podróżuje papież buddystów. Od czasu słynnej wyprawy angielskiej do Tybetu i ucieczki przed nią ze świętego miasta Lhassy — dalajlamy, głowy kościoła buddystycznego w Azji środkowej — podróżuje ten mąż świątobliwy po Mongolji i prowincji Kansi. Zdaje się, iż waha się on powrócić do swej tybetańskiej siedziby, czując, iż w oczach ludności tamtejszej zdyskredytował się swoją ucieczką.

A jest to nie byle jaki dygnitarz kościelny: tytułuje się bowiem nie „namiestnikiem" Buddy, lecz żywem jego uosobieniem. Toteż, choć zniesławiony ucieczką, nie przestaje rościć sobie pretensji do niesłychanych honorów... Obecnie z Kansi zapragnął on udać się do prowincji Shansi, na świętą górę Wutai.

Jego Świątobliwość miała dwie drogi do wyboru; jedną przez pustynię, drugą ludnym traktem, wiodącym przez kilka większych miast. Wybór padł na marszrutę drugą, jako wygodniejszą. Nastręczyła się jednak pewna trudność: wyobrazicielowi Buddy nie wypada bowiem przejeżdżać pod sklepieniem jakiejś bramy. Zażądał więc od naczelnego gubernatora chińskiego, ażeby w podwładnej mu prowincji wszystkie bramy miejskie, przecinające drogę Jego Świątobliwości, ze względu na „wysokiego gościa" zburzyć kazał! Gubernator usilnie przedstawiał dalaj-lamie, ażeby ze względu na mnogość tych „przeszkód" obrał drogę przez pustynię, gdzie bram żadnych niema... Dalaj-lama jednak nie dał się przekonać.

Była chwila komiczna, gdy znalazł się on przed wrotami miasta Lantszau, rezydencji właśnie gubernatorskiej. Bramy stały nieporuszone: najwyższy kapłan musiał zdjąć pychę z serca i, jak zwykły śmiertelnik, odbyć wjazd swój pod sklepieniem.

Co kraj, to obyczaj: w Europie dla takiego „dostojnika", jakim dla buddystów jest dalaj-lama, zbudowanoby umyślnie bramy tryumfalne...

Lecz obok ambarasu z bramami — mają władze chińskie na terytorjum, zaszczyconem przejazdem dalaj-lamy, nielada kłopot z wyżywieniem jego świty. Jego Świątobliwość oczywiście nie zniża się do tego, iżby swoim kosztem żywić miała towarzyszących jej ludzi. A świta ta liczy paręset głów i wiedzie ze sobą 900 wielbłądów oraz 300 koni i mułów do przewożenia pakunków.

Przy zatrzymaniu sie w jakiemś mieście dalaj-lama zsiada z konia i obnoszony jest w lektyce — cesarskiej, żółtej barwy. Ludność na powitanie musi przed nim klękać, a człek krnąbrny, któryby się temu oparł, zostałby znaglony do pokory uderzeniami biczów.

Święte pochodzenie dalaj-lamy nie ustrzegło go przed ospą — twarz bowiem ma zeszpeconą bardzo wyraźnymi śladami tej choroby.

* * *

Pożyteczność długiego snu. Utarło się to powszechnie, iż oddaje się wielkie pochwały ludziom, krótko sypiającym, a osoby takie, jak Fryderyk Wielki, Napoleon, Wellington, Edison i wielu innych, którzy potrzebowali, tylko 4 godzin snu, aby zupełnie wypocząć po trudach dnia, stawia się za przykład młodym ludziom, lubiącym długo spać. Tymczasem Woods Hitchinson stawia jako pierwszą regułę snu: „Spać tyle, ile ktoś potrzebuje i może". Sen bowiem nie jest ustaniem działalności fizycznej, ile zrównoważeniem niszczącej ruchliwości w czasie czuwania przez odżywiającą czynność ciała. Dzieci śpią bardzo wiele, gdyż sen jest w wysokim stopniu pożytecznym dla ich rozwoju fizycznego, a jeżeli starcy śpią mało, to dzieje się to nie dla tego, iżby nie potrzebowali snu, ale dla tego, że utracili już zdolność i siłę odbudowy organizmu. Najlepszy więc hygjeniczny poradnik w kwestjach snu powinien polecać kłaść się do

łóżka, skoro tylko się jest znużonym i wstawać dopiero wówczas, gdy organizm zupełnie wypocznie. Dziesięć godzin snu nie jest bynajmniej za wiele, a kobieta powinna spać dłużej niż mężczyzna, przynajmniej o godzinę.

* * *

Ruchy gwiazd. Przed Kopernikiem panowała w nauce astronomji teorja geocentryczna, według której ziemia nasza miała być środkowym stałym punktem wszechświata, około którego obracało się słońce i inne gwiazdy. Kopernik pozbawił ziemię tego zaszczytnego miejsca, dowodząc w swych wiekopomnych odkryciach, że słońce jest gwiazdą stałą, natomiast ziemia i inne planety obracaję się koło słońca. Nauka podzieliła gwiazdy na stałe i niestałe. Według nowoczesnych badań astronomicznych, także gwiazdy stałe wykonują ruchy, w ściśle określonych kierunkach. To co dawniej opowiadano na podstawie powierzchownej codziennej obserwacji, to samo głosi dziś astronomja, tylko dowodzi to w sposób naukowy. Dowodzą więc astronomowie, że i te dotąd za stałe uważane słońca w budowie wszechświata poruszają się i to z niesłychaną szybkością, czego oko ludzkie tylko z powodu nadzwyczajnej odległości dotąd nie mogło zaobserwować. Słynny astronom William Herschel w r. 1783 z tej okoliczności, że ruchy pewnej liczby gwiazd stałych skierowane są prawie w tym samym kierunku, wywnioskował, iż słońce wraz z całym swym układem planetarnym porusza się w przeciwnym kierunku. Nowe badania okazały, że pewne grupy gwiazd wykazują pewną jednostajność w zmianie miejsca. Astronom Kapteyn ogłosił w r. 1905 na podstawie swych badań, że gwiazdy stałe, co do których dotąd dowodzono, że wykonują własne ruchy, — jest ich 4 do 5-tysięcy — poruszają się dwoma wielkiemi ławami, a twierdzenie to potwierdzili inni uczeni.

* * *

Życie bez żołądka. W francuskiej Akademji medycznej wygłosił niedawno dr. Delageniére bardzo ciekawy wykład o postępach w chirurgji żołądka i przytoczył przytem kilka wypadków, w których udało mu się utrzymać przy życiu swych pacjentów po wyjęciu żołądka. Dr. Delagenière dokonał operacji na dziesięciu chorych: czterech z nich umarło, sześciu zaś przeżyło wyjęcie żołądka i żyło jeszcze od 7 miesięcy do półczwarta roku. Jeden z nich, którego operował przed dwoma laty, żyje jeszcze, czuje się zupełnie zdrów i, jak zawsze, wykonuje swe codzienne zajęcie. Chociaż śmiertelność przy takich operacjach jest nadzwyczaj wielka, to jednak uczony lekarz twierdzi, że z wzrostem doświadczeń i udoskonaleniem techniki chirurgicznej, operacja taka nie będzie wzbudzała obawy i w przyszłości może mieć zastosowanie także w przypadkach, gdzie nie zachodzi bezpośrednie niebezpieczeństwo dla życia.

* * *

Rozwody w Ameryce. Spotkaliśmy niejednokrotnie w gazetach wstecznych zdanie, że socyalizm niszczy instytucyę małżeńską i zburzy ogniska domowe. Coś innego mówią nam cyfry, zebrane przez urząd cenzusowy przy rządzie Stanów Zjednoczonych, w sprawie rozwodów w tym kraju. Dowiadujemy się z tych cyfr, że nie socyalizm, ale dzisiejszy system kapitalistyczny rozbija małżeństwa, burzy rodziny i niszczy tysiące ognisk domowych w Ameryce.

Dzisiejsze małżeństwa zawierane bywają najczęściej dla pieniężnych widoków. Małżonkowie spotykają się nieujęci uczuciem prawdziwej miłości, lecz z myślą zawarcia korzystnej spółki finansowej. Tylko majątek kojarzy pary małżeńskie w sferach bardzo bogatych ludzi i w drobno-mieszczańskich domach.

Nic dziwnego, że związek zawarty li tylko dla grosza, pozbawiony ciepłych uczuć i przywiązania dwu kochających się dusz, niedługo po zawarciu i wyczerpaniu się chwilowej podniety, rwie się i kończy podaniem o rozwód do sądu.

Rzućmy jednak okiem na cyfry. Te nam rozjaśnią sprawę bliżej.

W sprawozdaniu biura cenzusowego, co tylko wydrukowanem, znajdujemy wykaz że w Stanach Zjednoczonych otrzymują sądy co dwie minuty jedno podanie o rozwód, a co trzy minuty wydane jest pozwolenie na rozwód przez sądy.

W przeciągu 20 lat, od 1887 do 1907, podało 1400000 rodzin podanie o rozwód, czyli przeciętnie po 70000 każdego roku. Wypada więc w tym okresie czasu 70 rozwodów na każde 100000 mieszkańców. A ponieważ w poprzedniem 20-leciu, od 1867 do 1887 było rozwodów 33 na każde 100000 mieszkańców, więc wzrost plagi rozwodowej w ostatnich 20-tu latach wynosi sto procent w porównaniu z poprzednim okresem.

Cyfry te mówią straszne rzeczy o rodzinie i o małżeństwie w dzisiejszym systemie gospodarki, a nie przedstawiają one rzeczy dokładnie, gdyż tysiące innych małżeństw, równie nieudałych i nieszczęśliwych, nie stara się o rozwód, aby uniknąć skandalu lub kosztów i w milczeniu znoszą swe nieporozumienia, lub w piekielnych kłótniach pędzą żywot małżeński.

Podstawą dzisiejszego systemu jest zdobywanie zysków kosztem uczuć i ciała ludzkiego. W społeczeństwie, opartem na zysku, przewrotną staje się moralność i niedościgłem szczęście ludu. Szczęśliwe małżeństwo, rodzina, ognisko domowe — to niedościgłe mrzonki w kapitalistycznem społeczeństwie. Pieniądz rozbija małżeństwa w bogatej klasie — brak pieniędzy lub pracy podkupuje spokój i byt rodziny w najmickiej warstwie.

Gdy wam kto mówi, że Socjalizm rozbija małżeństwa dzisiaj, rzućcie mu w twarz tę garstkę cyfr wyżej podaną jako dowód całkiem przeciwnej prawdy.

Socjalizm znosząc system zysku i wyzysku, zniesie gromadzenie się bogactw w ręku nielicznych jednostek a zapewni równomierne korzystanie z owoców swej pracy wszystkim. Gdy pieniądz przestanie grać główną rolę w życiu ludzkiem, znikną małżeństwa dla grosza, a więc i rozwody. Miłość i przywiązanie stanowić będą o węzłach małżeńskich, a te są najsilniejszą spójnią szczęścia rodziny i społeczeństwa.

Z literatury i sztuki

Zmarł w Warszawie książę Jan Tadeusz Lubomirski, członek krakowskiej akademii umiejętności, urodzony w r. 1826. Zmarły stanowił wyjątek wśród arystokracji polskiej; zajmował on się pracą naukową. Ma on szczególną zasługę, jako badacz kwestji chłopskiej w Polsce. Jego dzieła z tego zakresu, jak „Jurysdykcja patrymonialna w Polsce", „Położenie ludności rolniczej w Polsce w w. XV i XVI", „Starostwo rateńskie" są ciężkiem oskarżeniem gospodarki szlacheckiej w Rzeczypospolitej polskiej.

„Nauka dla wszystkich" — miesięcznik popularno-naukowy. Wyszedł nr. 4 na kwiecień: A. Strzelecki: Mickiewicz, jako wychowawca narodu polskiego.

Wł. M. Kozłowski: Dwojaka nauka o państwie. — Nonvobis: Towarzystwa współdzielcze.

H. J. Rygier: Wskazówki dla samouków (I Historja literatury polskiej. — Balony sterowane (z rycinami). — Marja A. Golczewska: Wrażenia wiosenne. — Kronika.

Adres: Księgarnia M. Arcta we Warszawie. Rocznie 75 kopiejek.

Konfiskata utworu Przybyszewskiego w Moskwie. Komitet do spraw prasy w Moskwie położył areszt na tomie ósmym pism Stanisława Przybyszewskiego w przekładzie rosyjskim. Tom ów zawiera „Synagogę szatana". Jednocześnie komitet zwrócił się do prokuratorji o pociągnięcie wydawców do odpowiedzialności sądowej pod zarzutem „szerzenia świętokradztwa i pornografii".

Ludwik Stanisław Liciński, młody, wielce utalentowany pisarz, autor świeżo wydanej książki „Z pamiętnika włóczęgi" zmarł dnia 22 kwietnia na gruźlicę w Otwocku pod Warszawą w 34 roku życia.

Był to niezwykły typ poety-włóczęgi; obdarzony wielkim talentem i rogatą duszą, borykał się nieustannie z życiem i społeczeństwem burżuazyjnem. Zgasł przedwcześnie, szkoda go dla piśmiennictwa polskiego. Wydał drukiem tylko jednę książkę „Z pamiętnika włóczęgi", oraz zamieścił kilka nowel p. t. „Halucynacje" w „Głosie" warszawskim, jednę z nich także w „Naprzodzie".

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 19. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 9 maja 1908.

ANDRZEJ STRUG.

Na pogorzeli.

Opowiadanie.

(Dokończenie.)

Ino w ciężkim pocie a w niedostatku stwardnieje w człowieku wielka moc — i nic na świecie go nie przemoże i nikt na świecie mu nie da rady, choćby i sam djabeł. Tak się ino zdaje, że gudłaje są chłopy podlaskie, ciemne a pokorne i jeno niebieskiemi smutnemi oczami po świecie wodzą, a cierpią, a znoszą. a przed każdym czapkę zdejmują.

Niechta będzie!... Ano zbudź jeno człowieka w nich, tę ich siłę, a potrząchnij duszą, a rzeknij im słowo nowe...

Świadek ja tu jestem i przy mnie się wszystko robiło — jak zaczęli tu i do nas ludzie dobrzy zaglądać a uczyć. Różni bywali i przeróżni. Tacy i owacy, niech wszystkim Pan Bóg zapłaci za ich fatygę i dobre chęci. Po każdym cosik pozostało, bodaj ślad a wspomnienie. I przybrało w narodzie tej mocy niespożytej, murowanej — i niechno przyjdzie chwila, niech ino przyjdzie nasza godzina. Gotowiśmy, gotowi — ja wam to powiadam, człowieku obcy... A jak się poruszymy — świat się zadziwi wokoło! Niech ino przyjdzie godzina, niech się pośpieszy!

Ugadywałem ja się z ludźmi niemało i tutaj i w mieście W samej Warszawie byłem razy trzy, w pałacu raz byłem takim, że myślę sobie — król polski się tu do czasu utaił i mnie chłopu posłuchanie daje.

Na zebraniach bywałem po lasach, gdzie po sześćset chłopa stało, jak mur, głowa przy głowie i słuchało, co mówili ludzie przyjeżdżający z daleka. Mówiłem i ja do ludu ze sosny i widziałem, jak we mnie z dołu tysiąc oczy patrzy a czeka...

Hej!...

Ino to zrozumiałem na ostatku, że to jeszcze nie wszystko, że prawdy jeszcze szukać trzeba.

Tośmy i szukali. Chodziły słuchy a sława o jednym tu mieszczanie z pod Białej, który między unickim narodem był za wodza a biskupa. O nim powiadali sobie pocichu, że po lasach tam, gdzie przez bagna dostępu już niema, trzyma na składzie moc karabinów a ładunków, że kosy ma wszędzie po wiadomych miejscach zakopane na wypadek powstania chłopskiego, a w kasach złota, jak piasku. Jedni powiadali — prorok, drudzy, że wódz, do którego we śnie sam Kościuszko przychodzi, a radzi, a partję ma strasznie silną i wszędzie po kraju swoich ludzi — jeno pod tajemnicą okropną się wszyscy kryją. Tom ja niebardzo wierzył, ale wreszcie wybrałem się ja do niego i przez ludzi znajomych trafiłem, odkryłem się ja jemu, kto jestem i pytam...

A jakem wracał do domu, to ino przez całą drogę plułem — głupstwo bowiem było z tym całym prorokiem.

To znowu o księdzu jednym z za Buga szeptali sobie ludzie. Powiadali, jako na spowiedzi świętej gromi ludzi za „grzechy przeciwko ojczyźnie“, a każdemu nakazuje przeciwiać się niesprawiedliwości i póki nie obieca taki poprawy a nie przysięgnie na wszystkie świętości, że zwalczać będzie przemoc, gdzie tylko może — to nie puści go do stołu Pańskiego, bo, powiada, grzech to jest największy na świecie baranem być, którego każdy łajdak strzeże (przez co do krzywdy ludzkiej się ręki dobrowolnie przykłada). Poszedłem ja do tego kościoła, który hań, hań w błotach, w zapadłej okolicy stoi. O jesieni poszedłem później. Zanocowałem u gospodarza tam jednego, a o świtaniu do kościoła. I poruszyło się we mnie serce, jakiem dojrzał w pomroce kościelnej tłum chłopów stojących już wokoło konfesjonału. Nie tamtejsi to byli ludzie — wielu przybyło z daleka, z samego końca polskiej ziemi. Po przyodziewku poznawałem ludzi z za Wisły, z Kujawskiej ziemi, z pod Chełma — było i łowickich paru chłopów bogatych, których księżakami przezywają. Spowiadali się jeden po drugim i w cichości kościoła tylko od czasu do czasu westchnie który głęboko, albo w piersi grzeszne rymnie się z żalem...

Każdy w duszę swoją patrzy — patrzałem i ja i samo już jedno to, com w tej cichej godzinie przed spowiedzią przemyślał, skrzepiło mnie na mur i kamień. Poglądałem po ludziach, stojących wkoło i spotykałem ich oczy i wyraźnie wiedziałem, co zaś każdy w osobności swoich myśli czuje. Tedy rosła we mnie dusza i rosła, aż jej za ciasno było w kościele i chciało się jeno ręce rozkrzyżować i rymnąć na podłogę kościelną i ryczeć w płaczu serdecznym. I niejeden to samo czuł z onych chłopów, bo chlipali gęsto wokoło, zwłaszcza który był już wyspowiadany.

Co komu prawił ów ksiądz, skąd mnie wiedzieć? Spowiedź — tajemnica... Ale mnie przejrzał on na durch, jak w jasnowidzeniu po paru moich pierwszych słowach, które ja, jąkający się jeszcze, jemu w ucho włożyłem. Sam potem prawił już do samego końca i nie była to zwyczajna spowiedź — jeno jakbym u samego Boga Wszechwiedzącego był na posłuchaniu. Tedym odchodząc już wiedział, czego nam braknie i tom wiedział, że nigdy nie zaspokoją tęsknoty narodu chłopskiego, ci, co ze mną tyle lat sprawę mieli, co książki do nas ciągali zabronione, o kosach chłopskich gęsto gadali (tylko — akurat im było do kosy).

Powróciłem ja do dom skruszony i radosny, a o pierwszym śniegu zjechali do mnie z Warszawy panowie, nakazali zwołać z okolicy takich, co są najlepsi i siedliśmy tu w mojej chałupie na naradę. Słuchałem ja z pilnością wszystkiego, co powiadali panowie, bo nigdy jeszcze tylu znacznych person u mnie nie bywało. Słuchałem, słowa nie opuściłem, jeno tego, czegom najbardziej był wyglądał, tegom się nie doczekał.

Szkoda — pomyślałem sobie, bo osoby było godne i od całych lat my do nich przywykli, jak do swoich starszych. Ano — myślę sobie — może Bóg da siły i mocy, że ich przerobię i oczy otworzę. Nie mnie — myślę — uczyć państwo uczone, którzy sami książki piszą, nie tylko czytają — ale spróbuję.

I zacząłem po dobroci, a z uszanowaniem należytem, kiedym zaś zaczął prawić o tem, co mi leżało na duszy, a gadałem ze śmiałością, bo każde święte słowo owego księdza pamiętałem, jak i teraz pamiętam, pomarszczyli się panowie i tu po raz pierwszy zaczęli my się kłócić.

Od słowa do słowa, aż jeden przezywa mnie z krzykiem wielkim — socjalista! Tego imienia ja nie słyszał nigdy, obraziłem się więc i powiadam: jak mnie kto przezywa po pijanamu, to idę sobie dalej, ale jak po trzeźwemu, a jeszcze w moim własnym domu, to bardzo łatwo wziąć się u mnie do kłonicy- Pod sam nos podsunąłem jemu kułak i powiadam: „prawdy chce naród i szczerego słowa i żeby między nami było braterstwo i żeby jeden drugiego nie gnębił, chcoćby polak polaka. A obrazków i wierszy-

ków o Kościuszce, to my mamy dosyć, choć i święty człek był Kościuszko.

Ruchu naród chce i roboty i żeby się już coś nareszcie zaczęło, bo mądrzy, powiadam, już jesteśmy na te rzeczy polityczne, a znosimy wszystko tak samo, jak i głupi"...

Tedy drugi pyta — gdziem ja się zwąchał ze socjalistami, żem taki hardy. Więc już nie mogłem krwi swojej powstrzymać i bardzo brzydko po chłopsku odrzekłem na przyczepkę. Na to rzeknie jeden, taki ostry pan, co ino wciąż mrużył oczy przez okulary:

— Będziesz ty Chowaniec trupy powstańcze obdzierał, jako i twój ojciec robił w roku 63-im. Do tego cię doprowadzą socjaliści, słuchaj ich tylko dalej, słuchaj!

A trzeba wam wiedzieć, że mój ojciec Szymon Chowaniec nie tylko trupów powstańczych nie obdzierał, ale jeszcze dwóch panów, co po rozbiciu partji po lasach o głodzie się tułali, do dom przyjął i w brogu przez parę niedziel w tajemnicy przed całą wsią przechowywał, za co 100 nahajów kozackich w nagrodę otrzymał. Jakże mi było obrazę i potwarz taką znieść — jeszcze w obecności ludzkiej. Tedy ja spojrzę po naszych ludziach, których była pełna izba, i widzę, patrzą wszyscy we mnie, jak w obraz, czekają, co ja powiem.

I rzeknę ja do swoich:

— Co? Dosyć nam tego dobrego, chłopcy?

— Dość! — odpowiedzą jak jeden.

— Poradzimy sobie sami i bez łaski tych panów?

— Poradzim!

Tedyśmy się rozstali z nimi na amen. Przyjeżdżali potem cichaczem to jeden, to drugi do dalszych wsi szczęścia próbować, przeciwko mnie ludzi buntować. Niepewny jest — powiadali — i odsunąć go trza od wszystkiego. Tylko, żem ja tu ludzi wokoło wszystkich sam sam jeden, jak ojciec, wychował, to nic udała się intryga. No i ostaliśmy się sami, bez książek, bez gazet, bez wiadomości nijakiej, co się na świecie dzieje.

Sami się rządzim, jak możem, aż myślę sobie, trza poszukać po świecie ludzi innych, którzyby tego samego chcieli, czego i my chcemy.

Zima zeszła. O wiośnie z pługami my wyszli w pole, orzę ja tu hań, gdzie ta gruszka nade drogą się trzęsie. Orzę pod ziemniaki. Koło południa siadłem w cieniu odetchnąć, fajkę sobie kurzę, aż patrzę — idzie sobie ktosi drogą, po miejsku a biednie ubrany, kijaszkiem się podpiera, a śpiewa na całe gardło. Zobaczył on mnie popod gruszką w cieniu i pyta się:

— Wasze, gospodarzu, to jest pole?

— Moje — powiadam — albo co?

— To i gruszka wasza?

— A no?

— To i cień pod gruszką też wasz własny. Pozwolicie się ochłodzić?

— Cień jest boski odpowiadam — dla każdego.

— O, toście pięknie powiedzieli, gospodarzu, ale jeżeli cień boski, to i gruszka boska, a jak ona boska, to i pole boże, dla każdego wspólne. Tak wypada z rachunku, sami widzicie. Siadł se w cieniu, papierosa zapalił i siedzi.

— A skąd Pan Bóg prowadzi?

— A od dobrych ludzi idę — powiada — do drugich dobrych, których hań na końcu świata znam.

Ino mi droga wypadła przez pustynię iść; gdzie rozumnego człowieka nie uświadczy, gęby do kogo niema otworzyć — to i spiewam sobie. Śpiewam — ino nikt mi nie odśpiewa.

Taki już kraj podły podlaski...

Ode słowa do słowa, niewiademko jak, dogadaliśmy się do wszystkiego. Chłopak był młody, tyle że mu się popod nosem wysypało, a taką ufność we mnie zbudził, żem się mu całkiem odkrył, choć i ostrożny jestem, jak ten lis. No — i pierwszy to był socjalista, jakiego moje oczy widziały. Popasał on u mnie trzy dni. Gadali my dużo i co wieczór kłócili się tęgo — a w dzień siędzie sobie ot tam pod gruszką i patrzy, jak w polu robię, a co skibę doorzę i do drogi dojdę, to on co zapyta takiego — albo słowo rzuci. To ja idę z pługiem nazad, myślę, coby jemu odpowiedzieć. Zawrócę znowu koło drogi, odpowiem, pogadamy dwa, trzy słowa i znów skiba. A czwartego dnia o świtaniu zabiera się mój wędrowiec ruszać w drogę. Za gościnność dziękuje, a na pamiątkę wyciągnął z węzełka paczkę w gazetę owiniętą i powiada: — Tu cała prawda w tej paczce siedzi. Czytajcie, a na rozum bierzcie. Czas, żeby i na wieś dobra nowina przyszła. Przez was się to stać może, a wiem, że się stanie. Bywajcie zdrowi — powiada — będę cały, to jeszcze do was zajdę.

Czytałem ja te książeczki przez jakie dwa miesięce co wieczoru. Po dwa i po trzy razy jedno i to samo czytam w kółko, dopók wszystkiego nie wyrozumiem. Inszych rzeczy tak i dotąd w zupełności nie doszedłem, czegokolwiek, to i ani ugryźć nie pojmuję, jakby po niemiecku było pisane. Ano jedno z drugiem, radość dziwna i ciekawość okropna, zdjęła mnie. W dzień i w nocy spokoju nie miałem, bo do tego w tajemnicy ja wszystko w sobie trzymałem a tłamsiłem, żeby narodu, który jest ciemny, nie bałamucić przed czasem, dopóki ja sam wszystkiego pewny nie będę...

Myślałem i szpekulowałem w sobie, aż na jesieni, po wcześnych siewach, zbieram się ja w drogę — dziesięć rubli ze sobą wziąłem a kij okuty i idę. Koleją przejechałem przez cały dzień i noc — aż oparłem się w Ostrowcu, gdzie fabryki. Tam — chłopa tutejszego brat kowalem był. I pewność tę miałem, że tam do socjalistów dostąpię i reszty się dowiem. I tak się też stało — a reszta to wam wiadoma.

KONIEC

Walka z alkoholizmem.

(Przedruk z „Wiedzy").

17. Dla czego jesteśmy abstynentami?

Ale alkohoholizm zbyt silnie jest już zakorzeniony, aby dał się usunąć przy pomocy samego tylko uświadamiania. Do zwalczania alkoholizmu słowem należy dodać zwalczanie go czynem: musimy zaprzestać używania alkoholu, musimy stać się abstynentami. Pomyślmy, że przecież w samej rzeczy, niema ani jednej logicznej przyczyny do używania trunków; wszystkie bez wyjątku zalety alkoholu są urojone, umówione, zaś szkody, jakie on przynosi — aż nadto oczywiste! Przeciwstawmy więc dotychczasowemu, bezmyślnemu przyzwyczajeniu do picia — nowy, słuszny i dobrze uzasadniony zwyczaj: niepicia. Niech cały świat przystosowuje się do nas. Niech w miejsce dzisiejszych trunków wyskokowych wyrabiają napoje, pozbawione alkoholu, niech miejsce dzisiejszych szynków zajmą mleczarnie. I z pewnością tak się stanie: wiadomo, przecież, że podaż normuje się stosownie do popytu. Goście, nie pijący wódki, piwa, wiua, zmuszą restauratorów, szynkarzy i t. p. do wprowadzenia napojów wolnych od alkoholu. Zreformuje się handel, zreformują obyczaje, zreformuje całe życie towarzyskie.

18. Robotnicze stowarzyszenia niepijących (abstynentów).

Powtarzamy raz jeszcze: nie uważamy bynajmniej abstynencji, jako takiej, za cel ostateczny naszych wysiłków; patrzymy na nią jako na środek walki klasowej, na środek poruszenia mózgów robotniczych.

Dla tego też nie miałoby żadnego sensu żądanie, aby abstynencję postawiono jako punkt programu robotniczego. Stosunek partji robotniczej do kwestji alkoholizmu bardzo dobrze, bardzo wyraźnie został określony przez kongres austrjackiej partji socjalno-demokratycznej w r. 1903. Rezolucja, jednogłośnie na tym kongresie przyjęta, brzmi:

„Stwierdzając olbrzymią szkodliwość alkoholizmu dla sił bojowych, tak fizycznych, jak i moralnych klasy robotniczej; widząc w alkoholizmie potężny hamulec dla wszystkich dążeń socjalnej demokracji; — kongres orzeka, że winny być użyte wszystkie możliwe środki celem usunięcia zła.

„Pierwszym środkiem ku temu jest podniesienie ekonomiczne proletarjatu; niezbędnem jednakże dopełnieniem do tego środka jest — uświadamianie co do szkodliwego działania alkoholu i rozpraszanie dotyczących jego przesądów.

„Kongres poleca zatem wszystkim organizacjom i towarzyszom partyjnym usilne popieranie ruchu przeciwalkoholicznego i uznaje jako pierwszy ważny krok w tej walce zniesienie zwyczaju wzajemnego częstowania się trunkami

na wszelkich zebraniach partyjnych. Towarzyszom, zjednanym dla idei abstynencji, poleca się wchodzenie do związków abstynenckich, które ze swej strony nazwajem winny dbać o spełnianie przez członków tychże ich obowiązków względem organizacji politycznych i ekonomicznych."

Mamy w tem orzeczeniu kongresu nietylko pogląd na alkoholizm z punktu widzenia klasowego, ale i wytknięty kierunek walki z nim.

A więc: szerzenie uświadomienia wśród towarzyszy pracy, rozpraszanie przesądów, otaczających alkohol, dostarczanie napojów niealkoholizowanych do miejsc pracy, miejsce zebrań robotniczych, i tysiące innych rzeczy, dążących do wyrugowania wódki — oto zadanie robotniczych Stowarzyszeń abstynentów.

(Dokończenie nastąpi.)

Wojtek i Józek o agitacji.

Wojtek: Jak się masz Józefie?

Józek: Źle; bo byłem przez 3 tygodnie bez roboty, teraz się zadłużyłem i bieda.

Wojtek: Przecież jesteś we związku, bom cię do tego namówił; czy nie dostałeś wsparcia?

Józek: A, idź mi tam z twoim związkiem, dostałem 6 marek za 3 tygodnie, zato przecież nie mogę żyć. Obiecują dużo, a dać to niechcą.

Wojtek: Dziwi mię to, ja też byłem 2 tygodnie i 4 dni bez roboty, ale dostałem 48 marek wypłaconych; u mnie biedy niema.

Józek: Otóż widzisz, jakie to cygaństwo; ja byłem dłużej bez roboty i dostałem 8 razy mniej wsparcia. Opowiadano mi tam coś o agitacji, o paragrafie 17, ale ja już mam dosyć związku.

Wojtek: Aha! Teraz pojmuję. Nie zajmowałeś się agitacją, więc dostałeś tylko wsparcie na bezrobocie podług paragrafu 17 za jeden tydzień, bo pierwszych 14 dni się nie płaci podług tego paragrafu. Ja dostałem podług paragrafu 15 wsparcie za agitację, nawet już kilka razy. A ty dlaczego nie agitujesz?

Józek: Przecie wiesz, że jestem górnikiem, to niewiem co to jest agitacja, zresztą jak jeden tak drugi powinien dostać jednako.

Wojtek: No, no, to ale bardzo ładnie, że ty jeszcze wcale niewiesz, co to jest agitacja? Toś ty jeszcze pewnie wcale na zebraniu nie był?

Józek: Nie, na zebranie nie chodzę, bo niemam czasu.

Wojtek: Jak byśmy wszystkich takich członków mieli we związku, jak ty, to by był bardzo kiepski ten nasz związek. Już nieraz widziałem cię u Landsbergera przy gorzałce grającego w karty, a na zebranie to niemasz czasu?! A jeżeli niewiesz co to za dziwo, ta agitacja, to ci powiem. Widzisz braciszku: **gdybyś był twoich kolegów — z którymi chodzisz do Landsbergera na gorzałę, do związku namówił, to by to już była agitacja.**

Józek: Tobie dobrze gadać, ale wcale nie wiesz, że oni na związek nie mają pieniędzy, bo wszystko przegrają i przepiją. Ja im jeszcze często pożyczać muszę... jeszcze dziś mi są dłużni.

Wojtek: Z takimi ludźmi, co nie są we związku, co wszystko przegrają, przepiją, to wogóle nie powinieneś chodzić. Ci ludzie są temu winni, że my dziś z naszemi rodzinami taką biedę cierpieć musimy. To są źli ludzie. Oni są szkodnikami naszej sprawy robotniczej.

Józek: No, no! Jeno tak nie wymyślaj, bo oni nikomu nic nie ukradli.

Wojtek: Bo ty tego nie rozumiesz. Oni okradają swoją rodzinę, bo tę parę fenygów co zarobią, to kaczmarzowi za gorzałę zaniosą, a żona w domu głodzi się z dziećmi, które obtargane chodzą. Oni okradają nawet i nas z naszego zarobku, bo gdyby i oni byli we związku, to byśmy wiele więcej na szychtę zarobili. Widzisz we Westfalji — tam też jeszcze raju niema — ale tam każdy górnik zarobi dwie marki na dzień więcej. Zarobi więcej dlatego tylko, że tam już jest dużo, bardzo dużo górników we związku naszym... Gdyby tam ze związku wystąpili, toby też za pół darmo musieli robić, jak my. Oni tam nawet pracują 2 godziny co dzień mniej, a jednak 2 marki codzień więcej zarobią, bo też dbają o związek, chodzą na zebrania, agitują. Widzisz na to mamy związek...

Józek: Jest że to prawda, że tam tak jest, jak ty mówisz?

Wojtek: Widzisz braciszku, to ty ani gazety nie czytasz, bo byś już musiał wiedzieć, że tam tak jest a nie inaczej, to już kilka razy stało w naszej gazecie górniczej. Gazetę powinieneś sam przeczytać a nawet i innym ją przeczytać. To właśnie jest agitacja, jeżeli i innych do związku zachęcisz... Jeżeli innym to mówisz, co ja ci mówię.

Józek: Teraz już pojmuję, teraz dopiero wiem, co to jest agitacja, ja myślałem, że to — Bóg wie — jakie dziwy. Ale przecież wiesz, że ludzie by mnie obskarżyli, gdybym agitował, gdybym innych do związku namawiał, powiedzieliby na kopalni, a potem to fora ze dwora.

Wojtek: Głupstwo! Agitacja, to jest walka o to, co nam się należy, to jest walka o prawdę, walka o sprawiedliwość; a walczyć za prawdę, walczyć za sprawiedliwością powinien każdy z nas — każdy, który się boi takiej walki o prawdę i sprawiedliwość, ten jest tchórzem, ten nie umie ocenić swej godności ludzkiej. Ja choćbym miał zginąć, to walczyć za sprawiedliwością nie przestanę. Zresztą ty wcale nie potrzebujesz agitować u obcych, którzyby cię mogli zdradzić, możesz zaagitować swego brata, swego szwagra, swego dobrego kolegę, Widzisz, jak to dużo masz sposobności do agitacji pomiędzy swoimi. Dlaczego nie opowiedziałeś im o związku? Jednego z nich nawet widziałem, jak szedł z blaszką na piersiach w pochodzie krygierferajnu.

Józek: A czy to nie mamy do krygierferajnu należeć, przecież i ja tam należę, bo byłem wojakiem i to nawet przy gwardji?

Wojtek: Oj! Oj! braciszku! źle robisz; ciemny jesteś jak tabaka w rogu. Żaden świadomy robotnik do krygierferajnu nie należy, a dla nas polskich robotników to już wcale tam nie powinno być miejsca. Czy nie widzisz, co to już niemieccy kapitaliści z nami dokazują? Czy nie wiesz, że nam już wydarli naszą mowę ojczystą na zebraniach? Czy jeszcze masz mało poniewierki i komendy urzędników niemieckich na kopalni? Czy nie wiesz, jak na nas polskich robotników niemieccy kapitaliści kują jedno prawo wyjątkowe po drugiem? To Ty za to tam jeszcze idziesz by hurra krzyczeć?!

Józek: Z jednej strony masz słuszność, ale przecież tam i porządni ludzie należą. To jednak musi nie być tak źle. Tam jest dużo polskich robotników.

Wojtek: Świadomy robotnik-polak nie ma tam czego szukać, chyba że jest liziłapą pańskim. Kto do kriegervereinu należy, to albo z głupoty, albo też taki, co za lepszy numer na kopalni depce nogami swoją godność robotniczą, za brzęczącą monetę zaprzedaje swoje pochodzenie polskie. Bo widzisz: gdybyś tam chciał coś na zebraniu powiedzieć o twojej biedzie, o twoim nizkim zarobku, o krzywdach — które nam robotnikom-polakom na każdym kroku się dzieją; gdybyś tam o takich rzeczach mówił, to powiedzą, że jesteś burzycielem i wyrzucą Cię ze swego grona. Niech tam kapitaliści należą i hahatyści; my robotnicy należeć musimy do związku, bo ten naszych praw broni, ten związek walczy o nasz chleb powszedni, o nasze prawa.

Józek: Teraz już rozumiem. Widzę, że masz słuszną rację, bo sam się przekonałem. We fereinie to: „kamerad", a w kopalni to: „verfluchte faule Bande", „polnische Schweine", teraz mi się to wszystko przypomina. Mówiono też tam: „grospolnische checer". Ja już więcej tam składek nie zapłacę, niech mnie wykreślą z ferajnu. Ale powiedz mi, czy to jest lepszy ten jugendferein, bo tam mój syn Walek należy?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Badania nad chorobami płciowemi.

Prof. dr. A. Neisser miał niedawno w Berlinie bardzo interesujący wykład na temat: „Znaczenie nowszych badań nad syfilisem w walce z chorobami wenerycznemi". Uczony

ten lekarz, który w walce z temi najobrzydliwszemi chorobami ludzkiemi zajmuje wybitne stanowisko, przedstawił jasny obraz wyników w tej dziedzinie medycyny.

W ostatnich kilku latach oparto badania nad syfilisem na całkiem nowych podstawach. Wprawdzie już przedtem lekarz wiele wiedział o znamionach i leczeniu tej choroby, był on jednak ograniczony do oznak zewnętrznych. Brakowało mu zupełnie sposobu do rozpoznania choroby w jej początkowym okresie, kiedy nie zdradza jeszcze żadnych symptomów i oznaczenia czasu zupełnego wyleczenia.

I chociaż wówczas także był w posiadaniu rtęci, tego i dzisiaj jeszcze najważniejszego środka leczniczego, to jednak nie był w stanie zastosować go zaraz z początkiem choroby, jak również musiał się kierować tylko własnym instynktem lekarskim w oznaczeniu, czy choroba została zupełnie wyleczoną.

Trzy istotne odkrycia wywołały zupełną zmianę w zakresie leczenia syfilisa. Pierwszem było odkrycie przez zoologa Schaudenza zarazka syfilisa, zwanego spirochaetus. Znajduje się on wszędzie, gdzie jest syfilis w jakiejkolwiek formie i umożliwia rozpoznanie choroby na tygodnie a nawet miesiące, zanim wystąpią jakieś zewnętrzne symptomy. Drugiem jest odkrycie Miecznikowa, że syfilis daje się przeszczepić na małpy, wskutek czego można było robić doświadczenia na tych zwierzętach, dotyczące zaraźliwości choroby, sposobu przenoszenia się jej, trwania i środków leczniczych. Trzeciem nadzwyczajnie ważnem odkryciem jest wynalezienie serum tj. pewnej materji działającej w charakterystyczny sposób na syfilis, dokonane przez profesora Wassermana z Berlina. Gdzie każda inna metoda zawodzi, gdzie nawet nie można znaleść owych spirochaetów, tam te ciałka krwiste, które są zarazem reakcją na chorobę, niejako odtrutką na nią, wytworzoną przez ciało, umożliwiają wnioskowanie o zarażeniu syfilisem.

Odkrycia powyższe są nadzwyczajnej wagi, ponieważ dają pewność djagnozy, pozwalają na energiczne leczenie choroby w jej początkach i zupełne jej wyleczenie a co nie mniej jest ważne, pozwalają stwierdzić, czy choroba rzeczywiście zupełnie została wyleczona. Będzie można odkryć sposoby przenoszenia się tej choroby i zapobiegania temu. Głównym środkiem leczniczym pozostaje obecnie jeszcze rtęć, choć w toku są pilne badania innych środków jak atoxyl, jod i chinina. Jeżeli badania nad syfilisem będą postępowały dalej w takiem samem tempie, to można mieć nadzieję, że ta straszna choroba, szpecąca ludzkość, jeżeli nie zupełnie zostanie usuniętą, to jednak ograniczoną do minimalnych rozmiarów.

Myśli.

Rozum a słońce.

Słońce bez przestanku zlewa na świat strumienie światła, ale światło przez to nie wyczerpuje się; zupełnie taksamo świecić musi twój umysł na wszystkie strony. Światło rozumu rozlewa się wszędzie i nie wyczerpuje się i nie okazuje podrażnienia, ani gniewu, jeżeli napotka jaką przeszkodę, ale spokojnie oświeca wszystko, co pragnie światła, i nie ustaje, nie męczy się, a olśniewa swoimi blaskami wszystko, co zwrócone jest ku światłu. W ciemnościach zaś pozostawia tylko to, co samo się odwraca od jego oblicza.

Marek Aureliusz.

* * *

Musi się wreszcie skończyć ten stan, w którym narody Europy, uzbrojone od stóp do głów, jak rozbójnicy, stoją naprzeciw siebie, z których jeden czyha tylko na chwilową słabość drugiego, aby go napaść i zrabować. Jest to szaleństwo, że corocznie miljony mężczyzn w kwiecie wieku, w latach największych zdolności twórczych, kiedy rozwinąćby mogli swoje zdolności w rozmaitych dziedzinach sztuki i nauki, zamknięci w koszarach i zmuszani do bezmyślnego powtarzania zwrotów, skazani są na puste i wyjaławiające duszę życie, zamiast współzawodniczyć w pracach kultury i cywilizacji i współdziałać przy przekształceniu obecnych urządzeń państwowych i społecznych.

Bebel: „Nie stała armia, lecz milicja ludowa."

Rozmaitości

Jaka jest turecka „marynarka?" Z okazji zatargu turecko-włoskiego opowiada pewien admirał włoski nadzwyczaj wesołe rzeczy o marynarce tureckiej. Na ogół składa się morska „siła zbrojna" Turcji tylko z czterech okrętów wojennych, ale to jeszcze byłoby nie najgorzej. Znajdują się okręty, z których kapitanowie i załoga sprzedali „handelesom" wszystko, co tylko nie było przyśrubowane lub przybite, jak maszty, kotły, węgle, sprzęty z kajut; potrzeba było aż autorytetu ostatniego ministra, aby uchronić od sprzedaży przynajmniej gwoździe i działa. Ponieważ okręty nie mają węgli, wskutek tego prawie nigdy nie mogą oddalić się ze swych stanowisk. Gdy niedawno jeden z okrętów miał się udać do Korfu musiał sobie dopiero pożyczyć pieniędzy w pewnym banku na zakupno węgla. Są jednak jeszcze gorsze rzeczy, tj. niedostateczne wykształcenie i wyćwiczenie oficerów okrętowych i oczywiście także załogi. Admirał włoski opowiada nader zabawne historyjki. Gdy miało odbyć się poświęcenie kanału północnego, zaprosił cesarz Wilhelm także sułtana, aby jeden z okrętów jego „floty" wziął udział w uroczystości. Sułtan wysłał najlepszy i najszybszy ze swych okrętów; ale i ten potrzebował więcej jak dwa miesiące na jazdę i do tego przyjechał naturalnie za późno i do tego w tak opłakanym stanie, że musiano mu na gwałt łatać dziury, aby nie poszedł na dno. Gdy Abdul Hamid wstąpił na tron, wysłał okręt do wyspy Malty; okręt ten zabłądziwszy aż do Maroka i przeszukawszy całe morze śródziemne powrócił do Konstantynopola z przygnębiającym raportem, że jakiejś tam Malty nigdzie nie można znaleść. Innym znów razem, pewna fregata, którą w szczególnej misji wysłano do Japonji, dotarła po długich błądzeniach do... australskiego Archipelagu! Bardzo więc potargana jest „marynarka" sułtana, nic też dziwnego, że nie wiele się w niej pokazuje.

* * *

Zdrowy żołądek. Można osłupieć, czytając w dziennikach zagranicznych opisy dr. Mittelsdorfa, wziętego dziś w Niemczech operatora i lekarza chorób żołądkowych. Przechodzi ludzkie pojęcie, co też on za najrozmaitsze przedmioty znajdował w operowanych przez się żołądkach ludzkich. Zaręcza on jednak solennie, że podaje fakty, które świadectwem swych asystentów potwierdzić może. Przytoczymy tylko jeden. Oto w żołądku 16-letniej dziewczyny, dotkniętej manią połykania gwoździ, znalazł podczas operacji: 1413 sztuk gwoździ około 1 cala długości, a oprócz tego 160 różnych pokręconych drucików, główek od gwoździ itp. przedmiotów — łącznej wagi 2 funty. Dziewczyna przebyła szczęśliwie operację — i żyje.

Z literatury i sztuki

Krytyka, miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt V na maj. Treść: (f): Do pana dr. Cyryla Trylowskiego, posła do Rady państwa, prezesa „Siczy". — Cyprjan Norwid: Pieśń od ziemi naszej. Wzrpki (Przypowieść). — K. Stefański: Trzy okresy w życiu demokracji polskiej. — Roman Zrębowicz: Nowe poezje. (Kasprowicz, Makuszyński, Rundbaken). — Jan Rundbaken: Pacierz płomieni. (Poemat zemsty). — Dr. W. Miklaszewski: Jeszcze w sprawie miłości. (Odpowiedź pani Turzymie i Moszczeńskiej). — St. Lack: Budowa tragedji. — Mich. Muttermilch: Muzeum społeczne w Paryżu. — Jan Grabowski: Kiedy noc zapada. (Nowela). — Przegląd: Prasa polska. Prasa francuska, niemiecka, angielska, rosyjska. Teatr krakowski. — M. Szukiewicz: Ze sztuki plastycznej. — Bol. Wallek-Walewski: Nasz ruch muzyczny w dobie obecnej. — Junius: Z trzech zaborów. — Argus: Myśli heretyckie o polityce galicyjskiej. Pamięci Kazimierza Krauza. — Sprawozdania naukowe i literackie. — Adres „Krytyki": Kraków, ul. Stachowskiego 14. Kwartalna prenumerata 3 marki.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 20. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 16 maja 1908.

Do słońca!

Zejdź słońcem ludów i dobre promienie
Złotą kaskadą rzuć w zbolały świat
Niechaj się po nim cichy blask rozleje,
Niechaj roztuli pąki, szczęścia kwiat!

Ciepła błagamy u ciebie nędzarze —
A ty odwracasz od nas dumny wzrok,
I mrozisz serca miłością płonące
Lub wypaliwszy oczy ciskasz w mrok!

Zejdź słońcem ludów i dobre promienie
Złotą kaskadą rzuć w zbolały świat
Niechaj się po nim blask cichy rozleje
Niechaj roztuli pąki, szczęścia kwiat!...

M. Wieleżyńska.

ZYGMUNT NIEDŹWIECKI.

Nieprawego łoża.

NOWELA.

Siedzieli od dwóch godzin wszyscy czworo, obaj bracia zmarłego z żonami, tak jak wrócili z pogrzebu, kobiety w kapeluszach na głowie, mężczyźni z kapeluszami w ręku, wszyscy czarno odziani, w czarnych, żałobnych rękawiczkach, skwaszeni i źli, gdy ksiądz, szwagier nieboszczyka, chodząc i rezonując, obracał przed nimi wszystkie kwiaty swej kapłańskiej wymowy i giestykulacji na cel świecki, aczkolwiek godziwy.

Nie odpowiadali mu, chyba w ostateczności, nie patrzyli na niego, wściekli, że dali mu się tu zwabić. Bo to była pułapka. Gdyby byli wiedzieli, co ich czeka, nie byliby przyszli. Gdzieindziej rodzina schodzi się, aby się dzielić majątkiem, albo przynajmniej pamiątkami po zmarłym krewnym, to jeszcze ma sens — ale tu, tu trzeba się było dzielić ciężarami. Śliczna historja. Jakby nie mieli własnych.

Ksiądz łagodnie, z cierpliwością kwestarza, żebrzącego dla biednych, przekładał im obowiązek zajęcia się sierotami po zmarłym bracie wdowcu, które teraz nie miały już na świecie nikogo.

— Wy pani Karolowa wzięlibyście jednego, wy Antosiowa drugiego — taki mały chłopaś dużo miejsca w domu nie zabierze...

Aha!... „mały“!... „nie zabierze“!... Mali z czasem wyrastają na dużych.

— My mamy z własnemi bębnami dosyć!

— Co dopiero my! U was dwoje — u nas czworo!..

— Ten sklepik, co się tam ma...

— Ta zadłużona chałupa...

— No, moi drodzy, przyznacie jednak, że ktoś się dziatwą nieboszczyka zająć musi. Nie zostawimy przecie drobiazgu na ulicy, ani nie oddamy do podrzutków...

Stanęło wreszcie po długich targach na tem, że się tymi dwoma chłopcami podzielą. Poddali się tej konieczności z przymusem, jak ciężkiej karze losu za winy niepopełnione, „aby na nas psów nie wieszano“ — ale robili przytem takie miny, jakby spełniali czyn poświęcenia, godzien historji.

Jeden myślał: „Jak chłopak podrośnie, oddam do terminu“. Drugi pocieszał się: „Napiszę w fasji, że chowam sierotę, zniżą mi podatek.“

Poczęli wstawać, uważając radę familijną za skończoną, skoro już dzieci zostały „rozebrane“, a co ważniejsza, długi zmarłego pokryte policą asekuracyjną. Zwrócili się ku drzwiom, nie spojrzawszy nawet na dzieci, które bawiły się poza uchylonemi drzwiami drugiego pokoju, nie wiedząc wcale, że tutaj rozstrzygają się ich losy. Napatrzą się im jeszcze do zbytku.

— Czekajcie-no — zatrzymał ich ksiądz. — A dziewczynka?..

— Jaka dziewczynka?!

— No ta... najmłodsza...

I wskazał na bielącą się poza progiem kołyskę, w której bawiło się własną nóżką, pakując ją sobie do bezzębnej buzi z gibkością „człowieka-węża“, kilkomiesięczne bobo, tłusty, różowy, wesoły projekt przyszłego człowieka.

Słowa księdza wywarły piorunujące wrażenie. Przez chwilę bracia i ich żony patrzyli na siebie i na niego, jakby osłupiali. Potem jeden z nich rzekł poważnie:

— Żartujecie, księże szwagrze. Przecież to dziecko nic nas obchodzić nie może.

— Dziecko brata?...

— Dziecko służącej! — odparł tamten z naciskiem, czyniąc wielkie wrażenie takiem postawieniem drażliwej i przemilczanej dotąd kwestji.

Ale ksiądz się zapalił. Cóż z tego, że służącej — ojcem dziewczynki był ich brat, jego krew, ich krew płynie w żyłach malutkiej, należy ona do rodziny „de facto“, choć nie „de nomine“, należy się nią zająć bez względu na to, kto jest jej matka, jak, kiedy i dlaczego na świat przyszła, należy przez ludzkość.

—To są liberalne fanaberje! i bardzo doprawdy smutno, że ksiądz...

— Ależ bójcie się Boga! cóż więc z biedactwem zrobić?...

— Zostawić je matce. Da jej się tam coś...

— Odczepnego, aby znikła z oczu. A czy nie wiecie, jak się takie historje najczęściej kończą? Do czego matki takie popycha nędza, rozpacz i złość ludzka?...

Ksiądz, jako zawodowy rozkruszacz sumień, zapłonął żądzą zwycięstwa. A przytem rozrzewniała go płeć dziecka. Był czułym nadzwyczaj dla dziewczynek. Nawet dla nowonarodzonych, bo i te przecież, dorósłszy, będą kiedyś jednym z najpiękniejszych i najmilszych owoców w rajskim ogrodzie doczesności.

Podszedł do kołyski.

— Patrzcie tylko na to maleństwo, jakie to ładne, spokojne, zdrowe... I mielibyście serce dać temu zmarnieć?... Pani Karolowa! i wy pani Antoniowa!... Bo to z mężczyznami o tem nie warto... nie zrozumią... Matki! pomyślcie, gdybyście wy, Boże niedaj, zostawiły na świecie taką sierotkę... Czyliż to wolno odtrącać?... Piskle się przecie przytula, jak z gniazda wypadnie.,. Toć Chrystus Pan wszyst-

kie do siebie przygarniał, nie pytając, które jest prawe, a które nie... Poradźcie się tylko waszych serc... Przecie to synaczek śp. Mieczysława, brata mężów waszych...

Słowa trochę, trochę suknia, a trochę i to bobo, uśmiechające się słonecznie, bez cienia troski w chwili, kiedy targowano się o to, czy jego nielegalne istnienie, przemycone na świat wbrew formom, etykiecie i moralności, zasługuje na opiekę porządnych ludzi, — zachwiały egoizmami, zatrwożonymi o swoją marną, śmieszną sławę na przestrzeni czterech ulic i o swą kieszeń. Widok tego małego, delikatnego ciałka i tej pogodnej bezradności dziesięcej działał szczególniej na kobiety. Żadna nie miała w tej chwili u siebie w domu takiego maleństwa, ślicznego jak kwiat, rozkosznego jak aniołek. Ale tego aniołka trzeba okryć, trzeba mu dać jeść, otoczyć go staraniem, poświęcić mu część swoich pieniędzy, swego czasu, spokoju, wygód i przyjemności.

— Pani Karolowa!... Pani Antoniowa!...

— Cóż ja mogę!... Niech mąż...

— Ja także sama nie decyduję...

— A więc panowie bracia!... Byliżbyście bez serca?...

Mężczyźni miczeli. Czekali jeden na drugiego, jak na niezręczność partnera w grze, któremu się pierwej wymknie słowo nieopatrznej gotowości. Ksiądz przenosił z jednego na drugiego serdecznie zachające spojrzenie, którem usiłował w nich przelać dobroć swoją.

Nagle jednemu z braci przyszła myśl gienialna:

— Niech ksiądz się zobowiąże dawać miesięcznie na dziecko, to je wezmę... — wyrzekł.

Drugi pospieszył:

— Pod tym warunkiem i ja się dziewczynką zająć mogę...

Ksiądz odskoczył, utracając nagle cały dar wymowy, całą ambicję skruszania sumień, całą swą słabość dla dziewczynek.

— Ja?... Skądże ja?!... Ja w żaden sposób nie mogę... Księży i tak obmawiają... Jeszczeby kiedyś powiedziano, że to moje... A na co mi tego?!...

Walka z alkoholizmem.

(Przedruk z „Wiedzy“).

19. Zakończenie.

Z wprost przeciwnego stanowiska niż burżuazyjni przeciwnicy alkoholu, proletarjat abstynencki prowadzi walkę z alkoholizmem w imię niezadowolenia z warunków obecnych. Uznaje on, że, jeżeli dużo szkody przynosi alkohol robotnikowi przez rujnowanie jego zdrowią, to niezaprzeczenie jeszcze więcej szkody wyrządza mu alkohol przez swoje działanie na mózg — odurzające, znieczulające.

Alkohol wywołuje zadowolenie: czyni on robotnika zadowolonym z niedostatecznego pożywienia, oszukuje jego znużenie, godzi go z nędznem mieszkaniem, łagodzi nienawiść jego do losu. W ten sposób alkohol osłabia w robotniku świadomość jego położenia, Proletarjusz powinien czuć, jak nędzne jest jego pożywienie, powinien czuć, jak znużone jest jego ciało, jak niegodne człowieka jego mieszkanie, jak rozpaczliwe jego położenie — powinien odczuwać to w każdej kómorce swego ciała, powinien odczuwać to wszystkiemi zmysłami: tylko wówczas potrafi on znaleść dość siły i odwagi do protestu przeciw gwałtowi!

Często daje się słyszeć zdanie: „Niech tam biedak wypije sobie kieliszek wódki! tyle ma utrapień w życiu — nie trzeba mu odbierać tej chwili zapomnienia“. Nic bardziej nierozsądnego i bardziej szkodliwego nad takie zdawkowe słowa pociechy. Właśnie dla biedaka najgorszą krzywdą jest utrata świadomości; właśnie biedak powinien wiedzieć jak mu jest, powinien jasno zdawać sobie sprawę ze swego położenia. Powinien odczuwać tłoczące brzemię swej nędzy, ażeby ten ciężar jego nędzy dał mu energję, dał mu siły do walki! Tysiące, dziesiątki tysięcy robotników trzyma dziś alkohol pod swoim urokiem, wszczepiając im podstępnie zadowolenie z losu, napełniając ich optymizmem. „Jakoś to będzie przecież“ „pewnie się czasy poprawią“ — pocieszają się oni bezmyślnie i — żyją dalej z dnia na dzień, bez myśli o jutrze, bez próby znalezienia wyjścia ze swego położenia.

Byłoby fałszem twierdzić, że, jeżeli tak, wielu ludzi trwa do dziś w odrętwieniu i obojętności — to winien temu jedynie alkohol. Ale zaprzeczyć się nie da, że alkohol jest jedną z przyczyn, niedopuszczających do robotników świadomości ich położenia, a to już jest wiele; tego jest dość, aby trzymać ich zdala od szeregów zorganizowanych.

Kto zatem wierzy, że polepszenie doli proletarjatu może być wywalczone jedynie za pomocą potężnej, nieprzezwyciężonej organizacji, ten niech weźmie pod uwagę, że organizacja taka nie stworzy się sama — trzeba ją zbudować. Tworzenie organizacji jest robotą mózgu; mózg jest narzędziem walki tak jednostek, jak i mas. Alkohol uszkadza, niszczy to narzędzie, zmniejsza szybkość i dokładaność jego pracy — wyrugować go zatem należy z mózgów tych, którzy budować mają gmach dla kultury przyszłości!

Paryż w styczniu 1908 r.

Według źródeł niemieckich opracowała R. M.

KONIEC

Wojtek i Józek o agitacji.

(Ciąg dalszy.)

Wojtek: I to nie jest lepsze i tam już z małości naszym dzieciom hakatyzm wpajają i patrjotyzm. I twój Walek powinien już dawno do związku należeć, bo już trzy lata na kopalni pracuje. Widzisz, mój Kaźmierz liczy dopiero 18 lat, a już dwa lata do związku należy. On jest już agitatorem. On co miesiąc kilku nowych członków do związku przyjmie. On by ci jeszcze lepiej sprawy związkowe wyjaśnił, jak ja, bo on lepiej czytać i pisać umie odemnie. On nawet już raz był sekretarzem na zebraniu górniczem. Ja moje dzieci wszystkie tak wychowam, bo na młodzieży spoczywa przyszłość nasza. Teraz nawet już mój Staś, który skończył dopiero lat 15, od nowego roku wstąpił do związku. To tak być musi; my wszyscy jesteśmy wyzyskiwani przez naszych panów, to też wszyscy musimy się bronić. Mój Staś też koniecznie chciał wstąpić do niemieckiego turnferajnu, ale jak się o tem dowiedziałem, to mu tę rzecz wyjaśniłem, wziąłem go kilka razy na zebranie i dziś mu co mów o niemieckich turnferajnach, to on ci powie, co to znaczy...

Józek: Teraz dopiero widzę, że do tego czasu byłem ślepy na wszystko, co się wkoło mnie działo. Trzeba by się wnet od dziecka dać zawstydzić. Ja teraz też z moim chłopcem pójdę na zebrania i on musi natychmiast do związku wstąpić, ale pewnie będę miał wojnę z moją żoną, bo ona i tak już na mnie wymyśla, jak kasjer przychodzi po składki; ona już kilka razy kazała mi wystąpić z tego związku.

Wojtek: I na to jest środek. I moja żona dawniej buczała na mnie bardzo z powodu tego związku. Ale ja wziąłem ją także kilka razy na zebranie, tam usłyszała, o co się rozchodzi i teraz niema lepszego agitatora za związkiem, jak moja żona. Ona już i niejedną kobietę przekonała o słuszności naszej sprawy. Zanim ja przyjdę z roboty, to moja żona już najważniejsze artykuły przeczytała i już mi opowiada, co znów nowego we świecie się dzieje. Najwięcej jest ciekawości na gazetę, jeżeli nasz Kaźmierz jaki artykuł do gazety napisze, wtedy to już doczekać się nie mogą, zanim kolporter gazetę przyniesie.

Józek: Co, to już nawet twój syn poradzi do gazety pisać?

Wojtek: Jeno przyjdź do niego, jak ci się tam jaka krzywda stanie, opowiedz mu sprawę dokładnie, podaj świadków: to będziesz widział, jak kapitalistom sadła za kark naleje. W tem polu, gdzie on pracuje, tam nieporządków niema, bo on to zaraz do gazety napisze i już masz rewirowego na kopalni; a wtedy to możesz widzieć, jaki skweres u naszych sztygarków. Wtedy to ale skakają. Latają po kopalni, jak oparzeni. To lepiej poskutkuje, jakbyś się z nimi kłócił. Bo to jeno głupcy robią; potem to im każe sztygar iść za karę do szleperki albo na gorszy

numer. Wszystko jeno do gazety, to najlepiej, bo oni nie wiedzą, kto to napisał, a redakcja nikogo nie wyzdradzi. Gdyby tak każdy robił, to by zaraz był lepszy porządek na na kopalni. Nie było by tyle nieszczęścia.

Józek: To bardzo świetna rzecz. Ale powiedz mi, kto to twojego chłopca nauczył pisać artykuły do gazety, przecież tego żaden robotnik nie umie.

Wojtek: Jakiś Ty śmieszny. Przeciez to nie taka sztuka. Dawniej ja sam pisałem dużo do gazety o naszych krzywdach. Teraz pisze i moje sprawy Kaźmierz, bo on jest prędszy do tego. Czy ty wcale pisać nie umiesz?

Józek: Pisać cokolwiek umiem; ale to jeno tak napisać list do przyjacieli.

Wojtek: To już zupełnie wystarczy. Widzisz, ten nasz redaktor w Bochum, to też jest nasz przyjaciel, i nawet bardzo dobry przyjaciel, bo nas dzielnie broni. Napisz list do niego, jak ci się jaka krzywda stanie na kopalni, to będziesz widział, jak on to poprawi i w gazecie umieści. Widzisz, to jest bardzo ważna sprawa. Bo jak cię sztygar sponiewiera w dziurze pod ziemią, to nikt nie słyszy, a jak ty to opiszesz w gazecie, to się cały świat może o tem dowiedzieć. Wtedy to jest wstyd takiego panoczka i już więcej razy nie będzie cię wyzywał w taki sposób, jak się to często dzieje, tam gdzie niema związkowców na kopalni. Widzisz, to też należy do agitacji, pisanie takich listów do naszej gazety. To nam bardzo dużo pomoże w robocie i drugich do związku zachęci.

Józek: To bardzo ciekawe rzeczy. Poczekaj, ja zrobię próbę, napiszę jedną rzecz, ale jestem bardzo ciekawy, czy też to będzie stało w gazecie. Jest to bardzo ważna rzecz. U nas na szybie „Edmunda" zabiło drzewiarza, bo kapa żelazna pod naciskiem się złamała i spadła kamratowi na głowę. Że tam różne kapy pogięte i połamane były, to sztygar wiedział, a jednak nie posłał ludzi do zabudowania niebezpiecznego miejsca. Teraz nieborak zabity, żona i dzieci płaczą i lamentują.

Wojtek: Widzisz, tak jak mi to tu opowiadasz, tak też możesz napisać do gazety, to już jest dobrze i będzie umieszczone z pewnością. Gdybyś był napisał o tych połamanych kapach przed nieszczęściem, toby kamrat nasz dziś nie był zabity. Tyś też teraz temu winien, że nasz kamrat pod trawnikiem. Widzisz, nie lepiej to parę rządków do gazety napisać, jak do karczmarza na gorzałę chodzić?... Spamiętaj sobie: co się temu wczoraj stało, to tobie jutro stać się może, jak tak będziemy dalej się lekceważyć. Czy ci życie nie miłe? Jeżeli panowie sobie z naszego życia lekceważą, to my tem więcej powinniśmy się bronić. Widzisz, jak ważną jest nasza gazeta. **Gdybyś był tylko na pół godzinki usiadł i parę rządków do gazety napisał, byłbyś uratował życie człowieka.** Wiesz, co to jest warte? To jest więcej warte, jak tysiąc talarów pieniędzy. Spytaj się nieszczęśliwą teraz wdowę: czyby jej 1000 talarów, czy żywy chłop był milszy? Niejedna już z rozpaczy życie sobie chciała odebrać, widząc zabitego męża, który rano zdrów wyszedł do kopalni... A dzieci?...

Józek (ze łami w oczach): Przestań już Wojciechu! bo aż serce mi się kraje. Teraz mi się przypomina, jak Walka Trawińskiego zmiażdżyło na moim filarze; jakeśmy go wieźli nieżywego do lazaretu. Kobieta jego wyszła z chałupy i pyta ciekawa, co to takiego, kogo to wiezą? I usłyszała przerażona, że to jej mąż... Nie zapomnę tej chwili... Myśleliśmy, że zmysły straci ze smutku i rozpaczy... aż nareszcie i ona padła bezprzytomna, zanieśliśmy ją do chałupy.. Dzieci sześcioro zaczęło krzyczeć i lamentować, jedne przy matce, drugie przy ojcu nieżywym na wozie.... Aż dreszcz przechodzi człowieka.

Wojtek: Tak, tak! takich wypadków mamy codzień kilka w górnictwie. Przecież w zeszłym roku dwanaście set i czternastu naszych kamratów zostało zabitych na kopalniach w Niemczech. Gdyby wszyscy górnicy byli we związku, gdyby tak robili, jak ja i moi chłopcy robią, toby można bardzo dużo uratować kamratów przed śmiercią.

Ale Józefie, teraz lament nam nic nie pomoże; trzeba ręki przyłożyć do dzieła, trzeba zaniechać przeklętą gorzałę i karty, trzeba się zająć agitacją, to będziesz widział, że lepsze czasy nastaną.

(Dokończenie nastąpi.)

Sprawa ks. Eulenburga.

Harden w ostatnim zeszycie „Zukunft" opowiada o swoich wrażeniach z monachijskiego procesu. Na razie dotyka tylko wrażeń ogólnych o pierwszych częściach procesu i o zeznaniach Riedla.

Riedel, mając lat dziewiętnaście, był przewoźnikiem na jeziorze Starnberskiem. Pewnego dnia kazał się przewieść łódką po jeziorze pewien wytworny pan i nawiązał z przewoźnikiem rozmowę. Zapytywał go, czy ma dość zarobku i czy ma kochankę? Riedel skarżył się na nieszczególny zarobek i odpowiedział, że ma dziewczynę, z którą się chce żenić. „A spałeś już ze swoją kochanką?" Riedel przyznał się i do tego. Dystyngowany pan zapłacił potrójną cenę za przewóz i następnego dnia znowu był w łódce z Riedlem. Opowiadał, że służył u kirasjerów i że gdy Riedel pójdzie do wojska, dopomoże mu, aby się dostał do Wrocławia, do pułku kirasjerów, gdzie oficerem jest jego przyjaciel, hrabia Kuno Moltke. Znowu była mowa o dziewczynie — i znowu obfity tryngeld.

Za czwartym spacerem dystyngowany pan opowiada, że był w Afryce, że widział murzynów i że pięknie jest patrzeć na nagie ciało męzkie. Objaśnia przytem, że jest radcą w pruskiem poselstwie w Monachjum — ale nie jest dumny. Prosi nawet Riedla, aby mówił mu „ty". Zapytuje go, czy zaspakajał kiedy sam swój popęd płciowy. „Nie" — odpowiada Riedel. A czy lubi wino? „O, bardzo" — brzmi odpowiedź. Następnego dnia obcy pan przychodzi z flaszką wina. Mówi wreszcie swoje nazwisko. Nazywa się hr. Filip zu Eulenburg. „Mów do mnie Filipie, kochany Jerzy!" Łódka przybija do lądu, w gęstwinie leśnej obaj przyjaciele kładą się na trawie, piją wino.

Odtąd widywali się częściej. Riedel przychodził do mieszkania hrabiego w Monachjum, hrabia, jeśli się długo nie pokazywał, sam go szukał. Przez niego zapoznał się hrabia z rybakiem Jakóbem Ernstem. Poznawszy Ernsta, Eulenburg zwrócił ku niemu swoje atekty. Za dwie marki Riedel zostawiał ich samych. Kiedy Riedel stawał do wojska, książę opiekował się nim, odprowadził go na kolej, dał mu na drogę 30 marek. Wszystkie datki księcia były dobrowolne. Riedel nigdy nic nie wymuszał, nawet nie myślał o doniesieniu i nigdy niem nie groził. Ogółem dostał od księcia około 500 marek. Z Augsburga, gdzie Riedel służył, pisywał Riedel listy z prośbą o datki. Pewnego dnia dostał odpowiedź, aby sam przyjechał po pieniądze.

Pokazał list hrabiego rotmistrzowi, ale urlopu nie dostał. Wtedy pojechał do Monachjum bez urlopu. Na dworcu oczekiwał go hrabia z innym wytwornym, bladym panem czterdziestoletnim. Zaprowadzono Riedla do mieszkania hrabiego na Promenadeplatz, gdzie było zastawione śniadanie. Po śniadaniu Eulenburg oddalił się, dając Riedlowi 10 marek. Przyjaciel Eulenburga ściskał Riedla, poił go, wreszcie zażądał najordynarniejszego aktu humoseksualnego. Riedel wzbraniał się. Obcy pan pieścił go w najbardziej wyrafinowany sposób i dal mu jeszcze 10 marek. Riedel wziął pieniądze, ale na ostateczności się nie zgadzał, bo słyszał, że to jest karane. Obcy pan gniewał się, sądząc, że się nie podoba Riedlowi. Wtedy Riedel zabrał się i poszedł. Dostał 5 dni aresztu za samowolne wydalenie się z koszar. Trzy razy potem pisał do hrabiego, ale nie dostał już żadnej odpowiedzi.

Riedel ożenił się i ma pięcioro dzieci. W listopadzie 1907 r. pracował jako robotnik przy budowie „Vereinbanku" w Monachjum. Mówiono przy nim o procesie Branda, o kamarylli, pokazywano w jakiejś ilustracji portret Eulenburga. Mówi do swoich towarzyszy: „Mógłbym ja coś o nim powiedzieć!" I opowiada. Towarzysze radzą mu, aby się zgłosił do adwokata Bernsteina, bo nie można pozwolić, aby przez Eulenburga niewinny człowiek (Harden) siedział w więzieniu. Jeden tylko radził, żeby się lepiej do księcia zwrócił, to mu pewnie da za milczenie znowu jakie 500 marek. Ale Riedel idzie do Bernsteina i mówi: „Jak książę mógł przysiąc, że nic nie ma wspólnego z kramillą — przecież ze mną robił kramillę! Kamarylla — w mniemaniu Riedla — to techniczny wyraz, jakiego używają wytworni panowie na oznaczenie sprośności... Policja dowiaduje się coś o Riedlu, przesłuchuje go nawet, ale do jego zeznań — nie przywiązuje wagi, ponieważ Riedel kilkakrotnie był karany za burdy.

a raz za powtórzenie jakiejś plotki na sędziego w Starnbergu.

I dopiero proces monachijski, zwłaszcza wobec zabójczych zeznań Ernsta, nadaje opowiadaniu Riedla znaczenie, miażdżące Jego Dostojność...

Rozmaitości

Odbudowanie San Francisko. Po strasznem trzęsieniu ziemi i pożarze, który w lecie 1906 zniszczył San Francisco, cała prawie ludność została bez dachu. Nie straciła jednak przywiązania do rodzinnego miasta, lecz za pieniądze zaoszczędzone i uratowane z katastrofy, oraz za otrzymane wynagrodzenie od asekuracji zaczęła odbudowywać miasto.

Kiedy rozpoczęto budowę, brakowało materjałów budowlanych i robotników, ceny były niemożliwie wysokie, musiano przygotowywać środki, zapobiegające zarazom, jednem słowem, wszelkie możliwe trudności stanęły na przeszkodzie potężnemu przedsięwzięciu. Obecnie w 22 miesiące po owem nieszczęściu, doznaje zwiedzający w pierwszej chwili wrażenia, jak gdyby w niektórych częściach miasta zaczęto dopiero usuwać gruzy; wszędzie napół zawalone piwnice, pełne pogiętych i splątanych wiązań żelaznych, tudzież wielkiej ilości zapadłych murów, lecz wnet spostrzega w pobliżu piękne budowle z cegły i kamienia, w których już widać skrzętne i gorączkowe życie. W bardzo wielu miejscach rysują się na tle kalifornijskiego nieba szkielety budowli, których potężne członki, żelaznemi wiązaniami i szynami spojone, sięgają do wysokości 12 pięter; na samej górze widzi się ludzi, którzy układają na wysokich blankach żelazne części składowe i uderzając młotami, wypełniają ogłuszającym hukiem górne warstwy powietrza. Na ulicach stosy materjału budowlanego tamują ruch; przeładowane wozy wymijają się z trudnością; nawet w tramwajach widzi się ludzi tylko z narzędziami rzemieślniczemi i w poplamionej wapnem odzieży. Wszędzie życie i ruch. Jeśli rozwój miasta w ciągu 60-letniego istnienia jego był gorączkowy, to na to miano zasługuje prawdziwie dopiero od dwóch lat, t. j. od czasu, kiedy się na nowo odbudowuje. Dziesięć tysięcy budynków jest już wykończonych, albo na wykończeniu, a koszta tej budowy obliczają na 400 miljonów.

Dotąd odbudowano już $^1/_3$ część miasta; w zniszczonej jeszcze części zaimprowizowano mieszkania, sklepy i banki, w których praca idzie starym trybem.

* * *

Księżyc spadł na ziemię! W świecie naukowym wywołuje sensację dzieło prof. Simrotha, w którem autor stawia śmiałą hypotezę, według której ziemia posiadała dawniej drugi księżyc, który — spadł na ziemię w okolicy Sudanu (w Afryce) i spadkiem swoim zatrząsł posadami globu ziemskiego. Prof. Simroth chce tym upadkiem księżyca wytłómaczyć wszystkie zmiany w położeniu osi ziemskiej, biegunów, i wynikające stąd zmiany klimatyczne. Masa księżyca, upadając na ziemię, wywołała mianowicie wachnienia osi ziemskiej i biegunów, które trwają dotychczas i które wywołały już dwukrotnie epokę lodową w Europie. Prof. Simroth twierdzi, że obecnie zbliżamy sie w Europie do klimatu gorącego. Obrót kolisty bieguna północnego wynosi według autora 28 miljonów lat.

Czy śmiała ta hypoteza jest prawdopodobną, wykażą szczegółowe badania uczonych.

* * *

Nowy wynalazek medycyny. Dr. medycyny Riehl w Monachjum doszedł do nowego sposobu badania raka w żołądku, za pomocą lampy elektrycznej. W żołądek poprzednio napełniony wodą, wpuszcza się lampkę elektryczną przepuszczoną przez rurkę kauczukową. Za pomocą tego oświetlenia dr. Riehl może dokładnie określić umiejscowienie raka i śledzić ruchy i kolor ścian żołądka.

* * *

Nowa kraina złota. Na posiedzeniu paryskiego Towarzystwa geograficznego podał uczony podróżnik kapitan Villiaume interesujące szczegóły o nowo odkrytej krainie złota. Nowe Dorado leży na zachodzie francuskiej Gwinei i obejmuje przestrzeń około miljona hektarów. Okolica ma być tak bogata w złoto, że eksploatacja cennego metalu nie napotyka na żadne trudności. Żyły złote znajdują się tylko na kilka metrów pod powierzchnią ziemi. W jednym metrze sześciennym ziemi w głębi 7 m. znajdowano 6 do 60 gramów złota, im dalej w głąb, tem obfitsza jest zawartość złota i dochodzi aż do 1200 gramów w metrze sześciennym. W piasku wyschniętych potoków znajdują się licznie ziarna złota. Pisma przypuszczają, że wiadomość o odkrytej krainie złotonośnej wywoła nową gorączkę emigracyjną i dla tego wzywają Towarzystwo, aby stwierdziło sumiennie szczegóły, podane przez podróżnika, celem wczesnego przestrzeżenia ludzi przed podróżą do Gwinei.

* * *

Smiertelność według klas. Badania nad wpływem zdrowotnym rozmaitych zawodów należą do najważniejszych i najciekawszych rozdziałów hygieny. Odkrycie t. zw. chorób zawodowych ma za sobą potężną literaturę, natomiast badania nad różnym stopniem śmiertelności w poszczególnych klasach są jeszcze zaniedbane. Ponieważ zaś badania nad tą kwestją czynić można jedynie w drodze wykazów statystycznych, dlatego rozwiązanie jej napotyka na wielkie trudności. Bardzo dobry przykład, jak sprawę tę należy traktować, dał dr. Matheson, który z polecenia miasta Dublina opracował ten przedmiot. Ludność Dublina podzielił on na 4 klasy, mian. na kl. zawodów niezależnych, kl. średnie, kl. rzemieślników i małych kupców i powszechną klasę robotników. Podział ten jest dowolny i niedosyć ścisły, aby można na jego podstawie wyciągać jakieś istotne wnioski co do szkodliwego dla zdrowia działania poszczególnych zawodów.

Według ostatniego spisu ludności w Dublinie należało do pierwszej klasy 17,500 mieszkańców, do drugiej 87,000, do trzeciej 110,000 a do czwartej 160,000. Najważniejszym rezultatem tych obliczeń było to, że według wykazów statystycznych za rok 1907 w pierwszej i drugiej klasie wynosiła śmiertelność 16,2 względnie 17 na tysiąc, w trzeciej zaś i czwartej tj. u rzemieślników, drobnych kupców i robotników 28,4 na tysiąc. Jeżeli się zaś szczególnie uwzględni śmiertelność z chorób zakaźnych, to różnica ta będzie jeszcze większą, ponieważ na choroby te zmarło w Dublinie w ciągu ostatniego roku w pierwszych dwóch klasach tylko 0,9, w dwóch zaś ostatnich 2,3 na tysiąc, a więc okrągło 2,5 razy więcej. Są pewne choroby ograniczające się jedynie na klasę robotniczą. Nic też dziwnego, że także śmiertelność niemowląt w trzeciej i drugiej klasie jest niestosunkowo większa.

* * *

Błękitny dyament. Słynny błękitny dyament został sprzedany w Paryżu za dwa miljony franków. Kamień ten o pięknej barwie szafirowej waży 44$^1/_2$ karata, ma kształt piramidy o ściętym wierzchołku, a bok jego kwadratowej podstawy posiada długości 23 milimetr. Dyament ów należał niegdyś do francuskiego skarbu koronnego, został za czasów Ludwika XIV skradziony i pojawił się później w Anglji. Na początku ubiegłego wieku nabył go londyński bankier Hope, po którego śmierci kamień drogą dziedziczenia przechodził na rozmaitych członków tej rodziny. Ponieważ każdy właściciel tego dyamentu ginął śmiercią tragiczną, więc rodzina Hopego sprzedała go pewnemu Amerykaninowi. Za oceanem dyament zmienił kilka razy właścicieli, aż wreszcie dostał się do rąk Frankla, który skutkiem przesilenia finansowego ostatnich czasów został zmuszony do sprzedania go. Sprzedaż nastąpiła w Paryżu, a dyament zakupił pośrednik dworu sułtana tureckiego.

Z literatury i sztuki

„Myśl Niepodległa“, (Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10). Treść nr. 62 (dekada druga na maj): Armja nieszczęśliwych. — Hypatja: Upadłe. — Jadwiga Olszewska: Obrońcy i słudzy kościoła. — Jerzy Kurnatowski: Etyka społeczna. — Dr. M, Miklaszewski: Życie płciowe naszego ludu miejskiego. — Henryk Wroński: Pastérzom moim. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Zapiski. — Książki.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 21. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 23 maja 1908.

Wiktor Hugo.

Głuchy sędzia.

(Urywek z „Notre Dame de Paris“).

W małej, niskiej sali sądowej odbywała się publiczna rozprawa. Duży fotel drewniany, przeznaczony dla sędziego, był jeszcze próżny; na lewo siedział na ławce audytor (pomocnik sędziowski) Florjan; przed nim zaś, z piórem w ręku, pisarz sądowy. Naprzeciwko za drewnianą kratą, była publiczność.

Audytor Florjan był głuchym; to jednak nie bardzo przeszkadzało sędziemu, a zwłaszcza Florjanowi, który i tak dobrze sądził, i to bez apelacji. Wystarcza, jeśli sędzia udaje tylko, że słyszy, a Florjan spełniał ten najważniejszy warunek dobrego sądownictwa, tem lepiej, że żaden szmer nie odwracał jego uwagi.

„Uważajcie, Robercie! Kogóż to przyprowadzają, że zmobilizowali aż tylu sierżantów? Na Jowisza! Cała zgraja w ruchu: dobrego zwierza musieli upolować“! — rzekł jeden z widzów do swego przyjaciela.

Wyszedł podsądny Quasimodo, kościelny z Notre-Dame, skrępowany i pod silną eskortą. Zresztą w osobie podsądnego, z wyjątkiem jego pokrzywionej postaci, nie było nic takiego, coby usprawiedliwiało to niezwykłe nagromadzenie halabard, strzelb i mieczów; był ponury, milczący i spokojny. Zaledwie od czasu do czasu rzucił z jedynego swego oka wzrok gniewny na otaczającą go bandę siepaczy. Tymczasem sędzia Florjan przerzucał skargę przeciw Quasimodzie, przedłożoną mu przez pisarza. Przy każdem przesłuchaniu zachowywał tę ostrożność; uczy się tym sposobem na pamięć nazwy, własności i przestępstwa podsądnego i przewijał się potem przez wszystkie trudności rozprawy, nie zdradzając zbytnio swej głuchoty. Protokół był dla niego tem, czem pies dla ślepego. Jeżeli skutkiem jakiegoś niestosownego odezwania się, lub niezrozumiałego zapytania, wyszła na jaw jego głuchota, to jedni przypisywali to głębokiej uczoności, drudzy głupocie. Sędzia Florjan zadawał sobie tyle trudu, aby ukryć swe kalectwo, że mu się to po większej części udawało.

Gdy nareszcie włożył się w sprawę Quasimodo i przyswoił ją sobie, przychylił głowę w tył i przymknął do połowy oczy, aby nadać sobie pazór majestatyczny i bezstronny, tak, że teraz był już nietylko głuchym, ale i ślepym, czyli, że posiadał warunki niezbędne dla doskonałego sędziego. W tej postawie sędziowskiej rozpoczynał przesłuchanie!

„Nazwisko wasze?“... Ale tu zaszedł wypadek, nieprzewidziany przez prawo, że głuchy miał przesuchiwać głuchego. Quasimodo, który nie słyszał pytania, patrzył prosto przed siebie i nie odpowiadał. Sędzia również głuchy, a nie powiadomiony o głuchocie oskarżonego, sądził, że już odpowiedział, jak należało, i pytał dalej swym mechanicznym i idjotycznym sposobem:

„Dobrze, Wasz wiek?“

Quasimodo znów nic nie odpowiadał. Lecz sędzia, pewny, że odpowiedział, pytał dalej:

„Jaki zawód?“

Zawsze to samo milczenie.

Słuchacze spoglądali po sobie i uśmiechali się.

„Dobrze“ — ciągnął, dalej głuchy sędzia, w myśli, że oskarżony odpowiedział na trzecie pytanie: „Jesteście przed nami oskarżeni: primo, o nocne niepokoje; secundo, o nieprzyzwoitą napaść na osobę jakiejś idjotycznej niewiasty; tertio, o opór i bunt przeciw strzelcowi gwardji królewskiej. Wytłómaczcie się co do tych trzech punktów. Panie pisarzu, czy zapisaliście już odpowiedzi dotychczasowe oskarżonego“?

To niestosowne pytanie wywołało ogólny śmiech w sali i to tak szalony i gwałtowny, że nawet obaj głusi musieli zwrócić na to uwagę. Quasimodo ściągał ramionami i spoglądał pogardliwie dokoła siebie. Florjan zaś, zdziwiony tem, co widział, wyobrażał sobie, że to jakaś uwłaczająca godności odpowiedź podsądnego wywołała tę ogólną wesołość i dlatego skrzyczał go słowami:

„Ty łotrze, za taką odpowiedź należałaby ci się szubienica!“

Te słowa nie mogły położyć tamy ogólnej wesołości, lecz owszem — spotęgowały ją do tego stopnia, że prawdziwie konwulsyjny śmiech trząsł całą salą, nie pomijając ani jednego z obecnych. Sędzia, coraz bardziej rozgoryczony, sądził, że musi dalej mówić w tym tonie, w nadziei, że oskarżonemu nakoniec napędzi strachu a publiczność zmusi do respektu.

„A ty przeklęty i zepsuty człowieku!“ — zawołał gromkim głosem do podsądnego. „Pozwalasz sobie w ten sposób zachowywać się wobec sędziego! Czy wiesz, że ja, Florjan Barbedienne, jestem zastępcą pana sędziego?“

W tej chwili sędzia w własnej osobie wszedł do sali, skutkiem czego potok ów Florjana został przerwany. Florjan natychmiast stanął przed nim i przemówił następującemi słowami:

— „Panie sędzio, proszę o przykładne ukaranie obecnego tu podsądnego, za brak uszanowania wobec władzy!“

Sędzia zmarszczył brwi, zwrócił na głuchego zwrok tak rozkazujący i surowy, że obudził jego uwagę.

Potem ostrym tonem wystosował pytanie: „Cóżeś ty popełnił łotrze jeden, żeś się tu dostał?“

Biedak sądził, że sędzia pyta go o nazwisko, przerwał więc zwykłe milczenie i rzekł chrapliwym, gardliwym głosem:

„Quasimodo“

Odpowiedź ta. była tak nieodpowiednią do pytania, że szalony śmiech rozpoczął się na nowo. Sędzia zaczerwienił się i posiniał ze złości — zawołał:

„Czy odpowiesz łotrze, jak się należy?“

„Kościelnym przy dzwonnicy Notre-Dame — odrzekł Quasimodo, w mniemaniu, że sędzia pyta go o zawód.

„Kościelny!“ — powtórzył sędzia ze złością. „Będą na twym garbie dzwonili po ulicach Paryża, rozumiesz łotrze?“

„Jeżeli chcecie znać mój wiek“ — odrzekł Quasimodo, „to zdaje mi się, że na św. Marcina będzie mi dwadzieścia lat“.

Tego zadużo było dla cierpliwości sędziego. „Sierżanci“ — zawołał w najwyższym gniewie, „zaprowadźcie to bydlę na plac Grevy, obracajcie go na krążku godzinę i dajcie mu porządną porcję kijów“!

Pisarz zanotował natychmiast ten wyrok.

„Na Jowisza!“ — zawołał jeden z widzów. „To dopiero sprawiedliwy wyrok!“

Pisarz podał sędziemu wyrok, ten pisał swoje imię i wyszedł aby obejść w dalszym ciągu wszystkie sale sądowe. Quasimodo, który całego tego zajścia nie rozumiał, patrzył przez siebie ze zdziwieniem, ale dość obojętnie. Tymczasem, podczas gdy audytor Florjan przeczytywał wyrok i miał go również podpisać, zbliżył się do niego pisarz sądowy, który litował się nad biednym Quasimodo i szepnął mu do ucha:

— „Ten człowiek jest głuchy".

Pisarz sądził, że świadomość wspólnego kalectwa nastroi Florjana korzystnie dla podsądnego. Ale Florjan nie chciał po pierwsze przyznać się do głuchoty, a po drugie miał słuch tak przytępiony, że z tego, co powiedział pisarz, nie słyszał ani słowa. Udawał jednak, że doskonale zrozumiał i zawołał: „A, a! To co innego, o tem nie wiedziałem. Jeżeli tak, to dodamy mu jeszcze godzinę pręgierza".

I podpisał zaostrzony wyrok...

Katechizm o pruskiem prawie wyborczem.

Napisał Paweł Göhre, ksiądz pozasłużbowy.

Motto: Z pytania i odpowiedzi wyrasta prawda i wiedza.

Część pierwsza.

Jak wygląda prawo wyborcze i jak ono powstało?



1. Jakie prawo wyborcze mamy w Prusiech?

Trójklasowe prawo wyborcze.

2. Czemu nazywa się ono trójklasowem prawem wyborczem?

Ponieważ dzieli ono wszystkich wyborców na trzy klasy.

3. Jaki cel ma ten podział?

Aby jednym ich odrobinkę prawa odebrać, a przekazać ją za to innym.

4. Zapewne wtedy trzy te klasy mają rozmaicie wielki wpływ przy wyborach?

Tak jest. Głosy pierwszej klasy ważą 28 razy więcej, drugiej 7 razy więcej, jak głosy wyborców trzeciej klasy.

5. Kto się więc zalicza do pierwszej klasy?

Ludzie najbogatsi w każdym obwodzie wyborczym.

6. Kto się więc zalicza do drugiej klasy?

Wszyscy ludzie zamożni.

7. A kto się zalicza do trzeciej klasy?

Wszyscy, którzy mają mierny, lichy lub wcale nie mają dochodu.

8. W takim razie wielkość trzosa każdego obywatela rozstrzyga o wielkości jego prawa wyborczego?

Oczywiście. Jedynie trzos jest miarą, według której wymierza się to prawo wyborcze. Im więcej kto ma pieniędzy, tem więcej też ma prawa wyborczego; im mniej pieniędzy, tem mniej prawa wyborczego. Wszystko jedno przytem, jak kto doszedł do pieniędzy. Czy przez odziedziczenie, zasługę lub oszustwo. Trzos jest wszystkiem, praca uczciwa niczem.

9. Ilu ludzi należy w Prusiech do pierwszej klasy wyborczej?

W roku 1903, gdy były ostatnie wybory do sejmu pruskiego, razem wszystkiego 238 845 osób. W całych Prusiech! Na 1000 uprawnionych do głosowania stanowi to zaledwo 3 i pół!

10. Ilu było wtedy w drugiej klasie?

W drugiej klasie wybierało tak samo tylko 856914 osób, co równa się 12 na 100 wszystkich uprawnionych do wyborów.

11. A ile wynosiła reszta?

Do trzeciej klasy wtłoczonych było 6 006 204 osób; ci stanowili 84 i pół na każde sto wyborców.

12. Zapewne więc wyborcy trzeciej klasy łączą się z wyborcami drugiej?

O nie, zgoła odwrotnie: wyborcy pierwszej i drugiej klasy łączą się razem przeciwko trzeciej klasie.

13. Czyż wszędzie tak jest? w całych Prusiech?

Wszędzie w Prusiech.

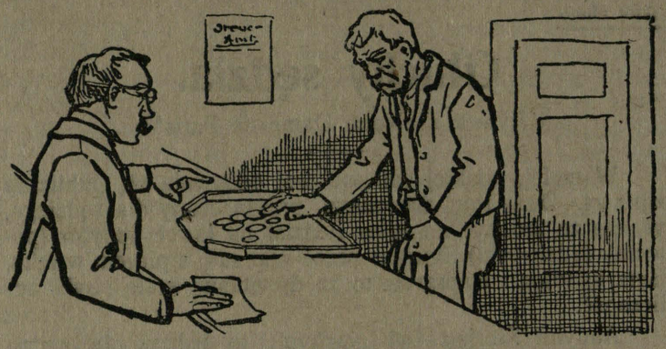

14. Ależ w takim razie sześć miljonów współobywateli uciska jeden jedyny miljon ludzi bogatych i majętnych?

Oczywiście. To jest też celem całego prawa. Sześć miljonów obywateli, jak bez ogródek razu jednego powiedział pewien poseł konserwatywny, ma płacić podatki, dostarczać żołnierza, stulić gębę, nic więcej. Drugi jeden miljon panuje nad nimi i używa.

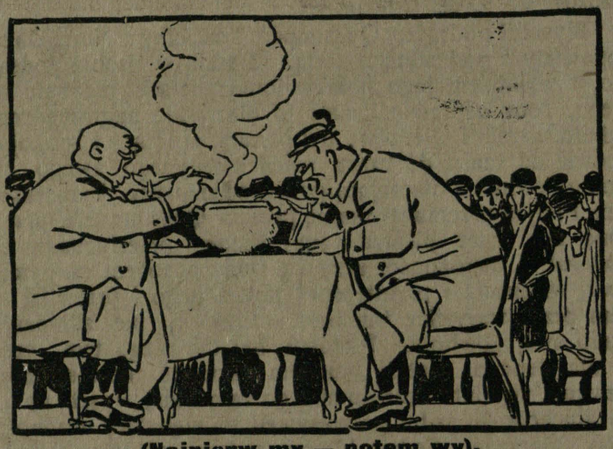

(Najpierw my — potem wy).

15. Czyż nie jest to wszystko niesprawiedliwem?

Jest to krzycząca niesprawiedliwość.

16. Jakby musiało być, gdyby panowała sprawiedliwość?

Gdyby prawo wyborcze było sprawiedliwem, to musiałoby właśnie być odwrotnie. Wtedy trzecia klasa musiałaby mieć prawo wyborcze pierwszej, pierwsza zaś jedynie prawo wyborcze trzeciej.

17. Czyż nie byłaby to nowa niesprawiedliwość?

Bynajmniej. Ludzie z pierwszej klasy mają przecież kapitały, ziemię, majątki i fabryki, wykształcenie i wpływ społeczny, mają więc i tak dość władzy i potęgi, aby sobie pomóc. Ludzie z trzeciej klasy zazwyczaj nic nie mają, jak siłę roboczą swych rąk lub swej głowy. Tym przynajmniej trzebaby przy wyborach dać władzę, aby mogli sobie pomóc i przeprowadzać swe interesy w parlamencie. To przynajmniej byłaby chrześćjańska sprawiedliwość.

18. Czy jednak trójklasowe prawo wyborcze nie ma swoich stron dodatnich?

Nie, tylko jeszcze inne krzyczące niesprawiedliwości.

19. Jakież więc?

Wybory są jeszcze tak samo pośrednie.

20 Cóż to znaczy?

Znaczy to, że żaden wyborca, jak to się stale dzieje przy wyborach do parlamentu, nie wybiera odrazu posła, lecz wybiera tylko wyborców, walmanów.

21. A cóż robią ci walmani?

Dopiero ci, t. j. walmani, mogą wybierać posła.

22. Ależ to na cóz?

Aby wpływ, zwłaszcza wyborców trzeciej klasy, jeszcze bardziej osłabić.

23. Czem uzasadniano to nowe ograniczenie?

Tem, że wyborcy są zbyt mało oświeceni, aby wybrać samym właściwego posła!

24. Jak więc właściwie powinni się nazywać walmani?

Opiekunami wyborczymi. Gdyż przez prawo wyborcze wyborca sam zostaje uznanym jako niepełnoletni i niedojrzały albo conajmniej jako nawpół pełnoletni i dojrzały.

25. Ależ to wprost szyderstwo z wyborców?

Tak też jest; jest to natrząsanie się a zarazem i hańba.

26. A czy trójklasowe prawo wyborcze ma jeszcze więcej takich — braków?

Tak. Wybory są jeszcze jawne.

27. Cóż to znaczy?

Każdy, kto przychodzi wybierać walmana, musi głośno i ustnie podać jego nazwisko w biurze wyborczem.

28. Czemuż to się znowuż tak dzieje?

Aby tak samo usunąć wszelkie samodzielne i sprawiedliwe przekonania u wyborców.

29. Jakżeż?

Wszak większość wyborców trzeciej klasy stanowią robotnicy przemysłowi, robotnicy rolni, robotnicy komunalni, robotnicy państwowi, niżsi urzędnicy, drobni rzemieślnicy i kupcy.

30. Dobrze, ale co to ma wspólnego z wyborami?

Bardzo wiele. Gdyż oni wszyscy są zależni. Albo zależni od prywatnych przedsiębiorców albo od władz komunalnych lub państwowych albo wreszcie od majętnej publiczności. Jeżeli wybierają oni innego walmana, jak ich panowie, to przy jawnych wyborach dowiadują się ci o tem zaraz i przy pierwszej lepszej sposobności wyrzuca się takiego grzesznika na ulicę albo bojkotuje się go (skazuje na śmierć głodową). I dlatego też wielu nie wyjawia swych rzeczywistych przekonań politycznych, swego rozgoryczenia i swej nienawiści i wybiera, jak tego życzą sobie panowie lub nawet nakazują.

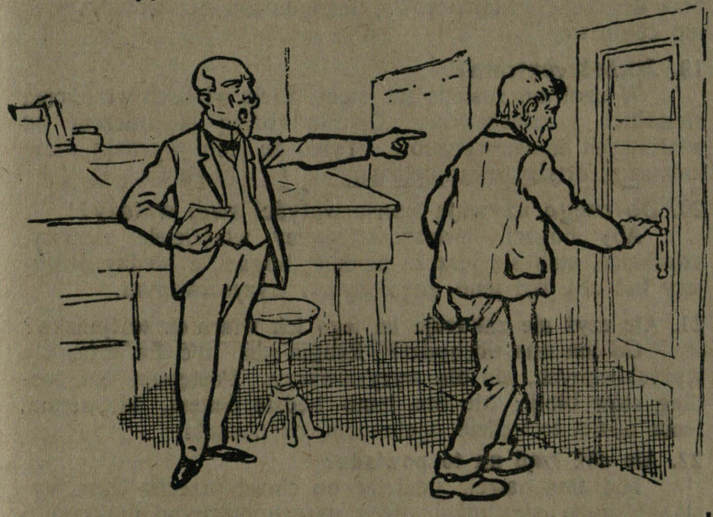

31. Ależ w takim razie całe to postępowanie przy wyborach psuje ludzi i wypacza ich charaktery?

Oczywiście. Lecz o to trzos nigdy nie pytał.

32. Jak właściwie to wstrętne bezprawie wyborcze doszło do skutku?

Jest to nowa, smutna historja. Trzeba się na to cofnąć o sto lat wstecz.

33. Czyż przed stu laty nie był panem Prus i Niemiec Napoleon Bonaparte?

Tak i to z winy pruskich junkrów i konserwatystów.

34. Cóż ci temu byli winni, że francuzi byli wówczas w Prusiech i Niemczech panami?

Byli oni wtedy, jak i teraz jeszcze, przywódcami w wojsku pruskiem i komendantami fortec. Z wojskiem przy pierwszem zbliżaniu się armji francuskiej uciekali, a twierdze, z małymi wyjątkami, oddawali bez boju.

35. Ależ cóż to ma wspólnego z obecnem trójklasowem prawem wyborczem?

Otóż, gdy król pruski, podówczas Fryderyk Wilhelm III, został przez swych junkrów zdradzonym, zwrócił się on o pomoc „do swego ludu". Obiecał dać mu wszelkie swobody i prawa wolnego państwa, jeżeli wypędzą Napoleona z kraju.

36. Czyż lud w wojnach o wyzwolenie w roku 1813 i 1815 nie dotrzymał słowa?

Lud tak, ale król nie. Zamiast dać ludowi, który do ostatniego człowieka poświęcił swe mienie i krew za króla i ojczyznę, konstytucję, udawał on, jak gdyby nigdy tego nie obiecał.

37. Czyż lud spokojnie to zniósł?

Nie, szemrał on, upominał, prosił i żądał.

38. I cóż wobec tego uczyniono?

Krótko i węzłowato postąpiono. Wszyscy, którzy szemrali i zbyt głośno upominali, byli prześladowani, krzywdzeni i aresztowani. Taka to była podzięka dla bojowników o wolność.

39. Jak długo trwał ten smutny, pełen hańby czas?

Dłużej jak lat trzydzieści, do roku 1848. Wtedy wreszcie zbuntował się lud przeciwko takim niecnościom.

40. A czy przynajmniej pomyślnie?

Tak, ale tylko na czas pewien.

41. Jakżeż tylko przejściowo?

Otóż, ówczesny król pruski, syn poprzednio wymienionego, Fryderyk Wilhelm IV, narazie uległ, uznał konstytucję i przyznał również ludowi wolnościowe prawo wyborcze. Było to w marcu 1848 roku.



(Tak lud walczył o konstytucję).

42. A jakiem było to prawo wyborcze?

Było ono równem dla wszystkich, którzy ukończyli 24 lat, zamieszkiwali od 6 miesięcy w Prusiech i nie otrzymywali żadnej zapomogi dla biednych; było ono tajnem, ale oczywiście jeszcze pośredniem; także i według tego prawa trzeba było najpierw wybierać walmanów, którzy później mianowali posłów.

43. Czy pomimo to prawo to nie przypomina bardzo obecnego prawa woborczego do parlamentu?

Tak, z wyjątkiem ostatniego przepisu, wyborów pośrednich. Stało ono o niebo wyżej od obecnego. Był to piękny czas, kiedy każdy obywatel w Prusiech był dumnym ze swobód politycznych.

44. Lecz czemuż tak nie pozostało?

Ponieważ junkrowie i konserwatyści, ci reakcjoniści, wstecznicy, na sumieniu których był już ow smutny czas od 1815 do 1848, zdobyli znowu przemożny wpływ na króla i na rząd.

45. Kiedyż to było?

Już rok potem, na wiosnę 1849 roku.

46. Cóż się wtedy stało?

Wtedy, było to 27-go kwietnia 1849 roku, zgromadzenie narodowe wybrane na podstawie owego dobrego prawa wyborczego, zostało przez rząd rozwiązanem i posłowie rozpędzeni przez wojsko.

47. A potem?

Potem, nie pytając się ani ludu ani zgromadzenia narodowego o jego wolę, zgóry wydano ordynację wyborczą, według której wybiera się i dziś jeszcze w Prusiech.

48. Czy lud lub zgromadzenie narodowe stało się niegodnem nowych praw i swobód?

Gdzież tam, korzystano jeno z nich ochoczo.

49. Czyż ówczesne zachowanie się rządu nie było jednak ciężkiem pogwałceniem zobowiązań poprzednich?

Oczywiście, pogwałceniem prawa, zamachem stanu z góry.

50. W takim razie obecne trójklasowe prawo wyborcze powstało całkiem z bezprawia, jest ono niesprawiedliwością jawną?

Zaprawdę, słusznie mówisz. Jest to szczera prawda o trójklasowem prawie wyborczem: zrodzone ono z bezprawia, a składa się z niesprawiedliwości. Do djabła z niem!

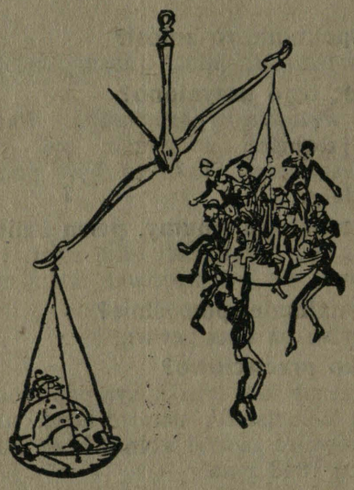

Część druga.

Komu to prawo wyborcze przynosi korzyści a komu szkodę?

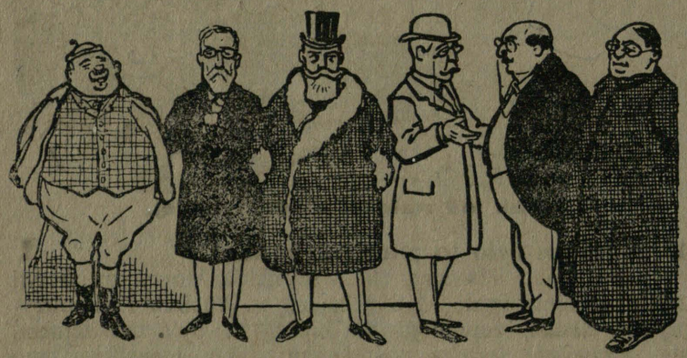

1. Ilu posłów wybiera się przez trójklasowe prawo wyborcze?

433.

2. Do jakich zawodów zaliczało się tych 433 ludzi w ostatnim sejmie?

W dotychczasowej pruskiej izbie poselskiej zasiadało:

161 ziemian,
114 urzędników państwowych i komunalnych,
37 fabrykantów i radców komercyjnych,
32 kapitalistów,
45 lekarzy, adwokatów i pisarzy,
17 księży,
19 wyższych nauczycieli.

3. Są to przecie wszystko ludzie należący do klasy panującej i posiadającej?

Oczywiście, na to też mamy trójklasowe prawo wyborcze.

4. Ale czy nie ma tam wszak i stan średni swoich przedstawicieli?

Tak, wszystkiego razem 7 majstrów.

5. A wielu jest robotników w izbie poselskiej?

Ani jednego.

6. Także ani jednego robotnika rolnego?

Ani jednego robotnika rolnego, ani przemysłowego, pomimo że tworzą oni miljonową masę.

7. Jak dzielą się ci posłowie na rozmaite partje?

Mamy 143 posłów konserwatywnych,
60 posłów wolnokonserwatywnych,
79 posłów narodowo-liberalnych,
33 posłów wolnomyślnych,
97 posłów centrowych,
13 posłów polskich.

Reszta nie należy do żadnej partji, są to „dzicy", jak ich się nazywa w parlamencie.

8. Gdzież jednak jest partja socjalno-demokratyczna?

Trzyma ją się poza parlamentem.

9. Czyż niema ani jednego posła socjalno-demokratycznego w pruskim sejmie?

Nie, ani jednego.

10. Czyż socjalna demokracja wcale nie brała udziału w ostatnich wyborach do sejmu pruskiego w r. 1903?

Przeciwnie, wszelkiemi siłami.

11. Ileż więc głosów ona zdobyła?

314.149 głosów.

12. A pomimo to ani jednego posła?

Nie, ani jednego.

13. Ależ to konserwatyści musieli dopiero dużo głosów otrzymać na swych 143 posłów?

324.157 głosów.

14. Co? Ależ to nie wiele więcej od głosów socjalno-demokratycznych?

Oczywiście, tylko o 10.000 więcej.

15. A pomimo to ci nie mają ani jednego posła, tamci zaś 143 posłów?

Tak, mimo to. To właśnie jest ta krzycząca do niebios niesprawiedliwość tego prawa wyborczego!

16. Ileż głosów miało wtedy centrum przy swych 97 posłach?

Zaledwie tylko 251.958.

17. A narodowi liberałowie?

Także nie wiele więcej, 256.220 głosów.

18. Któraż partja ma siłę w sejmie pruskim?

Oczywiście partja konserwatywna; gdyż liczy ona razem z wolnokonserwatywną, bliźniaczo do niej podobną, sama 203 przedstawicieli. Jest to prawie połowa. To, czego brak do rzeczywistej połowy, tego dostarczają wolnomyślni lub centrowcy.

19. Jakżeż centrum?

W centrum zasiada tak samo wielu wielkich właścicieli ziemskich i szlachciców. Ci nie różnią się niczem od właściwych konserwatystów. Tylko że jedni wyznają wiarę katolicką, drudzy ewangielicką.

20. Do czego używają konserwatyści swej wałdzy?

Aby bogaci, zwłaszcza wielcy właściciele ziemscy, szlachcice, stali się jeszcze bardziej bogaci, a biedny pracujący lud aby był jeno gnębionym i wyzyskiwanym.

21. Ale czyż nie zakazuje im tego ich wiara chrześćjańska?

Co ich ona obchodzi? Religja ma być dla ludu, dla wyzyskiwanych, nie dla wyzyskiwaczy. Postępują oni według słów biblji: kto ma, temu będzie danem, kto niema, temu nawet to będzie odebranem, co posiada.

22. Ale cóż rząd na to powiada?

Nic, tam nawet, gdzieby on chciał przeciw temu wystąpić, musi się ugiąć przed wszechpotężnymi junkrami i konserwatystami.

23. Czy możesz dowieść, że konserwatyści korzystają w sejmie ze swej władzy, aby gnębić i wyzyskiwać lud?

Dziesiątkami przykładów.

(Dokończenie nastąpi.)

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 22. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 30 maja 1908.

Katechizm o pruskiem prawie wyborczem.

(Dokończenie.)

24. Nazwij mi jeden.

Podatki. Każdy mieszkaniec Prus, który ma więcej jak 900 marek rocznego dochodu, musi płacić podatek od dochodu. W całych Prusiech z podatku tego wpłynęło w roku 1905 okrągło 199 miljonów marek. W grudniu 1905 podatek ten został podwyższonym, tak, że obecnie wynosi on 270 miljonów marek. Od czasu tego podwyższenia musi opłacać kapitał 50 procent więcej jak dotychczas, handel i rzemiosło 77 procent więcej, ziemia natomiast tylko 5 procent więcej, lecz za to „praca zarobkowa“ — 75 procent więcej, jak do tej pory! Ziemia — to znaczy rolnicy; „praca zarobkowa“ — to głównie zarobek robotników, myto pomocników handlowych, dochód urzędników prywatnych. Innemi słowy: ciężar 1450 miljonów marek nowych podatków dochodowych dźwiga w pierwszej linji masa ludności nieposiadającej; w drugiej dopiero linji klasa przedsiębiorców, fabrykantów i stan średni; tak dobrze jak wcale nic — rolnictwo!

25. Nazwij jaki drugi dowód.

Zarządzanie gminą. Konserwatyści wprowadzili dla wszystkich gmin, miejskich i wiejskich, takie same trójklasowe prawo wyborcze, jak do sejmu. To też oni lub ich przyjaciele, fabrykanci, wielcy kupcy i posiedziciele domów, mają tak samo i w gminach władzę, by według swych korzyści i zysków gospodarować. Masa ludu, robotnicy, jest więc albo zupełnie usuniętą od zarządu gminą, albo też, gdzie jednak znalazła dostęp, zawsze w mniejszości, czyli wiecznie skazaną na bezsilność.

26. Nazwij jaki trzeci dowód.

Położenie robotników rolnych. Do dziś jeszcze podlegają oni prawu służebnemu, „państwu“ wolno ich celeśnie karać, nie wolno im jest, jak robotnikom przemysłowym, łączyć się, aby wywalczyć sobie lepsze warunki pracy, aby zmusić do usunięcia najgorszego na nich wyzysku. Biedacy ci dziś jeszcze, jak za średnich wieków, częstokroć są zupełnie bezsilni wobec złego państwa.

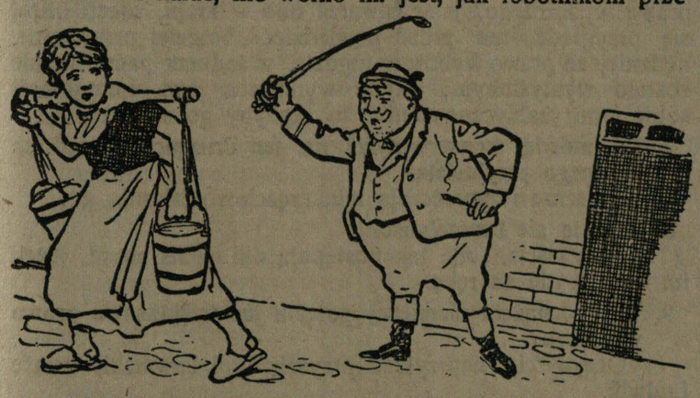

27. Nazwij jaki czwarty dowód.

Położenie robotników państwowych. Jest ich koło 800 000. Większość z nich znajduje się dziś jeszcze w podobnem położeniu jak robotnicy rolni. Robotnicy kolejowi np. dziś jeszcze nie mogą tak przy wyborach głosować, jak chcą; łączyć się w związki, jak chcą; chodzić na takie zebrania, na jakie chcą; nie wolno im nawet należeć do takich stowarzyszeń spożywczych (konsumów), do jakich pragną. I przy swojej długiej pracy mają się w dodatku zadawalniać taką nędzną płacą, jaką z łaski panowie junkrzy dają swym robotnikom.

(Dopisek tłómacza:

27a. Nazwij jaki piąty przykład.

Położenie ludności polskiej. Szczególnie srodze dał się we znaki sejm pruski pracującemu ludowi polskiemu, robotnikom i chłopom polskim. Ze sejmu trójklasowego bezprawia wyborczego wychodziły wszelkie prawa wyjątkowe przeciwko ludowi polskiemu. Od dziesiątków lat rząd uprawia znaną politykę hakatystyczną: wyrugowano język polski ze szkoły, ze sądów i z urzędów — z nieobliczalną wręcz krzywdą dla mas ludu polskiego. Przez politykę kolonizacyjną rząd usiłował wyrugować część ludu polskiego z ojczystych siedzib. W noweli osadniczej powiedziano chłopu i robotnikowi polskiemu: wolno ci zakupić kawał gruntu — ale nie wolno ci zabudować się na własnej ziemi bez rządowego pozwolenia! Wreszcie, gdy polityka rządowa wobec ludności polskiej zbankrutowała doszczętnie — wydano prawo o wywłaszczeniu. Wolno teraz rządowi w Poznańskiem i w Prusach zachodnich przyjść do właściciela folwarku lub do gospodarza i powiedzieć mu: „Wynoś się ze swej siedziby, ja cię wywłaszczam i osadzę na twej ziemi kolonistów, których sobie sprowadzę, którzy będą moją podporą polityczną!“)

28. Czyż nie może tych szkodliwych stosunków zmienić parlament?

Nie, gdyż o tem może rozstrzygać jedynie sejm, pruska izba poselska, a w niej znowu konserwatyzm, junkierstwo, szlachetczyzna.

29. Czyż parlament nie stoi ponad sejmem?

Nie, przeciwnie. Sejm ma więcej władzy od parlamentu.

30. Kiedy to się okazało?

Naprzykład w pierwszych latach tego nowego stulecia. Cła głodowe, jakie parlament uchwalił w 1903 roku, od których dziś lud tak wielce cierpi, zażądane najpierw zostały przez konserwatystów w pruskiej izbie poselskiej, a potem najpierw narzucone rządowi Rzeszy, a następnie parlamentowi.

31. Czy mieliśmy jeszcze podobne zajścia?

Tak, naprzykład w roku 1899. Wtedy najpierw w pruskiej izbie poselskiej zaproponowano niezapomniany jeszcze projekt ustawy cuchthausowej, która miała odebrać robotnikom przemysłowym prawo stowarzyszania się i zniżyć ich do poziomu robotników rolnych.

32. Jak się wogóle odnoszą pruscy konserwatyści do prawa wyborczego do parlamentu?

Chcieliby je oni najchętniej zupełnie usunąć.

33. Czy wypowiedzieli to też kiedy?

Nieraz, od lat dziesiątka, zupełnie bez ogródek. W roku 1895 taki hrabia Mirbach, w roku 1896 hrabia Franckenstein, a jeszcze w roku 1906 baron Zedlitz żądali tego.

34. Ależ w takim razie kuszą się zapewne i na inne prawa ludowe?

Oczywiście, chcieliby tak samo najchętniej usunąć wolność przesiedlania się, to najświętsze prawo każdego człowieka.

35. Przecież to już jest niemożliwem?

Tak bezpośrednie tego zrobić nie można, ale pośrednio, skrycie.

36. W jakiż sposób skrycie?

Chcieliby oni, aby na nowo zaprowadzono opłatę przy osiedlaniu się w mieście. Każdy, kto ze wsi sprowadza się do miasta, ma za to płacić podatek.

37. Czyż nie zapłaciłoby go wielu?

Oczywiście. Dlatego też panowie junkrzy planują jeszcze inny środek.

38. Co za jeden?

Każdy, kto wyprowadza się do innego miejsca, ma wprzódy udowodnić, że jest w stanie postarać się tam o zdrowe mieszkanie i opłacić je.

39. Iluż by to mogło zrobić?

Pomiędzy robotnikami i rzemieślnikami tak dobrze jak nikt.

40. Ależ na co konserwatyści planują takie zamachy?

Aby robotników przykuć do roli, utrzymać na wsi i wyzyskiwać ich tak samo, jak poddanych w średnich wiekach.

41. W takim razie konserwatyści zapewne nie chcą też nic wiedzieć o robotnikach przemysłowych?

Nie, zgoła nie; nawet w największej swej biedzie.

42. Cóż to za bieda?

Brak pracy. Większość przywódców konserwatywnych jest przeciwną wszelkiemu zabezpieczeniu na wypadek braku pracy.

43. Czy tak samo i względem robotników rolnych?

Tembardziej.

44. Któż to powiedział?

Naprzykład v. Burgsdorff na posiedzeniu dnia 2 czerwca 1905. Ośmielił on się powiedzieć tam dosłownie: „Ja co do mojej osoby muszę przyznać, że zabezpieczenie na wypadek braku pracy uważam wprost za niemoralne, gdyż

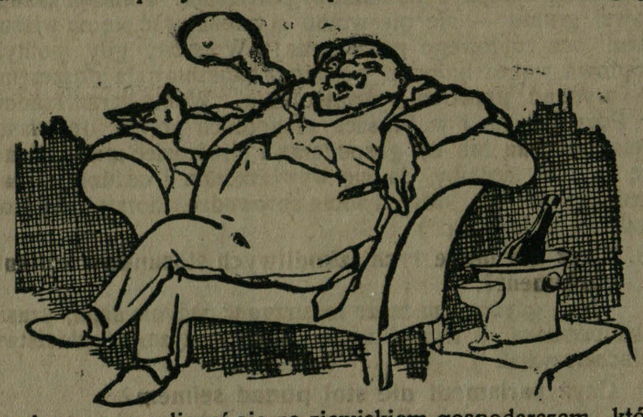

musimy zawsze liczyć się ze zjawiskiem gospodarczem, które istnieje, póki świat trwa: przyrodzonego lenistwa ludzkiego. Doszlibyśmy wreszcie do tego, że każdemu robotnikowi włożylibyśmy do kołyski abonament na wielki żłób państwowy". Powiedział to jeden z tych ludzi, którym wraz z ich rodzinami wysokie cła zbożowe i na bydło zapewniły wprost życie w rozkoszy i lenistwie na koszt całego ludu!

45. Zaprawdę, że pycha tych ludzi nie może już więcej się spotęgować?

Jednak ją okazali.

46. Wobec kogo zatem?

Wobec cesarza. Nawet temu potężnemu władcy narzucili swoją wolę.

47. Przy jakiej sposobności?

Przed kilku laty, kiedy miano budować wielki kanał pomiędzy Renem a Odrą przez całe Prusy, tak zwany kanał środkowy. Lud go się domagał, rząd go chciał a cesarz oświadczył: a jednak będzie budowanym, pomimo wszelkich przeszkód.

48. A cóż wtedy oświadczyli konserwatyści i ich przyjaciele w pruskiej izbie poselskiej?

A jednak budowanym — nie będzie.

49. I czy rzeczywiście nie został on zbudowanym?

Nie, dotychczas nie.

50. Jak może być wreszcie złamaną ta niesłychana potęga konserwatystów i ich przyjaciół w Prusiech?

Jeden środek do tego prowadzi: usunąć na zawsze ze szczętem pruskie trójklasowe prawo wyborcze. Dzięki temu prawu stali się oni wszechpotężnymi. Dopiero gdy ono padnie, padną i oni, najwięksi wrogowie kraju.

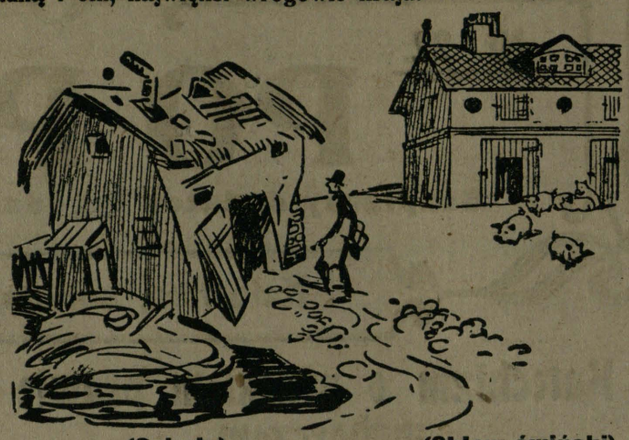

(Szkoła) (Chlew świński)

Część trzecia.

Co dotychczas zrobiono przeciwko prawu wyborczemu i co przeciwko niemu w przyszłości należy uczynić.

1. Czy w ciągu tych 60 lat, odkąd to okropne bezprawie wyborcze istnieje, nikt jeszcze nie miał odwagi potępić je?

Oczywiście, już wielu, nawet bardzo wysoko postawionych ludzi to uczyniło.

2. Kto naprzykład?

W najnowszym czasie jeszcze znany profesor nauki o gospodarstwie narodowem, Löhning, który sam jest członkiem pruskiej izby panów.

3. Cóż on powiedział?

Powiedział on dosłownie, co następuje: „Uważam prawo wyborcze za nieprawdziwe, ponieważ jedynie według nazwy jest ono powszechnem, w rzeczywistości jednak pozbawia ono 85 procent wyborców ich prawa wyborczego; nazywam je niesprawiedliwem, ponieważ ma ono się stosować podług usług każdego względem państwa, a mimo to 85 procent obywateli państwa, którzy służą państwu z bronią w ręku, podczas wojny oddają życie za nie, podczas pokoju muszą składać wielką część podatków, pozbawia prawo to wyborcze ich głosów".

4. Ostry w samej rzeczy wyrok?!

Inny jeszcze je ostrzej osądzili.

5. Kto taki?

Książę Bismark.

6. Cóż on powiedział?

Powiedział on również dosłownie: „Kto działaniu tego prawa wyborczego, jakie stwarza ono w kraju, nieco bliżej się przygląda, ten musi powiedzieć: bardziej przewrotne, nędzniejsze prawo wyborcze nigdzie, w żadnem państwie nie zostało wymyślonym; gdyby wynalazca jego uprzytomnił sobie jego praktyczne skutki, to nigdyby go nie zrobił".

7. Co mówią konserwatyści na ten druzgoczący sąd ich własnego przyjaciela?

Częściowo zaprzeczają mu, częściowo fałszują go.

8. Czyż to nie bezczelność?

Oczywiście. Ale tak postępują oni wobec zasad, jeżeli im one są nie na rękę.

9. Czy i książęta niemieccy potępili już trójklasowe prawo wyborcze?

Oczywiście, naprzykład przyszły król bawarski, książę Ludwik.

10. Cóż on powiedział?

Powiedział on co następuje: „Możemy się uważać za szczęśliwych, że do parlamentu niemieckiego mamy prawo wyborcze, z którego największa część ludności jest zadowoloną. Przyjrzyjmy się tylko tym państwom, w których istnieją jeszcze sztuczne systemy wyborcze, które sprzeciwiają się poczuciu sprawiedliwości szerokich mas. Powątpiewam jednak, czy długo jeszcze będą one istnieć. Przeciwnie, łatwo jest możliwem, że zastąpią je systemy wyborcze radykalniejsze.

Według mego zdania dają wybory wtedy tylko prawdziwy obraz przekonań całej ludności, jeżeli posiada ona równe, powszechne, bezpośrednie i tajne prawo wyborcze".

11. Czy książę bawarski chciał tem potępić także pruskie prawo wyborcze?

Czynił on to zawsze wyraźnie o tyle, o ile tylko pozwalało mu na to jego stanowisko. Gdyż kto oświadcza, że jedynie powszechne, równe, bezpośrednie i tajne prawo wyborcze jest słusznem, tem samem występuje przeciwko „nędznemu" trójklasowemu prawu wyborczemu. Tylko owe nazywa książę sprawiedliwem, a więc te drugie jest w jego oczach całkiem a całkiem niesprawiedliwe.

12. Czy każdy obywatel nie powinien za takie przekonanie szanować księcia bawarskiego;

Oczywiście, i nawet socjalni demokraci odnoszą się do niego za to z szacunkiem.

13. Ale czy nigdy jeszcze jaka partja w samym sejmie nie spróbowała haniebne to bezprawie usunąć?

Tak i nie.

14. Cóż to znaczy: tak i nie?

Znaczy to, że w samej rzeczy probowały tego dwie partje; ale jedynie dla pozoru, nie z uczciwości i nie z całych sił.

15. Jakie to są partje?

Centrum i wolnomyślni.

16. Cóż uczyniło centrum?

Już w roku 1873 postawiło ono przez swego ówczesnego przywódcę Windthorsta wniosek o zniesienie trójklasowego prawa wyborczego i wprowadzenie powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego prawa głosowania.

17. I cóż się stało z tym pięknym wnioskiem?

Został bez hałasu pogrzebanym.

18. Któż wtedy miał przewagę w izbie poselskiej?

Liberali.

19. Co, liberali?

Tak, liberali. Narodowi-liberałowie i wolnomyślni liczyli wtedy 242 posłów, centrum 106, junkrzy tylko 65,

20. Czemu jednak nie przyszli liberali z pomocą centrum? Przecież była to wtedy najlepsza sposobność, aby trójklasowe prawo wyborcze usunąć na zawsze?

Nigdy nie było bardziej pomyślnej chwili dla usunięcia tego prawa wyborczego, jak wówczas. Ale nawet wolnomyślni pod przywódcem Eugenjusza Richtera z chwili tej nie skorzystali.

21. A ci z jakiego powodu?

Ponieważ w partjach wolnomyślnych podówczas jak i dzisiaj przeróżni radcy komercyjni i giełdziarze dawali pieniądze i nadawali ton. A ci chcieliby chętniej pozostać pomiędzy sobą. Nie mają oni żadnego w tem interesu, aby tak samo i robotnicy, pomocnicy handlowi, drobni chłopi, rzemieślnicy i niżsi urzędnicy na równo z nimi byli uprawnieni przy wyborach.

22. Czemu jednak wtedy tak czynią, jak gdyby trójklasowe prawo wyborcze chcieli posłać do djaska?

Aby łatwowiernym ich zwolennikom z niższych klas ludności sypnąć w oczy piaskiem i aby utrzymać ich w dobrej wierze.

23. Cóż więcej uczyniło centrum przeciwko trójklasowemu prawu wyborczemu po roku 1873?

Nic, tylko przy sposobności protestowało ono przeciwko niemu.

24. Czy wyrzekło się ono swego żądania powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego prawa wyborczego?

Nie, bynajmniej. Ale nie skrzywiło ono nawet małym palcem, aby je przeprowadzić.

25. Jest to przecież połowiczność i fałsz zarazem. Jak to należy rozumieć?

Należy to rozumieć tak samo jak u wolnomyślnych. Tak samo i centrum dzieli się na dwa obozy: po jednej stronie mamy szlachtę, wielkich właścicieli ziemskich, fabrykantów, księży, po drugiej stronie — drobnych chłopów, rzemieślników, niższych urzędników, robotników. Pierwsi czują się przy trójklasowem prawie wyborczem całkiem dobrze; gdyż korzyści, jakie sobie zapewniają konserwatyści i narodowi-liberałowie, stają się również i ich udziałem. Drudzy natomiast, lud w centrum, posłaliby trójklasowe prawo do piekła. Aby ich zbałamucić, pisze się wprawdzie i mówi przeciwko temu nędznemu prawu wyborczemu, ale strzeże się, cokolwiek przeciwko niemu uczynić. Tam mami się łatwowierny lud.

26. Pòki wreszcie tej łatwowierności się nie pozbędzie i nie spadną mu łuski z oczu!

Tak, na centrum też zemści się wreszcie taki fałsz.

27. Jak jednak zachowywali sie przywódcy wolnomyślni od roku 1873?

Im słabsi byli w izbie poselskiej, tem głośniej i śmielej występowali za usunięciem trójklasowego prawa wyborczego.

28. Czemu to?

Ponieważ nie mieli już więcej władzy, aby swe piękne słowa także przeprowadzić. Gdyż o to starali się już coraz bardziej od swego czasu silniejsi konserwatyści.

29. Co za tchórzostwo!

Rzeczywiście, jakie nędzne tchórzostwo!

30. A jak się odnosi rząd pruski wobec zaprowadzenia równego, tajnego i bezpośredniego prawa wyborczego w Prusiech?

Stanowczo odrzuca on takie żądanie.

31. Czy i kanclerz Rzeszy książę Bülow?

Ten tembardziej. Nigdy żaden minister nie odrzucił je tak ostro i krótko jak on.

32. Czy jednak Bülow nie jest przyjacielem postępu, czy nie stworzył on liberalno-konserwatywny blok i nie obiecał ludowi liberalną, wolnościową politykę?

Jeno w słowach. Czyny jego jednak inaczej wyglądają.

33. Cóż on uczynił w sprawie prawa wyborczego?

Dnia 10-go stycznia 1908 roku wypowiedział on ludowi, który pogardza trójklasowem prawem wyborczem, wojnę aż do noża.

34. Jakiemi słowami?

Następującemi gorzkiemi, zjadliwemi, szyderczemi słowami: „Dla królewskiego rządu państwowego i nadal pozostaje, że przeniesienie prawa wyborczego do parlamentu na Prusy nie odpowiadałoby dobru państwa; również nie może rząd przyobiecać, że jawne głosowanie zastąpionem będzie przez tajne".

35. Jak mógł słowa te odczuć książę Ludwik bawarski?

Jako wymierzony mu przez Bülowa policzek.

36. Czy po tem swojem wypowiedzeniu wojny wystąpił też Bülow z czynem?

Jeszczeby nie!

37. Przy jakiej sposobności?

Kiedy lud przeciwko tej odmownej odpowiedzi demonstrował na ulicach Berlina dnia 12-go stycznia 1908 roku.

38. Czyż lud chciał zrobić rewolucję?

Nie myślał on o tem. Chyba zaledwo jeden pomiędzy stutysiącami mężczyzn i kobiet miał przy sobie broń.

39. Czemu jednak wtedy ta stutysięczna masa wyszła na ulicę?

Aby swoje żądanie powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego prawa wyborczego objawić przed całym światem.

40. Czy wstrzymywała ona przytem ruch?

Zgoła nie. Dla wszystkich było jeszcze dość miejsca.

41. A cóż mimo to stało się?

Zepchnięto ją na kilku miejscach, zawezwano do ro-



zejścia się, a ponieważ nie było to możliwem zaraz uczynić poczęto płazować bezbronnych i bezsilnych.

42. Czy więc krew została przelaną?
Krew mężczyzn i kobiet.

43. W jaki sposób chce się więc utrzymać najwidoczniej trójklasowe prawo wyborcze?
Siłą, tak jak siłą niegdyś zostało ono ludowi narzuconem.

44. Czy się to uda?
Na stałe się to nie uda.

45. Czemu się nie uda?
Ponieważ i Prusy, chociaż w całym świecie kroczą w tyle i ze wszystkich państw prawie jedne jeszcze mają trójklasowe prawo wyborcze, na stałe nie będą mogły się opierać.

46. Jakie państwa mają wolnościowe prawo wyborcze?
W Niemczech mają Bawarja, Badenja, Wyrtembergja powszechne, równe, tajne i bezpośrednie prawo wyborcze; Oldenburg dopiero co wprowadził je u siebie; tak samo i Hessja cieszy się już lepszem prawem; w Saksonji i Brunświku właśnie trójklasowe prawo wyborcze usuwa się; nawet Meklenburg otrzymuje wreszcie konstytucję. Zagranicą zaś mają Anglja, Erancja, Włochy, Szwajcarja, Szwecja i Norwegja, Finlandja, Ameryka i Australja dawno już ludzkie prawo wyborcze; również i Austrja otrzymała wreszcie powszechne prawo wyborcze. Węgrom zostało ono przyrzeczonem; Persja tak samo wywalczyła sobie konstutycję; Portugalja jest na drodze ku temu. Nawet trzecia Duma rosyjska jest jeszcze ciągle lepszą jak pruski trójklasowy parlament. Na całym cywilizowanym świecie kroczy powszechne prawo wyborcze w pochodzie zwycięzkim: to też i Prusy będą musiały mu wreszcie otworzyć swoje średniowieczne wrota.

47. Któż jednak utoruje w Prusiech drogę wolnemu prawu wyborczemu?
Partja ludu, socjalna demokracja.

48. Czy będzie ona rzeczywiście miała powodzenie ze swoją pełną trudów pracą?
Będzie, tak dobrze jak i socjalna demokracja austrjacka miała powodzenie, jeżeli tylko masa ludu, robotnicy przemysłowi i rolni, robotnicy państwowi i komunalni, rzemieślnicy, niżsi urzędnicy, drobni kupcy, pomocnicy handlowi i drobni chłopi, jawnie i skrycie, wszędzie ciężką jej walkę wspierać będą.

49. Czy też socjalna demokracja wartą jest takiego zaufania i takiej pomocy? Czy nie oczernia ją się właśnie teraz?
Kto ją oczernia i podaje w podejrzenie, to są jej polityczni wrogowie, przywódcy konserwatystów, narodowych liberałów, centrowców. (Tak samo i przywódcy szlacheckiego Koła polskiego. Przypisek tłomacza). Ci też wiedzą, czemu popełniają taką podłość. Szukają oni zawsze i tylko swego dobra. Lud prowadzą oni ciągle jeszcze za nos; robili mu obietnice, nie dotrzymując je nigdy; utrzymywali go sztucznie i gwałtem w ciemnocie, nieświadomości, bezsilności i zależności; przeszkadzali mu zawsze szukać swego całego, wielkiego, świętego prawa i znaleść je. Aż wreszcie przyszła socjalna demokracja! Aż wreszcie ona wytknęła ludowi godny człowieka cel życia, dała mu poznanie prawdy, uświadomienie, wiedzę, wpoiła mu zaufanie do siebie samego, własną wolę, nadzieję do życia. Póki ona nie stała się jego obrońcą przeciwko możnym. Dlatego też ta trucizna i ta żółć tych możnych przeciwka niej, dlatego też te kłamstwa i oszczerstwa, napaści i prześladowania. Dlatego też przywódców jej wypędzono niegdyś z kraju lub też więziono ich; dlatego też rozbijano ich towarzystwa, konfiskowano ich kasy, gnębiono ich prasę. I dziś jeszcze powtarza się to samo, tylko nieco innymi środkami, a jeśli inaczej nie idzie, szablą policyjną. Znowu dzisiaj podburza się biedny lud przeciwko niej, jego jedynej przyjaciółce. Słuchaj, ludu! Nie daj się znowu osidlać! Przystąp do nas, do socjalnej demokracji! U nas jest twoja kość, twoja krew, twoja opora, twój przytułek! Bądź mądrym, ludu!

50. Masz słuszność, po tysiąc razy słuszność. Ale jak lud może najlepiej popierać walkę socjalnej demokracji o reformę (naprawę) wyborczą?

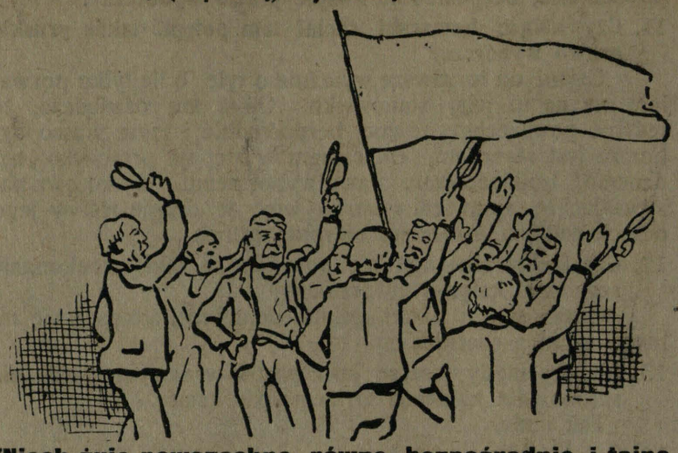

(Niech żyje powszechne, równe, bezpośrednie i tajne prawo wyborcze)

Jedno przedewszystkiem jest teraz potrzebnem: abyście wszyscy odczuwali całą niesłychaną krzywdę trójklasowego prawa wyborczego. Abyście wszyscy coraz wyraźniej poznali szkodę, jaką prawo to wyborcze wyrządza wam wszystkim mężom, kobietom i dzieciom ludu co rok, co dzień, co godzinę. Gdyby nie było tego bezprawia, to podatki wasze nie byłyby tak uciążliwe, prawa wasze większe, wykształcenie wasze wyższem, wasza możność zarobkowania pomyślniejszą, wacz wikt, odzież i mieszkanie przyjemniejszem i tańszem, wasze życie radośniejszem, miłość wasza do kraju pełniejszą i żywszą. I dlatego co dzień pamiętajcie o ciężkiem brzemieniu tego trójklasowego prawa wyborczego. Ranem, gdy dźwigacie się z waszego łoża, niechaj pierwszą waszą myślą będzie to brzemię i ta hańba. Podczas obiadu gdy spożywacie wasze liche jadło, przy każdym kąsku, przy każdym łyku, jaki bierzecie do ust, pamiętajcie o tej waszej hańbie. Wieczorem, gdy idziecie na spoczynek, niechaj będzie jakby modlitwą wieczorną: precz z trójklasowem prawem wyborczem! Bądźcie pełni pogardy i rozgoryczenia przeciwko temu bezprawiu. Opowiadajcie o tem waszym żonom, waszym starzejącym się krewnym, waszym dzieciom, waszym nieuświadomionym jeszcze towarzyszom pracy. Niechaj nie będzie żadnej rozmowy bez tego, aby nie wspominano hańby trójklasowego prawa! Póki ostatni z Was nie przejmie się nią, póki cały, wielki, silny lud nie stanie się podobnym do kołyszącego się morza, nad którym zbiera się burza. Póki fale jego nie podniosą się groźnie. Wtedy, wtedy wreszcie wybije godzina, kiedy runie twierdza waszej niewoli. I wtedy — czuwajcie!

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 23. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 6 czerwca 1908.

Frank Wedekind.

Nieszczęsna ofiara.

(z niemieckiego).

— Nie, proszę cię, nie pytaj, dla czego tu jestem i w jaki sposób się tu dostałem.

Przecież to ciebie nie interesuje!

Jutro będziesz się śmiać z tego, czytam to w twojej twarzy. Dlaczego chcesz mnie zmusić do płaczu? Przecież lepiej dla ciebie, gdy jestem wesoła.

I ładna, białośnieżna, zgrabna córa Monachjum, o długich, gęstych, czarnych włosach, drżąca pochyliła się nad nim i pocałowała go w usta. Całowała na pół przymglone oczy, o długich rzęsach, by zmusić do zapomnienia o pytaniu. Ale to nie pomogło. Oswobodził się z jej objęć i odepchnął. W taki sposób uczynił ją bezbronną, gdyż piękność jej była jej jedyną siłą. Właściwie nie był namiętnym a raczej był gastronomem, dla którego Bóg i natura wszystko stworzyli niedostatecznie doskonale. Do wszystkiego musiał zawsze dodawać swoje poprawki. Już w latach młodych poznał rozkosz życia, teraz pogardzał wszystkiem tem, co dla innych śmiertelników stanowiło uciechę. I dlatego niemogło mu dać zadowolenia, gdy młoda, ładna, ale pozbawiona ludzkiej godności dziewczyna, niezmuszona, z dziwną łatwością grzeszyła, oddając siebie pod panowanie jego pożądaniom. Przedtem musiał rozbudzić w niej świadomość tego, co zamierzała uczynić, by przekonać się i odczuć choć lekki ból straconej duszy.

Więc nie poddawał się jej urokowi i nie zdradzał się ani słowem, ani spojrzeniem, ale jak ksiądz na spowiedzi z uporem dopytywał się, czy nie przywiódł ją tu głód.

— Nie, nie. Od czasu, jak mogę pamiętać, nie doznawałam nigdy głodu. U nas w domu trzy razy na tydzień jedliśmy mięso.

Był o tem przekonany. Widząc ją, nikomu na myśl nie przyszło, żeby cierpiała głód.

— Ale miewałaś zapewno ciężkie, ponure sny, które męczyły ciebie? Przyszłaś zapewne po to, by zaspokoić swoją młodość?

— O, Boże, ależ nie! Nie tykaj mnie więcej. Czy stale mieszkasz w Zurychu, czy tylko jesteś przejezdny?

— Przejazdem? Czy twoi rodzice jeszcze żyją?

— Tak, ale nie wiedzą, gdzie jestem.

— I o tem, że jesteś w Zurychu?

— Nie. Nic o mnie nie wiedzą.

— Jak się nazywasz?

— Nazywaj mnie Martą.

— Martą? Tak, tak. Istnieje na świecie bardzo wiele Mart. Wiedziałem o tem, że masz na imię Marta.

— Możesz adresować tylko „Marta“, jeśli chcesz napisać. — Bądź przekonany, że list otrzymam. Wszyscy moi przyjaciele piszą tylko „Marta“.

— A nazwisko?

— O, tego nie powiem, gdybyś nawet położył mi nóż na gardle. Pozwolę siebie raczej zabić, niż wymowić nazwisko mego ojca.

— W jaki sposób tu się znalazłaś?

Odpowiem innym razem. Tylko nie dzisiaj. Proszę cię.

— Zmuszona zapewne byłaś dużo pracować w domu? Musiałaś rano wstawać, myć podłogi, schody.

— Pracowałam zawsze z przyjemnością.

— To prawda? Czy to takie szczęście podług ciebie? Tu przecież daleko ci wygodniej.

— Dlaczego tak mówisz! Opowiem ci, co mnie tu zagnało. Teraz chcę wierzyć, że mi współczujesz. Inni mężczyźni nie chcą nic innego słyszeć odemnie, prócz tłustych dowcipów, i przy każdem innem słowie zatykają mi usta, oni lubią tylko przyjemne dla nich słowa. Bóg widzi, że przed nikim jeszcze nie zwierzałam się ani jednem słówkiem, chociaż wciąż myślę o tem dzień i noc. Jedyną pociechą dla mnie jest to, że wszystko na świecie przemija szybko — i każdego czeka jednaki koniec, o wszystkiem zapomnimy.

— Więc nie wierzysz w świat pozagrobowy?

— O, może istnieje dla bogatych i dobrych, ale nie dla nas. To byłoby za okropne!

I młoda dziewczyna raz jeszcze zajrzała mu w oczy, gdyż nie była pewna, czy nie kpi sobie z jej szczerości. Później zgasiła lampkę i zaczęła opowiadać:

— Miałam wówczas lat czternaście, gdy matka oddała mnie do magazynu. Nie miałam jeszcze sformowanej figury, a oczy miałam tak wielkie jak u cielaka.

W magazynie były cztery uczenice. Róża, Zilli, Kasia i ja. Od poniedziałku zaczęłyśmy już rachować, ile dni pozostaje do niedzieli.

W niedzielę po obiedzie, odwiedzałyśmy się wzajemnie, piłyśmy kawę i udawałyśmy się do parku angielskiego w Monachjum.

— Tak, tak... Ja często ze swoją lubą też ślizgałam się po stawie.

— Nie powinieneś mi mówić o tem.

— O czem rozmawiałyście, spacerując tak we czwórkę?

— Najczęściej o naszej pannie starszej.

Była tak nieporównanie zręczną w sztuce kroju, że uważałyśmy ją za istotę nadzwyczajną. Gdy się zjawiła klientka po raz pierwszy, ona spojrzała tylko za nią i odrazu krajała stanik na kolanach. Zdawało się, że rysuje nożyczkami.

— A wogóle o niczem więcej nie rozmawiałyście?

— Dlaczego nie? O naturalnie. Każda opowiadała o swojem nowem życiu. Zilli miała brata, któremu szyła sukienki. Chodził wówczas do szkoły. Czasem robiła z nim lekcje. Nie uwierzysz, jak była z niego dumna. Teraz, gdy jestem sama myślę często: gdybym miała dziecko — i wówczas myślę o małym Hansie. Był tak piękny.

— No, ale nie płacz.

— Nie dlatego płaczę. Przypominam sobie, jak dawniej bałam się tego, a teraz byłabym tak szczęśliwa, miałabym choć coś z życia.

— Ale ty byś dziecko zepsuła!

— Tak, masz rację, ja bym go rozpieściła. Kochałabym go tak bardzo.

Musiało by mu być dobrze, lepiej, niż innym dzieciom na świecie.

— Więc, ty go, znaczy się, kochasz jeszcze?

— O, tak. Jaki ty jesteś dobry! Tobie mogę opowiedzieć wszystko.

— W jaki sposób go poznałaś?

— Było to zimą, pewnego wieczora o godzinie dzie-

wiątej. Byłam już dwa lata w magazynie. Nosiłam długie suknie, a gdy przechodziłam bez kapelusza w fartuszku, mężczyźni oblizywali się na mój widok Śmiałam się z tego, gdyż uważałam to za komplement dla siebie, ale nie wiele o tem myślałam. I otóż pewnego wieczora, moja dozorczyni kazała mi odnieść suknię do baronowej Uher, na ulicę Szwabingską.

Chciałam jechać tramwajem, ale nie było miejsca. Wiatr był tak silny, że cegły skrzypiały w kominach. Było ogromnie zimno.

Wszyscy byli odziani w futra i czapki futrzane, ja zaś w któtkim żakiecie z dużymi guzikami i wielkim kapeluszem z piórem, który musiałam przytrzymywać ręką, gdyż zrywał wiatr z głowy.

Już na ulicy Teatralnej myślałam, lepiejbym się nie narodziła. Nie czułam ani rąk ani nóg i co krok zawadzałam o kogoś. Raz uderzyłam się o słup latarniany i złamałam parasol. Później wiatr porwał go na kawałki. Snieg spadał mi za kołnierz, topniał i ściekał po szyi. Zmokłam od stóp do głowy, jak pies w taką pogodę.

Nagle zerwał się rzemień, za który trzymałam pudełko i suknia upadła do śniegu. Wolałabym ujrzeć śmierć swoją, niż to co się stało. Podniosłam suknię, otarłam chusteczką od nosa śnieg z papieru, żeby nie zmaczała się suknia i chciałam wziąć pudło pod pachę. Ale zerwał się wiatr i podniósł moją suknię aż do kolan. O Boże, pomyślałam, żeby tylko nikt nie widział.

Zaraz potem podszedł do mnie jakiś mężczyzna i zapytał, czy może pomóc nieść pudełko. Odpowiedziałam tak. Poszliśmy razem, odprowadził mnie do samego domu. Opowiedział tylko tyle, że ma posadę i ze swej skromnej pensji utrzymuje matkę sześćdziesięcioletnią staruszkę.

Ja odpowiedziałam co robię, gdzie pracuję.

Idąc, ani razu nie spojrzałam na niego i nigdy w życiu nie poznałabym go przy spotkaniu.

Wojtek i Józek o agitacji.

(Dokończenie.)

Józek: Przekonałem się teraz, że masz zupełną słuszność, będę więc agitował, a wiem napewno, że szwagra i kumotra do związku dostanę, skóro im opowiem to, coś ty mi dzisiaj mówił. Do gazety też napiszę. A teraz pójdź, wypijemy jednego, kiedyśmy się tak pięknie zmówili.

Wojtek: Ja wódki nie piję.

Józek: No pójdź już, ja zapłacę. Jednego wypić można, to nic nie zaszkodzi.

Wojtek: Tak mówi każdy pijak. Potem to jeden po drugim zostanie wychylony, bo przecież na jednym nigdy się nie skończy, aż człowiek w przykopie legnie, jak go karczmarz ze szynku wyrzuci. Cała moja gadka będzie daremna, jeżeli ty raz na zawsze nie przestaniesz z tą nieszczęśliwą oparą. **Pamiętaj: człowiek pijany traci wszystko co posiada; traci pieniądze, rozum, zdrowie, honor, szczęście rodzinne i staje się bydlęciem.** Czy będziesz się gniewał czy nie, ja muszę ci prawdę powiedzieć.

Józek: Słuszność masz Wojtku, ale ja widzę, żeś ty gorszy jak farorz, bo nawet farorz grzechy odpuści.

Wojtek: Niech ci tam farorz odpuści, ale ja ci nie odpuszczę. Ja ci ten grzech tylko wtedy odpuszczę, jeżeli się poprawisz. — Walka nasza jest bardzo ciężka, kto chce z nami walczyć, musi mieć rozum bystry, musi mieć głowę na karku, a pijak to nigdy bystrego rozumu niema. Ot idzie tam Bartek Nowotny, a jaki on blady!

Józek: Pewnie idzie z lazaretu, bo go też na filarze węgle zasypały i złamały nogę, od kiedy już przeszło ćwierć roku upłynęło.

Bartek (nadchodzi i wita Józefa i Wojtka): Jak się macie, kamraci?

Wojtek i Józek: Wiesz jak się mamy, przeszliśmy z jednej kopalni na drugą a wyzysk wszędzie jednaki. A ty gdzie byłeś?

Bartek: Teraz idę z biura związkowego. Byłem 17 tygodni w lazarecie, dzisiaj wypłacił mi Adamek 45 marek „krankszycht“ za 15 tygodni. Ucieszy się moja kobieta, bośmy się trochę zadłużyli przez moją chorobę. Jednak to dobrze mieć jakąś pomoc ze związku. A teraz dopiero mi związku będzie potrzeba, wczoraj mi doktór z bergverwaltrem rentę usadzili. Powiedzieli mi, że tylko z łaski dostanę 15 procent, bo mam już zdrową nogę i mogę znów robić jak przedtem. Adamek mi wyrachował, że 15 procent podług mojego zarobku, uczyniłoby 13 marek na miesiąc. Mnie tu nożysko boli, tak że ledwie idę, a panoczkowie każą mi robić jak przedtem. Żeby oni tylko ze złamaną nogą mieli stać na 10-metrowej drabinie i wiertać, toby wiedzieli, co to znaczy robota. Z początku będę musiał jaką lekką robotę wykonywać, a jak dostanę papiery z unfalu, to zaraz pójdę do związku i dam sobie skargę (Berufung) zrobić.

Wojtek: A w lazarecie jak ci tam szło?

Bartek: Bracie! Tam dopiero potrzeba reformy! Wolę miesiąc robić, jak jeden dzień tam leżeć. Żeby mi żona omasty i kąsek kiełbasy nie przyniosła, byłbym musiał suchy chleb jadać. Odwiedzę ale twego Kaźmierza, bo musimy stosunki lazaretowe gruntownie do gazety opisać, o co mnie chorzy kamraci prosili.

Józek (zdziwiony): Patrzcie to nawet w lazarecie można stosunki poprawić przez gazetę. O tem będę każdemu opowiadał i go do związku zachęcał.

Bartek: Ja się już mocno cieszę na niedzielne zebranie, bo wskutek choroby blisko pół roku nie mógłem być na zebraniu. Mam też 5 nowych kolegów, co chcą na zebranie przyjść i wstąpić do związku. Zaagitowałem w lazarecie, których teraz na zebranie przyprowadzę. A ciebie, Józku, jeszcze nigdy nie widziałem na zebraniu, czemu ty nie chodzisz?

Józek: Daj mi spokój, braciszku, bo mi już Wojtek słusznie nawymyślał, tak, że teraz na każdem zebraniu będę. Dziś dopiero przekonałem się, co to dla nas biedaków związek znaczy. Mogłem już dawno być jego członkiem, żeby nie gorzałka...

Bartek: Widzisz, bracie, tu trafiła kosa na kamień. Jeżeli ci Wojtek w tym względzie prawdę powiedział, to możesz mu za to podziękować stokrotnie, bo alkohol jest największem nieszczęściem naszego narodu. Jeżeli się z tych kajdan uwolnimy, to będziemy dość silni uwolnić się z kajdan kapitalistycznych i hakatystycznych.

Wojtek: Tak jest! Oświata, jedność i praca — narody zbogaca. Dojdziemy do jedności, skoro przestaniemy nadużywać alkoholu, a pracować już umiemy. Czy to nie jest dowodem polskiej pracowitości, że polski górnik i hutnik na Górnym Śląsku w jednym roku (1907) swą pracą za 745 miljonów 462 tysięcy i 926 marek wartości wytworzył? A jaką za to mamy zapłatę? 177653701 marek dostaliśmy razem zarobku.

Józek: O rety, czy to aby prawda?

Bartek: Tak, tak, Józelie, dowiesz się jeszcze więcej, jeno przyjdź na zebranie.

Wojtek: Oj biada wam, biada wyzyskiwacze!! Zbieracie plony naszej pracy — miljonowe plony... A nam w zapłacie pozostawiacie biedę i nędzę, niedostatek i poniewierkę — prawa wyjątkowe... Usta chcecie nam zamknąć na zebraniach publicznych, żeby się świat nie dowiedział o krzywdach, które nam wyrządzacie. Mam ale mocną nadzieję, że robotnik górnośląski się teraz ze snu obudzi, że się zorganizuje i zawoła: Dosyć wyzysku! Dosyć ucisku! Dosyć bezprawia! — Ja z mej strony teraz jeszcze bardziej ręki do tego przyłożę, będę agitował, będę chodził od domu do domu — póki żyć będę...

Bartek i Józek: Oj prawda to, prawda! I my zabierzemy się do agitacji, a praca nasza nie będzie daremną, bo z nami agitować będą setki kamratów na każdej wsi, kopalni, hucie i fabryce.

Józek (ściska dłoń Wojciechowi): Serdecznie dziękuję ci za to, żeś mi dziś oczy otworzył, żem prawdę poznał; przysięgam ci, że od tej godziny nie będę pił gorzały i stanę się człowiekiem. Jeszcze dziś opowiem wszystko mej żonie. I ona będzie szczęśliwą, jak jej powiem, że już więcej nie będę się upijał i żeś ty mnie — jako związkowiec — z tej nieszczęśliwej drogi sprowadził. Z pewnością na związek już wyzywać nie będę. A na przyszłe zebranie to żonę

i Walka i szwagra także wezmę ze sobą. Do gazety też list napiszę o tem nieszczęściu „zkiż“ tych nieporządków.

Wojtek: Jeszcze jedno. Zawsze jak będziesz pisywał listy do gazety o nieporządkach, to nie zapomnij następujących reguł: 1) Pisz tylko szczerą prawdę; 2) pisz krótko i jasno: co się stało, gdzie się stało, kiedy się stało, jak się stało i kto to widział. Trzeba nawet przy ważnych rzeczach podać imię i nazwisko świadków, których redaktor nie ogłosi i nikomu nie zdradzi; 3) papier wolno zapisać tylko po jednej stronie; 4) papier powinien być wąski, po lewej stronie powinno zostać cokolwiek miejsca, tak samo i pomiędzy rządkami, żeby tam redaktor mógł zrobić swoje poprawki. Czego dokładnie nie wiesz, tego lepiej nie pisz, bo jak napiszesz nieprawdę, to redaktor za ciebie musi iść do więzienia.

Józek: Dziękuję ci za twoje wskazówki i będę je sumiennie przestrzegał. A teraz do widzenia, bo jeszcze mam daleko do domu, a wieczorem idę na nocną szychtę. Na zebraniu zobaczymy się napewno. Do widzenia!

Wojtek i Bartek: Do widzenia! Na przyszły raz więcej.

J. A.

Telegrafja bez drutu.

Po pierwszej udatnej próbie przesłania bez drutu znaków telegraficznych z Irlandji do Ameryki Północnej, dokonanej przez Marconiego, przepowiadano niezwłocznie zanik telegrafji kablowej; nawet technicy, przynajmniej w myśli, rzucali na szmelc wszystkie kable transatlantyckie. Wkrótce jednak przekonano się, że energja, niezbędna dla wytworzenia daleko sięgających fal elektrycznych przy przekroczeniu pewnej odległości, dosięga olbrzymich rozmiarów; tak, dla pokonania przestrzeni od Irlandji do wysp New-Foundland trzeba było zastosować do przyrządu Marconiego maszyny o sile paruset koni. Koszta eksploatacji wzrastać muszą wskutek tego tak szybko, że telegrafowanie kablowe pozostaje znacznie tańszem. Telegrafja bez drutu została wskutek tego ograniczoną prawie wyłącznie do tej dziedziny, w której połączenie kablowe jest całkowicie wykluczone — mianowicie do komunikowania brzegów z okrętami i okrętów między sobą.

Coprawda, to dopiero początki, i prawdopodobnie nadejdzie wkrótce chwila, gdy będziemy w stanie, choć w części ograniczyć to trwonienie energji elektrycznej, jakie ma miejsce w telegrafji bez drutu. Przyczyną tego trwonienia jest ta okoliczność, że fale elektryczne rozchodzą się równomiernie na wszystkie strony i słabną wskutek tego w stosunku drugiej potęgi do odległości.

Zadanie obecne polega na tem, aby przeszkodzić rozpraszaniu się fal elektrycznych na wsze strony i skupić je w jednym określonym kierunku, jak to ma miejsce z doskonałym skutkiem w reflektorach. Światło pojedyńczej lampy łukowej, promieniejącej bez przeszkody na wszystkie strony, jest już w odległości paruset metrów zaledwie spostrzegalnem, podczas gdy to samo światło, skoncentrowane za pomocą reflektorów i soczewek w jednym kierunku, widocznem jest jeszcze na odległości wielu kilometrów.

Latarnie morskie i wojenne reflektory stosują ten system z najlepszym skutkiem.

W podobny sposób postępować należy przy telegrafji bez drutu. Umiejętność kierowania fal w jednym określonym kierunku posiadamy dziś zaledwie jeszcze w słabym stopniu. Ostatnie doświadczenia w Nauen wskazują jednakże, do jakich wspaniałych rezultatów można dojść tą drogą

System ten pozwala przynajmniej do pewnego stopnia wytykać drogę fal, rezultatem zaś jest znaczne zwiększenie odległości sięgania fal przy jednoczesnej oszczędności niezbędnej energji. W początkach grudnia r. z. stałą komunikację między Nauen i Teneriffą podtrzymywał motor o sile 75 koni. Fale elektryczne przebiegały całe Niemcy, Francję i Hiszpanję, czyli około 2,400 kilometrów lądu i prócz tego koło 1,300 kilometrów otwartego morza. Możność skierowania fal elektrycznych wyłącznie i ściśle w jednym kierunku, zmniejszyłaby jeszcze niezbędną energję, zwiększyłaby promień sięgania i zapewniłaby telegrafji bez drutu pierwszeństwo w praktyce w jej walce z telegrafją kablową.

Pierwszeństwo to jest coprawda uzależnione jeszcze od jednego warunku: odebrać depeszę powinna tylko ta stacja, dla której ona przeznaczoną została, dzisiaj zaś każda stacja ma możność odbioru dowolnego telegramu. Nie ulega wątpliwości, że łatwość przełapywania depeszy przez stacje dowolne w silnym stopniu obniża wartość tego systemu, z drugiej strony, wrażliwość przyrządu odbiorczego na wszelkie depesze ujawnia wpływ na prawidłowość eksploatacji; firmy konkurencyjne mogą umyślnie dzięki tej wrażliwości szkodzić sobie nawzajem.

Pełnię zastosowania uzyska telegrafja bez drutu wówczas dopiero, gdy aparat odbiorczy każdej stacji nastawiony będzie na pewną określoną ilość drgań w sposób podobny jak kamerton, który dźwięczy wówczas, gdy sięgają go fale określonej czystości.

Doświadczenia duńczyka Poulsena obiecują pod tym względem bardzo wiele. Udało mu się regulować długość fal elektrycznych z dokładnością do 1%, — szkodliwy wzajemny wpływ stacji telegraficznych został wskutek tego prawie całkiem usunięty. Na stację odbiorczą, uregulowaną dla fal elektrycznych o długości 500 metrów, oddziaływać nie będzie fala o długości 510 metrów.

Stacja wysyłająca, chcąc się skomunikować z pewną stacją, musi jedynie uregulować swój przyrząd wysyłający, aby wysyłał fale długości właściwej wskazanej stacji odbiorczej. Uniemożliwia to przyjęcie telegramu przez inne, niepowołane stacje. Z drugiej strony, stacja odbiorcza, czuła na fale jednej określonej długości, nie będzie wrażliwa na fale, nie dla niej przeznaczone.

Rozmaitości

Kościół a niewolnicy. „Prawo ludu“ przytacza na ten temat następujące fakty: 1) Wielkie zgromadzenie kościelne w Elwirze w r. 303 po Chr. pozwala panom-chrześćjanom, by licząc się z możliwą buntowniczością niewolników, postawili im bałwany. 2) Sobór w Lances w r. 364 postanowił wykląć tych, którzy pobudzają niewolników do opuszczania swych panów. 3) Sobór orleański w r. 541 postanowił: jeżeli dwoje niewolników, mężczyzna i kobieta, szuka schronienia w kościele, by się tam zaręczyć i uwolnić od swego pana, należy ich odesłać do właściciela. 4) Sobór Narboński w r. 589 postanowił, że niewolnik, który wzdryga się pracować w niedzielę, otrzymać ma 100 plag rózgami. 5) Sobór w Reims w r. 630 zakazuje niewolnikom wszelakiego dochodzenia swych spraw. 6) Uznany za najbardziej uczonego historyk kościoła Doellinger pisze: papieże zwykli byli rozciągać niewolnictwo jako karę na całe miasta i prowincje; uczynił to Bonifacy VIII z poddanymi rodu Colonna, Klemens V z Wenecjanami, Sykstus IV z Florentczykami i Wenecjanami. 7) Rozkoszny w dziele „Kolonje w Afryce“ pisze: już w r. 1442 portugalczycy przywieźli do Europy 10 niewolników murzyńskich, których ofiarowano papieżowi Marcinowi V. W dziesiątym i jedenastym wieku klasztory w Alzacji i Lotaryngji uprawiały zawodowo chów niewolników, kastrując i sprzedając ich w charakterze eunuchów dworom mahometańskim w Hiszpanji. 8) W Bawarji i w Niemczech w ogóle klasztory kupowały, sprzedawały i zamieniały niewolników, pojedyńczo i rodzinami. 9) Niewolnictwo w Północnej Ameryce zostało zniesione, jak wiadomo, dopiero przed trzydziestu kilku laty, w Brazylji zaś zaledwie przed 17-tu laty. Wszelako kościół katolicki nie wziął udziału w tym ruchu, aby się nie sprzeciwić interesom właścicieli niewolników.

* * *

Sąd ostateczny. Niedawno wyszło — jak donosi warszawska „Myśl Niepodległa“ — wielce ciekawe dzieło p. t.: „Jehowy dzieła zebrane“. Autorem jest Saladin a dzieło swe napisał w języku angielskim; wyszło też już tłomaczenie niemieckie. Wywody uczonego co do „sądu ostatecznego“ są następujące:

„Gdyby ludzkość żyła istotnie tylko 6000 lat, to wskutek rozradzania się mielibyśmy obecnie 661 180 kwintylionów ciał, co dokładnie wyrażone tak wygląda:

661,180,000,000,000,000,000,000,000,000,000,000!

A ponieważ powierzchnia ziemi posiada 1206 biljonów stóp kwadratowych, przeto ziemia znikłaby całkiem pod stosem trupów

i utworzyłaby wraz z nimi bryłę, której promień byłby tysiąc razy większy niż odległość ziemi od słońca, więc trupy ludzkie wypełniłyby przestrzeń znacznie większą niż ta, którą zajmuje cały nasz system słoneczny i jeszcze wyparłyby ze swego stanowiska tę lub ową gwiazdę."

Liczby powyższe musiałyby być nawet jeszcze po kilkakroć pomnożone, gdyż — jak wiadomo — uczeni już dawno dowiedli, że żywot ziemi naszej sięga miljonów lat.

* * *

Jak maszyny usuwają pracę ręczną. Przed niedawnym czasem powstał w przemyśle drukarskim znaczny przewrót. Robotę ręczną składaczy zaczynają zastępować maszyny, które z dniem każdym wchodzą częściej w użycie. Aby wykazać, ile składaczy traci pracę wskutek zaprowadzenia maszyn do składania, podajemy statystykę największych dzienników angielskich i amerykańskich, które posługują się temi maszynami:

Nazwa	Ilość zecerów przed zaprowadzeniem maszyn	Ilość zecerów po zaprowadzeniu maszyn	straciło robotę
„World"	189	83	106
„Herald"	127	65	62
„Times"	77	39	38
„Presse"	50	19	31
„Advertiser"	40	18	22
„Jornal"	30	18	12
Razem	513	242	271

Ze statystyki tej widzimy, że więcej jak połowa robotników straciła pracę po zaprowadzeniu maszyn. Zwykle jedna maszyna zastępuje pracę trzech robotników-składaczy. Drukarze już naprzód starają się zapobiec nagłemu przewrotowi w swoim przemyśle i to w sposób taki, że stopniowo skracają czas pracy, do nauki przyjmują ograniczoną ilość uczni i t. p., dlatego też nie obawiają się konkurencji maszyn. Zaznaczyć trzeba, że druk wykonany zapomocą takich maszyn jest tańszy, a tem samem i produkcja gazet i książek jest większa. Towarzysze drukarscy wiedzą doskonale, że postępu, który zawsze kroczy naprzód, wstrzymać nie można, a który ich ciężką i dla zdrowia bardzo szkodliwą pracę czyni lżejszą. Każde uwolnienie człowieka od mechanicznej pracy jest zwycięstwem ducha i postępem cywilizacji, do której wszyscy robotnicy chętnie garną się, bo wiedzą, że tylko oświatą i walką klasową osiągną lepszą przyszłość, w której każda jednostka znajdzie umieszczenie godne człowieka. Nie darmo to towarzysze drukarscy przyjęli za swe hasło: „Przez walkę do zwycięstwa!"

* * *

Ruchy gwiazd. Przed Kopernikiem panowała w nauce astronomji teorja gieocentryczna, według której ziemia nasza miała być środkowym stałym punktem wszechświata, około którego obracało się słońce i inne gwiazdy. Kopernik pozbawił ziemię tego zaszczytnego miejsca, dowodząc we swych wiekopomnych odkryciach, że słońce jest gwiazdą stałą, natomiast ziemia i inne planety obracają się koło słońca. Nauka podzieliła gwiazdy na stałe i niestałe. Według nowoczesnych badań astronomicznych, także gwiazdy stałe wykonują ruchy, w ściśle określonych kierunkach.

To co dawniej opowiadano na podstawie powierzchownej codziennej obserwacji, to samo głosi dziś astronomja, tylko dowodzi tego w sposób naukowy. Dowodzą więc astronomowie, że i te dotąd za stałe uważane słońca w budowie wszechświata poruszają się i to z niesłychaną szybkością, czego oko ludzkie tylko z powodu nadzwyczajnej odległości dotąd nie mogło zaobserwować. Słynny astronom, William Herschel w r. 1783 z tej okoliczności, że ruchy pewnej liczby gwiazd stałych skierowane są prawie w tym samym kierunku, wywnioskował, że słońce wraz z całym swym układem planetarnym porusza się w przeciwnym kierunku. Nowe badania okazały, że pewne grupy gwiazd wykazują pewną jednostajność w zmianie miejsca. Astronom Kapteyn ogłosił w r. 1905 na podstawie swych badań, że gwiazdy stałe, co do których dotąd dowodzono, że wykonują własne ruchy, — jest ich 4 do 5 tysięcy — poruszają się dwoma wielkimi ławami, a twierdzenie to potwierdzili inni uczeni.

Z literatury i sztuki

„Kultura", miesięcznik naukowy, społeczny i literacki. Treść zeszytu IV: Daniel Zgliński: Antysemityzm jako konflikt dwóch ras. — Jan Bełcikowski: Papieże a kwestja polska w XIX wieku. — Manfred Kridl: Miczkiewicz jako polityk. — L. Jahołkowska-Koszutska: Dwie kwestje kobiece. — Jakób Lewkowicz: Fryderyk Nietzsche o żydach i judaizmie. — Stanisław Barycz: Ze sceny i estrady. Z życia. Czasopisma polskie. Przegląd czasopism obcych. — J. O.: Z ruchu kobiecego. Nowe książki. Zjazd w Łomży. Andrzej Potocki, Ludwik Stanisław Liciński. — Leon Bourgeois: Solidaryzm.

Adres „Kultury": Warszawa, Wspólna Nr. 49. Kwartalnie 2 ruble.

„Przewodnik zdrowia" (nr. 5 na maj) wyszedł i zawiera: Sposoby i przepisy lecznictwa przyrodniczego: Owijania czyli otulania i okłady. — Nieco o siwiźnie włosów oraz środkach barwienia włosów. — Czy hypnoza jest niebezpieczną? — Nieco o grafologji czyli sztuce poznawania charakteru i skłonności człowieka z pisma. — Przestrogi i rady. — Rozmaitości.

„Z kim się łączyć w małżeństwo?" (Wybór małżonków ze stanowiska zdrowotnego). Nakład wydawnictwa „Przewodnika Zdrowia" (Czarnowski, Berlin, Weissenburgerstrasse 27). Cena z przesyłką 55 fen. — 65 hal. — 30 kop.

„Myśl Niepodległa" (Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10). Treść nr. 63 (dekada trzecia na maj): Przyczyny fjaska polityki postępu. — Edward Dutlinger: Judaizm przyszłości. — Jerzy Kurnatowski: Etyka społeczna. — Dr. W. Miklaszewski: Życie płciowe naszego ludu miejskiego. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Wolna gmina. — Zapiski. — Książki. — Treść nr. 64 (pierwsza dekada na czerwiec): Marjawityzm. — Pierwszy proces o bluźnierstwo wygrany. - Eugenjusz Sokołowski: Niewolnicy rzymscy a chrześćjaństwo. — Dr. W. Miklaszewski: Życie płciowe naszego ludu miejskiego. — Jan Iwański: Słońca. — Bolesław Bourdon: Dwór w Karpatach. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Wolna gmina. — Zapiski. — Książki.

„Nauka dla wszystkich", miesięcznik popularno-naukowy. Treść nr. 5: A. Strzelecki: Mickiewicz jako wychowawca narodu polskiego. — Kodeks Napoleona. — 1816—1830. — T. Baniewicz: Tramwaje elektryczne. — Ubarwienie zwierząt. — Meteoryty. — Nowe wydawnictwa. — Rozmaitości.

Adres: Księgarnia M. Arcta w Warszawie. Rocznie 75 kopiejek.

„Poradnik teatrów i chórów włościańskich." Treść nr. 4: M. Konopnicka: Zaszumiały. — J. J. Kapuścieński: Znaczenie i dzieje widowisk teatralnych. — Uwagi dla zarządów teatrów włościańskich przez ks. J. Szurka. — Z. Mrozowicka: Bogatoś ziemio. — E. Webersfeld: Porządek w czasie przedstawienia. — Feliks Gwiżdż: O teatrze. — Gorzałka, obrazek dramatyczny. — Wiadomości z teatrów. — Korespondencje. — Sprawy związku. - Teatry i chóry włościańskie. — Walka z alkoholizmem.

„Krytyka", miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt VI na czerwiec. Treść: (f): Przesilenie w idei polskiej. — M. Konopnicka: Żydóweczka. — K. Stefański: Trzy okresy w dziejach demokracji polskiej. — St. Wyspiański: O czci dla bohaterów. — Wład. Czapiński: Literatura na gruzach rewolucji. — S. Posner: Dzieje jednej trybuny. — L. Eminowicz: Na progu. — Dr. A. Biegeleisen: Arjanie polscy. — Zofia Rygier-Nałkowska: Koteczka czyli białe tulipany. (Nowela). — Przegląd: Prasa polska. Prasa francuska, niemiecka, rosyjska. Genjusz a społeczeństwo. Kultura duchowa Krakowa. Młodzież polska zagranicą. — Lux: Z ruchu wolnej myśli. — Skiba: Ruch kobiecy. — Prof. J. Magiera: Język wszystkich słowian. — Junjus: Z trzech zaborów. — Sprawozdania naukowe i literackie. — Adres „Krytyki": Kraków, ul. Stachowskiego 14. Kwartalna prenumerata 3 marki.

„Miesięcznik dla popierania ruchu wstrzemięźliwości". Treść zeszytu na maj: W sprawie wywłaszczenia. — Czem zastąpić napoje alkoholowe. — Materjały do wstrzemięźliwości w Polsce. — Zdania znakomitych mężów o alkoholiźmie. — Wiadomości ze świata. — Ziemie polskie. — Rozmaitości. — Wiadomości związkowe. — Do Oddziałów miejscowych „Wyzwolenia". — Spis książek i broszur treści antialkoholicznej.

Adres: A. Samolska, Pleszew-Pleschen (Prov. Posen). Rocznie pod opaską 3,40 mk.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 24. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 13 czerwca 1908.

Antoni Czechow.

I nie wódź nas na pokuszenie.

W V. wieku, jak i teraz, co rano wschodziło słońce i co wieczór kładło się na spoczynek. Zrana, gdy pierwsze promienia całowały się z rosą, ziemia ożywiała, powietrze napełniało się dźwiękami radości, zachwytu i nadziei; pod wieczor zaś ta sama ziemia przycichała i tonęła w surowym zmierzchu. Z rzadka zjawiła się chmura i groźnie rozlegał się grzmot, albo spadała z nieba jakaś zagapiona gwiazda, albo przebiegał błady mnich i opowiadał braci, że w pobliżu klasztoru widział tygrysa — oto wszystko. I znów dzień był podobny do dnia, i noc do nocy.

Mnichy pracowały i modliły się do Boga, a ich przełożony grał na organach, pisał łacińskie wiersze i nuty. Ten zadziwiający starzec posiadał niezwykły dar. Grał na organach z taką biegłością, że nawet najstarsze mnichy, którym pod koniec życia przytępił się słuch, nie mogły powstrzymać łez, gdy z celi przełożonego odezwały się dźwięki organów. Kiedy mówił o czemkolwiek, nawet o najbłahszych rzeczach, naprzykład o drzewach, dzikich zwierzętach, lub o morzu, niepodobna go było słuchać bez uśmiechu, albo bez łez i zdawało się, że w jego duszy dźwięczały takie same struny, jak w organach. Jeżeli się rozgniewał, lub doświadczył wielkiej radości, lub zaczął opowiadać o czemś okropnem a wielkiem, porywała go namiętność, ogarniało go natchnienie, w błyszczących oczach stawały mu łzy, policzki mu się rumieniły, głos brzmiał jak grzmot i słuchające go mnichy czuły, jak dusze ich opancerzały się jego natchnieniom. W takich cudnie wspaniałych chwilach władza jego nie miała granic i gdyby rozkazał swym starcom rzucić się do morza — wszyscy co do jednego z zachwytem i pośpiechem spełniliby jego wolę.

Jego muzyka, głos, wiersze, w których wysławiał Boga, niebo i ziemię, była dla mnichów źródłem ciągłego wesela. Zdarzało się, że wskutek jednostajnego życia naprzykrzały się drzewa, kwiaty, wiosna, jesień; szum morza męczył słuch, śpiew ptaków stawał się nieprzyjemnym, ale talenta starca-przełożonego były potrzebne co dzień — jak chleb.

Mijały dziesiątki lat i wciąż dzień był podobny do dnia, noc do nocy. W pobliżu klasztoru nie zjawiała się żywna dusza, chyba dzikie ptaki i zwierzęta. Najbliższa ludzka siedziba była daleko i aby się do niej dostać z klasztoru, lub z niej do klasztoru, trzeba było przejść że sto mil pustynią. Na przejście pustyni odważali się jedynie ci, którzy pogardzali życiem, wyrzekli się go i szli do klasztoru, jak do grobu.

Jakież przeto było zdziwienie mnichów, gdy pewnej nocy do bramy klasztornej zakołatał człowiek, który okazał się mieszkańcem miasta i najzwyklejszym grzesznikiem, rozmiłowanym w doczesności. Zamiast przedewszystkiem poprosić przełożonego o błogosławieństwo i pomodlić się, człowiek ten zażądał wina i jedzenia. Na pytanie, co robi na pustyni, opowiedział długą myśliwską historję: wyszedł na polowanie, upił się i zabłądził. Na propozycję wstąpienia do klasztoru i ratowania duszy, odpowiedział uśmiechem i słowami: „Nic wam po mnie“.

Najadłszy się i napiwszy, obejrzał usługujących mnichów, pokiwał głową jakby z wyrzutem i rzekł:

— Nic wy nie robicie, mnichy. Cała wasza robota — jeść i pić! Czyż tak należy ratować duszę? Pomyślcie: podczas gdy wy tu siedzicie sobie spokojnie, jecie, pijecie i marzycie o szczęśliwości, wasi bliźni giną i idą do piekła. Popatrzcie tylko, co się dzieje w mieście! Jedni mrą z głodu, inni, nie wiedząc, gdzie podziewać złoto, topią się w rozpuście i giną, jak muchy w miodzie. Niema w ludziach ani wiary, ani prawdy! Któż ma ich ratować? Któż ma nauczać? Czy ja, com pijany od rana do wieczora? Na toż dał wam Bóg dusze pokorne, serca miłujące i wiarę, byście tu siedzieli w czterech ścianach i nic nie robili? Słowa pijanego mieszkańca miasta były zuchwałe i nie przyzwoite, jednak w dziwny sposób podziałały na przełożonego. Starzec popatrzył na swoich mnichów, pobladł i powiedział:

— Braci moja, toć on prawdę mówi! W samej rzeczy, przez swój nierozum i słabość ludzie giną w występku i niewierze, a my się nie ruszamy z miejsca, jak gdyby to się nas nie tyczyło. Dlaczegóżbym nie miał pójść, by przypomnieć im o Chrystusie, którego zapomnieli?

Słowa mieszkańca miasta porwały starca. Nazajutrz wziął swą trzcinę, pożegnał się z bracią i udał się w drogę. I mnichy zostały bez muzyki i bez wierszy. Nudziły się przez miesiąc jeden, drugi, a starzec nie wracał. Wreszcie po trzecim miesiącu dał się słyszeć stuk jego trzciny. Mnichy rzuciły się na spotkanie i zasypały go pytaniami, lecz on zamiast się ucieszyć z ich widoku, zapłakał gorzko i nie wymówił ani słowa. Mnichy zauważyły, że postarzał się znacznie i schudł. Twarz miał zmęczoną i głęboko bolejącą, a skoro zapłakał, stał się podobnym do człowieka, którego znieważono. Mnichy również zapłakały i ze współczuciem zaczęły go wypytywać, dlaczego płacze, dlaczego twarz jego ponura: lecz on nie wyrzekł ani słowa i zamknął się w swej celi. Siedm dni przesiedział tam, nic nie jadł, nic nie pił, nie grał na organach, jeno wciąż płakał. Na stukanie we drzwi i na prośby mnichów, by wyszedł i podzielił się z nimi swą zgryzotą, odpowiadał głębokiem milczeniem. W końcu wyszedł. Zebrawszy do koła siebie wszystkich mnichów z zapłakaną twarzą i z wyrazem smutku i oburzenia jął opowiadać, co mu się przytrafiło podczas ostatnich trzech miesięcy. Gdy opisywał swą drogę od klasztoru do miasta, głos miał spokojny, oczy śmiejące się. Po drodze, mówił, śpiewały mu ptaki, szemrały strumyki i słodkie młodzieńcze nadzieje wichrzyły mu duszę; szedł i czuł się żołnierzem idącym do boju i pewnym zwycięstwa; szedł drogą.

Ale głos mu drgnął, oczy zabłyszczały i cały zapłonął gniewem, gdy zaczął mówić o mieście i ludziach. Nieszczęśliwym trafem pierwszy budynek, do którego wszedł, był domem rozpusty. Z pół setki ludzi, mających dużo pieniędzy, jadło i bez miary piło wino. Odurzeni winem śmiało wymawiali straszne, odrażające słowa, których nie odważyłby się wypowiedzieć człowiek bogobojny; nieograniczenie swobodni, rzeźwi, szczęśliwi, nie lękali się ani Boga, ani szatana, ani śmierci, mówili, robili, co chcieli i szli tam, dokąd pędziła ich chuć. A wino czyste, jak bursztyn, pokryte złotemi iskrami, snadź było nieznośnie słodkie i wonne, bo każdy z pijących uśmiechał się tylko i żądał więcej jeszcze. Na uśmiech człowieka odpowiadało ono również uśmiechem i gdy je pito, skrzyło się radośnie, jakby wiedziało, co za szatański czar mieści się w jego słodyczy.

Starzec coraz bardziej zapalając się i płacząc z gniewu, opisywał w dalszym ciągu wszystko, co widział.

Na stole wśród ucztujących — mówił — stała półnaga nierządnica. Trudno wyobrazić sobie i wynaleść w naturze coś piękniejszego i czarowniejszego. Ta gadzina młoda, długowłosa, smagła, czarnooka, z tłustemi wargami, bezwstydna i zuchwała, szczerzyła swe białe jak śnieg zęby i uśmiechała się, jakby chciała powiedzieć: „Spojrzyjcie jak jestem zuchwała, jak jestem piękna!“ Jedwabi złotogłów w pięknych fałdach spływał jej z ramion, lecz piękno nie chciało kryć się pod ubraniem i chciwie wyrywało się z fałdów, jak młoda zieleń z wiosennego gruntu. Bezczelna niewiasta piła wino, śpiewała pieśni i oddawała się każdemu, kto jej zapragnął.

Następnie gniewnie potrząsając rękami, opisał starzec wyścigi, walki byków, teatry, pracownie artystów, gdzie malują i lepią z gliny nagie kobiety. Mówił z natchnieniem, pięknie i dźwięcznie, jakby grał na niewidzialnych strunach, a zdrętwiałe mnichy chciwie słuchały jego słów i dusiły się z zachwytu...

Opisawszy cały powab szatana, piękność zła i czarujący wdzięk wstrętnego niewieściego ciała, starzec przeklął szatana, obrócił się i znikł za drzwiami swej celi.

Gdy nazajutrz wyszedł z niej, w klasztorze nie było już ani jednego mnicha. Wszyscy uciekli do miasta.

Adventus.

Służba, nie wiedząc ktoby był, a widząc, że jest bosy, wynędzniały i z odkrytą głową, nie chciała Go wpuścić do pałacu, lecz On, nie zatrzymując się, przeszedł koło niej i stanął przed biskupem.

Biskup poznał Chrystusa i zadrżał. Lecz wnet schylił się do Jego bosych, pokrwawionych nóg i rzekł: Panie com ci jest, żeś nawiedził progi moje?

A Chrystus spytał:

Coście uczynili z nauką moją?

I w tejże chwili zabrzmiały dzwony, zwołujące do kościołów, więc Biskup, wskazując ręką w stronę, z której głos ich szedł, odparł:

Oto wznieśliśmy świątynie ku czci Twojej i wystawiliśmy w nich złociste ołtarze, aby lud Twój wielbił wspaniałość twoją i wznieśliśmy kazalnice, z których postanowieni przez Ciebie uczą lud Twój.

A Chrystus:

Azaliś zapomniał, com rzekł? Gdy się modlić będziesz, wnijdź do komory, a zawarłszy drzwi, módl się Ojcu twemu w skrytości.

— Uczciliśmy imię Twoje. Wznieśliśmy zakony ku chwale Twojej.

— Nie każdy, który mi mówi: Panie, Panie, wnijdzie do królestwa niebieskiego.

— Bracia zakonni nawracali niewiernych...

I nagle głos Biskupowi zmarł w piersiach.

A Chrystusa rany czerwieńszemi się stały i z bólem wielkim rzekł:

Coście uczynili z ludem moim?

Biskup milczał.

— Dwudziesty mija wiek, gdym odszedł ztąd, a wróciwszy, com zastał?

Pomordowanych w imię moje, cierpienia i szubienice, nienawiść i złą wolę. Ażalim nie mówił — miłujcie się?

Przed drzwiami bogaczów tłum odartych nędzarzy i dzieci głodne. Ażalim nie mówił — a który cię prosi, daj mu?

Biskup milczał.

A Chrystus, obejrzawszy się na przepych jego komnat, spytał:

Na co ci to? I czemu każesz, aby się chyliły przed tobą głowy ludu mego?

— O, Panie, otoczył się tak sługa Twój, aby przez niego wielbiono Ciebie!

A Chrystus rzekł:

Co jest cesarskiego, oddaj cesarzowi. Nie miej ani złota, ani srebra w trzosie twoim.

Wtedy Biskup zerwał się z łoża i odpychając obu rękami białą postać od siebie, strasznym głosem krzyknął:

Ukrzyżować go!

Sen znikł.

„Ten lud czci mnie tylko wargami, ale serce jego daleko jest odemnie!“

Cielęta i Wilk.

BAJKA.

Napisał Fedor Sołogub.

Do stada wpadł wilk i zaczął chwytać cielęta i koźlęta. Wynosił je daleko, wynosił ich coraz więcej i więcej, rozdzierał je zębami, szarpał je pazurami, wciągał je do lasu i żywił swoje wilcze plemię mięsem cieląt i koźląt. I taki był wielki, taki zły i taki szary.

Sprowadzono zatem, jak to jest w zwyczaju, psy gryzące, jaknajbardziej czujne. Psy biegają dokoła stada, szczekają po całych nocach, nie dają biednym cielętom spać. Tylko wilk nic z nich sobie nie robi. Wciąż porywa on cielęta i koźlęta, chwyta je wciąż. Taki jest on wielki, taki zły, taki szary.

Raz stała sobie krowa i żuła, poruszała poważnie swym krowim ogonem, patrzyła tępemi oczami w trawę i myślała o niczym i znów o niczem. I usłyszała, jak jej młody krowi syn, delikatne cielę, tak mówił:

„My, młode cielęta i koźlęta, musimy się pozbyć wszelkiej nadziei na pomoc naszych psów. — Nigdy i nigdy nie zwyciężą one naszego złego arcywroga, szarego wilka; napróżno robią one tyle hałasu, straszą tylko jeszcze nasze maleństwa. Wczoraj przechodził obok nas jakiś obcy i od niego usłyszeliśmy te słowa: „W jedności jest siła!“ I tak więc zmówiliśmy się, my mężne, dzielne cielęta i koźlęta, zbierzemy się wszyscy razem, pójdziemy do lasu, do jaskini wilczej, zdusimy złego szarego wilka, rozdepczemy starą wilczycę i wilczego nasienia też nie oszczędzimy!“

Krowa poruszała poważnie swoim krowim ogonem, żuła dalej, patrzała na swego syna tak tępo jak mogła, i wyrzekła do niego ciche krowie słowo:

„Niech Bóg pobłogosławi nasze cielęta, aby wilka wygnały. Ale mój rozum mi mówi, że wy nic nie wskóracie. Sami biegniecie w szpony wilka i wszystkich was pan wilk wydusi. Lepiej trzymajcie się starego, wypróbowanego przysłowia: „Zostań w domu i odżywiaj się dobrze!“

Ale krowi synek, młode, żwawe cielę, nie słuchał jej. I miał słuszność. Wszystkie cielęta i koźlęta ze stada zebrały się, poszły w las do szarego wilka, otoczyły jego przeklętą jaskinię i rozdeptały nogami całą wilczą rodzinę. A potem wypędziły też i psy, aby nie hałasowały im po nocach i nie napędzały strachu maleństwom.

Meteoryty.

Tłumaczył z niemieckiego Z. K.

Meteoryty (kamienie meteoryczne, żelazo meteoryczne, aerolity, meteory, meteorolity, uranolity) są to bryły, które, lecąc w przestrzeni wszechświatowej, dostają się w naszą atmosferę i spadają na ziemię. Już w głębokiej starożytności stwierdzono, że kamienie spadają z nieba. Chińskie roczniki zapisały takie zdarzenia dawniej niż na 600 lat przed Narodzeniem Chrystusa. Tak 14 stycznia 616 r. deszcz kamienny miał roztrzaskać wóz i zabić 10 ludzi. Podług Annales Fuldenses okrutny deszcz kamienny w Saksonji miał pozabijać ludzi i bydło i w 35 wsiach wszcząć pożar.

Stanowczo stwierdzono spadek ogromnej bryły kamiennej w pobliżu Egospotamos w Tracji r. 476 przed Nar. Chr. Kamień ten widział jeszcze Plinjusz i z wielkości przyrównywa go do wozu. Dokładnie opisują spadki kamieni: w Narri (we Włoszech) 921 roku mnich Benedykt; kilka wypadków w Egipcie, Persji i in. 1010 r. — Avicenna; spadek masy żelaznej w Miśnji na Zielone Św. 1164 r. — Gregorz Ea-

bricius i t. d. Szczegółowo opisano spadek bryły kamiennej w Ensishejmie w Alzacji 7 listop. 1492 r.; bryła ta miała 260 funtów wagi; w Hradczynie, w Sławonji 26 maja 1751 r. w obecności siedmiu świadków pękła z łoskotem bryła ognista, której bieg widziano w znacznej części Niemiec. Możnaby długi szereg podobnych zjawisk przytoczyć.

Wbrew tylu dowodom jednakże uczeni XVIII stulecia powątpiewali o ich rzeczywistości. W r. 1768 znowu spadły z atmosfery w trzech miejscowościach Francji masy kamieniste, o których zawiadomiono Akademję paryską. W jednym wypadku znaleziono kamień mający 7 funtów wagi, do połowy ugrzęzły w ziemi; w innym — znaczną liczbę drobniejszych kamyków, które przesłano do Paryża z raportem podpisanym przez mera. Lecz i wtedy jeszcze litowano się nad sprawozdawcami, uważając ich za ofiary przesądu. W r. 1794 ogłosił Chladni słynną rozprawę: „O pochodzeniu bryły żelaznej odkrytej przez Pallasa i o niektórych pokrewnych zjawiskach przyrody". W rozprawie tej, na podstawie niezliczonych faktów udowodnionych, oświadczył się za prawdziwością zjawiska; nagrodą mu były uszczypliwe żarty kolegów. A jednak już niektórzy starożytni filozofowie greccy trafniej o tym sądzili niż uczeni XVIII stulecia. Tak np. Djogenes (w V-tym wieku przed Chr.) wspomina „o gwiazdach widocznych i niewidocznych, które z tej przyczyny nie otrzymały nazwy. Te niewidoczne gwiazdy spadają niekiedy na ziemię i gasną, jak owa ognista gwiazda kamienna niepodal Egospotami".

Niebawem atoli umilknąć musiały drwiny, chłoczczące Chladniego, gdy jego poglądy raz po raz były stwierdzane przez fakty. W Siennie spadł meteoryt, a towarzyszące temu zdarzeniu okoliczności opisał szczegółowo Olbers. Inny wypadek zaszedł w Woodcotage (Yorkshire). Aż fenomen z dnia 26 kwietnia 1803 roku w Aigle (Normandja) uniemożliwił dalsze powątpiewanie i nawrócił niedowiarków nawet najupartszych. W dniu wymienionym, o godz. 2-ej po południu na pogodnym niebie zjawiła się potężna kula ognista, biegnąca z południo-wschodu; wnet potem dostrzeżono małą ciemną chmurkę, w której w ciągu 6-ciu minut usłyszano kilka detonacji, jakby wystrzałów armatnich, a następnie jakby wystrzał z broni ręcznej i bębnienie. Zarazem na przestrzeni formy elipsy, mającej półtorej mili długości a świerć mili szerokości, spadł deszcz kamieni, z których największy ważył 17,5 funt. Wysłany przez Akademję fizyk Biot sprawdził to wszystko na miejscu.

Meteoryty są to bryły samoistne, biegnąc przez wszechświat z prędkością 4, 5 i więcej mil na sekundę po drogach eliptycznych, parabolicznych lub hyperbolicznych. Gdy wejdą w atmosferę ziemską, natenczas zgęszczają przed sobą powietrze, skutkiem swej prędkości rozgrzewają się i rozżarzają i wtedy stają się dla nas widzialnymi. Za sobą zostawiają smugę powietrza rozrzedzonego. W tę smugę wpada powietrze z miejsc najbliżej sąsiadujących, powodując łoskot; niekiedy pękają z trzaskiem, co można sobie wytłumaczyć gwałtownym rozgrzaniem ich powierzchni. Ale przy tych eksplozjach i gazy, w niektórych meteorytach znajdowane, niewątpliwie są czynne. Spadłe masy najczęściej są gorące i mają powierzchnię gładką, szklistą, otopioną. Tarcie o powietrze atmosferyczne podnosi wysoko temperaturę powierzchni meteorytów; ale że ich przebieg przez atmosferę trwa krótko, więc braknie czasu na to, aby się rozgrzała całkowita masa meteorytu. Jakoż meteoryty, znalezione wnet po spadnięciu, miały powierzchnię rozrzażoną, a w głębi, wewnątrz, były zimne.

Stosunkowo niewiele meteorytów spada na ziemię*), a jeszcze mniej ludzie znajdują. Najmniejsze kruszeją na pył, skutkiem gorąca, jeszcze zapewne podczas biegu przez atmosferę. Najwięcej ich dotyka tylko górnych warstw atmosfery, poczem dążą dalej swojemi drogami, nie spadając na ziemię. Przed spadnięciem na ziemię ukazuje się najczęściej kula ognista; niekiedy zamiast niej zjawia się nagle ciemna chmurka bez żadnego blasku i z niej wypadają kamienie; jeszcze rzadziej spadku nie poprzedza żadne widoczne zjawisko, tylko zawsze słychać jeśli nie huk, jak od wystrzałów, to przynajmniej hałas świszczący. W największej liczbie wypadków spada zaledwie kilka kamieni, po których można poznać z pewnością, że są ułamkami jednej bryły: niekiedy na dość znaczną przestrzeń pada istny deszcz kamienny; rzadkie są wypadki, że na ziemię runie jedna wielka bryła. Wielkość meteorytów bywa najrozmajtsza: jedne są jak orzech laskowy; inne miewają wiele tysięcy kilogramów wagi; tę wielką wagę mają zwłaszcza bryły żelazne.

Pod względem składu chemicznego rozróżniane są dwa gatunki: meteoryty żelazne i meteoryty kamienne. Żelazne składają się głównie z czystego żelaza z domieszkami związków niklowych i fosforowych; są zwykle twarde i mają budowę krystaliczną. Jeżeli w nich zdarzą się przerwy, to wypełnia je oliwin **). Po zawartości niklu łatwo można odróżnić żelazo kosmiczne czyli spadłe z wszechświata od telurycznego czyli znajdowanego w ziemi; w żelazie meteorycznym, znalezionym r. 1814 w pobliżu Lenarta (w Węgrzech), wykrył Graham gaz, który pod ciśnieniem zwyczajnej atmosfery miał objętność trzy razy większą niż meteoryt. 86 procentów tego gazu stanowił wodór. Sztucznie Graham nie zdołał zamknąć w bryle żelaznej ani połowy takiej ilości gazu; skąd wnosićby należało, że gaz ten został wtłoczony w meteoryt pod wielkiem ciśnieniem. Nie mógł więc tam wejść dopiero w okolicach ziemi.

Meteoryty kamienne z wyglądu są podobne do bazaltu ***): są drobne, ziarniste, ścisłe i podobne jak bazalt, zawierają ziarnka oliwinu. Lecz zamiast żelaza magnetycznego, właściwego bazaltom, posiadają żelazo niklowe, nie spotykane w kopalniach.

Chociaż więc w meteorytach zarówno jednego jak drugiego gatunku nie znaleziono żadnych nieznanych na ziemi pierwiastków, jednakże noszą na sobie znamiona obcych przybyszów; widać, że powstały one wśród innych okoliczności niż minerały telluryczne (ziemskie). Ścisłość meteorytów jest większa niż bazaltów. Ponieważ zaś niepodobna przypuszczać, iżby własne przyciąganie w bryłach tak drobnych mogło wytworzyć taką gęstość, przeto rodzi się wniosek, że one utworzyły się przy gęstnieniu bardzo wielkich ciał kosmicznych, że tedy są to ułamki większych ciał we wszechświecie.

Oprócz najmniejszych meteorytów, zdarzają się, o ile sądzić można, szczególne masy pyłu we wszechświecie, tak zwanego pyłu kosmicznego. Mogą one powstawać skutkiem eksplozji i częściowego spalenia. One też zapewne tworzą ogon świetlany, spostrzeżony za wielu meteorytami.

(„Nauka dla wszystkich")

*) Jednakże niektórzy uczeni przypuszczają, że w ciągu wielowiekowego istnienia ziemi powiększyły one dość znacznie jej masę. (Przyp. tłum.).

**) Oliwin, kamień półdrogi, szklisty, niezbyt twardy, trudno topliwy, zwykle kulistej formy, żółtawy lub żółtawo-zielonawy, zdatny po wyszlifowaniu do ozdób, składa się głównie z krzemionki, magnezji i tlenku żelaza. Bywa znajdowany w postaci skamieniałych kropel w bazalcie i meteorytach. (Przyp. tłum.).

***) Bazalt, kamień ciemnej barwy, bardzo ścisły, twardy i ciężki, często zawierający wewnątrz drobne kryształy. Jest pochodzenia wulkanicznego, używa się na bruki, flizy, do robót kamieniarskich. (Przyp. tł.)

Rozmaitości

Morderstwo w hypnozie. Wielką sensację wywołuje w Paryżu morderstwo, popełnione przez studenta tureckiego, medyka Rechida Mustafę. W nocy z 29 na 30 maja rozległo się z pewnego domu przy bulwarze Haussmana głośnie wołanie o ratunek. Policja pospieszyła do domu i na schodach spotkała jakiegoś człowieka z zakrwawionym nożem, który świadczył, że o ile mu się zdaje, zamordował dwie osoby.

Mieszkanie, w którem spełniono morderstwo, należało do księcia Mehmeda Ali. Książę dał w swem mieszkaniu przytułek ubogiemu Rechidowi Mustafie, który przygotowywał się do doktoratu. Ponieważ w ostatnich dniach książe oczekiwał odwiedzin swej siostry Fatmy i jej syna Salah el Foad, poprosił młodego medyka, aby na ten czas zamieszkał na jego koszt w hotelu. Przesłuchiwany w policji, zeznał Rechid Mustafa, że zastosował się do tego polecenia. Wieczór spędził ze swym przyjacielem dr. H., który podobno zasuggestjonował go i kazał mu zabić księżnę i jej syna. Morderca opowiada dalej, że w nocy przebudził się nagle wśród

dzikich snów, ubrał się, pojechał dorożką na bulwar Haussmanna i otworzył mieszkanie kluczem, który miał przy sobie. Następnie wziął z kuchni nóż i po ciemku poszedł do sypialni księżnej i jej syna. Obie ofiary są ciężko poranione ciosami noża, zadanymi na oślep. Rechid Mustafa, który księżnej i jej syna nigdy przedtem nie widział, został oddany pod obserwację lekarską.

* * *

Tortury w Ameryce. W Nowym Jorku wielką sensację wywołały odkrycia tortur, któremi się posługuje policja, aby wydobyć z więźniów zeznania. Pewien robotnik rolny, nazwiskiem Franciszek Zastera, został uwięziony pod zarzutem dokonania zbrodni przez zamordowanie farmera, jego żony i służącej. Przez trzy dni przeczył, jakoby był sprawcą morderstwa, chociaż policja nie dała mu nocami spać, oprowadzając go po celi, zadawano mu bez ustanku pytania, aby go zawikłać w sprzeczności. Ponieważ ta metoda przesłuchiwania nie okazywała się skuteczną, użyto tak zwanego „trzeciego stopnia". Do celi przyniesiono odzież zamordowanych i kazano więźniowi, aby się ubrał w skrwawioną koszulę zamordowanego i z ręką na sercu złożył przysięgę, że jest niewinny. Uwięziony skruszył się i złożył „zeznanie". Okazało się jednak, że zeznanie to było fałszywe, a więzień oświadczył, że je złożył, aby uniknąć dalszych tortur. Sąd wdrożył ścisłe dochodzenia.

* * *

Jazda balonem z przeszkodami. Balon „Dresden", który brał udział w biegu o nagrodę w Kolonji i zapędzony został aż nad Tatry, miał do zwalczenia bardzo wiele przeszkód. Ciężkie chmury deszczowe zmusiły podróżnych do użycia liny ratunkowej. Lina ta jednak została przed wzlotem źle zwinięta i niezwykle trudno było ją rozwikłać. Od północnych Czech uniósł się balon w górę na wysokość 1800 mtr., ponieważ prąd wiatru w wyższych sferach był silniejszy. Była to największa wysokość, do jakiej balon ten przy swej ilości gazu mógł się wznieść. W 3-ch godzinach odbył drogę 255 klm. W ten sposób mimo wielkich przeszkód na początku jazdy udało mu się odbyć najdłuższą drogę ze wszystkich balonów, które się wzniosły, tj. 980 klm. w 18 godzinach.

* * *

Kosztowne doświadczenia. Dwaj badacze angielscy, Parsons i Swinton, przeprowadzili ciekawe doświadczenia z dyamentami i zdawali z nich sprawę na jednem z posiedzeń londyńskiego „Rojal Society". Umieszczali oni cenny kamień w opróżnionej z powietrza rurce szklanej wraz z dwoma aluminiowymi elektrodami, które na przemian, pod wpływem prądu zmiennego, o bardzo wysokiem napięciu, rzucały promienie katodalne na dyament, przytwierdzony do płytki. Pod wpływem tych promieni dyament początkowo przybierał barwę czerwoną, potem białą, jak ciała rozżarzone, a gdy napięcie doszło do 9600 volt przy 45 miliamperach — przybierał barwę czarną. Przy napięciu 11200 volt wreszcie następował szybki rozkład dyamentu, który się zamieniał stopniowo na materję, mającą postać oraz właściwości zwyczajnego koksu. Temperatura, w której dopełniała się ta osobliwa przemiana, dochodziła do 1890 stopni.

* * *

Majątek arcybiskupa w Ołomuńcu. Arcybiskup w Ołomuńcu na Morawach jest najbogatszym prałatem w Austrji. Posiada on przeszło 50.000 hektarów ziemi, wartości 70 miljonów koron, dalej kilka fabryk, 2 huty, 5 cegielń, 8 gorzelń, 11 browarów, 10 młynów, 17 tartaków i olbrzymią drukarnię. Majątek ten przynosi kilka miljonów rocznego dochodu, a rozporządza nimi jeden człowiek, obecny arcybiskup Bauer. Z drugiej strony wiadomo, że w dobrach i fabrykach arcybiskupich płace chłopów i robotników są najnędzniejsze w całym kraju, a zarząd dóbr każe zamykać biednych chłopów do kryminału za zbieranie gałęzi i jagód w lasach.

* * *

Świecące gazety. Fosforescencją nazywamy, jak wiadomo, właściwość niektórych ciał, które wchłaniają niejako promienie świetlne, następnie zaś, po ukończonem naświetleniu wydają znów z siebie te promienie. Najobficiej uposażonym w tę właściwość jest fosfor. Niekiedy fosforescencja bywa tak słaba, że gołem okiem dojrzeć jej niepodobna i można ją stwierdzić tylko na płycie fotograficznej. Czasopismo paryskie „Cosmos" donosi, że chemik angielski Marcin Duncan wykrył objawy fosforescencji tam, gdzie ich się dotychczas bynajmniej nie spodziewano. Stwierdził mianowicie, że papier, zwłaszcza papier drzewny, który taką decydującą rolę odegrał w rozwoju prasy nowoczesnej, posiada tę właściwość fosforyzowania. Kawałki gazet, które przez czas pewien wystawione były na działanie światła dziennego, pod 24-godzinnem oddziaływaniu w ciemności na bromowe płyty fotograficzne, wytwarzają, jak przekonał się Duncan, mniej lub więcej wyraźne obrazy. W praktyce odkrycie to ma znaczenie o tyle, że nakazuje ostrożność w owijaniu płyt fotograficznych papierem, który był przez czas jakiś wystawiony na działanie światła dziennego.

* * *

Kobiety-architektki. Coraz więcej zaczynają kobiety poświęcać się powołaniu architektek. W Berlinie jedna otwarła biuro, połączywszy się z drugą, wykształconą w sztuce stosowanej, która robi plany wewnętrznego urządzenia domów. We Francji budownictwu poświęca się z powodzeniem pani Michaelis. W r. ubiegłym, według jej planów wystawiono kilka publicznych budynków w Marsylji. Najlepszą architektką w Anglji jest miss Elsbeth Mc Clelland, która za projekt na willę otrzymała w Londynie pierwszą nagrodę na wystawie ogrodniczej.

* * *

Rzeczpospolita esperantystów. Związek esperantystów powziął projekt utworzenia własnego państewka. Pomysł powstał w głowie francuza, nauczyciela przy gimnazjum w Saint-Girons, p. Gustawa Ray. W czasach ostatnich powrócił do niego oficer belgijski Giminne, członek instytutu wojskowo-geograficznego i rozwinął go szczegółowo w brukselskim klubie esperantystów „Pioniro", a następnie w organie tegoż klubu „La Belga Sonorino".

Autor pomysłu p. Ray wyszedł z założenia, że interesy ekonomiczne odgrywają rolę decydującą w świecie, one też rozstrzygają dziś o pokoju i wojnie. Z drugiej strony zaś, że różnica języków stanowi znaczną przeszkodę w stosunkach międzynarodowych i że stosunki ekonomiczne rozwinęłyby się w sposób nadzwyczajny, gdyby uproszczono porozumienie między narodami przez zaprowadzenie wspólnego języka, choćby na razie tylko dla świata kupieckiego, Izb handlowych, syndykatów i międzynarodowych agentów handlowych.

Najodpowiedniejszem na ten cel terytorjum wydała się projektodawcy państewka niezależna osada Moremet. Położona w kącie między pruską prowincją nadreńską, holenderskim Limburgiem i belgijską prowincją Leodjum, obejmuje zaledwie 345 hektarów i jest zamieszkana przez niespełna półczwarta tysiąca ludzi. Nie należy ona do żadnego z otaczających państw, lecz stanowi odrębne miniaturowe państewko. Jak wskazuje nazwa, była to pierwotnie miejscowość holenderska. Obecnie ogromna większość mieszkańców używa języka niemieckiego, pewna część mówi po francusku, a Holendrów jest tam tylko maleńka garstka. Podczas wielkich przewrotów politycznych w początkach wieku XIX zapomniano o tym maleńkim skrawku ziemi i pozostawiono mu samodzielność, która istnieje dotąd, pomimo, że od roku 1816 osada ta pozostaje pod wspólną administracją Prus i Belgji. Od długiego szeregu lat toczą się między temi dwoma państwami układy w sprawie ostatecznego przyłączenia Moremetu do Prus, ale bez rezultatu.

Wprawdzie Belgijczycy nie sprzeciwiają się w zasadzie żądaniom pruskim, ale nie mogą pogodzić się z myślą, że wolni dotąd mieszkańcy mają być wtłoczeni w ciężkie jarzmo militaryzmu niemieckiego, a jakkolwiek Prusy pod tym względem ofiarują rozmaite ustępstwa, o ten skrupuł dotąd rozbijają się układy.

Esperantyści traktują sprawę własnego państwa zupełnie poważnie i już nawet obmyślili dla Moremetu nową nazwę „Amikejo". Ostateczna decyzja ma zapaść na tegorocznym, czwartym z rzędu kongresie esperantystów w Dreźnie. Dopóki osada ta nie jest przyłączona do Prus, wykonaniu takiego projektu nic nie stoi na przeszkodzie, chociaż można powątpiewać o tem, czy ludność jej zdecyduje się na przyswojenie sobie języka międzynarodowego.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 25. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 20 czerwca 1908.

Las rąbią...

(Tłomaczenie z rosyjskiego).

Las rąbią młody, las zielony jeszcze,
A sosny stare, smętne i ponure
Groźnie podnoszą swe korony w górę
Smutnie wstrząsając swe konary wieszcze.

Las rąbią młody. Czy dlatego może
Że pieśnią swoją budził on przyrodę...
Zawcześnie brzmiała pieśń w zielonym borze
O słońca blaski, szczęście i swobodę...

Las rąbią młody... Lecz głęboko w ziemi
Skryte nasiona. Pełne młodej siły
Wstaną — zaszumią liśćmi zielonemi
Drzewa, gdzie dzisiaj braci ich mogiły.

Zygm. Ból.

ANATOLE FRANCE.

Dobrze zrozumiana nauka.

Za czasów króla Ludwika XI. żyła w Paryżu obywatelka imieniem Violanta, piękna i dobrze zbudowana. Miała wygląd tak promieniejący, że mistrz Jakób Tribenillard, doktor praw i znakomity kosmograf, który bywał u niej, zwykł był mawiać:

„Kiedy cię widzę. pani, uważam za rzecz wiarygodną, a nawet zupełnie pewną, co Cucurbitus Piger pisze w swoich uwagach do dzieł Strebena, mianowicie, że znakomite miasto i uniwersytet paryski nosiły dawniej miano Lutetia albo Leukatja, albo też nazywane bywały podług innego słowa, pochodzącego od Leuke, co znaczy „biały“, a to z tego powodu, że damy w powyższem mieście miały łona jako śnieg, zaiste jednak nie były tak białe, jaśniejące i czyste jak twoje o pani.“

Na to Violanta odpowiadała skromnie: „Wystarcza mi, że pierś moja nie jest odrażająca jak to bywa u wielu kobiet, które znam. Jeżeli ją odsłaniam, to tylko dlatego, aby się zastosować do mody. Trzeba mieć wiele zuchwałości, aby czynić inaczej, niż drudzy.“

Ale pani Violanta w kwiecie swej młodości wyszła była za adwokota, człowieka zgryźliwego i złośliwego, który gdzie tylko mógł wyzyskiwał i uciskał nieszczęśliwych, przytem był słaby, chorowity i taki miał wygląd, że każdy musiał przypuszczać, jakoby mąż ten bardziej się nadawał do pracy poza łożem, niż do przyjemności wewnątrz niego. Ten dobry człowiek bardziej niz swą połowicę lubił pliki aktów, które wcale do niej nie były podobne. Były grube, pękate, nieforemne a adwokat całe noce spędzał nad nimi. Pani Violanta była zbyt rozumną, aby kochać męża tak niegodnego kochania. Mistrz Jakób Tribenillard zapewniał jednak, że była doskonale mądrą, słowną, stałą i w wierności małżeńskiej nieskazitelną, — zupełnie jak rzymska Lukrecja. A na dowód tego przytaczał, że nawet jemu nie udało się sprowadzić ją z drogi cnoty. Ale poczciwi sąsiedzi mieli pod tym względem pewne, zresztą bardzo ostrożne wątpliwości. Wiedzieli bowiem, że dama ta lubiła zanadto koronki i klejnoty i że przy uroczystościach w kościele nosiła suknie z jedwabiu, aksamitu i złota; byli jednak zbyt honorowi, aby o tem mówić. A pani Violanta pozwalała wszystkim chrześćjanom, którzy ją widzieli piękną i wystrojoną, wydawać sądy o niej, ale z żadnym z nich nie zgrzeszyła. Albowiem spowiednik jej, brat Jan Turelure, nieustannie poruszał jej sumienie.

„Czy myślisz, pani — mówił do niej — że błogosławiona Katarzyna dostałaby się do nieba, gdyby prowadziła takie jak ty życie i gdyby sprowadzała koronki z Genui?“

Jan Turelure był dużym, dla ludzkich słabości bardzo uczonym księdzem, który niczego nie przebaczał i myślał, że uczynił swą powinność, gdy ludzi nastraszył. Groził jej karami piekielnemi, ponieważ zmywała oblicze mlekiem oślicy. Wreszcie niewiadomo było nikomu, czy postarała się o odpowiedni strój głowy dla swego starego męża, a messire Filip de Coetquis mówił żartobliwie do szanownej damy:

— Uważajcie, on łysy, może się przeziębić.

Messire Filip de Coetquis był uprzejmym kawalerem i piękny jak walet talji kart. Pewnego razu spotkał p. Violantę na balu, przez całą noc wiele z nią tańczył, a po balu odwiózł ją do domu, trzymając przed sobą na siodle, podczas, gdy adwokat przy migotliwem i chwiejnem świetle pochodni, niesionych przez czterech pijanych lokai, brodził przez błoto uliczne i wodę strumyków. Podczas tego balu i podczas tej jazdy powstała w głowie messira Filipa de Coetquis myśl, że pani Violanta ma toczony biust i pełne, jędrne ciało. Z miejsca też ją pokochał, a ponieważ nie znał fałszu, powiedział jej zaraz, że pragnąłby ją trzymać nagą w ramionach.

Odrzekła mu na to:

— Messire Filipie, nie wiecie, do kogo mówicie, jestem cnotliwą niewiastą.

A później:

— Messire Filipie, przyjdźcie jutro znowu.

I przyszedł nazajutrz a ona rzekła do niego:

— Pocóż ten pośpiech?

To zwlekanie było powodem wielkiego niepokoju i niepomiernej złości kawalera. Blizkim już był tego, żeby wraz z Tibenillardem wierzyć, iż pani Violanta naprawdę jest Lukrecją — tak wszyscy mężczyźni podobni są do siebie z głupoty. I trzeba przyznać, że nie pozwoliła mu nawet pocałować się w usta, co przecież jest zupełnie niewinną przyjemnością i skromną pieszczotą.

Tak stały rzeczy, gdy brat Turelure przez gienerała swego zakonu został odwołany do Wenecji, aby tam nowo nawróconym turkom opowiadać prawdziwą wiarę.

Przed wyjazdem dobry braciszek odwiedził swoją owieczkę i z większą jeszcze niż zwykle surowością wyrzucał jej nieobyczajne życie. Gorąco nawoływał ją do pokuty i nalegał na nią, aby oblekła włosiennicę, jako że ona jest niezrównanym środkiem przeciw złym chuciom i jedynem lekarstwem dla ludzi, skłaniających się do sprośnego grzechu.

Ona jednak odrzekła mu:

— Kochany bracie, nie żądajcie zbyt wiele.

On wszakże nie słuchał, lecz groził jej piekłem, na wypadek, gdyby się nie poprawiła. Potem powiedział, że chętnie obejmie jej zlecenia. Myślał, że go poprosi o przywiezienie jakiegoś poświęconego medalika, różańca, albo jeszcze lepiej, trochę ziemi z grobu świętego, które to święte przedmioty turcy z suszonemi różami z Jeruzalem przywożą, a włoskie mnichy wiernym sprzedają. Ale pani Violanta prosiła go jak następuje:

— Kochany, dobry, bracie, ponieważ jedziecie do Wenecji, gdzie są tak zręczni w sporządzaniu zwierciadeł, byłabym wam bardzo wdzięczną, gdybyście mi przywieźli najlepsze źwierciadło, jakie znajdziecie.

(Dokończenie nastąpi.)

Co to jest hygjena społeczna?

Hygjeną wogóle nazywamy naukę, która nas poucza, jak należy zachowywać się, ażeby unikać chorób i wogóle wszystkiego, co szkodzi naszemu organizmowi. Nauka ta nabiera coraz większego znaczenia i coraz bardziej wysuwa się na pierwsze miejsce wśród nauk lekarskich w miarę tego, jak cała medycyna zmienia swe stanowisko względem chorób. Dawniejszy lekarz dbał przedewszystkiem o leczenie już rozwiniętych chorób, przepisywał sążniste recepty, pchał w biednego chorego jak najwięcej lekarstw. Dziś zaś na pierwszy plan wysuwa się zapobieganie chorobom, staranie niedopuszczenia do zagnieżdżenia się choroby w organizmie. Tu więc niezbędnemi są wskazówki hygjeny i dlatego do niej coraz częściej trzeba się zwracać.

Dla wyjaśnienia zaś pojęcia hygjeny społecznej weźmy przykład: dajmy na to, że zachoruje dwóch ludzi na jedną i tę samą chorobę i że ci dwaj ludzie znajdują się w zupełnie jednakowych warunkach społecznych; są jednako zamożni, mają jednakie zajęcie, obracają się w jednakich środowiskach. Wówczas przebieg tej choroby u każdego z nich, jeśli nie będzie jednaki, to zależeć to będzie tylko od niejednakowej wytrzymałości ich organizmów.

Inaczej jednak rzecz się przedstawi w tym wypadku, jeśli jeden z tych chorych będzie naprz. biednym zupełnie, żyjącym z dnia na dzień robotnikiem, t. j. jeśli ci dwaj chorzy w różnych środowiskach, różnych warunkach społecznych żyli i żyją. Wtedy to choroba powalić może robotnika a oszczędzić właściciela kamienicy, chociażby ich organizmy od natury jednakową siłą obdarzone były. Co sprawia tę różnicę? Sprawiają ją warunki społeczne, pod wpływem których znajduje się organizm każdego człowieka.

Robotnik ów łatwiej narazi się na chorobę i łatwiej jej ulegnie, gdyż na organizm jego źle wpływają: złe mieszkanie, złe jedzenie, niezdrowe warunki pracy i t. d. — wszystko to zaś wpływa z jego społecznego stanowiska.

Nasze współczesne, bardzo zagmatwane warunki społeczne wytworzyły mnóstwo szkodliwie na zdrowie działających wpływów, społeczeństwo zaś jest poniekąd winne, że taki zbudowało ustrój. Z tego wypływa obowiązek społeczeństwa wskazać jednostce sposoby unikania tych szkodliwych wpływów, ochraniać ją o ile możności. Wyszukaniem tych sposobów zajmuje się hygjena społeczna. Dać możność swym obywatelom korzystania z tych wskazań hygjeny społecznej to święty obowiązek każdego państwa i nie jest to żadną dobroczynnością z jego strony.

Dziś z natury rzeczy hygjena społeczna zajmuje się przeważnie klasą pracującą, robotniczą, gdyż ta najbardziej podlega szkodliwym dla zdrowia wpływom społecznego ustroju, a to z dwu głównych przyczyn: 1) wskutek złego materjalnego stanu i 2) wskutek braku uświadomienia ogólnego i hygjenicznego w szczególności.

Pomimo to jednak hygjena społeczna w zastosowaniu praktycznem przynosi pożytek wszystkim klasom. Choroby zakaźne bowiem, trapiące ludność jakiegoś miasta naprz., gdy raz wybuchną, nie zatrzymują się u wrót pałaców nawet, lecz zabierają swe ofiary i z pośród najwyższych klas. Tak więc powinni współdziałać szerzeniu się zasad i urządzeń społeczno-hygjenicznych wszyscy i to nie z uczucia ponadklasowej solidarności ludzkiej, która do dalekiej należy przyszłości, lecz wprost z czysto samozachowawczych pobudek.

* * *

Rozpatrzmy teraz z punktu widzenia hygjeny społecznej życie codzienne przeciętnego drobnomieszczanina, czy też robotnika fabrycznego w większem mieście. Nasuwają się odrazu na myśl najważniejsze sprawy: sprawa mieszkaniowa, sprawa odżywiania się, pracy, a wreszcie sprawa rozrywek.

Na osobne traktowanie zasługuje sprawa gruźlicy, jako ogromnie rozpowszechnionej choroby, w znacznej mierze wypływającej ze stosunków społecznych. Rzecz prosta, że w niniejszym artykuliku nie chcę wyczerpywać tych ważnych spraw, kreślę tylko plan tego, czem zajmuje się hygjena społeczna.

Każdy łatwo zrozumie, że sprawa mieszkaniowa jest najzupełniej sprawą hygjeniczną i społeczną. Szczególnie w coraz bardziej wzrastających wielkich miastach, centrach przemysłowych, gdzie każda piędź gruntu coraz wyżej się ceni, ludność biedniejsza skazaną jest na gnieżdżenie sie w suterenach, na poddaszach, mieszkanie „kątem", lub po 6 — 10 osób w jednym pokoju. Wszystkie choroby, trapiące ludność wielkich miast (choroby zakaźnie, gruźlica etc.), znajdują najlepszy grunt dla siebie w tych norach mieszkaniowych. Społeczno-hygjeniczną doniosłość sprawy mieszkaniowej zrozumiano oddawna i jest ona bodaj najbardziej opracowaną i omawianą przez hygjenistów i działaczy społecznych. W sierpniu 1907 roku odbył się w Londynie 8-my już z rzędu kongres międzynarodowy, czyli narada przedstawicieli uczonych różnych nad sprawą mieszkaniową. Na kongresie tym słusznie powiedział minister John Burns: „Sprawa mieszkaniowa zawiera w sobie cały problemat nędzy dzisiejszego proletarjatu i wraz z nim może być rozwiązaną". Czyż jednak mamy z założonemi rękoma patrzeć na straszne skutki nędzy mieszkaniowej, w oczekiwaniu rozwiązania ostatecznego kwestji społecznej? Hygjena społeczna nie godzi się na takie wyczekujące stanowisko, chce działać i działa jak może już dziś, w ramach dzisiejszego ustroju społecznego. Prawda, działanie to bardzo utrudnione i skromne przyniosło dotychczas rezultaty, ale zawsze i to, co przyniosło, nie jest do pogardzenia. Więc: 1) Inspektoraty mieszkaniowe. 2) Ułatwienia w środkach komunikacji, które dozwalają na zamieszkiwanie miejscowości podmiejskich. 3) Towarzystwo tanich mieszkań robotniczych. 4) Miasta ogrodowe. Oto arsenał środków, z jakimi występuje hygjena społeczna do walki z nędzą mieszkaniową. Tu tylko wyliczyliśmy te środki, zastrzegając sobie szczegółowe ich omówienie w innych artykulikach.

Ze sprawą odżywiania się warstw robotniczych wiąże się ważna sprawa hygjeniczno-społeczna, mianowicie sprawa alkoholizmu. Walka z tą plagą (o tem pisaliśmy obszernie w poprzednich numerach) jest również jedną z najważniejszych trosk hygjeny społecznej.

Warunki pracy zawodowej w bardzo wielu przypadkach są źródłem licznych chorób, które trapią i dziesiątkują społecznie upośledzone warstwy ludności, jest to więc znów sprawa wchodząca w zakres hygjeny społecznej. Znamy mnóstwo gałęzi produkcji, które są połączone za szkodliwymi wpływami dla zdrowia robotników, wiemy doskonale jak wadliwie pod względem zdrowotnym urządzone są nasze warsztaty, fabryki, kopalnie i t. d. I oto znów mamy osobną a bardzo obszerną i ważną gałęź hygjeny społecznej, hygjenę zawodową lub fabryczną, której zadaniem jest walka z chorobami, które są połączone z każdym prawie fachem. Drukarz choruje na chorobę ołowianą, górnika trapi specjalna chorobę górniczą, wywołana przez małego robaczka, piekarz choruje od gorąca, robotnik kanałowy od zimna i wilgoci, wszyscy zaś prawie cierpią od kurzu w fabrykach.

Hygjena społeczna dbać musi o wynajdywanie środków ochronnych, o uświadamianie robotników co do tych chorób, wreszcie o to, żeby państwo, władze pilnowały, aby ustanawiano odpowiednie prawa ochronne, przepisy o urządzeniu fabryk, o czasie pracy i t. p., aby tych przepisów nie pomijano. Ale tu już wkraczamy w zakres innej umiejętności nowoczesnej mianowicie polityki socjalnej, która ma wiele wspólnego z hygjeną społeczną, jest jednak dziedziną odrębną, zasługującą na odrębne jej omówienie.

„Wiedza".

Pogadanka przyrodnicza.

U kolebki astronomji.

Zawód uczonego nie składa się z samych rozkoszy. Ta refleksja niezawodnie nasunąć się musiała dwu chińskim astronomom Chi i Cho, którzy — działo się to około dwóch tysięcy lat przed Chrystusem — skazani zostali na śmierć za niedość gorliwe pełnienie czynności urzędowych. Astronomowie Chi i Cho mieli za zadanie prowadzić według gwiazd rachubę dni, miesięcy i lat, a zarazem pilnie baczyć na to, czy smok latający nie zbliża się do słońca z zamiarem pożarcia go i sprowadzenia na kraje cesarstwa niebieskiego ciemności. W tym ostatnim wypadku bezzwłocznie powiadomić mieli odpowiednie władze, aby na grzmiący odgłos bębna zgromadzili się na ulicach na czele ludu kapłani i, czyniąc wielki zgiełk, odegnali potwora. Tego obowiązku zaniedbali niefortunni Chi i Cho, nie uprzedzili o zaćmieniu słońca, które nastąpiło, — i dlatego musieli rozpruć sobie brzuchy.

Podobne naiwne kojarzenie zjawisk odbywających się we wszechświecie ze sprawami ludzkiemi, jest wysoce charakterystyczne dla pierwotnych poglądów astronomicznych.— W chwili, gdy ziemię uważano za punkt środkowy wszechświata, gdy mniemano, że jedynym celem istnienia słońca, gwiazd i księżyca jest człowiek, całkiem naturalnem było dopatrywanie się związku między zjawiskami niebieskiemi, a bytem człowieka na ziemi. Następowało zaćmienie słońca, przelatywał po niebie ognisty meteor, ukazywała się potworna miotła komety — i ludzie przekonani byli, że zjawiska te zapowiadają jakieś zmiany w ich otoczeniu, krwawe wojny, śmierci, powodzie, klęski żywiołowe, że są to znaki ostrzegawcze, zwiastujące ich przyszłość.

Do krzewienia się grubych zabobonów przyczyniła się zwłaszcza okoliczność, że wszelka wiedza była ongi w wyłącznym posiadaniu kapłanów, którzy nie omieszkali swego monopolu wyzyskać we właściwym kierunku. Na astronomji odbiło się to w sposób wysoce szkodliwy. Ukryta w mroku świątyń, odgrodzona od świata welonem tajemniczych misterji, stała się ona udziałem garstki wybranych, którzy posiedli przywileje stanu kapłańskiego — dla ludu wystarczyć musiały bajki o smokach.

Katolickie średniowiecze było czasem panowania najbardziej przewrotnych poglądów w dziedzinie astronomii. Zaczątki wiadomości o niebie, zdobyte przez egipskich kapłanów i indyjskich magów, zarosły chwastami przesądów i dociekań astrologicznych. Gwiazdy badano nie w celu poznania praw rządzących wszechświatem, lecz poto jedynie, by z ich układu wróżyć o przyszłości poszczególnych ludzi i narodów. Zdaniem astrologów, dość było wynotować układ ciał niebieskich w chwili urodzenia człowieka, aby niechybnie przepowiedzieć wszystko, co go w życiu czeka. Nazywano to ułożeniem horoskopu. Mimo bijącej w oczy niedorzeczności tego rodzaju nauki, w całym przeciągu wieków średnich cieszyła się ona niesłychanem powodzeniem. Królowie i ludzie możni trzymali przy sobie astrologów, których rad zasięgano w złych i dobrych kolejach. Pozycja ich miewała niekiedy swoje przykre strony. Pewnego razu astrolog dworski Ludwika XI przepowiedział śmierć jednej z faworytek królewskich. Przypadek chciał, że dama ta istotnie wkrótce umarła. Rozgniewany król przywołuje do siebie astrologa, a równocześnie wydaje straży rozkaz, aby, na dany przez niego znak, astrologa wsadzono do worka i wrzucono do rzeki. „Tak dokładnie czytasz w losach innych ludzi — zaczyna król — powiedzże, proroku, ile czasu pozostało ci samemu do życia?“ „Panie — odpowiada astrolog, który domyślił się snać intencji królewskich — gwiazdy odkryły mi, że mam umrzeć trzy dni przed zgonem waszej królewskiej mości“. Król nietylko nie miał odwagi dać umówionego znaku, lecz począł odtąd szczególną pieczą otaczać sprytnego gwiaździarza. Jak mocną była wiara w podobne przepowiednie, świadczą następujące przykłady: W r. 1490 jakiś astrolog zapowiedział potop powszechny. Wiadomość ta stała się źródłem ogólnego zamieszania. Niejaki doktor Orjal w Tuluzie, na wzór biblijnego Noego, przystąpił natychmiast do budowy arki; ludność uboższa zaopatrywała się w łodzie; w strachu i naprężeniu oczekiwano feralnego terminu. Niestety, łatwowiernych ludzi spotkał zupełny zawód, gdyż lato tego roku było wyjątkowo suche i skwarne. Inny uczony średniowieczny, na podstawie ułożonego horoskopu, przepowiedział sobie, że umrze w r. 1575. Gdy zbliżył się wskazany czas, tak dalece przeświadczony był o własnym zgonie, że rozdał wszystko, co posiadał, i przestał przyjmować pożywienie. Niebawem umarł istotnie... z głodu.

Dopiero po ukazaniu się wiekopomnej pracy Kopernika, który doszczętnie obalił panujące dotąd wyobrażenia o wszechświecie, nastały dla astrologii gorsze czasy. I jedynie dzięki temu, że nauka Kopernika wyklęta przez kościół, wyśmiana przez współczesnych, czekać musiała na uznanie przyszłych pokoleń — horoskopy astrologiczne niemal przez dwa wieki kołatały się jeszcze tu i owdzie po książkach, póki ostatecznie nie złożono ich do lamusu historji.

Rozmaitości

Miłuj bliźniego twego, jak siebie samego — takie przykazanie pozostawił nam Chrystus. Jak naukę tę spaczono w życiu, o tem przekonujemy się na przykładzie odnoszącym się do marjawitów, którzy w Królestwie polskiem utworzyli nowy kościół. Kościół ten można nazwać polskim, bo zamienił on język łaciński na polski; pozatem nie różni się wiele od kościoła katolickiego. Duchowni marjawici byli przedtem księżmi katolickimi.

Z jaką nienawiścią i zawziętością bywają zwalczani marjawici, o tem dowiadujemy się z „Myśli Niepodległej“: „Jak fałszywie i tendencyjnie prasa nasza oświetla życie bieżące i jego zawikłania, wykazują „Wiadomości“ dodatek do „Marjawity“, nr. 15 z d. 9 kwietnia. We wsi Wiejca wzburzeni rekolekcjami w Lesznie katolicy zabili drągami marjawitę Józefa Tomaszewskiego. „Kurjer Warszawski“, chcąc zbagatelizować wypadek, twierdzi, iż Tomaszewszewskiego napadli bandyci i zabrali mu 240 rubli. „Trudno o większą przewrotność“, skarży się redakcja. Nie pierwsza to jednak zbrodnia. Zabito w Lesznie i okolicy: Skrońskiego, Poradowskiego, poraniono ciężko: Kazulaka, Suffera. Redakcja, zwracając się do hierarchji katolickiej, zapytuje: Kainie, gdzie jest brat twój? — Tragiczne wrażenie wywiera też artykuł w nr. 18 „Marjawity“ (dodatek) z dn. 30 kwietnia. Księża, nie mogąc przeszkodzić „pierwszej Mszy polskiej“, bardzo się zaniepokoili, a ich niepokój udzielił się w Wólce, niedaleko Sannik, tłumowi młodzieży fabrycznej, która modlącym się marjawitom przeszkadzała bębnieniem, skrzypieniem, wyciem i beczeniem. Księża kowieńscy wołają z ambon przeciwko księdzu marjawicie: „Swiętokradca, ukradł nam Pana Jezusa i teraz mu cześć oddaje!“ Na Pradze młodzież katolicka, wychodząc ze szkoły, tłucze systematycznie szyby w kaplicy marjawickiej. W Zgierzu w szkołach miejskich dzieci sfanatyzowane przez księdza prefekta biją i drapią do krwi kolegów i koleżanki marjawickie. W gminie Młociny tłum katolicki obległ kaplicę marjawicką, wyłamał okna, zniszczył lichtarze. A oto zeznanie marjawitki: „Z powodu niecnej agitacji księży kapucynów ja niżej podpisana zostałam przez własne swe dzieci i innych członków rodziny napadnięta i męczona za przekonania marjawickie. Synowie moi mnie porwali, wnieśli do mieszkania, gdzie poczęli się wszyscy niewypowiedzianie nademną znęcać... związali mi ręce i nogi, poczęli bić po twarzy, targać za uszy, wybili mi ząb i tak pastwili się nademną od godziny 8—10 wieczorem. Namawiano mnie do skargi sądowej, ale to przecież — dzieci moje!“

* * *

Telegrafowanie obrazów i pisma. Nadzwyczajną sensację wywołały próby świeżo wykonane przez prof. Korna z Monachjum z prądem elektrycznym, zastosowanym w przenoszeniu pisma i fotografji na odległość. Zasada, na której się to całe urządzenie opiera, polega na tem, żeby ze stacji wysyłającej można było wysyłać prąd przerywany, albo prąd stały wzmacniać lub osłabiać, wreszcie zmieniać prądu kierunek. I tylko o to idzie, żeby stację wysyłającą tak urzą-

dzić, by rozmaitym punktom obrazu nadać różne własności przenoszenia prądu tak, żeby stacja odbierająca otrzymała te różne nasilenia prądu, jako optyczny obraz. I tak np. napisane słowo można sobie wyobrazić, jako rysunek wypleciony z cieniutkiego drutu i położony na papier każdy punkt tego słowa będzie miał własność przewodzenia prądu, a podkładka papierowa będzie izolatorem. A że większa lub mniejsza przeźroczystość wzmacnia lub zmniejsza siłę prądu, więc przy transparentowych fotografjach można poszczególne ich punkta przenieść na wielkie odległości. Gdyby próby się udały i ten wynalazek znalazł zastosowanie, oddałby on wielkie usługi w świecie handlowym i dziennikarskim. Bo interesenci mogliby przez telefon zawierać umowy i umieszczać pod niemi wymagane przez prawo własnoręczne podpisy. Największe jednak budzi zainteresowanie to, czy przy dalszych udoskonaleniach na tem polu nie byłoby można do tego doprowadzić, żeby bez skomplikowanych aparatów druty mogły przenosić optyczne obrazy na setki i tysiące kilometrów tak, jak przenoszą głos w urządzeniach telefonicznych. Można jednak już dziś powiedzieć, że Kornowi udało się rozwiązać zagadnienie, które od dziesiątek lat błąkało się w mniej lub więcej fantastycznych opisach o nadzwyczajnych wynalazkach. Kilka fotografji już dziś udało mu się w ten sposób przenieść na niezbyt wielkie odległości.

* * *

Zegar mówiący. Pewien berliński mechanik wpadł na dobry pomysł zastosowania fonografu do mechanizmu zegarowego i stworzył zegar „mówiący". Aparat z odpowiednią płytą połączył ze wskazówkami zegara i gdy te zatrzymują się na pewnej godzinie, otwierają się automatycznie zastawki fonografu i zegar „wywołuje" godzinę i porę dnia, poczem znowu przesunąwszy się cokolwiek dalej wskazówki aparat wołający zamykają. W ten sposób zegar nawoływałby: „Trzy kwadranse na piątą popołudniu!" „Mówiący" zegar o ile znajdzie zastosowanie w życiu domowem z pewnością stworzy nowe przysłowie: „Ten wie tyle, ile mu zegar powie".

* * *

Kinematograf w statku powietrznym. Drezdeński inżynier Erneman wpadł na dobry pomysł zrobienia zdjęcia kinematograficznego z szybującego w powietrzu balonu. Dokonał tego małym aparatem w czasie swej wycieczki i próba jego wypadła doskonale. Obrazy rzucane na ekran dają tak łudzące odbicia, że widzowi się zdaje, że on sam przebywa podróż balonem. Erneman znajdzie z pewnością naśladców, tem bardziej, że te przedstawienia mają tę szczególniejszą atrakcję, że przeżywianie tych ciekawych wrażeń w rzeczywistości jest sportem bardzo kosztownym. Złudzenia będą znacznie tańsze.

* * *

Oczy owadów a fotografja. Prof. Lippmann podaje w „Comptes Rendus" niezmiernie piękny pomysł nowego rodzaju fotografji. Wiadomo, że oczy złożone owadów składają się z wielu tysięcy oczek poszczególnych, z których każde jest zaopatrzone w osobną soczewkę i siatkówkę. Prof. Lippmann proponuje, aby naśladować to samo w kliszach fotograficznych. Błonce celuloidowej lub kolodjonowej należy nadać takie karbowanie, żeby powstał szereg komórek odpowiadających oczkom owadów. Tylną powierzchnię komórek tych należałoby pokryć warstwą emulsji czułej na światło. Klisza sporządzona w ten sposób przypominałaby zupełnie oko złożone owada. Do fotografowania nie potrzebaby używać aparatu, bo każda z komórek stanowiłaby komorę fotograficzną; otwierałoby się poprostu kasetę na czas pewien. Dokonawszy zdjęcia po wywołaniu otrzymalibyśmy negatyw, który dawałby stereoskopowy obraz przedmiotu. Co więcej, patrząc pod różnymi kątami, widzielibyśmy dany przedmiot ze stron różnych. Należy to sobie tłomaczyć w sposób następujący: Zjawiska w kamerach fotograficznych są odwracalne. Inaczej mówiąc, kiedy zamiast matówek wstawimy djapozyt i oświetlimy go, to na zewnątrz otrzymamy obraz djapozytywu. Tak samo obraz utrwalony w każdem z oczek elementarnych naszej kliszy będziemy mogli widzieć na zewnątrz, a odpowiadać on będzie temu właśnie, co oczko w danym kierunku widziało.

Praktycznie wielką trudność stanowi otrzymanie powierzchni o odpowiedniej krzywiźnie oczek elementarnych. Komunikat Lippmanna ma cechy szkicu i autor nie wzmiankuje o próbach doświadczalnych. W „Illustracji Francuskiej" czytamy jednak, że wybitny uczony otrzymał już wyniki dodatnie i że myśl swą podał do wiadomości ogółu, pragnąc przespieszyć udoskonalenie tego sposobu. K.

* * *

Zbudowanie domu w 12 godzinach. Na wystawie budowlanej w Sztutgarcie stoi przed halą przemysłową willa, zbudowana w dwanaście godzin. Ma ona ganeczek z filarkami, werandę, salon, jadalnię, sypialnię i gabinet, kuchnię, łazienkę, pokój dla służby i t. d. Willa jest cała zbudowana z materjału, wynalezionego przez radcę budownictwa Hergerera ze Sztutgartu, nazwanego „tektonem". Tekton polega na tej samej zasadzie, co konstrukcje żelazno-betonowe, mianowicie na tem, że części budowli wytwarza się przez otoczenie drzewa sztuczną masą, tak, że drzewo wytrzymuje ucisk rozciągający, masę ugniatający. Poszczególne części: jak belki, części ścian i t. d. wyrabia fabryka, suszy je, poczem mogą natychmiast wędrować na plac budowy, celem składania w dom. Właściciel może przeto mieć willę na poczekaniu, po zbudowaniu zaś jej może wprowadzić się natychmiast, gdyż dom jest zupełnie suchy zaraz po ukończeniu. Nowy materjał ma być trwały, ma izolować wybornie ciepło i głuszyć głos, wreszcie nie należy do drogich. Publiczność, zwiedzająca wystawę, tłumnie ogląda willę tektonową, której zbudowanie wraz z urządzeniem wewnętrznem trwało trzy dni.

* * *

Masowe zatrucie na bankiecie. W ubiegłym tygodniu odbył się w Paryżu bankiet francuskiego klubu automobilistów, którego członkowie rekretują się prawie wyłącznie ze sfer najwyższej arystokracji. Bankiet odbył się pod egidą ministra wojny Picquarta. Wśród przepychu najwykwintniejszych potraw i smakołyków podano między innemi także „kaczki z Rouen", narodową potrawę francuską, podawaną jednak tylko na magnackich ucztach z powodu niezwykłej drożyzny tych ptaków. Potrawa ta powoduje niejednokrotnie, zwłaszcza latem, liczne zatrucia, a to z powodu trujących materji, które zawiera. Na bankiecie w klubie automobilistów, zaraz po uczcie zachorowało wśród wybitnych objawów zatrucia okrągło 300 uczestników, których natychmiast musiano odwieźć do domów i położyć do łóżek. Jeden z biesiadników, Tampier, zmarł w parę godzin po bankiecie. Zarządzono surowe śledztwo, które jednak nie wykryło nic karygodnego. Zatrucie nastąpiło skutkiem spożycia „kaczek z Rouen". Kaczki te przyrządzają francuzi w nader oryginalny sposób. Przedewszystkiem ptaków nie zarzynają lecz duszą i to w ten sposób, aby nie uronić ani kropli krwi, następnie wraz ze wszystką krwią pieką. Trujące materje wytwarzają się, jak stwierdzono naukowo, wskutek rozkładu krwi w duszonym ptaku. Proces ten w lecie, w czasie upałów, odbywa się nader szybko i może być przyczyną katastrofy. W dniu nieszczęśliwego bankietu upał w Paryżu dochodził do 30 stopni Celsjusza.

Z literatury i sztuki

„Myśl Niepodległa", (Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10). Treść nr. 65: Kwestja słowiańska. — Dr. W. Miklaszewski: Życie płciowe naszego ludu miejskiego. — Luźne kartki z przeszłości niekatolickiej Polski. — Robert G. Jugersoll: Dlaczego jestem agnostykiem? — Droga do teatru. — Bolesław Bourdon: Widma. — Zapiski i książki.

„Myśl Niepodległa" przynosi szereg cennych artykułów. Oby jednak pożyteczności tych artykułów nie chciała psuć artykułami wstępnymi, zawierającymi mgliste i jałowe zaczepki przeciwko socjalizmowi. Należy zaznaczyć, że się to tylko odnosi do artykułów wstępnych.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 26. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 27 czerwca 1908.

Z poezji Ady Negri

w przekładzie Marji Konopnickiej.

WYZWANIE.

O, świecie mieszczańskich świętoszków, karmiony
Słodyczą i cyfr i łakotek!
O, świecie opasły, co liczysz miljony,
O, świecie zalotnic, dewotek! —

O, świecie, narkozą strawionej kobiety,
Co na mszy z kochankiem się schodzi,
O, świecie cudzołóztw i sztucznej podniety,
Gdzie wiosny nie czują i młodzi, —

I tyż-to, o, nizki, kłamliwy, a srogi,
Chcesz zakryć mi słońca blask złoty?
I tyż-to, pigmeju, zrodzony do trwogi,
Chcesz skrzydeł wyłamać mi loty? —

Ty ziewasz — ja śpiewam, ty w bagnie — ja w locie;
Ty kłamstwo i jad masz — ja wzgardę!
Żar natchnień unosi me pieśni, me harde, —
Ty w własnem pogrążasz się błocie.

O, świecie, ty gęsi, i gadów ty, świecie!
Przeklinam cię, nędzny, bez woli!
I z wzrokiem utkwionym w gwieździste zamiecie
Ulatam naprzeciw mej doli!

Ulatam bezbronna i światła spragniona —
Ty pełźniesz sceptyczny i stary...
Tem głośniej pieśń wieszcza wybucha mi z łona,
Im mniej masz miłości i wiary!

Idź dalej swą drogą i złotem zwodniczem
Wyzłacaj swe ślady i brudy!
Ja wrzących słów moich uderzam cię biczem, —
O, świecie ty fałszu, obłudy!

ANATOLE FRANCE.

Dobrze zrozumiana nauka.

(Dokończenie.)

I brat Jan Turelure obiecał uczynić zadość jej prośbie.

Podczas nieobecności spowiednika pani Violanta prowadziła dawne życie, a gdy messire Filip zapytał: — Czy nie byłoby dobrze, gdybyśmy się kochali? — odrzekła: — Za gorąco. Spojrzyjcie na chorągiewkę od wiatru, czy się nie obróciła. Sąsiedzi, którzy ją obserwowali, zwątpili zupełnie, że kiedykolwiek przyprawi rogi swemu szpetnemu mężowi. „To skandal“ powtarzali z oburzeniem.

Po powrocie swoim z Włoch ukazał się brat Jan Turelure u pani Violanty i oznajmił jej, że przywiózł jej, czego sobie życzyła.

— Patrz! — i z pod sutanny wyciągnął czaszkę ludzką.

— Oto zwierciadło twe, pani. Albowiem głowę tę dała mi najpiękniejsza kobieta Wenecji. Była taką jak ty, a ty staniesz się do niej podobną.

Pani Violanta, która przemogła zdziwienie i wstręt, odrzekła dobremu ojcu dosyć stanowczo, że naukę rozumie i nie omieszka z niej korzystać.

— Zawsze, kochany bracie będę miała przed oczyma te lustro weneckie, w którem widzę się taką, jaką wkrótce będę. Obiecuję wam, że całe moje życie odpowiednio do niego urządzę.

Brat Jan Turelure nie spodziewał się tak dobrych słów, okazał więc poniekąd swe zadowolenie.

— Przyznajesz więc pani, że musisz zmienić swe uczucia. Obiecujesz mi, że zastosujesz życie swe do poznania, które ci ta martwa czaszka przyniosła. Czy nie chciałabyś to także i Bogu obiecać, tak jak mnie przyrzekłaś?

— Czyż to konieczne? — zapytała.

Odpowiedział, że konieczce.

— A więc dobrze! — zgodziła się.

— Pamiętaj więc pani, że niema odwołania.

— Nie odwołam niczego.

Gdy brat Jan Turelure usłyszał to zapewnienie, opuścił ją z wielką radością w sercu.

I szedł przez ulicę wołając:

— Z pomocą Boga, pana naszego, nawróciłem damę i otworzyłem przed nią raju wrzeciądze. Ona, która dotychczas używała ciała swego, stworzonego przez pana na to, aby mu służyło i ubóstwiało jego wszechmoc, tylko do tego, aby kusić mężczyzn — ona porzuci ten sprośny tryb życia, aby zacząć inny, lepszy. Ja ją zmieniłem. Chwała panu na wysokości!

Dobry brat zaledwie zszedł na dół po schodach, gdy wchodził na nie messire Filip de Coetquis. A wszedłszy zapukał do drzwi pani Violanty. Przyjęła go z uśmiechem i wprowadziła do małej komnaty, zupełnie wyłożonej dywanami i poduszkami i dokąd nigdy jeszcze nie doszedł. Domyślał się czegoś dobrego. Ofiarował jej słodycze, które w puszce przy sobie nosił.

Spróbujcie ich pani, są słodkie i cukrzone, ale nie tak, jak wasze usta.

Na to dama odrzekła, że jest rzeczą próżną i głupią chwalić owoc, którego się nie kosztowało.

Znalazł na to trafną odpowiedź, całując jej wargi.

Nie zagniewała się wcale i powiedziała tylko, że jest uczciwą kobietą. Pochwalił ją za to, i radził, czci swojej nie zamykać w ustronnym pokoju, bowiem mógłby ją kto zaskoczyć. A wtedy z pewnością zostałaby pozbawioną tego skarbu, i to w bardzo krótkim czasie.

— Spróbujcie — mówiła, bijąc go delikatnie różową rączką.

Ale on już brał wszystko wedle upodobania.

— Nie chcę! fe, fe, messire, nie uczynicie tego! Przyjacielu mój... moje serce... umieram! — krzyczała.

A gdy przestała wzdychać. rzekła z wdziękiem:

— Messire Filipie, nie wyobrażaj sobie bynajmniej, że zdobyłeś mnie gwałtem, lub nagłością faktu. Że otrzymałeś odemnie, co chciałeś, stało się dlatego, że mnie się tak podobało, a broniłam się tylko tyle, ile było potrzeba, aby być zwyciężoną według życzenia. Słodki mój przyjacielu, jestem twoją. Jeżeli mimo twej piękności, która odrazu mnie zachwyciła, mimo twej cennej przyjaźni nie dałam ci dotąd tego, co teraz za mą wolą wziąłeś, to z powodu braku mego zastanowienia się nad tem; myślałam, że mam jeszcze dużo czasu i pogrążona w przyjemną obojętność, nie starałam się wykorzystać młodych moich lat i piękności. Ale dobry brat Jan Turelure udzielił mi dobrej rady. Pokazał mi trupią czaszkę i rzekł: „Taką i ty wkrótce będziesz". Zrozumiałam to tak, że trzeba się spieszyć z miłością i korzystać z każdej chwili, gdy możemy się jej oddawać.

Słowa te i pieszczoty, które im towarzyszyły, przekonały messire Filipa, że należy dobrze używać czasu ku uciesze i chwale swej ukochanej, i pomnożył dowody, których w takich okolicznościach żaden dobry i wierny poddany nie szczędzi.

Potem opuścił damę swego serca. Odprowadziła go aż do drzwi, z wdziękiem ucałowała jego oczy i rzekła:

— Nie prawdaż przyjacielu Filipie, że dobrze jest słuchać pożytecznych nauk kochanego brata Jana Turelure?

KONIEC

Ubarwienie zwierząt.

Zapewne uwagę każdego zwraca wiosenna zmiana uwłosienia u niektórych zwierząt. Dosyć spojrzeć na konie dorożkarskie, iż całą zimę pokryte są sierścią miękką, jakby najeżoną, która okrywała je w mrozy i zabezpieczała od zmarznięcia. Ale już wczesną wiosną sierść ta staje się nierówną, gdyż przebijają przez nią sztywne włosy letnie, a w maju wypadają włosy zimowe i cała sierść staje sie gładką, sztywną, ściśle przylegającą do skóry. To samo można zauważyć i u innych zwierząt naszej strefy. Co wiośnę następuje ta zmiana włosów wełnistych, zimowych na letnie, ościste. Nie dzieje się to jednak raptownie, lecz następuje zmiana powolna: zanim wypadną włosy wełniste, wyrastają ościste i przebijają futro zimowe, które w ten sposób powoli zanika. Wtedy zaczynają rosnąć nowe włosy wełniste, rosną przez całe lato i w jesieni pokrywają całkowicie skórę zwierzęcia.

Niektóre zwierzęta zmieniają nawet ubarwienie swych włosów na lato i zimę. Tak np. wiewiórki, w lecie rdzawe, w zimie pokryte są przeważnie sierścią popielatą; pochodzi to stąd, że na zimę wyrastają obficiej wełniste włosy popielate, stanowiące dotychczas tylko jakby podszycie i nadają barwe całej sierści.

Wiewiórki syberyjskie, t. zw. popielice, są zupełnie popielate w zimie. Łasice również zmieniają swe ubarwienie, stając się na zimę jaśniejsze, a gronostaj w zimie jest całkiem biały.

Barwy te nie występują tak ściśle co pół roku. Im dłuższa zima, tem dłużej pozostaje zając białym, a w północnej Rosji można i w lecie znaleść okazy zupełnie białe. W środkowej Grenlandji np. spotykane są zające białe jeszcze w czerwcu, w sierpniu zaś stają się one żółto-brunatne na grzbiecie, wkrótce jednak wracają do swej śnieżnej białości.

Nie jest to jeszcze dokładnie zbadane, jakie są przyczyny fizjologiczne tego zjawiska, można jednak przypuszczać, że zmiana w ubarwieniu ma związek tak z temperaturą klimatu, jak i z warunkami otoczenia. Faktem jest, że zmianie tej ulegają głównie, a nawet wyłącznie, zwierzęta strefy zimnej i umiarkowanej, gdzie następuje nietylko przemiana pór roku, ale gdzie panują duże mrozy i śniegi.

Że wogóle istnieje pewna łączność pomiędzy naturą a zwierzęciem, pokazują nam to liczne obserwacje, a w ubarwieniu ujawnia się to najwybitniej, tak, że można śmiało wyprowadzić wniosek, że uberwienie zwierząt zlewa się z otoczeniem. Jest to dla zwierzęcia korzystne, gdyż przez to ono nie bywa tak łatwo spostrzeżone przez napastnika, a napastujący może łatwiej się podsunąć niepostrzeżenie ku swej ofierze. Małpy np. są zwykle ubarwione na szaro, brunatno, zielonawo, co odpowiada wyraźnie korze i ulistwieniu drzewa, oraz barwie skał. Zwierzęta latające, żyjące na drzewach, są także zielonawo-szare, te zaś, które śpią w szczelinach skał, są całkiem szare.

Pomiędzy drapieżcami znajduje się wiele takich, które są jakby obrazem ogólnego zabarwienia ich ojczyzny: wilk ma barwę ziemistą, lis może być równie dobrze mieszkańcem lasów iglastych jak liściastych; lis polarny zaś w zimie śnieżno-biały, w lecie szary, jest przedstawicielem okolic północnych; hyjeny, jako zwierzęta nocne, są szare (gdyż ta barwa najpierw przestaje być widzialną dla oka o mierzchu). Lew, pardel, giepard i serwal przedstawiają się jako istotne zwierzęta stepowe; ich żółta barwa podstawowa, pokryta plamami różnych kolorów, zlewa się znakomicie z różnobarwną roślinnością stepów. Koty północne dobrze harmonizują z bezbarwną swą ojczyzną i ciemną nocą; tygrys pręgowy znika wśród łodyg bambusowych, lampart zaś w pstrych zaroślach Afryki środkowej; koty amerykańskie odpowiadają doskonale lasom tamtejszym.

Kuny ukazują wielką rozmaitość w ubarwieniu, np. kuna leśna jest brunatna, kamionka — szara, tchórz płowy, łasica zmienia się zależnie od pory roku. Nasz niedźwiedź jest brunatny, niedźwiedź północny — biały, szop — szarawo-brunatny. Zwierzęta workowe i gryzonie również posiadają barwę, zlewającą się z otoczeniem, zając np. siedzący pod krzakiem lub na miedzy może być niespostrzeżony przez myśliwego nuwet z odległości 10 kroków; wiewiórka ma barwę kory sosny, wiewiórki zaś północne i latające barwę kory brzozy, gdyż przeważnie w takich lasach żyją; myszy skalne są szaro-brunatne, pustynne — płowo-żółte, stepowe — pręgowate, domowe — szare. Wśród przeżuwaczów jelenie mają szatę leśną; giemzy, kozice — szatę skalną, antylony — stepową lub pustynną; renifery — szarą barwę porostową. Jednokopytowce — kwagga, żebra i dziki osieł — są przystosowane do barwy stepów, wielokopytowce do barwy bagien.

Przykłady te wystarczą do przekonania się, jak reguła powyższa jest powszechną. Przytem daje się i to zauważyć, że zwierzęta, których miejsce zamieszkania jest bardziej ograniczone, mają zwykle barwę stałą, podczas gdy barwa zmienna ich ciała świadczy o niestałości miejsca pobytu.

Pogadanka przyrodnicza.

Sen i senne marzenia.

Świat snów! Ileż fałszywych wyobrażeń, dziwacznych przesądów, ile wiary w zaziemską, mistyczną jego istotę. Wedle pojęć ludów dzikich, dusza opuszcza podczas snu ciało i odbywa wędrówki po świecie; obrazy senne, których mgliste zazwyczaj zarysy majaczą w świadomości po przebudzeniu, są wspomnieniem prawdziwych przygód, doświadczonych przez ową wędrowną duszę. Całkowicie wyzwolić się od tego rodzaju skojarzeń nie zawsze umieją nawet ludzie skądinąd rozsądni, nie mówiąc już o niedorzecznych praktykach wróżbiarskich, o literaturze „senników egipskich", których zwolennicy wierzą niezachwianie, że człowiek, któremu przyśni się pożar — niechybnie zostanie Krezusem. W miarę tego, jak do mrocznego świata snów przedostawać się poczęły promienie wiedzy, gdy do badania zjawisk sennych zastosowano metody doświadczalne, przekonano się, że zjawiska te powstają na podłożu tych samych praw przyrodniczych, jakim podlegają wszelkie inne objawy fizycznego i umysłowego życia człowieka. Najprostszy sposób badania, stosowany już przez Fechnera, twórcę psychologji nowoczesnej, polega na budzeniu śpiącego za pomocą rosnących stopniowo bodźców dźwiękowych. W krótkich przerwach rzuca się raz po raz na płytę żelazną kulę z ołowiu; siła uderzenia potęguje się przez to, że kula spada z coraz większej wysokości, dopóki śpiący nie obudzi się. Przekonano się z tych doświadczeń, że głębokość snu w różnych godzinach nocy jest bardzo nierównomierna. U człowieka

normalnego sen najgłębszy przypada na pierwszych parę godzin uśpienia i odbywa się zwykle bez marzeń. Stopniowo — z pewnemi wahaniami — siła snu słabnie pod rano; w ostatnich zaś godzinach, bezpośrednio przed obudzeniem, sen bywa najlżejszy i najbardziej obfituje we wszelkie wytwory fantazji. Zauważono dalej, że istnieją różne typy snów, stojące w związku ścisłym z indywidualnością człowieka. Kto z wieczora posiada sen głęboki, ten zazwyczaj rano czuje się wypoczętym i czerstwym; i odwrotnie ludzie, dopiero pod rano zapadający w sen głęboki, przez długi czas po przebudzeniu walczyć muszą z sennością, ustępującą powoli w ciągu dnia, niekiedy dopiero po drzemce popołudniowej. Ludzie pierwszej kategorji skłonni są do pracy porannej i reprezentują wogóle typ zdrowszy; druga kategorja uczuwa szczególne upodobanie do pracy nocnej — są to ludzie słabi nerwowo. Podobnież różne działanie wywiera sen popołudniowy. Jedni ludzie wstają zeń pokrzepieni i pełni energji, inni natomiast budzą się ociężali i mało zdolni do pracy. Pierwsi to neurastenicy, którzy zrana wstali niepokrzepieni, człowiek zaś zdrowy, po dobrze spędzonej nocy, snu w ciągu dnia nie potrzebuje.

Ciekawszem od powyższych różnic indywidualnych jest zagadnienie natury ogólniejszej: czy zdarzają się istotnie podczas snu chwile ustania życia duchowego, chwile, gdy świadomość człowieka znika, i czy w podobnym stanie zarówno marzenia senne, jak wszelka czynność świadoma mózgu urywa się? Zagadnienie to posiada podstawowe znaczenie dla poglądu naszego na życie duchowe człowieka.

Jeżeli pojęcia: „życie duchowe“ i „świadomość“ uważać mamy za równoznaczne, sen głęboki, wolny od spostrzeżeń i wyobrażeń, pojmowany być musi, jako stan całkowitego zaniku świadomości, a tem samem i życia duchowego. Świadomość nasza prowadziłaby tedy wysoce zagadkowy rodzaj egzystencji. Występuje ona przy pewnem natężeniu działalności mózgu, w chwili przebudzenia, kieruje w ciągu dnia całem życiem psychicznem, aby z nadejściem nocy na parę godzin pogrążyć się w nicestwo.

Atoli podobne koleje „świadomości z przerwami“ zgoła byłyby niezrozumiałe z punktu widzenia psychologji współczesnej. Celem wyjaśnienia tych zajmujących i zawiłych stosunków podjęto w nowszych czasach liczne badania, których wyniki pozwalają ze znaczną dozą wiarygodności twierdzić, że stan całkowity utraty świadomości nigdy za życia człowieka nie ma miejsca. Dla zaznajomienia się z metodami, stosowanemi w psychologji doświadczalnej, warto poświęcić kilka słów doświadczeniu, dokonanemu przez badacza włoskiego Mosso. Sporządził on wagę, dającą możność obserwowania zmian, zachodzących w ciężarze poszczególnych części ciała człowieka, pogrążonego we śnie. Wyobraźmy sobie duży blat od stołu, oparty na szerokiej belce poprzecznej. Skoro umieścimy na takiej wadze człowieka, chcąc utrzymać przyrząd w pozycji poziomej, będziemy musieli obciążyć lżejsze od głowy nogi odpowiednią ilością ciężarków. Owóż, jeżeli leżącej na wadze osobie pozwolimy usnąć, spostrzeżemy, że koniec wagi, na którym spoczywa głowa, podniesie się do góry. Aby przywrócić zachwianą równowagę, wypadnie teraz obciążyć głowę. Spróbujmy jednak zawołać na śpiącego po imieniu — z kolei podniosą się nogi. Jak mamy sobie to dziwne zjawisko tłómaczyć? Oto w ten sposób, że podczas snu, przy osłabieniu czynności umysłowych, krew odpływa od mózgu i skutkiem tego głowa staje się lżejszą. Odwrotnie — odezwanie się nasze było podnietą do podjęcia pracy umysłowej i spowodowało przypływ krwi do mózgu. Jeżeli jednak dźwięk głosu może pobudzić uśpiony umysł do pracy, oznacza to najwidoczniej, iż działalność psychiczna nie całkiem była przerwana; innemi słowy mówiąc: najgłębszy nawet sen nie jest zdolny do sprowadzenia zupełnego zaniku świadomości.

Wspomnieć wreszcie wypada o przyczynach, powodujących marzenia senne. Doświadczenie wykazuje, że mają one swe źródło w rozmaitych zewnętrznych i wewnętrznych bodźcach, działających podczas snu na naszą świadomość. Wywoływane pod ich wpływem wyobrażenia mniej lub bardziej odpowiadają wyobrażeniom, powstającym w podobnych wypadkach na jawie. Więc np. odgłos spadającej książki wywołać może w sennym mózgu wyobrażenie o uderzeniu piorunu, pokropienie zaś śpiącego wodą sprawi nań wrażenie kąpieli. Do tych pierwszych wyobrażeń nawiązują się inne, z naturą bodźca w coraz luźniejszem pozostające powinowactwie, tworzące cały łańcuch obrazów, tem dziwaczniejszych i mniej z sobą powiązanych, im bardziej podczas snu zanika kontrolująca czynność umysłu.

Odrębną grupę stanowią sny powrotne. Źródłem ich są najczęściej bodźce wewnętrzne; tak np. utrudnione oddechanie powoduje uczucie duszenia, niskie położenie nóg w stosunku do tułowia — spadanie w przepaść i t. p. Przyczyna powtarzania się snów polega na tem, że jednakowe bodźce wywołują u tego samego osobnika, z małemi zmianami, stereotypowe skojarzenia obrazów, za pomocą których umysł usije interpretować powstające w mózgu spostrzeżenia.

„Naprzód“.

Rozmaitości

Moralność w fabryce. Przed paru dniami toczył się przed sądem ławniczym w Brunświku proces, który rzucił jaskrawy snop światła na panującą moralność w fabrykach, zatrudniających robotnice. Oskarżonymi byli Henryk König, urzędnik centralnego związku robotników tkackich (tekstylyjnych) i redaktor gazety robotniczej August Wesemeier. Pierwszy miał przez omawianie na publicznem zebraniu stosunków moralnych w fabryce juty w Brunświku obrazić dozorcę fabrycznego Jägermanna. Drugi miał się dopuścić tego samego czynu przez ogłoszenie w gazecie sprawozdania o zebraniu tem i przez powtórzenie referatu tow. Königa. Pomimo skazania obu oskarżonych na małe kary pieniężne, proces ten wypadł fatalnie dla skarżącego Jägermanna i innych urzędników fabrycznych. Czasami zdawało się, że oskarżenie zwraca się przeciw zarządowi fabrycznemu — co nawet sam adwokat skarżącego zaznaczył z kwaśną miną.

Wyszło bowiem na jaw i zostało świadkami stwierdzone, że dozorcy fabryczni, majstrowie i urzędnicy nakłaniali dziewczęta do oddawania im się płciowo, że uprawiano prostytucję na wysoką skalę. Podczas pracy dozórcy prowadzili nieraz rozmowy rozwiązłe, bez względu na obecność zupełnie młodych dziewcząt i zamężnych kobiet. Robotnice, które były powolne na żądania dozorców, dostawały lepszą pracę, tym zaś, które się opierały, dokuczano i szykanowano w najrozmaitszy sposób. Skargi do zarządu fabrycznego nie odnosiły żadnego skutku. Gdy się która z robotnic przed inspektorem Kletscher uskarżała, wskazując na świńskie postępowanie dozorców i majstrów, to inspektor obowiązywał uskarżającą się, żeby nic o tem nie mówiła publicznie, lecz zmiana żadna w postępowaniu dozorców i majstrów nie następowała.

Gdy się pewna robotnica raz udała do inspektora, aby ją obronił od ciągłych nagabywań dozorcy, których już dalej znieść nie może, oświadczył jej inspektor: „iż najlepiej będzie, jeżeli zaprzestanie pracy, wtenczas będzie spokój“.

Gdy kilkakrotnie wniesione zażalenia do zarządu fabrycznego nie miały żadnego skutku, zwołał tow. König zebranie i świństwa, dziejące się w fabryce, napiętnował publicznie.

Nadmienić nam jeszcze wypada, że we fabryce juty w Brunświku pracuje około tysiąca robotnic, pomiędzy nimi także dziewczęta polskie z Galicji i Poznańskiego.

* * *

Praca przy muzyce. W Chicago wprowadzono niedawno niezwykłą nowość, muzykę w fabrykach podczas pracy. Przedsiębrane już dawniej próby dowiodły, że nic tak nie przyspiesza pracy jak wesołe, rytmiczne dźwięki marsza. Pierwszą próbę na większą skalę urządzono w Canajoharie w stanie nowojorskim, umieszczając w wielkiej sali fabrycznej automatyczny fortepian, wygrywający ulubione marsze amerykańskie. Gdy stwierdzono, że w godzinach gry praca jest szybsza i intenzywniejsza, zaprowadzono fortepiany także w innych oddziałach fabryki, a za przykładem jednej fabryki poszły inne. W wielkich zakładach chicagowskich konserw mięsnych zastosowano innowację jeszcze na większą skalę. Ponieważ fabryka miała pilne dostawy dla floty Oceanu Spokojnego, chodziło o możliwie największe przyspieszenie pracy. Dyrekcja zdecydowała się więc umie-

ścić w olbrzymiej kuchni całą orkiestrę i odtąd przygotowywanie konserw i pakowanie odbywa się przy dźwiękach marszu Sousy i innych kompozytorów amerykańskich.. Obliczają, że szybkości i intenzywność pracy zwiększa się pod wpływem muzyki o 40 procent.

* * *

Praca kobiet w Stanach Zjednoczonych. Biuro pracy w Waszyngtonie ogłosiło bardzo ciekawą statystykę, dotyczącą pracy kobiet w Stanach Zjednoczonych. Ogółem zarobkujących kobiet jest 4,823,400, co stanowi piątą część całej ilości kobiet, która w Stanach wynosi 23,485,500. Obliczenia swe Biuro Pracy sporządziło według przynależności rasowej i pochodzenia. Za amerykanki czystej krwi uważane są te kobiety, których przodkowie przynajmniej przez dwa pokolenia mieszkali w Stanach Zjednoczonych. Z nich pracą zarobkową zajmuje się 1,771,900. Następne miejsce zajmują kobiety, które mogą powołać się tylko na jedne pokolenie, zamieszkałe w rzeczypospolitej północno-amerykańskiej, to znaczy córki emigrantów. Do klasy tej należy 1,090,700 kobiet. Za niemi idą takie, które same były emigrantkami, w liczbie 840,000. Czarna rasa jest przedstawiona przez 1,119,600 kobiet. Resztę pozycji w tej statystyce wypełniają indjanki, chinki i t. d.

Praca kobiet obejmuje prawie wszystkie zawody; statystyka wylicza 303 zawodów, w których spotykają się pracujące kobiety. Znajdujemy więc w Stanach Zjednoczonych 5 pilotek, 10 tragarek, 30 dorożkarek, 7 konduktorek, 185 zatrudnionych w kowalstwie, 503 w ślusarstwie, 45 maszynistek, 8 palaczek i t. d.; w zawodach, wymagających pracy umysłowej, pracuje 3400 w charakterze pastorek i kaznodziejek, 1037 architektek i rysowniczek, 2193 dziennikarek, 1010 adwokatek i t. d.

Przesądy rasowe grają wielką rolę w rzeczpospolitej północno-amerykańskiej, skutkiem czego naprz. murzynkom bardzo trudno wznieść się na wyższe stopnie pracy zarobkowej a tembardziej umysłowej. Czarne kobiety i dziewczyny czynne są przeważnie w rolnictwie, pralniach i służbie domowej. Jak za czasów niewolnictwa, i teraz jeszcze stanowią one większość robotnic, harujących w plantacjach bawełnianych za nędzną płacę i znoszących brutalne traktowanie. W ogólnej liczbie 456,000 kobiet, pracujących w rolnictwie, jest 361,800 murzynek. Praca w pralniach uważana jest za jeszcze pośledniejszą. Pracuje w nich 325,000 kobiet, z nich 65 proc. murzynek; japonek, pracujących jako praczki, jest 500. Liczba prawdziwych amerykanek, zatrudnionych w tym zawodzie, wynosi zaledwie 12 proc. Córki emigrantów pracują przeważnie w przemyśle tkackim, konfekcji, bieliźniarstwie oraz w handlu. Ten ostatni zatrudnia 142,000 kobiet jako sklepowe, kasjerki i t. d., wśród których amerykanki i emigrantki stanowią przybliżenie jednakową ilość. W Ameryce znalazła olbrzymie rozpowszechnienie stenografja. W r. 1890 liczono tylko 154 osób, posiadających znajomość stenografowania. Dopiero po r. 1890 stenografja zaczęła wchodzić więcej w użycie. Od r. 1890 do 1900 liczba stenografów powiększyła się do 64,000. Obecnie stenografja jest wykładana w szkołach w Stanach Zjednoczonych. Na służbie publicznej (poczta, telegraf, telefon) wogóle pracuje 630,000 osób, z których 81,000 kobiet; 50 proc. tej liczby stanowią amerykanki dawniejszych pokoleń, 40 proc. należy do pierwszego pokolenia i po większej części jest pochodzenia niemieckiego i irlandzkiego.

Ciekawe są dane o gospodarstwach rolnych (fermach). Bardzo często zarządzają niemi zupełnie samodzielnie żony i córki fermerów. Z ogólnej liczby 5,674,000 fermerów 307,700 przypada na kobiety, z których 65,8 procent są amerykankami.

Kobiety bardzo licznie są reprezentowane w zawodzie nauczycielskim. Liczba nauczycielek i wychowawczyń wynosi 327,000, z nich 62,5 proc. amerykanek. Ale w zawodzie tym pracuje także znaczna ilość emigrantek. Nawet murzynki dostarczają 13,400 nauczycielek, przeważnie pracujących wśród czarnej ludności.

* * *

W obecnym porządku społecznym napotyka się na ogromną ilość sprzeczności, które szczególnie w ciężkich czasach zbyt jaskrawo na jaw występują. Po jednej stronie niezmierne bogactwo i przepych a po drugiej okropna bieda i nędza. Jedną taką sprzeczność widzimy w następującym przeciwstawieniu:

Miljarder amerykański, John D. Rockefeller, zarobił na truście petrolejowym od jego założenia 143.499.354 dolarów (blisko 600 miljonów marek). Od roku 1899 do 1906 wynosił roczny dochód Rockefellera z tych „dobrych źródeł" 10.021.680 dolarów (około 400 miljonów 100 tysięcy marek). Czyli, że dziennie „zarabiał" 27.838 dolarów, a więc w każdej minucie 19 dolarów. Jak wielkimi są dochody z innych jego przedsiębiorstw szczególnie z trusta stalowego, jest niewiadomem, jednakowoż też nie będzie mniej.

W Berlinie według urzędowych wykazów zaaresztowano w roku 1905 za żebractwo: 17.654 mężczyzn, 1075 kobiet i 299 dzieci poniżej lat 12. Pomiędzy zaaresztowanemi znajdowali się ludzie rozmaitych zawodów, 92 męzkich i 10 kobiecych rodzaji zajęcia. Kary wynosiły od 1 dnia do 6 tygodni aresztu. — W Londynie umiera rok rocznie setki ludzi z głodu, a co najmniej 100 tysięcy niema dzień w dzień dachu nad głową. — W Nowym Jorku tysiące ludzi żywi się odpadkami porzuconymi na ulicach i w poreie.

Tak wygląda obecny kapitalistyczny ustrój społeczny, lecz kto przeciw niemu powstaje i dąży do jego zmiany, tego uważa się za największego grzesznika, burzyciela i buntownika.

* * *

Smiertelność dzieci. Dwaj berlińscy lekarze, profesor M. Neisser i dr. Marks, ułożyli według płci porównawczą statystykę śmiertelności dzieci na choroby zakaźne od 1 do 3 roku życia. Statystyka ta obejmuje okres czasu 20 letni. Okazało się, że na koklusz umiera zawsze więcej dziewcząt, niż chłopców, a mianowicie na 100 chłopców przypada 132 dziewcząt. Przy dyfterji stosunek był odwrotny: umierało więcej chłopców niż dziewcząt. Podobne wyniki dała stała statystyka w Paryżu, Christjanji, Budapeszcie, miastach szwajcarskich, a nawet w Ameryce, Azji i Australji. Widocznie istnieje tu prawo, niezawisłe ani od rasy, ani od miejscowości. Przy kokluszu słabsza płeć ulega większej śmiertelności. Dalsze badania wykazały, że dziewczęta łatwiej zapadają na koklusz, niż chłopcy, a dr. Prinzig twierdzi, że przyczyną tego jest częstsza niedokrewność u dziewcząt, niż u chłopców, tudzież większa groźność kokluszu dla dzieci niedokrewnych i skrofulicznych, niż dla silnych. Większą śmiertelność chłopców przy dyfterji wspomniani lekarze przyjęli jako fakt niewyjaśniony.

* * *

Człowiek 136-letni. W gazecie „Russkoje Słowo" znajdujemy wiadomość o człowieku, który dożył niezwykłego wieku — 136 lat. Jest to wachmistrz dymisjowany Andrzej Szmidt. Urodził się Szmidt we wrześniu 1772 r., w r. 1796 za panowania Katarzyny II wstąpił do wojska. Brał udział w wojnach napoleońskich w 1812—1814 r., w wojnie perskiej w roku 1827—1829; w wojnie rosyjsko-polskiej w r. 1831—1832; w kampanji węgierskiej w r. 1848; w wojnie sewastopolskiej i wreszcie w ostatniej wojnie tureckiej, mając już 105 lat życia. Stwierdza to jego lista stanu służby. 137-letni żołnierz ma 40 medali i orderów, w tej liczbie św. Jerzego wszystkich stopni. Dwa ordery otrzymał za ocalenie dwóch dostojników: kontradmirała Nachimowa i gienerała Kołpakowskiego. Od r. 1857 Szmidt dostaje emeryturę po 1200 rubli rocznie. Zapisany jest na listę grenadjerów pałacowych. Wygląda podobno bardzo jeszcze rzeźko, czyta bez okularów. Obecnie odbywa podróż do Petersburga.

Z literatury i sztuki

„Miesięcznik dla popierania ruchu wstrzemięźliwości". Treść zeszytu na czerwiec: Poczęstne. — Alkohol a twórczość. — Abstynencja czy umiarkowanie przy leczeniu alkoholików? — Walka z alkoholizmem w Ameryce a u nas. — Zabezpieczenie robotnicze a pijaństwo. — Zdania znakomitych mężów o alkoholizmie. — Wiadomości ze świata. — Ziemie polskie. — Rozmaitości. — Z ruchu wstrzemięźliwości. — Z piśmiennictwa.

Adres: A. Samolska, Pleszew-Pleschen (Prov. Posen). Rocznie pod opaską 3,40 mk.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 27. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 4 lipca 1908.

Z poezji Ady Negri

w przekładzie Marji Konopnickiej.

CHCESZ WIEDZIEĆ?

— Chcesz wiedzieć: Kto ja? — Posłuchaj, o, dziecię!
Jam ptak, w samotnem więzieniu zamknięty,
Ptak, o szerokich i potężnych skrzydłach!
W słońce chcę lecieć, a męczę się w sidłach,
I ranię żywą pierś o klatki prędty.
— Jam ptak! Posłuchaj, o, dziecię!

Ja o miłości marzę leśnych kwiatów,
W zmierzchu i gęstwie przedwiekowych kniei,
O rozhukanych stad szałach, na piaskach
Zwrotnikowego świata, i o blaskach
Żarzących pustyń. Marzę o zawiei
Burz, i promieni, i kwiatów.

Czasem, porwana wizją, na ból głucha,
Rwę się do lotu, rozpaczam, złorzeczę,
A świat przechodzi mimo i nie słucha...
Lecz ja — uparty jeniec w więzach ducha —
Namiętnie skrzydła rozwarte kaleczę.
...Świat idzie mimo, nie słucha.

O, kto mnie puści? Kto wyrwie tej śmierci,
Kto wróci błękit mi nieskończoności?
Kto mi wyważy drzwi mojej mogiły?
Ja lecieć, lecieć pragnę! Ja mam siły!
W słońce chcę lecieć, szalona z radości!
Ja chcę swobody — lub śmierci!

ARMAND GIRON.

Licytacja.

Obrazek z życia chłopskiego.

„Słyszałaś Jaga, dzisiaj licytują Jaśkowy grunt i chałupę“, rzekł Michał, pochylony nad pniakiem, nad którym mordował się od pół godziny bez skutku.

„Wiem, a on co grał takiego pana? Józka dał do miasta do gimnazji na naukę, córkę do klasztoru; pracował i harował co prawda, aliści nic nie miał przybytku, bo wszystko pchał w bachorów“, odpowiedziała żona, opłukując skopiec przy studni.

„E, ty zawsze ze swojem, a dzieci, a to a owo, a że baba drób do księdza nosiła, a wszystkie pieniądze na mleko oddawała do wielebnego, to nic. He? Jej wolno było. Zresztą masz recht, jabym takij naszą Kaśkę nie dał do zakonnic, szkoda grosza i czasu, ale Stefanka, jak dorośnie, przecież dam na wyższe szkoły, niech wyjdzie na ludzi“.

„Gadaj zdrów, a ja ci mówię, że to nic nie warte są te wszelakie nauki dla chłopa. Chłop ma grunt, musi umieć gnój rozrzucić, trawy nakosić, sieczki narżnąć, a co mu z jakiejsik tam łaciny? To dla panów, nie dla nas — biednego narodu“.

„Bajesz, bo bajesz. Chłop nie człowiek, czy co? A ot Grzegorzowy Franek na hadwokata się uczy. Tylko w każdem musi być miara. Pewnie, że chudoby sprzedawać, grunt zadłużyć, to nie. Jaśkowy chłopiec wlazł pewnikiem między paniczów, nauka mu do głowy sama iść nie chciała, cięgiem ino na spacer, a ty tatu płać, taj płać“.

„Biedna jego dola, żona mu się ze zgryzoty rozchorowała na dobre, kto wie, czy długo pociągnie. On sam chodzi jak mara i wciąż do siebie cosik gada. Coraz to do kieliszka zagląda, taj jak“. Po tych słowach poszła ze skopcem do stajni krowy wydoić.

Michał rozłupawszy szczęśliwie pniak, usiadł ciężko na ławce przed chałupą i zdawało się, że się głęboko zadumał.

„Co słuchać kumie, czegośta się tak zafrasowali, jakby wam syna zabrali do wojska? Hej Michale!“ Temi słowy pszerwał nić myśli gospodarza wójt, przechodzący właśnie obok zagrody.

„At, ta nic. Co tam koło was?“

„Naugania się człowiek cały dzień, taj tylo. Dzisiaj na ten przykład zlicytowali Jaśka Magiera. Wójt musi być, pokazać miedzę, podpisać, niech nuźda porwie ten cały honor, jeszcze człowieka naprzeklinają. Oj bieda kumie i mogą gadać sobie na Jaśka co im się podoba, mnie przecież go szkoda“.

„Ciekawym co on teraz ze sobą i ze żoną zrobi?“

„A ta żona, to ino strach patrzeć, na pysku ci pozieleniała, jak ta trawa, a na czole jakieś bronzowe plamy jej powyrzucało. On też biedaczysko zaledwie nogi za sobą włóczy“.

„Co oni zrobią? Hm, albo ja wiem. Aż się boję pomyśleć. Tak to zawdy bywa, jak kto się drze do panów, zaraz pijawka lichwiarz się pcha, bank włazi i się człowiek zakopał. Bodaj to być skromnym, prostym chłopem, ot jak i wy kumie, dajcie — rękę. Aha! wiecie kto dzisiaj kupił Jaśkowe obejście? A no traficie?“

„Pewnikiem Szmulko, bo on od dawna majaczył, że sobie grunt kupi.“

„Gdzietam, dzierżawca ze dwora, jakoś się tak dziwacznie nazywa?... Kojdanowicz czy Kajetanowicz, coś takiego. Et zresztą pal djabli. Co wasza żona robi?“

„Ot właśnie idzie ze stajni, krowy doiła“.

„Niech będzie pochwalony“, przywitał wójt, biorąc niezgrabnie jej rękę, w której trzymała skopek świeżego, zaszumionego mleka; a „krasa“ wam wyzdrowiała, a co nie mówiłem wam, że siarka pomoże?

„Oj naczelniku, jakoś mi tak markotno, takam nie swoja, trzeba pójść zajrzeć do izby, bądźcie zdrowi“. Po tych słowach powolnym krokiem wsunęła się do sieni.

Wójt się również pożegnał i poszedł dalej.

Michałowi tymczasem wciąż się nasuwały smutne myśli. Medytował, jakto Magier był jednym z najbogatszych gospodarzy Cokolnik, miał 23 morgi gruntu, oborę pełną chudoby, koni, a teraz biedak, że aż się płakać chce. Nawet mu na

żebry nie możność pójść, bo już tęgo podstarzały. Nie umiał się zaszanować, bo takij naprawdę, na co on te dziatki na naukę posyłał, to go wyniszczyło. Oprócz tego żona wciąż do plebanji, do kościoła, a robić nic a nic. Jaga żeby zdrowa była, od świtu do późnej nocy cięgiem na nogach. Tu zaglądnie, pokaże, tam sama zrobi. Na Pawła minęło cztery lata, jak się ożenił, a już czuje dorobek i nową stajnię wystawił i chałupę poszył, stodołę podreperował i dwie krowy dokupił.

Bodaj czy Stefanka, jak podrośnie, nie da do miasta.

Dzień się miał już ku końcowi i cienie jakby z lasu poczęły obejmywać powoli parowy i pola, zapowiadając bliską noc, gdy Michał podniósł się z ławki i skręcił do chałupy.

Dziewka, zabiegając z krzykiem i hałasem, zaganiała drób z podwórza do stajni na banty, tymczasem nadjechał z pola, dokąd gnój wywoził, parobek z małym chłopakiem, synem gospodarza, który jednym susem znalazł się w sieni chaty. Furman najpierw zaczepił dziewkę, potem zabrał się do wyprzężenia koni i zaprowadził do studni, by je napoić.

Następnie już same zawlekły się do stajni.

Franek tymczasem chciał się cichcem „wyrwać“ na wieś i był już koło płotu, gdy zastąpił mu drogę Marcin, parobek sąsiada, „śleponder“ zwany (bo nie dowidział na lewe oko) i nagle go zagadnął: Wiesz, Jaśku, Magier powiesił się na brogu? Tam ci zbiegowisko, ledwiem kawałka sznura dopadł. Dobrze jeszcze, że żonę zaraz rano po tej „licytacji“ zawieźli do szpitala.

Franek z miejsca zawrócił ku domostwu, by podzielić się nowiną ze swoimi chlebodawcami.

— — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — —

Michał i Jaga spojrzeli po sobie i uklękli, by zmówić pacierz za duszę wisielca.

Dziwny zawód.

Dużo jest na świecie dziwnych zawodów. W Paryżu poznałem w cukierni gientlemana, który, jak się okazało, był „majstrem od robienia tłustych plam“. Pracował on w taniej restauracji, do której przychodzili robotnicy na buljon i zajęcie jego polegało na tem, że przy pomocy pióra gęsiego i słoika z masłem robił na chudym i postnym buljonie z różnych kości i odkrawków duże, tłuste plamy, mające świadczyć o pożywności zupy. Nieprawdaż — dziwna profesja? Ale znam inną i nierównie dziwniejszą: jest to profesja „podrzucacza“.

Warunki życia w Rosji w ostatnich czasach zrodziły zawód „podrzucacza“... Ale najpierw słówko o tem — co to jest „podrzucacz“?

„Podrzucacz — to gientleman, podrzucający „gdzie należy“ materjały wybuchowe lub broń i potem sprowadzający na to miejsce policję. Za to — jeżeli nie za samo podrzucenie, to za przyprowadzenie policji — otrzymuje, oczywiście, nagrodę.

Policja musi uwydatniać energję i działalność, a na pustem miejscu nie sposób uwydatnić energji! I oto warunki życia pod znakiem praw wyjątkowych stworzyły zawód „podrzucacza“.

W jednym z ostatnich numerów „Rieczy“ opisano, na zasadzie dokumentu urzędowego — rocznego sprawozdania komitetu domu ludowego w Charkowie — działalność takiego „podrzucacza“.

Najpierw prowadzono kampanję w druku za oddaniem domu ludowego w Charkowie pod zarząd Związku Narodu Rosyjskiego, przyczem przytaczano następujące argumenty:

— W domu ludowym lud jest bałamucony i sprowadzany z drogi prawdy.

Lecz prowadzona pod potrójnym dozorem — cenzury, policji i prasy czarnosecińskiej — działalność komitetu domu ludowego, nie dawała żadnych powodów do represji.

Sam osławiony gienerał Pieszkow, uczeń i naśladowca gen. Dumbadze, nie miał możności ujawnienia swej energji względem domu ludowego.

Wtedy ukazał się na scenie majster od robienia buntowniczych plam. „Podrzucacz“, wymieniony w sprawozdaniu komitetu domu ludowego, pod inicjałem K.

W piwnicy domu ludowego znaleziono 5 bomb. Ujawniono energję i dom ludowy został zamknięty.

W sprawozdaniu komitetu domu ludowego charkowskiego dość szeroko opisano, jak potem czcigodny zawodowiec przyniósł z sobą jeszcze 14 nabojów karabinowych, jak wykryto jego machinacje; jak administracja była zmuszoną, wobec widocznej prowokacji, pozwolić domowi ludowemu na wznowienie działalności.

Niestety, w sprawozdaniu nie wspomniano wcale o tem, jaką karę poniósł „podrzucacz“, którego światła działalność naraziła dom ludowy na 5.000 rb. straty, i czy wogóle poniósł on jakąkolwiek karę.

Nadzwyczaj przyjemne strony nowego zawodu zarysowują się w całej tej historji bardzo plastycznie.

Przyzwoite wynagrodzenie w razie udania się i zupełna bezkarność w razie nieudania się.

Jakie gady wytwarza nieraz życie, zamieniane w stojące błoto!

(„Riecz“) Włodz. Azow.

Postępy aeronautyki.

Istnieją dwa sposoby opanowania powietrza: pierwszy — to pływanie w powietrzu wzorem statku unoszącego się na wodzie przez zmniejszanie wagi tego statku poniżej wagi powietrza, drugi — naśladowanie lotu ptaków za pomocą przyrządu, cięższego od powietrza, korzystając ze względnego naporu wiatru. W obu tych kierunkach osiągnięto poważne rezultaty.

Balon ze sterem hr. Zeppelina, t. j. przyrząd lżejszy od powietrza doprowadzony został do szybkości 14 m. na sekundę, czyli około 50 klm. na godzinę — przy szybkości wiatru mniejszej niż 14 m. na sekundę balon ten jest zupełnie niezależny od kierunku wiatru. Rozumie się, że szybkość lotu jest wtedy równą różnicy szybkości balonu i wiatru w kierunku linji ruchu balonu. Poważne rezultaty osiągnięte również zostały przez niemiecki wojenny balon ze sterem firmy „Gross und Basenach“, sterowany balon francuski Juillot i Lebaudy oraz balon niemiecki Parseval.

Używanie balonów ze sterem stało się możliwem dopiero wówczas, gdy przemysł samojazdowy wytworzył dostatecznie lekkie, a zarazem silne motory.

Dopóki istniały tylko ciężkie maszyny parowe, nie można było marzyć o osiągniętych dzisiaj wynikach. A jednak nawet przy dzisiejszych lekkich motorach aeronautyka nie może jeszcze współzawodniczyć z innymi współczesnymi środkami komunikacji. Balon ma dzisiaj jedynie znaczenie dla celów wojennych i dla sportu, o tem zaś, czy będzie miał kiedykolwiek znaczenie gospodarcze, dziś przesądzać nie możemy.

Osiągnięcie w powietrzu pewnej określonej szybkości wymaga wogóle wielokrotnie większego wydatku energji niż pływanie w wodzie lub posuwanie się po twardej powierzchni. Parowce wodne, pracujące w warunkach o wiele pomyślniejszych niż statki powietrzne posiadają dość nizką granicę szybkości, określoną ich zdolnością ładunkową. Nie mogą one dźwigać ilości materjału opałowego niezbędnej do podtrzymania przez długi przeciąg czasu szybkości przekraczającej tę granicę. Granica ta przy krótszych podróżach może być odpowiednio podniesiona.

Podróż napowietrzna o wiele niekorzystniejsze przedstawia warunki; różnica ciężaru gatunkowego powietrza i jakiegokolwiek ciała stałego jest znacznie większą, niż wody i tegoż ciała stałego, z drugiej zaś strony wywieranie naporu na rzadką i ruchliwą masę powietrza w celu posuwania się naprzód wymaga zużycia znacznie większej siły, niż wykonywanie podobnej pracy w wodzie. Zakreślenie więc granic rozwoju statków napowietrznych jest rzeczą ścisłego obrachunku. I obrachunek ten musi być wykonany w celu rozwiązania pytania, czy balon, o kulturalnem znaczeniu którego wątpić nie można, może rozpocząć walkę konkurencyjnę z innymi środkami lokomocji.

Przy maszynie latającej wymienione warunki układają się jeszcze mniej pomyślnie. Przyniesiona przez prasę wia-

domość, że francuzowi Farmanowi udało się przebyć w ciągu $1^1/_2$ min. drogę 1 klm. w wielkiej maszynie latającej, powracając do miejsca wyjścia, rozbudziła usprawiedliwione zaciekawienie, Jest to rzeczywiście w dziedzinie sportu wynik bardzo poważny.

Ilość jednak energji zużytkowanej przy tym wzlocie jest bez porównania większą niż niezbędna dla balonu Zeppelina przy jednakowej sprawności w locie obu aparatów — w obu bowiem wypadkach stosowane były jednakowe motory o sile 50 k.

Zasadą maszyn latających jest zasada latawca — znanej zabawki dziecinnej. Napór wiatru na powierzchnię trzymanego nieruchomo latawca unosi go w górę, w górę również idzie latawiec w spokojnym powietrzu, o ile nadamy mu sami pewien ruch. Chłopiec, puszczający latawca, wie o tem dobrze, chcąc bowiem puścić latawca w spokojnym powietrzu, nadaje mu ruch własny, biegnąc z uwiązanym na sznurku latawcem w ręku. To samo osiąga się przy maszynie latającej, z tą jedynie różnicą, że maszynę wprowadza w ruch motor, a nie sznur. Na rozpostarte skrzydła posuwającej się maszyny powietrze wywiera pewne ciśnienie i unosi ją w górę. Ruch w górze nadają maszynie: śruba, odpowiednio ukształtowane skrzydła i ster — ruch ten uzależniony jest od siły i kierunku wiatru.

Już z tego krótkiego opisu widać, że maszyna latająca obecnie służyć może tylko dla sportu. Lecz podobnie jak samojazd z zabawki sportowej przemienił się na maszynę o znaczeniu gospodarczem, nie wykluczonem jest więc również wzrost znaczenia maszyny latającej.

Dzieje atomu

w rozwoju myśli ludzkiej.

Atomami nazywamy nieskończenie drobne cząstki, z których składają się wszystkie ciała według pojęć nowoczesnej nauki, a które się żadnym sposobem mechanicznym lub chemicznym na mniejsze części rozdzielić nie dadzą. Stąd też pochodzi ich nazwa, która w greckim języku oznacza „niepodzielny".

Kiedy atom się urodził, tego nie wiemy, wiemy tylko, że musiało się to stać przed dwoma tysiącami lat z górą. W myśli bowiem greckiego filozofa Demokryta, który żył w 5 w. przed Chr., spotykamy go już jako dobrze rozwiniętą, okrągłą, ruchliwą istotkę. Takie same pojęcie o atomach miał uczeń i spadkobierca duchowy Demokryta, filozof Epikur. W starożytności wogóle a szczególnie u greków, którzy odznaczali się bystrym darem spostrzegawszym i wielkiem zamiłowaniem do badania zjawisk przyrody, nauki przyrodnicze stały tak wysoko, że nam się dziś tylko dziwić trzeba, jakim sposobem uczeni ówcześni, mając do rozporządzenia tylko bardzo nieliczne i niedoskonałe przyrządy mogli dojść do tak świetnych i trafnych wyników badań. Można to powiedzieć szczególnie o t zw. teorji atomistycznej, t. j. teorji, która stara się wyjaśnić nam budowę wewnętrzną i skład wszechświata.

Podług Demokryta więc, świat cały składa się z cząstek kształtu kulistego, zwanych atomami, które są zupełnie podobne do siebie i poruszają się, latając tam i napowrót jak małe muszki, potrącając się i uderzając, co właśnie jest powodem rozmaitych zjawisk. Demokryt podaje nam nawet początek tego ruchu. Wyobraża on sobie mianowicie, że pierwotnie wszystkie atomy poruszały się równolegle do siebie; w pewnej chwili jednak nastąpiło zderzenie się kilku z nich, które wyparte przez to ze zwykłej kolei spowodowały potem ogólne zamieszanie. Skąd przyszło to uderzenie, które sprowadziło atomy z ich pierwotnej drogi, tego Demokryt wytłumaczyć nie umie, dlatego „teorja" jego nie ma dla nas naukowego znaczenia, ponieważ nauka nie uznaje przypadku ani cudu, ale opiera wszystko na prawie przyczynowości. Z teorji przyrodniczych Demokryta ciekawa jeszcze dla nas jest ta, że według niego i dusza składa się z atomów, tylko gładszych i mniejszych niż inne.

Z nastaniem średnich wieków, tych czasów zacofania i obskurantyzmu klerykalnego, upadły nauki i sztuki. Z gorliwością i skrzętnością godną lepszej sprawy ponure mnichy i zaciekli w fanatyzmie biskupi palili stare manuskrypty, w których zawierała się praca myślowa pokoleń całych, jako pogańskie herezje, niszczyli wspaniałe w swej piękności i prawdzie dzieła sztuki starożytnych artystów, jako grzeszne płody nieczystej wyobraźni.

Wówczas też legła odłogiem cała niezmierna dziedzina nauk przyrodniczych, a teorja o atomach i ich ruchu upadła zupełnie.

Dopiero nasze czasy wyzwoliły po części ludzkość z pęt klerykalnego nieuctwa i obudziły raz jeszcze zainteresowanie się najżywotniejszemi kwestjami wszechbytu. Odżyły atomy, choć w nieco odmiennej formie.

Ponieważ nie znano jeszcze prawa Newtona o ogólnem przyciąganiu się ciał, a więc i atomów, musiano w inny jakiś sposób wytłómaczyć ich spoistość. Musiano odpowiedzieć na pytanie, jakim sposobem ciała, które przecież są złożone z licznych małych cząstek zwanych atomami nie rozpadają się, ale tworzą jedną całość. Obdarzono więc atomy wielką ilością haczykowatych i zadzierzystych wyrostków i macek, któremi się one rzekomo jedne drugich trzymały i przez to tworzyły jednolitą masę.

Z pomocą tej teorji, która każdy, pierwotnie tak prosty atom przekształcała na mniej lub więcej skomplikowaną maszynę, umiano nawet wytłómaczyć niejedno zjawisko. Ponieważ jednak ten sposób widzenia pozbawiał atomów ruchu, który jak dziś wiemy jest jednem z zasadniczych praw przyrody, przeto całe grupy zjawisk codziennych pozostawały dla ówczesnych uczonych niezgłębioną tajemnicą.

Od owych niewygodnych bądź co bądź wyrostków zostały atomy dopiero uwolnione przez teorję angielskiego uczonego Newtona. Uczony ten stwierdził, że wszystkie ciała przyciągają się wzajemnie, jeżeli je tylko zbliżymy do siebie na dostateczną odległość. Im większa jest masa ciał, a im mniejsza odległość, tem przyciąganie jest silniejsze. Bardzo duże ciała przyciągają się już ze znacznej odległości, małe zaś potrzebują znacznego zbliżenia, aby na siebie oddziaływać mogły. Na teorji tej opiera się nietylko ruch ciał niebieskich, które będąc zawieszone wolno w przestrzeni, nie spadają jednak, ale przyciągając się utrzymują się wzajemnie na drodze, po której szybują, ale także cały ustrój ziemi naszej i wszystkiego, co na niej widzimy.

Wszystko, co tylko istnieje, składa się z nieskończenie małych cząsteczek, które mogą się w niektórych wypadkach wolno poruszać i które bądź przyciągają się, bądź odpychają wzajemnie.

Ponieważ jednak atomy są tak drobne, że ich ani niczem dojrzeć ani zmierzyć nie można, przeto cała teorja atomistyczna w ówczesnej swej formie spoczywała przez długi czas na bardzo chwiejnych podstawach i składała się z mglistych tylko przypuszczeń i domysłów. Dopiero Dalton uczony angielski zdołał jej nadać pewne wyraźniejsze zarysy, przez stworzenie względnych ciężarów atomowych. Wpływ Daltona na teorję atomistyczną jest tak wielki, że do dzisiejszego dnia cała nauka chemji rozwijała się tylko w myśl tej teorji, która jedna zdolna jest wyjaśnić nam wszystkie zjawiska chemiczne.

W ostatnich latach jednak zapomocą niezmiernie ulepszonych metod badania, kilku uczonych porobiło odkrycia, które być może obalą w przyszłości teorję atomistyczną, a przynajmniej nadadzą jej zupełnie odmienną postać. Już teraz, w następstwie odkrycia radu i jego zadziwiających własności, badacze jak Röntgen, Becquerel, Curie, Rutherford, Soddy i Ramsay doszli do przekonania, że atomy nie są jednolite, ale składają się z cząsteczek jeszcze nieskończenie mniejszych od samych atomów, zwanych elektronami. Elektrony nadają atomom własności eksplozywnych, które w niektórych wypadkach tylko się ujawniają. Cała ta nowa nauka jednak znajduje się dopiero w zaczątkach, a najbliższe lata pokażą w jakim kierunku będzie się ona dalej rozwijała. Z dziejów zaś pojęcia „atom" możemy wyciągnąć tę praktyczną naukę, że każda teorja, choćby jak najlepiej uzasadniała pewną grupę zjawisk, jest tylko tak długo prawdziwą i miarodajną, dopóki zapomocą ulepszonych przyrządów i metod nie spostrzeżemy zjawiska, choćby jednego, którego ona wytłomaczyć nie zdoła. Wówczas z konieczności szukamy takich praw, pod które wszystkie nasze spostrzeżenia podporządkować się dadzą, powstają więc nowe teorje, które znowu na czas jakiś dzierżą berło w świecie naukowym.

„Głos"

Okrucieństwa kolonjalne w Kongo.

W kolonji belgijskiej Kongo, położonej na zachodniem wybrzeżu środkowej Afryki, gospodaruje oddawna zgraja dowódców wojskowych i urzędników belgijskich, którzy razem z misjonarzami chrześcjańskimi pracują nad „cywilizowaniem“ ludności miejscowej — biednych, ciemiężonych i ciemnych murzynów. Przeciw tej gospodarce podnoszą się ustawicznie protesty socjalistów w parlamencie belgijskim. Bo też to, co się dzieje w Kongo, przechodzi swem okrucieństwem nawet znane fakty z „cywilizacyjnej“ działalności niemców wśród hererów.

W dzienniku socjalistycznym „Le Peuple“ czytamy list, opublikowany przez pewnego wojskowego, który służył przez sześć lat w Kongo. Pisze on między innemi, co następuje:

„Pozwolę sobie przytoczyć kilka faktów, których byłem świadkiem naocznym. W maju 1899 roku, przejeżdżając przez Bokatolę, w której zatrzymałem się na cztery dni, ujrzałem kaprala-negra, który przyniósł do zarządu wojskoskowego dwa kosze, zawierające odcięte ręce! Przez kogo? Przez żołnierzy. Nie liczyłem ich, lecz sądzę, że było ich z pięćdziesiąt.

W czerwcu tegoż roku w Bolondo podoficer wojskowy, murzyn, przyniósł w przeddzień jarmarku na kauczuk sześć koszy, napełnionych odciętemi rękami. Ułożono je w długą linję przed domem naczelnika zarządu wojskowego. Zacząłem je liczyć. Gdy naliczyłem do stu sześćdziesięciu pięciu, zatrzymałem się. Na moje pełne oburzenia protesty, fakty te przestały się powtarzać. W tym samym urzędzie pracowało z chwilą mego przybycia 172 krajowców. W sześć miesięcy później pozostało z nich tylko dwunastu. Reszta w niewiadomy sposób zniknęła. Dowiedziałem się później, że zostali zamordowani przez żołnierzy na rozkaz naczelnika. Za co? Za niestawienie się do pracy. Istotnie, przy rozpoczynaniu pracy z rana liczyłem ludzi, i gdy brakowało np. dwóch, posyłano dwóch żołnierzy do wsi i ci przynosili regularnie tyle odciętych rąk, ilu ludzi brakowało przy pracy.

Na moją prośbę zostałem przeniesiony z tej miejscowości.

W kwietniu 1900 roku w Balalundsi widziałem, jak naczelnik posterunku wojskowego bawił się strzelaniem do łodzi z krajowcami, przepływających rzekę. Najwyższem zadowoleniem przejmował go widok łodzi, idącej na dno wraz ze wszystkimi ludźmi.

Od 1899 do 1901 roku zginęły w Ykenge, w Bokatoli, w Yloko, w Belondo, w Bikoro setki mężczyzn, kobiet i dzieci, zamorzone głodem po więzieniach lub w ciężkich robotach.

W roku 1900 komisarz prowincji Yloko pozwolił sobie powiesić bez wszelkich formalności pewnego czarnego wodza nazwiskiem Lokolongonia. Rząd zadowolnił się udzieleniem mu nagany.

A co mówić o Mongala, gdzie okrucieństwa przechodzą wszelkie możliwe granice i dokąd misjonarze, ani katoliccy, ani protestanccy, nie odważyli się dotąd zapuścić?

Jeden fakt, co do którego przeprowadziłem dochodzenia, da pewne pojęcie o reszcie. W Lidze nabywano kauczuk w zamian za kawałki wędzonego mięsa ludzkiego. Namiestnik okręgu N'Giri skonstatował sam ten fakt i wysłał o nim szczegółowe sprawozdanie głównemu gubernatorowi. Na skutek tego sprawozdania zarządca Som został przeniesiony do innego okręgu.

Nie piszę o ekspedycjach wojskowych. O nich nie moglibyście wytworzyć sobie najmniejszego wyobrażenia.

Nie piszę o spalonych wsiach, o gwałconych kobietach, o mordowanych bagnetami ludziach!“

Takie fakty dzieją się w dwudziestym wieku, w okresie historycznym, kiedy poszanowanie dla praw i życia ludzkiego, jak głosi burżuazja, jest ustalone. Socjaliści belgijscy wszelkiemi siłami występują przeciw aneksji Kongo, starając się położyć kres tej dzikiej gospodarce kapitalistycznej, w której z krwi i wyszukanych cierpień biednej czarnej ludności burżuazja wycisku produkt handlu — kauczuk...

A dzieje się to pod osłoną haseł cywilizacyjnych, przy równoczesnem krzewieniu wiary chrześćjańskiej przez misjonarzy!

Rozmaitości

Z ruchu kobiecego w Finlandji. Ruch kobiet finlandzkich, mający na celu uzyskanie praw wyborczych do sejmu, rozpoczął się w końcu dziewiątego dziesięciolecia w. zeszł., ale decydująca walka o te prawa została przeprowadzoną w latach 1904—5, tak że finlandzkim kobietom udało się w ciągu lat paru zdobyć to, o co kobiety innych krajów walczą przez dziesiątki lat.

Po rozszerzeniu praw wyborczych na kobiety powstał projekt utworzenia odrębnej partji kobiecej w Finlandji, ale myśl ta nie została urzeczywistnioną i kobiety-wyborczynie przyłączyły się do istniejących partji stosownie do swych sympatji. Największego poparcia doznała od kobiet partja robotnicza dzięki temu, że ona w najbardziej energiczny sposób broniła sprawy emancypacji kobiet i domagała się zupełnego zakazu handlu napojami wyskokowymi.

W chwili obecnej ruch kobiecy w Finlandji wysunął na plan pierwszy kwestje reformy prawodawstwa o małżeństwie, zrównania praw na służbie państwowej i nadanie kobietom praw wyborczych do instytucji gminnych.

Już teraz można tam spotkać wiele kobiet urzędniczek, ale finlandki domagają się, żeby uprawnienie ich pod tym względem uzyskało sankcję prawodawczą. Co do wyborów gminnych, to kobietom, prowadzącym samodzielne gospodarstwo, czynne prawo wyborcze zostało nadane we wsiach jeszcze w r. 1863, a w miastach w r. 1872; teraz jednak chodzi o nadanie prawa wyborczego w gminach zarówno czynnego, jak biernego (wybierać i być wybieranemi) wszystkim kobietom niezależnie od ich położenia gospodarczego.

* * *

Fotografja mowy. Fizyk Devaux—Charbonnel, w akademji nauk w Paryżu, wynalazł nowy aparat: fotografowanie mowy ludzkiej!

Dźwięki i wyrazy wymawiane odbijają się na czułej błonie w aparacie specjalnymi znakami, stosownymi dla każdej litery, poczem znaki się odczytują jak stenograficzne.

Dotychczas jednakże znaków tych nie można odczytać, tak są jeszcze niewyraźne.

W przyszłości aparat ten będzie można zastosować np. do telefonów w razie nieobecności jednego abonenta.

Mówiący wypowie zdanie, które stę odbije w drugim aparacie, poczem będzie odczytane.

* * *

Wodociągi londyńskie. Zajmujące cyfry podaje sprawozdanie zarządu wodociągów londyńskich za rok ubiegły. Okazuje się z niego, że w r. z. wodociągi te dostarczyły 82,125,249.347 galonów wody czyli 225,000.683 galonów dziennie. Obszar gruntu, zaopatrywanego w wodę przez wodociągi londyńskie, wynosił 537,4 mili ang. kw. Z usług wodociągów korzystało 6,851.045 osób. Na głowę przypadało 32,84 galona wody dziennie.

Z literatury i sztuki

„Myśl Niepodległa“, (Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10). Treść nr. 66: Wizyta mędrców greckich. — Marja Walewska: Idolatarja kościoła rzymsko-katolickiego. — Robert S. Ingersoll: Dlaczego jestem agnostykiem II. — Bolesław Bourdon: Wieczór. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Wolna gmina. — Zapiski. — Książki. — List do Redakcji.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 28. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 11 lipca 1908.

F. MIRANDOLA.

Co dusza wyśni.

Co dusza wyśni, a uczynią ręce
Tego nie wezmą, wziąć nie mogą wrogi!
To, co powstało pod hasłem: Poświęcę!
Jak granit twardy jest tęczom pod nogi.

To, co wyrosło na słońce z piwnicy,
Z lochu, zna drogę na wolność, na jaśnie.
I słońce wielkie znają męczennicy,
Co w skonu chwili, na krzyżu, nie gaśnie.

Orlęta lecą tą drogą, co ojce,
Nie ginie nigdy twarda ducha praca,
Więc się w obozy zmieniają ogrojce
I wiosna wraca!

Zygmunt Szoelloesi.

Broń bezbronnych.

(Z węgierskiego).

Ożenił się!... Władek ożenił się: Z osobą, o której nikt w towarzystwie nie słyszał. Nie do uwierzenia.

Dawać tu Julka: to jego najlepszy przyjaciel, nie ujdzie żywy dopóki nam nie opowie tej awantury.

Julek uśmiechał się dyskretnie, zapalił cygaro, siadł przy naszym stole i wbrew oczekiwaniu, odrazu rzecz rozpoczął:

— Chętnie opowiem, co wiem, ale uprzedzam, iż wiem iż wiem nie wszystko. Przedostatni rozdział romansu nie jest mi znany, będziecie go musieli własną fantazją dopełnić. Ze dwa miesiące temu przychodzi do mnie Władek dziwnie zamyślony. Starego wygi, łobuza kipiącego werwą — ani śladu.

— Co ci się stało — pytam — wyglądasz, jak ambitny sztubak, któremu się zdarzyło nie umieć lekcji i rozmyśla, czy się nie powiesić? Lub może twój „ideał“ cię zdradza?... Tam do licha, nie żarty! Cóż ci jest? Zakochałeś się mazgaju, czy co u pioruna!

Władek spojrzał na mnie żywo, a w oczach jego zabłysnął wyraz zdziwienia czy radości, jak gdyby jakiegoś odkrycia dokonał.

— Wiesz, dziwne zdarzenie miałem dzisiaj — odparł. — Rano budzi mnie listonosz. Zły, poznaję pismo ciotki, rzucam list i chcę spać w dalszym ciągu. Coś mnie jednak korci, abym przeczytał, więc biorę epistołę i pasja moja wzrasta. Ciotka, jak zwykle, rozwodzi się nad swym jedynakiem. Nawiasem mówiąc — czy znasz tego cudaka? Utrapieniec! Ale nie przeszkadza to matce go uwielbiać i wielki ma żal do mnie, że mentorować mu nie chcę w stolicy. Nie lubię go. Źle się uczył, teraz bąki zbija, gra, awanturuje się, traci pieniądze niewiadomo na co — słowem, przysparza matce ciągłych kłopotów. Ale tym razem rzecz się ma inaczej. Ciotka pisze, że doszła nareszcie, dlaczego jej Lolo nie jest zawsze takim, jakim być powinien...

Mianowicie trzyma go w szponach demon jakaś kobieta wyzyskująca serce jego i kieszeń, nie mówiąc o umyśle. (To ostatnie zresztą — to mój własny dodatek, bo ciotka o jego umyśle nie wątpi. „Idź-że do niej — pisze ciotka — przemów do jej sumienia, może nie całkiem jeszcze zepsute stworzenie, niech Lola uwolni od siebie, niech sobie inną ofiarę obierze, a matce niech zostawi jedyną pociechę. Potrafisz być tak wymowny, tak przekonywający, ile razy zechcesz — zaopiekuj że się raz w życiu biednym Lolkiem, zobowiąż ją czym chcesz i choćby pieniężnym datkiem, aby mu przestała w głowie zawracać“. Zaklęcia, prośby, piętrzą się w liście pod niebo, dosyć, że niechętnie, ale ujrzałem się zmuszony ustąpić kochającej matce i podążyć na ratunek zagrożonego pacholęcia.

Przybywam pod wskazany adres — jakaś boczna uliczka, czwarte piętro... Dzwonię. Otwiera mi służąca już niemłoda.

— Tutaj mieszka panna Matylda Z.?

— Tutaj. A pan w jakim interesie? Czy z fabryki?

— Tak... z fabryki — skłamałem naprędce, instynktownie czując, że inaczej obecność moja tutaj nie będzie dostatecznie usprawiedliwiona.

— Panny Matyldy niema teraz w domu: do 7-ej jest zajęta w fabryce maszyn G.

— Już po siódmej...

— Tak, ale droga zabierze jej najmniej pół godziny czasu.

— Piechotą chodzi z tak daleka?...

Kobieta z politowaniem zmierzyła mnie oczyma.

— Gdyby miała ekwipaże, nie potrzebowałaby pracować na życie. Może pan poczeka, powinna przyjść niedługo.

Zapaliła lampę, usiadłem w pokoju niewielkim, urządzonym nad wszelki wyraz skromnie, ale nie bez gustu. Nad łóżkiem biało zasłanem duża fotografja Rafaelowskiej Madonny w prostej, czarnej ramie; na biurku, na stalużkach, rodzinna jakaś grupa, złożona z dwojga starszych osób, młodej dziewczyny o wspaniałym czole i kilkorga dzieci... Opodal na pudełeczkach, około lustra, dwie śliczne statuetki ze starej porcelany — coś jakby zabytki lepszej przeszłości. U okna czyste, białe firanki, stolik, szafa niewielka, cztery krzesła — oto cały strój mieszkania. Przygotowany na zupełnie co innego, oglądałem mimowoli, czy nie ma gdzie z boku drzwi ukrytych zręcznie, wiodących może do jakiego przybytku, godniej reprezentującego jaskinię „wampira“, wyżerającego mózgi i kieszenie młodzianków...

Dzwonek... szybkie kroki — wbiega ta ze wspaniałym czołem i oczami sarny.

— Pan... z fabryki jakiejś podobno?

Zerwałem się z miejsca i na widok ślicznej panny stałem przez chwilę jak wryty.

— Nie pani — rzekłem wreszcie. Był to tylko wybieg: interes, który mię tu sprowadza, jest czysto osobistej natury.

Podałem jej list ciotki, czując, że wobec tego dziwnie czystego i skromnego oblicza nie zdołam wymówić słów, dla powiedzenia których przybyłem.

Bystro spojrzała na pismo i odtrąciła je zlekka.

— Sama miałam dziś list od tej pani — rzekła drgającym goryczą, a stłumionym od wzburzenia głosem. Czy i pan tu przybywasz wybawić z toni tę „ofiarę moją?“

— Więc pani znasz Karola M.?

— Tak panie. Prześladuje on mnie już od dwuch miesięcy, mimo, iż mu wyraźnie mówię, jak bardzo mi to jest przykrem. Rzecz ta wogóle jedynie tak długo się przeciąga, że niestety ja niemam nikogo, ktoby się za mną ujął i musiał skutecznie odezwać się do bezczelnego młokosa, aby zaprzestał brzydkiej zabawy, na którą nie zasłużyłam niczem!

Słowa te w równej mierze mogły być blagą, jak prawdą: przygotowany byłem co prawda nawet na efektowniejszą obronę. Ważąc to w myśli, patrzyłem na dziewczynę z pod oka, przyczem stwierdziłem tylko, iż bije od niej prawość.

Cofnąłem się trochę z jakimś bezwiednym odruchem szacunku i, — trąciwszy przytym stolik, zrzuciłem coś na podłogę. Dziewczyna zarumieniona, schyliła się szybko po przedmiot, ale uprzedziłem ją zręcznie.

Przedmiot ten, zawinięty w papier, był to kawałek suchego, czarnego chleba, który przyniosła sobie z miasta — widać na kolację...

Ten „wampir“, „demon“, rujnujący młodzież!

Oczy dziewczyny, co tylko ciskające pioruny, były teraz łez pełne. Odebrawszy chleb z rąk moich, odwróciła się milcząc, powoli odeszła do okna.

— No i cóż potem? — spytałem, gdy Władek nagle umilkł.

— A nic. Przyszedłem tutaj, ale mi jest gorzej, niż gdyby mnie samego zniewaga spotkała.

— Nie przeprosiłeś jej?...

Władek zmarszczył brew.

— Czyż zdołałaby wybaczyć?

Popchnąłem go ku drzwiom. Co się dalej działo — nie wiem, ale jak się konflikt skończył — o tem wiemy wszyscy.

OKTAWIUSZ MIRBEAU.

Ksiądz proboszcz.

Na stepowem pustkowiu departamentu Norbihan jest mała wioska Breno. Naokół wioski, której niskie, brudne chałupiny pokryte są słomą, rozciąga się ponury step, gęsto przetkany czerwonemi pasmami kwiecia o miodowym zapachu. Kilka wyschłych owiec, kilka jak cień wychudłych koni, kilka krów, żywych szkieletów o brodatych i jak u kóz, pyskach, o przeżartej przez robactwo skórze, pasą się na kolczastych trawnikach. Tu i ówdzie osamotniałe sosny załamują krzywe swe konary ku szaremu niebu, a wszystkie pochylone ku północnemu wschodowi. Tylko rzadko dostrzedz można czworoboki świeżej zieleni, otoczone białemi obmurowaniami; to pola nędznej pszenicy i skąpego owsa, beznadziejne pola, mozołem wynędzniałego chłopstwa wydarte surowej, nieurodzajnej ziemi. Na lewo, prawie z chmurami zlany u widnokręgu, jaśnieje wąski pas morza matowym, posypnym połyskiem śmiertelnej chusty. Mieszkańców tej okolicy niepodobna, zda się, uważać za ludzkie istoty. Okryci cuchnącymi łachmanami, z swojemi twarzami ziemistemi, które strawiły głód i gorączka, z swymi pokrzywionymi kręgosłupami, mają wygląd dzikich zwierząt. Żywią się zsiadłem mlekiem, zgniłą wodą, a niekiedy, podczas dobrego połowu, również zgniłemi rybami, które suszą na patykach, na słońcu. Nocą śpią wspólnie z bydłem w gnojówce i na świeżym nawozie stajennym.

A przecież ksiądz proboszcz rządzący tym ludem, jak władca nieograniczony, bez obcej pomocy dokazał tego, że wyzyskując ludziska bezwzględnie przez lat dziesięcioro, zbudował nowy kościół za pięćdziesiąt tysięcy franków, dzwonnicę z różowego granitu, ze złotym krzyżem, który sterczy wesoło i bez troski wśród tego bagna ludzkiej nędzy.

Miedziania twarz, przystrojona niebieskawemi bliznami ospy, ujęta w kołtuniaste zwoje konopiastych włosów, bezzębne, wykrzywione lubieżne usta, od rana do nocy zaciskające w kąciku małą fajeczkę, ociekającą czarną posoką i chude, zgarbione, wykręcone ciało, którego krzywizny, guzy i rozpadliny uwydatnia zatłuszczona sutanna, zszyta ze starych gałganów — oto ksiądz proboszcz. W dzień idzie od drzwi do drzwi od roli do roli, i u jednego żebrze, żąda od drugiego, a wszędzie zbiera jaja, masło, mleko, chrust, na lewo i prawo ściska dziewczęta, bije malców, grozi każdemu piekłem, klnie jak dorożkarz, a przytem wszystkiem więcej jest szanowanym i cenionym, aniżeli wizerunek św. Tugena, który leczy wściekliznę, lub obrus św. Iwo, który wskrzesza zmarłych. W okolicy mówią o nim: „Oto apostół“.

* * *

Pewnej niedzieli, podczas nabożeństwa, wyszedł ksiądz proboszcz na kazalnicę i potrząsnął chorągwią kościelną. Była to stara, wytarta, spłowiała chorągiew o obdartych frenclach, łachman w długie strzępy poszarpany, niegdyś na czerwono pomalowane drzewo wykrzywiło się, a złotej gołąbce na jego szczycie zabrakło z czasem skrzydeł i nóg.

Przeżegnał się najpierw ksiądz proboszcz, potem nad głowy pobożnego tłumu wzniósł żałosną chorągiew i zawołał: „Przypatrzcie się! Ten piękny czerwony jedwab brudniejszy teraz, niż opończa matki Tobias! Świnie jesteście, wszyscyście świnie, ale czy sądzicie, że dlatego już macie prawo, świętą własność, własność Boga i świętej dziewicy, pozostawić w takim stanie? Jak? A czy może myślicie, że ja coś podobnego będę niósł na procesji Bożego Ciała?

Do szorowania moich garnków kuchennych to już się nie zda! Złodzieje, próżniaki, heretyki, faryzeusze jakieś! To wy wolicie się tuczyć i zapijać, wy obłudni grzesznicy! Nie chcecie się nic o to troszczyć, że Pan Bóg, święta dziewica i wszyscy święci pańscy na pół nago i w łachmanach! Ale czekajcie, coś wam opowiem, bo już raz koniec muszę zrobić z waszymi łotrostwami i zbrodniami. Tej nocy widziałem we śnie Pana Boga, był bardzo zagniewany i powiedział mi: Chcę mieć nową chorągiew, słyszysz, ty psie przeklęty! Piękną, suto pozłacaną chorągiew przynajmniej za czterdzieści franków. Jan Marie da na to dziesięć sous, Piotr Kornouz da dwadzieścia sous, matka Tobias, ta stara kutwa i łajdaczka, złodziejka, musi dać dwa franki! Dantu, który sprzedał cielę tamtego tygodnia, da trzy franki! A wszyscy inni muszą przynieść po trzy sous, funt masła, tuzin jajek i garnek smalcu“. — Otóż teraz wiecie co mi Pan Bóg powiedział.

Na chwilę zamilkł. Pobożni parafianię osłupieli i nikt nie ośmielił się podnieść oczu na księdza proboszcza, który dalej prawił:

„Zapamiętajcie sobie, z czem jeszcze Pan Bóg mi się zwierzył. Powiedział mi — a są to jego własne słowa, które wam powtarzam — powiedział mi tak: „A jeżeli wzbraniać się będą dać mi to, czego żądam, to źle będzie z nimi, przemienię ich we wściekłych psów, w zdechłe cielęta, w morskie koty, w gacki, i wszystkich wtrącę do piekła“.

Śmiech urągliwy przerwał mu z drugiej strony kościoła. U drzwi stał stary strażnik graniczny, kołysząc się na lewo i prawo, gładził pieszczotliwie białą bródką klinowatą i śmiał się szyderczo z niedowiarstwem. Rozszalały, z pianą na ustach, zakrzyknął nań ksiądz proboszcz: „Czego się śmiejesz heretyku z kozią bródką, celniku djabelski! Myślisz, że Bóg cię nie zna? Sądzisz, że nie wie o twoich łajdactwach? Powiedział mi Pan Bóg także: „Tak jest, ta kanalja z bródką w klin chodzi do miasta sprzedawać, co skradł na wybrzeżu i tym djabelskim groszem dzieli się z przemytnikami. Czekaj! czekaj! Jeśli bródka w klin nie da czterech franków, to powędruje najpierw do więzienia, a potem do piekła! Dlaczego już się nie śmiejesz teraz ty odszczepieńcze!“

A zwracając się do wiernych, zakończył: „Usłyszeliście wolę boską. Po mszy zejdziecie się na plebanji i przynieście swe dary. A biada temu, kogo zabraknie!“

Ksiądz proboszcz zwinął chorągiew, schował ją za kazalnicę i ocierał sobie pot z czoła, ciekący strumieniami.

„Tak, a teraz“, rzekł po chwili, „jeszcze coś innego.... umarł prefekt. Był to nędzny pan, który wraz z innymi świńskiemi psami republikańskimi wypędził świętych zakonników. Ale jeśli kto z was jednak chciałby się za niego pomodlić, to może to uczynić. Nie jest to grzech. Zmówię jeszcze jeden ojczenasz i zdrowaś za naszego świętego króla, który powróci!“

I zwracając się groźnie do strażnika, który już się nie

śmiał, uderzył potężnie pięścią o oparcie kazalnicy i zawołał: „A król powróci, wbrew wszystkim brodom klinowatym!“

Następnie ukląkł, namaszczonym gestem uczynił znak krzyża i mruczał niezrozumiale: „Et nomine patri et filji et spiritus sancti. Amen“.

A poza kościołem stepowe pustkowie roztaczało ubóstwo swej wieczyście nieurodzajnej ziemi, wyschłe owce, jak cień wychudłe konie podobne do szkieletów, krowy z brodatymi pyskami, jak kozy o krwawej, przez robactwo pożartej skórze, pasły się pod ogromnie smutnem niebem, na kolczastych chwastach i ciernistych zielskach.

Wskazówki dla pływających.

I.

Kąpiel zimna, szczególnie gdy odbywa się na wolnem powietrzu i jest połączona z pływaniem, jest niewątpliwie jednem z najprzyjemniejszych i najzdrowszych ćwiczeń ciała. Ponieważ rokrocznie zdarzają się wypadki utonięcia kąpiących się osób, przeto ustaliło się mniemanie, że woda, która jest ożywczym i dobroczynnym czynnikiem naszego zdrowia występuje czasami jako żywioł zgubny, który podstępnie wybiera swoje ofiary z pomiędzy tych, którzy zbyt mu ufają.

Oto znakomity pływak, zdrowy zupełnie człowiek, którego zręczność i zwinność w pływaniu podziwialiśmy nieraz. Pewnego dnia skacze do wody, wykonuje kilka ruchów i nagle, bez wydania głosu idzie na dno, aby się więcej nie pokazać. Po wydobyciu go z wody okazuje się, że jest już trupem. Takie wypadki każdego lata są bardzo liczne, i dają powód do rozmaitych przypuszczeń. Gdy się im jednak bliżej przypatrzymy, okazuje się, że zawsze prawie były one skutkiem nieroztropności i zaniedbania środków ostrożności.

Starą a wypróbowaną regułą dla pływających jest: nie wchodzić do wody, dopóki się jest zgrzanym. Ludzie, którzy myślą, że są zahartowani i wytrenowani, żeby się do tej reguły nie stosować, nie doceniają działania zimnej wody na organizm ludzki. Zuchwałość swoją odpokutują oni pewnego dnia nieszczęśliwym wypadkiem, chorobą, a nawet niekiedy śmiercią niestety.

Pod wpływem zimna kurczą się naczynia krwionośne leżące na powierzni ciała, a krew wyparta z nich uchodzi do organów wewnętrznych. Dlatego w pierwszej chwili utrudnione jest działanie płuc i serca. Do tego trzeba jeszcze dodać nagłe podrażnienie nerwów przez zimno, które jeżeli dojdzie do najwyższego napięcia, może spowodować nawet omdlenie. Następuje to mianowicie wtedy, gdy ciało przy zanurzaniu się w wodę jest zgrzane i gdy serce niespokojnie pracuje. W takim stanie wskakując do wody i najlepszy pływak naraża się na niebezpieczeństwo, brak mu tchu, głos zamiera, nie może wołać o pomoc; po kilku sekundach traci przytomność, idzie na dno.

II.

Druga reguła dla kąpiących się jest, żeby nie wchodzić do kąpieli z pełnym żołądkiem. Skok do wody bezpośrednio po obfitszym posiłku może spowodować śmierć natychmiastową. Podczas pływania oddychanie nasze ulega pewnym zmianom. Woda wywiera znaczne ciśnienie na klatkę piersiową, przez co wydechanie następuje łatwo, wdechanie jednak jest utrudnione. A przecież pływak, który wykonuje znaczną pracę mieśni, zmuszony jest do głębokiego oddechania. W warunkach normalnych ta właśnie okoliczność przyczynia się do wzmocnienia mięśni piersiowych, na czem właśnie polega dobroczynny i wzmagający siłę wpływ pływania. Jeżeli jednak żołądek wyładowany jest jadłem, to zmniejsza się wewnątrz ciała przestrzeń, jaką rozporządzają płuca podczas rozszerzania się, przez co oddech bywa zatamowany. Przytem samo już położenie ciała sprawia, że wnętrzności, posuwając się w górę, przyciskają też wyładowany żołądek do przepony, tak, że oddechanie już zupełnie jest utrudnione — a to właśnie w chwili, gdy płuca potrzebują wiekszej ilości powietrza. W tych warunkach zdarza się często, że pływak, nie mogąc oddychać swobodnie, zupełnie traci oddech, nie może wołać o pomoc, i tak jak w poprzednim wypadku musi utonąć, jeżeli pomoc nie znajduje się w bezpośredniej blizkości. Niebezpieczeństwo przychodzi tu tak nagle, że nieszczęśliwy zupełnie nie zdaje sobie sprawy z niego, bo równocześnie prawie z brakiem tchu przychodzi i nieprzytomność.

Dawniej śmierć nagłą w kąpieli tłomaczono powszechnie atakiem apoplektycznym.

Możliwem jest naturalnie, że ludzie, skłonni do udaru mózgowego, mogą być zaskoczeni w kąpieli; ogółem jednak wziąwszy, śmierć z tego powodu o wiele rzadziej się zdarza, niż z powodu wyżej wymienionych. Tłómaczy się to tem, że ludzie chorowici albo chorzy nie używają zwykle kąpieli na wolnem powietrzu, ograniczają się do kąpieli w wannie, To samo można powiedzieć o osobach, podległych kurczom, zawrotom głowy lub omdleniom.

Kąpiel na wolnem powietrzu może się stać jeszcze powodem i innych wypadków. Wytrawni pływacy często puszczają się na wody sobie nieznane, zaniedbując wszelkiej ostrożności. Odnosi się to szczególnie do skoków w wodę na głowę, t. zw. „Kopfsprung“. Zdarzało się, że ktoś, wskoczywszy w wodę nie dosyć głęboką, o dnie mulistem utkwił głową w mule i utonął, inni znowu kaleczyli sobie ciała o koły, z dna wystające. Zdarza się też, że skacząc w wodę płytką, ktoś łamie sobie kark w dosłownem tego słowa znaczeniu, upadając głową na twarde podłoże. Wina tu zupełnie po stronie nieszczęśliwych, którzy postępowali niedbale i nieroztropnie. Nie woda jest złośliwą, ale dno jej, dlatego trzeba przedewszystkiem zbadać naturę i głębokość dna, nim się odważymy na skok.

Jeśli chodzi o skok ze znacznej wysokości, to i w sprzyjających zresztą warunkach może on pociągnąć za sobą opłakane i wcale nieporządane skutki. Wskutek nagłego ucisku wody na powietrze, znajdujące się w przewodzie usznym niejednokrotnie następuje pęknięcie błony bębenkowej. Przy stosownem leczeniu błona ta wprawdzie goi się dosyć łatwo i zarasta, czasami jednak pęknięcie to może być powodem zapalenia środkowego przewodu, połączonego z ropieniem, a także głuchoty. Należy więc unikać wysokich skoków, gdy nie zachodzi tego potrzeba.

Jeżeli ludzie, nie umiejący pływać puszczają się na głęboką wodę, jest to oczywiście karygodną lekkomyślnością, która często śmiercią przychodzi im odpokutować. Zdarza się najczęściej tam, gdzie młodzi ludzie podczas lata używają kąpieli w rzekach, stawach lub jeziorach, w miejscach nie odgraniczonych, nie urządzonych do tego celu.

Czasami jednak i przy zachowaniu wszelkiej ostrożności, człowiek nie umiejący pływać znajdzie się nagle na głębi i zaczyna tonąć. Nie należy wówczas tracić przytomności umysłu, lecz z rozwagą pomyśleć o ratunku.

Należy pamiętać, że i człowiek nieświadomy pływania może utrzymać się na powierzchni wody, jeżeli się zachowa spokojnie, głowę podniesie tak, aby usta znajdowały się jak najwyżej, jeżeli ramiona zatrzyma w wodzie, i będzie się starał mieć zawsze jak najwięcej powietrza w płucach, co da się uskutecznić przez głębokie oddechy, a krótkie wydechy. W tych warunkach, ciało ludzkie, które jest nieco lżejsze od masy wody, jaką wypycha, pływa na jej powierzchni.

Największej ilości wypadków zdarzających się podczas pływania, możnaby uniknąć przez stosowne zachowanie się przed i podczas kąpieli. Kąpiel, szczególnie połączona z pływaniem, wzmacnia i hartuje ciało, szczególnie organa piersiowe, a przytem także w wysokim stopniu wpływa na charakter człowieka. Kto uczy się pływać, podejmuje walkę z obcym żywiołem, opanowuje i pokonuje go wreszcie. Przez to wzmagają się bardzo pewność siebie, przytomność umysłu i odwaga. Zważywszy jeszcze pożyteczność umiejętności pływania jako środka bezpieczeństwa, dochodzimy do wniosku, że obowiązkiem każdego człowieka jest nauczyć się pływac, aby nietylko w potrzebie siebie wyratować, ale by też drugim w niebezpieczeństwie pospieszyć z pomocą.

„Głos“.

Rozmaitości

Pięćdziesiątą rocznicę śmierci Roberta Owena wielkiego socjalisty utopijnego, twórcy pierwszych związków zawodowych, pierwszego bojownika ustawowej ochrony robotniczej, inicjatora ruchu społecznego, manifestacyjnie obchodzili nasi szkoccy towarzysze. Specjalne pociągi przewoziły tysiące robotników z Glasgowa do New-Lenark, gdzie Owen był rządził pierwszą komunistyczną kolonją. Zgromadzili się w wielkiej liczbie mechanicy, górnicy, tkacze. W pochodzie, który wyruszył ze środka miasta do hipodromu, gdzie się odbył mityng, uczestniczyło conajmniej 20.000 osób. Na mityngu przemawiali: Keir, Hardie i Ramsay, posłowie do izby gmin, oraz Robert Smillie z federacji górników.

Podnoszono wielkie zasługi Owena w sprawie ruchu robotniczego, a szczególnie ruch spółdzielczy zawdzięcza mu swój początek. W 1824 r. założył on bowiem w Londynie pierwsze towarzystwo spożywcze. Pierwszy też on w 1834 r. wskazywał robotnikom jako broń skuteczną w walce ekonomicznej strejk powszechny.

* * *

Miasto z płótna. Miasto Quebec w Kanadzie obchodzić będzie wkrótce 300-letni jubileusz swojego istnienia, a przy tej sposobności odbędą się wielkie festyny, na które spodziewany jest liczny zjazd ciekawych z całej Ameryki Północnej. Otóż, aby tym przyjezdnym zabezpieczyć mieszkania, zbudowano za miastem drugie kolosalne miasto z samych płóciennych namiotów. Zużyto na ich budowę przeszło 100000 metrów płótna, są zaś te namioty tak wielkie, że każdy z nich pomieści przeszło 260 podróżnych. W namiotach restauracyjnych znowu zasiadać będzie mogło do obiadu w każdym z nich równocześnie 1500 ludzi. Przewiewne te budynki oświetlone będą elektrycznością zaś sypialnie opatrzone zostaną w piecyki, aby można było je ogrzać. Koszt takiego mieszkania w namiocie wyniesie przeciętnie 6 mk. na dobę.

* * *

Ciekawy chory. O niezwykłym wypadku udawania choroby mówił dr. Dieulafoy na posiedzeniu paryskiej „Academie de Medecine". Pewien mężczyzna, niższy urzędnik w służbie państwowej, liczący około 30 lat życia, już od szeregu lat nawiedzał lekarzy paryskich, pokazując im na ramieniu przeróżne wyrzuty i wrzody. Lekarze wysilali się w rozpoznawaniu i leczeniu choroby, przypuszczając przeróżne różności. Przed dwoma laty, za poradą pewnego chirurga, chory ów dał sobie z ramienia wyjąć nerwy, a wreszcie odjąć rękę. Była to na szczęście lewa ręka. Zdawało się, że nastąpiło gruntowne wyleczenie, gdy nagle chory zjawił się z prawem ramieniem, okrytem wrzodami, i ponownie rozpoczął odwiedzać lekarzy. Dostał się wreszcie do dr. Dieulafy w szpitalu „Hotel Dieu". Dr. Dieulafoy powziął podejrzenia z powodu szybkości, z jaką tworzyły się nowe wrzody, i po dłuższem śledzeniu doszedł do przekonania, że ma do czynienia z uporczywem i chorobliwem udawaniem choroby. Zaczął wypytywać chorego i zdołał wreszcie wydobyć z niego zeznania, które w zupełności potwierdziły podejrzenie. Chory oświadczył, że wrzody wyłowywał zapomocą środków i płynów gryzących. Jak silną jest u niego ta mania, świadczy fakt, że nie cofnął się nawet przed utratą ręki. Lekarze obecnie tłumnie odwiedzają niezwykłego chorego, który jest raczej chorym na umysł, niż na inne rzeczywiste choroby.

* * *

Muzeum narzędzi katowskich. Do osobliwości miasta Norymbergi w Bawarji należy — jak wiadomo — wstrząsające grozą muzeum narzędzi katowskich i urządzeń więziennych, mieszczące się w starem zamczysku, pochodzącem jeszcze z XI wieku, a rozsiadłem na olbrzymiej skale. Wszystkie tam nagromadzone narzędzia pochodzą z wieków średnich i późniejszych.

Wąskie, niskie drzwi prowadzą do pierwszej izby owego muzeum, oświetlonej jedyną lampą, zawieszoną u szczerniałego pułapu. W niepewnym jej blasku majaczeją kształty krwawych narzędzi. Jakieś łoża, najeżone kolcami, jakieś okrutne pasy, rozrywające ciało na ćwierci, śruby, świdry, łyżki do łupienia oczu, noże do zdzierania skóry, obcęgi łamiące kości, kleszcze, pręgierze i koła, budzą dzisiaj jeszcze dreszcz zgrozy, spotęgowany widokiem starych obrazków, drzeworytów, odtwarzających z przesadną prawdą ponure tajemnice ówczesnego sądownictwa, które pławiło się z dziwną lubością w potokach krwi i jękach nieszczęśliwych jej ofiar.

Jeden tylko dział owych zbiorów przywołuje uśmiech na usta. Oto widzi się tam szereg potwornych masek, wyobrażających oblicze czarta z wywieszonym szkarłatnym językiem, które nakładano pod pręgierzem na żony złe i dokuczliwe, aby oduczyć je gadulstwa, oszczerstw i wszelakich przywar, zatruwających szczęście i spokój domowy.

Średniowieczna sprawiedliwość nie oszczędzała wszakże i mężczyzn. Mąż pijanica i zawadjaka, mąż lekkoduch, szedł również pod pręgierz na pośmiewisko publiczne, dźwigając na sobie ciężką, dębową beczkę z wypisanemi na wierzchu zdaniami, które pouczały wszystkich o rodzaju jego przestępstwa.

Po ciemnych, wąskich schodach idzie się na górę do kazamaty obszernej i pustej. Boczne okno, głęboko w mur wpuszczone, oświeca tylko ceglaną framugę, gdzie siedział ongi za nogi i ręce przykuty rycerz nieustraszony, Eppelein von Gaillingen, bohater wielu legend, i pieśni ludowych niemieckich, samo zaś wnętrze kazamaty tonie w cieniach wiecznej nocy.

Z czeluści jednej ściany wyłania się posąg jakiś dziwaczny, z obliczem kobiety, osadzonem na nieforemnem tułowiu. Zgrzytają łańcuchy, a w śmiertelnej ciszy ukazuje się maszynerja jednego z najwyszukańszych narzędzi tortur, jakie wymyśliło zaciekłe okrucieństwo wieków średnich. Wnętrze owego posągu rozkłada się na dwie połowy, najeżone gęsto kolcami, pomiędzy które wsuwano skazańca, miażdżąc ciało jego zwolna, godzina za godziną, aż do ostatniego tchnienia życia, ulatującego w objęciach zawsze jednako uśmiechniętej „Żelaznej Dziewicy" z Norymbergji (tak nazywano owe narzędzie).

Widać jeszcze rdzę osiadłą tam gęsto i zczerniałe plamy na posadzce ceglanej. To krew ludzka przelewana w tej izbie aż nazbyt hojnie i tak okrutnie, że zda się skarżyć w ciemnościach bez końca i wołać o pomstę.

Z literatury i sztuki

„Krytyka", miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt VII-VIII na lipiec-sierpień. Treść (f): W walce o światopogląd. — T. Miciński: W mrokach złotego pałacu. Tragedja z dziejów Byzancjum. Stan. Witkiewicz: Z książki o Matejce. — Tad. Dąbrowski: Wizerunki. (Powieści Struga, Licińskiego, Müllera). — K. Stefański: Trzy okresy w życiu demokracji polskiej. — Zofja Rygier-Nałkowska: Konkluzja. — Dr. H. Biegeleisen: Arjanie polscy. — Józ. Ruffer: Przekłady z nowszej poezji włoskiej. — Sprawa polsko-ruska. I. Dr. Cyryl Trylowski: Odpowiedź na list otwarty red. „Krytyki". II. F. W.: Uwagi nad odpowiedzią posła Trylowskiego. — Przegląd: Prasa polska. Prasa obca. H. Orsza: Ze spraw wychowawczych. Wacław Grubiński: O ratunku sceny warszawskiej. (x): Teatr krakowski. Sinus: Z ruchu wolnej myśli. Kaz. Czapliński: Wrażenia z XI. Kongresu P. P. S. D. Junius: Z trzech zaborów. — Sprawozdania naukowe i literackie. — Adres „Krytyki": Kraków, ul. Stachowskiego 14. Kwartalna prenumerata 3 marki.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 29. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 18 lipca 1908.

Cudowny taki świat...

Cudowny taki świat
Że się piękniejszy nie śni...
Jak wy możecie żyć
Bez kwiatów i bez pieśni.

Wśród dusznych murów miast,
Zdala od łąk i pól,
Powolnie mrąc w tej cieśni...
Jak wy możecie żyć...

Zwycięski orła krzyk
Na szczycie brzmi wśród chmury...
Dolata z hukiem burz
Od morza ryk ponury...

Bezbarwny wlokąc byt
Wciąż tłumiąc głos i łzy,
Nie wierząc w żaden świt, —
Jak wy możecie żyć...

Na niebie — tyle gwiazd...
Czy na nie wy patrzycie?
W błękitny, jasny świat —
Wasz duch czy mknie w zachwycie?

I że się spełni cud —
Czy umie serce śnić?
Czy drogi wam ten sen?
Jak wy możecie żyć?...

M. ZABŁOCKA.

Marynia.

— Wie mama, tam tak czuć, że wytrzymać nie można — rzekła panna Zofja, wchodząc do pokoju i zamykając drzwi za sobą.

Stuk maszyn rozkołysał się na moment i przygłuchł.

— Rzeczywiście. Te dziewczęta nigdy się chyba nie kąpią.

— Strasznie mają ciasno.

— Salonu przecież im nie dam.

Sucha dama o śpiczastym nosie i zaciśniętych wargach znów pochyliła się nad księgą rachunkową. Panna Zofja zręcznym, sprężystym ruchem podsunęła jeden z wyścielanych foteli do okna, rozsunęła doniczki, by nie kradły światła i obciągnąwszy dobrze tamburek, zabrała się do roboty. Na długiej linji jej karku rozświetlił się puszek złocisty i zaigrały w słońcu niesforne niteczki delikatnych włosów.

— Marynia! — zawołała po chwili dama, naciskając jednocześnie dzwonek.

Znów na sekundę głośniej zaturkotały maszyny i z za portjery wysunęła się postać dziewczynki w żółtym, słomkowym kapeluszu, z którego zwieszał się melancholijnie pęk brudnych, perkalowych fuksji.

— Zapakowane?

— Już, proszę pani.

Do pana Kręckiego. Masz.

Marynia wzięła rachunek i na palcach wyszła z pokoju.

Pani Zaimska przeglądała księgę. Za ścianą głuchy turkot maszyn nie ustawał, a przy oknie biała, po łokieć obnażona ręka panny Zofji miarowo wkłówała i wyjmowała igłę. Na wyprężonem płótnie zwolna zarysowywał się fantastyczny monogram, który mógł z jednakim sukcesem wyobrażać Z. W. jak L. M. Zresztą litery były tu rzeczą drugorzędną; najważniejszą część znaku stanowiła duża, dziewięciopałkowa korona, z której najniespodziewaniej w świecie wyrastała ręka, trzymająca miecz.

Pracownia pani Zaimskiej nie do byle jakiej przystosowana była klienteli.

— Co mi po chołoszach! — mawiała dama ta do siostry, wiecznie onieśmielonej wdowy po ubogim lekarzu. — Przyjdzie to, nudzi godzinę i wreszcie obstaluje trzy koszule z przyniesionego materjału. Tylko z prawdziwem państwem warto mieć do czynienia.

Zalęknione oczy doktorowej wyrażały podziw, uwielbienie i chęć pokazania tych uczuć.

— Ale żeś ty też nie umiała zdobyć sobie...

— Prosta rzecz, moja droga. Przedewszystkiem słono liczyć, to imponuje. Następnie co jakiś czas wyjeżdżać niby za granicę, mówić dużo o estetyce, dobrym tonie, ośmieszać gusty miejscowe. Wreszcie być bardzo grzeczną z zachowaniem pewnej sztywności i mieć eleganckie mieszkanie... Powiadam ci, można im wmawiać, co się żywnie podoba...

— I obdzierać — wymykało się czasem z ust p. Zaimskiej. Wówczas rozmowę nagle przerywała i zła była na siebie.

— Co komu do tego?

Narówni z „prawdziwem państwem“ właścicielka pracowni ceniła w głębi duszy szeleszczące jedwabiami kokoty. Z tego powodu była w ciągłej ze sobą walce. Uczucia szanującej się, pobożnej matrony protestowały przeciw instynktom kupcowej.

— Właściwie mnie nic to obchodzić nie powinno — tłumaczyła się przed oniemiałą z przerażenia siostrą — nie mogę przecież wypytywać mych klientów, w jaki sposób zarobkują...

— Naturalnie — wtrącała doktorowa składając ręce w małżyk i spoglądając na sufit.

— Dobrze, ale znów jak mi się taka dama ukłoni na ulicy?... Dziękuję.

— Zresztą — dodawała po chwili — mnie, to jeszcze drobnostka, ale Zosi?!

I to był rzeczywiście główny sęk. Wprawdzie panią Zaimską nadzwyczaj przykre ogarniało uczucie na wspomnienie, że koszule i majteczki jej pomysłu, stanowią oręż rozpusty; wprawdzie upokarzało ją, że zmuszona nieraz jest łamać sobie głowę nad tem, by dekolt jakiś lub wstawk dość koketeryjnie osłaniały biust nierządnicy; ale wszystkie

te przykrości umiała sobie nagradzać przy preparowaniu rachunku. Dodając kilkanaście reńskich, była pewna, że mści się za obrażoną moralność i to jej sprawiało nawet duże zadowolenie. Szło więc tylko o Zosię.

To też surowo zabraniała wchodzić córce do pokoju, w którym przyjmowała klientów. Pomijając kwestję niepotrzebnych znajomości, zakaz ten harmonizował z całym systemem Zosinej edukacji. Możliwie jak najdłuższe utrzymanie dziewczęcia w nieświadomości złego — było główną troską matki. „Djabeł nie śpi — mawiała — a okazje rodzą przestępstwa". „Danie przystępu jednej pokusie może zniweczyć w godzinę najuczciwsze, latami wszczepiane zasady". Zaimska na tym punkcie tak była drażliwa, że gdy kiedyś spostrzegła na ścianie romansujące muchy, w ogromnem zdenerwowaniu wyprawiła Zosię za drzwi i póty jej nie pozwalała wracać, dopóki przy pomocy Maryni nie zdołała przepędzić rozpustnicy insektów.

Przez okno wpływał złoty snop jesiennego słońca, rzucając chłodne światło na coraz wyższe przedmioty. Uśmiechnęły się senne zwieszone liście wielkiego rododendronu i zajaśniał martwym blaskiem koniec nosa gipsowego Szopena, którego biust, umieszczony nad pjaninem, spoglądał w tremo szeroko otwartemi ślepemi oczami.

„Młodość i piękność mam"... zanuciła Zosia, nie przerywając roboty.

— Nie przeszkadzaj. Rachuję.

Znów ucichło w salonie. Za ścianą dalej monotonne turkotały maszyny, a z ulicy chwilami dolatywał huk zajeżdżających przed sąsiedni hotel dorożek.

Podana nieco naprzód, z wielkim żółtem pudłem, obijającem jej nogi, szła wesoło Marynia. Pęk fuksji perkalowych kołysał się rytmem młodego, elastycznego chodu, a wąskie szparki oczu śmiały się do przechodniów, tramwajów, dorożek. Wesołość była stanem jej normalnym.

Koleżanki utrzymywały, że pochodzi ona z niesłychanej głupoty dziewczyny; tego samego mniemania była o Maryni sama „pani", za co ją specjalnie faworyzowała bez podwyższania oczywiście czteroguldenowej pensji.

Rozdmuchujący żółte liście wiatr tarmosił cienką, szarą spódniczkę, to oblepiając mięsiste łydki, to ukazując białe pończochy; chwilami owiewał szyję i piersi, rozpierające zielonawy kaftanik, z wysiłkiem zapięty na wielkie poszczerbione guzy, lub też unosił żółty słomkowy kapelusz.

Marynia zatrzymywała się co kilka kroków, podziwiając wystawy sklepowe. Interesowały ją szczególniej figurki porcelanowe i stroje damskie. Spoglądając na powłóczystą, koronkami obwieszoną matinkę, wyobrażała sobie siebie, spacerującą po takim salonie, jak ma „pani" i całującą się z panną Zofją. Zosia była jej ideałem; naśladowała ją we wszystkiem, z zachwytem słuchała głosu i marzyła o możności porozmawiania sam na sam. Zazdrościła starszej pannie jej prawie poufałego stosunku, a jeszcze wczoraj serdecznie nawet płakała, bo przez cały dzień „panienka" nie spojrzała na nią ani razu. Dziś inna sprawa. Dziś z samego rana Zosia kazała sobie podać szlankę wody i powiedziała: dziękuję. Ach, żeby móc być taką, jak panienka, taką lilijką!... I w marzeniach swych obdarzała ten ideał wszystkimi cnotami anioła, t. j. tem wszystkiem, czego jej samej brakowało. Anioł musi być śmiały i pewien siebie — upoważnia go do tego poczucie swej wartości. I taką jest też „ona". Dlaczego Marynia na nic podobnego zdobyć się nie może? Poprostu głupieje, gdy się do niej ktoś odezwie; nawet na Frankę, podręczną, spoglądała z jakimś niepojętym szacunkiem, bo jej się zdaje, że każdy z oczu wyczytać ją umie. Więc mówi ze spuszczonemi powiekami, a czując obcy wzrok natrętnie w siebie wlepiony, doznaje takiego jakiegoś niepokoju, że zdania skleić nie potrafi.

— Bo mam dużo grzechów — pomyślała.

— Kręcki... Aha! to ten stary idjota, który trzy tygodnie temu dał jej cukierki. Nie śmiała odmówić, choć ją zęby bolały i musiała wypluć na schodach. Wstrętny dziad. Ale kiedy poprawiał Maryni kołczyk, bo się podobno rozpiął, to raptem jej się zrobiło słabo i przyjemnie. Jakoś tak połechtał...

Przyspieszyła kroku.

W blacie pjanina zgasły ostatnie blaski. Pokój stawał się coraz przestronniejszy i cienie nikły w zmatowanej posadzce.

— Przestań Zosieńko. Szkoda oczu.

Turkot maszyn za ścianą stawał się leniwy i niemal każde naciśnięcie pedału słychać było oddzielnie. Proszę tam nie rozmawiać. Jeszcze godzina! — krzyknęła Zaimska, uchylając drzwi do pracowni. — Kręcki zapłacił?

— Marynia jeszcze nie wróciła.

— Na miłość boską! Trzydzieści reńskich powinna mieć przy sobie.

Huk maszyn wzmógł się. Stłoczone dziewczęta niżej pochylił głowy. Pani zła.

Zaimska wzburzona wróciła do salonu.

— Wyobraź sobie, tej Maryni jeszcze niema.

— Ja wogóle się dziwię, że jej mama ufa. Ona tak się łasi, że musi być fałszywa.

— Jeżeli za godzinę nie wróci, dam znać na policję.

Turkot maszyn ucichł już za ścianą i słychać było gwar żegnających się pracownic.

Błysnęły przy pjaninie świece. Szkocka bluzka Zosieńki zarysowała się w lśniącej politurze i miłe tony pierwszego nokturnu zawtórowały natrętnie skrzypiącemu pedałowi. Oświetlone z dołu popiersie Szopena przybrało wyraz nadziemskiej męki, a niepokój Zaimskiej o trzydzieści reńskich nabrał powagi tragizmu.

— Stanowczo zatelefonuję.

W tem uchyliła się portjera i niepewnym krokiem, jakby na wyłamujących się obcasach, wyszła z poza niej Marynia. Słomkowy kapelusz miała odwrócony przodem do tyłu, oczy mętne i włosy potargane.

— Gdzieś ty siedziała! co to jest!

— Pan... pan... Kręcki przysyła i...

Marynia wyciągnęła rękę i podała cztery papierki po dziesięć reńskich.

— Trzydzieści się tylko należy. — Głos pani zmiękł nieco.

Nagle, jakby domyśliła się czegoś okropnego, krzyknęła przerażona:

— Zosiu! Wyjdź stąd!

Ben. H.

Kącik naukowy.

Pierwszym zegarem, o jakim wzmiankuje historja, jest klepsydra. Było to naczynie napełnione wodą, z małym otworem u spodu.

Klepsydra zwyczajna, przyrząd bardzo prosty i niedokładny, używana była przez długi czas u greków i rzymian bez żadnej zmiany. Pierwszym jej ulepszeniem było to, że na zewnętrznej stronie naczynia, z którego woda wypływała, nakreślono równe między sobą podziały, co dawało możność mierzenia pewnych odstępów czasu.

Wkrótce jednak klepsydra straciła pierwotną swoją prostotę. Opatrzono ją w cyferblat, po którym posuwały się wskazówki za pomocą odpowiedniego mechanizmu. Kteizibius z Aleksandrji zbudował w roku 250 przed Chrystusem klepsydrę bardzo skomplikowaną.

Zdaje się, że i na wschodzie zaprowadzono znakomite ulepszenia w klepsydrze, albowiem gdy w r. 62 przed Chrystusem sławny wódz rzymski po zwycięstwach nad Antiochem, Tigrasem i Mitrydatem odbywał zjazd tryumfalny do Rzymu, jako najwspanialszą zdobycz wojenną podziwiano udoskonaloną klepsydrę zdobytą na jednym z azjatyckich królów.

Oprócz klepsydry wodnej dwa jeszcze inne przyrządy używane były do mierzenia czasu u starożytnych, a mianowicie klepsydra piaskowa i zegar czyli kompas słoneczny.

Klepsydra piaskowa składa się z dwuch małych flaszeczek, których szyjki bardzo wąskie były z sobą połączone. Jedna z tych flaszeczek zawiera miałki piasek. Przeciąg czasu, potrzebny na przesypanie się piasku z jednej flaszeczki do drugiej, służył za miarę czasu.

Klepsydra piaskowa używana była u egipcjan od najdawniejszych czasów. Rzymianie używali jej jednocześnie z klepsydrą wodną. Używano jej na zebraniach w Sorbonie jeszcze w roku 1656. Jeszcze do niedawna można ją było widzieć używaną przy egzaminach uczniów fakultetu medycznego i szkoły aptekarskiej w Paryżu i Montpellier.

Zegar czyli kompas słoneczny polega na położeniu słońca i cienia w rozmaitych chwilach dnia. Wynalazek jego przypisują uczonym tak zwanej szkoły aleksandryjskiej, założonej przez Ptolomeuszów egipskich na dwa wieki przed Chrystusem.

Kompas słoneczny jest narzędziem służącem do mierzenia czasu za pomocą poruszającego się cienia padającego na powierzchnię płaską od pręta oświeconego słońcem. Kompas słoneczny był niewątpliwie narzędziem wielkiej wagi, ale nie zupełnie doskonałem, ponieważ nie wskazuje czasu w nocy, ani wogóle wtedy, gdy słońce nie świeci.

Począwszy od czwartego do dziesiątego wieku po Chrystusie, nauki w Europie pogrążone były w wielkich ciemnościach. Jedynymi piastunami umiejętności w owych czasach były ludy mahometańskie, a mianowicie arabowie w Afryce i maurowie w Hiszpanji. W tych czasach ciemnoty Europa zapomniała nawet sztuki mierzenia czasu, którą jej starożytni przekazali. Zakonnicy w średnich wiekach zmuszeni byli radzić się nieba, kiedy mają dzwonić na ranne pacierze. A faktem jest stwierdzonym, że w roku 1108 w bogatym opactwie Kluniackim, zakrystjan radził się gwiazd, gdy chciał wiedzieć, czy już czas budzić zakonników na nocne modlitwy.

W dziesiątym wieku zakonnicy po bardzo wielu klasztorach niemieckich regulowali swoje modlitwy podług piania koguta, bo o żadnych zegarach nie miano wówczas pojęcia.

Pierwsza wzmianka o zegarze znajduje się w książce p. t. „Zwyczaje zakonu Cystersów", zebrane około roku 1129. W książce tej jest przepis, iż zakrystjan tak powinien nastawić zegar, znajdujący się w klasztorze, aby bił przed rannymi pacierzami.

W roku 1370 zjawił się we Francji zegar niepospolity, zbudowany przez pewnego niemca. Zegar ten umieszczony był na wieży pałacu królewskiego w Paryżu i zawierał w sobie wszystkie czynniki dzisiejszych zegarów, a więc czynnik ruchu czyli wagę, następnie regulatora w kształcie wahadła i zaopatrzony był w sprężynę. Było to jednak dopiero niemowlęctwo zegarmistrzowskiej sztuki.

W piętnastym wieku zaczęto używać zegary przy obserwacjach gwiazd — i zastosowaniu tych narzędzi zawdzięcza astronomja wielkie postępy.

W roku 1569 posiadał słynny astronom duński Tycho-Brache w swojem obserwatorjum w Uranienburgu zegar wskazujący minuty i sekundy.

Najważniejszym wynalazkiem dla przyrządów mierzących czas, było zastosowanie wahadła, w celu uregulowania jednostajności chodu zegara. Wspaniałego tego zastosowania dokonał dopiero uczony holenderski Krystjan Higens, który w drugiej połowie 17 wieku osiedlił się we Francji. — Genjalny ten uczony dokonał jeszcze drugiego wynalazku, również ważnego, jak zastosowanie wahadła. Oto wynalazł on sprężynę ślimakowatą, która działaniem, jakie wywiera rozprężając się, zastępuje wagę, której przedtem wyłącznie używano jako motora przy zegarach.

Wynalazek sprężyny ślimakowatej pozwolił na wyrabianie zegarów przenośnych, które z czasem do coraz mniejszych sprowadzane rozmiarów, otrzymały nazwę kieszonkowych. Wynalazca zegarka kieszonkowego jest niewiadomy, a jednak jest to jeden z najpiękniejszych wynalazków.

W wieku 18 zaczęto także wyrabiać zegarki morskie czyli chronometry, zadziwiające swoją regularnością i dokładnością.

Kronika przyrodnicza.

Czy Mars jest zamieszkały? — Nowa lampka górnicza. — Paraliż u księży. Rzeka Kolorado zmienia swe łożysko.

Powszechne zajęcie obudziło w swoim czasie odkrycie na Marsie słynnych kanałów, których układ nasunął astronomom przypuszczenie o zamieszkałości planety. Szanse tej hipotezy podniosło stwierdzenie na Marsie warunków, zbliżonych do tych, które panują na naszej ziemi — przedewszystkiem atmosfery i wody, o której obecności wnoszono na zasadzie plam niebieskich, obserwowanych przez teleskop w pobliżu obu biegunów. Obecnie rozlegać się poczynają głosy, przemawiające za niezamieszkałością Marsa. Znany astronom Wallace w ogłoszonej niedawno pracy zaprzecza, jakoby Mars posiada wodę. Niebieskie zabarwienie mówi on, mogłoby cechować jedynie głębokie zbiorniki wodne, których tworzenie się na płaskiej powierzchni planety jest niemożliwe. Podobnież nie godzi się Wallace z opinją, jakoby kanały były dziełem istot rozumnych. Sądzi on, że przedstawiają one poprostu sieć szczelin, powstałych skutkiem pękania stygnącej skorupy. Są wreszcie i tacy astronomowie, którzy samo istnienie powyższych utworów podają w wątpliwość. Kanały, ich zdaniem, składają się z oddzielnych ciemnych plam, które tylko skutkiem oddalenia zlewają się z sobą, stwarzając efekt linji ciągłych. Jak widać z przytoczonych poglądów, wiadomości o Marsie pozostawiają jeszcze wiele do życzenia. Główną przeszkodę stanowi trudność otrzymania dobrej odbitki fotograficznej. Olbrzymi aparat o objektywie półmetrowym, w najbardziej sprzyjających okolicznościach, daje wizerunek Marsa wielkości zaledwie jednego milimetra. Rzecz prosta, ze z tak drobnego fotogramu niepodobna sporządzić dokładnej mapy. Komplikuje się sprawa jeszcze przez to, że największe teleskopy całkiem nie nadają się do celów fotograficznych i wymagają dopiero specjalnych przysposobień. Przy badaniu kanałów Marsa przeprowadzonym w Andach przez amerykańskich astronomów, zastosowano system t. zw. teleobjektywów. Przy jego pomocy zdołano otrzymać totografję planety pół centymetra w średnicy, co pozwoliło już, przy odpowiedniem powiększeniu, na rozpoznanie wielu nieznanych dotąd szczegółów. W roku przyszłym amerykanie projektują drugą wyprawę w Andy. Odległość Marsa będzie wtedy od ziemi jeszcze mniejsza, wysoki zaś stan planety nad widnokręgiem zdaje się rokować pomyślne warunki obserwacji.

* * *

Dwaj inżynierowie brukselscy wynaleźli lampkę górniczą, umożliwiającą wykrycie nieznacznych nawet ilości gazów trujących. Pomysł wynalazku zasadza się na zjawisku, że przy paleniu się pewnych ciał, np. benzyny, płomień zachowuje stale tę samą siłę, dopóki znajduje się w jednolitem środowisku. Z chwilą jednak zetknięcia z atmosferą, posiadającą domieszkę gazu kopalnianego, proces palenia się wzmaga — i słabnie, gdy otaczające powietrze zawiera kwas węglowy. Na powyższej zasadzie zbudowana lampka górnicza opatrzona jest baterją termoelektryczną, komunikującą się za pośrednictwem drutu z galwanometrem. Skoro w pobliżu lampki znajduje się gaz kopalniany, płomień staje się gorętszym i posuwa wskazówkę galwanometru; ruch tejże wskazówki w odwrotnym kierunku wskazuje na obecność kwasu węglowego. Podobna lampka, połączona z przyrządem piszącym, daje możność dokładnego zbadania stanu powietrza w różnych punktach kopalni.

* * *

Paraliż postępowy, niesłusznie zwany również rozmiękczeniem mózgu, nader często rozwija się na tle wyniszczenia płciowego, powodowanego przez lekkomyślne życie. Przed czterdziestu laty pewien uczony szwecki wyraził zapatrywanie, że paraliż postępowy ma jedną tylko przyczynę, a tą jest przymiot (syfilis). Od tego czasu stwierdzono, że istotnie im częściej w pewnej miejscowości spotyka się przymiot, tym częstszemi zarazem bywają wypadki paraliżu. Istniało dotąd mniemanie, iż cierpienie to wyjątkowo rzadko nawiedza katolickich księży. Atoli przeprowadzone w olbrzymiej lecznicy dla chorych umysłowo pod Budapesztem badania Pàndy'ego obalają ten pogląd, jako całkowicie niezgodny z rzeczywistością. Z ogólnej liczby obłąkanych księży 42% okazało się paralityków, z pośród tych zaś 64% zawdzięczało swój stan wyniszczeniu płciowemu. Ten sam lekarz zapewnia natomiast, że nigdy jeszcze nie udało mu się napotkać paraliżu postępowego u mniszki — jakkolwiek kobiety chorobie tej narówni z mężczyznami ulegają. Jakie z powyższych danych wynikałyby wnioski?

* * *

W Ameryce nawet rzeki miewają swoje fantazje. Świadczy o tem niezwykła zmiana gieograficzna, która zaszła z potokiem Kolorado. Potok Kolorado nie wpada już do zatoki kalifornijskiej, jak to zwykł był czynnić przez wieki — lecz do pustyni Kolorado. Wypadek ten odbył się w następujących okolicznościach. W celu sztucznego nawodnienia, przekopano od rzeki rów, skierowując część wody do pustyni.

Gdy wykazało się to niewystarczającem, przeprowadzono nowy, większy już kanał. Z niepohamowaną mocą wtargnęła rzeka do wąskiego kanału i, niszcząc wszystko na drodze, utorowała sobie nowe łożysko, wiodące do najgłębszego punktu pustyni. W tym miejscu zatrzymała się i utworzyła jezioro, które niebawem wzrosło do tysiąca kilometrów kwadratowych, przy 18 metrach głębokości. Jeżeli w najbliższym czasie nie uda się poskromnić rozhukanego żywiołu, jezioro w przeciągu paru lat pochłonie dalsze cztery tysiące kilometrów lądu, gdyż Kolorado, po dostatecznym pogłębieniu nowego łożyska, całkiem zrezygnowało z dawnego kierunku i całą masę swych wód toczy obecnie do pustyni.

Rozmaitości

Pałac kryształowy. — Znany finansista nowojorski Parker Woodbury zamierza wybudować sobie pałac kryształowy. Zarówno wewnętrzne jak i zewnętrzne mury będą wykonane z bloków szkła mlecznego; gmach będzie pokryty również płytami szklanemi. Opowiedni mechanizm za pomocą płyt szła matowego będzie regulował oświetlenie. Pan Woodbury, który jest zwolennikiem światła słonecznego, oddawna już nosił się z myślą takiej budowli. Twierdzi on, że jeżelil światło wpływa dodatnio na zdrowie, to oczywiście mieszkać w domu, gdzie dla światła słonecznego ciągły jest dostęp jeszcze zdrowiej, niż w domu murowanym, który jest jaskinią z cegieł. P. Woodbury jest przekonany, że jego eksperyment, pod względem zdrowotności będzie wielkim krokiem naprzód. Ale czy pałac kryształowy P. Woodbury wpłynie cośkolwiek na poprawę warunków mieszkaniowych klasy pracującej?

* * *

Słoneczny zegarek kieszonkowy. W Niemczech sprzedają teraz ciekawe słoneczne zegarki kieszonkowe. Instrument taki ma wielkość i kształt zwykłego zegarka kieszonkowego i posiada tarczę z podziałkami zegara słonecznego. Do orjentowania się służy wprawiony w tarczę kompas, rolę zaś wskazówki odgrywa tutaj nitka, tkwiąca jednym końcem w tarczy, w miejscu, w którym zbiegają godzinowe promienie, drugim zaś końcem przymocowana do wewnętrznej strony ochronnej kowerty. Jeśli się więc kowertę zegarka otworzy, nić napręża się, a cień jej, przy właściwym ustawieniu cyferblata, t. j. skoro północ wskazujący koniec magnetycznej igły stoi na 12, wskaże właściwą godzinę, nb. o ile słońce świeci.

Nie ulega wątpliwości, że nowy słoneczny zegarek, posiada wobec zegarków mechanicznych pewne zalety: nie staje, nie potrzeba go nigdy nakręcać i jest znacznie od nich tańszy. Mimo to wszystko, trudno uwierzyć, by nowy ten wynalazek zdołał znaleść szersze praktyczne zastosowanie.

* * *

Zbiorowy obłęd. Pisma warszawskie donoszą o bardzo niezwykłym fakcie zbiorowego obłędu, jakiemu uległa cała rodzina we wsi Bartniki pod Radziwiłłowem. Jeden z letników w tej drugiej miejscowości opowiada o wypadku, co następuje: Wybrałem się konno spacerem do odległych o 4 wiorsty od Radziwiłłowa Bartnik i tutaj, wskutek próśb i nalegań licznych włościan, zaszedłem do chaty, zamieszkanej przez rodzinę, którą „djabeł opętał". Zastałem wszystkich chorych, bredzących od rzeczy: ojca statecznego, podobno zamożnego gospodarza, staruszkę matkę i dwie córki. Młodsza 14-letnia córka beczy zupełnie, jak cielę. Od czasu do czasu przestaje beczeć i wtedy sprawia wrażenie dziewczyny zdrowej, zdającej sobie sprawę ze swych słów i czynów, lecz trwa to krótką chwilę, gdyż zaraz zaczyna bredzić, że w niej „siedzi djabeł, którego wypiła z wodą ze studni".

W podobny sposób objawia się obłęd u starszej 20-letniej siostry. Gdy spytałem się jej: skąd się w studni djabli wzięli? — odpowiedziała: „Nawrzucał ich sąsiad Łukasiak przez zemstę". Ojciec biega w nocy po wsi do sąsiadów, awanturuje się, krzyczy: „Ratunku! ratunku! Djabli nas opętali! Wypędźcie z nas djabłów!

* * *

Barbarzyński obrządek religijny hindusów. (Z Indji wschodnich.) Szczególnego religijnego obrzędu dokonali koło Madrasu fanatyczni bramini, należący do sekty soivrastrów, w obecności tysiącznych tłumów hindusów i kilku urzędników angielskich. Była to uroczystość religijna, zwana „marszem przez ogień". Poświęcona ona jest boginiom ognia i wody. Na dzień przed ceremonją wokopało 40 soivrastrów, którzy od miesiąca przygotowywali się do tego przez surowy post i ustawiczne modły, głęboki dół. Dół ten napełniono kamiennymi węglami i o wschodzie słońca w dzień uroczystości zapalono jego zawartość. W południe ognisko gorzało jasnym płomieniem, tak, iż kraty żelazne, otaczające dół, aby inni fanatycy nie mogli wskakiwać do niego, rozpaliły się do białości.

Powolnym krokiem zaczęło się zbliżać owych 40 soivrastrów. W długich, żółtych tunikach kroczyli pewnie przez ogień, śpiewając hymn religijny, którego refren „Govinda! Govinda!" nieustannie wyrywał się z ich ust. Rozpalony dół przekroczyli trzy razy, nie odnocząc widocznych ran z poparzenia, a potem w szerokim kole ustawili się dokoła papierowego smoka, który unosił ku niebu podobiznę jakiegoś bożka.

Według wierzenia hindusów, jest tych 40 soivrastrów uświęconych już na cały ich byt ziemski i pozaziemski. W sprawozdaniu najwyraźniej zaznaczono, iż angielscy przedstawiciele władzy byli świadkami tej wstrząsającej nerwami ceremonji religijnej.

* * *

Złoto na dnie Renu Istnienie złota w piaskach Renu, zwłaszcza pomiędzy Bazyleją a Moguncją, było rzeczą wiadomą od czasów prastarych i kto wie, czy nie przyczyniło się ono także do powstania baśni o „złocie Renu". Historja notuje, że książę Etikon alzacki nadał pewnemu klasztorowi, leżącemu nad brzegiem tej największej prawie rzeki niemieckiej, przywilej płukania złota w roku 667. Szczególnie bogate były niegdyś płuczkarnie w Hemlingen. Złoto znajduje się tu w postaci maleńkich blaszek; metr sześcienny piasku zawiera od 0·0146 do 1·011 grama kosztownego metalu, płukanie jednak może się opłacać dopiero od 0·234 grama począwszy. Wypłukany metal zawiera 93.4 proc. złota, 6·6 srebra i maleńką przymieszkę platyny. Największy rozkwit płuczkarni reńskich przypadał na lata 1830 do 1839. Produkcja doszła wówczas do około 100 kilogramów złota.

Później mieszkańcy nadbrzeżnych okolic zajmowali się jeszcze płukaniem aż do roku 1890, uważając to za zarobek poboczny, przyczem jednak zysk dzienny rzadko przenosił 1 markę. Ostatni raz szukano w Renie złota na większą skalę w roku 1900, w Speyer, z polecenia pewnego dziwaka, który w ten sposób zdobył sześć gramów złota Renu. Dzisiaj płukanie nie opłaca się już prawie zupełnie, a aczkolwiek inżynier francuski Daubree oblicza, że na samej tylko przestrzeni od Rheinau do Philippsburg znajduje się conajmniej 35·917 klg., wartości przeszło 90 miljonów marek, skarb ten pozostanie prawdopodobnie na zawsze ukryty w falach Renu.

Z literatury i sztuki

„Myśl Niepodległa", (Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10). Treść nr. 68 (dekada druga na lipiec): Ostatnia forma cezaropapizmu. — Homo sus. — Dlaczego jestem agnostykiem. — Idolatrja kościoła rzymsko-katolickiego. — Orkan. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Wolna gmina. Zapiski. — Książki.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 30. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 25 lipca 1908.

ADA NEGRI.

AUTOPSJA*).

Chudy lekarzu, w twem oku się pali
Żądza nauki bezwzględna i chciwa;
Twa ręka cięciem ostrej, zimnej stali,
Mych nagich kształtów tajniki wykrywa.

Czy wiesz czem byłam? Nie straszą mię noże,
Któremi ciało rozpłatasz na ćwierci,
W szarej kostnicy słuchaj ty, doktorze,
O mojem życiu i o mojej śmierci.

Wyrosłam na ulicy, ojcowskiego
Domu nie miałam, i nie miałam matki,
Dzieckiem, łachmany od zimna mię strzegą;
Rodziną był mi ulicy bruk gładki.

Lecz za to wiem, co noc bezsenna znaczy,
Gdy się o ranek przyszły troszczyć trzeba,
I te zgryzoty znam, pełne rozpaczy,
I nędzę, i dnie, w których nie ma chleba.

I życia zamęt znam, i te tęsknoty,
Gdy serce trwożne o radości marzy,
A nigdy znikąd nie zazna pieszczoty
I nic nie widzi oprócz obcych twarzy.

A kiedym legła chora, to mię dali,
Do szpitala; miałam tam pościel świeżą,
Śmierć, jak sęp czarny, czychała z oddali,
Nad tapczanami, gdzie nędzarze leżą.

Jak pies bezdomny, równie zapomnianą,
Równie samotną ta śmierć mię zabrała.
Umierającej tam nie pocieszam,
I nie płakano po mnie, gdym skonała.

Chociaż włos czarny spadał mi na szyję
Gęstemi sploty i twarz miałam wdzięczną,
Nie całowały mię usta niczyje,
I nie szeptały pieszczot, w noc miesięczną.

I nie dotknęła mię miłość. Dziewiczo
Leży przed tobą ciało me i dumnie,
Z ukrytą w oczach żądzą tajemniczą,
Aby mię hańbić, z nożem podejdź ku mnie,

A tnij, jak chcesz, zuchwale; i ze skóry
Obedrzej ciało, połam, dogódź sobie,
Wszak to na trupa sprzedano w te mury.
Mnie jedno; ja i tak zgnić muszę w grobie.

*) Oględziny lekarskie zwłok.

Więc śmiało zajrzyj mi do wnętrza. Może
Wykryjesz wreszcie tajemnicę głodu!
Niech w piersi serce odnajdą twe noże,
I na wyciętem szukają powodu —

Cierpienia. Rozwiąż bólu tajemnice!
Czyli nie cierpią, leżąc pod twym wzrokiem
Szklanną źrenicą wpatrzona w twe lice?
Chcę myśl twą wiecznie ścigać tym widokiem.

Jeśli ostatniem wysileniem woli
Martwemi usty raz jeszcze poruszę,
Niech jęk zdławiony, godny mojej doli,
Jakby przekleństwo zapadnie ci w duszę. —

MAKSYM GORKI.

Zburzona tama.

BALADA.

Słońce grzeje. Czuć łagodny wietrzyk. Morze zlekka faluje. Łódź nasza z rozwiniętym żaglem powoli pruje fale... Dokoła przestwór bez granic... W dali stara, zburzona tama. Oto zbliżamy się ku niej. Fale z siłą uderzają o kamienną zaporę i radośnie, swobodnie toczą się przez wyłom, zrobiony w niej na parę sążni. Morze nie lubi przeszkód — zauważył mój towarzysz, stary, zagorzały marynarz.

— A jak dawno przerwało tę tamę? — spytałem mimowoli zdumiony szaloną siłą fal, które zniosły te olbrzymie skały.

— Sądzę, że dawno — odparł z pewną zadumą.

— A czy zna pan — nagle zwrócił się do mnie — ulubioną legiendę naszych marynarzy o walce morza z temi skałami? Jeżeli pan chce, to ją opowiem.

* * *

Na Północy posępnej i chmurnej, kędy mroźne wichry swym lodowym oddechem zagrażają wszystkiemu co żyje, kędy krzepkie sosny i jodły, przysłonięte zimowym całunem, rzadko mogą ujrzeć uśmiech słońca, doznać jego wiosennej pieszczoty — niegdyś w morzu bezbrzeżnem, niby wał granitowy, widniała ręką ludzką wzniesiona zapora.

Wzniósłszy dumnie, wysoko swą masę ponad poziom burzliwego morza i drwiąc sobie z zagniewanych fal, stała tama olbrzymia i czarna. I potężne, swobodne bałwany natrafiały na tamę z granitu, co groziła ich wolnemu biegowi — i przez wieki trwała ta walka, póty fale walczyły z przemocą aż złamała ją wola niezachwiana.

Gdy w wiosennym majowym poranku, nad bezbrzeżną, lazurową tonią, błyszczą słońca jaskrawe promienie i rzucają szmaragdowe oblaski morskich fal srebrzyste kolory — wtedy fale igrając, swawoląc, o odwiecznej walce morza z tamą taką szemrzą marynarzom pieśn.

Niby wolne ptaki w przestworzu, były morskie fale swobodne... Matka-burza kołysała je pieśnią i wesoło bez troski, biegły fale gdzieś w bezbrzeżną dal...

Lecz ponury i zły człowiek-tyran, szczęścia falom zazdroszcząc, postanowił je wolności pozbawić, by nie mknęły tak dumnie ponad morza potężną otchanią, by nie śmiały się wdzięcznie ku błękitnym lazurom pośród słońca jaskrawych promieni.

Wysłał sługi pokorne.

Woli władcy posłuszni, wnet się wzięli niewolnicy do pracy: zimne skały z łona ziemi wynieśli i cisnęli je w morskie głębiny.

Rozigrało się morze.

Patrzą fale wesoło, jak to skały na dno padają: skaczą, swawolą, pluskają, pieszcząc fale ponure.

I szemrzą fale: „Toż to uciecha! Z chłodnej ziemi głębiny, wyszli goście pochmurni. Powitamy ich śpiewem radosnym, ciepłem słowem i pieszczotą ogrzejem, wspólnie w morzu będziem się bawić, dobroć słońca i swobodę sławić!"

Wesołe są fale młode.

Tylko burza i ojciec-huragan wrogim świstem gości witają, spoglądają na skały ponuro.

A skały raz po raz wciąż do morza padają, jedna pada przy drugiej i wał rośnie wysoko, morze w biegu tamuje, fal swobodę krępuje.

Zmięszały się fale, na złośliwą zaporę spoglądają lękliwie: po raz pierwszy zagrodzono im drogę! Ale pędem biegnąc przed siebie uderzyły się piersią o głazy. Stoi mur niedostępny i chłodny.

Drgnęło morze.

W przerażeniu miotają się fale, piersią tłukąc o skały. Jęk rozlega się po morzu. Pędzą fale ponure: „Zdrada! Zdrada!" — wołają... Przyjęłyśmy niby przyjaciół, a one wolnośc nam skradły!"

Matka-burza załkała. Z rykiem ku tamie ponurej pędzi ojciec-huragan.

O skały! o, groźne skały! Niegdyś i wyście były swobodne, oddychałyście wolnością! Pocoście dziatkom swobodę skradły?"

Zasępiły się groźne skały. „Nie myśmy winne przecież, kraść nas zmuszono" smutnym głosem odrzekły i złowrogo ponad morzem zawisły.

Z jękiem, płaczem pobiegła matka-burza po morzu, pomknął ojciec-huragan wszystkie fale zwołują, wieść roznoszą fatalną.

„O, fale, o, biedne fale! Zginęła, zginęła wolność! Odtąd w niewoli jesteśmy".

I pomknęły dalej szlochając... Morze zamarło.

Potężne, stare fale skryły się w morza odmęcie. Już nie zwoła ich burza, — nie rozbudzi ojciec huragan.

I młode fale ponuro się toczą: ani śmiechów nie słychać, ani śpiewu o dawnej wolności; — i słońce tak skąpo prześwieca przez chmury, i wszystko tak szare, tak smutno dokoła... Tylko młode fale, nie spodlone ciężkiem jarzmem niewoli, zgromadziwszy rozproszone swe siły, śmiałym hufcem natarły na wroga. Zwartym szeregiem o skały ostre uderzą... napróżno! głuche skały nie zadrżą... tylko echo roznosi po morzu jęki piersi, rozbitych o głazy...

Morze płakało... Mijały lata... I minęło ich wiele... Wiele, wiele fal młodych swoje piersi rozdarło o skały! Coraz ciemniej i ciemniej mrok zapadał nad morzem... Ucichły fale, uległy...

„Poczekajmy, aż sił nabierzemy!"

Mijały lata. Młode fale zmężniały, na wsze strony rozsyłają zwiastunów, aby śpiące rozbudziły, wszystkie fale na bój zwołały. Najpierw w morskie otchłanie zeszły gońce-zwiastuny; stare fale do boju wzywają. Siwe fale odmownie kręcą swemi głowami.

„Brak nam siły do walki i zapału nam brak. Czyliż można tak walczyć, ze skałami się mierzyć?"

Pomkną fale-zwiastuny swych najbliższych szukają, matkę-burzę i ojca-huragana wołają.

Nie znalazły na morzu, jeno w górskich wąwozach.

„Bywajcie mili, witajcie! Jako gońce dziś was witamy. Porzućcie ciasne wąwozy i lećcie w morze bezbrzeżne. Zerwijcie więzy hańbiące, co nam dusze spętały. Tchnijcie w fale bezwładne żądzę życia i pragnienie swobody. Groźne hufce zgromadźcie, na wroga ruszajcie! Ani śmierć nas nie straszy, ani bój ostateczny, bo pragniemy wolnosci dla morza."

Mocniej zabiło serce matki-burzy, ogniem buchnęła krew w ojcu-huraganie. Słowa gońców-zwiastunów przypomniały im naraz lata młode, szczęśliwe. I życzliwem spojrzeniem obrzuciły młodzieńców. Oto z górskich wąwozów w przestwór morza błękitny rwie się dźwięczne, radosne wołanie:

„Idziemy, idziemy, idziemy, wolność ocalić, wolność ocalić, wolność ocalić! Zbudźcie się fale potężne i rwijcie łańcuchy niewoli, zburzcie wszystkie przeszkody".

Był to silny okrzyk bojowy: niby poryw wichru, niby grzmot piorunowy wszędy przebiegł nad morzem; śpiących ze snu porywał, starym młodość przywracał, wszystkich krzepił na duchu. I zrywały się fale, toczyły po morzu, śladem gońców-zwiastunów. Głucha noc nad wodami zapadła, czarne chmury zasłoniły widnokrąg, gdy rozbrzmiało pierwsze hasło do boju. Ze wschodu na zachód, z południa na północ toczą się fale, zwarte formując szeregi. Młode fale męstwem pałają, pierwsze rwią się do szturmu. Błyskawica mknie ku nim, huragan na pomoc im spieszy... Ryknęła burza... zagrzmiał huragan... Ruszyły szeregi fal... Naprzód fale potężne! „Smierć albo wolność!" Z okrzykiem bojowym ku tamie pomknęły.

Drgnęły skały ponure. Coraz szybciej i szybciej fal się toczą szeregi. Przypadły, starły się piersią o skały — i padły martwe. Strzępy piany gorącej, jak krew lecą wysoko ku górze, skały wciąż ociekają krwią niezwalczonych rycerzy. Szlocha matka-burza.

„Dzieci, me dzieci rodzone, pierwsze padłyście! wiele jeszcze was padnie, ale dzisiaj przełamiemy moc wroga".

Morze wre. Na zmianę poległych nowe mkną fale. Jaka w nich groza! Jaka w nich moc. Z hukiem i rykiem biją o głazy, w tył się cofają i znów szturmują, nawet konając , braciom odwagi dodają. Ale krzepko trzyma się tama.

I wciąż toczą się fale, jedna drugą dogania i nie widać ich kresu, ich granic... Morze z brzegów się cofa: wszystkie fale do szeregów odeszły. Jęk i ryk rozbrzmiewają nad morzem.

Nadszedł ranek, ranek szary, ponury. Skały jeszcze niewzruszone stoją. Burza-matka nad falami szlocha, bo jej dzieci wciąż giną i giną, rozbijając swe piersi o głazy.

Przerażeni zbiegli się ludzie. Z żalem patrzą rybacy, jak giną fale młodzieńcze w boju wielce nierównym. Bólem serca wezbrały i płakali ci ludzi, wznosząc modły do Boga, aby przerwał tę walkę, aby falom zesłał zwycięstwo.

Nawet tyran okrutny, który stworzył tę tamę — sam się teraz przeraził. Drgnęło serce kamienne, widząc krwawe wysiłki... O jakże teraz pragnąłby wycofać z morza te skały, i falom wrócić swobodę! Lecz za późno tyranie! Teraz fale nie płaczą, już o litość nie proszą. Zbyt wiele zginęło tu fal, zbyt słodką jest zemsta za braci.

Niema pojednania! Niby lwice potężne, stare fale wczas na pomoc spieszą. Siwe grzywy wiatr rozwiał. Ląd się trzęsie wokoło, słońce w górze zamarło. Przodem pędzi huragan, z mocą skały wyważa.

Wnet z okrzykiem bojowym, zbrojne w męstwo rozpaczy, groźnie suną nowe hufce fal.

Czują one, albo zburzą tę tamę, albo morze mogiłą im będzie! Suną naprzód miarowo; krzepko, zgodnie, natarły — drgnęły skały pod ciosem. Zamarły fale. Odskoczyły i z szałem znowu wraz uderzyły.

Wszystko zlało się w chaos.

Jęk i grzmot rozlegają po morzu; rzekłbyś: morze dźwignęło się ze dna i złączyło się z niebem...

I skały runęły. Pod ostatnim zachwiały się ciosem, z hukiem spadły w odmęty, gdzie poległe fale leżały.

Precz trupy sromotne — ryczy morze do skał obalonych: tu mogiła bojowników wolności, tu młodzieńcze spoczywają fale!

Morza dno się rozwarło: w ciemną otchłań z przekleństwem groźne skały upadły.

„Czyliż nasza w tem wina? Falom chwała a nam wieczna sromota i hańba!"

Święci tryumf morze bezbrzeżne... Zwyciężyło moc wroga potężną, przełamało niewoli okowy... I swobodnie toczą się fale, sławiąc braci poległych, co swoją śmiercią ofiarną, morzu wolność wróciły.

Chwała poległym!

Żyjącym — wolność!

* * *

Siedziałem oczarowany tą przecudną ludową legiendą. Ze czcią patrzyłem na swobodne fale, tchnące mocą i męstwem potężnem. Nademną lazurowy błękit nieba, podemną morze bezbrzeżne, skąpane w łagodnem świetle jasnego majowego słońca. W oddali gwar życia miejskiego, śmiech marnej wesołości, czarny dym, świst batogów, brzęk kajdan i jęki, żałosne jęki...

I zdawało mi się, że hen tam daleko, daleko za morza błękitem grzmi burza!...

O, ludzie! o biedni, nędzni ludzie!...

Pogadanka przyrodnicza.

Tajemnica drogi miecznej.

Od najdawniejszych czasów, odkąd człowiek pamięta siebie, droga mleczna przykuwała jego uwagę. Poeci wszystkich ludów opiewali piękno owej smugi świetlnej, połyskującej na niebie dziś podobnież, jak za pierwszych dynastji egipskich, jak i dawniej, gdy ziemi okrytej bujną roślinnością epoki węglowej nie deptała jeszcze stopa ludzka. Grek starożytny pierwszy spróbował, zdaje się, odgadnąć jej istotę. Z właściwą sobie lotnością wyobraźni uciekł się on do legiendy: droga mleczna, to rozlane przez boską Herę mleko — stąd i nazwa. Pośród wielu podobnych fantazji starożytności odrębne miejsce zajmuje pogląd Demokratesa, utrzymującego, że droga mleczna przedstawia skupienie niezliczonej ilości gwiazd, jedynie skutkiem niezmiernej odległości czyniących na nas wrażenie smugi jednolitej. Jednak pogląd powyższy, niepoparty dowodami naukowymi, nie znalazł zaufania, na jakie zasługiwał.

Przez długi szereg wieków, nawet wtedy, gdy z tajemnej nauki magów i astrologów wyłoniła się wiedza ścisła, ufundowana na mocnym gruncie obserwacji, istota drogi mlecznej pozostawała niezbadaną zagadką. Aż nadeszło oto XVII stulecie, a z niem wynalazek, który pozwolił człowiekowi sięgnąć wzrokiem w dalekie, nieznane głębiny wszechświata. Zbudowano pierwszy teleskop. Nastały rychło i dla drogi mlecznej lepsze czasy. — Huygens skierował ku niej swój teleskop i obwieścił światu, że stary Demokrates miał słuszność: „mleko“ jest skupieniem miljonów gwiazd, miljony mil od nas odległych. Nowa świetna zdobycz astronomji odsłoniła przed myślą ludzką niezwykłe perspektywy.

W pobliżu drogi mlecznej, obok jednego ze znanych gwiazdozbiorów, posiadającego kształt litery *W* — Kasjopei, znajduje się gwiazdozbiór, zwany Andromedą. W gwiazdozbiorze tym dostrzeżono plamkę drobną, wyglądającą w teleskopie, jak słabo błyszczący obłoczek. Taki sam obłoczek wykryto w gwiazdozbiorze Orjona. Niebawem znano już kilkaset podobnych mgławic, jak poczęto je nazywać. Podobieństwo między mgławicami a dobrze znaną drogą mleczną było rażące. W jednym i w drugim wypadku takie samo „mleko“, tylko tu dużo, całe koło — tam drobna kropla. Zresztą, kto wie, może i ta różnica nie istnieje? Mgławice dzielą od ziemi olbrzymie przestrzenie. Gdybyśmy patrzyli na drogę mleczną z równej odległości, może wydałaby się nam ona rodzoną siostrą mgławicy Andromedy.

Myśli powyższe po raz pierwszy nasunęły się filozofowi niemieckiemu Kantowi. Rozwijając je logicznie, zbudował on swoją genjalną teorję powstawania światów. Rozłożyć mgławicy na pojedyncze gwiazdy — rozumował Kant — nie udaje się nawet przy pośrednictwie najlepszych teleskopów. Może to zapewne zależeć od ogromnej odległości mgławicy, możemy jednak również przypuścić, iż źródłem tego jest istotna jej nierozkładalność, czyli że przedstawia ona w dosłownem znaczeniu wyrazu „mgławicę“ — masę jednolitej materji gazowej. W tym przypadku, myślał dalej filozof, mgławice byłyby obrazem naradzającego się dopiero układu gwiezdnego, wizerunkiem tego, czem był nasz układ słoneczny przed miljonami lat. Bezkresny przestwór wszechświata wypełniony był niegdyś jednolitą masą niezmiernie rozrzedzonej substancji gazowej, znajdującej się w nieustannym ruchu. W następstwie tego ruchu w pewnych miejscach nastąpić musiały znaczniejsze skupienia materji. Skupienia owe dały początek pierwotnym mgławicom, z których każda stała się zarodkiem odrębnego układu. Słońce nasze z ziemią i towarzyszącemi mu planetami stanowi zaledwie drobną cząstkę większego układu ciał niebieskich, objętego olbrzymim pierścieniem drogi mlecznej.

Pogląd Kanta opierał się na przypuszczeniu, że mgławice przedstawiają skupienie jednolitej materji pierwotnej. Jak widzimy, była to prosta hipoteza. Gdyby przy pomocy udoskonalonych przyrządów udało się wykazać, że mgławice składają się z gwiezdnych gromad, cała powyższa pomysłowa teorja rozwiałaby się na kształt dymu. Późniejsze badania astronomiczne istotnie przyniosły zwolennikom Kanta wiele przykrych niespodzianek. Herschel, a z nim Rops, uzbrojeni w doskonałe teleskopy, poczęli raz po raz rozkładać mleko mgławic na części składowe podobnież, jak to uczynił ongi Huygens z drogą mleczną. Teorja Kanta zdawała się już tracić grunt pod nogami, gdy w dziedzinie nauki o niebie ukazał się wynalazek, jakiemu nie było równego od czasu zbudowania teleskopu: odkryto analizę widmową.

Badając przez pryzmat spektroskopu światło jakiegokolwiek ciała, możemy, na zasadzie jego widma, niechybnie wnioskować nietylko o stanie fizycznym, lecz zarazem o chemicznym jego składzie. Na tej drodze przekonano się, że słońce przedstawia ciało rozżarzone do białości, że otacza je atmosfera rozpalonych gazów i pary metalów; zbadano, jakie to są gazy i metale; stwierdzono, że gwiazdy stałe przedstawiają takie same słońca, mniej lub więcej rozżarzone. Pozostawało jeszcze uczynić próbę, czy nie dałoby się przy pomocy analizy widmowej poradzić w jakiś sposób z mgławicami, których nie zdołano dotąd rozłożyć na części składowe. Do liczby takich spornych mgławic należała znakomita Andromeda. Cudowny pryzmat i tym razem nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Okazało się, że wiele mgławic znajduje się istotnie, jak to przypuszczał Kant, w stanie rozproszonej materji gazowej, składając się niekiedy wyłącznie z samego wodoru.

Stary spór został rozstrzygnięty. W niezmiernej przestrzeni wszechświata — daleko, daleko za naszym układem, istnieją prawdziwe mgławice, będące kolebką przyszłych światów. Każda z nich zajmuje przestrzeń nie mniejszą od całego układu słonecznego. Niektóre mgławice posiadają, zgodnie z teorją rozwoju wszechświata, jądro środkowe, będące zgęszczeniem pierwotnej materji. Inne reprezentują dalsze szczeble rozwoju kosmicznego i wewnątrz materji gazowej zawierają liczne, do białości rozżarzone bryły gwiazd.

Wstrząsający obraz, zaiste! Olbrzymie masy gazowe mkną w przestrzeń, niosąc z sobą miljony jarzących się słońc, stygnących i wystygłych planet. Wszystko bierze udział w tym szalonym tańcu wirowym wszechświata. Jedna bryła krąży wokoło drugiej — wyższego rzędu. Księżyc wiruje wokoło ziemi, ziemia wokoło słońca, słońce również pędzi, jak huragan, w kierunku gwiazdozbioru Herkulesa, zataczając niezmierzoną orbitę wokoło nieznanego ośrodka.

„Naprzód“.

Rozmaitości

W otchłani ciemnoty. We Finlandji, w kraju położonym między Rosją a Szwecją, utworzyła się sekta, której podstawą „wiary“ jest pogarda życia na ziemi. Szczególnem jest, iż należy do niej także kilku bogatych właścicieli ziemskich; główny zastęp tworzą jednak ludzie, którzy w życiu doczesnem nie mają się już czego spodziewać. Jak „wiara“ tej sekty przypomina indyjskie naleciałości, tak jej założyciele nie są bardzo mądrymi, skoro wody fińskiej rzeki Imatra uznali za „święte“. Głoszą oni wieczną szczęśliwość tym, którzy, w czystej „wierze“ w świętość rzeki, rzucają się w jej nurty, aby tutaj znaleźć śmierć. Ofiarą tej zgubnej nauki padło już wielu oszołomionych ludzi. Podczas rzucania się we wodę nucą jakiś szczególny śpiew. Pod tytułem „Ofiary Imatry“ donoszą dzienniki rosyjskie, iż z wodospadu rzeki wyciągnięto w ostatnich dniach pięć zwłok.

Wykopany skarb. Ze Zaleszczyk w Galicji donoszą: Z początkiem b. m. odkryto w Kasperowach, powiatu zaleszczyckiego, wielki skarb srebrnych monet starorzymskich. Odkrycia dokonali pastuchy na pastwisku hr. Baworowskiego, leżącem na zachód od Seretu przy drodze, prowadzącej z Kasperowic do Łesiecznik. Skarb, obejmujący około 1000 sestercji, leżał ukryty w rowie pod wielkim kamieniem, który z czasem podmyła woda deszczowa, wypłókując kilka monet. Przeważną część wykopanych monet zabrał rządca hr. Baworowskiego, resztę chłopcy rozsprzedali lub rozdarowali. Monety pochodzą z czasów od cesarza Adrjana do Aleksandra Sewera, a więc z II i III wieku po Chrystusie.

* * *

Przedłużenie dnia o jednę godzinę. Parlamentowi angielskiemu został złożony projekt ustawy, który — jak sądzą pisma angielskie — zostanie poparty przez wszystkie stronnictwa, aczkolwiek jeszcze przed kilku miesiącami uważano go tylko za dowcip lub szyderczo wyśmiewano. Projekt ma nazwę „Ustawy o oszczędności światła dziennego“ (Daylight Savings Bill), ponieważ przez zmianę godzin w porze letniej chce racjonalniej wyzyskać światło dzienne dla czasu pracy, aniżeli to jest możliwe przy obecnym systemie godzin. Ustawa wchodziłaby w życie w kwietniu każdego roku. W pierwszych czterech niedzielach tego miesiąca godzina trzecia rano miałaby tylko 40 minut, wskutek czego już od początku maja zyskanoby rano 80 minut. Gdyby więc praca fabryczna, czy biurowa miała się zaczynać o godz. 8 rano, zaczynałaby się rzeczywiście wedle czasu astronomicznego już o godz. 6 minut 40 i kończyłaby się odpowiednio wcześniej. Wyrównanie do czasu astronomicznego następowałoby w ciągu września, tak, że z początkiem października byłoby już zupełne. Osobna komisja parlamentarna, która zbadała dokładnie projekt i na podstawie orzeczeń biegłych uznała jego korzyść na każdem polu życia społecznego i domowego, zaproponowała tylko tę zmianę, aby skrócenia, względnie przedłużenia godzin nie dokonywano w czterech terminach, lecz jednorazowo, lub najwyżej w ciągu 2-ch niedziel. Autorem tego pomysłu jest mr. Willet, autor broszury „Marnowanie światła dziennego“. Willet udowodnił w tem dziełku, że rocznie marnuje się 210 godzin pełnego światła dziennego, oraz niepotrzebnie wyrzuca się około 2,500.000 funtów szterlingów na światło sztuczne. Zarządy kolejowe również oświadczają się za przyjęciem projektu, ponieważ nowy czas z jednej strony oszczędziłby im kosztów, z drugiej zaś dawałby w lecie więcej godzin na wycieczki. Obecnie chodzi jeszcze tylko o to, aby pozyskać dla projektu także giełdę, dla której mogłyby stąd wyniknąć pewne trudności w stosunkach terminowych z Europą, a zwłaszcza Ameryką. Pisma wyrażają nadzieję, iż uda się osiągnąć porozumienie.

* * *

Wysokie honorarja autorskie. Prezydent Roosevelt po opuszczeniu urzędu 4 marca 1909 wybiera się w podróż do Afryki, o której napisze dzieło. Z góry otrzymał od pewnego księgarza honorarjum autorskie w kwocie 12.000 funtów t. j. około 300.000 K. Jeszcze większe honorarja otrzymali następujący autorzy: Gibbon za swe dzieło o upadku cesarstwa rzymskiego otrzymał ćwierć miljona koron, Macaulay za swą „Historję Anglji“ otrzymał pół miljona koron, pani Rice za swoją powieść otrzymała także pół miljona koron; dramat „Mały proboszcz“ przyniósł autorowi Barrie'mu miljon koron, a za „Pamiętnik gienerała Granta“ zapłacono $2^1/_2$ miljonów.

* * *

Perły śpiewaczki. Pisma paryskie donoszą o nowej sensacyjnej kradzieży, która dotąd nie została wyjaśnioną. Znanej śpiewaczce d'Allencon, która niedawno poślubiła sławnego dżokeja Woodlanda, skradziono naszyjnik perłowy, wartości 100.000 franków i torebkę, zawierającą 5000 franków gotówką. Kradzież popełniono podczas odwiedzin śpiewaczki u jej znajomej aktorki Arosa. Pani d'Allencon pozostawiła naszyjnik, z którym się nigdy nie rozłącza i torebkę w pokoju na pierwszem piętrze willi, sama zaś z całem towarzystwem zasiadła do śniadania na tarasie. Gdy po śniadaniu powróciła na pierwsze piętro, przekonała się, że drzwi pokoju stoją otworem, a klejnoty skradziono. Torebkę, w której były pieniądze, znaleziono próżną na korytarzu. Pani d'Allencon uważa za podejrzane, że gospodyni domu, pani Arosa, podczas śniadania trzykrotnie odchodziła od stołu i udawała się na pierwsze piętro. Pani Arosa jest oburzona tem podejrzeniem i ze swej strony znowu podejrzywa o kradzież swoją kucharkę, którą natychmiast oddaliła ze służby. Policja przedsięwzięła energiczne śledztwo, lecz dotąd bezowocne.

* * *

Hodowla krokodylów. Niezwykły zakład istnieje w miejscowości kąpielowej Hot Springs w stanie Arkanzas, jak opowiada „Nature“. Mianowicie niejaki H. Cambell już od szeregu lat prowadzi regularną hodowlę krokodylów. W wielkich, otoczonych płotami, dobrze nawodnionych ogrodach, żyje tam tysiące aligatorów, począwszy od najmniejszych, które się dopiero wylęgły, i wyglądają jak niezgrabne, małe jaszczurki, aż do olbrzymich okazów kilkumetrowej długości. Do hodowli skłania przedsiębiorczego amerykanina coraz większy popyt na skórę krokodylą, oraz moda, jaka w ostatnich czasach rozpowszechniła się wśród bogatych amerykanek, że chowają w swych ogrodach młode aligatory. Ponieważ zwierzęta te rosną nader powoli — piętnastoletni aligator ma zaledwie 60 centymetrów długości — więc dość długo mogą być „zwierzętami domowemi“, zanim wreszcie poczną się stawać niebezpiecznemi dla życia ludzkiego. W farmie krokodylowej Cambella są specjalne aparaty do wylęgania. Jaja krokodyle układa się po 45 sztuk w kupkach słomy, codziennie zmienianej, i poddaje działaniu temperatury około 64 stopni Reaumura. Jaja te zakupuje Cambell od okolicznych indjan, płacąc mniej więcej 5 i pół dolara za tuzin. O rentowności niezwykłego przedsiębiorstwa może to dać wyobrażenie, że młody, kilkudniowy aligator osiąga już cenę 3 dolarów na sztukę. Krokodyle długości 60 do 75 centymetrów płacą po 100 do 200 dolarów. Sama zaś hodowla jest bardzo tania.

Z literatury i sztuki

„Myśl Niepodległa“, (Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10). Treść nr. 69 (trzecia dekada na lipiec): Lato. — Inteligencja kwiatów. — Księża polscy w Paranie. — Idolatrja kościoła rzymsko-katolickiego. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Zapiski: W sprawie Apokalipsy. Z prasy. Religijna agencja telegraficzna. Cudowne uzdrowienie na Jasnej Górze. Jubileusz Aleksandra Świętochowskiego. Błędy dr. Konecznego. Walka z umarłymi. Myśli. — Książki. — Ogłoszenia.

* * *

„Kultura“, miesięcznik naukowy, społeczny i literacki. Wyszedł zeszyt 5 i 6 na maj i czerwiec. Treść: St. L.: Naukowe zasługi Marxa i Marxizmu. — St. Lichtenstein: Koncentracja czy ekspansja kapitału. (Przyczynek do metody ekonomiczno-statystycznej). — Leo Belmont: Na szlakach myśli Marxa. — Jan Bełcikowski: Monsalwat (Problemat Mickiewicza). — Stefan Poraj: Lud zaczyna żyć. — Antoni Miller: Muzyka i scena w szkole jako czynniki wychowawcze. — Jan Iwański: Z niwy poetyckiej. — Michał Römer: Religja i Wolna Myśl. — J. W.: Z wszechświatowego ruchu Wolnej Myśli. — W. P. — J. K.: Przegląd czasopism obcych. — Z. P.: Z nad mogiły: Aleksander Smaczniński, Mamert Wikszemski. Jan Piliński-Adamowicz.

Adres „Kultury“: Warszawa, Wspólna Nr. 49. Kwartalnie 2 ruble.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 31. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 1 sierpnia 1908.

MARJA KONOPNICKA.

Czy marzą?

Czy marzą kiedy te czoła schylone,
Które dźwigają cierniową koronę
Codziennej troski nad zbladłą w łzach twarzą
Czy one marzą?

Czy w tych źrenicach zamglonych rozbłyska
Niekiedy iskra wielkiego ogniska,
Przy którem duchy od wieków się grzeją
Wspólną nadzieją?

Czy te ramiona od taczek swej biedy
W chwilach tęsknoty podnoszą się kiedy
Tam, gdzie ludzkości całej ideały
Tron mają biały?

Bladzi nędzarze przy cudzym warsztacie,
Co zasypiają pod snów ciężkich strażą,
I ci, co wloką dni w zapadłej chacie —
Czy oni marzą?

Czy słyszą kiedy wśród samotnych godzin
Głuchy szum wieków idących z kolei,
I ciche szmery tajemnych narodzin
Wielkich idei?

Czy w odrętwieniu swojem lodowatem
Czują ten płomień braterskiej miłości,
Co łączy duchy nad nędzą i światem
W imię przyszłości?

Czy ci schyleni tak blisko do ziemi
Naglą jej pochód tętnami własnemi?
I czy się czuje myśl wydziedziczona
Cząstką miljona?

Duchy znużone i duchy mdlejące,
Czy wierzą, że się te mroki przeważą?
Czy przeczuwają jaśniejszych dni słońce?
Czy one marzą?

Jeśli nie — szerzej rozniećmy ognisko!
Niech spotężnieje i światło, i ciepło!
Uściskiem bratnim przyciągnijmy blisko
Pierś ludu skrzepłą!

Jeśli nie — wyżej podnieśmy sztandary!
Niech nędzarz dojrzy walczących z ciemnotą
I niech dosłyszy okrzyk pełen wiary
W jutrzenkę złotą!

MAKSYM GORKIJ.

Towarzysz.

Opowieść.

I.

W mieście tem wszystko było dziwne, niezrozumiałe. Liczne świątynie wznosiły ku niebu barwne, błyszczące wieże, lecz mury i kominy fabryk przewyższały dzwonnice; kościoły, wtłoczone między ciężkie fasady gmachów przemysłowych, ginęły wśród martwoty kamiennej, jak giną kwiaty fantastyczne w prochu i śmieciach ruin. I kiedy dzwony domów bożych wzywały wiernych na modlitwę — ich krzyk miedziany, obijając się o żelazo dachów, głuchł bezsilnie w ciasnych szczelinach ulic.

Domy olbrzymie, często piękne; ludzie ułomni i zawsze mali. Od rana do nocy, niby szare myszy, biegali wśród zgiełku po wąskich, krzywych zaułkach i pożądliwym wzrokiem szukali: jedni — chleba, drudzy — uciechy, inni wreszcie, stojąc na rogach ulic, doglądali, by słabi bez szemrania poddawali się mocnym. Mocnymi nazywali bogatych. Wierzono powszechnie, że tylko pieniądze dają człowiekowi władzę i wolność. Władzy zaś pożądali wszyscy, bo wszyscy niewolnikami byli. Zbytki bogatych rodziły zazdrość i nienawiść biednych, nikt piękniejszej nie znał muzyki nad brzęk złota; toż wrogami nawzajem sobie byli, a władzę nad nimi miało — okrucieństwo.

Nad miastem chwilami jaśniało słońce, życie jednak było wciąż mroczne a ludzie szarzy. Nocami rozpalali oni liczne ogniska, lecz jednocześnie na ulice z nor wysuwały się zgłodniałe niewiasty, by za pieniądze sprzedawać pieszczoty; zewsząd zalatywała woń potraw i zewsząd też, w milczeniu, z zawiścią, błyskały złe spojrzenia głodnych. Nad miastem unosił się przygłuszony jęk niedoli, lecz sił ona nie miała, by w głos krzyknąć o sobie.

Życie płynęło ciężko, trwożliwie. Istnieli tylko wrogowie i przestępcy, rzadko kto czuł się sprawiedliwym; ci zaś byli dzicy jak zwierzęta i jak zwierzęta okrutni...

Wszyscy pragnęli żyć, a nikt nie umiał i nie mógł zmierzać swobodnie drogą swych pożądań; każdy krok w przyszłość zmuszał go do oglądania się na teraźniejszość; ta zaś potężnemi, wszechwładnemi łapami żarłocznego potwora wstrzymywała człowieka i w lepkie swe objęcia go wgarniała.

Zdumiony i zgnębiony spogląda człek bezradny w potwornie wykrzywioną postać życia. Tysiącem smutnych oczu zazierało mu ono w serce i błagało o coś — wówczas to zamierały w duszy jasne obrazy przyszłości i jęk bezsilny jednostki tonął w całym chórze jęków rozdźwięcznych i wołań przez los umęczonych ludzi, nieszczęsnych i mizernych.

Zawsze było smutno, zawsze niebezpiecznie, chwilami straszliwie; dokoła wznosiły się nieruchome, więzienne mury miasta, którego przebrzydłe symetryczne stosy głazów odbijały żywe promienie słońca i pochłaniały świątynie.

A melodją życia był przygłuszony wrzask bólu i złości, cichy szept tajonej nienawiści, groźne wycie okrucieństwa, lubieżne okrzyki przemocy.

II.

Wśród mrocznej, zgiełkliwej niedoli i rozpaczy, w kurczowem zmaganiu się chciwości z potrzebą, w mroku nędznego samolubstwa, po suterynach domów, gdzie gnieździło

się ubóstwo, wytwarzające całe bogactwo miasta, błądzili nieppostrzeżenie odosobnieni marzyciele, pełni wiary w człowieka, wszystkim obcy i dalecy, głosiciele powstania, buntownicze iskry odległego ognia prawdy. Potajemnie znosili oni do podziemi drobne lecz zawsze płodne ziarna prostej a wielkiej nauki i raz surowo z chłodnym blaskiem w oczach, to znów dobrotliwie i miłośnie siew rzucali w ciemne serca niewolników, zamienionych przez moc chciwych i wolę okrutnych w ślepe i nieme narzędzia korzyści.

Ciemni, zahukani ludzie z niedowierzaniem wsłuchiwali się w dźwięk nowych słów, których z dawna i beznadziejnie wyczekiwały schorzałe ich serca: zwolna podnosili oni głowy, zrywając arkana podstępnego kłamstwa, któremi oplątali ich przemożni i chciwi gwałciciele.

Życie tych ludzi przepełnione stłumioną zawiścią, serca zatrute niezliczonemi krzywdami, świadomość zaśmiecona fałszami podstępu silnych, to smutne ciężkie życie, przepojone goryczą poniżenia — nagle zaświeciło jedno słowo:

— Towarzyszu!

Nie było ono dla nich nowe. Słyszeli je i sami nieraz wypowiadali. Dotąd dźwięczało tymże pustym, tępym tonem, co i wszystkie inne znane, starte wyrazy, których zapomnieć można, nic na tem nie trącąc.

Lecz teraz stało się ono jasne i potężne, brzmiało jakiemś innem brzmieniem, nowy duch w nie wstąpił, coś w niem było, grającego blaskami djamentu. Przyjęli je i zaczęli powtarzać ostrożnie, oszczędnie, miękko, kołysząc w swem sercu, jak matka dziecię kołysze, pieszcząc się niem i lubując.

A im głębiej zaglądali w świetlaną istotę słowa, tem jaśniejszem i cudniejszem ono im się wydawało.

— Towarzyszu! — mówili.

I czuli, że wyraz ten przyszedł, by świat cały ogarnąć, dźwignąć ludzkość na wyżyny wolności i złączyć ją nowymi węzłami, mocnymi węzłami wzajemnego szacunku i umiłowania wolności bliźniego.

Gdy słowo to wrosło w serca niewolników — z tą chwilą niewolnikami być przestali; aż dnia pewnego rzekli miastu i wszystkim siłom jego — wielkie, ludzkie:

— Nie chcę!

I zatrzymało się życie, bo oni to byli potęgą, ruch mu nadającą; oni i nikt więcej. Woda płynąć przestała, zgasł ogień, miasto zatonęło w ciemnościach i silni zamienili się raptem w nieporadne dzieci.

Lęk ogarnął dusze gwałcicieli i dusząc się wonią własnych ekskrementów, przygłuszyli wściekłość swą na zbuntowanych, zdumieni i przerażeni ich potęgą.

Widmo głodu stanęło przed nimi, a dzieci ich żałośnie płakały w ciemnościach.

Domy i świątynie, zatopione w mroku, zlały się w jednę chaotyczą masę kamienia i żelaza; cisza złowieszcza zaległa zmartwiałe ulice.

Wstrzymało się życie, bo tworząca je siła zrozumiała sama siebie i człowiek-niewolnik odnalazł magiczny, niezwalczony wyraz na ujawnienie swej woli — strząsnął jarzmo i przekonał się naocznie, że w jego ręku jest władza — władza twórcy.

Dnie te były dniami pognębienia silnych, tych co się panami życia mienili; noc każda spała tysiącem nocy, tak nieprzeniknioną była czarność mroku, tak skąpo świeciły ognie miasta umarłego. I to miasto, budowane przez długie stulecia, ten olbrzym karmiący się krwią ludzką, ukazał przy nich całą potworność swej nędzy — kupa kamieni i drzewa. Chłodno, ponuro patrzyły ślepe okna domów, a po ulicach kroczyli śmiało istotni panowie życia. I oni byli głodni, więcej nawet niż inni, lecz znosili to ze świadomością; ich umartwienia cielesne nie były tak ostre, jak cierpienia przeciwników, ognia ich dusz nie gasiły. Gorzeli poczuciem siły, a oczy błyszczały przewidywaniem zwycięstwa.

Chodzili po ulicach miasta mrocznego, ciasnego więzienia, gdzie ich dotąd pogardą karmiono, gdzie miłość własną wciąż obrażano — a gdzie teraz widzieli całe olbrzymie znaczenie swej pracy: to przejmowało ich poczuciem najświętszego prawa do stania się panami, prawodawcami i twórcami życia. I w chwili tej z nową siłą, z oślepiającą jasnością powstało przed nim ożywcze, wszechogarniające słowo:

— Towarzyszu!

Brzmiało ono pośród głosów kłamliwych teraźniejszości, jak radosna zapowiedź nowego życia, co daleko czy blisko, wszakże przed wszystkimi otworem stojące. Czuli, że to w ich mocy; sami zbliżają się do wolności, lub też sami odsuwają jej przybycie.

III.

Prostytutka, wczoraj jeszcze na poły zwierzę zgłodniałe, wśród zbłoconej ulicy wyczekująca, czy kto za drobną monetę nie zechce kupić jej fałszywych wdzięków — nawet owa prostytutka usłyszała to słowo, lecz, uśmiechając się niepewnie, sama odwagi nie miała go powtórzyć.

Podszedł do niej człowiek, któremu podobnych dotąd nie spotykała, położył jej rękę na ramieniu i rzekł po przyjacielsku:

— Towarzyszko!

Wówczas śmiała się cicho i wstydliwie, by ukryć rozrzewnienie, którem drżało po raz pierwszy jej biedne, oplwane serce.

Z oczu, do wczoraj spoglądających na świat głodnym, tępym wzrokiem bydlęcia, popłynęły nagle łzy czystej radości. A radość ta, radość wszystkich wydziedziczonych, przygarniętych przez wielką rodzinę ludu pracującego całego świata, promieniała na ulicach miasta; mroczne zaś oczy jego domostw obserwowały ją z coraz większą grozą i chłodem.

Żebrak, któremu grosz marny jeszcze wczoraj rzucano na odczepne, grosz ekwiwalent współczesnych sytych, ów nędzarz nawet słowo to usłyszał. I było ono pierwszą jałmużną, która w jego pognębionej duszy prawdziwie szczerą wywołała wdzięczność.

Woźnica śmieszny parobek, którego pasażerowie walili po grzbiecie, by uderzenia oddawał swej zgłodniałej, wymęczonej szkapie, ten człowiek tylekroć razy bity, zgłupiały od ciągłego turkotu, teraz, uśmiechając się szeroko rzekł do przechodnia:

Może powieźć... Towarzyszu?

Powiedział to i zląkł się. Chwycił lejce, gotów umknąć szybko, i spoglądał na bliźniego, nie mogąc zatrzeć śladów radosnego uśmiechu.

A przechodzień spojrzał przyjaźnie i kiwnąwszy głową, odrzekł:

— Dziękuję, towarzyszu. Dojdę; mam już nie daleko.

— Matko ty moja!... — zawołał rozpromieniony dorożkarz, pokręcił się na koźle i mrugając oczami odjechał gdzieś z chałasem.

Ludzie krążyli po chodnikach gęstemi grupami, a między nimi jak iskra przelatywało coraz częściej słowo wielkie, rozbudzone dla ich zbratania.

— Towarzyszu!

Wąsaty policjant, osoba nadęta i ponura, zbliżył się do tłumu, co na rogu ulicy obstąpił mówcę-staruszka. Wysłuchawszy, rzekł bez pośpiechu:

Gromadzić się nie wolno... rozejdźcie się panowie...

Zamilkł na chwilę, spuścił oczy ku ziemi i dodał ciszej:

— Towarzysze...

Na twarzach osób, które słowo to w sercach nosiły, które oddawały mu krew i kość swoją jaśniała duma twórców młodzieńczych i widać było, że siła, którą oni w wyraz ów kładą, niewyczerpana jest i niezniszczalna.

Gdzieś już zbierały się przeciw nim szare, ślepe gromady ludzi uzbrojonych i milcząc, formowały się w różne szeregi — to wściekłość gwałcicieli szykowała się do odbicia fali sprawiedliwości.

A wśród ciasnych zaułków olbrzymiego miasta, wśród zimnych, niemych murów, wzniesionych dłońmi twórców nieznanych, wciąż rosła, wciąż dojrzewała potężna ludzka wiara we wszechbraterstwo.

— Towarzyszu!

To tu, to ówdzie wybuchał płomyk mający zamienić się w pożar, ogarniający ludzkość całą uczuciem miłości wzajemnej. Obejmie on kiedyś ziemię i wytrzebi, spopieli toczącą nas złość, nienawiść, okrucieństwo; obejmie wszystkie serca i złączy je w jedno serce świata — serce ludzi rzeczywistych, szlachetnych, w nierozdzielną, zgodną rodzinę wolnych robotników.

Na ulicach zmartwiałego miasta wzniesionego rękami niewolników, na ulicach miasta, gdzie okrucieństwo trzymało władzę, rosła, wzmacniała się wiara w człowieka, w zwycięstwo jego nad samym sobą i nad złym duchem świata.

I wśród chaosu trwożliwego, bezbarwnego życia, jako promienna gwiazda, przewodnie w przyszłość światełko, jaśniało proste, głębokie jak uczucie słowo:

Towarzyszu!

Alkohol przyczyną nieszczęśliwych wypadków.

Prof. Brouandel z Paryża zastanawia się w „Rocznikach hygjeny" nad wpływem alkoholizmu na ilość wypadków nieszczęśliwych. Uwagi jego, jako zasługujące na szczególną uwagę, podajemy w skróceniu:

Ostre (przy nadmiernym) albo chroniczne (przy umiarkowanem codziennem używaniu alkoholu) zatrucie alkoholem naraża pijącego na liczne wypadki. Pijaka nie można nigdy przekonać; jest on jakby obrany z rozumu. Każda szklanka odbiera alkoholikowi zdolność rozważnego działania. On nie liczy się z niebezpieczeństwem, nie zważa na niego, nie ma czasu na zastanowienie się; nagle zjawia mu się jakaś myśl, w tej chwili wprowadzą ją w czyn z gwałtowną ochotą, którą przy lekkim podpiciu się bawi sąsiadów, ale przy robocie może być niebezpieczną dla niego i jego towarzyszy.

Niezliczone wypadki nieszczęśliwe są następstwem takiego nierozważnego działania. Bezcelowem jest upominanie alkoholika. On działa nie wiedząc, czy on przekracza jakiś przepis o bezpieczeństwie publicznem, albo jakiś regulamin. On bardziej niż kto inny jest narażony na niebezpieczeństwo. Raz skaleczony, jest on bardziej niż kto inny narażony na to, że to skaleczenie ciężej przechodzi. Nagła niewytłómaczona śmierć jest często skutkiem pozornie nieznacznych ran. Zranienie wywołuje wybuch obłędu opilczego; podczas ataku zrywa bandaże, gorączka wzmaga się, i jeżeli utrzymuje się przez dwa lub trzy dni ponad 40 stopniami, następuje śmierć.

W innych wypadkach przychodzi do przekrawienia wewnętrznych organów.

Jeżeli alkoholik uniknął tych wypadków, to jednak znajduje się zawsze w poważnem niebezpieczeństwie.

Wskutek używania alkoholu nerki jego ulegają zapaleniu lub twardnieją; to samo też dzieje się z wątrobą i muskułami sercowymi, klapy sercowe i naczynia krwionośne są chorobliwie zmienione. Jego system nerwowy jest ciężko uszkodzony, odżywianie się i inne naturalne czynności ulegają zaburzeniom. Łatwo można zrozumieć, że wskutek przeszkód w odżywianiu się, także leczenie ran jest utrudnione. Dlatego przydarzają się przewlekłe choroby, jak suchoty, które właśnie są tak częste u pijaków, których leczenie, wskutek osłabienia całego organizmu, na wielkie napotyka trudności.

Do bieguna.

Ku końcowi ubiegłego miesiąca słynny francuski badacz bieguna południowego, Jan Charcot, wypłynął na nową wyprawę naukową z Hawru na okręcie, który przez trzy lata przygotowywano i zbrojono do boju. Świat naukowy przywiązuje wielką wagę i niemałe nadzieje do nowej wyprawy Charcota, który je zupełnie usprawiedliwia. Charcot w lipcu roku 1903 udał się był po raz pierwszy do bieguna południowego na okręcie „Les Francais". Przez dwa lata przebywał w okolicach anatarktycznych. Obawiano się, że okręt razem z załogą zginął bez śladu pośród lodów, obawy atoli nie spełniły się. Na wiosnę 1905 roku Charcot powrócił do Francji, przezwyciężywszy z towarzyszami niewypowiedziane trudy i niebezpieczeństwa.

Zdobycze naukowe Charcota były wprost nieocenione i dotąd jeszcze praca nad nimi nie skończyła się. Zakład Pasteura w Paryżu otrzymał od niego 500 odmian nieznanych mikrobów, a dyrektor tamtejszego muzeum przyrodniczego, Turquet pięć tysięcy prób zoologicznych, które są kopalnemi pozostałościami cudownego świata zwierzęcego, o jakim dotąd nikt nie marzył. Geologowie i zoologowie pracują od lat trzech nad tym materjałem naukowym i jeszcze go dotąd nie wyczerpali. Jakie rozmiary mają te prace, wynika z faktu, że na podstawie materjału, dostarczonego przez Charcota, wyłania się zupełnie nowe, przełomowe zapatrywanie na powstanie i rozwój naszego planety. Akademja Umiejętności w Paryżu oświadczyła po zbadaniu owego materjału, że obie półkule ziemi, północna i południowa, nie rozwijały się, jak dotąd sądzono, równomiernie, ale że w dzisiejszych krainach lodowych dokoła bieguna południowego znajdowała się niegdyś bujna roślinność, tudzież fauna o kształtach i rozmiarach olbrzymich. Znakomity paleontolog francuski, Albert Gandry, wyrzekł te słowa: „W lodowych krainach bieguna południowego czekają nas odkrycia, które świat w podziw wprawią. Stamtąd wyłonią się nieprzeczuwane zapatrywania na tajemnicze zagadnienie, w jaki sposób kiełkowało i rozwijało się życie.

Gieografja i fizyka równie zbogaciła się dzięki Charcotowi, który odkrył nieznane przestrzenie ziemi i po raz pierwszy naukowo sformułował prawo o przypływie i odpływie morza pod biegunem południowym. Uwzględniwszy te zasługi naukowe Charcota, nie zdziwimy się, że Francja drugą wyprawę jego popiera usilnie, uważając to za obowiązek kraju. Na wniosek Doumera parlament francuski uchwalił jednogłośnie 600,000 franków na cele tej wyprawy. Obok tego szczodre fundusze dały zakłady naukowe, a zwłaszcza „Institut de France", Towarzystwo gieograficzne i Muzeum przyrodnicze. Prasa czynem i słowem poparła nowe przedsięwzięcie Charcota.

Wyprawa Charcota może znowu trwać będzie przez dwa lata. Na taki przynajmniej czas będzie zabrany prowjant. Okręt, wielki i silny, rozmiarami przewyższa znacznie statek z pierwszej wyprawy, przedsięwziętej dla odkrycia bieguna południowego, równie tajemniczego, jak północny. Nie wiemy dotąd, czy tam znajduje się ląd, czy wyspy, czy większe powierzchnie lądu, czy morze lodowate. O zbadanie tej tajemnicy pokusi się Charcot przedewszystkiem. Oczywiście obok tego poświęci uwagę wszystkim innym, nasuwającym się w takich razach zagadnieniom z dziedziny zoologji, paleontologji i biologji.

Rozmaitości

Liczba mieszkańców państwa niemieckiego w „Nowym roczniku statystycznym" podaną jest w połowie tego roku na **63.017 000** osób wobec 62 097 000 w połowie 1907 a 61 177 000 w połowie 1906 r. Podług tego wynosi roczny przyrost dla każdego z ostatnich dwóch lat 920 000 głów. Przy ostatnim spisie ludności dnia 1-go grudnia 1905 wynosiła liczba ludności całego państwa 60 641 278, więc od tego czasu wzmogła się ta liczba o 2 375 000. W roku 1898 wynosiła liczba państwa niemieckiego 54 406 000 osób. W ostatnim lat dziesiątku przyrost wynosi **8 611 000** osób czyli 15,8 procent. W roku 1888 wynosiła liczba ludności podług oceny 48 168 000, w roku 1878 44 129 000. W roku 1871 liczono 40 997 000 osób, więc od czasu sklejenia państwa niemieckiego przyrost wynosi 22 miljony czyli więcej jak 53 procent. Podwoiła się ludność obecnego obszaru rzeszy niemieckiej mniej więcej od roku 1838.

* * *

Państwo. Wyraz ten jest przez wielu nierozumiany. Ma on dwojakie znaczenie: raz oznacza kraj, drugi raz osoby. Język niemiecki ma na to dwa określenia: wyraz państwo w znaczeniu kraj nazywa się Staat, zaś w drugiem znaczeniu Herrschaft. W polityce, jeżeli jest mowa o państwie, zawsze tylko rozumie się kraj (Staat) n. p. dawniejsze państwo polskie (Polska), państwo niemieckie (Niemcy) i t. d., zaś drugie znaczenie wyrazu państwo (Herrschaft) zachodzi szczególniej w stosunkach roboczych, choć w rzeczy samej jest ono tu już nie na miejscu, bo w zbyt niewolniczy sposób określa stosunek kapitalisty do robotnika. Przebija zeń zbytnio średniowiecze.

* * *

Ludność Warszawy. W tych dniach ukazało się sprawozdanie sekcji statystycznej z ruchu ludności miasta

Warszawy w r. 1907. Według tego sprawozdania w dniu 1-go stycznia 1907 r. ogólna ilość mieszkańców Warszawy wyrażała się w cyfrze 764.611. Najwięcej przypada na katolików, bo 446 021, żydów 265.122, prawosławnych 33.391, protestantów 19.435, mahometan 632. Przyrost ludności wyraził się w roku sprawozdawczym w cyfrze 21.209 noworodków, a wśród nich dzieci katolików 13.518, żydów 6.628, prawosławnych 712, protestantów 351.

* * *

Smierć i narodziny. Ciekawy artykuł o stosunku liczby zgonów do liczby narodzin pojawił się w paryskim „Matin". Autor, kryjący się pod pseudonimem dr. Ox, zestawiając statystycznie obie te cyfry, wykazuje, że wszelkie wahania ich idą zawsze równolegle do siebie, to jest, że ze wzrostem cyfry narodzin wzrasta cyfra zgonów i odwrotnie, tak iż nadwyżka urodzin, mimo nieznacznych różnic, jest w każdem państwie Europy mniej więcej ta sama. Wglądnięcie w stosunki ekonomiczne ułatwia zrozumienie tej prawidłowości; z każdym zgonem robi się miejsce dla urodzin. Gdy rodzice stracą dziecko, wówczas pragną znowu mieć przedmiot swej miłości; śmierć ubogiego starca, którego utrzymywać usiłowały jego dzieci, umożliwia im nieraz zawarcie małżeństwa. Gdy umrze zaś bogaty ojciec rodziny, wówczas dzieci jego, odziedziczywszy po nim majątek, mogą tem bardziej myśleć o utworzeniu ogniska rodzinnego. To są okoliczności, których nie można pomijać, gdy chce się wyjaśnić równoległość między liczbą zgonów i narodzin. Pokazuje się n. p., że w krajach o małej liczbie zgonów, w których śmiertelność nie przekracza 18 wypadków na każdy 1000 ludności, także i liczba narodzin jest mniejszą, niż gdzieindziej. W Anglji stosunek śmiertelności do narodzin wynosi 16 na 28, w Szkocji 17 na 29, w Danji i Norwegji 15 na 29, w Szwecji 15 na 26, w Holandji 16 na 32, w Belgji 17 na 28, w Szwajcarji 18 na 28. Z liczb tych okazuje się, że przeciętna nadwyżka urodzin wynosi 12 na 1000 ludności. Ciekawem jest, że przeciętny ten przyrost, z małemi tylko wahaniami, istnieje i w tych krajach, których śmiertelność jest wyższą, a skutkiem tego wyższą jest i cyfra narodzin. I tak stosunek śmiertelności do liczby urodzin w Niemczech wynosi 20 na 35, w Austrji 24 na 36, na Węgrzech 26 na 37, w Rosji 32 na 42, w Rumunji 25 na 39, we Włoszech 22 na 33, w Hiszpanji 26 na 35, w Portugalji 20 na 32. I w tych krajach więc widzimy taki sam stosunek tych obu cyfr. W latach od 1841—1850 w Anglji było 32,6 narodzin a 22,4 zgonów na 1000 ludności, liczby te w latach 1901—1905 spadają równomiernie na 28,1 i 15,9. W Niemczech w 1841 do 1850 wypada 26,8 zgonów na 36,1 narodzin; w 1901 do 1905 spadają te cyfry na 19,9 i 34,7. Zupełnie tak samo przedstawia się stosunek tych liczb we Włoszech, w Austrji i Hiszpanji. W Irlandji przyrost wynosi mniej, niż 12 na 1000: na 18 zgonów wypada bowiem tylko 23 urodzin. Stosunek jeszcze gorzej przedstawia się we Francji, gdzie na 20 zgonów wypada zaledwie 21 urodzin, tak iż roczny przyrost ludności wynosi zaledwie 1 na 1000. Według dr. Oxa, aby Francja mogła dotrzymać kroku pod tym względem innym państwom, trzebaby, ażeby rocznie rodziło się we Francji o 468,000 dzieci więcej.

* * *

Ilość gwiazd. Z dawien dawna od niepamiętnych czasów rozpowszechnione jest przekonanie, że ilość gwiazd jest nieskończenie wielka. Jeżeli jednak ograniczymy się tylko do gwiazd widzialnych gołym okiem, to ilość ta jest względnie niewielka, bo i najbystrzejsze oko, przy zupełnie pogodnym niebie nie dojrzy więcej niż 6.000 gwiazd. Najnowszy opis gwiazd, widzialnych gołym okiem, ułożony przez Ambronna wylicza 7.796 gwiazd północnej i południowej półkuli. Najstarszy spis Eudoxusa, ucznia Platona (około 350 roku przed Chr.), wylicza ich 1.025. Ilość gwiazd widzialnych przez teleskop obliczył w r. 1800 Lalande na 43.390; dokładniejszy o wiele Bessel-Werse, w r. 1825 na 31.685. Tymczasem już w r. 1885 ukazał się katalog obserwatorjum astronomicznego w Bonn, wymieniający 324.188 gwiazd północnej i 123.659 gwiazd południowej półkuli. Gwiazdy stosownie do blasku swego, siły światła podzielone zostały na klasy, od pierwszej aż po piętnastą, szesnastą itd. Przez niezbyt silną perspektywę widać gwiazdy siódmej klasy, a wogóle gwiazd około 70.000. Z gwiazdami 9 klasy włącznie obliczono ogólną ilość na blisko 250.000; z gwiazdami dziesiątej klasy włącznie na 700.000; z gwiazdami czternastej klasy ilość ogólna wznosi się naokoło 50 miljonów, a dalej ustaje już możność ujęcia ogólnej ilości w cyfry. Gore naliczył ich 64.184.757; Littrow włącznie z gwiazdami szesnastej klasy w przybliżeniu na 1.650 miljonów. Ale tu kończy się możność dalszych obliczeń, oko i umysł ludzki odmawia służby i staje wobec jednej z nieskończonych tajemnic przyrody, które może podziwiać, ale pojąć ich nie jest w stanie.

* * *

Leczenie skąpstwa. Przed kilku dniami zmarł w Paryżu z głodu adwokat, nazwiskiem Dadé. W biurku jego znaleziono po śmierci 10,000 franków gotówki, należącej do zmarłego. Wypadek ten nasunął jednemu z młodych lekarzy myśl, że skąpstwo należy do rodzaju idée fixe, że jest chorobą umysłową, którą można i należy leczyć. Objawami tej choroby jest nietylko skąpstwo, ale także wiele symptomów ubocznych, objawiających się przy wielu chorobach umysłu. Należą tu: osłabienie woli, stała trwoga, bezsenność, melancholja i t. d. Skąpstwo — wywodzi dalej na podstawie obserwacji dr. Negresco — bywa dziedzicznem lub zaraźliwem. Nierzadkie bywają wypadki, że n. p. rozrzutna żona pod wpływem skąpego męża staje się również skąpą, lub odwrotnie mąż staje się skąpcem pod wpływem żony i t. d. Jeżeli więc skąpstwo jest chorobą — konkluduje dr. Negresco — to można je leczyć. Za jedyną metodę leczniczą w tym wypadku uważa suggestję. Lekarz — zdaniem jego — powinien zdobyć sobie zaufanie chorego, wpływać stopniowo na zmianę jego sposobu życia, a zwłaszcza dążyć do wzmocnienia woli. Skoro to ostatnie nastąpi, chory jest uzdrowiony. Jedna rzecz drobna staje na przeszkodzie: skąpiec nie uważa się sam za chorego i dla tego, oraz ze skąpstwa, nigdy lekarza do siebie nie wezwie. Skąpstwo przeto metodą dr. Negresco leczyćby można, ale wtedy dopiero, gdyby — co przypuścić trudno — sami skąpcy chcieli być leczonymi.

Z literatury i sztuki

Nr. 7 i 8. (na lipiec i sierpień) **„Przewodnika zdrowia"** (Czarnowski Berlin Weissenburgerstr. 27) wyszedł i zawiera:

Treść: Sposoby i przepisy lecznictwa przyrodniczego. Wycierania i zmywania; kąpiele; łaźnie parowe. (Z licznymi rysunkami). — Suggestje hypnotyczne w lecznictwie. — Hypnotyzm zastosowany u zwierząt. (Z 3 rycinami). — Katar błony śluzowej nosa — ograszka latowa; przyczyna i naturalne leczenie tych cierpień. (Z 5 rysunkami). — Tłuszcz roślinny jako środek spożywczy i wynikający stąd przewrot w kuchni ludowej w Europie. — Nieco o kołtunie i tegoż leczeniu. — Przestrogi i rady. — Rozmaitości. — Kącik grafologiczny. — Piśmiennictwo.

Powodzenie w życiu jak osiągnąć? Praktyczne wskazówki dla każdego zebrał i ułożył Prof. Broń. Nakładem wydawnictwa „Hygiena" (Czarnowski, Berlin N. Weissenburgerstr. 27. — Cena z przesyłką 1,10 M. = 1,30 kor. = 55 kop.

* * *

„Nauka dla wszystkich". Treść nr. 6: Leon Rygier: Cyprjan Norwid. — Aniela Szycówna: Wskazówki dla samouków. — T. Baniewicz: Tramwaje elektryczne. — A. St.: Z dziejów narodu. — Z życia maszynisty pociągu pośpiesznego. — Rozmaitości. — Nr. 7: Wł. M. Kozłowski: Dwojaka nauka o państwie. — Aniela Szycówna: Wskazówki dla samouków. — Władysław Gacki: Rady i wskazówki dla spędzających lato w mieście. — A. Szczęsny: Budowa okrętów. — W. J. Rygier: Zdolności arytmetyczne zwierząt. — Rozmaitości.

Adres: Księgarnia M. Arcta w Warszawie. Rocznie 75 kopiejek.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 32. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 8 sierpnia 1908.

MARJA KONOPNICKA.

CHŁOPSKIE SERCE.

W tłumie, na mrozie, stanęła pod ścianą,
Okryta starą, mężowską sukmaną.

* * *

Posępna rzecz jest ta siwa siermięga
Przesiąkła potem i łzami i zdarta
Na zgiętym w pracy i niedoli grzbiecie
Nędzarza, który nigdy z ciemności nie sięga
Do światła, żadną ożywczą nadzieją;
I smętna rzecz jest i zadumy warta,
I sama w sobie taka żałośliwa,
Jakby nie łachman, ale rana żywa
Na narodowem ciele się krwawiąca.
Kiedyś, gdy wichry i burze przewieją
I rozbłękitni się w sobie wiek słońca,
O tej siermiędze mówić będą w świecie,
I zwać jej dzieje ludu epopeją...
I może wtedy nawet my, my sami,
Wśród narodowych skarbów i pamiątek,
Ten nędzny, zgrzebny, poszarpany szczątek
Chować będziemy — i oblewać łzami.

* * *

Pół dnia już stała tak nieporuszona,
Bezwładnie oba zwiesiwszy ramiona,
Patrząc upornie na gmach, kędy w sali
Rekrutów strzygli i mundurowali.
W ręku ubogi węzełek trzymała —
Chudoba syna mizerna i licha;
Twarz jej wygasła, pożółkła, zmartwiała,
Jak pustka była posępna i cicha;
I tylko usta zacięte, drgające,
Jakiś krzyk duszy zdradzały ogromny,
Co mógł wybuchnąć dziki, nieprzytomny,
I bić w niebiosa i wstrząsnąć to słońce,
Co bezpromienną i zimną swą głowę
Ukryło kędyś za chmury śniegowe.

* * *

Sąsiad przemówił do niej: „pochwalony!“
Odrzekła na to jękiem jakimś głuchym;
Pierś jej w śmiertelnej podniosła się męce,
I znowu wzrokiem błyszczącym i suchym
Patrzyła na drzwi zamknięte przed siebie.

* * *

Z trzaskiem otwarto drzwi sali; w natłoku
On jeden tylko był widny jej oku...
Jej Jasiek... dziwne spostrzega odmiany:
Jakieś oblaski tragiczne, surowe,
Padły już na tę obnażoną głowę,
Którą dziś jeszcze ocieniał włos lniany.
Klasnęła w dłonie i w oczy mu patrzy.
Podszedł w milczeniu; był gibszy i bladszy,
A łzy, co kędyś pod sercem zaległy,
Wielkie i słone po licach mu zbiegły.
— „O, matko!“ — „Nie płacz! pan Jezus przemieni...
„Tyś głodny; weź to, posil się na drogę...“
Chleb mu podała; wyjął nóż z kieszeni,
Odkroił kęsek i szepnął: „nie mogę!
Nie mogę matko sam!“ — Jak chusta zbladła,
Lecz rozłamała chleb — i z synem jadła.

* * *

A wtem wydano ostatnie rozkazy —
Marsz zabrzmiał; jakieś zmięszane obrazy
Łąk, pól, i lasów, i chaty, i wioski
Powiały razem z dźwiękami tej nuty...
Hej!... nie zobaczyć już tego w żołnierce!... —
Powstał zgiełk, lament... Jaśka tylko matka
Bez łzy, bez skargi trwała do ostatka,
Zwróciwszy oczy smutne, pełne troski
Na drogę, którą iść miały rekruty...
Nagle, jak gdyby zawiodła ją siła,
Syna rękoma za piersi chwyciła...
— „Dziecko!...“ — krzyknęła raz tylko i zbladła,
I zatoczyła się — i martwa padła.
Mówiono, że jej pękło chłopskie serce.

Edmund de Amicis.

Wojna.

Rzecz dzieje się w hotelu górskim. Właśnie nadeszły świeże gazety z wiadomościami z pola bitwy. Jeżeli przez kilka dni brak wiadomości o jakiejś nowej rzezi, wszyscy odrzucają znudzeni gazetę i mówią z szyderstwem: „Co oni do djabła tam robią?“

Jeżeli zaś przyjdzie sprawozdanie o świeżej bitwie, połykają je, ale w żadnej z tych ciekawych twarzy nie mogłem zauważyć wyrazu smutku, strachu albo współczucia. Chłopcy sprzeczają się o wyższość tej lub tamtej armji, nie w stosunku do słuszności sprawy, lecz tak samo jak przy zakładach podczas wyścigów — dla utrzymania większego zainteresowania. „2000 moskali padło!“ krzyczą „żółci“ na złość swym przeciwnikom. Ci doznali potem wspaniałego zadośćuczynienia, gdy przyszła fałszywa wiadomość, że podczas jednego z szturmów na Port Artura 20,000 japończyków wyleciało w powietrze. „20,000 japończyków zginęło!“ — słyszałem z mego pokoju radosny głos jednego chłopaka.

Podobny okrzyk radości słyszałem tegoż dnia od dojrzałych i poważnych współbiesiadników przy stole hotelowym, a najwięcej z nich z towarzyszeniem przyjemnego uśmiechu, jeżeli jakaś scena szczególnie imponuje.

* * *

A są to przecież dobrze wychowani ludzie, o dobrych sercach. Pewnego dnia, gdy właśnie czytali opis walki, ukłuła się jedna z pań lekko nożycami; wszyscy porzucili gazety i pośpieszyli na ratunek... Wielu z nich jest z przekonania religijnymi; nigdy jednak nie zdołałem zauważyć, żeby o wojnie mówili z innemi uczuciami aniżeli ludzie mniej wierzący...

Jak wytłumaczyć tę zadziwiającą obojętność cywilizowanych i dobrych ludzi wobec strasznego faktu, że prawie codziennie tysiące ludzi traci życie?

Czy może leży to w wielkiem oddaleniu od placu boju? Cóż to musiałaby dopiero być za delikatność uczucia, objawiająca się tylko w obrębie ściśle ograniczonej przestrzeni! Czy jest to niedostateczna wyobraźnia, która przedstawia im wstrząsajace szczegóły wypadków, tylko w stanie przyćmionym? A jednak — gdzie uczucie przemawia, budzi się też uśpiona wyobraźnia i widzi tysiączne rzeczy. A może działa tu wiara, że wojny są przez opatrzność przeznaczone z góry, a może nauka historji, w której tyle jest o wojnach mowa? Na czemże więc polega nasza zachwalana lepsza obyczajność, jeżeli przy przedstawieniu mordu masowego przynajmniej nasze serce nie oburza się, jeżeli nasza kultura i postęp cywilizacji nie zdziałają tyle przynajmeiej, żebyśmy nie stali moralnie na tym samym stopniu co ludy w czasach, które my nazywamy barbarzyńskimi?

W każdym razie — gdybyśmy mogli zgodzić się na obojętność, jakże pojąć przyjemność, którą faktycznie odczuwamy, czytając wiadomości wojenne? Jak można to sobie inaczej wytłómaczyć, jak nie przyznaniem zawstydzającem nasze obyczaje i naszą naturę, że w nas tkwi jeszcze część odziedziczonego barbarzyństwa, na mocy którego widok krwi odurza nas więcej aniżeli każde wychowaniem i cnotliwością uzyskane zadośćuczynienie.

* * *

Litość! Zbadajmy trochę lepiej siebie samych. Na wieść o wybuchu nowej wojny odczuwamy smutek — znowu wojna! Mordowanie się przybiera większe rozmiary. Przy powtarzaniu się ich zmniejsza się i gaśnie nasze współczucie. Oświadczając się za tą stroną, która według naszego zdania ma słuszność, zbliżamy się pomału, niepostrzeżenie i niechcąco do tego stanu, że cieszymy się z klęsk strony przeciwnej i zapominamy o stratach w ludziach po obydwuch stronach walczących. Gdy źródło litości raz wyschnie, wysychają także i inne. Małe wypadki w życiu codziennem albo wypadki pociągające za sobą więcej ofiar, wydają nam się małoznacznymi w porównaniu z ogromnemi stratami w wojnie.

Także morderstwa w własnym kraju robią na nas mniejsze wrażenie niż opisy wojny, gdyż opisy przerażających krwawych scen z pobojowiska, obrazy śmierci zmniejszyły wartość życia ludzkiego. A gdybyśmy raz dali się wzruszyć pojedyńczym wypadkiem, natychmiast mamy uczucia, że stajemy się niesprawiedliwemi. Jeżeli dla tej ofiary odczuwamy litość, czemu nie dla innych niezliczonych. To morderstwo przeraża nas, dlaczego nie mord masowy tysięcy? Żałoba jednej rodziny ściska ci serce, dlaczego nie rozpacz setek tysięcy rodzin?

* * *

Inny obraz. Gazety przynoszą wiadomość o zatonęciu okrętu wojennego. Przeczytałeś trzy wiersze w pięciu sekundach, przez 5 minut o tem mówiłeś, a po godzinie zapomniałeś! Ileż to boleści, ile nędzy w tych kilku słowach; żony padające przy otrzymaniu tej wiadomości jak piorunem rażone, dzieci pozostałe bez chleba, starcy tracący zmysły, ojcowie i matki, przed których oczyma przez lata całe unosi się obraz syna walczącego ze śmiercią, jak go fale pochłaniają, rekiny pożerają, podczas gdy oni modlili się o jego szczęśliwy powrót.

I znowu inny obraz. Dwaj pokojowi panowie znaczą na mapie miejsce, skąd wymaszerował oddział wojska oraz miasto, gdzie on po gwałtownym marszu przybył. Tam zatykają szpilkę z chorągiewką.

Pogadanka przyrodnicza.

Mowa małp.

Istnieje przeświadczenie, jakoby cechą, wybitnie wyróżniającą ludzi od zwierząt, była mowa. Pogląd ten, do dziś dnia tu i owdzie napotykany w książkach, jest jednym z licznych zakorzenionych przesądów. Mowa nie jest wyłącznym przywilejem człowieka: korzystają z niego i zwierzęta, które podobnież, jak on, posługują się głosem w celu porozumienia się. Zwróćmy uwagę na dźwięki, wydawane w różnych okolicznościach przez zwierzęta domowe, przysłuchajmy się intonacji głosu szczekającego psa lub gdakającej kury, a przekonamy się, że głos ich obejmuje szeroką skalę pojęć, szerszą, niż napozór się wydaje. To samo da się powiedzieć o większości zwierząt dzikich. Dźwięki, wydawane przez ptaki, zbliżone są pod wieloma względami do mowy ludzkiej. Podobnie, jak mowa ludzi, śpiew ptaków również nie jest instynktownym, wrodzonym — jak to wielu przypuszcza — lecz stanowi właściwość nabytą. Młode samce ćwiczą się w śpiewie zazwyczaj przez 10—11 miesięcy. Pierwsze próby śpiewania, nieudolne i nieśmiałe, przypominają gaworzenie niemowląt; dopiero równocześnie z dojrzewaniem organizmu, zdobywają pisklęta pod kierownictwem starszych umiejętność śpiewania. Głos ptaków dorosłych zdolnym jest do wyrażania różnorodnych uczuć, jak o tem nie trudno się upewnić drogą powierzchownej nawet obserwacji. Inaczej kraczą wrony podczas zwykłego lotu, inaczej wołają ścigane przez jastrzębia, inaczej wreszcie brzmią ich głosy, gdy, obsiadując o zmierzchu drzewa, kłócą się zawzięcie o dogodniejsze miejsca.

Najwyżej stojące pośród kręgowczów małpy rozporządzają zarazem najdoskonalszą mową, najbardziej zbliżoną do ludzkiej. Coprawda jest to język o całe niebo niższy od naszego, wszakże jednak i mieszkańcy Afryki środkowej posiadają mowę wysoce odmienną od europejczyków. Język ludów dzikich obejmuje zaledwie parę setek wyrazów, gdy słownik człowieka wykształconego liczy parę setek tysięcy. Niemniej wydatne są różnice jakościowe. Wyrazy ludów pierwotnych składają się przeważnie z samogłosek, spółgłoski podwójne należą do rzadkości, potrójne zaś są im prawie nieznane. Wreszcie u dzikich pierwszorzędna rola przypada giestom i to tak dalece, iż mowa sama przez się, nie poparta giestykulacją, często staje się całkiem niezrozumiałą. Wszystko to ogromnie zbliża ich mowę do głosów zwierzęcych.

Niezmiernie zajmujące spostrzeżenia nad mową małp poczynione zostały przez Garnera, który w ciągu lat wytrwale badał ich język, utrwalając poszczególne dźwięki za pomocą fonografu i porównywując je z sobą. Początkowo otrzymywał on wrażenie, że mowa małp jest nad wyraz uboga i nie posiada wcale specjalnych wyrazów. Stopniowe jednak osłuchanie się z odcieniami dźwiękowymi pozwoliło mu na wykrycie zasadniczej właściwości ich języka, na tem polegającej, że te same wyrazy, stosownie do wymawiania, zmieniają swe znaczenie. Takim jest np. wyraz, służący do oznaczenia pojęcia „jedzenie". Garner doszedł do konkluzji, że pożywienie jest punktem osiowym, dokoła którego grupuje się całe życie małp i że wyraz ten jest w mowie ich najważniejszy. Zupełnie podobnego dźwięku używają małpy jako „pozdrowienie", lub jako „wyraz zgody". Ten sam wreszcie wyraz, wymówiony odmiennym nieco tonem, znaczy tyle, co „daj". Garner sam z powodzeniem używał ostniego wyrazu, chąc otrzymać od małpy jakiś przedmiot, znajdujący się w klatce. Napoje wszelkie, czy to woda, czy mleko, posiadają jeden wspólny wyraz. Powszechnie używane są przez małpy wyrazy, oznaczające „alarm" i wydawane w chwili grożącego niebezpieczeństwa. Odkrył wreszcie Garner u małp wyraz „miłość", w znaczeniu przyjaźni. W jakim stopniu język ten zbliżony jest do artykułowanej mowy ludzkiej, świadczą następujące przykłady. Małpa kapucynka sygnalizuje zbliżanie się wroga ostrym okrzykiem: „ec-g-k". Na oznaczenie osoby, której obawiać się należy, używa ona wyrazu: „c-h-i". Rzecz prosta, iż każdy gatunek małp posiada swój odrębny język. Jedna odmiana makako np. oznacza pożywienie dźwiękiem: „ngu-u-w" — inna zaś pokrewna wyrazem: „whu-uh-uh".

Podobnie do ludów dzikich, małpy odznaczają się wysoce rozwiniętą mimiką. Co ciekawsza, zasadnicze jej pier-

wiastki wspólne są z mimiką ludzką. Nasze poruszanie głową — jako znak potakujący i jako przeczenie — posiada to samo znaczenie u małp; śmiech również nie jest im obcy. Różni bacze stwierdzają zgodnie, że małpy rozumiały naogół ruchy ich twarzy i giesty, oni zaś z kolei odgadywali mimikę małp.

Po gruntownem zaznajomieniu się z językiem małp, Garner zabawiał się często ze znajomemi małpami, jak z dziećmi, uczęszczał do ogrodów zoologicznych i zawierał tam nowe znajomości. Zwłaszcza kapucynki, których mowę i obyczaje poznał najlepiej, z łatwością zaprzyjaźniały się z zoologiem, przywiązywały się doń i przy zbliżaniu się zdaleka objawiały huczną radość. Nieraz wchodził Garner do klatki i pozwalał im bawić się swojemi palcami, sadzał je sobie na kolanach i ciekawie słuchał ich wynurzeń, gdyż, wedle świadectwa badacza, mowa kapucynek nie ogranicza się kilkoma najprostszymi wyrazami, lecz jest do pewnego stopnia opowiadaniem. Nadto wyraża Garner przekonanie, że mowa ta przedstawia język wspólny całemu gatunkowi. Sąd powyższy opiera on na doświadczeniu ze świeżo przybyłym do jednego z ogrodów amerykańskich transportem małp dzikich, z któremi od pierwszego spotkania mógł się porozumiewać przy pomocy wyuczonych wyrazów z równą łatwością, jak ze swemi starymi przyjaciółmi.

„Naprzód".

Rozmaitości

Turcja współczesna. Państwo otomańskie ma 398280 mil kwadratowych powierzchni z 24 miljonami ludności; państwa lenne, jak: Bulgarja Wschodnia Rumelja, Samos i Egipt, zajmują 133500 mil kwadr. z ludnością 13,5 mil; wreszcie obszary, będące pod obcym zarządem, Bośnia, Hercegowina, Kreta i Cypr — zajmują 9800 mil kwadratowych z 2 miljonami mieszkańców. Ogółem więc teoretycznie władza sułtana rozciąga się na przeszło pół miljona mil kwadratowych, zaludnione 40 miljonami ludzi.

Powierzchnia więc, zajmowana przez Turcję, jest prawie 7 razy większa od monarchji austrjacko-węgerskiej, ludność jednak prawie o 5 miljonów słabsza.

Pod względem zaludnienia różnice są bardzo znaczne; najgęstsza ludność jest w okręgu libańskim w Syrji prawie 500 na milę kwadr., najrzadsza w wilajecie Tripolis zaledwo 8 na milę kwadr.

Pod względem administracyjnym poszczególne kraje tureckie podzielone są na wilajety, na czele których stoją gubernatorowie (wali), wilajety dzielą się na sandżaki z „mutessarofami" na czele, sandżaki rozpadają się na „kazasy", któremi władają „hajmakani" i wreszcie najniższa administacyjna jednostka, gmina po turecku „nahiyé", zarządzana jest przez wójta „mudira".

Turcja europejska posiada 6 wilajetów: Adrianopol, Saloniki, Kosowo, Janina, Skutari i Monastyr, oraz niezależny sandżak Czataidza.

Prowincje Turcji azjatyckiej: Azja Mniejsza, Armenja i Kurdystan, Syrja, Mezopotamia, Arabia i Trypolitania (28 wilajetów).

Finanse i komunikacje: Jeden z ostatnich budżetów tureckich wykazuje 18,5 miljona funtów tureckich w dochodach (funt: 18 marek i 40 fenygów), oprócz tego administracja długu państwowego miała 4 miljony funt. dochodu czystego głównie z ceł, któremi zagwarantowane jest oprocentowanie pożyczek państwowych. Długi państwa w roku 1905 wynosiły ogółem 102 miljony funtów. Największym wydatkiem budżetowym jest oprocentowanie długów, następnie zaś wydatki na ministerjum wojny, wynoszące 5 miljonów funtów, a więc prawie $^1/_3$ budżetu; wszystkie departamenty cywilne razem wzięte kosztują około 4 miljonów funtów.

Kolei w ruchu jest 5512 klm., z czego 1994 w Europie, 2372 w Azji Mniejszej i 1146 w Syrji. Urzędów pocztowych jest 1407, urzędów telegraficznych 982, długość linji telegraficznych wynosi ogółem 42629 kilometrów.

Armja i marynarka. Armja lądowa składa się z wojsk linjowych „nizam", armji terytorjalnej „rédif" i rezerwy wojsk terytorjalnych. Na stopie wojennej armja liczy 1450000 ludzi i może być wzmocniona oddziałami nieregularnymi, jak ochotnikami albańskimi, wojskiem z Lizbanu, kawalerją kurdzką itd. do siły 1700000 ludzi. Podzielona jest na 7 korpusów. Uzbrojenie piechoty stanowią karabiny magazynowe systemu Mausera.

Marynarka wojenna liczyła w r. 1904 40 statków z 274 działami, w tem 2 pancerniki i 6 krążowników; w budowie było wtedy 19 statków z 218 działami, w tem 6 krążowników, reszta mniejsze jednostki.

* * *

Rozwój przedsiębiorczości w Japonji. Od ostatniej wojny rosyjsko-japońskiej przemysł rozwija się w Japonji w sposób nadzwyczajny. Od czerwca 1905 r. aż do grudnia 1906 r. powstały nowe przedsiębiorstwa z kapitałam, wynoszącym przeszło trzy miljardy. Wywóz, który wynosił w 1905 r. tylko 865 mil., wzrósł do 1906 r. do 1,125 miljonów, przywóz natomiast, który w 1905 r. wynosił 1,312 mil., spadł do 1906 r. na 187 miljonów. Przywóz był zawsze w Japonji wyższy od wywozu i aż do 1906 r. stosunek ten wpływał bardzo niekorzystnie na bilans japoński. Dalszym dowodem ogromnego rozwoju przemysłu w Japonji są cyfry statystyczne, tyczące się produkcji miedzi i węgla. W 1905 r. wykopano 25,797 ton żelaza, 119,463 ton miedzi, 4,810,885 ton węgla; w 1906 r. — 36,143 żelaza, 200,768 miedzi i 10,771,064 węgla. Równocześnie z rozwojem przemysłu bilans państwowy wzrósł olbrzymio od 327 mil., w 1903/4 do 1,375 mil. w 1906/7 r., i doszedł za rok 1907/8 do 1,625 mil. Wydatki na wojsko i marynarkę wzrosły z 225 do 525 mil. Deficyt przewyższa w tym roku 356 mil., a dług publiczny wynosił 5,412 mil., gdy przed wojną wynosił zaledwie 1,443 mil. To jest odwrotną stroną medalu. Ludność japońska jest obciążona ogromnym ciężarem podatków i długów. Podatki wzrosły o 431 mil., cło o 10 od stu, ceny od wszystkich towarów o 10 od stu, gdy natomiast płaca wzrosła tylko o 12 od stu.

* * *

Nowy wynalazek w górnictwie. Inżynier Otto Suess, syn sławnego gieologa i prezesa wiedeńskiej akademji umiejętności, skontruował aparat, umożliwiający górnikom przebywanie przez kilka godzin w napełnionych trującymi gazami szybach. Próby odbyte z tym nowym aparatem, nazwanym przez wynalazcę aerolitem, odbyły się w kopalniach w Morawskiej Ostrawie i uprawniają do nadziei, że wynalazek ten odda nieocenione usługi w górnictwie. Umożliwia on bowiem zaopatrzonemu nim górnikowi oddechanie przez kilka godzin w podziemiach i lepszy jest, niż wszystkie inne do tej pory znane przyrządy do oddychania. Aparat ten składa się z rezerwoaru w kształcie tornistra, napełnionego płynnem powietrzem. Górnik spuszczający się do niebezpiecznych kondygnacji, weźmie taki tornister na plecy, dwa zaś węże gumowe prowadzić będą z tego rezerwoaru do maski oddechowej na ustach górnika. Trzy do czterech litrów płynnego powietrza wystarczą do oddechania przez dwie godziny. Płynne powietrze w rezerwoarze ulatnia się, przez owe rurki gutaperkowe dostaje się do maski i wdychiwane jest przez górnika. Na tornistrze przytwierdzony jest alarmowy sygnał, który zaczyna dzwonić po dwóch godzinach, gdy zapas płynnego powietrza ma się ku końcowi. Usłyszawszy ten sygnał, powinien górnik czemprędzej wracać i starać się dostać na powierzchnię ziemi. Ponieważ przedsięwzięte próby wydały świetne rezultaty, przeto zarząd kopalń witkowickich urządził już osobne laboratorjum do wytwarzania płynnego powietrza i sporządzania tych aparatów.

* * *

Ofiary suchot u biednych i bogatych. Że suchoty najwięcej ofiar zabierają z warstw ludności uboższej, co też przyniosło im nazwę „choroby proletarjatu", ogólnie znaną jest rzeczą. Mieszkania biedniejszych w ciasnych, światła i świeżego powietrza pozbawionych izbach, niedostateczność w odżywianiu się, oraz praca we warunkach nadzwyczaj zdrowiu szkodliwych, — w kurzu i wilgoci, wśród ogromnej gorączki lub przy dokuczliwym zimnie, niemożebność dostatecznej ochrony i pielęgnacji osób chorobą tą dotkniętych, oraz wiele innych jeszcze zaniedbań hygjenicznych przyczyniają się w wielkiej mierze do rozszerzania się tej strasznej

epidemji. Wszystko to przeszkadza też w uzdrowieniu zakażonych nią i powiększa niebezpieczeństwo przeniesienia się jej na zdrowych członków w rodzinie. Wyraźny obraz powiększającej się liczby wypadkow suchot w stosunku do ubóstwa, przedstawiają nam następujące liczby. W Hamburgu przypadało przeciętnie w latach 1896—1900 na 10.000 żyjących wypadków śmierci z powodu suchot:

w rodzinach mających	900— 1.200	mk.	dochodu	65,7
„ „ „	1.200— 2.000	„	„	55,9
„ „ „	2.000— 3.500	„	„	36,8
„ „ „	3.500— 5.000	„	„	22,8
„ „ „	5.000—10.000	„	„	18,3
„ „ „	10.000—25.000	„	„	17,2
„ „ „	25.000—50.000	„	„	22,1

Z powyższego zestawienia przekonujemy się, że śmiertelność z powodu suchot w rodzinach biednych jest o trzy razy tak wielką, jak w rodzinach bogatych. A przytem zaznaczyć musimy, że nie wymieniono tu najbiedniejszych, których dochód roczny wynosi mniej jak 900 marek a pomiędzy którymi suchoty grasują z pewnością jeszcze w okropniejszy sposób. Do podobnych wyników doszedł także statystyk Bertillon, który śmiertelność z powodu suchot wepług okręgów obliczał. Według tychże obliczań wynosiła śmiertelność wskutek suchot na 10.000 żyjących:

w okręgu	Berlina	Wiednia	Paryża
najbiedniejszych	27,9	64,9	51,2
biednych	30,5	55,8	52,2
zamożnych	31,8	42,2	41,5
bogatych	21,4	32,1	26,6
najbogatszych	15,8	14,8	15,3

Zestawienie takie jest niekoniecznie ścisłe i nie wiele na nim polegać można, bo w okręgach, gdzie mieszkają biedni, mieszkają także i zamożniejsi i bogaci, i przeciwnie w okręgach ludzi bogatych także i biedni. Głównym warunkiem wyzdrowienia chorych na suchoty jest zdrowe i silne pożywienie, szczególnie mięso. To też te warstwy i ci politycy, którzy przyczyniają się do podrożenia mięsa, owego najpożyteczniejszego środka odżywiania się, utrudniają walkę z okropną zarazą suchot i tem więcej spowodowują, że większa część ludności biedniejszej od zarazy tej zbyt wcześnie schodzi do grobu.

* * *

Piorun z jasnego nieba. Z Amstetten w Austrji Niższej donoszą do pism wiedeńskich, że w wtorek około godz. 3 popołudniu, gdy na polu pewien parobek w okolicy orał pole, spadł piorun z nieba, które nie było zachmurzone, zabił parobka na miejscu, konie poraził, a lemiesz stopił na bezkształtną masę. Uderzenie piorunu słyszano w całej okolicy.

* * *

Połów ryb na Atlantyku. Dawniejszy typ rybaka, żyjącego wyłącznie z połowu, wypływającego na pełne morze, wydrzeć potężnemu żywiołowi jego własność, narażającego swe życie niemal codziennie dlatego, ażeby za cenę skromnej nieraz zdobyczy wyżywić rodzinę, powoli wymiera, aż przyjdzie chwila, gdy zupełnie zaniknie. Przyczyną tego zjawiska nie są bynajmniej jakieś wyjątkowe okoliczności; staje się to powoli, w miarę postępu, który dziś już przeobraził rybołówstwo do tego stopnia, że rybak nadmorski niemal jest już dzisiaj przeżytkiem.

Rybołóstwo przeszło obecnie w ręce kapitalistów i przedsiębiorców, którzy posiadają na swe usługi całe flotyle statków parowych, przeznaczonych do tego celu, a posiadających specjalne urządzenia i specjalnie uzdolnioną załogę. Zwykle są to statki niewielkie, długie około 30 metrów, szerokie na 5—6 metrów, poruszane siłą pary, a zanurzające się bardzo nieznacznie, tak, że mogą wpływać do najmniejszych portów. Szybkość tych statków jest także niewielka gdyż na niej bynajmniej nie zależy, za to posiadają urządzenie różne od innych statków, a właściwe swemu przeznaczeniu.

Połów ryb odbywa się zwykle na pełnem morzu zdala od brzegu, w nocy, albo też wczesnym rankiem. Wprawdzie do połowu ryb służą sieci, jak na zwykłych barkach rybackich, lecz przewyższają te ostatnie rozmiarami i wyglądem. A rozmiary takiej sieci są wręcz olbrzymie i nieraz dosięgają do 98 stóp długości. Każda z tych sieci posiada właściwe obciążenie, które pozwala zanurzyć się jej do pewnej głębokości, zwykle wynoszącej około 400 stóp. Sieci takie są przymocowane do statku drucianymi linami, niezwykle wytrzymałymi. Połów odbywa się w sposób bardzo prosty. Gdy statek znajdzie się już na pełnem morzu w należytem oddaleniu od brzegu, sieć zapuszczają w może i statek zaczyna zwolna posuwać się naprzód, przez co ciągnie za sobą sieć, która, zawdzięczając to ruchowi postępowemu, powoli się wypręża i zagarnie na dużej przestrzeni kilkudziesięciu stóp wszystko, co staje jej na drodze. Sieć ta jest tak zbudowana, że ryby dostawszy się wewnątrz z powrotem wypłynąć nie mogą. Dlatego, ażeby ruch na statku nie przeszkadzał i nie odstraszył ryb, sieć jest doń przymocowana za pomocą długich lin na 1000 stóp.

Po upływie pewnego czasu statek się zatrzymuje i rozpoczyna się naprzód wyciąganie, a następnie wyciąganie na pokład ze zdobyczą.

Pora roku wpływa także na jakość i ilość połowu, oraz na wybór miejsca. W lecie statki rybackie wypływają na pełne morze, podczas zimy natomiast od brzegu zanadto się nie oddalają ze względu na częste burze. We Francji połów w zimie odbywa się zwykle w zatoce Biskajskiej, jako więcej odsłoniętej od wiatrów. Naturalnie warunkiem niezbędnym połowu jest spokojna powierzchnia morza. Gdy morze jest silnie wzburzone, o połowie, rzecz prosta, mowy być nie może, choćby z tego względu, że sieć jest ciągle podrywana, co odstrasza ryby.

Z literatury i sztuki

„Myśl Niepodległa", (Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10) Treść nr. 70 (dekada pierwsza na sierpień): O popularnem traktowaniu przedmiotu. — O teologicznem pochodzeniu Liberum Veto. — Znak życia czy znak śmierci? — Idolatrja kościoła rzymsko-katolickirgo. — Inteligencja kwiatów. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Zapiski. — Książki.

Kącik humorystyczny.

Pewna wygrana.

Jeden z literatów otrzymał w tych dniach od berlińskiej firmy bankowej list polecony, w którym znalazł los hamburskiej loterji miejskiej i następujące pismo:

„Wielmożny Panie! W załączeniu przesyłamy WPanu jeden los hamb. lorji miej. nr. 229, a czynimy to tylko z powodu dziwnego zbiegu okoliczności. Oto doręczono nam ten los w chwili, gdy obecny w naszym kantorze jeden z naszych klientów wymienił Pańskie nazwisko. Uważamy to za dobry znak i żywimy przekonanie, że na ten właśnie los padnie główna wygrana. Z tego powodu przesyłamy go WPanu i prosimy uprzejmie o nadesłanie kwoty 20 marek za los odwrotną pocztą, lub gdyby WPan nie chciał szczęściu podać ręki, o zwrot załączonego losu. Z poważaniem Firma X.

Literat odpowiedział:

„Los, na który ma paść pewna wygrana, zatrzymuję z miłą chęcią. Celem zaoszczędzenia kosztów przesyłki pieniężnej, upraszam z wygranej ściągnąć sobie należytość za los a resztę przesłać łaskawie na mój adres. Gdyby zaś przypadkowo na numer mego losu nie padła żadna wygrana, co wobec pewności Panów zdaje się być wykluczonem, to proszę stratę 20 marek uważać za karę za wiarę w zabobon. Z poważaniem Y.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 33. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 15 sierpnia 1908.

MARJA KONOPNICKA.

ZA SŁUŻBĄ.

Przyszło bose, w brudnej koszulince,
I stanęło spokojnie u progu —
Chłopskie dziecię, dziewczę pięcioletnie,
Złotowłose, w twarzy żółte szpetnie,
Oczka żywe, choć pół płaczu w mince;
Wnet je ujrzał anioł mego domu.
— Co chcesz dziecię moje? —
— Sława bogu? —
— Na wieki wieków!... Co chcesz dziecię moje?... —
— Ta za służbą... o pies! ja się boję!... —
— Pies ten złego nie robi nikomu.
Chodź tu bliżej, bliżej... A czyja ty?... —
— Ta niczyja... —
— A gdzież matka?... —
— Zmarła maty... —
— A twój ojciec?... —
— Ojciec w karczmie siedzi... —
— Cóż ty robisz? —
— Żywią mnie sąsiedzi.
Czasem dadzą, a czasem nie dadzą;
W zimie często do pierza posadzą,
Teraz nie... pan bóg mnie hoduje
Jagodami... ot, człowiek bieduje... —
— Jaki człowiek?... —
— Ta ja, pani miła...
Źle na wierzchu ziemi być sierotą;
Ciężkie życie... lepiej gdzie mogiła,
Tam gdzie matka... —
— O, moje ty złoto!
Takie małe!... tak mówi rozumnie..
To ty, dziecię, ty chcesz służyć u mnie?...
Cóż ty umiesz?... —
— Ta chatę zamiatać,
Wody przynieść... —
— Figle umiesz płatać?
(Ono myśli długo) — Także umiem,
A i gęsi ludzkie paść rozumiem... —
— Czy ty głodna?... —
— O, o! bardzo głodna...

* * *

O, ty ziemio polska! ty zawodna!
O, ty ziemio polska! ty bogata,
Że wyżywić mogłabyś pół świata,
A dla własnych dzieci nie masz chleba!..
Bujne twoje łąki, żyzne niwy,
Zawsze pełne rosy twoje nieba,
A podobnaś do popiołów urny,
I twój naród chodzi smutny, chmurny,
Często grzeszny, ach!... bo nieszczęśliwy.

O, ty ziemio polska! ty zawodna!...
Taka strojna licem i swobodna —
Grzybne twoje lasy, wody hojne,
Kwietne twoje sady, pszczoły rojne,
A dla większej części twego rodu
O! nie owoców już, ani miodu,
Ale nie masz nawet chleba, chleba!...

Oto dziecko, ledwie nie z kołyski,
Smutne patrzy na twoje połyski,
Już dojrzało, już nieszczęściem stare,
Rozwinęła już jemu potrzeba
Myśl i serce i już traci wiarę;
Ledwie mówić umie, już się skarży.
I o grobie niby starzec marzy...
O, ty ziemio!... ty macocho gminu!...

Gdzie me dzieci?... chodź tu, chodź mój synu!...
I ty drobny w pieluszkach — tu chodźcie!...
Usta wasze uśmiechem osłodźcie,
Powitajcie tę siostrzyczkę waszą,
Ta, co zmarła, równie była małą!
Niech was plamy w koszulce nie straszą,
Bo jak wasze, białem jest jej ciało;
No, rączkami twarz jej pogłaskajcie,
Ale naprzód jeść, o!... jeść jej dajcie!!...

Amnestja.

Wierzył w nią głęboko. Całemi godzinami przekonywał się gorącemi słowami, że ona będzie, że być musi, że jest nieuniknioną... Liczył na nią, jak na pewnik, który niby różdżka czarodziejska, otworzy przed nim ciężkie, żelazne wrota więzienne i wyprowadzi go z wiecznego mroku i stęchłej duszności na jasność promienną i przestwór czysty, pełen powietrza i woni. Wieczorami, gdy ucichał zupełnie całodzienny gwar więzienia, gdy ze zgrzytem i hukiem zamykano drzwi cel, by je dopiero następnego dnia otworzyć i, gdyśmy rozleniwieni, zmęczeni, kładli się bezczynnie na swoje tapczany — on jeden tylko przerywał ciężkie, przytłaczające milczenie... A w ostatnie dni jedynym i wyłącznym tematem jego rozmów była — amnestja...

Z niecierpliwością i naprężeniem nerwowem wyczekiwał tej chwili, gdy niespodziewanie otworzą się drzwi celi i zwierzchnicy więzienni wejdą z właściwą im napuszoną godnością i powagą, żeby mu oznajmić, że jest wolnym że oto może wyjść po za złowrogi mur, oddzielający go od ki-

piącego i burzącego się życia, że oto wszystkie marzenia jego, wyśnione w długie, męczące noce, wykołysane w jednostajne, szare dni więzienne, staną się naraz rzeczywistością i jawą...

On jeden z nas wszystkich, a było nas kilkudziesięciu, był pewnym i ufał bezgranicznie, że już jest bliską godzina, gdy z wesołym śpiewem na ustach te całe zastępy więziennych niewolników wyjdą na swobodę, na wolność, na światło... A kiedy z ust naszych usłyszał słowa trzeźwości i niewiary, kiedy z ust naszych biegły gorące potoki, niby rozogniona lawa, pewnych siebie, odważnych i śmiałych twierdzeń, że możemy liczyć tylko na siebie, że tylko wielka siła, potężna i wszelkie zapory druzgocząca, siła miljonowej armji takich, jak i my, gnębionych, bitych i umęczonych zdoła wyważyć przed nami żelazne wrota, a potem na wsze już czasy zniszczyć i z ziemią zrównać te hańbiące pomniki gwałtu i przemocy, że nikt inny, tylko oni w stanie to będą uczynić...

On narazie milczał, potem zaczynał mówić wolno, rzeczowo, dobitnie, wreszcie zapalał się gwałtownie, oczy jego ciskały błyskawice złości, to znów iskry wiary radośnej złorzeczył nam i naszemu zwątpieniu, kpił z naszego niewyrobienia politycznego i braku zmysłu orjentowania się, w tak potężnych nawet przewrotach społecznych, wyrażał nieograniczone zaufanie ku tym, którzy w pięknych swych mowach z trybun rzucili to słowo: amnestja — i kończył tak zwykle:

— A ja wam mówię, że ona będzie, być musi, jest nieuniknioną!...

A naszą odpowiedzią zwykle były uśmiechy ironiczne, niekiedy żart jakiś, rzucony zniechęconym bezbarwnym, nikłym głosem, lecz najczęściej milczenie i obojętne machnięcie ręką...

Za co ten człeczyna siedział — sam tego nie wiedział, tembardziej nie wiedzieliśmy tego my... Przechodził kędyś ulicą, szedł z warsztatu, gdzie był majstrem, osmolony, spocony, zmęczony, wracał do domu, — naraz wszczął się jakiś popłoch, usłyszał strzały, krzyki, ktoś uciekał, ktoś gonił, — w pierwszej chwili przylgnął bezradnie i tchórzliwie do muru, wreszcie pociągnął go za sobą tłum uciekających i też biec zaczął, bezmyślnie, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni i wpadł za innemi do bramy, a stamtąd do sieni. Słyszał, jak po schodach przed nim i za nim dźwięczały szybkie, głośne kroki, jak naraz rozległ się jakiś dziwny łoskot, coś do huku gromu podobnego, coś syknęło mu tuż nad uchem i po gładkich, froterowanych stopniach potoczył się z głuchym łoskotem jakiś ciężar i skłębione, skurczone ciało, krwią ociekłe i drżące, padło u samych jego stóp... Potem go ktoś brutalnie zepchnął ze schodów, ktoś go katował, kopał i przeklinał, ktoś włókł go, ogłupiałego ze strachu, ulicami, jedną, drugą, trzecią... Pokazywano go w cyrkule jakimś żołnierzom, których po raz pierwszy widział, ci potakiwali czemuś, to znów przeczyli, zaprowadzono go przed zaimprowizowane z krzeseł łoże, na którym spoczywał blady, drgający konwulsyjnie człowiek w szarym szynelu, spoglądał na niego zamglonemi, przymkniętemi oczyma; to znów szeptał coś słabym głosem.

I po kilku godzinach, przepędzonych w cyrkule, po kilku godzinach, które dla niego były całym, długim wiekiem mąk i tortur, okrwawionego, z podbitemi oczyma, z głową guzami pokrytą, przyprowadzili go do nas... Pierwsze kilka dni był, jakby nieprzytomny, nie mówił z nikim, nie wychodził z celi, nie chodził na spacer, biegał jeno w strasznym rozdrażnieniu po kaźni, tam i z powrotem, tam i z powrotem... To znów padał na tapczan, ukrywał twarz w dłoniach i niekiedy rozlegało się w celi głuche, bezradne, przyduszone łkanie, przypominające odgłos oddalonego wycia psa, nielitościwie i bez wszelkiej winy zbitego przez swego pana. Potem powoli zaczął się oswajać i uspokajać, powoli zawierał z nami znajomości, wstępował z nami w rozmowy, opowiadał o swym aresztowaniu, przysięgał, że jest niewinnym, że to nie on zabił... I zanudzał nas opowiadaniami o swojej narzeczonej, którą poślubić miał w krótce, o jej piękności, o tym szczęściu, jakie go w małżeństwie tym czeka, o swej tęsknocie bezgranicznej ku niej... I w serce jego zaczęła wstępować wiara w to, że wkrótce uwolnionym być musi, że tylko dziwaczna omyłka i nieporozumienie mogły być powodami aresztowania jego, że gdy się tylko rzecz wyjaśni wnet go wypuszczą. Czas mijał, dzień za dniem, tydzień za tygodniem, zdawało mu się już wtedy, że nic mu nie grozi, że tak, jak tysiące innych, bez winy, bez powodu wszelkiego przesiedzi krótko, dwa, trzy miesiące. Nikt nie przychodził, o nic go nie pytali, jakby zapomnieli o nim zupełnie, lub, jakby nic sobie ze sprawy jego nie robili... Na wszystkie prośby, które co dni kilka pisywał stale do przedstawicieli przeróżnych władz — nie otrzymywał żadnych odpowiedzi.

Tak minęło już przeszło pięć miesięcy. Tryb życia więziennego wciągnął go w swą kolej, przestał czekać z dnia na dzień uwolnienia, jak i my, stracił już rachubę czasu. Aż oto z odrętwienia tego zbudziło go czarodziejskie słowo: amnestja. I znowu począł określać terminy uwolnienia znowu roił i marzył, znowu przez cały dzień biegał z celi do celi, z poszarpaną w strzępy gazetą, powtarzał po stokroć najświeższe wiadomości, deklamował wyjątki z mów z patosem, z uniesieniem, zachwytem, wymyślał nam, dowodził, że nic nie warta cała praca nasza, że wszelkie argumenty nasze — to frazesy tylko, obliczone jedynie na efekt, że ta siła nasza, o której mówimy ciągle, to śmieszna mrzonka głuptasów, że oto tylko ci, na których obecnie zwraca ciekawie wzrok świat cały, że oto ci tylko są w stanie poruszyć i do życia natchnąć tego śpiącego głęboko kolosa. Postawił datę pierwszą — czekał niecierpliwie — zawiodła... Nie zwątpił jednak. Odrazu znalazł cały stos dowodów, argumentów i twierdzeń, że to zupełnie zrozumiałe, że to można było przewidzieć, że trzeba było być ślepcem i idjotą, ażeby nie wiedzieć, że tak być musi, że „ona" ogłoszoną być może dopiero dnia tego a tego. I postawił datę nową — ta miała być nieodzownie datą amnestji, datą święta wolności. I znów wynalazł całe stosy dowodzeń, upewniających, że nieomylnym jest twierdzenie jego. A kiedy nastał przeddzień dnia owego, zdenerwowanie jego doszło już do granic ostatechnych. Było wśród nas dużo takich, którym groziły wielkie kary, na których czekał już niecierpliwie stryczek szubienicy, którzy na swe nogi młodzieńcze na długie, długie lata włożyć mieli kajdan żelazne łańcuchy... I on szedł do nich wszystkich, tłómaczył im i przekonywał, że oto i dla nich życia nowa następuje era, że jeśli całkowicie uwolnieni nie będą — to przynajmniej większą część możliwej ich kary zdejmie ów oczekiwany akt łaski. A gdy ci odpowiadali mu drwiąco i nienawistnie, a gdy ci, zamiast nadziei, wyrzucali przed nim ze swej duszy umęczonej słowa niewiary i nieufności, a gdy ci ciskali mu w twarz ironję złośliwą i gorzką i nazywali go nędznym tchórzem, — on tylko kiwał głową z politowaniem nad ich zaślepieniem i powtarzał uparcie: zobaczymy, zobaczymy...

I znów przychodził do nas niewyczerpany, krzepki i wesoły, radząc nam spakować rzeczy, gdyż mogą uwolnić nas w nocy, nieoczekiwanie i nagle nie zdążymy nawet w zdenerwowaniu i rozdrażnieniu wszystkich rzeczy swych zabrać i znów potokiem nieskończonym wybiegały z ust jego słowa zapewnień i dowodzeń.

A kiedy zamknięto na noc drzwi celi, on nie spiesząc się, powoli, systematycznie, spokojnie złożył wszystkie swe rzeczy, zrobił z nich węzełek, przewiązał, a my rzucaliśmy pod jego adresem żarty i kpiny i śmieliśmy się cicho, żałośnie.

Myśmy też wierzyć pragnęli, że oto policzone są już nasze chwile w tych grobowych murach kaźni, że oto wszyscy opuścim już te znienawidzone przegrody kamienne i wyjdziemy krokiem zwycięskim poza kres tego kraju odtrąconych, myśmy też pragnęli wierzyć — lecz nie mogliśmy... Bo nasze serca przepełniała gorycz doświadczeń, bo rozum nasz zdołał objąć w kolisko krytyczne to wszystko, cośmy przeżyli i przeżywamy, tę całą krwawą historję dni naszych, a myśl nasza z nieubłaganą logiką, na mocy faktów, na podstawie naszych walk i zmagań, bojów i potyczek potrafiła wyciągnąć wniosek niezłomny i o naszych przyszłych losach. Naszego zimnego, zahartowanego wśród doświadczeń rozumu nie mogły olśnić i zapalić wieńce czułych i pięknych słów, rozlegających się hen w oddali. Myśmy tylko czynom wierzyli i one tylko wiarę w nas wzbudzić były w stanie...

Gdy się już zupełnie ściemniło, legliśmy na tapczany i wkrótce zasnęliśmy, on jeden czuwał... Przez czas jakiś chodził po celi wielkiemi, nerwowemi krokami, potem usiadł na ziemi, oparł głowę o brzeg posłania i zdrzemnął się... I naraz zerwał się raptownie, zaczął nas szarpać i budzić...

— Idą! idą! już idą!...

Słuchaliśmy: na korytarzu brzmiały głucho ciężkie kroki kilku ludzi, dźwięczały ostrogi i klucze... Podeszli pod drzwi nasze... Rozległ się przeraźliwy zgrzyt zadrzewiałego zamku, skrzypnęły drzwi i do celi, z latarkami w rękach, weszli żandarmi... Czekaliśmy... Opanowały nas niepewność i naprężenie... Wymienili jego nazwisko... Drgnął... Bez słowa, blady, wzruszony podniósł z ziemi swój tłomoczek, zarzucił go na plecy, tryumfująco spojrzał na nas, nic pożegnał się nawet, rąk nie uścisnął, lecz rzekł tylko przyduszonym głosem: „Czekam na was, tam na dole". I wyszedł.

I znów przeraźliwy zgrzyt zamku i znów skrzypnięcie drzwi i znów głucho brzmiący odgłos oddalających się kroków...

A kiedy wszedł do kancelarji i z ust sekretarza usłyszał, że na mocy jakiegoś bezprawnego prawa zostaje wysłanym hen, kędyś w krainę lodów i śniegu, w krainę wiecznego mrozu, hen, gdzieś daleko, daleko, skąd nawet myśl nie dobiegnie do tych pól żyznych, kłosami wysokiemi szumiących, do tych lasów żywicznych, do tego miasta, siecią kominów fabrycznych okolonego, do niej, do tej, którą kochał i za którą tęsknił bezkreśnie — nie zbladł nawet, ani jeden nerw nie zadrgał w nim kurczowo, tylko poczuł jak mu się coś z pod nóg usuwać poczyna, poczuł, że się w nim coś łamie, druzgocze, zapada... A jednocześnie, niby błyskawica, przez głowę przebiegła mu myśl, która jasnością swoją ognistą rozświetliła w nim dawny mgławy mrok. Jakiś cień ciężki, który mu swą siecią mózg oplątał, a który daremnie miesiące całe rozjaśnić pragnęli towarzysze jego, opadł nagle...

Zbudziła się w nim myśl nowa, śmiała, potężna. I w chwili tej zrodził się w nim człowiek nowy.

Marceli Sachs.

Kartka z dziejów chłopa polskiego.

Rozkwit stanu włościańskiego zapanował w Polsce w wiekach 13 i 14. Panowie, mając rozległe obszary ziemi, leżącej odłogiem, poczęli sprowadzać niemieckich kolonistów do Polski. Napływ tych kolonistów sprawił, że gospodarka rolna się podniosła, włościanie otrzymali rozległe swobody, ugruntowane na tak zwanem prawie niemieckiem, dobrobyt w kraju się wzmagał, a co najważniejsze, stan włościański się usamodzielnił, rządził się po wsiach sam sobą, mając na czele sołtysów. Tak było w Polsce mniej więcej ponad 600—700 laty.

W następnych atoli wiekach stan rzeczy zmienił się na gorsze dla włościan czyli chłopów. Szlachta w tym czasie spotężniała, stała się silną kastą, łaknącą władzy i bogactw. Obok stanu szlacheckiego wyrósł stan mieszczański i chłopski. Dwa te stany swoją zabiegliwą pracą doprowadziły kraj do dobrobytu. Szlachta zapragnęła cały rozkwit dobrobytu dla siebie zagarnąć! Opanowawszy naówczas t. j. w 16 wieku czyli przed 400 laty zupełnie polityczną władzę kraju, szlachta rozpoczęła z całą bezwzględnością gospodarkę klasową i kastową. Wszechwładne panowanie szlachty zwróciło swe ostrze przeciwko mieszczaństwu i chłopstwu, tym dwom stanom, które dotąd posiadały rozległy samorząd i pracą swą doprowadziły kraj do znacznego dobrobytu.

Panowie gnani chęcią zysków, jakie przynosił handel zbożowy, nabywali coraz więcej ziemi, rozszerzali szczupłe dawniej gospodarstwo folwarczne, coraz też więcej potrzebowali sił roboczych do uprawy własnych gruntów, a nie chcąc ich opłacać, nakładali na ludność wiejską ciężary zwane robocizną lub pańszczyzną; znaczyło to, że chłop musiał przez określony przeciąg czasu pracować bezpłatnie na ziemi pana swojego. Uchwały z 1520 i 21 roku stanowiły, że każdy wieśniak odrabiać winien robocizny jeden dzień w tygodniu, zatem 52 dni rocznie. Była to w Polsce jedyna ustawa określająca pańszczyznę. Szlachta, pewna swej władzy, dopuszczała się wielu nadużyć na bezbronnym ludzie, podnosząc samowolnie ilość dni roboczych: w wieku XVIII-tym obowiązek ten doszedł do trzech i więcej jeszcze dni w tygodniu. Chłop musiał darmo pracować dla pana, wyzyskiwano bezlitośnie jego siłę roboczą, nie zostawiając mu czasu do należytego uprawienia swojego gruntu. Chłopi byli obowiązani prócz tego do składania szlachcie czynszów określonych nie ustawą, lecz zwyczajem, co otwierało pole do wielkich nadużyć. Czynsze, oddawane w naturze, łącznie z pańszczyzną, podkopywały dobrobyt włościanina, obciążając nadmiernie jego skromne gospodarstwo. Poddani królewscy składali czynsze na ręce starostów wedle określonych przepisów, które strzegły ich od samowoli i nadużyć, jakich dopuszczali się panowie prywatni, to też los ich był o wiele znośniejszy.

Gospodarka szlachecka nietylko rujnowała ekonomicznie chłopów, lecz dążyła jednocześnie do pozbawienia ich osobistej wolności; przykuła ich do roli, obróciła w poddanych zostających na łasce i niełasce pańskiej. Szlachta, obawiając się, że lud uciskany tłumnie opuszczać będzie ziemię, wydaje w celu zapobieżenia temu szereg ustaw ograniczających wychodźtwo. W 1496 r. postanowiono, że niewięcej jak jeden chłop na rok może opuścić wieś, że synowie włościańscy, którzy dotąd swobodnie rozporządzali swoją osobą, są też przykuci do ziemi z wyjątkiem jednego, o ile ten nie jest jedynakiem, mającym kiedyś zastąpić ojca przy gospodarstwie. W 1532 roku wydano uchwałę, że chłopu nie wolno nigdy ruszać się ze wsi bez zezwolenia pana. Pozbawiono więc lud wolności osobistej, obrócono go w poddanych, przytwierdzonych do ziemi, za której opuszczenie srogiemi grożono karami. Właściciel miał nieulegające przedawnieniu prawo poszukiwania zbiegłego chłopa i zmuszenia go przemocą do powrotu.

Odebrawszy ludowi wolność, podkopawszy jego dobrobyt, szlachta zniszczyła stopniowo jego samorząd, biorąc w swe ręce sądownictwo wiejskie. Należało ono dotąd do sołtysów niezależnych od pana, piastujących swą władzę dziedzicznie; sołtysi sami pochodzili z ludu, bronili go więc od nadużyć szlacheckich, sądzili wedle obowiązującego po wsiach prawa niemieckiego. Właściciele usuwali stopniowo ten ostatni szczątek niezależności chłopów, odbierając im własnych sędziów i obrońców. W 1423 roku wyszło rozporządzenie, że sołtysi, nieużyteczni i oporni, winni sprzedawać swą godność panom. Przez skupywanie sołtysostwa szlachta dostawała w swe ręce sądownictwo nad ludem. Od wyroku panów, tak w sprawach cywilnych jak karnych, chłop nigdzie się nie mógł odwołać. Pan skazywał wedle woli swej na kary najcięższe; tylko poddanym dóbr królewskich wolno było od wyroku starosty apelować do tak zwanych sądów referendarskich. Chłopu nie przysługiwało prawo pozwania pana swojego i w tem tkwiła właśnie cała groza jego położenia: nie mógł on nigdzie krzywd swoich dochodzić, był poddanym nie państwa, lecz prywatnego właściciela ziemi, brakło mu opieki władz publicznych, wydano go na pastwę samowoli szlacheckiej. Pan, w którego osobistym interesie leżało wyzyskanie do możliwych granic pracy włościanina, był jednocześnie sędzią ludu w sprawach, które tyczyły się ich wzajemnych stosunków. W podobnych warunkach o sprawiedliwości nie mogło być mowy, żadne prawo nie broniło chłopa od krzywd i nadużyć, popadł on w twardą niedolę; przeciążony pracą, żył w ciemnocie i niedostatku.

Panowanie szlachty ciężkiem było dla niższych stanów, opierało się na ich krzywdzie i wyzysku; na usprawiedliwienie jej to jedno powiedzieć można, że podobne, a często nawet gorsze stosunki spotykamy w całej Europie spółczesnej. Z małemi wyjątkami wyższe stany uciskały lud, przewagę swą wyzyskując dla czysto samolubnych celów, bez względu na ogólne dobro społeczeństwa. W położeniu mieszczan i chłopów polskich dopiero konstytucja 3-go maja 1791 roku wprowadziła pewne zmiany na lepsze.

Swoją drogą podkreślić należy, że w owym czasie ucisk ten sam a nawet jeszcze sroższy panował w całej Europie. W czasach kiedy Luter począł głosić swą reformację, t. j. około roku 1520, chłopstwo niemieckie podniosło się do buntu, myśląc, że w Lutrze znajdą swego obrońcę, który wystąpi przeciwko ich ciemiężycielom. Tymczasem temu głosicielowi reformy na polu religijnem ani się śniło ujmować za krzywdzonem pospólstwem. Kiedy chłopi, podnieceni jego pismami wystąpili do walki przeciwko panom — nietylko, że nie doznali poparcia ze strony Lutra, lecz na głowy ich posypały się przekleństwa ze strony jego za ich zuchwałość. Bunt chłopów niemieckich stłumiony został we krwi. Lutrowi rozchodziło się o zdobycie dla swoich planów reformacyjnych książąt i królów. Ci widząc w nim tak dzielnego pogromcy chłopów, wnet przeszli wraz ze swoimi kra-

jami do obozu protestantyzmu, bo zrozumieli, że nowy ten kierunek bynajmniej nie zagraża ich panowaniu klasowemu nad ludem, że się daje łatwo pogodzić z ciemiężeniem chłopstwa.

W innych krajach nie było lepiej.

Jeszcze dziś znaleść można wiele zabytków średniowiecza na roli, choć poddaństwo już jest dawno zniesione. Wszyscy pamiętamy jeszcze bunt żywiołowy chłopów w Rumunji, którzy się podnieśli w zeszłym roku przeciwko niesłychanemu wyzyskowi, doprowadzającemu ich do rozpaczy.

Stosunki pod junkrami w Prusach są straszne. „Gazeta Robotnicza“ podaje aż nazbyt często obrazki tej gospodarki junkierskiej. Lud, nie mogąc wytrzymać na roli, ucieka masowo do miast, do przemysłu. Junkrzy, którym poczyna dokuczać brak robotników, mając władzę w swem ręku i rządząc niepodzielnie w sejmie pruskim, tej kuźni reakcyjnej, w iście średnowieczny sposób zapragnęli przykuć robotnika do roli. Zamiast stworzyć znośne warunki na roli, oni chcieli poprostu zakazać robotnikom, aby się nie śmiał ruszyć ze wsi. Ten barbarzyński pomysł, który się wylągł w mózgownicach junkierskich, czyż to nie kawał średniowiecza? Dotąd prawem się nie stał, ale czyż mamy pewność, że nie wróci? Widzimy, że i dziś jeszcze wokół nas panują stosunki średniowieczne. My jako partja wydziedziczonego proletarjatu, prowadzimy z tym wstecznictwem walkę nieubłaganą aż do skutku.

Rozmaitości

Czy ludzie stają się mniejszymi? Czy wszystkie podania greckie o walkach olbrzymów, czy historja o Goliacie i wielkoludach, czy wszystkie te bajki stare legiendy nie zawierają ani ziarnka prawdy?

I dziś jeszcze zjawiają się ludzie o nadzwyczajnym wzroście, na których patrzymy jak na cud, a w których nauka widzi chorobliwe i nienormalne wyjątki. Gdy słyszymy o olbrzymich mamutach i jaskiniowych niedźwiedziach z czasów pierwotnych, wyobraźnia nasza przedstawia sobie, że rasa ludzka wielkością dorównywała zwierzętom. Jednak badania nowszych uczonych dowiodły, że człowiek pierwotny nie przewyższał wzrostem dzisiejszych ludzi. Dawniej wykopaliska skamieniałych kości, o których dziś wiemy, że były to kości zwierząt, brano za ludzkie i dlatego wierzono, że istniała rasa olbrzymów.

W r. 1613 znalazł pewien robotnik we Francji taki szkielet, który miał 25 stóp długości. Ponieważ w pobliżu tego szkieletu znaleziono starożytne medale z wizerunkiem Mariusa konsula i wodza rzymskiego, przypisywano ten olbrzymi szkielet giermańskiemu królowi, który walczył z rzymianami, ponieważ rzymianie wspominali często o olbrzymim wzroście giermanów. W r. 1885 jednak francuska akademja umiejętności wykazała, że był to szkielet mastodonta ogromnego zwierzęcia z czasów pierwotnych. W 18-tym wieku ułożono nawet całą skalę wzrostu ludzkiego zmniejszającego się stale w następujących po sobie pokoleniach. Adam miał mieć 125 stóp, czyli 40 metrów, Abraham 27 stóp, czyli 9 metrów, Herkules 3 metry i tak dalej w dół aż do Aleksandra Wielkiego, który miał 2 metry i Cezara, który miał już tylko 5 stóp, czyli 1·62 mtr.

Wszystkie te bajki o wielkości praojców rozpływają się w nicość wobec najnowszych odkryć antropologicznych. Słynny szkielet pierwotnego człowieka, wykryto w r. 1891/92, tak zwany Pithecanthropus ma tylko 1·65 metra, a zatem tyle, ile przeciętny Europejczyk nowoczesny. Okazuje się więc, że wszyscy mieszkańcy jaskiń, którzy pusługiwali się kamiennymi narzędziami nie byli większymi od nas.

Uczony francuski Bahon stwierdził, że ludność paryska od czwartego do jedenastego stulecia nie zmieniła się wcale co do wzrostu. Między wszystkimi istniejącymi dziś na świecie ludami są jednak znaczne różnice co do wzrostu. Antropologowie dzielą wszystkie rasy pod względem wzrostu na cztery klasy. Pierwsza klasa obejmuje tak zwane „wielkie“ ludy. Do nich należą: Patagończycy (1·78 mtr.), Australczycy (1·76 mtr.), Murzyni z Gwinei (1·72 mtr.), Skandynawczycy (1·71 mtr.), Szkoci (1·71 mtr.), Anglicy (1·70 mtr.) Druga grupa obejmuje ponad średni wzrost. Tu należą: Irlandczycy, Belgijczycy, Niemcy, Rosjanie, Francuzi; w tej grupie wzrost wynosi od 1·69 do 1·65 mtr. Trzecią grupę stanowią ludy średniego wzrostu, od 1·65 do 1·60 mtr.: Włosi, Peruwiańczycy, Chińczycy, Hindusi. Nakoniec grupa czwarta obejmuje ludy małego wzrostu, poniżej 1·60 mtr. W tej grupie znajdują się Malajczycy i Lapończycy.

* * *

Walka szczupaka z łabędziem. Jedna z gazet szwajcarskich podaje ciekawe opowiadanie pewnej osoby, która była naocznym świadkiem napadu szczupaka na młodego łabędzia. Na jeziorze Genewskim pod Tour de Pelz ukazała się grupa wspaniałych łabędzi, złożona z pary rodzicielskiej i trzech młodych. Naraz zauważył opowiadający, że jeden z młodych łabędzi dostał się głową pod wodę i napróżno usiłował się wyrwać jakiejś tajemniczej sile, która go przytrzymywała. Zobaczywszy to stare łabędzie, popieszyły natychmiast z pomocą, bijąc gwałtownie skrzydłami o wodę. Świadek tej sceny wyciągnął lornetkę i teraz dopiero zobaczył pod powierzchnią wody ogromnego szczupaka, trzymającego w zębach głowę łabędzia. Kiedy stare łabędzie zaczęły coraz gwałtowniej atakować, napastnik wypuścił nareszcie swą ofiarę, która atoli, jak się to później okazało, była już martwą. Rybacy dowiedziawszy się o tem, urządzili połów i schwytali sześciofuntowego szczupaka, przypuszczalnie mordercę łabędzia. Według zapewnienia wspomnianego świadka tej niezwykłej walki, jest to już drugi wypadek napadu szczupaka na łabędzia.

* * *

Według ostatniej statystyki światowego urzędu pocztowego wysłano w Niemczech w r. ubiegłym 1394 miljonów kart korespondencyjnych; na drugiem miejscu stoi Anglja z 800 miljonami, Japonja z 665 miljonami, Austrja z 326 miljonami, Rosja z 162 i Węgry z 104 miljonami. Francja ma bardzo niską cyfrę: 39·5 miljona. Listów wysyła najwięcej Ameryka, bo 5302 miljonów sztuk; za nią idzie Anglja z 2694 miljonami, Niemcy 1967 miljonów, Francja 1011 miljonów, Austrja 451 miljonów.

Druków najwięcej wysyła Ameryka 4735 miljonów, Francja 1553 miljonów, Niemcy 1210 miljonów.

* * *

Niezwykłe poszukiwanie córki. Po 38 latach rozłąki znalazł nareszcie pewien ojciec swoją córkę, którą opuścił wkrótce po jej narodzinach. Ojcem tym jest Amilare Cipriani, znany rewolucjonista, osobistość w Paryżu popularna.

W roku 1869 Cipriani, został na rozkaz Napoleona III wydalony z Paryża i udał się do Londynu, gdzie pracował na życie i czekał na rewolucję. Tymczasem zakochał się w młodej Angielce. Długo się wahał, czy ma ją poślubić wobec swego niestałego życia, ale serce zwyciężyło. Cipriani ożenił się i wkrótce przyszła na świat córka.

Nagle nadeszła do Londynu wiadomość, że w Paryżu wybuchła rewolucja. Napoleon był w niewoli, a w Paryżu rządziła komuna. Cipriani był rozgorączkowany. „Kiedy pojedziesz do Paryża?“ — zapytała go dzielna żona. „Dzisiaj“ — odparł Cipriani. I nazajutrz był już w Paryżu, pośród swoich przyjaciół. Komuniści zostali zwyciężeni, a Cipriani skazany na dożywotnią deportację, został wywieziony do Numei. W r. 1880 został ułaskawiony i powróciwszy do Paryża, rozpoczął poszukiwania za rodziną. Pojechał do Londynu i tam się dowiedział, że jego żona umarła, a córkę zabrali dalecy krewni. Ale co to byli za ludzie i gdzie przebywali, nie mógł się dowiedzieć. Od tego czasu czynił wszelkie kroki, ażeby odnaleść swoje dziecko, ale bezskutecznie.

Niespodziewanie otrzymał Cipriani w Paryżu przed kilku dniami list następujący:

„Mam wszelkie powody przypuszczać, że moja żona jest ową dziewczynką, którą pan przed trzydziestu ośmiu laty musiałeś opuścić w Londynie. Zbadawszy dokładnie papiery familijne, przyszedłem do tego wniosku. Bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy w tej sprawie mogli się rozmówić, gdybyśmy odnaleźli w panu ojca.“

List podpisany był przez znanego w Paryżu karykaturzystę Wely'ego. Z początku Cipriani uwierzyć nie chciał, ale wnet przekonał się, że Wely miał słuszność. Cipriani odnalazł swoją córkę, a zabawnem było to, że ojciec przez cały szereg lat mieszkał w Paryżu, tuż obok córki. Teraz wreszcie osamotniony weteran rewolucji znalazł u zięcia ognisko domowe.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 34. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 22 sierpnia 1908.

MARJA KONOPNICKA.

PRZED SĄDEM.

Drobny, wychudły, z oczyma jasnemi,
W których łzy wielkie i srebrne wzbierały
I gasły w rzęsach spuszczonych ku ziemi:
Blady, jak nędza, a tak jeszcze mały,
Że mógł rozpłakać się i wołać: „matko!“
Gdyby miał matkę; i mógł stroić psoty,
I pocałunków żądać i pieszczoty,
I spać na piersiach ojca; a tak drżący,
Jak ptak wyjęty z gniazda, i już mrący,
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

* * *

A dziwna była ta sala sądowa:
Wielka, i pusta, i ciemna, i chłodna,
I bezlitośna, i łez ludzkich głodna,
I nigdy dla nich niemająca słowa
Miłości bratniej, i taka surowa,
Tak spiskująca ławkami w półkole
Na ludzką nędzę i ludzką niedolę, —
Że Chrystus biały, co stał tam w pobliżu,
Zdawał się cierpieć i drżeć na swym krzyżu.

* * *

Przy winowajcy nie było nikogo...
I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?...
Chyba te wielkie dwie łzy, co po twarzy
Leciały jakąś pełną iskier drogą;
Chyba dzieciństwo, nędz pełne, sieroty,
I chyba tylko promyczek ten złoty,
Co mu przez okno upadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe.

* * *

Wszedł sędzia, spojrzał i rzekł:
— Gdzie rodzice?... —
— Nieznani... — odrzekł pan pisarz z powagą.
Chłopiec wzniósł zgasłe, błękitne źrenice,
I ściągnął świtkę na pierś swoją nagą,
Jak gdyby nagle, od jednego słowa,
Zjęło go zimno i pustka grobowa...
Sędzia zadumał się, pochylił czoła
I spytał znowu:
— Czy w wiosce jest szkoła?... —
— Nie... —
Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie,
Przytem, pytanie było jakoś dziwne...
Wahał się chwilę, czy właściwem będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokóle;
Więc wyprostował palce swoje sztywne
I bębnił zlekka po szarej bibule.

* * *

A sędzia patrzył na drżącą dziecinę:
Na ręce nagie, wychudłe i sine;
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany;
Na blask tych oczu zmącony i szklany,
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy;
Na drobną główkę, gdzie myśl głucho śpiąca
Nie znała świata innego, prócz słońca,
I innych wrażeń ożywczych, prócz rosy.

* * *

I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze,
I w piersi uczuł drżenie tajemnicze,
Jakby ta sala pusta była tronem,
Na którym przyszłość z czołem zachmurzonem
Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia...
I jakiemś grzmiącem i ogromnem słowem
Oblicza plony na polu jałowem,
Przed sąd wzywając całe pokolenia...
I widział, jak szły gęste, ciemne tłumy
I tamowały ruch globu w błękicie...
I spostrzegł pełny trwogi i zadumy,
Że były chmurą ogromną o świcie,
Przez którą przebić nie mogło się słońce,
I zmierzch nad ziemią trwał przez lat tysiące...
Widział, że tłum ten — to siła stracona
Dla wielkich celów i dążeń ludzkości,
I czytał w groźnem spojrzeniu przyszłości,
Że chce rachunku z miljona...
I ujrzał nagle, że wydziedziczeni
Za społeczeństwa swego cierpią winy:
I przerażony — posłyszał w przestrzeni
Sądy — nad sprawą chłopczyny...

* * *

— Niechże was Chrystus — głos mówi — rozsądzi,
Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi?...
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą...
Niechże was Chrystus sądzi!... —
Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i cichy na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze...
A sędzia powstał i szedł, gdzie pachole
Blade czekało na wyrok surowy,
I dotknął ręką jego płowej głowy,
I rzekł:
— Pójdź, dziecię, ja cię uczyć każę!...

A. CZECHOW.

Śmierć urzędnika.

W piękny wieczór, nie mniej piękny egzekutor Jan Dymitrowicz Czerwiakow siedział w drugim rzędzie krzeseł i patrzał przez binokle na „Dzwony z Corneville“. Patrzał i myślał, że osiągnął szczyt szczęścia. Wtem... W powiastkach często bywa to „wtem“. Ale autorzy temu nie winni: w życiu jest przecież tyle niespodzianek! Więc, wtem twarz jego spochmurniała, zamrugał oczyma, wstrzymał oddech.... odjął binokle od oczu, schylił się i... apcich!!! Kichnął, jak widzicie. Nikomu nigdzie nie bronią kichać. Kichają i chłopi i naczelnicy policji i czasem nawet tajni radcy. Wszyscy kichają. Czerwiakow zmieszał się nieco, otarł nos chustką i jak grzeszny człowiek, obejrzał się naokoło: czy też kichnięciem nie przestraszył kogo? Ale teraz dopiero zmieszał się na dobre. Spostrzegł, że staruszek, siedzący przed nim w pierwszym rzędzie krzeseł, wyciera starannie rękawiczką łysinę i kark i mruczy coś. W staruszku tym poznał Czerwiakow radcę stanu, generała Brizżałowa, służącego w dyrekcji dróg komunikacyjnych.

— Opryskałem go — pomyślał Czerwiakow. — Wprawdzie to nie mój naczelnik, ale w każdym razie nie dobrze. Trzeba go przeprosić!

Czerwiakow kaszlnął, nachylił się i szepnął generałowi do ucha:

— Przepraszam ekselencję... opryskałem, ale to przypadkiem ..

— Nic nie szkodzi!

— Przepraszam. Jak Boga kocham, nie chciałem!

— Ach! Siedźże pan cicho i nie przeszkadzaj!

Czerwiakow zmieszał się, uśmiechnął się głupio i zaczął patrzeć na scenę. Patrzy, ale jest bardzo niespokojny. Kiedy spuszczono zasłonę, podszedł do Brizżałowa.

— Przepraszam ekselencję... Ja... tego... nie...

— Ach dość tego... ja już zapomniałem, a pan ciągle jeszcze o tem mówi! — powiedział zniecierpliwiony generał.

„Zapomniał, a złość z oczu patrzy — pomyślał Czerwiakow, patrząc podejrzliwie na generała. — Nie chce nawet mówić. Trzeba mu powiedzieć, że ja nie chciałem... że to takie prawo natury, bo on gotów jeszcze pomyśleć, że chciałem na niego plunąć. Nie pomyśli tego teraz, to pomyśli tak potem“.

Wróciwszy do domu, opowiedział Czerwiakow o tem żonie, lecz ona lekceważyła sobie ten wypadek; przestraszyła się tylko nieco, ale kiedy dowiedziała się, że Brizżałow “cudzy“, uspokoiła się.

— W każdym razie idź i przeproś — powiedziała. — Inaczej pomyśli, że nie znasz się na grzeczności i nie umiesz zachować się w towarzystwie.

— To, to, właśnie! Ja przepraszałem go, ale on jakiś dziwak... Nie powiedział ani jednego grzecznego słowa. Jakże było z nim mówić.

Na drugi dzień Czerwiakow ubrał się w nowy wicemundur, ostrzygł się i poszedł do Brizżałowa... Kiedy wszedł do pokoju, w którym generał przyjmował, zobaczył wielu ludzi, którzy przyszli tu z rozmaitemi prośbami, a między nimi generała, który już zaczął słuchać próśb przybyłych. Generał rozmawiał z kilkoma, potem spojrzał na Czerwiakowa.

— Wczoraj w „Arkadji“, jeżeli sobie ekselencja przypomina... — począł egzekutor — kichnąłem i opryskałem... Prze..

— Co za głupstwo... Czyś pan zwarjował? — generał obrócił się do obok stojącego.

— Nie chce mówić! — pomyślał Czerwiakow i zbladł. Widać, że zły... Nie tego tak nie można zostawić... Muszę mu wytłómaczyć...

Kiedy generał skończył rozmawiać z ostatnim z proszących i chciał już odejść do dalszych pokoi, Czerwiakow postąpił za nim i zamruczał:

— Proszę ekselencji... Jeżeli ośmielam się niepokoić ekselencję... to z powodu tego, że czuję żal!... Ja nie umyślnie...

Generał wykrzywił twarz i machnął ręką.

— Kochany pan kpi! — powiedział, odchodząc i zamykając drzwi za sobą.

— Co tu za kpiny? — pomyślał Czerwiakow. — To przecież nie są kpiny! Jest generałem i nie rozumie tego. Kiedy tak, to nie będę już przepraszał tego fanfarona. Żeby go djabli wzięli! Nie pójdę już do niego, — napiszę list.

Tak myślał Czerwiaków, idąc do domu. Listu do generała nie napisał. Myślał, myślał i listu nie wymyślił. Na drugi dzień poszedł sam.

— Wczoraj byłem tutaj — mruczał, kiedy generał popatrzył na niego — nie po to aby kpić, jak to ekselencja powiedział. Ja przyszedłem przeprosić ekselencję za to, że kichając opryskałem... ale wcale nie kpiłem, nie ośmieliłbym się kpić. Bo i cóżby to było, gdyby...

— Precz! krzyknął generał, siny ze złości.

— Coo? — zapytał szeptem Czerwiakow, zdumiony ze strachu.

— Precz stąd! — powtórzył generał i tupnął nogą.

Wtedy w życiu Czerwiakowa urwało się coś. Nie widząc niczego i nic nie słysząc, cofnął się ku drzwiom, wyszedł na ulicę i powlókł się... Przyszedłszy do domu nie zdejmując wice-munduru, położył się na sofie i... umarł.

Trusty amerykańskie.

Za trust (czytaj trest) uważane jest (choć nieściśle) każde przedsiębiorstwo, które powstało z kilku innych, pomniejszych. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, ojczyźnie trustów, jest ich coś około trzech tysięcy. Większość ich znajduje się dopiero w okresie formowania się.

Największy ze wszystkich trustów pod względem ilości posiadanego kapitału jest trust stalowy: United States Steel Corporation. Wartość akcji tego największego w świecie przedsiębiorstwa przy kursie obecnym wynosi około 1,100,000,000 dolarów, a rzeczywistą wartość jego majątku obliczają na 950,000,000 dol. (1 dolar = 2 mk.) Cyfra ta nie wyda się przesadną, jeżeli zważymy, że trust ten, oprócz olbrzymich zakładów stalowych, zatrudniających około stu tysięcy robotników, posiada olbrzymie kopalnie rudy żelaznej i węgla, koksarnie, doki na jeziorach i setki ogromnych parowców. Przynajmniej trzy czwarte części ogólnej liczby stalowni w Stanach należy do tej firmy. Poza jej obrębem stoją stalownie pomniejsze; nie należą one do trustu dla tego, że trust nie raczył po nie wyciągnąć ręki. Konkurencja tych karłów z olbrzymem jest niełatwą — prowadzą więc marny żywot. Dwie tylko firmy stalowe, nie należące do trustu, robią mu prawdziwą konkurencję. Firmami temi są: Bethleem Steel Co. koło Pittsburga (należąca do Charlesa M. Schwaba, który dawniej stał na czele trustu, a potem poróżnił się z nim i założył stalownię własną), oraz Midvale Steel Co., mająca zakłady swoje w Stanach Nowej Anglji i wyrabiająca głównie płyty dla pancerników.

Ściśle spokrewnione z firmą powyższą są dwa inne trusty: American Steel & Wire Co. oraz American Steel & Tin Co. Pierwsza ma w swem ręku monopol na wyrób drutów wszelkiego rodzaju, druga na wyrób blachy. Kapitał każdej z nich wynosi około 50,000,000 dol. Pozornie stanowią one przedsiębiorstwa niezależne, w gruncie rzeczy jednak stanowią jedną całość z trustem stalowym. Ci sami ludzie zasiadają w zarządach trustu drutowego i blaszanego, co i w zarządzie United States Steel Corporation.

Zaraz po truście stalowym pod względem ilości posiadanego kapitału idzie trust tytuniowy: American Tobacco Company, którego akcje i obligacje mają wartość 180,000,000 dol. Trust ten jest jednym z najbezwzględniejszych w walce z konkurentami i zdaje się nie mieć najmniejszego względu na dobro publiczności, gdyż od lat wielu truje stale osoby palące lub żujące tytoń domieszkami szkodliwemi dla zdrowia, ale mającemi tę zaletę, że czynią tytoń smaczniejszym.

Trust fabryk narzędzi rolniczych, International Harvester Co., utworzony niedawno z dwuch pomniejszych trustów i zaopatrujący obecnie świat cały w swoje wyroby, rozporządza kapitałem 120,000,000 dol. Na czele tego trustu stoi rodzina Mc-Cormicków. Jest ona od niedawna w ścisłych

stosunkach z trustem stalowym, a także i trust wyrobu szpagatu zagarnęła w swoje ręce; trust stalowy dostarcza jej stali, szpagat do wiązania snopów zboża jest w olbrzymich ilościach sprzedawany wraz ze żniwiarkami.

Czwartym dopiero z rzędu co do wielkości, jest trust naftowy: słynna Standard Oil Co., zorganizowana przez Johna D. Rockefellera. Kapitał jej wynosi tylko 110,000,000 dol., ale zato przynosi on niesłychanie wysokie procenty: po 70 i więcej procent, a to dzięki temu, że na wyrób nafty oczyszczonej, trust ten ma prawo monopolu, więc może sprzedawać ją po bardzo wysokiej cenie. Około 60 proc. akcji tego trustu jest własnością samego Johna D. Rockefellera; reszta należy do Wiliama Rockefellera (brata Johna), Henry'ego H. Rogersa, Flaglera i kilku innych, stanowiących tak zwaną „klikę" rockefellerowskich kapitalistów.

Stu miljonami dolarów kapitału rozporządza trust wytapiania metalów: American Smelting & Refining Co. Jego właścicielami są bracia Guggenheimerowie. Trust wytapiania metalów jest bodaj najkompletniejszym ze wszystkich trustów w całym świecie: posiada on zupełny monopol w swojej gałęzi przemysłu, gdyż na całym lądzie amerykańskim — od Alaski aż do Chili w południowej Ameryce — wszystkie szmelcownie, wytapiające rudę zawierającą złoto, srebro, miedź i inne metale, są w rękach tego trustu. Stosunki pomiędzy braćmi Guggenheimer a kliką Rockefellera są bardzo ścisłe.

Trust fabryk cukru (główny kierownik Havemeyers z Filadelfji) z kapitałem 90,000,000 dol., należy do najstarszych, najsolidniejszych i najlepiej zorganizowanych. Wpływ Havemeyera daje się odczuwać nawet w polityce zagranicznej kraju: wojnę z Hiszpanją o niepodległość Kuby opinja publiczna przypisuje machinacjom tego trustu.

Następnym po nim, co do wielkości, jest prawdopodobnie trust przyborów elektrycznych, złożony z dwuch kompanji: Edisona i General Electro. Trust ten posiada mniej więcej osiemdziesiąt miljonów dol. kapitału. Tyleż posiada trust wyrobów puszek blaszanych, jak również trust garbarski (Central Leather Co.) i trust gorzałczany (Corn Products Refining Co). Potem idą: trust gumowy (75,000,000 dol.), trust wagonów Pullmana (74,000,000 dol.), trust wyrobów wełnianych American Woolen Co. (65,000,000 dol.), trust wyrobu sucharków i ciastek National Biscuit Co. (55,000,000 dol.), trust telegtaficzny (59,000,000 dol.), trust rzeźni bydła pod firmą Swift & Co. (50.000,000 dol.), trust wagonów lodownianych Armoura, trust zbożowy, zorganizowany przez tegoż i cały szereg innych. Członek kongresu i referent sprawy trustów Fitzgerald utrzymuje, że ogółem wszystkich jest 2701, ale tylko 372 z nich mają kapitału ponad miljon dolarów. Ogólna ilość kapitału, należącego do trustów, zdaniem p. Fitzgeralda, wynosi 5,686,167,000 dol. Cyfry te jednak, jak sam ich autor przyznaje, nie są ścisłe.

Powyższy rzut oka na trusty amerykańskie nie byłby kompletnym, gdybyśmy nie poświęcili tutaj choć paru zdań specjalnemu omówieniu zakresu działalności finansistów z grupy Rockefellera. Trust naftowy, którego ci bogacze są właścicielami już od wielu lat, przynosi olbrzymie dochody, a nie daje pola do lokowania kapitałów we własnych przedsiębiorstwach. Trzyma się on zasady, żeby produkować jak najmniej, a przez to utrzymać ceny w górze — buduje więc bardzo mało nowych rafinerji. Dochody jednak, bez ustanku do kieszeni właścicieli tego trustu napływające, koniecznie musiały być gdzieś ulokowane — bo stracić lub przehulać sum tak wielkich niepodobna. Otóż chcąc nie chcąc ta grupa miljonerów, kierowanana przez genjalnego finansistę Rogersa, przed kilkunastu laty wyruszyła na podbój świata przemysłowego i odniosła pocichu cały szereg zwycięstw kolosalnych, zdumiewających. Najpierw jej podbojowi uległy kompanje gazu sztucznego i naturalnego w stanach wschodnich; potem mnóstwo banków narodowych (największy bank w New-Jorku i kilkaset pomniejszych), potem kilkanaście kompanji tramwajowych i elektrycznych. Nie dość na tem: Standard Oil Co. skierowała wyprawy swoje na zachód i podbiła całe teren kopalniany Gór Skalistych z jego niezmiernemi skarbami złota, srebra i miedzi. Jedna z gazet w tym terenie wychodzących pisze: „Kopalnie w Coeur d'Alens w Idaho należą do Federal Mining Co. Lecz cóż to jest za kompanja ta Federal Mining? Standard Oil, Rockefeller! Cała Montana, jak wiadomo, jest własnością Amalgamated Copper Co. Lecz cóż to jest za kompanja? Standard Oil, Rockefeller. Stan Colorado należy do Colorado Fuel & Iron Co. i do trustu szmelcowni. Lecz cóż to za kompanje? Standard Oil, Rockefeller. Kolej Union Pacific posiada wszystkie koleje od North Idaho do Colorado. Lecz cóż to jest ta kolej? Standard Oil Co., Rockefeller. Wszyscy kapitaliści w Górach Skalistych są pod batutą Rockefellera, a władze stanowe tamtejsze tańczą tak, jak ci im zaśpiewają"

W słowach tych jest może nieco przesady, lecz przytaczamy je jako ciekawą ilustrację.

Po objęciu tylu różnorodnych gałęzi przemysłu, po zdobyciu olbrzymich sum nietylko drogą kapitalizowania uczciwych zysków przedsiębiorstwa, ale również drogą niesłychanie śmiałych, a zaraz m bezczelnych i nieuczciwych spekulacji giełdowych, grupa kapitalistów Rockefellera, przez agienta swego Harrimana, zagarnia teraz jedną po drugiej linje kolei żelaznych. Całe systemy kolejowe, przecinające kraj od oceanu do oceanu i od wielkich jezior do zatoki meksykańskiej, znajdują się już pod kierownictwem „kliki". Systemy te obejmuja linje łączące 1) miasto Baltimore z miastem St. Louis, 2) miasto Baltimore z Chicago, 3) Chicago z Omaha Nebr., 4) Omaha z Denver, Colo., 5) Denver z Kansas City, 6) Omaha z Salt Lake City i San Francisco, 7) Salt Lake City z miastem Portland, Ore, 8) San Francisco wzdłuż granicy meksykańskiej do New Orleans.

Linje wyżej wymienione wraz z ich rozgałęzieniami stanowią niemal czwartą część wszystkich tutejszych kolei żelaznych. Pozostałe trzy czwarte części należą do trzech wielkich grup kapitalistów, skupionych koło: Aorgana, Goulda, Hilla i Vanderbildta. Każda z grup kapitalistów kojejowych trzyma się ściśle pewnego planu w prowadzeniu interesów; dana grupa konkuruje z drugą, ale unika konkurencji z kapitalistami tej samej grupy. Kolei niezależnych od żadnej grupy jest bardzo mało. Jeżeli te grupy kapitalistów też uznamy za trusty, to w takim razie przemysł kolejowy uznać musimy za niemniej „strustrowany" od innych, a trust kolejowy za najpotężniejszy.

Słowem, trustry wożą ludność Stanów Zjednoczonych, trusty budują dla niej domy, ogrzewają je i oświetlają, odziewają tę ludność i karmią. Wszystkie wielkie gałęzie przemysłu ujęte są w trusty; poza trustami stoją tylko drobni producenci i kupcy.

Rozmaitości

Pożar lasów w Ameryce. Pożar lasów w angielskiej Kolumbji (Ameryka), o którym przed kilku dniami doniosły telegramy, dotąd się jeszcze szerzy. 10.000 ludzi pozostało bez dachu; 800 trupów już wydobyto, a prawdziwa ilość ofiar nigdy nie da się obliczyć; miejscowości Fernie, Hosler, Olsen, Sparwood, Konstyney itd. uległy zupełnemu zniszczeniu; szkoda dotychczas wynosi już 80 miljonów. Najwięcej dotkniętą została miejscowość Fernie, w której 70 ludzi zginęło. Pożar objął dotąd obszar 100 mil kwadratowych; przez zniszczenie mostów i linji kolejowych uniemożliwił ratunek.

Jeden z urzędników kolejowych w Fernie opowiada swoje straszne przejścia w następujący sposób: Do ostatniej chwili zajęty był ratowaniem pieniędzy i ksiąg kolejowych, wkońcu wsiadł na drezynę i puścił w drogę. Zaczął się okropny wyścig między nim a otaczającymi go płomieniami. Z siłą rozpaczy poruszał motor drezyny, około niego wiatr pędził płomienie przez lasy i pola... Przez krótki czas udało mu się uzyskać wolną drogę, na której spotykał spalonych ludzi, zwęglone trupy bydła, obumarłe drzewa i płonące trawy. Nagle wjechał na miejsce, na którem pod szynami paliły się progi kolejowe; zeskoczył z drezyny i zaczął uciekać piechotą. Ze spalonemi sukniami i włosami dobiegł do stacji Granbrook, gdzie zemdlał.

W miasteczku Sparwood 25 dzielnych ludzi pod komendą kapitana Borestera usiłuje ratować miasto od zniszczenia. Zaczęto naokoło wycinać drzewa i wyrywać trawy, gdy nagle silny podmuch wiatru zaniósł ogień w sam środek miasta. Ratujący rzucili się do ucieczki. Droga pro-

wadzi przez las; po obu stronach drogi jedno morze płomieni; 5 ludzi pada i w jednej chwili obejmuje ich ogień, reszta dopada do wody i w niej szuka schronienia.

Ponieważ lasy ciągną się prawie bez przerwy, a osady leżą w środku tych lasów, niepewnym jest los wszystkich osad wogóle. Nad ratunkiem pracuje cała armja robotników i wojska.

* * *

Szczury szerzycielami dżumy. Oddział indyjski angielskiej Armji Zbawiciela wydał wojnę na śmierć i życie szczurom, jako szerzycielom dżumy w Indjach. Inspektor gieneralny szpitali w Pendżabie wyraża się bardzo przychylnie o tej wojnie niezwykłej i popiera ją gorliwie, to też w samym tylko miasteczku Gujerat już 2000 szczurów padło ofiarą kotów, sprowadzonych do Indji i hodowanych w dwuch farmach specjalnych.

Postanowienie użycia kotów do walki ze szczurami wywołała ta okoliczność, że pchła, żyjąca na szczurze i będąca istotnym rozsadnikiem zarazy, nie przechodzi na kota.

Przepisy religji buddyjskiej nie pozwalają hindusom na zabijanie zwierząt, niemniej jednak hindusi patrzą przyjaźnie na działalność Armji Zbawienia. Stwierdzono następnie, że pchła, żyjąca na szczurze, przenosi się po jego śmierci bardzo chętnie na świnkę morską, to też w domach, gdzie koty spełniły już swoją działalność. Armja Zbawienia lokuje po kilka świnek, poczym zabiera je przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności i dopiero wówczas zaczyna dezykfencję domu. Na wyspie Cejlon, gdzie znajduje się wiele kotów, a mało szczurów, dżuma objawia się rzadko. W Indjach natomiast, gdzie kotów brakło, zaraza szerzy się niemal bez przerwy.

* * *

300-tna rocznica Torricelliego. W dniu 15 październ. b. r. przypada 300-tna rocznica urodzin fizyka Ewangelisty Torricelliego, który unieśmiertelnił się wynalezieniem barometru. Był on uczniem Galileusza, lecz zmarł jeszcze przed mistrzem swoim, we Florencji, w 30 roku życia. Przyczyną śmierci przedwczesnej były suchoty. Na rozkaz wielkiego księcia pochowano Torricelliego w krypcie kościoła San Lorenco, obok grobowców wielkich książąt toskańskich. W r. 1865 wszakże, na skutek rozporządzenia rządu włoskiego, śmiertelne szczątki wszystkich „mniej sławnych nieboszczyków" usunięte zostały ze sklepień kościelnych i zamurowane. Do tych „mniej sławnych" zaliczono wówczas we Włoszech i Torricelliego. W ostatnich czasach usiłowano odnaleźć i stwierdzić tożsamość śmiertelnych szczątków znakomitego fizyka. Wszakże wszelkie starania okazały się daremne — szczątki te spoczywają wraz z dwunastu innymi szkieletami w wielkiej zamurowanej skrzyni drewnianej, a identyfikacja ich okazała się niemożliwą. W Faenzy, mieście rodzinnem Torricelliego, oraz we Florencji odbędą się na cześć wynalazcy barometru wielkie uroczystości w dniu 15. października b. r.

* * *

Warsztaty szkolne w Szwecji. W Sztokholmie założono niedawno szkołę ludową, w której główny przedmiot nauki stanowi praca przy warsztatach rzemieślniczych. Uczęszcza do niej do 200 dzieciaków i daje świetne rezultaty. Wszystko tu robi się na zamówienie miasta, a czysty zysk z robót dzieli się między dziatwę według zasług i składa się na książeczki oszczędnościowe. Szkoła ta otwarta w godzinach, kiedy zwykłe szkoły zamknięte, a przychodzić do niej może każde dziecko, które samo zechce. W miesiąc po założeniu pierwszej takiej szkoły warsztatowej trzeba było otworzyć czterdzieści innych, a nauczyciele szkół zwykłych oświadczyli, że uczniowie uczęszczający do warsztatów najlepiej się uczą i co najważniejsza, myślą samodzielnie. Wpływ moralny iej ua dziatwę pracy jest znakomity.

* * *

Najtańsze i najdroższe rozwody. W Angli zanosi się na reformę prawa o rozwodach, gdyż obecna ustawa, w myśl której rozprawa sądowa jest publiczną, okazała się szkodliwą. Dalszą niedogodnością ustawy jest to, że procesy rozwodowe są bardzo drogie. Zdarzają się wypadki, że biedny człowiek, chcąc rozwieść się, musi zapłacic do 1000 funtów (24.000 mk.) kosztów sądowych. Wyjątek od płacenia kosztów otrzymują tylko ci, którzy złożą przysięgę, że majątek ich nie przenosi sumy 20 funtów (około 500 mk.), gdyż w tym wypadku skarb publiczny poniesie koszta procesu.

W przeciwieństwie do Anglji, są koszta procesu rozwodowego w Holandji bardzo niskie, gdzie już na 120 mk. można otrzymać rozwód. W innych krajach „ceny" są różne: we Francji do 500 franków, w Szwajcarji 150 mk., w kolonjach angielskich 300 mk., w Stanach Zjednoczonych 400 mk., a w Niemczech 80 do 100 marek.

* * *

Przedhistoryczny zabytek. Przy zakładaniu fundamentów na gruncie mistrza stolarskiego Hoppego w Gniewkowie w Pozn. wykopano kamienną siekierę bojową polerowaną, bardzo bobrze zachowaną z ery nowokamiennej, z czasów około 2000 lat przed nar. Chrystusa. Szczególnie artystycznie wyrobione jest ucho trzonka.

* * *

Kolor skóry australczyków. Podczas podróży naukowej po Australji prof. Klaatsch zwrócił uwagę na ciekawy fakt, że zabarwienie skóry murzynów australijskich niezmiernie zbliżone jest do koloru gleby, posiadającej tu często, skutkiem domieszki żelaza, odcień czerwony. Spostrzeżenie powyższe nasunęło mu myśl, że płeć australczyków przedstawia swego rodzaju zabarwienie ochronne — zjawisko szeroko rozpowszechnione w żywej przyrodzie. Dalsza obserwacja wykazała, że kolor skóry istotnie służy mieszkańcom Australji do ochrony, ułatwiając im ukrywanie się przed nieprzyjaciółmi, oraz czatowanie na zwierzynę. Naturalne to zabarwienie podnoszą jeszcze tubylcy przez smarowanie ciała gliną czerwoną. Pierwotna owa szminka nietylko przysparza australczykom trofeów łowieckich, lecz nie pozbawiona jest zarazem cech kokieteryjnych, mając na względzie przypodobanie się płci żeńskiej, Równocześnie prowadził Klaatsch badania nad owłosieniem australczyków. Stwierdza on antropologicznie doniosły fakt, że wszystkie dzieci okryte są złotawo płowem futerkiem, rozciągającem się na całe ciało i przedstawiającem pewne różnice indywidualne. Najbardziej intensywnem jest owo owłosienie młodzieńcze na plecach i występuje najwyraźniej u obu płci między siódmym rokiem życia, a okresem dojrzałości płciowej, gdy złote owłosienie zmienia się na czarno i utraca swą jednolitość. Klaatsch wyraża pogląd, że na owłosianie mieszkańców Australji zapatrywać się należy, jako na pozostałość sierści zwierzęcej, właściwej ich przodkom odznaczającym się zapewne jasnem owłosieniem, zbliżonem do tego, jakie posiada orangutan.

* * *

Eksplozja lokomotywy. Jedna z dość rzadkich katastrof kolejowych przytrafiła się między stacjami Louvres i Survilliers, w odległości 26 kilometrów od Paryża. Pociąg spacerowy, wiozący podróżnych do Bologne sur Mer, przebył bez wypadku znaczną część drogi, gdy naraz rozległ się straszny huk, wagony zadygotały i wyskoczyły z szyn, zatrzymując się na miejscu. Okazało się, że eksplodowała lokomotywa skutkiem braku wody; maszynista i palacz zostali poranieni strasznie podczas wybuchu. Pasażerowie wyszli bez szwanku. Prowadzący pociąg Blanchet, pomimo ran, odniesionych podczas katastrofy zdążył wystawić sygnały ostrzegawcze, które zatrzymały nadchodzący z tyłu pociąg osobowy; w przeciwnym razie zderzenie byłoby nieuniknione.

Z literatury i sztuki

„Miesięcznik dla popierania ruchu wstrzemięźliwości". Treść nru. na sierpień: Wspomnienia. — Z życia polonji w Ameryce. — Drobiazgi historyczne do dziejów alkoholizmu w Polsce. — Wiadomości ze świata. — Ziemie polskie. — Rozmaitości. — Wiadomości z towarzystw. — Z piśmiennictwa.

Adres: A. Sumulska, Pleszew-Pleschen (Prov. Posen). Rocznie pod opaską 3,40 mk.

„Myśl Niepodległa", Treść nr. 71 (druga dekada na sierpień): Czy medycyna jest nauką? — Idolatrja kościoła rzymsko-katolickiego. — Inteligencja kwiatów. — Wolna myśl w Paranie. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Wolna gmina. — Zapiski. — Książki.

Adres: Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 35. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 29 sierpnia 1908.

LALKA.

Niech lalka będzie grzeczna, nie płacze, nie beczy,
Ładnie mi się ukłoni i uszko nachyli,
A ja lalce opowiem wiele pięknych rzeczy,
Jak mi rodzice mówili.

W święto... mama mię w nową sukienkę ubierze
I różową przepaskę zawiąże u czoła;
Ja wtedy umieć będę francuskie pacierze
I pojedziem do kościoła.

Toż to się dzwiić będzie prostaków gromada!
Bo nie przy nich pisane zagraniczne słowa;
Mnie się głośno po polsku modlić nie wypada;
Czy to ja chłopka wioskowa?

Lecz cichutko... po polsku... poproszę w kościele:
Niech mi bozia da rosnąć i wyładnieć prędzej,
A dla mamy i papy... niech da wiele... wiele...
Żółtych i białych pieniędzy!...

Oni tak lubią grosze, tak modlą się szczerze,
Dają na mszę dwa złote, całują obrazy,
A pan Bóg taki dobry, — że co dasz w ofierze,
To, słyszę, odda w sto razy.

Więc oni coraz hojniej panu Bogu służą,
A pan Bóg więcej płaci za ich cześć pobożną,
To zbierze się pieniędzy tak dużo... tak dużo...
Że i przeliczyć nie można.

Lalko! jaka ty śmieszna!... nie rozumiesz zgoła!
Pytasz, czy to Bóg przyjdzie w własnej postaci,
Albo przyśle z pieniędzmi swojego anioła,
Co za pobożność zapłaci?

Gdzie tam! — jak mówi mama — z opatrzności boskiej
Przyjdzie żyd brodaty, da groszów i dosyć...
Za pieniądze kupimy chłopów cztery wioski,
Co będą nam żąć i kosić.

Ty tylko tego nie wiesz, że my — to panowie,
A jeszcze jest lud inszy, chłopami nazwany,
Którym pan Bóg z niebiosów przykazał surowie
By pracowali na pany.

Brudne, brzydkie, pijane — czysto jak nędzarze,
W poszarpanych siermięgach ledwie włóczą ducha,
Lecz sami sobie winni, bo bozia ich karze,
Że chłopstwo papy nie słucha.

Papa kocha swe konie, mama swego szpica,
A chłopów każdy łaja, każdy kijem kropi;
Doprawdy, że aż szkoda... skąd taka różnica?
Niegrzeczni muszą być chłopi!

Ot i wczora... gdy papa zasnął po obiedzie,
Pytam się — czy to pięknie i jaka potrzeba?
Weszli — zbrudzili pokój, krzyczą jak niedźwiedzie:
„Chleba, panoczek, daj chleba!“

Więc kazano ich obić i słusznie obici;
Już ja kiedy i mięć będę zboże,
Póki się cała wioska chlebem nie nasyci,
Nigdy się spać nie położę.

Bo proszę, jak to zasnąć, kiedy naród blady
I do drzwi i do okien ciśnie się z pokorą?
Nie nakarmić ich chlebem... to przyśnią się dziady,
Jeszcze do torby zabiorą.

Lub, co gorsza, w obrazku pan Jezus się dowie,
Co dla zgłodniałej rzeszy chleb i rybę łamie...
Lalko! zmówmy pacierze o chleb i o zdrowie
Chłopom i papie, i mamie.

Władysław Syrokomla.

L. ANDREJEW.

Z powieści, która nigdy nie będzie skończona.

Spolszczył G-łło.

Zmęczony niepewnością dnia ledwie zasnąłem w ubraniu na łóżku, gdy żona obudziła mnie. W ręce jej chwiała się świeca i wśród nocy wydała mi się jasną, jak słońce. A za świecą drgał biady podbródek i ciemniały wielkie nieznajome oczy.

— Wiesz — szepnęła — czy wiesz: na naszej ulicy stawią barykady.

Było cicho, wpatrzyliśmy się w siebie, wprost w nieznajome oczy, i poczułem, jak twarz moja blednie. Życie zamarło we mnie — i wróciło znowu z głośnym biciem serca. Panowała cisza, płomień świecy wahał się i był mały, niezbyt jaskrawy, lecz ostry, jak krzywy miecz.

— Boisz się? — spytałem.

— Blady podbródek drgnął, a oczy zostały nieruchome i patrzyły na mnie spokojnie, i teraz tylko spostrzegłem, jakie to straszne oczy. Dziesięć lat patrzyłem w nie i znałem je lepiej jak swoje — lecz w tej chwili było w nich coś nowego, czego nie potrafię określić. Duma — rzekłbym — ale było to coś innego, coś całkiem nowego. Ująłem ją za rękę: chłodna, odpowiedziała mi silnym uściskiem

i było w nim znów coś nowego, czegom dotąd nie znał. Tak nie ściskała ona nigdy jeszcze mojej ręki.

— Dawno? — spytałem.

— Już z godzinę. I brat już poszedł. On pewno myślał, że ty go nie puścisz i dla tego poszedł pocichu. Ale ja widziałam.

— A więc to tak, to prawda, to się rozpoczęło. Wstałem, i dla czegoś myłem się długo, jak zwykle, gdy idę do zajęcia, a żona mi świeciła. Potem zgasiliśmy świecę i podeszliśmy do okna od ulicy. Wiosna była, maj, przez otwarte okno płynęło takie powietrze, jakiego jeszcze nie było nigdy w starym, ogromnym grodzie. Już od kilku dni stały fabryki i koleje, i powietrze, wolne od dymu węglanego przepełnione było zapachem pól i kwitnących ogrodów. Nie wiem, co tak pachnie w noce wiosenne, jeżeli wyjść daleko za miasto: może rosa.

I ani jednej latarni, ani jednego powozu, żadnego miejskiego dźwięku w bezgranicznej kamiennej przestrzeni; zamknąć oczy, a zdawać się może, że to wieś.

Pies zaszczekał... jam nigdy jeszcze nie słyszał psa szczekającego w mieście. Roześmiałem się ze szczęścia.

— Słuchaj, — pies!

Żona objęła mnie i rzekła:

— Oto tam, na rogu.

Przechyliliśmy się przez okno i ujrzeliśmy w ciemnej, przezroczystej głębi jakiś ruch. Nie ludzi, tylko ruch. Coś łamano, coś budowano. Ktoś się poruszał, nieuchwytny jak cień. Wtem coś zastukało: młot, czy topór. Tak dźwięcznie, wesoło — jak w lesie, jak na rzece, kiedy naprawiają łódź albo budują groblę. I w przeczuciu wesołej, pięknej pracy mocno objąłem żonę, a ona patrzyła ponad dachy, domy, patrzyła na młody księżyc ostrorogi. Taki młodziutki, taki śmieszny — jak dziewczynka, która marzy, bojąc się przyznać do swych marzeń i świeci tylko dla siebie.

— Gdy on będzie w pełni...

— Nie, nie trzeba! — przerwała żona z niezrozumiałym przestrachem. — Nie trzeba mówić o tem, co będzie. Po co? To lęka się słów. Pójdźmy tam.

W pokoju było ciemno i długo milczeliśmy, nie widząc się wzajemnie, myśląc to samo.

I gdym przemówił, wydało mi się, że to ktoś inny mówi. Ja nie czułem strachu, a tego głos był ochrypły — rzekłbyś — dusił się z pragnienia.

— Więc jak?

— A one?

— Ty będziesz z niemi. Dosyć im matki, ja nie mogę.

— A ja czy mogę?

— Wiem, że nie poruszyła się, a jam poczuł wyraźnie, że odchodzi ona gdzieś daleko — daleko. I zrobiło się tak zimno, i wyciągnąłem ku niej ręce — ona je odsunęła.

Na sto lat raz ludzie mają święto. Dla czego ty chcesz pozbawić mnie jego? Za co? — spytała.

— Ciebie mogą zabić, a wtedy dzieci nasze zmarnieją.

— Życie litościwe będzie dla mnie. Lecz jeśli one zginą nawet...

I to mówiła ona, moja żona, kobieta, z którą przeżyłem dziesięć lat. Jeszcze wczoraj nie znała ona nic prócz dzieci, i pełna była strachu o nie; wczoraj z przerażeniem chwytała groźne zwiastuny przyszłości. Co się z nią stało?... Wczoraj — ale przecież jam również zapomniał wszystko, co było wczoraj.

— Chcesz iść ze mną?

— Nie gniewaj się, — ona myślała, że ja się gniewam, — nie gniewaj się. Dziś, gdy oni tam zastukali, — tyś spał jeszcze, — jam zrozumiała, raptem pojęłam, że mąż, dzieci, wszystko to, wszystko — do czasu. Ja kocham ciebie, bardzo kocham, — uścisnęła mnie znów tym nieznajomym uściskiem. — Słyszysz... stukają. Oni stukają i jakby coś pada, walą się jakieś ściany i tak luźno, tak szeroko, tak swobodnie. Teraz noc, a mnie się wydaje, że świeci słońce. Mam już trzydzieści lat, jestem stara, a zdaje mi się, żem siedemnastoletnia, i że kocham kogoś pierwszą miłością, taką wielką, taką bezgraniczną miłością.

— Dziwna noc — rzekłem — zdaje się, że to nie miasto. Prawda, ja już zapomniałem, ile mam lat.

— Tam huczy, i to jak muzyka, jak śpiew, o którym marzyłam zawsze, życie całe. I jam nie wiedziała, kogo ja kocham taką niezmierną miłością, że i płakać się chce i śmiać, i śpiewać. Tak obszernie, szeroko... Nie odejmij ode mnie szczęścia, daj umrzeć razem z temi, co pracują i co tak śmiało wzywają przyszłości i budzą w grobach przeszłość uśpioną...

— Czas nie istnieje.

— Tak mówisz?

— Czasu niema. Kto-żeś ty? Jam cię nie znał. Tyś człowiek?

Zaśmiała się tak dźwięcznie, jak siedemnastoletnia.

— Tak, jam i tego nie wiedział. I ty też człowiek. Jakie to dziwne i ładne: Człowiek.

Dawno było to, o czem piszą i ci, co śpią dotąd ciężkim snem szarego życia i umierają bez przebudzenia — ci nie uwierzą mi pewno: wtedy czas nie istniał. I dużo nowego, cudownego i wielkiego działo się wówczas, i nie uwierzą mi ci, co śpią dotąd ciężkim snem szarego życia i umierają, nie budząc się.

— Trzeba iść — rzekłem.

— Czekaj, zjedz cokolwiek. Nic dziś jeszcze nie jadłeś. Widzisz jaka ja rozsądna: ja pójdę jutro. Oddam dzieci i odszukam ciebie.

— Towarzysz? — rzekłem.

— Tak, towarzysz.

Przez otwarte okna dolatywał zapach pól, cisza, czasem słychać było wesołe uderzenie siekiery, a ja siedziałem koło stołu i patrzyłem, i słuchałem, i tak zagadkowo dziwne było to wszystko, że się śmiać chciało... Patrzyłem na ściany i zdały mi się one przezroczyste. Jak gdyby wieczność całą obejmując jednym spojrzeniem, widziałem jak ściany te wznosiły się i padały i tylko ja byłem wiecznie i będę wiecznie. I wszystko było takie dziwne i śmieszne, takie nienaturalne — i stół, i jedzenie, i wszystko co poza mną, było przezroczyste, lekkie, istniejące tylko do czasu, do chwili.

— Dla czego nie jesz? — spytała żona.

Uśmiechnąłem się.

— Chleb — to tak dziwnie.

Ona spojrzała na chleb, na czerstwy, suchy kawałek chleba i twarz jej posmutniała. Patrząc ciągle na mnie poprawiała fartuch i głowa jej zwróciła się trochę w tę stronę, gdzie spały dzieci.

— Żałujesz ich? — spytałem.

Oná pokiwała głową, nie odwracając oczu od chleba.

— Nie. Ale pomyślałam, co było w życiu, co dawniej było.

Jakie to niezrozumiałe! I wszystko — dziwiła się jak po przebudzeniu z długiego snu, a wzrok jej ślizgał się po pokoju — i wszystko takie dziwne. I my mieszkaliśmy tutaj?

— Tyś była moją żoną?

— A tam nasze dzieci.

— Tu, za ścianą, umarł twój ojciec...

— Tak. Umarł. Umarł, nie budząc się.

— Najmłodsza córeczka zapłakała przez sen. I taki dziwny wydał się ten zwyczajny płacz dziecinny, wtedy gdy tam, w dole, budowano barykady.

Ona płakała, domagając się pieszczoty, jakichś śmiesznych słów i obiecanek, które ją zwykle zadawalniają. I uspokoiła się prędko.

— Idź — szepnęła żona.

— Chciałbym je pocałować.

— Boję się, że obudzisz.

— Nie, to nic.

— Okazało się, że najstarszy nie spał, słyszał i rozumiał wszystko. Miał on zaledwie dziewięć lat, lecz zrozumiał wszystko, bo spotkał mnie głębokiem, surowem spojrzeniem.

— Weźmiesz strzelbę? — zapytał poważnie, zamyślony.

— Tak, wezmę.

— Ona tam, pod piecem.

— A ty skąd wiesz? No, pocałuj mnie. Będziesz mnie zawsze pamiętał?

On skoczył w łóżeczku, w swojej krótkiej koszulce, ciepły od snu i mocno objął mnie za szyję. Rączki miał gorące i takie miękkie, pieszczotliwe. Odgarnąłem mu włosy i pocałowałem w gorącą, cienką szyjkę.

— Ciebie zabiją? — szepnął mi do ucha.

— Nie, wrócę.

A jednak on nie płakał. Czasem, zwyczajnie sobie wychodziłem z domu, a on płakał... czy i jego też to dokręło? Któż to wie — tak wiele strasznego działo się w te wielkie dni.

Spojrzałem na ściany, na chleb, na świecę, której płomień chwiał się ciągle, i wziąłem żonę za rękę.

— Do widzenia.

— Tak, do widzenia.

Tyle tylko, i wyszedłem. Na schodach było ciemno i czuć było jakieś stare brudy.

I otoczony zewsząd kamieniami i ciemnością, znajdując po omacku stopnie, poczułem to nowe, nieznane a radosne — dokąd idę — uczuciem ogromnem, wszystko napełniającem sobą.

Z dziejów fanatyzmu religijnego

w dawnej Polsce.

Rok 1606 był rokiem rokoszu, upamiętnił się wielu tumultami religijnymi: zburzeniem zborów luterskiego i czeskiego w Poznaniu, zniszczeniem cmentarza innowierczego w Krakowie, wypędzeniem jezuitów z Gdańska i Torunia; w Poznaniu od 1599—1602 r. ponawiały się napady studentów jezuickich, w r. 1605 jezuita Piasecki w poznańskiej katedrze jawnie podniecał lud do obalenia zborów ewangielickich, wołając: „nie chce magistrat, nie chce rada miejska, ty tedy ktokolwiek jesteś z ludu, puść z dymem i w popiół zamień wszystkie bożnice heretyków". Rokosz rozpoczął się zjazdem w Stężycy niedaleko Warszawy, gdzie przybył też wojewoda krakowski Zebrzydowski, wychowanek i wielki dobrodziej jezuitów, przyjaciel ks. Skargi, fundator słynnej Kalwarji, którego — musimy to zaznaczyć, z obczem różnowierców łączyła tylko kwestja polityczna, nienawiść do domu Habsburgów i absolutyzmu.

Poprzedzony burzliwymi sejmikami zebrał się nakoniec 7 marca 1606 r. pamiętny sejm. Jak za poprzednich sejmów, tak i teraz wdarła się między wszystkie sporne kwestje, najdrażliwsza sprawa tolerancji religijnej, zwana obwarowaniem konfederacji. Najwybitniejsi przewódcy różnowierców wzięli udział w sejmie: Janusz Radziwiłł, Stanisław Stadnicki „Djabeł", Piotr Gorajski, Jakób Siemieński, Marcin Broniewski, Andrzej Męczyński, Samuel Taszycki. Nie dziwna rzecz, że wobec takiego składu naprężenie i zacietrzewienie sejmu rosło niezmiernie. W obronie atakowanego króla stał ks. Skarga, wygłaszając swoje „kazania sejmowe", za silną władzą króla i senatu. Opozycja opuszczała coraz częściej sejm, a jechała do Stężycy do Zebrzydowskiego. Tymczasem król Zygmunt III chciał koniecznie zakończyć sejm, bo musiał jechać do Szwecji, w tym celu zebrał senat i posłów na wspólne obrady. Wrzawa powstała, skoro podniesiono sprawę konfederacji, źródło niesnasek i rozterek, tem zagorzalsza walka zapanowała, że przyszła wieść do Warszawy o napadzie w wielki czwartek 300 studentów jezuickich i zburzeniu zboru w Poznaniu. Różnowiercy w swoim projekcie żądali „kary śmierci" na burzycieli, nawet gdyby do rozlewu krwi nie przyszło. Karze tej podpadają i duchowni. Apelacja ma iść do trybunału a nie do króla. Sędziowie mają składać przysięgę, że w wyroku nie będą się powodować swemi przekonaniami religijnemi. Konstytucja ta ma dotyczyć nietylko zaburzeń gromadnych, lecz i pokrzywdzenia pojedyńczej osobistości z powodu religji, choćby też plebejusz był.

Projektowana ustawa była zbyt teoretyczną, posuwała się zbyt daleko, aby mogła być uchwaloną, dlatego świeccy senatorowie podjęli się pośrednictwa między spornemi stronami i dzięki ich staraniom obydwie strony i sejm cały przyjął obostrzoną konstytucję przeciw gwałtem „duchowni nic przeciw niej nie mieli, niczego się w niej grzesznego nie dopatrując". Rozchodzono się z dobrą otuchą. Uchwała powzięta zakończyłaby waśnie religijne w kraju, położyłaby koniec wojnie domowej, organizowanej w Stężycy, bo różnowiercy, mając taką ustawę, opuściliby Zebrzydowskiego, ale w chwili przełomowej, historycznej, po zgodzie wszystkich stanów, całego sejmu na projektowaną uchwaloną ustawę — król Zygmunt III nie podpisał konstytucji, a więc znowu zapoczątkował waśnie, sam dał powód do wojny domowej. Dlaczego król tak postąpił, wyjaśnia nam jezuicki dziennik domu św. Barbary w Krakowie. Wielewicki korzysta z djarjusza Skargi.

Król nie szedł spać. Ślęczał nad utartą dopiero co, za obustronna ugodą obostrzoną, konstytucję o tumultach. Umysł jego, żyjący tylko religją, przejęty na wskróś prawowiernością katolicką, odbywał walkę. Podpisanie konstytucji uchwalonej, przywiązałoby wszystkich poddanych do jego tronu, wzmocniłoby jego władzę, ale czy ta konstytucja godziła się z zasadami, w których wychowywali go od małego dziecięcia nauczyciele — jezuici? Kiedy się tak bił z myślami i z sumieniem, niepewny szukał wskazówki, rady, ramienia, by wesprzeć się na nim; gdzież miał znaleść pomoc, jak nie u swojego spowiednika, umiłowanego kaznodziei — Piotra Skargi!

Późno w noc król skrypt konstytucji nowej przesłał w tajemnicy do domu Jezuitów; do tego domu na noc wracali z zamku zawsze ks. Skarga i ks. Barszcz. Żądał, aby pilnie ten projekt ojcowie wybadali i odpowiedzieli, czy z spokojnem sumieniem może podpisać tę ustawę tak, aby duszy swej nie naraził na zgubę...

(„Tecerun patres et de prehenderunt fraudem"). „Badali ojcowie i odkryli zdradę".

Dziwny widok. Mnisi w celi rozstrzygają kwestje państwowe. Pochyleni nad skryptem szukają w nim — grzechu. Wybitny i znamienny obraz rządów za Zygmunta III. Skarga ów bojownik przeciwko „bezbożnej konstytucji" oświadczył królowi, że w razie podpisania uchwały, uczyni to wbrew własnemu sumieniu...

Dr. Sobieski pisze: Jeszcze świt nie zaczął rozpraszać ciemności kwietniowej, kiedy już ks. Piotr, 70-cioletni starzec, rozgorączkowany żarliwością religijną, wczesnym rankiem obchodził duchownych członków senatu, — — — do niektórych posłów ziemskich i całą swą potęgą swej wymowy zjednał ich, aby głośno w samej izbie poselskiej zaprotestowali przeciw wspomnianej ustawie..."

Nazajutrz sejm został zerwany, epilog rozegrał się krwawo w walce domowej, pod Sandomierzem. Żądano od króla napędzenia szarańczy hiszpańskiej na polach pod Janowcem i pod Guzowem, gdzie rokoszanie zostali pobici.

Jakąż rolę odegrał ks. Piotr Skarga, którego dzisiejsze wieki za jego niezmożoną pracę nad wzrostem i umocnieniem katolicyzmu w Polsce otoczyły aureolą niemal świętości i proroctwa? Ten sławny kaznodzieja, tak wspaniale rzucający gromy na bezrząd Rzplitej, podburzał przecież do „veta", do protestu przeciw już umówionej dnia poprzedniego konstytucji, która zapobiegłaby rozlewowi krwi własnej, walce domowej. Dzięki agitacji osobistej, po komnatach sejm zerwany został, a do walki wyciągnęto hufce zbrojne i miecze.

Nie dziwimy się że szlachta oburzona na Skargę, obdarzyła go przydomkiem: „praecipuus turbator Reipublicae" („główny wichrzyciel Rzeczypospolitej").

Alkoholizm w szkole.

Alkoholizm w szkole, to zjawisko, niestety nie nowe. Ankiety, przeprowadzone w szkołach zachodnio-europejskich, amerykańskich i rosyjskich stwierdziły, że wśród młodzieży szkół nie tylko średnich, ale i niższych, znajduje się znaczna liczba uczniów, oddających się pijaństwu nałogowemu.

Według obliczeń berlińskich lekarzy szkolnych, z ogólnej liczby uczniów nie pije nigdy 16,6 proc., 38,3 proc. pije najmniej raz na tydzień piwo, 10,9 proc. pije wódkę. Procent uczniów, nie mogących obyć się bez piwa lub wódki, wynosi 33,7. Tak więc z ogólnej liczby uczniów cztery piąte oddają się w mniejszym lub większym stopniu nałogowi pijaństwa, ze wszystkimi jego skutkami. W Monachjum na 4572 uczniów było tylko 13,1 proc. abstynentów, t. j. takich, którzy nie używali żadnych napojów spirytusowych. Z reszty 55,3 proc. piło „przy okazji", 10 proc. zaś przypadało na nałogowych pijaków, ze wszystkimi, im właściwymi, zmianami patologicznemi.

Statystyka zachodnio-europejska rozporządza danemi, bardziej jeszcze zdumiewającemi. Tak np. w jednej ze szkół ludowych w Nordhausen było 49 uczniów w wieku 7 lat; z liczby tej 40 piło wódkę z przyzwyczajenia. Z 28 dziewcząt, uczennic 4 klasy, w wieku lat dziesięcu, 24 piło wódkę.

Literatura zagraniczna wyjaśnia dość szczegółowo przyczynę alkoholizmu w szkole. Winien przedewszystkiem niemoralny zwyczaj towarzyski, który każe ludziom we wczesnem dzieciństwie już poznać „rozkosze" napojów spirytusowych. Główna jednak część winy spada niewątpliwie na sam ustrój szkolny, który nie wyrabia w młodzieży dość siły woli do oparcia się zgubnemu nałogowi. Formalizm szkolny nie daje dość pożywienia dla młodego umysłu, który szuka innych dróg zaspokojenia głodu swego i w pogoni za czemś nieokreślonem chwyta się alkoholu, najzażartszego wroga swego.

Trudno wprost przedstawić sobie, jak straszne spustoszenie w młodym, kształtującym się dopiero i potrzebującym olbrzymiego zapasu energji organizmie sieje alkohol. Eksperymenty tego rodzaju nie tylko, że nie zwiększają sił, niezbędnych do walki życiowej, ale je wprost osłabiają, czyniąc z człowieka w młodości już jednostkę zwyrodniałą, niezdolną do zapasów z życiem, które go czekają.

Dane statystyczne stwierdzają bardzo wymownie, że alkohol niszczy duchowe siły młodzieży. Tak np. według obliczeń jednego z niemieckich lekarzy szkolnych, z pośród dzieci niepijących tylko u 8,3 proc. wynik nauki nie był zadowalający. Z liczby uczniów, pijących regularnie raz na tydzień, 16,5 proc. otrzymała zły stopień, i wreszcie z liczby pijących codziennie, odpowiedzi niedostateczne dawało 55 proc. Alkohol to, jak wiadomo, jedna z najgroźniejszych trucizn dla systemu nerwowego; nadużywanie napojów spirytusowych stanowi też niewątpliwie jedną z głównych przyczyn tego smutnego, ale niezbicie stwierdzonego faktu, że wśród uczniów kończących szkoły znaleść można poważną liczbę, dochodzącą do 25 proc., chorych nerwowo.

Propaganda antyalkoholiczna bardzo dobrze jest zorganizowana w szkołach amerykańskich. W roku 1902 wprowadzono we wszystkich amerykańskich zakładach szkolnych naukę fizjologji i hygjeny, przyczem pewna liczba wykładów obowiązkowo poświęcona być musi dokładnemu omówieniu alkoholizmu i wpływu jego na organizm. W chwili obecnej 22 miljony dzieci wychowują się w Stanach Zjednoczonych w surowej wstrzemięźliwości od wszelkich napojów spirytusowych.

W Anglji również walka z alkoholizmem w szkole prowadzona jest bardzo energicznie. W ciągu dziesięciolecia, od roku 1888 do 1898, urządzono w zjednoczonem królestwie 346,000 odczytów dla uczącej się młodzieży i nauczycieli. Słuchaczów odczyty te miały: około trzech miljonów uczniów i 127 tysięcy nauczycieli. Pozatem wśród uczącej się młodzieży zorganizowane zostały towarzystwa wstrzemięźliwości, które w roku 1905 liczyły w gronie członków swych półtrzecia miljona młodzieży. Zaznaczyć tu również należy, jako szczegół charakterystyczny, że przed trzema laty 15 tysięcy lekarzy zwróciło się do władzy szkolnej z podaniem, wykazującem konieczność wprowadzenia w szkole wykładów hygjeny i fizjologji, jako jednego z najskuteczniejszych środków walki z alkoholizmem.

Nie ulega jednak wątpliwości, że samą tylko propagandą nie wiele się zyska w walce z alkoholizmem. Niezbędne tu jest przedewszystkiem zasadnicze uzdrowienie szkoły i usunięcie szkodliwych czynników, przygotowujących podatny grunt dla rozkwitu alkoholizmu.

Rozmaitości

Historja bilardu. Według pewnego starego dokumentu angielskiego, gra w bilard pochodzi z XVI w., a wynaleziona została w Anglji. Wynalazca jej był właścicielem zakładu zastawniczego, a nazywał się Bill Kew. Poczciwy Bil nie miał wiele do czynienia, ponieważ interes prosperował bardzo dobrze, szukał więc rozrywki dla zabicia czasu. Wreszcie wynalazł sobie zabawę; grał na ladzie sklepowej trzyma kulami, które wisiały przed sklepem jako oznaka jego zakładu, przyczem posugiwał się drewnianym kijem, jakiego używają w sklepach bławatnych, a zwane są w Anglji „Yard". Zabawa ta go bardzo zajmowała i wypełniała mu czas wolny od zajęć sklepowych. Sąsiedzi zwrócili uwagę na tę szczególną zabawę i sami zaczęli się bawić kulami przy pomocy kija, który nazywali Bills Yard, z czego powstała późniejsza nazwa „bilard". To tłómaczenie nazwy bilardu nie jest zupełnie przekonywujące, ponieważ nie brak oznak, że powstanie słowa bilard pochodzi od francuskiego słowa „billes", oznaczającego kule.

* * *

Najstarsza mumja. Przebywająca w Egipcie ekspedycja nowojorskiego muzeum „Metropolitan" znalazła obecnie mumję, która ze wszystkich dotąd znanych jest najstarszą. Dotychczas sądzono powszechnie, że balsamowanie ciał bierze swój początek w okresie dwunastej dynastji, ale z czasów tych oprócz zwykłych szkieletów nic nie znaleziono.

To nowe wykopalisko amerykańskich archeologów jest, jak pisze Scientific American, pierwszym rzeczywistym dowodem, że już około roku 1800 przed Chrystusem balsamowanie zmarłych było w pełni rozkwitu. Mumję tę znaleziono podczas rozkopywania starych grobowców w okolicy piramid, znajdujących się 35 mil na południe od Kairu. Na jednem takiem cmentarzysku, które pochodzi z czasów dwunastej dynastji, otworzono około 100 grobów.

Wkrótce po rozpoczęciu robót przekonali się archeologowie, że już w poprzednich stuleciach wyprzedzili ich jacyś łupieżcy, gdyż we wnętrzu nie znaleziono żadnych kosztowności. W końcu jednak natrafiono na grób, który już wprawdzie był otwierany, ale jeszcze nie zrabowany. Było to miejsce wiecznego spoczynku pewnej matrony, która się zwała Senbtes, a znajdowało się w głębokości 26 stóp pod powierzchnią. Łupieżcy zostali widocznie przy robocie spłoszeni, gdyż pozostały po nich takie ślady, jak np. na wpół poodrywane z ozdób liście złote.

Grobowiec składał się z dwuch sal: zewnętrznej, w której znajdowały się ganki, wazy itp. i wewnętrznej, mieszczącej w sobie trumnę. Ciało spoczywało w trzech skrzyniach: pierwsza, zewnętrzna, prawie całkiem rozsypana, następna, prawdopodobnie z cedrowego drzewa; jeszcze w dobrym stanie; trzecia wreszcie owinięta była w szal, pod którym znajdowały się jakieś religijne napisy i dyscyplina. Ta ostatnia trumna miała, jak wszystkie pochodzące z czasów dwunastej dynastji, kształt ciała ludzkiego, — była w bardzo dobrym stanie i nader starannie zrobiona. Bliższe badanie mumji wykazało, że są to szczątki niezwykle małego wzrostu niewiasty, zmarłej prawdopodobnie w pięćdziesiątym roku życia. Twarz bardzo mała, prawie dziecinna, oczy duże, okrągłe, nos proporcjonalny, zęby drobne. Kazała się ona widocznie pochować ze wszystkimi kosztownościami, znaleziono bowiem przy niej trzy złote pierścienie, 95 małych rozetek złotych, które służyły jako ozdoba do włosów, złoty naszyjnik, naramienniki, pas i wiele innych przedmiotów ozdobnych, a wszystko ze złota i kości słoniowej.

Z literatury i sztuki

„Myśl Niepodległa", Treść nr. 72 (trzecia dekada na sierpień): Uczony i światowiec. — Potrzeba filozofji, Jan Hempel. — Idolatrja kościoła rzymsko-katolickiego, Marja Aleksandra Walewska. — Inteligencja kwiatów, Maurycy Maeterlinck. — Kalendarz wolnego myśliciela — Zapiski. — Książki.

Adres: Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 36. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 5 września 1908.

MARJA KONOPNICKA

Idzie cichy wiatr przez pole.

Idzie cichy wiatr przez pole,
Kołysze się falą żyto...
Hej, cyganko! hej, wróżbito!
Wywróżże mi moją dolę.
A wróż mi ją z gwiazdy onej,
Co nad chatą naszą świeci...
Z tego szumu, co tam leci
Od Dąbrowy, od zielonej.
A wróż mi ją z prawej ręki,
Z prawej ręki żywicielki...
Ze źródełka u grobelki,
Co zaklęte gra piosenki!...
A wróż mi ją dobrem słowem,
Z onej tęczy, z onej wstęgi,
A wróż mi ją pismem owem,
Co to stare piszą księgi!

* * *

— Doli twojej nie ma w księdze,
Ni na wodzie, ni na niebio,
Jeno w czarnym twoim chlebie,
Jeno w siwej twej siermiędze.
Ani z gwiazd złotego snopa,
Ani z szumu u grobelki,
Tylko z ręki żywicielki
Wrożyć mogę dolę chłopa.

* * *

Oj, będziesz ty wielkim panem,
Ni to królem, ni hetmanem...
Twoje państwo — jak świat długi
Zaorany twymi pługi.
Będziesz chodził ty w czerwieni
Potu swego krwawej rosy...
W złocie, w srebrze tych promieni,
Co padają od twej kosy...
Wykopiesz ty skarb bogaty,
Gdzie ta rola zaorana,
I talary i dukaty,
Nie dla ciebie, lecz dla... pana.
Umiłuje cię królowa,
Co się odrzec siebie nie da,
I wiary tobie dochowa
Aż do śmierci... Krwawa bieda!
Nocką uśpi, nocką zbudzi,
Strzedz zasiądzie twego proga;
Ani tobie z nią do ludzi,
Ani tobie z nią do Boga...
Jak się wiosną ruszą kwiatki
I roztają rzeki z lodu,
Uśpi ona swoje dziatki
Pieśnią płaczu, pieśnią głodu...
A i ciebie droga czeka:
Nie szeroka, nie wysoka,
Ale w ziemię, het! głęboka,
Ale w górę, het! daleka.
A będą cię prowadziły
Oną drogą woły siwe
I te dzwony żałośliwe,
Na pokoje — do mogiły!

Krowa.

(Z norweskiego.)

Na jarmarku, na placu, gdzie sprzedają bydło, stała jakaś staruszka, a obok niej krowa. Stała na uboczu ze swoją krowiną, nie wiadomo, czy przez skromność, czy może właśnie chciała tym zwrócić na siebie uwagę. Stała spokojnie, chustkę zsunęła z głowy nieco na czoło, osłaniając się od słońca i robiła pończochę, której już sporo zwinęła w gruby wałek. Odziana była według dawnej, ładnej mody w spódnicę barwy indygo, zdaleka już przypominającą zapach garnka, w którym się rozrabia farby — zapadłą pierś okrywała brunatna krzyżówka szydełkowej roboty. Chustka na głowie była pomięta, znać na niej było, że składano ją wielokrotnie, drewniane trepy miała schodzone, ale czyściutkie. W siwych włosach tkwił piąty drut, ilekroć odpoczywały jej stare, spracowana palce. Stała z uszyma zwróconemi w stronę muzyki, dolatującej z jarmarcznej budy lub rozglądała się nieco po ludziach i bydle, które obok niej targowano. Otaczał ją zewsząd gwar i ryk, rżenie koni i wrzawa od strony wybrzeży, do którego przybijały łodzie, nawoływania kuglarzy i uderzenia bębna, ale ona stała cichutko na słońcu i robiła pończochę.

Obok niej, głową dotykając nie mal jej łokcia, stała krowa, z obwisłym brzuchem i nogami na zewnątrz odwiniętymi i przeżuwała. Była to krowa stara, ale apetyczna, zdrowa, dobrze utrzymana. Tył i uda miała nieco kanciaste, ale zresztą wszystko było u niej nienaganne, wymiona wyprężone, kosmate, a ładne, czarne z białem rogi wykazywały nie nazbyt dużo krążków. — Stała z wilgotnymi oczyma i żuła po raz drugi pokarm, zawsze od lewej ku prawej stronie poruszając dolną szczęką, a przełknęła porcję, obraciała się i rozglądała, wracając zaraz do dawnej, spokojnej pozycji, oczekując drugiego kęsa, aby jej z gardła wsunął się do gęby. Była to zdrowa, obiecująca krowa, która już przyszła do lat rozeznania i przeżyła wszystko, co może spotkać krowy, wydała na świat cielęta, nie mając prawa zobaczyć ich lub polizać, w spokoju spożywała swą trawę i dawała mleko. A teraz przeżuwa sobie tu, równie dobrze, jak gdziekolwiek indziej, wymachując ogonową wiechą, aby odegnać muszyska. Sznur starannie owijał jeden z rogów, bo przecież nie ucieknie — a dziś

nowiuteńki sznur, nie ten stary, cienki, rozkręcony, którego używano na codzień. Stara Anna chciała, aby krowa dobrze się wydała.

Była to sztuka jak raz do bicia, to też niebawem jakiś człowiek podszedł, począł ją oglądać i raz w raz wgniatał palce w jej grzbiet, co ją trochę obruszyło, ale nie zdołało wywrzeć gniewu.

— Ile za tę krowę, babko? — zapytał mężczyzna, przenosząc swój bystry wzrok z krowy na Annę. Anna nie przerywała roboty.

— Nie na sprzedaż — odparła. I aby skończyć wszelką rozmowę, ujęła druty jedną ręką, a drugą energicznie utarła nosa. Człowiek odszedł, ale jak gdyby ociągając się, gdyż nie mógł oderwać oczu od krowy.

Wkrótce potem jakiś elegancki, wygolony rzeźnik śmignął po rogach krowy i opuchniętą ręką szybko po niej przesunął.

— Ile chcecie za krowę?

Stara Anna najpierw popatrzyła na krowę, która pobożnie mrużyła oczy przed trzciną, poczem odwróciła głowę i zdawała się dostrzegać coś w dali, co pochłonęło całą jej uwagę.

— Nie na sprzedaż.

I skończyła. Nasz kupiec pomknął dalej w swoim krwią popryskanym płaszczu od kurzu. Niedługo potem znalazł się znów nabywca. Stara Anna potrząsnęła tylko głową — krowa nie jest do sprzedania.

Skoro tę samą odpowiedź dała kilku ludziom, rozeszło się po jarmarku. Jeden z tych, którzy już przedtem dopytywali się o krowę, powrócił i chciał wreszcie dobić targu, dając wcale pokaźną sumę. Stara Anna stanowczo odmówiła.

— Czy już może sprzedana? — zapytał.

— Nie, bynajmniej.

— Dlaczegoż więc stoicie tu i paradujecie ze swoją krową razem?

Staruszka głowę spuściła, lecz robiła pończochę zawzięcie.

— Co? Dlaczego stoicie tu z krową? — zapytał handlarz z gniewem. — Czy to wasza krowa?

— Tak, a jakżeby nie. — Naturalnie, że jej krowa. Miała ją od cielęcia. Przyszło jej na myśl, że może opowiadaniem udobrucha złośnika, więc mu słów nie żałowała. Ale on jej przerwał:

— Czegoż tu stoicie i ludzi macie za głupców?

— Ach, Boże!... — westchnęła Anna i umilkła nieszczęśliwa. Nie wie, gdzie oczy zwrócić, tak jej przykro. A człowiek ów naciera dalej rozgniewany:

— Pytam, czyście przyszli na jarmark kpić sobie z ludzi?

Na to zaprzestaje Anna roboty. A odwiązując sznur od rogu krowy i gotując się do drogi, patrzy serdecznie i z prośbą w oczach na handlarza:

— To taka samotna krówka — zwierza mu się w zaufaniu — taka samotna krowina! Mam ją przecież tylko jedną w mojej maluśkiej chudobie i tak rzadko schodzi się z innymi bydlątkami. Mieszkam daleko od ludzi. Pomyślałam sobie, że zaprowadzę ją na jarmark, gdzie spotka się z innymi i rozerwie się trochę. — Myślałam, że to przecież nikomu nie zawadzi i przyszłyśmy tu. Ale nie jesteśmy na sprzedaż i już sobie wracamy. A także przepraszamy. I bywajcie zdrowi. Dziękujemy pięknie.

Urywek z pamiętnika ucznia szkoły ludowej.

(Przepisał X.)

... a jak mama wygra na loterji, to kupi mi spodnie, ja nie będę chodził więcej w spodniach Józka i już! Chłopcy się wciąż na mnie patrzą i śmieją się, mówią, że te spodnie, to ani krótkie, ani długie. Oni nie wiedzą, że to Józka. A na niego to akuratnie. Mama mówi, dobrze, że jeden chodzi rano, a drugi popołudniu do szkoły, bo możemy sobie zmieniać, a ja mówię, że to nie dobrze, bo Józek wychodzi ze szkoły o 12., a ja mam być w szkole o 11., tymczasem on na złość nie wraca, aż o pół do pierwszej, nim on zdejmie, nim ja przewdzieję, nim ja zajdę do szkoły — to już jest pierwsza godzina. Z początku pan mówił zawsze: Kopytko znowu się spóźniło o dwie godziny, dlaczego? Ja nic. Pan był zawsze na mnie gniewny, czekałem, kiedy tylko zaprowadzi mnie za karę do tej piwnicy z myszami, albo do tej ze szczurami, bo mi wciąż to obiecywał. Raz wziął pan mnie za rękę, pogłaskał po głowie i powiedział: Niech się Kopytko nie boi, ja Kopytce nic złego nie zrobię, ale niech mi Kopytko szczerze powie, dlaczego się codziennie spóźnia. Ja w płacz. Tak mi jakoś płakać się zachciało. Powiedziałem wtedy, że Józek późno wrócił ze szkoły i że ja spodni nie miałem.

Pan wyjął chusteczkę, kilka razy nos wysiąkał i kazał mi iść na miejsce. Później powiedział mi do ucha, że dostanę za kilka dni spodnie. Już miesiąc mija od tego czasu, ja codziennie późno przychodzę, pan wciąż nos siąka, a spodni nie daje. Macie profesora! A tu święta nadchodzą, muszę zarobić coś szopką, muszę wywinszować sobie przynajmniej blata, bo mama mówiła, że próżniaka chować nie myśli. A tu spodni niema i niema!

Ileż to człowiek ma przez to kłopotu. Niedawno przyszedł do naszej szkoły taki pan z czerwonym nosem i mówił, że będzie puszczał obrazy związku rodzicielskiego za pięć fenigów. Pan nasz kupił mi bilet na te obrazy i mówił, żebym przyszedł jutro na to przedstawienie, bo jest towarzystwo takie dobre, że tak tanio puszcza obrazy dla uczniów, a za zebrane pieniądze spisuje, ile dzieci nie je śniadania, ile nie ma koszuli. Ale Józek mówi, że niech to towarzystwo szlak trafi, kiedy nie puszcza za darmo biednych na te komedje.

Jego nie chcieli puścić, więc on zły, poszedł gdzieś z domu i mnie zostawił bez spodni. Zacząłem płakać, więc mama poszła do pani doktorowej, której wszystko pierze i prosiła, aby dała stare spodnie swego synka. Pani doktorowa — opowiadała mama — mówiła, że ona ma dobre serce, że mama sama sobie winna, kiedy wychodziła za mąż za takiego murarza, który sobie kark skręcił i dała mamie sukienkę swojej dziewczynki dla mnie. Mama obcięła sukienkę i zrobiła mi z tego surdut — a spodni jak niema, tak niema. Musiałem zostać w domu, bilet ze złości podarłem, płakałem i za to dostałem od mamy baty. Ale i Józek miał za swoje. Przyprowadził go jakiś pan, który go złapał, gdy zbierał rozsypane węgle. Mama myślała z początku, że to pan rewizor, bo mówiła, że miał bardzo podejrzany wygląd, a to pokazało się, że to kto inny: Jestem członkiem ligi obyczajności społecznej i — powiedział on — i przyprowadziłem małego złodzieja, który kradł węgle. Jeśli go jeszcze raz złapię — to matka jego pójdzie do kryminału.

Mama się rozgniewała bardzo i powiedziała mu, żeby mnie kupił spodnie, kiedy jest panem z obyczajności, bo to nieobyczajnie jest chodzić w dzisiejszych czasach bez spodni. On zaczął na mamę krzyczeć, mama jeszcze głośniej i zbiła Józka, a ja z łóżka wystawiłem mu gołą .... On krzyknął „hołota“ i trzasnął drzwiami.

Nie pójdę do szkoły już aż za tydzień, tak nam pan zapowiedział i życzył nam wesołych świąt.... Ciekawy jestem, czy człowiek będzie miał na święta spodnie, czy nie?

Koleje elektryczne.

Najważniejszem zadaniem gospodarczem naszych czasów jest bez kwestji zamiana kolei parowych na elektryczne. Nie mówiąc już o tym, że kopalnie węgla mogą ulec wyczerpaniu, trzeba liczyć się z jego wzrastającą drożyzną, która wpływa hamująco na rozwój środków komunikacji. Zależność komunikacji kolajowej a wraz z nią całego naszego życia gospodarczego od cen węgla może z biegiem czasu stać się wprost fatalną, i ludzie przewidujący oddawna już szukają wyjścia z tego położenia. Środkiem, który w ramach obecnego ustroju społecznego najlepiej do tego celu prowadzi, jest właśnie zamiana trakcji parowej na elektryczną.

Pod tym względem postęp najdalej się posunął w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. W dalszym ciągu będziemy mówili o stosunkach w tym kraju.

Amerykańskie koleje elektryczne dzielą się na miejskie i podmiejskie. Te ostatnie, łącząc większe miasta z okolicami podmiejskiemi, z miejscowościami służącemi dla wycieczek albo z drobniejszemi miastami, i rozciągając się często na 100 kilometrów i więcej, obsługują zarazem wieś. Główną zaletę amerykańskich kolei elektrycznych podmiejskich stanowi gęstość pociągów, których na przestrzeni 20—30 kilometrów kursuje dziennie zazwyczaj nie mniej 40, czasami zaś do 70 w każdym kierunku; na większej przestrzeni, wynoszącej 100 i więcej kilometrów, wy-

puszcza się dziennie do 20 pociągów w jednym i tyleż w drugim kierunku. Pozatem koleje amerykańskie odznaczają się szybkością daleko większą niż europejskie. Cechą amerykańskich kolei jest także bezpośredniość i dogodność komunikacji pomiędzy miastem a wsią. Elektro-wozy wychodzą z punktów, znajdujących się w środku miasta, biegną torem miejskich kolei elektrycznych, zatrzymując się w wielu miejscach dla przyjęcia i wysadzenia pasażerów, pozatem przechodzą na tor podmiejski i pędzą nim z ogromną szybkością, dochodzącą do 95 kilometrów na godzinę, co nie przeszkadza częstemu zatrzymywaniu się na przystankach.

Koszty eksploatacji kolei elektrycznych w porównaniu z parowemi są o wiele niższe. Stosunek procentowy wszystkich wydatków eksploatacyjnych do dochodu brutto na kolejach elektrycznych i parowych przedstawia się jak następuje:

	Kol. elektr.	Parowe.
Maximum . . .	86,4	101,2
Minimum . . .	53,1	58,2
Przeciętnie . . .	65,7	75,5

Według danych, zebranych przez inżyniera F. Streets'a dla 22 kolei, przeciętny roczny koszt reparacji, obliczony na jeden wagon, wynosi przy eksploatacji parowej trzy razy więcej niż przy elektrycznej.

Naturalnym skutkiem niższych kosztów eksploatacyjnych jest obniżenie cen na przejazd. W istocie taksa kolei elektrycznych jest wszędzie tańszą od taksy kolei parowych.

Rozwój komunikacji elektrycznej może być unaoczniony przez następujące zestawienie:

	1890	1902
Ilość towarzystw kolejowych . .	789	987
Długość linji w kilom.	9300	27000
Długość toru	13000	36000
Kapitał zakładowy w miljon. frank.	195	1085
Ilość wagonów osobowych . . .	32000	60000
Ilość pasażerów w miljonach . .	2400	5800

Komentarze do tych cyfr są zbyteczne, zasługuje jednak na uwagę ogromny wzrost kapitału zakładowego. Długość linji kolejowych i długość torów potroiła się, podczas gdy kapitał zakładowy powiększył się więcej niż pięć razy. Przyczyna leży w tem, że eksploatacja siły wodnej, służącej do wytwarzania prądu elektrycznego, wymaga znacznych nakładów. Wogóle zmiana trakcji parowej na elektryczną związana jest z wielkiemi kosztami. Tak np. we Włoszech koszt wprowadzenia elektryczności na 10 kolejach obliczony jest na 70 mil. lir. Gdyby choć część projektowanych obecnie kolei elektrycznych w prędkim czasie została ukończoną, mielibyśmy do czynienia z niebywałą dotąd drożyzną pieniędzy, ale też doczekalibyśmy się prędkiego końca kryzysu.

W każdym razie Stany Zjednoczone rozwiązały najważniejszy problemat techniczny i gospadarczy współczesności i nie ulega wątpliwości, że inne kraje w prędkim czasie będą musiały pójść ich śladem. Trzeba pamiętać jednak, że szerokie rozpowszechnienie kolei elektrycznych jest technicznie możebne tylko w tym wypadku, jeżeli eksploatację siły wodnej obejmie państwo, co ze swej strony wymaga upaństwowienia tej siły. Widzimy więc, że wprowadzenie kolei elektrycznych na szeroką skalę pociąga za sobą daleko idące konsekwencje, które w czasie obecnym nawet trudno jest przewidzieć.

Pogadanka przyrodnicza.

Dzieci natury.

Wśród zgiełkliwego życia współczesnego, którego bożyszczem jest kapitał, najprzedniejszą zaś troską — żądza zysku i wyzysku, w zamęcie ogólnego znieprawienia i zwyrodnienia, słyszeć się dają niekiedy nawoływania moralistów burżuazyjnych, głoszących powrót do natury. Powrót do natury, do prostych, niezłożonych warunków bytu, do sposobu życia człowieka pierwotnego — oto środek cudowny, oto źródło kastylskie dobrobytu i szczęśliwości powszechnej. Jakkolwiek dobrze wiemy, co sądzić o podobnych receptach uzdrowienia niedomagań społecznych, jakkolwiek pojmujemy, iż istotnej poprawy szukać należy na drodze postępu, dążącego do całkowitego zniesienia istniejących stosunków własnościowych, nie od rzeczy będzie przyjrzeć się temu, jak owa natura wygląda — na miejscu, na wyspie Madagaskarze, wedle świadectwa podróżników francuskich.

W miesięczniku „La Revue“ znajdujemy niezwykle zajmujący obraz życia i obyczajów mieszkańców tej wyspy. Dalecy jesteśmy od chęci idealizowania panujących wśród tubylców stosunków, niepodobna jednak zaprzeczyć, że obcą im jest całkowicie obłudna pruderja i podwójna moralność społeczeństw mieszczańskich.

Malgaszowie — nazwa plemienia — wyrobili sobie całkiem swoiste wyobrażenie o cnocie niewieściej. Umiejętność dobrego przyrządzania strawy, gospodarne zarządzanie wspólnem mieniem, wreszcie rodzenie możliwie największej ilości dzieci — takiemi są zalety dobrej gospodyni. Jeżeli jest ona jeszcze wierną żoną, uznana będzie za doskonałość, chociaż wierność małżeńska nie jest znowu czemś nieodzownie koniecznem. Jeszcze bardziej pobłażliwem jest prawo obyczajowe Malgaszów wobec kobiet niezamężnych. Młoda dziewczyna może dowolnie rozporządzać swem ciałem, używać i nadużywać, nie zdając rachunku przed nikim. Nie stanie jej w tem na przeszkodzie żaden kodeks moralny, piętnujący jej „błędy“, pojęcie to bowiem podobnież, jak pojęcia: „czystość“ lub „dziewiczość“, nie istnieje w słownictwie Malgaszów. Wszelka powściągliwość wydaje się w ich oczach śmiesznym, niepotrzebnym wysiłkiem, pogwałceniem przyrody — okoliczność, wprawiająca w niemały kłopot misjonarzy europejskich.

W gorącym klimacie Madagaskaru nader wcześnie następuje dojrzałość płciowa: u chłopców między ósmym a dziesiątym rokiem, u dziewcząt jeszcze pierwej. W tym wieku zawierane zostają pierwsze związki małżeńskie. W szkółkach miejskich i wiejskich napotyka się znaczną ilość podobnych młodych par. Chłopiec dwunasto albo trzynastoletni posiada ośmioletnią żonę, oboje uczą się czytać i pisać. Młode stadło rozporządza nieraz własnem gospodarstwem. Trudno powstrzymać się od śmiechu, gdy się patrzy na taką malutką żonę, z poważną minką krzątającą się przy ogniu, na którym gotuje się ryż dla męża. I mąż ze swej strony nie zapomina o ciężących na nim obowiązkach. Znosi drzewo z lasu, dostarcza ryb i mięsa, podarowanego mu przez rodziców, lub zdobytego na własną rękę w chwilach wolnych od nauki. Nie trzeba jednak sądzić, by młodociane owe związki były trwałe. Dziewczynka jest lekkomyślna, a chłopiec niestały. Stąd na porządku dziennym są ciągle zmiany małżonków, zmiany spokojne, bez scen zazdrości, bez ujmy dla dobrej sławy którejbądź ze stron.

Z wiekiem przychodzi stateczność i związki małżeńskie w pewnej przynajmniej mierze zyskują na trwałości. Dzieci, które mogła mieć kobieta od różnych mniej lub bardziej nieznanych ojców, nigdy nie są ciężarem dla matki, przeciwnie stanowią jej dumę, zdobywają dla niej tem gorętsze przywiązanie męża, który własne i cudze dzieci bez różnicy traktuje: prawo obyczajowe tubylców nie rozróżnia urodzenia prawego od nieprawego.

Stosunki płciowe u Malgaszów mają wyłącznie na względzie utrzymanie gatunku. Każde dziecko więc, bez różnicy pochodzenia, jednakowo jest pożądane, zwłaszcza że wychowanie jego tak mało kosztuje zachodu. Malgaszowie nie odznaczają się wygórowanemi wymaganiami. Trochę ryżu, ugotowanego na wodzie, okraszonego lekką polewką z mięsa lub ryby, nieco jarzyn i wody stanowi wyborny posiłek, zarówno na stole potężnego wodza, jak i najskromniejszego z jego poddanych. Troska o napełnienie kilku drobnych gęb nie sprawia w podobnych warunkach większej trudności. Jeszcze prościej przedstawia się kwestja ubrania. Do paru lat wszystkie dzieci chodzą całkiem nago. Dzieci starsze poprzestają na kawałku płótna, odciętego od garderoby jednego z rodziców, w które drapują się z godnością osoby, dojrzałej do noszenia na barkach malowniczej ozdoby.

Łatwość życia, brak większych potrzeb, niewybredność wymagań w znacznej mierze zbyteczną czynią własność prywatną. Rodzice nigdy nie kłopoczą się o materjalny byt swych dzieci, nie troszczą się o pozostawienie im spadku, w postaci znaczniejszych dóbr doczesnych. Jakąż mogłaby być owa spuścizna w kraju, gdzie pieniądz niemal jest nieznany, gdzie grunt nie przedstawia wartości, gdzie wszędzie poddostatkiem znaleźć można ziemi dziewiczej, dającej się użyć z łatwością pod uprawę ryżu lub za pastwisko? Stada — jedyna widoma oznaka majątku — pozostają niepodzielone. Każde z dzieci, widząc je pasące się na wspólnej

łące lub powracające gromadnie do zagrody, z równą słusznością czuć się może uprawnionym ich posiadaczem.

Malgaszowie nie znają, jak my, przesądu nazwiska. Dziecko nigdy nie nosi imienia swego ojca — przeciwnie, zarówno ojciec, jak matka otrzymują imiona swych dzieci. Zaraz po urodzeniu niemowlę, o ile jest płci męskiej, nazywa się „Koto", „Toto" lub „Boto", co znaczy poprostu: „chłopak", jeżeli zaś jest płci żeńskiej: „Ketaka", „Bozi", albo „Halo" („dziewczynka"). To imię ogólne w zupełności wystarcza na potrzeby pierwszego okresu ich życia. Z czasem dopiero jakaś okoliczność przypadkowa, kolejność w rodzeństwie, lub wreszcie właściwość fizyczna nadaje imię własne. Po ożenieniu się Malgasz ma dziecko, które nazywa się Koto. Odtąd poczyna się on nazywać „Idanikoto" (ojciec Kota); matka nazywa się „Inonikoto" (matka Kota). Przyjście na świat drugiego dziecka sprowadza ponowną zmianę w imionach rodziców. Nigdy jednak imię dziecka nie mówi nic o jego pochodzeniu, jak również nie wskazuje na to, czy urodzenie jego było legalne. Człowiek oceniany tu bywa wedle jego cech osobistych, nie zaś na zasadzie mniej lub bardziej długiego szeregu przodków, których mógł mieć poza sobą. Nadmienić należy, że owi antenaci znacznie bardziej są przedmiotem obawy, aniżeli szacunku. Jakkolwiek w chwilach uroczystych wywołuje się ich duchy, jednakowoż raczej w celu uproszenia o nieszkodzenie potomkom, niż w zamiarze pozyskania ich orędownictwa. „Naprzód".

Rozmaitości

Rehabilitacja zdegradowanej świętej. W państwie cara nietylko dostojnicy idą w „duraki" za byle przewinienie. Tam nawet święci muszą się stosować — choćby po śmierci — do woli „naczalstwa". Wprawdzie nawet degradacja świętego może kiedyś być zniesioną i święty może być rehabilitowany, ale to się rzadko zdarza.

Takiej rehabilitacji świętej dokonał zjazd misjonarski, który niedawno obradował w Kijowie. Zjazd ten, o którym nawet „Nowoje Wremia" napisała, że był to zjazd największych wstecznków, dał dowód przecież niesłychanego liberalizmu, gdyż uznał, że czy się kto żegna dwoma palcami, czy trzema może dostać się do nieba. Dotychczas prawo do nieba miał tylko prawosławny, żegnający się trzema palcami. Tej wielkiej wolnomyślności dopuścił się zjazd misjonarski z następującego powodu:

W wieku siedmnastym żyła świątobliwa niewiasta, żona księcia Michała, władcy Tweru, Anna z Kaszyna. Męża jej zamordowano w Złotej Hordzie, dokąd był się udał ze zwykłym haraczem. Wdowa włożyła habit, a po śmierci była kanonizowana na tej podstawie, że kiedy w roku 1648-ym otwarto jej trumnę to się przekonano, że czas nie miał najmniejszego wpływu na zwłoki. Natychmiast zebrał się sobór i uznał księżnę Annę za świętą. Wznoszono cerkwie pod jej wezwaniem, rozpowszechniano jej ikony, odbywano do jej grobowca pielgrzymki.

Lecz ubiegły lata, powstała sekta, żegnająca się dwoma palcami, a nie trzema, jak nakazuje prawosławie. — Wówczas to pewnego razu spostrzeżono, że spoczywająca na piersi ręka świętej ma tylko dwa palce złożone tak, jakby do uczynienia znaku krzyża. — Dano o tem znać władzy duchownej, która powołała komisję śledczą, a następnie nowy sobór, on zaś uchwalił: „Trumnę zamknąć i opieczętować, księżnej nie uważać za świętą, ikonu jej nie malować, ani cerkwi, ani ołtarzy pod jej wezwaniem nie wnosić." Słowem, zdegradował świętą.

Nie wiadomo, jak z tego kłopotu wybrnęli aniołowie w niebie, ale na ziemi policja i biurokracja dopilnowały, aby rozkaz synodu był wykonany: zniszczono ikony św. Anny, wyrzucono jej imię z ksiąg cerkiewnych, przemianowano cerkwie jej imienia.

Lecz nie wszyscy wiedzieli o degradacji i ci wciąż się modlili do św. Anny. Więc w końcu na wniosek arcybiskupa petersburskiego Antoniusza, synod kijowski rehabilitował zdegradowaną świętą, chociaż złożyła ona tylko dwa palce do znaku krzyża.

* * *

Morze Śródziemne podnosi się. Na podstawie dokładnych badań wybrzeży zachodnich Morza Śródziemnego ogłosił prof. A. Gnirs w Poli studjum, w którym wykazuje, że od 2000 lat zwierciadło wody w Morzu Śródziemnym podniosło się o dwa metry. Dowody swego twierdzenia opiera autor na obserwacji starych budowli na wspomnianych wybrzeżach, a zwłaszcza budowli wodnych, które przed laty położone powyżej powierzchni wody, dziś poniżej jej się znajdują.

* * *

Plaga tygrysów. Czasopismo indyjskie „Modera review" podaje kilka zajmujących szczegółów o niebezieczeństwie tygrysów. W latach 1900—1904, 4000 ludzi padło ofiarą żarłoczności tych zwierząt. Podczas głodu statystyka wykazuje zazwyczaj większą liczbę ofiar, ponieważ wygłodzone zwierzęta schodzą z gór w doliny, gdzie stają się tembardziej niebezpiecznemi. W czasie od 1880—1884 r. tygrysy pożarły 190 000 sztuk bydła. Suma ofiar ludzkich, zabitych przez tygrysy, stanowi 37% ogólnej liczby ludzi, zabitych przez dzikie zwierzęta. Nie wszystkie tygrysy są ludożercami; skoro jednak tygrys raz zakosztuje mięsa ludzkiego, staje się nader niebezpiecznym i bywa powodem strasznych nieszczęść. Donoszą o jednym tygrysie, który sam zabił 200 ludzi, jeden zaś z tygrysów, żyjących w Himalajach, pochłonął 200 ofiar w ludziach, nim udało się go upolować.

* * *

Nowy sposób leczenia raka. W londyńskich kołach lekarskich czekają z wielkiem zaciekawieniem na wyniki nowego sposobu leczenia raka, stosowanego przez lekarza tamtejszego dra Roberta Bella. Bell podjął się wyleczenia 10 osób, u których po operacji nastąpiła recydywa. Między jego pacjentami znajduje się kobieta, której lekarze przepowiadali już tylko 4 tygodnie życia. We wszystkich dziesięciu wypadkach choroba jest bezwarunkowo stwierdzona. Zdaniem dra Bella operacje przy chorobie raka są zupełnie bezcelowe; rak nie jest bowiem wynikiem mikrobów albo pasożytów, lecz chorobliwego zwyrodnienia tkanek. W sposobie leczenia dra Bella ważną rolę odgrywa djeta; pozwala on jedynie na używanie pokarmów niegotowanych, przedewszystkiem zaś poleca sałaty, jaja, owoce surowe, mleko, ser. Oprócz tego świeże powietrze, czystą wodę i wogóle dobre warunki hygjeniczne. Resztę kuracji mogą przeprowadzić tylko lekarze, którym Bell chętnie przyrzeka udzielać potrzebnych wskazówek. Głównym stosowanym przezeń środkiem jest kwas formylowy (mrówczany), który, jego zdaniem, nietylko niszczy komórki rakowate, lecz także neutralizuje trujące substancje, znajdujące się we krwi.

Z literatury i sztuki

„Nauka dla wszystkich". Treść nr. 8: Galicja. — X. Y.: Wiarygodność dzieci. — Z dziejów polskiego charakteru narodowego. — Dni stworzenia. — Żywica. — Rozmaitości: Pierwotni mieszkańcy Ameryki. — Opadki wielkiego miasta.

Adres: Księgarnia M. Arcta w Warszawie. Rocznie 75 kopiejek.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 37. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Ga zety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 12 września 1908.

MARJA KONOPNICKA.

A czemuż wy chłodne rosy padacie?

A czemuż wy chłodne rosy
Padacie,
Gdym ja nagi, gdym ja bosy,
Głód w chacie?...
Czy nie dosyć, że człek płacze
Na ziemi,
Co ta nocka sypie łzami,
Srebrnemi?

* * *

Oj, żebym ja poszedł ino
Przez pole,
I policzył łzy, co płyną
Na rolę...
Strachby było z tego siewu
Żąć żniwo,
Boby snopy były krwawe,
Na dziwo!

* * *

Przyjdzie słonko na niebiosy
Wschodzące,
I wypije bujne rosy
Na łące...
Ale żeby wyschło naszych
Łez morze,
Chyba cały świat zapalisz,
Mój Boże!

MARJA KONOPNICKA.

Wsiałem ci ja w czarną rolę...

Wsiałem ci ja w czarną rolę
Na wiosnę
Dwie głowiny chłopiąt moich
Żałosne,
Co daremnie poglądały
Oczyma,
Czy w komorze kęsa chleba
Gdzie nie ma?...

* * *

A i cóż mam z tego siewu
Za plony?...
Jeno krzyżyk na cmentarzu
Zielony...
Jeno gorzkie te piołuny
Na grobie...
I tarniny czarnej krzaki
W żałobie!

* * *

Oj, ty ziemio, ziemio stara
Rodzico!
Darmo ty się karmisz naszą
Krwawicą...
Darmo kośćmi naszych dziatek
Nieboże,
Kiedy chleb twój nas wyżywić
Nie może!...

Pijaństwo i gorączka.

Komedja w dwóch odsłonach, z pięciu osobami działającemi.

Rzecz dzieje się w Ameryce, w stanie Illinois. Czytelnicy są proszeni, by nie robili, niedyskretnych porównań z naszymi przedstawicielami sprawiedliwości, porządku i własności.

Osoby:

Komisarz policji
Policjanci
Kryminalista ubogi
Kryminalista bogaty.

Komisarz siedzi za stołem, pokrytym księgami prawnemi i papierami.

Scena pierwsza.

Policjant Dzierżymorda wpycha pijaka wytrzeźwionego, który przepędził noc w kozie.

Komisarz (z miną wyrażającą zły humor): Co ja widzę?... Mizeraku, znowu upiłeś się?

Mizerak: Niech mi pan wybaczy, panie komisarzu; sprawiłem sobie frajdę w dzień moich imienin i może być, że wypiłem troszkę za dużo, ale nikomu nic złego nie uczyniłem... Ale ten policjant obszedł się ze mną, jak z bydlęciem, skrępował mnie bez żadnej przyczyny, kopał mnie nogami i ciągnął za włosy po schodach.

Komsarz (na całe gardło): Milcz kanaljo! Policjant spełnił swój obowiązek! Dla takich pijaków, jak ty, nic nie może być złem. Masz dwa tygodnie kozy.

Mizerak: Ale ja jestem bez grosza, Przez was stracę miejsce — moja żona i dzieci będą w nędzy za to, że ja wypiłem o jednę szklankę za dużo.

Komisarz (wrzeszczy na całe gardło): Tem gorzej dla ciebie. (Do policjanta). Zaprowadź tę kanalję do więzienia.

Policjant nie każe sobie tego powtórzyć dwa razy, ale chwyta skazanego i ciągnie go za sobą.

Mizerak (błagającym głosem): Alez p. komisarzu... moja żona... moje dzieci...

Komisarz (rycząc): Przestań się upijać, psiakrew, to nie pójdziesz do więzienia!

Skazanego wynoszą gwałtem.

Scena druga.

Policjant Głuptasek wprowadza jegomościa dobrze ubranego, ale pijanego, jak świnię. Jegomość dobrze ubrany wymyśla ciągle policjantowi i potrąca go.

Komisarz: Co ja widzę, policjancie Głuptasku! Co robisz tutaj z moim przyjacielem panem Grubym Workiem.

Policjant: On jest pijany, jak sztok, panie komisarzu. Zaczepia kobiety na ulicy, potrąca ludzi, tłucze szyby w magazynach i...

Gruby Worek (szturchając policjanta): On kłamie, ten podlec — ja, pijany, nie, to ty, policaju, jesteś pijany, jak bydlę — hurra! Garson, jeszcze butelkę szampańskiego!

Komisarz (bardzo surowo): Policjancie Głuptasku, jak ci nie wstyd tak się obchodzić z jednym z najzacniejszych obywateli naszego miasta, członkiem znanej i powszechnie szanowanej rodziny! Czy nie widzisz, że ten pan ma gorączkę? Jest to nikczemnie z twojej strony — powinienbyś stracić miejsce...

Gruby Worek: Dobrze powiedziane stary ośle! Tak, tak, ja mam gorączkę, mój kochany komisarzu. Hurra! Garson, jeszcze wina. Dla całego towarzystwa! Ileż to kosztuje mój złoty komisarzu?

Komisarz: Broń Boże, mój kochany panie Gruby Worku; jesteś pan trochę rozdraźniony, widzę to, są zwykle skutki chininy! Odpocznij pan trochę tutaj, w tym pokoju za moją kancelarją. Jest tam bardzo miękka kanapa. Potem wyszlę pana do domu w dorożce, koszta której zostaną potrącone z pensji policjanta, żeby go ukarać za aresztowanie tak czcigodnego człowieka, będącego w gorączkowym stanie. Niechaj ten dureń nauczy się na drugi raz odróżnić od chorego pijaka.

Komisarz odprowadza Gruby Worek do swego gabinetu, a policjant oddala się, mrucząc pod nosem.

Zasłona spada.

Cmentarz.

Pod ogólnym tytułem: cmentarz spotykamy w petersburskim „Utro“ garść wrażeń łódzkich;

„Długa i Konstantynowska są to ulice piękne, główne. Zaraz za niemi leży fabryka Poznańskich, pyszna, olbrzymia, podług ostatnich wzorów europejskich pobudowana, obok fabryki pałac, również Poznańskiego, tego Poznańskiego, który wybudował wspaniały ludowy dom mieszkalny dla robotników, na dziedzińcu urządził dla dzieci ich obszerny plac do zabaw i piękną jadalnię dla robotników, ale na placu zabaw dziecięcych umieszczono, przez omyłkę zapewne, rotę żołnierzy, na mieszkanie oddano im piękną jadalnię. Jednem słowem obydwie ulice — i Długa i Konstantynowska, — są to piękne, główne ulice i widok z nich śliczny...

Na szubienicę.

Zdobimy ulice główne pomnikami wielkich czynów i ludzi, Łódź więc postąpiła logicznie, zdobiąc centrum miasta więzieniem, fabryką i szubienicą. Wielkość uwieńczyć należy!

Jaka naiwna ta szubienica! Lękliwie wysunęła się do połowy tylko z poza parkanu i ma aż trzy słupy, pewnie, aby mocniej. Słupki są cienkie, mogłyby nie utrzymać ciężaru i upaść, aby więc pewniej.

Zdaleka wygląda, jak huśtawka, tuż obok, pochylając koronę zieloną nad porzeczką, rośnie ładne drzewko. Tylko jedno.

A kiedy w ostatniej chwili gasną oczy skazańca, dojrzeć mogą raz jeszcze odległe niebo błękitne, które komin fabryczny próżno zakryć się stara czarnymi kłębami dymu i drzewko — to miłe zielone drzewko.

I naprawdę. Trzy te cienkie słupki wraz z drzewkiem budzą wspomnienia jakichś zabaw dziecięcych w ogródku wesołym, jakiejś huśtawki. Ponieważ zaś wieszają zwykle wieczorami, dolatuje tu znany motyw z pobliskiego teatru.

Wolniutko się huśtaj, huśtawko!

. . . . . .

Tak, wieszają wieczorami, ale wiozą na miejsce stracenia we dnie. Nagle po głównej ulicy w jaskrawym — zbyt jaskrawym blasku słońca — pędzi turkocząc, długi, ciężki wóz. We dwa rzędy, siedzą na nim skazańcy. Ręce mają przywiązane do nóg. Wożą po dwóch, po czterech, po sześciu w biały dzień, w oczach wszystkich, główną ulicą, patrzą się wszyscy na okropne to widowisko, jak my tu w Petersburgu patrzymy na elegancki kabrjolet lub osobliwy nowego typu samochód, pędzony przez Newski.

Podziw wzbudza ów spokój zimny, z którym na śmierć idą mieszkańcy skostniałej w nieruchomości krainy smoków i mandarynów. Z równą obojętnością względem życia i śmierci umierają mieszkańcy ruchliwej Łodzi. Niedawno sześciu skazańców prosiło o przysłanie fotografa: jednego zdjęcia dokonać miał przed straceniem, drugiego po egzekucji.

Czyż nie krew zimna? Ciekawiście może osoby kata? Będę miał wkrótce fotografję. Ciekawszą, niż powierzchowność, jest psychologja i biografja tego człowieka. Nazywa się Fremel, Polak.

Niegdyś socjalista. Podczas istnienia organizacji cichy, lecz namiętny działacz, po rozbiciu się jej — bandyta. Skazany na śmierć przez powieszenie, okupił się, biorąc na siebie funkcję tracenia innych.

* * *

Wiesza teraz. Zimno, beznamiętnie jak maszyna lub automat, jakby nie własnemi rękami, jakby nie ludzi żywych, lecz jakieś bydło bite, połcie mięsa. Opowiadają o rozpaczy jednego ze skazanych na śmierć robotników. Rzucał się po celi więziennej, łamał ręce, chwytał za głowę. Rozpacz i łzy płynęły nie z żalu za życiem (nikt nad tem nie płacze już w Łodzi).

— Nie śmierć jest straszną. Okropne, że wieszać będzie towarzysz, którego szanowałem, ceniłem!...

Nie wiem, jak się spotkał wzrok Fremla ze wzrokiem skazańca. Nie wiem, co powiedziały sobie wzajem ich oczy. Nie potrafiłby powiedzieć tego ani kat, ani towarzysz, któremu niedawno ściskał dłoń, śpiewając „Warszawiankę“, a dziś zakłada stryczek na szyję. Prawdopodobnie jednak za powrotem do swej stancji nie rzucił się Fremel z rykiem rozdartego sumienia na łóżko, nie wił się we łzach przerażenia i męki, nie usiłował odebrać sobie życia. Kiedy w tych dniach szwagier Fremla, mąż jedynej siostry jego, znalazł się na liście skazańców, stropiły się władze więzienne:

— Kto powiesi?

Przywołano Fremla, zapytano go miękko, ostrożnie:

— Wiesz, na kogo dziś kolej?

— „Tak toczno!“

— Może, — bąknął mieszając się naczelnik — przykro ci, powiedz...

Fremel uśmiechnął się.

— „Niech pan będzie spokojny“.

— W pół godziny potem szwagier Fremla huśtał się na stryczku.

Kłopotano się całkiem niepotrzebnie. Gdyby Fremel odmówił raz na zawsze wieszania, znaleźliby się z łatwością zastępcy. Ze sześciu już dzisiaj znalazło się w więzieniu łódzkiem amatorów wieszania swych towarzyszy i przyjaciół dotychczasowych.

Kat dostaje niezbyt hojną płacę od głowy: trzy ruble. Ale dodajmy do tego „ułaskawienie“, t. j. „darowanie życia“!

* * *

Łódź posiada kilka więzień. Najbardziej ponure wznosi się również w środku miasta. Stanowczo Łodź afiszuje się ze swemi okropnościami, nie chowa, nie ukrywa ich, lecz wystawia na pokaz, jak drapieżnicy zęby swe i pazury.

Przed bramą więzienną tłum kobiet. Wokół jakieś dziwne, szalone a bezradne wycie: płacz, słowa pogróżek, prośby, modlitwy i przekleństwa. Bezładny rytm tego bo-

lesnego zgiełku rozdziera turkotem straszny wóz z ludźmi o przywiązanych do nóg rękach. Na chwilę cichnie wszystko. Oczy utkwiły w tych, co już są poza życiem.

Naprzeciw więzienia wielopiętrowy budynek z cegły — dom prywatny. Z okien pierwszego piętra widać cały przebieg egzekucji. Czas jej wskazują szeregi żołnierzy, rozstawione wzdłuż wszystkich ulic, obejmujących kwadrat więzienny.

Okna wszystkich cel więziennych wychodzą wprost na szubienicę. Stoi o 10 kroków od muru więziennego i spogląda naiwnie.

„Czeka wciąż".

Kronika przyrodnicza.

Siła światła księżycowego. — Materjały ogniotrwałe. — Maszyna do latania Wrightów. — Jajko, jako trucizna. — Z dziejów kinematografu.

Nie od dziś wiadomo, że selen, wystawiony na działanie promieni świetlnych, posiada szczególną własność zmieniania oporu elektrycznego. Z okoliczności powyższej skorzystali dwaj badacze amerykańscy, celem obliczenia siły światła księżycowego. Jako jednostkę światła przyjęto świecę normalną, płonącą w pewnych, ściśle określonych warunkach. Pokazało się, iż światło, wydawane przez najbliższego towarzysza ziemi podczas pełni, nieco słabszym jest od jednej czwartej części światła świecy, umieszczonej w odległości jednego metra. Ujawniło się przytem zjawisko, że księżyc w pełni daje nie dwa razy tyle światła, co pół księżyca, lecz dziewięćkroć więcej. Spostrzeżono rownież, iż księżyc jaśniej świeci między pierwszą kwadrą a pełnią, niżeli między pełnią a ostatnią kwadrą. Przyczyna tego zjawiska na razie nie jest znana.

* * *

Pod wrażeniem olbrzymiej katastrofy w San Francisco' ze zlecenia rządu Stanów Zjednoczonych podjęto próby, mające na celu wykrycie, który ze znanych materjałów budowlanych najbardziej zabezpiecza od ognia. Późne materjały, jak piaskowiec, granit, odłamy marmuru, rozmaitego rodzaju betony, wreszcie cegła, poddane zostały w wielkich piecach hutniczych działaniu wysokiej temperatury i po kilkugodzinnem przepalaniu opryskane silnym strumieniem wody. Wynik był następujący: ani jeden materjał nie wyszedł z próby zwycięsko. Największą wytrzymałość okazały cegły ogniotrwałe, z których około 70% pozostało nietkniętych; drugie miejsce zajął beton. Natomiast skały naturalne, zwłaszcza tak modny w budownictwie współczesnem piaskowiec, ujawniły zupełny brak odporności: pod działaniem podwójnem ognia i wody grube odłamy pryskały na części i kruszyły się na miał.

* * *

Kilka fotografom amerykańskim udało się odfotografować maszynę braci Wrightów, podczas próbnego lotu w północnej Karolinie i uchylić w ten sposób rąbka sensacyjnej tajemnicy. Przy powyższej próbie aeroplan zrobił w przeciągu godziny 75 kilometrów, miał zaś pozostać ogółem w powietrzu 1 godz. 20 min., jednak wadliwe funkcjonowanie dźwigni zniewoliło żeglarzy do przedwczesnego wylądowania. Wnosząc z umieszczonych w pismach szkiców, rusztowanie maszyny składa się z dwu jednakowo zbudowanych, leżących nad sobą płaszczyzn, co zbliża ją do aeroplanów konstrukcji francuskiej; całkiem odmienne są natomiast kształty tułowia oraz mechanizm przyrządów kierowniczych. Motor, znajdujący się w środku maszyny, wprawia w ruch dwie śruby, obracające się w przeciwnym sobie kierunku. Żeglarz siedzi po środku dolnej płaszczyzny; umieszczone w pobliżu liczne, promienisto rozchodzące się rury z wodą do ochładzania motoru. Osobliwością omawianej maszyny jest również brak kół przy tułowiu, które w maszynach dawniejszych służyły do rozpoczęcia lotu i ułatwiały lądowanie. Na wieść o osiągniętem przez Wrightów powodzeniu, Henry Farman wystosował do nich zaproszenie przybycia do Francji i odbycia z nim wyścigu. Wrightowie tak jednak są pewni swojej sprawy, że na wyzwanie Farmana wcale nie odpowiedzieli. Nie uchroni to wynalazców amerykańskich od współzawodnictwa — na gieneralnej próbie lotu pod Nowym Jorkiem, w której wziąć mają udział wszyscy wybitniejsi żeglarze obu światów. Przy tej sposobności udzielona zostanie po raz pierwszy nagroda, wyznaczona przez „Scientific American".

* * *

Ogólnie znanem jest szczególne zjawisko, noszące w nauce miano idiosynkrazji i na tem polegające, iż pewne, powszechnie w użyciu będące substancje spożywcze, działają na niektóre osoby, jak trucizna. Do najbardziej zdumiewających rodzajów idiosynkrazji należy z pewnością wypadek, obserwowany przez jednego z lekarzy niemieckich. Trzydziestokilkuletni restaurator, fizycznie dobrze rozwinięty i pochodzący ze zdrowej rodziny, nie znosi białka kurzego. Już lekkie natarcie lub nawet zwilżenie skóry białkiem powoduje u niego zapalenie miejscowe, przełknięcie zaś drobnej jego ilości — formalne zatrucie. W przeciągu paru minut występuje opuchnięcie błon śluzowych, łzawienie oczów, wydzielenie śliny, nudności, wymioty oraz inne jeszcze poważniejsze zaburzenia. Co dziwniejsze, że do wywołania pomienionych objawów wystarczają minimalne ilości białka. Galareta, do której sklarowania użyto odrobiny białka lub kieliszek wina, zaprawionego białkiem — działa „trująco". Wedle opinji lekarza, spożycie całego jaja niezawodnie sprowadziłoby śmierć tego dziwnego organizmu.

* * *

Pierwszym, kto zwrócił uwagę na znaczenie naukowe kolejowych zdjęć fotograficznych (tak zwanych serji), był zmarły niedawno astronom francuski Janssen. Skonstruował on swego czasu poruszający się automatycznie rewolwer fotograficzny, przy którego pomocy otrzymał szereg odbitek, wyobrażających przejście planety Wenus przed tarczą słoneczną. Ponieważ nie zależało w danym wypadku na szybkiej kolejności odbitek — jak to niezbędne jest np. przy oddaniu ruchów ludzi i zwierząt — przerwa między poszczególnemi obrazami wynosiła około 70 sekund. Aparat wszakże w ten sposób był zbudowany, iż potrafił w razie potrzeby pracować w szybszem tempie. Zdjęć dokonywał Janssen na płytce negatywnej, posiadającej kształt obręczy i poruszanej za pośrednictwem przyrządu zegarowego. W r. 1876 Janssen przedłożył paryskiemu Towarzystwu fotograficznemu model aparatu, przystosowanego dla 24 zdjęć, wskazując przytem, że przyrząd ów mógłby być znakomitym środkiem do uwidocznienia ruchów ludzi i zwierząt. Na zasadzie dostarczonych przez Janssena wskazówek, Marey zbudował w r. 1882 pierwszy aparat kinematograficzny. Dokonane przy jego pomocy doskonałe fotografje latających ptaków zjednały rozgłos nowemu wynalazkowi, który znalazł niebawem szerokie rozpowszechnienie.

„Naprzód".

Rozmaitości

Obłąkanie dziwnie rozdziela się pomiędzy poszczególne zawody. I tak według najnowszych obliczeń, w przeciągu roku na 5.234 inżynierów obłąkania dostało 24, podczas gdy z 5.804 artystów malarzy i rzeźbiarzy ofiarą pomieszania zmysłów padło tylko 16. Na 32.000 architektów i budowniczych zwarjawało tylko 25, podczas gdy z 20.694 duchownych różnych wyznań oddano do zakładu dla obłąkanych 35.

Wbrew rozpowszechnionym ogólnie poglądom, najkorzystniejszy stosunek zachodzi wśród literatów i dziennikarzy bo na 139.143 przypada obłąkanych zaledwie 12 (dwunastu!) Fatalnie natomiast grasuje obłąkanie wśród murarzy i kamieniarzy, bo na 234.778 oszalało 145; jeszcze gorzej jest wśród tapicerów i malarzy pokojowych, gdzie na 106.824 było obłąkanych 132. Na 205.624 cieśli dostało pomieszania zmysłów 174.

W procentowym stosunku przedstawia się rzecz następująco. Pomieszania zmysłów dostało:

inżynierów	0.46 %
artystów malarzy	0.27 „
duchownych	0.16 „
tapicerów	0.12 „
cieśli	0.68 „
architektów	0.07 „
murarzy	0.06 „
literatów	0.008 „

Brak jeszcze danych dotyczących robotników fabrycznych, bo w tym kierunku badań statystycznych jeszcze nie podjęto.

* * *

Owady jako rozsadniki chorób. Znaczna ilość chorób zakaźnych, powodowanych przez niszczącą działalność drobno-ustrojów, przenoszona zostaje na ludzi i zwierzęta przy pośrednictwie owadów. Znany jest związek komarów z epidemicznie grasującą w pewnych okolicach febrą powrotną. Słynna mucha „tsetse“ jest winowajczynią szerzenia się tej niebezpiecznej choroby tejże samej nazwy; inne owady roznoszą febrę żółtą, lub chorobę śpiączki, czyniącej straszliwe spustoszenia w całej Afryce międzyzwrotnikowej Zakażenie odbywa się w ten sposób, że owad ssie krew chorego zwierzęcia, poczem kąsa zdrowe zwierzę lub człowieka i wprowadza do ich krwi pozostałe na smoczku bakterje. Ponieważ dla skutecznego zwalczania chorób tego typu niezbędną jest dokładna znajomość warunków zakażenia grono nczonych podjęło świeżo szereg doświadczeń, celem wykrycia, jakie zwierzęta dostarczają głównie krwi owym szerzycielom zarazy. Dotychczasowe wyniki nieukończonych jeszcze badań stwierdziły, że po upływie dłuższego czasu po ssaniu daje się jeszcze wykazać u owadów obecność krwi, przy czem czerwone ciałka pozostają całkiem nietknięte, co umożliwia rozpoznanie, do jakiego zwierzęcia krew należy. U pluskiew po dwóch tygodniach można było wykazać resztki krwi ludzkiej; podobne wyniki dały doświadczenia z pchłami, wszami i kleszczami u ludzi i zwierząt. Należy spodziewać się w krótkim czasie ustalenia faktu, czy posądzane o szerzenie dżumy pchły szczurów, istotnie żywią się krwią ludzką.

* * *

Letarg. W szpitalu miejskim w Marjupolu, jak pisze „Astrachańskij Listok“, znajduje się włościanka z gub. symbirskiej, Marja Wsadnikowa, mająca lat 23 W lutym r. b. Wsadnikowa podczas słoty przybiegła do mieszkania swej matki i tutaj wpadła od razu w głębokie omdlenie, które przeszło następnie w sen. Trwało to przez trzy tygodnie, w ciągu których nie obudziła się ani razu. Potem odesłano ją do spitala.

Chora leży bez żadnego ruchu, wargi jej mocno ściśnięte, oczy zamknięte, w razie odsłonienia powiek oczy zupełnie nieruchome, wogóle wrażliwość wzroku, jakby nie istniała wcale. Pomimo, że powieki zamknięte są bardzo szczelnie, od czasu do czasu widać ich nerwowe drganie. Ręce i nogi chorej są nieruchome, przyczem ręce są zgięte i w razie usiłowania wyprostowania ich, czuć pewien opór.

Wsadnikowa zupełnie nie reaguje na dotykanie, nie czuje ani bólu, ani zimna, ani ciepła. Oddech jej jest tak słaby, że zaledwie go można uchwycić. Działalność serca nieco podniecona, bicie serca mocno przyspieszone.

Chorą żywią za pomocą rurki, przyczem dwa razy dziennie wprowadzane są do jej żołądka: mleko, bulion i kakao. W podobym stanie chora jest już od pięciu miesięcy.

Przez ten czas chora budziła się kilka razy, przebudzenia te były jednak bardzo krótkie. Dopiero w ostatnich dniach przebudzenia stały się coraz częstsze. Jednego dnia chora zjadła chleb z rąk matki. Temperatura chorej prawie przez całą noc była nienormalna.

Według djagnozy lekarza szpitalnego, jest to wypadek letargu histerycznego.

* * *

Nieszczęśliwa ekspedycja podbiegunowa. W lecie 1906 r. wyruszył na północ celem ostatecznego i dokładnego zbadania Grenlandji, znany geograf duński Mylus Erichsen. Z nazwiskiem tem oddawna łączyły się liczne zdobycze naukowe, poczynione na polu bodań polarnych. Ostatnia ekspedycja Erichsena składała się dla ułatwienia stujów z 3 tylko uczestników, z niego samego, z jednej damy i Eskimosa odbywających całą podróż nartami. Wyprawa zbliżała się już ku końcowi, gdy w czasie gwałtownej śnieżycy oderwała się od lądu grenlandzkiego olbrzymia kra, na której znajdowali się uczestnicy ekspedycji. Zaniesieni prądem na pełne morze, rychło wyczerpali rozbitkowie szczupłe zapasy żywności, jakie mieli z sobą. Erichsen i towarzyszka zmarli z głodu. Eskimos uratował się wprawdzie i dotarł do stacji misyjnej, ale i on wkrótce zmarł z wyczerpania.

* * *

Naczynia z węgla. Na wystawie produkcji amerykańskiej w Paryżu można zobaczyć niezwykłą zastawę stołową. zrobioną z węgla kamiennego. Przed oczyma zwiedzającego czernieją się i błyszczą talerze, karafki, miednice, wazony do kwiatów itp. Do wyrobiania tych przedmiotów używają węgla o niezwykłej twardości, mianowicie antracytu pensylwańskiego. Osobny warsztat do fabrykacji tych naczyń z węgla założył przed kilku laty jeden z górników pensylwańskich.

Ze względu na swoją niezwykłość, jak również wielką trwałość, towar jego znajdował chętnych nabywców, warsztat się rozwijał i dziś zatrudnia już około stu robotników. Naczynia wykuwa się najpierw z grubszego z kawałków węgla potem wykończa na machinie tokarskiej, wreszcie szlifuje i poleruje. Wielką ich zaletą jest również taniość. Czy jednak zdołają sobie zdobyć targ szerszy, wątpić należy. Prawdopodobnie pozostaną zawsze tylko osobliwością, nie zaś przedmiotem użytku codziennego.

* * *

Fotografowanie dźwięków. Na ostatniem posiedzeniu paryskiej akademji umiejętności doniósł członek akademji Poincare o nader ważnem odkryciu, które może znaleźć doniosłe praktyczne zastosowanie. Autorem nowego wynalazku jest inżynier francuski, nazwiskiem Devaux-Charbonnel. Wynalazł on podobno sposób fotografowania fal głosowych, tak, że na przesuwającym się pasku filmy można otrzymać szereg regularnych znaków, które przy pewnej wprawie dają się łatwo odczytać. Jeżeli wiadomość ta okaże się zupełnie prawdziwą, a wynalazek możliwy do praktycznego zastosowania, to może już w niedalekiej przyszłości dojdzie do tego, że telefony będą niejako stenografować rozmowy w nieobecności wezwanego do aparatu, a stenografi znikną z sal obrad, zastąpieni maszynami, które notować będą każde najdrobniejsze słowo.

Z literatury i sztuki

„Krytyka“, miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt IX na wrzesień. Treść: 1. (f) Sprawa słowiańska sprawa polska. — 2. Stan. Miłaszewski: Szekspir, O. Laurenty, Hamlet, Sonety. — 3. Jerzy Kurnatowski: Etyka indywidualna. — 4. Andrzej Strug: Sielanka. — 5. St. Lack: Uwagi o „Danielu“ Wyspiańskiego. — 6. K. Srokowski: Roman Dmowski. — 7. Jan Topass: Starzy, młodzi, najmłodsi. Wrażenia z salonów paryskich. — 8. Przegląd: Prasa polska. Prasa obca. Geniusz a społeczeństwo. W. f: Swiętochowski. — Krzywicki. H. Orsza: K. Prószyński. Wspomnienie. Junius: Z trzech zaborów. — 9. Sprawozdania naukowe i literackie.

Adres „Krytyki“: Kraków, ul. Stachowskiego 14. Kwartalna prenumerata 3 marki.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mleczkowski Katowicach.

Nr. 38. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 19 września 1908.

Naśladowanie z Shelley'a*).

Czyż wy bez chleba, czyż wy bez strzech
Znaliście kiedy miłości śmiech?...
O mówcież, mówcie, za jakąż z cen,
Dajecie krew swą i pot swój ten?

Siejecie ziarno, by inny żył,
Innym szukacie złocistych brył,
Innym przędziecie kosztowny strój,
Innym dajecie swój własny znój!

Nie na to dziś wam zasiewać łan
I zbierać złoto, by gnuśniał pan;
Sobie to, sobie prząść, zbierać siać,
I lepszą dla siebie dolę lać!

Wy spoczywacie wśród sklepów, jam,
Innym wspaniały budując chram!...
Przecz wy rzucacie przekleństwa głaz?...
Waszej pracy twór dziś godzi w was!

Kądzielą, rydlem i pługiem, och!
Grzebiecie sobie grobowy loch,
Przędziecie sobie śmiertelny błam;
Ta własna ziemia cmentarzem wam.

Daremne żale.

Daremne żale — próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia!
Świat wam nie odda, idąc wstecz,
Zniknionych mar szeregu
Nie zdoła ogień, ani miecz
Powstrzymać myśli w biegu.
Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe,
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę!
Wy nie cofniecie życia fal!
Nic skargi nie pomogą —
Bezsilne gniewy, próżny żal —
Świat pójdzie swoją drogą!

Asnyk.

*) Shylley (czyta się Szelej) jest to jeden z najbardziej znanych poetów angielskich, który bardzo dużo pisał pięknych utworów, tchnących postępową myślą, miłością dla swobody i dla biednego ludu. Urodził się on w 1792 roku, umar w bardzo młodym wieku, bo zaledwie 30 lat mając, w 1822 r.

M. Sachs.

Brat.

(Urywki z powieści).

Z tygodnika „Wiedza“.

Zaczynało ciemnieć.

Wilk zdenerwowany chodził po pokoju.

Brat siedział w wygodnej, swobodnej pozie na łóżku, nogę na nogę założył, w ręku trzymał niedopalony, zagasły papieros. I opowiadał. Nie jak zawsze ciekawe i interesujące nowiny, wesołe i ucieszne anegdotki, lecz mówił poważnie i serjo. Mówił o tem, że już mu się to miasto znudziło i życie w nim jest dlań bardzo, bardzo przykrem, że chciałby stąd wyjechać gdzieś daleko, choćby za morze, i że może mu się to wkrótce uda zrobić.

W mroku wieczornym, który się stawał coraz gęstszym, Wilk napróżno starał się kilkakrotnie twarzy brata przyjrzeć dokładnie. Nie mógł. Widział tylko przed sobą ciemną plamę, ruchomą i żywą. I to, że nie mógł widzieć wyraźnie twarzy człowieka, którego życie od niego zależy i w jego teraz rękach spoczywa, czyniło go wobec samego siebie winnym jakiejś łpodłości zbrodniczej. Mógł przecież lampę zapalić, lecz nie chciał. Sam nie wiedział dla czego. Brat mówił, lecz on słyszał jeno dźwięk głosu jego, treści słów jego pojąć nie był w stanie. Czasami tylko słowo jakieś ostrzej wbijało się w świadomość jego i on je ważył wtedy w mózgu długo, długo, jakby chciał z niego jednego zrozumieć odrazu to, co już tak dawno brat mówił. Lecz szybko zapadało się w jakąś bezdeń, spychane innem, nowem... Wogóle myśli jego stawały się coraz bezładniejszemi. Zdawały się wypływać z mózgu niedokończone, stargane, skłębione. To, co za chwilę zrobić był powinien, to, co zrobić tak kategorycznie postanowił, było teraz tylko jak wspomnienie, zamglone i niejasne, i tak chodził po pokoju, a ręka jego spoczywała w kieszeni, lecz i ona też, jakby mu posłuszną być przestała, jakby ruchy jej niezależne były od woli jego i chceń. Obejmowała silnie broń, ściskała ją wprost konwulsyjnie, a jednak, gdyby zechciał teraz z kieszeni wyjąć — nie mógłby.

Naraz zdziwiony stanął. Brat ucichł już, nie mówił. I Wilk nie mógł już więcej chodzić. Jakby mógł to tylko czynić w takt słów jego. I, szeroko rozszerzonemi oczyma, spoglądał pytająco w to miejsce, gdzie w ciemności majaczyła nieruchoma postać brata. A potem, nie zdając sobie sprawy z tego co robi, podszedł powoli do łóżka i siadł na

nie. I ciało jego oparło się o ciało brata. I było to dlań nieznośnie przykrem. Jakby się brzydził. I czuł, że brat przysuwa się doń coraz bliżej, ciaśniej. I naraz czyjeś ręce oplotły szyję jego silnie dokoła i jakaś głowa ciężka i wielka spoczęła na jego ramieniu. I nie miał siły, by się wyzwolić z objęcia tego. Nie próbował nawet. A tuż nad samem uchem jego rozlegał się szept cichy, skarga bolesna i smutna i głośny, ciężki oddech, nierówny, świszczący. I naraz z niezwykłą wyrazistością, wprost z jasnowidzeniem, zdało mu się, że wszystko to już kiedyś było: i ta ciemność wieczorna, czarna i nieprzenikliwa, i ten brat skarżący się przed nim na coś, czego sam nie znał i nie rozumiał, i ten oddech chorobliwy, częsty, i on sam — taki bezradny i bezwolny, lecz jakiś inny, niż obecnie, nieco odmienny i niezwykły. Wszystko tak, jak teraz, jak teraz... I to dziwne uczucie było tak silnem, że zagłuszyło sobą wszystkie inne i objęło go całego. I zapomniał o wszystkiem. I nachylił się nizko nad głową brata, jak matka kochająca nad dzieckiem swem jedynem a chorem śmiertelnie, przylgnął mocno wargami do czoła jego i zaczął je całować gorąco i długo.

I było tak ciemno w pokoju i było tak cicho, że zdał on się być pustym zupełnie. I tak siedzieli bez ruchu przykuci do siebie, spleceni uciskiem, jak rzeźba wielka z jednego kamienia wykuta.

I odrazu ciszę przerwał jeden tylko krótki i tępy jęk. A potem rozległ się drugi i trzeci. To płakał brat. I płynęły szlochy rozpaczy pełne i bólu i drżały ich urywane i ciche i trwożliwe dźwięki. Pierś wznosiła mu się wysoko, to znów opadała szybko. A głowę raz wraz podrzucał skurcz, dławiący mu gardło. Uderzała o ramię Wilka nierówno, słabo, jękliwie...

Tak płakał Kain nad trupem Abla, kiedy zrozumiał, że zbrodni jego ogrom jest taki wielki, iż jej żałować nawet nie może, iż jej żałować nawet godnym nie jest...

Wilk porwał się nagle...

A ręce brata, nie oczekujące takiego nagłego ruchu, rozplotły się bezsilnie i zwisły ku ziemi; a głowa jego, pozbawiona oparcia, trzepotać się poczęła, jak rozdarte skrzydło konającego ptaka.

Wilk stał przed nim prosto i nieruchomo. Starał się przebić mrok ostrzem wzroku swego, wgryźć się nim teraz w twarz, oczy, usta brata, ujrzeć nim łzy jego i drżenie warg bladych. Lecz nic nie widział. A płacz brata stawał się coraz słabszym, cichszym, bezradniejszym, jakby ktoś w nocy w stepie pustynnym wołał o pomoc i wiatr krzyk ten przynosił z oddali. Wilk ujął go obiema rękami silnie za ramiona, wpił się w nie palcami i głośno, tonem władnym i złym, rzekł:

— Cicho!

I brat umilkł odrazu. Jeszcze jeno łkania głuche i zduszone wyrywały mu się z gardła, lecz coraz wolniej i rzadziej.

A Wilk nachylał się nad nim coraz niżej, niżej i coraz zawzięciej i mocniej wtłaczały się długie palce jego w uginające się ramiona brata. A on tu na jego piersi płacze tchórzliwie i nędznie, by ulgę znaleźć, by swe sumienie zmyć łzami... Wilk wytężył wszystkie swe siły, uniósł brata z łóżka, na nogi go równe postawił. Tamten był oszołomiony, nie sprzeciwiał się, dał z sobą robić wszystko, wszystko. Jakby tak być powinno. Na mózg mu padła opona ciężarna... Wilk pchnął go, w pierś kułakiem uderzył i brat potoczył się bezsilnie pod ścianę... Potem Wilk do drzwi doszedł, otworzył je na oścież i szeptem strasznym, złowróżbnym zasyczał:

— Precz, precz stąd...

Czuł jedno tylko: wstręt i odrazę. Chciałby, by był od niego jak najdalej. By nie słyszał głosu jego. By nie widział go.

I brat omackiem poszukał czapki i pokornie, posłusznie, z głową nizko opuszczoną, wyszedł przez otwarte drzwi.

Wilk został sam. Do pokoju wpadał mgławy blask płonącej na schodach lampki. Wilk z natężeniem i uwagą wsłuchiwał się w odgłos kroków brata. I im one stawały się dalszemi i słabszemi, i im ciszej brzmiało ich echo, — tym bliższą, silniejszą i głośniejszą stawała się w mózgu jego jakaś wielka myśl, mimowolnie i nieświadomie przez niego na chwilę zapomniana. Wreszcie kroki umilkły zupełnie. I Wilk naraz przypomina coś sobie. On nie powinien był stąd wyjść — a jednak wyszedł, wyszedł cały, nietknięty, bezpieczny. I z jego winy. Puścił go. Sam mu wyjść kazał. Nawet mu drzwi otworzył: jeszcze dotychczas nie są zamknięte. Wie, że coś zrobić musi zaraz, coś, co zdoła naprawić ten nieoględny krok jego. I nie wie — co. Czuje, że coś traci, że mu się coś z rąk wymyka i że za wszelką cenę musi to zatrzymać. Zbiera myśli wszystkie, wytęża mózg. Jedną ręką przeciera czoło, drugą w kieszeń kładzie. Dłoń jego dotyka czegoś chłodnego. Co to jest? Wyciąga z kieszeni jakiś ciężki przdmiot i mu się uważnie przygląda. To rewolwer. Teraz już wie wszystko. Musi się śpieszyć, bo mu umknie. Gniew go unosi, nienawiść budzi się i rośnie i potężnieje...

Tak, jak stoi, bez paltota, bez czapki, zbiega ze schodów. Broń chowa do kieszeni. Jest już na ulicy, ogląda się na wszystkie strony, wzrok jego chwil kilka błądzi po pustych prawie trotuarach, wreszcie dostrzega go. Idzie tak powoli, spokojnie, przygarbiony nieco, jakby nic nie przeczuwał, jakby nawet przypuścić nie mógł, że mu coś grozi. Wilk biegnie za nim. Już jest tak blizko, że dzieli ich zaledwie kilkanaście kroków. Oto teraz może stanąć, zmierzyć i strzelić. I nie chybi. Staje, zastanawia się i biegnie dalej. Nie, tak nie może. Nie może z tyłu, jakby z za płotu, jakby się bał, lub wstydził czynu swego. On musi tak, by brat widział, że to on; on musi patrzeć w oczy jego; on musi wyczytać w nich wszystko; on musi z gardła jego wyrwać choć jedno słowo prawdy. Dogonił go, za rękę chwyta kurczowo, zatrzymuje. Brat przygląda mu się obłąkanym, nieprzytomnym wzrokiem, jakby nic nie rozumiał, jakby nie wiedział czego chce od niego; a oczy ma spuchnięte, zwężone, czerwone. Wilk podchodzi z nim do muru. Brat się pozwala za rękę prowadzić, nie sprzeciwia mu się zupełnie, we wszystkiem mu ulega. Stoją naprzeciw siebie tak bardzo blizko, że każdy z nich czuje na swej twarzy oddech drugiego. Patrzą na siebie uporczywie, żaden z nich okiem nie mrugnie, jakby oczy ich były szklanne i martwe. I Wilk pyta go cicho:

— Powiedz, czy to prawda?

A głos jego domaga się odpowiedzi, a w głosie jego dźwięczy stanowczość i zawziętość, a po przez nie przebija się smutna i beznadziejna prośba. A brat milczy. Stoi oparty o mur i milczy. I tylko oczy jego rozszerzają się coraz bardziej i tak jakoś dziwnie i szybko zaczyna niemi mrugać A Wilk pyta po raz wtóry, lecz głos już ma ochrypły, straszny, przerażający:

— Powiedz, czy to prowda?

I brat głowę nizko opuszcza i, miast odpowiedzi, ujmuje rękę Wilka. unosi ja ku ustom i całuje, i Wilk czuje na swej ręce drżenie warg jego. I z obrzydzeniem wyrywa ją z dłoni brata. Ociera ją odruchowo o marynarkę, jakby zetrzeć z niej pragnął brud jakiś lub plamę. Teraz jest już pewien, teraz już nie wątpi, teraz zna prawdę...

Twarz brata staje się bladą, wykrzywia się lękiem okrutnym, zwierzęcym, zaczyna się kurczyć, muskuły zaczynają drżeć, skakać, skłębiać się, oczy obłąkanym przerażeniem wyrokiem patrzą nieruchomo naprzód, ręce się plączą, wyciągają przed siebie, jakby chciały go zasłonić przed ciosem, który zaraz padnie, a którego już zatrzymać nie można, ciało mu słabnie, chwieje się i zgina. I naraz krótkie mgnienie świadomości: brat czuje całym sobą, każdym swym nerwem i każdą krwi wibracją, że należy mu się bronić, że powinien się rzucić na stojącego naprzeciw Wilka siłą całą i mocą. I już zbiera siły, już się gotuje do rzutu, już mu się ciało wypręża i w tej samej chwili rozlega się krótki, urwany łoskot, a on powoli, chwytając się rękoma powietrza, gnie się i pada... A Wilk z opuszczoną w dół ręką stoi bezmyślnie nad tarzającem się u stóp jego ciałem i patrzy uporczywie na cienką krwi posokę, co się ospale, nie śpiesząc, wije wąską taśmą przez głazy bruku...

Jubileusz Lwa Tołstoja.

„Przyjacielu! Powróć do działalności literackiej! Przyjacielu mój, wielki pisarzu ziemi rosyjskiej, usłuchaj mojej prośby!“ Temi słowy umierający wielki pisarz Iwan Turgieniew zaklinał Lwa Tołstoja przed 25 laty...

Wielki starzec z Jasnej Polany do dziś dnia działalności literackiej ani na chwilę nie przerwał... Gdy Turgieniew słowa te pisał, Tołstoj pracował bodaj, że bardziej owocnie niż kiedykolwiek... Cóż tedy znaczyły błagania Turgieniewa? Czyżby Turgieniew się miał mylić? „Nie myli się mistrz taki!“ Tołstoj, jako autor „Wojny i Pokoju“, „Anny Kareniny“, „Opowiadań sebastopolskich“ i wielu innych brylantów literatury wszechludzkiej niemal, że zupełnie umilkł, wyparty i zagłuszony przez Tołstoja-chrześćjanina, Tołstoja — działacza społecznego, po swojemu reagującego na wszystkie zjawiska życia. Z działalności Tołstoja w owym okresie, Turgieniew, autor wiersza w prozie pt. „Próg“, w którym uchyla głowę przed świętością ofiar rewolucjonistów, czynnie zwalczających zło, nie mógł się zsolidaryzować. Nie mógł pokonać chęci zwrócenia Tołstoja na tory dawnej jego twórczości. Były to czasy panowania Aleksandra III. Szalona reakcja, jaka zapanowała po śmierci Aleksandra II., dławiła wszelki objaw życia społecznego. Na rusztowaniu ginęły setki, w Szlisselburgu, na Karze, na Sachalinie — tysiące, w tundrach Syberji dziesiątki tysięcy, zdławiono prasę, zduszono ruch, steroryzowano wszystkie warstwy społeczeństwa. Objęta strachem panicznym Rosja kornie, jak za czasów Mikołaja I., chyliła głowę przed samowładztwem...

Miast głosu protestu, głosu zachęty do walki, do czynu — z Jasnej Polany rozległ się głos wielkiego pisarza:

„Nie sprzeciwiajcie się złu siłą!“

Lud wiejski ginął w nędzy... To tu, to ówdzie już rozlegać się zaczynał zdławiony głos chłopa: „Ziemi!“ a Lew Tołstoj stawiał pytanie: „Ile chłopu potrzeba ziemi?“ i donośnym na całą Rosję, na cały świat głosem odpowiadał: 4 łokcie, — tyle ile porrzeba na grób.

Wielki chrześćjanin, miłujący bliźniego jak siebie samego, święcie przekonany, że drogą moralnego udoskonalenia jednostek można świat umoralnić, wytępić zło, przekształcić stosunki, wytworzone wiekami zła i krzywdy, nie rachujący się z brutalną siłą, łamiącą na każdym kroku prawa moralne. Tołstoj głosił hasła zaniechania fizycznej walki... Wierny sobie, Tołstoj i w tej dziedzinie pozostawał wielkim, ale maluczkiemu społeczeństwu, tchórzliwie upokarzającemu się przed siłą fizyczną, poddającemu się przemocy, gnącemu się przed silnym, dawał moralne rozgrzeszenie... Sam wielki, stał się prorokiem płazów, zasłaniających się jego imieniem.

Turgieniew, który na progu życia złożył przysięgę Hannibalową, że do ostatniej kropelki krwi będzie walczył o zniesienie poddaństwa i który tej przysięgi dotrzymał i swoimi utworami przyczynił się do skruszenia kajdan niewoli chłopa, nie mógł się biernie przypatrywać takim wynikom działalności Tołstoja... Wielki pisarz ziemi rosyjskiej nie posłuchał rady przyjaciela i dalej głosił swe ideje...

A tymczasem Rosja dławiona przez reakcję coraz bardziej stawała się wielkiem cmentarzyskiem, po którem z wrzaskiem harcowało kozactwo. Tołstoj bodaj że jedyny w owym czasie nie milczał. „Nie zabijaj!“ wołał do satrapów, „patrz, na czem polega służba wojskowa“ — zwracał się do funkcjonujących jak żywe maszyny żołnierzy... „Tylko praca daje prawo do własności!“ ziemia zaś jest darem bożym i nie może stanowić własności — głosił on wszystkim...

Urzędowe religje przykładały pieczęcie świętości do wszystkich istniejących instytucji państwowo-społecznych, słudzy boży, duszpasterze wysługiwali się możnym i silnym, bardziej dbając o dobra doczesne, niż o udoskonalenie moralne, własne i ludu... Tołstoj zrywa z nich maski fałszu i obłudy, a ten cios moralny jaki im zadaje starcza za fizyczny...

Ugodzony, jak obuchem, Synod wyklina go... Chybiony krok...

Rosja się już budzi, podnosi głowę i staje po stronie tego, który w dniu odrętwienia i upadku, po dawnemu wysoko dzierżył swój nieskalany sztandar, który wzniósł się na takie niedostępne dla zwykłego śmiertelnika wyżyny walki moralnej, że, pomimo jego woli i wiedzy stawała się ona walką rzeczywistą, organizowała ludzi, popychała do czynu...

Zawrzała rewolucja...

Tołstoj przemawiał dalej w myśl swych haseł, ale wielkość czynów mas, zagłuszała słowa pojedyńczego człowieka...

W dni walki Tołstoj nie był prorokiem. Mówił, ale nie słuchano go...

Po dniach zwycięstwa, nastąpiły dni klęski... Zahuczały salwy, zaskrzypiały szubienice, znowu padać zaczęły knuty „od Niemna do Chiwy“.

Lud roboczy, zdziesiątkowany, ociekający krwią, opuszczony przez inne sfery społeczeństwa nie mógł sam jeden stawić czoła sile brutalnej łaknącego zemsty za porażkę caratu. Społeczeństwo uchyliło kornie głowę przed siłą, bohaterzy rewolucji zginęli na rusztowaniu, w katorgach i turmach, w tundrach Syberji i Rosji północnej... W Rosji znowu zapanował „spokój“, znowu na smutnem pobojowisku harcować zaczęło kozactwo, znowu carat święcił tryumf, znacząc swe zwycięstwo tysiącami szubienic.

Tę cmentarną ciszę przerwał głos 80-tetniego starca, dziś świętującego swój jubileusz...

„Nie mogę milczeć!“ donośnym głosem zawołał Tołstoj. On jeden nie uląkł się mocy „króla wielkiego samowładnika świata połowicy“.

On jeden podniósł głos protestu, on jeden na cały świat krzyknął: nie będę milczał! Chyba, że zarzucicie mi na głowę całun-worek, że nałożycie na szyję namydloną pętlicę i wytrącicie z pod nóg ławeczkę, bym swym ciężarem ściągnął sznur na swem starem gardle!“

Od tego głosu carat drgnął, ślepo mu posłuszni popi dziś we wszystkich świątyniach wygłaszają przeciwko Tołstojowi kazania, zabraniają „wiernym“ brać udział w hołdzie, składanym przez cały świat wielkiemu obywatelowi...

Daremne usiłowania! Rosja wraz z całym światem stanie po stronie tego, który kochał za miljony i żył męką miljonów. W chwili, gdy kler go wyklina, Rosja wraz z całym światem powtarza:

Cześć wielkiemu, prawdziwemu chrześćjaninowi!

Cześć wielkiemu obywatelowi!

Feliks Kon.

Rozmaitości

Ze statystyki miasta olbrzyma. Podług ostatnich obliczeń, Londyn, stolica Anglji, liczy obecnie 6 i pół miljona mieszkańców z rocznym przyrostem 80 000 głów. W każde trzy minuty rodzi się w Londynie jeden człowiek, w każde pięć minut jeden umiera. Połączona długość wszystkich ulic Londynu wynosi około 13 000 klm. dalej 31% jego mieszkańców pozbawione jest stałych środków utrzymania. Regestra policyjne Londynu notują pomiędzy jego mieszkańcami 220 000 przestępców kryminalnych. Londyn spożywa rocznie 400 000 wołów, 1 500 000 baranów, 7 miljonów sztuk drobiu (kur, kaczek, gęsi itp.), 400 miljonów różnych ryb, 500 miljonów litrów piwa itd. Ilości wypitych hektolitrów wódki statystyka nie podaje.

* * *

Szpiegostwo niemieckie we Francji. Paryski „Journal“ donosi, że policja wykryła w pewnej fabryce wyrobów metalowych na jednem z przedmieść paryskich silną organizację szpiegowską. Policja całą sprawę otacza wielką tajemnicą, nie chcąc spłoszyć członków organizacji, których spodziewa się pochwycić w swe ręce. Naturalnie rozchodzi się o szpiegów niemieckich.

Podobny wypadek miał miejsce w Orleanie, gdzie aresztowano indywiduum, nazywające się Harnist albo Meunier, pod zarzutem szpiegostwa. Harnist był podoficerem w armji niemieckiej, a ostatnio był szynkarzem w pewnej miejsco-

wości granicznej w Alzacji. Starał on się w Orleanie nawiązać stosunki z artylerzystami, od których usiłował wydostać tajemnicę nowego działa francuskiego o kalibrze 75 milimetrów. Na cel ten miał do dyspozycji duże sumy. Zdradził go żołnierz Leclére, który pozornie przystał na propozycje szpiega i wciągnął go do zasadzki.

* * *

Nowa wyspa. Na Oceanie spokojnym została odkryta nieznana wyspa. Nazwano ją Nishigawa (leży w obrębie posiadłości japońskich). Wyspa odległa jest od Formozy o 240 mil morskich. Znajduje się tam kilka odmian ślimaków i obfitość pereł i korali. Znajduje się tam także pewna odmiana ptaków o barwnych piórach. Pióra te znajdą napewno zbyt na rynkach europejskich. Wyspa wydaje się zdrową. Roślinność ma zwrotnikową. Nie posiada zupełnie dzikich zwierząt ani jadowitych gadów lub owadów.

Zauważono tam odmianę czworonoga z rodzaju szczurów, wielkości królika.

* * *

Bakszysz. W pogadance swej o napiwkach, opowiada jeden z współpracowników francuskiego „Gaulois" zajmującą historję z Konstantynopola, której bohaterami są jeden z jego współpracowników i wielki wezyr czyli kanclerz Turcji.

Wypadek ten wydarzył się dwadzieścia kilka lat temu.

Wielki wezyr winien był francuzowi dość poważną sumę; francuz nie miał ochoty jej stracić, lecz nie ustawał w upominaniu się u wezyra o swą należytość i zapytywał, czy nie chce w jakikolwiek sposób wyrównać swego zobowiązania.

Wielkiemu wezyrowi sprzykrzyły się wreszcie te upominania, to też pewnego dnia powiedział do francuza:

— Dobrze, zapłacę panu.

Była to chwila, w której wielki wezyr zwykle wyjeżdżał z domu. Podprowadził uprzejmie swego wierzyciela do kolaski otwartej i rzekł do niego:

— Proszę, wsiadaj pan.

— Ale dopiero po panu — odparł zdumiony francuz.

— Ale proszę, wsiadaj pan tylko.

Przez pewien czas obsypywali się obydwaj komplementami, a gdy wreszcie obydwaj znaleźli się w powozie, zebrały się dokoło niego tłumy ludzi. Powóz przejechał kilka razy po wielkich placach w Pera, poczem wielki wezyr kazał się zatrzymać powozowi.

— Tak, teraz pan możesz już wysiąć, jesteś zapłacony.

— Ależ, ekselencjo, przepraszam, nie rozumiem...

— Idź pan tylko do domu, a już nauczysz się rozumieć.

Francuz sądził, iż zadrwiono sobie z niego, to też zniechęcony powrócił do domu. Przed domem zastał wielkie tłumy ludzi i ścisk nie do opisania. Na podwórzu, na kurytarzach, wszędzie pełno ludzi: Turcy, Grecy, Ormianie wszelkie narody zamieszkujące Turcję. Wszyscy oni przybyli, aby francuzowi złożyć życzenia; słyszeli oni, widzieli, dowiedzieli się, iż tak doskonale żyje z wielkim wezyrem, a nawet wyjeżdża z nim na spacer, to też przyszli, aby go prosić o poparcie u wielkiego wezyra.

Teraz dopiero wierzyciel zrozumiał słowa wielkiego wezyra.

Ponieważ wysoki dostojnik sam oznaczył to jako zapłatę, przeto francuz nie wahał się dalej.

Po upływie zaledwie dwóch godzin, otrzymał tyle małych i wielkich „podarków" i łapówek, zwanych w Turcji „bakszyszem", iż dług jego został sowicie pokryty; starannie pozapisywał sobie życzenia i skargi wszystkich proszących, a nazajutrz udał się do wielkiego wezyra. Ten przyjął go z uśmiechem:

— No, i cóż panu powiedziałem?

— Ma pan słuszność, ekscelencjo, ale co mam począć z prośbami tych wszystkich dzielnych ludzi?

— Te prośby schowaj pan sobie na pamiątkę, i nie troszcz się pan o tych, których pan nazywasz „dzielnymi ludźmi"...

* * *

Kłopot w urzędzie stanu. W nowym Jorku zaszła w urzędzie stanu ciwilnego w dzielnicy City-hall następująca zabawna historja: W poniedziałek zjawił się w urzędzie dziennikarz William Barthy dla zamówienia zapowiedzi z panną Katarzyną Gotthold z ulicy Amsterdamskiej I. 506. Następnego dnia zjawiła się druga młoda para, która zażądała zapowiedzi, podając te same nazwiska i ten sam adres, co para z poprzedniego dnia. Panna przybyła w poniedziałek, podała, że ma 24 lat, urodziła się w Jacksenville w stanie Floryda jako córka Miltona i Jenny Gottholdów; panna z wtorku podała te same szczegóły. Narzeczony z poniedziałku podał, że ojciec jego pochodzi z Szkocji, zaś narzeczony z wtorku podał, że z Ameryki.

Szczęściem jeden z urzędników za zjawieniem się pary wtorkowej przypomniał sobie, że w poniedziałek była już popobna para narzeczonych. Porównano lata narzeczonych: była różnica o 1 rok, zawód się zgadzał, podpisy na akcie urzędowym były podobne, co to ma znaczyć?

Posłano szpicla na ul. Amsterdamską 506 do mieszkania p. Gotthold. Na zapytanie oświadczyła, że jej córka była rzeczywiście w poniedziałek w urzędzie cywilnym, a we wtorek była druga jej córka-bliźniaczka, zupełnie do tamtej podobna. Ale co z narzeczonymi, o tych samych nawiskach?

I ta tajemnica się wkrótce wyjaśniła: obaj byli kuzynami, którzy zakochali się w dwuch siostrach; ponieważ sami z trudnością odróżniali jednę od drugiej, postanowili zawrzeć ślub o jeden dzień różnicy — dla pewności.

Na urzędzie odetchnięto z ulgą.

* * *

Wesoły pojedynek. Z powodu wielkiej ilości bezkrwawych pojedynków, które w ostatnich czasach odbyły się w Paryżu, opowiada „Vita" o bardzo wesołych pojedynkach z dawniejszych czasów.

Gdy Eugenjusz de Mirecourt napadł ostro w swem piśmie na starszego Dumasa, otrzymał wyzwanie od młodszego. Zaledwie ukazali się świadkowie z ponuremi minami u surowego krytyka, kazał on zawołać swego małego synka Edgara. Do gabinetu wszedł malec, który zaledwie mógł ręką dosięgnąć klamki u drzwi.

— Ponieważ pan Dumas ojciec — rzekł Mirecourt do sekundantów spokojnie i z godnością — wybrał sobie swego syna na zastępcę, aczkolwiek sam jest zdrów i silny, przeto i ja, aby szanse były równe, wybieram na zastępcę mego syna. Proszę we wszystkiem zwracać się do niego.

Paryż bawił się przez długi czas tem wyzwaniem.

Z literatury i sztuki

„Myśl Niepodległa", Treść nr. 74 (druga dekada na wrzesień): Selamlik. — Zbawienie dusz. — Idolatrja kościoła rzymsko-katolickiego. — Inteligencja kwiatów. — — Kalendarz wolnego myśliciela. — Wolna gmina. — Zapiski. — Książki.

Adres: Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10.

* * *

Z dniem 1. października 1908 r. zacznie wychodzić w Warszawie dwutygodnik muzyczno-literacki p. t. „Młoda muzyka". Pismo podpisywać będzie, jako redaktor i wydawca R. Chojnacki. Zastępca redaktora, R. Haller.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mleczkowski Katowicach.

Nr. 39.

PO PRACY

Rok II.

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 26 września 1908.

MARJA KONOPNICKA.

JAŚ NIE DOCZEKAŁ...

W ubogiej izbie zjawił się gość błogi;
Słoneczny promień wiosenny, majowy,
Wszedł przez okienko z szybami drobnemi
I jasnym snopem rzucał się po ziemi;
Jak złota strzała, padł na stół sosnowy,
Na deski starej, spaczonej podłogi,
Na tapczan nędzny, zasłany barłogiem,
Na komin pusty, zimny, bez ogniska.

Był to niedzielny poranek wiosenny;
W izbie wyrobnik siedział z zgasłą twarzą
U pociemniałej i wilgotnej ściany,
Po której zamróz kroplami ociekał...
Aż z dum swych ciepłym zbudzony promieniem,
Posłyszał wróble, co na dachu gwarzą,
Spojrzał po izbie okiem swojem mgławem,
Potem na jasność tę ożywczą słońca,
I szepnął z cichem, stłumionem westchnieniem:
„Jaś nie doczekał!“
I otarł grubej koszuli rekawem
Łzę, co po twarzy toczyła się drżąca
I taka mętna i ciężka i wielka,
Jakby to wody nie była kropelka,
Lecz kamień, który wyrzucony z duszy,
Padnie w głębiny i ziemię poruszy.

* * *

Zima ta ciężką była!... Śnieżne duchy
Pomiędzy ziemią latały a niebem,
Białemi skrzydły zakrywszy błękity,
A mroźne wichrów północnych podmuchy.
Dreszczem wstrząsały ubogie te ściany,
Wśród których nędzarz tak rzadko jest syty
Twardym i czarnym niedoli swej chlebem,
Tak biedne nosi na grzbiecie łachmany,
Tak ciężko musi pracować na dzieci,
Wśród skrzących mrozów i wietrznej zamieci!
Zima ta ciężką była! na kominie
Nie co dnia ogień rozniecał się lichy,
Nie co dnia ciepłą gotowano strawę.
Ojciec przychodził wieczorem bez siły,
Nie mogąc dźwignąć siekiery ni piły,
I padał spocząć, jak martwy na ławę;
A Jaś tymczasem, w nędznej koszulinie,
Coraz to bledszy, coraz bardziej cichy,
Nakształt mdlejącej lampy lub pochodni,
Zjadał kęs chleba — i siadał na ziemi,
Patrząc na ojca oczami smutnemi,
Jak ci, co mówić nie smią, że są głodni!

* * *

Wreszcie z tapczana nie podniósł się wcale,
Ojca witając z daleka uśmiechem...
Przeląkł się nędzarz, chwycił go w ramiona,
W piersiach mu grały i łkania i żale...
Noc całą dziecko zagrzewał oddechem,
Bo mu się zdało, że stygnie, że kona..
Modlił się, płakał, o ściany tłukł głowę,
A ściany skrzyły się, jak djamentowe...
Bo zima na nie rzuciła płaszcz biały,
Łzy na nich marzły — i jak perły stały.

* * *

Rankiem wyrobnik zastawił swą piłę,
Porąbał stołek, rozpalił ognisko,
Przyzwał lekarza. Lekarz, człowiek młody,
Oświadczył, że tu jest powietrze zgniłe,
Że straszna wilgoć ma tutaj siedlisko,
Że dziecku trzeba dać lepsze wygody,
Izbę obszerną, jasną i ogrzaną,
Ciepłe okrycie, a przytem co rano
Posiłek lekki, pożywny, gorący,
Zapewnił nadto, że jeśli chłopczyna
Wiosny doczeka, to wzmocni go słońce,
Wreszcie oświadczył, że mróz trzaskający!
I wyszedł. Ojciec stanął, jak zmartwiały,
We drzwi wlepiwszy źrenice błyszczące...
A wiatr tymczasem rozmiatał z komina
Iskry i dymy i w szyby tak siekał,
Jakby brał szturmem tę izbę ubogą.
Blada twarz chłopca zrobiła się sina...
Do ojca sztywne wyciągnął rączęta,
Rzucił się... wargi drobne mu zadrgały...
A śmierć, srebrzystą szatą owinięta,
Wzięła go z sobą tajemniczą drogą...
Promienia słońca Jaś nie doczekał!...

* * *

W mogiłce leży i nigdy mu duszy
Żadne już światło nie zbudzi, nie wzruszy...
Nigdy nie wzniesie dziecęcych swych powiek
Na wielkie cuda tworzącej przyrody,
I nigdy zapał do wiedzy, swobody,
Nie drgnie mu w piersi okrzykiem: „tyś człowiek!...“

* * *

Ach!... ileż takich mogił jest na ziemi...
I jakże smutne są takie mogiły!...
Ludzkość żyć winna siłami wszystkiemi,
A nędza codzień odbiera jej siły.

Ten szereg drobnych grobów wśród cmentarza,
Co myśliciela smętnego przeraża, —
To siew bez plonu rzucony na marno,
Kwiat bez owocu — i stracone ziarno,
Po przez mogiły, gdzie śpią te dzieciny,
W milczeniu śmierci przeraźliwem, głuchem,
Ludzkość uboższa ramieniem i duchem,
Idzie tak wolno, jakby cel się zwlekał!...
O bracia! czy w nas wcale nie ma winy,
Że słonka Jaś nie doczekał?...

ORSO.

W maju.

Nowela.

Siedzieli oboje jakby w zachwyceniu. Wąchali jedną gałązkę bzu, ściskali się zę ręce i patrzyli sobie w oczy, w duże, ciemne, tajemnicze, pełne radosnych i słodkich obietnic oczy zakochanych, o wieczornej godzinie.

Patrzyli w złoty księżyc, z którego spływała na ogród czarodziejska poezja majowej nocy. Czekali na pierwsze odezwanie się słowika, szepcząc rozkoszne rzeczy o swych bliskich zaślubinach i czując skrzydła u ramion i wielką jasność w duszy na myśl o swojem przyszłem szczęściu.

Mówili także chwilami o rzeczach natury praktycznej, jako ludzie dojrzali, jako dwaj towarzysze broni odwiecznych bojów życia, jako przyszły mąż i żona. Z poza pary gruchających dzieci, z poza rozmarzonych kochanków, wyzierali już trzeźwi założyciele gniazda.

— Słyszałeś o awansie Wińskiego?

Skrzywił się mimowoli, usłyszawszy nazwisko, którego właścicielem gardził.

— Obiło mi się o uszy...

— Będzie podobno świetnie stał. Mówią o siedmiu tysiącach...

— Ale jak do nich doszedł!...

Przez chwilę pasował się z słowem, cisnącem się mu na usta, aż uległ.

— To szubrawiec.

Szeptem, cichym jak echo myśli, odparła zwolna:

— Ha... któż dzisiaj ma pieniądze, jak nie tacy...

„Pieniądze"...

...Jakim ona to tonem powiedziała...

„Któż dzisiaj ma"...

...Dreszcz go przeszedł. Zapewne chłód nocy. Chłód — albo nerwy. A potem nagłe uniesienie, nagły opór myśli, jakby na widok wzbierającej fali brudu...

Tak! tylko oni je mają... Szubrawcy!...

Ale czyż to tylko pieniądze?... Wszystko posiadają szubrawcy. Oni są zwycięzcami, panami placu, jak był nim zawsze opryszek. Kto nie przebiera w środkach — ma wszystkie w ręku, a więc ma szanse zwycięstwa.

Dlatego warto być szubrawcem, powinno się być szubrawcem, musi się być szubrawcem.

Ha! ha! ha!... Dziękuję ci, drogi ojcze, żeś był szubrawcem!.. Pamiętaj lube dziecię, bądź szubrawcem!...

Szubrawcy bowiem są pociechą rodziców, filarami przedsięwzięć, słońcami wieków, rozkoszą i dumą żon i kochanek, — oni! których dłonie pełne są złota, którzy mają sławę, bo nie mają czoła, którzy są szanowani, bo są niebezpieczni, którzy sami jedni dochodzą do tego wszystkiego, o czem innym zaledwie wolno śnić, — ponieważ na wszystko się ważą...

Mówił tak bez odetchnienia, sypiąc na bałwana papierowe kwiaty szyderczych hołdów i plując mu w twarz.

„Któż dzisiaj ma pieniądze, jeżeli nie tacy" — słowa te niespodziane i przerażające smagały go jak bicze.

Pieniądze!

Pieniądze!!!...

A wiesz ty, co to są pieniądze?... Wiesz, co się mieści w tych kolorowych świstkach i w tych błyszczących krążkach z metalu?... Papier się waży z szmat, a metal wytapia z rudy — ale czy wiesz, ile łez, krwi i potu znajdzie się w tysiącach Wińskiego, za które on i jego bliscy wieść będą życie, zazdrość budzące?...

Pieniądze!...

A może one są i jej bożyszczem?... Strach go ogarnął. Dziki zamęt wzburzył na tę myśl całą treść jego duszy, całą słodką, niebiańską harmonję serca, uanielonego miłością.

Ale nie!... nie!... Ona jest czystą, dobrą, prostą... Ona sama nie wie, co mówi... Ona powtarza jak dziecko zasłyszany frazes... Ona jest wcieleniem ideału!... A jeżli nie jest — będzie niem!...

— Miłość moja ją urobi!... Jakże to trudno wyrzec się swych snów...

...Ona zaś myśli zdumiona:

— Jakiż on sentymentalny!... Czyżby naprawdę nie odczuwał, co jest podstawą bytu i szczęścia?... Byłżeby tak zaślepiony, czy tak... naiwny?...

Nie!... nie!... on jest tylko bardzo zakochany... Noc taka piękna... bez pachnie tak cudnie... usta jej tak są namiętne... Cóż dziwnego, że chłopiec marzy...

Ale życie go zbudzi!

— Życie go urobi!... ja go urobię...

Wiktor Gomulicki.

Pieniądz.

Pieniądz wytwarza siłę i sam lgnie do siły —
Wszędzie go najsilniejsze ręce pochwyciły.
Zważcie u kogo pieniądz — a wnet się dowiecie,
Co w danej chwili siłą zowie się na świecie. —

Brak pracy.

Bezradne stoi dzisiejsze społeczeństwo kapitalistyczne wobec problemu braku pracy, który ono samo stworzyło, a dziś niezdolnem jest uleczyć te rany, które zadało szerokim warstwom ludności przez swój szalony system produkcji. Nie chcemy tutaj wskazywać na te miljony, które w ofierze dla kapitalizmu poświęcać muszą życie swe i zdrowie, dziś chcemy wskazać tylko na te setki tysięcy, których siły roboczej kapitalizm już nie potrzebuje, i którym wskutek tego zabraknie miejsca przy stole przez naturę dla wszystkich hojnie zastawionym. Ludzi ci w procesie produkcji stali się zbytecznymi, pozostali bez pracy, gdyż współtowarzysze ich niedoli, inni robotnicy za wiele przedtem pracowali, za wiele stworzyli. Dlatego więc, że nagromadzono za dużo produktów dla zaspokojenia potrzeb ludzkich, dlatego pewna część ludzi musi się bez nich obchodzić. Trudno doprawdy wyobrazić sobie większy paradoks i większą sprzeczność nad to, co w dzisiejszem społeczeństwie stało się wprost regułą, jedynie tylko dlatego, że produkcja, ogólne wytwarzanie, nie stosuje się do rzeczywistych potrzeb, lecz jest kierowanem li tylko chęcią zysku, bez względu na to, czy istnieje zapotrzebowanie produktu czy nie.

Ta bezradność dzisiejszego społeczeństwa wobec bezrobocia datuje się nie od dziś dnia i nie od ostatnich czasów. Odkąd tylko wystąpiła na jaw ta straszna choroba społeczna, ci którzy byli jej faktycznymi sprawcami nie zdolni byli uczynić nic, aby ją uleczyć. Aby to zło usunąć, stosowano różne metody, zawsze jednak bezskuteczne, a różniące się od siebie chyba tem tylko, że obecnie nie są one tak brutalne, zawsze jednak nieludzkie i nie wystarczające.

W prymitywnych stosunkach starożytnego świata bezrobocie było rzadkością, w każdym jednak razie musieli istnieć i wtedy ludzie bezrobotni, gdyż w ustawodawstwie starożytnej Grecji z szóstego i siódmego wieku przed Chrystusem znajdujemy prawa, przewidujące bardzo surowe kary

na ludzi, którzyby nie pracowali; brak pracy uważany był za jednę z bardzo ciężkich zbrodni. Również i w wiekach średnich za „włóczęgostwo“ — jak określono wówczas bezrobocie, które to określenie niestety do dziś dnia się zachowało — przewidziane były bardzo surowe kary, które bezwzględnie stosowano wobec tych wszystkich, którzy pozostawszy bez pracy, musieli udać się w podróż za znalezieniem zarobku i umożliwieniem sobie egzystencji, gdyż w miejscu wskutek słabego rozwoju rzemiosła, pracy znaleźć nie mogli.

Z rozwojem jednak przemysłu w nowoczesnych czasach problem bezrobocia wystąpił w zupełnie nowej formie. Profesor Adler pisze o stosunkach ówczesnych w „Słowniku nauk społecznych“ w następujący sposób: Najprzód zjawisko to wystąpiło w Anglji, gdzie nowożytny industrjonalizm zdołał najpierw się rozwinąć. Bardzo szybki rozwój przemysłu tkackiego doprowadził, począwszy od 15 wieku, do niezwykle wysokich cen na wełnę, wskutek czego dla wielkich właścicieli ziemskich okazało się zyskowniejszem chodowanie samych owiec i zaprzestanie uprawy ziemi. Skutkiem tego rozwoju przemysłu było to, że w czasie od roku 1509 do 1547 wywędrowało ze wsi około 50.000 chłopów, którzy zamienili we wolnych proletarjuszy. Częścią pociągnęli oni do miast, aby tu w przemyśle pracować jako robotnicy, częścią zaś, nie mogąc znaleźć zajęcia, zostali żebrakami lub złodziejami. Tych ostatnich wieszano bez litości, i około 27.000 znalazło tak swój koniec; los pozostałych nie był jednak o wiele lepszym, gdyż przeciwko nim stosowano z całą surowością ówczesne krwawe ustawy.

O środkach, jakie w tym czasie stosowano względem bezrobotnych, pisze Marx w następujący sposób: Wszystkich ich uważano za wagabundów i włóczęgów. Ustawodawstwo widziało w nich „dobrowolnych“ zbrodniarzy i oceniało, że tylko od ich dobrej woli zależy, aby pracować dalej w dawnych, już nieistniejących stosunkach. Starzy i niezdolni do pracy żebracy otrzymywali pozwolenie na żebraninę. Przeciwko zaś zdolnym do pracy włóczęgom stosowano chłostę i więzienie. Przywiązywano ich z tyłu do woza i biczowano tak długo, aż całe ciało krwią spłynęło; wtedy taki włóczęga musiał zaprzysiądz, że powróci do swego miejsca urodzenia lub tam, gdzie pracował w ostatnich latach i weźmie się do pracy. Jeżeli złapano go po raz drugi na włóczęgostwie, natenczas chłostann go na nowo, i obcinano mu pół ucha, po raz trzeci jednak złapanego, jako wroga społeczeństwa i zatwardniałego zbrodniarza, po prostu tracono. Metoda ta miała tę tylko jednę dobrą stronę, że faktycznie zmniejszała liczbę bezrobotnych i niejeden z dzisiejszych kapitalistycznych dobrodziejów ludzkości, któremu na widok tyla nędzy i biedy krwawi się serce, z pewnością z żalem myśli, dlaczego to dziś dnia tak nie jest i dlaczego „rząd“ nic nie robi, aby zmniejszyć nędzę i usunąć nędzarzy ze świata.

Również i we Francji przed wielką rewolucją, każdy zdolny do pracy, który nie mógł się wyżywić i przez sześć miesięcy pozostał bez pracy, karany był galarami.

Wszystkie te jednak środki, pominąwszy już ich nieludzkość i brutalność, były zupełnie niewystarczającymi, aby choć w części zaradzić brakowi pracy. Bezrobocie wraz z rozwojem przemysłu rosło coraz bardziej: zwłaszcza w czasach kryzysów stawało się straszliwą klęską. Znane są wypadki, gdzie bezrobotni z nędzy i rozpaczy wszczynali walki uliczne, nie mniej rzadko bezrobotni w rozpacznym szale i zaślepieniu niszczyli maszyny, uważając je za powód swego bezrobocia. Wychodzili oni w tym wypadku z fałszywego zapatrywania, że maszyna, która zmniejszyła potrzebę pracy ludzkiej, była powodem ich klęski, dziś jednak większość robotników doszła już do zrozumienia prawdziwych przyczyn, które powodują bezrobocie. Ogromne bogactwa nieraz niszczono w ten sposób, nie osiągając przez to nic jak tylko nowe cierpienie i nową nędzę. Kapitalizm zbudował sobie nowe maszyny, jeszcze bardziej wydajne i udoskonalone; chwilowe wybuchy rozpaczy i rewolty nie były wstanie położyć tamy jego zwycięskiemu pochodowi.

Jedynym skutkiem, jaki te akte rozpaczy bezrobotnych pociągnęły za sobą, było to tylko, że sfery miarodajne przekonały się, że klęski bezrobocia nie usunie się brutalną siłą i krwawemi ustawami. Stąd też zaczęto próbować zaradzić nędzy, z bezrobocia powstałej, za pomocą jałmużny. Jak jednak ten środek jest niewystarczającym, tego udowadniać chyba nie potrzeba, dość wskazać, jako na uzupełnienie tej opieki, na domy robocze, które dziś powołane są do paraliżowania demoralizującego działania opieki nad biednymi.

Śmiało można powiedzieć, że sfery burżuazyjne poza kilka prób ze strony krajów czy gmin nie wyszły. Jeżeli nawet doda się, że w poszczególnych wypadkach jak np. w Anglji przez czasowe zatrudnianie bezrobotnych przy budowach koniecznych, zrobiono coś zwłaszcza dla poprawy stosunków sanitarnych przyszłych pokoleń, to mimo to są to wszystko przedsięwzięcia i próby, które tylko znikająco małą część bezrobotnych są wstanie zatrudnić, dla masy jednak nic zdziałać nie mogą, gdyż i takie budowy konieczne nie są wstanie zatrudniać całej tej ogromnej armji bezrobotnych, zwłaszcza w czasie kryzysów, a przytem wskutek ogromnej specjalizacji robotników, nie wszyscy są zdolni do pracy na tych budowach.

Największe i najskuteczniejsze rezultaty na polu walki przeciw bezrobociu i jego skutkom osiągnęły dziś tylko związki zawodowe. Zupełnie o własnych siłach, bez jakiejkolwiek pomocy ze strony gminy czy państwa, zdołały one zaprowadzić u siebie urządzenia, które bez cienia jakiejkolwiek łaski czy miłosierdzia, bronią robotnika przed strasznymi skutkami braku pracy. Jest to prawo, z którego korzystać może każdy człowiek na wypadek braku pracy, a działa ono nie upokarzająco, lecz przeciwnie przyczynia się do podniesienia świadomości bezrobotnego proletarjusza. Jako środek do zwalczania bezrobocia, trzeba również podnieść działalność związków na polu poprawy bytu robotników, podniesienia płac i skrócenia dnia roboczego.

Uniwersytet dla robotników.

W żadnym może kraju dążność szerokich mas ludu pracującego do oświaty nie znajduje pola do urzeczywistnienia powyższego wysokiego zadania kulturalnego w podobnej mierze, jak w demokratycznej Anglji. Robotnicy angielscy posiadają już swój uniwersytet. Przy jednej z najstarszych wszechnic Europy, słynnym uniwersytecie Oxfordzkim, utworzone zostało tak zw. „Kolegjum Ruskina“, które ma na celu szerzenie wyższego wykształcenia pośród robotników.

Przyjęta w „Kolegjum Ruskina“ metoda pedagogiczna obejmuje dwa równorzędne zakresy: szkołę korespondencyjną („Correspondence School“) oraz wykłady („College Education“). Zadanie szkoły korespondencyjnej, jak pokazuje sama nazwa, polega na nauczaniu listownem. Wpisy rozpoczyna rozesłanie zredagowanego w formie pytań formularza, który wypełniają robotnicy, wybierając zarazem z nadesłanej listy przedmioty, które pragnęliby poznać. Jedno z pierwszych pytań brzmi: „Jaki użytek zamierza pan uczynić ze zdobytego wykształcenia?“ Odpowiedzi na ten punkt są zazwyczaj następujące: „dla wykształcenia ogólnego“ lub: „chciałbym stać się użytecznym dla społeczeństwa“, „dla podniesienia wykształceniu wśród moich towarzyszów“; jeden zaś napisał krótko: „nie chcę być dłużej ciemnym i głupim robotnikiem“.

Skoro przedmiot został obrany, rozpoczyna się nauka. Uczeń studjuje samodzielnie pewną gałęź wiedzy, korzystając przytem z nadsyłanych co tydzień wskazówek listownych. Po ukończeniu pewnej całości, otrzymuje z kolegjum temat dla opracowania referatu. Oto jakie tematy dawane bywają z dziedziny „Samorządu lokalnego“: „Rozwój samorządu lokalnego w Anglji“, „Samorząd Londynu“, „Samorząd gminny“ i t. p. Nadsyłane co miesiąc referaty po poprawieniu odesłane zostają autorom. Zamieszkali w tem samem miejscu członkowie-korespondenci tworzą „klasy“, których celem jest wspólna wymiana myśli, wspólna lektura, wreszcie urządzanie „wieczorów dyskusyjnych“.

Druga część „Kolegjum Ruskina“, czyli uniwersytet właściwy, ma swą siedzibę w Oxfordzie. Jest to rodzaj internatu, obsługiwanego (z wyjątkiem kuchni) przez samych pensjonarzy. Z jakiej sfery rekrutuje się przeważna część słuchaczów, świadczy zebrana statystyka. Najwięcej uczniów dostarczają kolegjum górnicy i robotnicy fabryczni, mniejszy odsetek stanowią rzemieślnicy: krawcy, szewcy i inni. Z ogólnej liczby 320 robotników, jacy ukończyli dotąd kolegjum wszyscy bez wyjątku po ukończeniu studjów powrócili do swej dawnej pracy, w zamiarze niesienia dalej zdobytych ziaren oświaty. Niektórzy z nich specjalnie w tym celu wydelegowani byli przez organizacje robotnicze.

Wykłady, opracowane według planu uniwersyteckiego, prowadzone są w duchu szczerze postępowym. Przekonać się o tem można z samego doboru przedmiotów, których program obejmuje między innemi: historję ruchu robotniczego, związki zawodowe, samorząd lokalny i ekonomię polityczną.

Czy rychło doczekamy się chwili, gdy dwie istniejące wszechnice polskie, będące dziś ostoją klas rządzących, otworzą gościnne podwoje dla rzesz ludowych?

Alkoholizm a choroby umysłowe.

W miesięczniku dla popierania wstrzemięźliwości czytamy:

Niedawno temu opublikował francuski minister spraw wewnętrznych rezultaty dochodzeń, jakie poczyniono w zakładach dla obłąkanych we Francji celem stwierdzenia liczby chorych umysłowo, którzy swą chorobę zawdzięczają szkodliwym wpływom napojów upajających.

Ogólną cyfrę, jaką odnośne badania wykazują, podzielono na trzy grupy. Do grupy A zaliczono wszystkie wypadki, w których stwierdzono, że pijaństwo było wyłączną przyczyną obłędu. W grupie B pomieszczono tego rodzaju choroby umysłowe, które zostały spowodowane pijaństwem przodków. Ostatnia grupa C obejmuje wszystkie wypadki obłędu, w których stwierdzono wprawdzie kilka przyczyn obłędu, w których przecie pijaństwo główną rolę odgrywa.

W poszczególnych grupach zebrano następujące cyfry:

Chorych umysłowo	mężczyzn	kobiet	razem
W grupie A	2287	721	3008
„ B	2237	1048	3285
„ C	2538	1101	3639
Ogółem	7062	2870	9932

Ogólna liczba chorych umysłowo, umieszczonych w zakładach wynosiła dnia 1-go stycznia 71457. Stąd wynika, że liczba ofiar alkoholu wśród tych nieszczęśliwych dochodziła blisko 14 proc. (13,60 proc.)

Zestawienia statystyczne wykazują równocześnie rodzaje napojów alkoholowych, do których ci nieszczęśliwi okazywali szczególne zamiłowanie:

Rodzaj napojów	mężczyźni	kobiety	razem
absynt	1372	165	1537
wódka	1911	720	2631
piwo	453	211	664
wino	1275	480	1755
likiery	2051	1294	3345
Ogółem	7062	2870	9932

Z powyższych cyfr wynika, że we Francji najwięcej stosunkowo ofiar pochłaniają likiery (apéritifs), absynt, wino. — Wódka ma wielki odbyt głównie w Bretanji i Normandji oraz w centrach przemysłowych.

Podobny materjał statystyczny zbierają uczeni w Niemczech.

Zarząd wielkiego zakładu dla obłąkanych w Dalldorfie pod Berlinem podaje w tejże sprawie następujące cyfry:

Dnia 1 kwietnia 1905 roku znajdowało się w zakładzie 2062 mężczyzn i 1661 kobiet. W tej liczbie było 357 alkoholików mężczyzn = 14,8 proc. i 30 kobiet = 1,8 proc.

W ciągu roku 1905/06 przyjęto do zakładu: 1419 mężczyzn i 614 kobiet, w tym było 540 alkoholików mężczyzn = 38 proc. oraz 15 kobiet = 2,4 proc.

W powyższych cyfrach uwzględniono przecież tylko te wypadki obłędu umysłowego, które powstały bezpośrednio i wyłącznie pod wpływem alkoholizmu; nie liczono zaś tych wypadków, w których alkohol odgrywał wybitną wprawdzie, lecz więcej drugorzędną rolę.

Skutki alkoholizmu pod względem umysłowym objawiały się w szczególny sposób w następujących zawodach: szynkarzy i kelnerów było 29 alkoholików na 76 obłąkanych umieszczonych w zakładzie = 32,2 proc.; artystów, muzyków, aktorów, w liczbie 22 obłąkanych, 10 alkoholików = 43,5 proc.; robotników w liczbie 312 było 178 wypadków = 57 proc.; rzemieślników na 488 przyjętych do zakładu było 199 alkoholików = 41 proc.

Lipski zakład dla obłąkanych Dösen, wykazuje następujące cyfry. W roku 1905 było w liczbie 255 mężczyzn i 208 kobiet umieszczonych w zakładzie 32 mężczyzn alkoholików = 12 proc. i 4 kobiety = 1,9 proc. Prócz tego stwierdzono, że u 21 mężczyzn i 3 kobiet alkohol stał się przyczyną pośrednią obłędu umysłowego. — Razem więc dostało pomieszania zmysłów wskutek pijaństwa 47 mężczyzn = 18,4 proc. i 7 kobiet = 3,4 proc.

Rozmaitości

Walka z dusicielem. Olbrzymie węże, z gatunku boa constrictor, które w stanie sytości są nader ociężałe, i nie przedstawiają żadnego niebezpieczeństwa, mogą się jednak stać groźnymi, jeżeli głód je przyciśnie. Doświadczył tego na sobie jeden z dozorców ogrodu zoologicznego w Nowym Jorku. Człowiek ten udał się do klatki olbrzymiego węża, celem nakarmienia go. W chwili, gdy niebacznie odwrócił się plecami do zwierzęcia, poczuł z przerażeniem zimne jego sploty, owijające mu się naokoło nóg. Wiedział dozorca, co znaczy to objęcie, i wiedział także, że jeżeli się zawczasu nie potrafi uwolnić od niego, wąż obsznuruje go, i jednem ściągnięciem kręgów połamie mu wszystkie kości. Wiedząc, że sam nie podoła olbrzymim siłom węża, zaczął wołać o pomoc, i w kilku chwilach nadbiegli inni dozorcy, w liczbie 15, których zjednoczonym siłom udało się wreszcie wybawić towarzysza. Olbrzymi gad jednak, któremu tak niespodzianie wydarto zdobycz, wpadł w wściekłość i uspokoił się dopiero po obfitym posiłku.

Nie dawajcie dzieciom alkoholu. Gdyby matki chciały uwierzyć w szkodliwość alkoholu, nie dawałyby swoim dzieciom ani kropli wódki, piwa lub wina. Alkohol jest wszędzie jednaki i najmniejsza jego cząstka niszczy i ogłupia mózg dziecięcy. Dziecko, któremu dawano alkohol, jest mniej odporne na choroby i słabiej się rozwija. Gdyby matki dzieciom bardziej kupiły mleka zamiast piwa, wyszłoby to dzieciom bardziej na zdrowie.

Dziwią się matki i narzekają na pijaków, a same już od małego przyzwyczajają dzieci do pijaństwa. Pamiętać należy, że „czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci".

Alkohol wpływa na rozwój umysłowy dziecka, i dzieci, które dostają go pić, robią w szkołach małe postępy, bo słabiej pojmują naukę.

Nawet młode zwierzątko nie zniosłoby alkoholu, a ma nie szkodzić dzieciom.

Ojcowie i matki, ochrońcie dzieci wasze przed zgubnem działaniem alkoholu, i jeżeli dzieci wasze miłujecie, nie dawajcie im nigdy ani w gospodzie, ani w domu, ani zdrowym, ani chorym ani kropli alkoholu. Alkohol to wróg ludu: w tem przekonaniu wychowujcie wasze dzieci.

* * *

Mała kronika techniczna. Guma do wycierania, pędzona siłą elektryczną — oto najnowsza zdobycz w wielkich biurach rysunkowych. Przy pomocy małego motoru puszcza się w ruch plaster gumowy, który wyciera wielkie przestrzenie w krótkim czasie lub też usuwa błędy. — Linia koleji żelaznej Spiez-Fruttingen (Szwajcarja) ma być zamieniona w kolej elektryczną. Użytym ma być jednopłynny prąd zmienny o sile 15 000 volt i 15 perjodach. Prąd elektryczny dostarczać będą werki Kander & Hageneck. Również i austrjackie koleje państwowe zamierzają zastąpić siłę parową elektryczną. Na razie zarządy kolejowe zabezpieczają sobie konieczną siłę wodną. — W Niemczech istnieje obecnie 135 stacji dla telegrafów bez drutu, służących publicznemu użytkowi. Z tego jest 113 stacji systemu Telefunken, 16 podług systemu Marconiego, a 6 podług Foresta. — Beton żelazny używają we Włoszech już od dłuższego czasu z powodzeniem do konstrukcji okrętów lżejszych. Obecnie poczynają wyrabiać płyty pancerne z betonu żelaznego, ostrzeliwając je w Mugiano na próbę. Dotąd płyta, okolona z obydwóch stron cienką blachą stalową, nie została przebitą przez pocisk 20,3-centymetrowy. — Teatr Montank w Brooklynie (Ameryka), masywna budowa wagi 85 000 tonn, został przesunięty z powodzeniem o 300 metrów z jednego miejsca na drugie. Podczas „przeprowadzki" nie obruszyła się ani jedna cegła, nie wydarzył się też jakibądź wypadek.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 40. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 3 października 1908.

Lew Tołstoj.

Opowiadanie Krylcowa.

„W więzieniu, w którem mnie osadzono, opowiadał Niechludowowi Krylcow, siedział on ze swą zapadłą piersią na wysokiej pryczy i tylko chwilami spoglądał na Niechludowa czarnemi, błyszczącemi oczyma — w więzieniu tem pozostawiono nam względną swobodę; nietylko pukaliśmy do siebie, lecz spacerowaliśmy razem po korytarzu, rozmawialiśmy, dzieliliśmy się żywnością, tytoniem, a wieczorami nawet śpiewaliśmy chórem.

Ja mam głos dość dobry... Tak... Gdyby nie pamięć o matce, która ogromnie martwiła się o mnie, byłoby mi w więzieniu zupełnie dobrze, a nawet przyjemnie i bardzo interesująco. Tu też zaznajomiłem się, między innymi, ze sławnym Pietrowem, który później zarżnął się szkłem w fortercy, i z wielu innymi. Rewolucjonistą jednakże wówczas nie byłem jeszcze.

Poznałem też więźniów z sąsiednej celi. Zostali oni aresztowani razem w sprawie rozpowszechniania polskich proklamacji i sądzono ich za próbę ucieczki podczas odprowadzania ich na kolej. Jeden z nich był polakiem, nazywał się Łoziński, drugi Rozowski był żydem. Rozowski był jeszcze dzieckiem prawie. Powiadał on, że ma lat siedmnaście, nie starzej jednak, jak na piętnaście wyglądał. Był to chłopiec chudy, drobny, o czarnych, błyszczących oczach, ruchliwy bardzo i, jak wszyscy żydzi, ogromnie muzykalny. Głos miał niewyrobiony jeszcze, ale śpiewał pięknie. Już podczas mojej w więzieniu bytności obu ich wzywano do sądu na sprawę. Zabrali ich rano. Powrócili dopiero wieczorem i opowiedzieli nam, że obu ich skazano na śmierć. Nikt nie spodziewał się tak okrutnego wyroku. Wszak tak bagatelną była ich sprawa! Wszak oni tylko próbowali ucieczki i nawet nie zranili nikogo. Prócz tego tak nienaturalnem, niemożliwem wydawało się stracenie, śmierć takiego dziecka, jakiem był Rozowski.

Całe więzienie, wszyscyśmy zgodnie zaopinjowali, że chciano ich tylko nastraszyć i że wyrok ten zatwierdzony nie zostanie. Kilka dni niepokoiliśmy się, lecz potem zapomnieliśmy o groźbie i życie poszło dawnym trybem...

Tak... Pewnego jednak wieczora do celi mej podszedł stróż i tajemniczo oznajmił mi, że przyszli cieśle i budują szubienicę: z początku nie zrozumiałem, o co chodzi, — co takiego? jaką szubieniczę? Lecz stróż był tak wzruszony, że spojrzawszy nań, zrozumiałem natychmiast, iż szubienice te przeznaczone są dla naszej pary. Chciałem zapukać do towarzyszów, rozmówić się z nimi, bałem się jednak, by tamci nie usłyszeli. Towarzysze zaś milczeli również.

Widocznie o przygotowaniach wiedzieli już wszyscy. Na korytarzu i w celach panowała przez cały wieczór niezwykła, straszna cisza. Nie pukaliśmy do siebie i nie spiewaliśmy, jak zwykle. Około godziny dziesiątej znów do celi mej podszedł stróż i powiedział, że sprowadzono z Moskwy kata. Powiedział i oddalił się natychmiast. Zacząłem wołać nań, by się wrócił. Aż tu słyszę, Rozowski ze swej celi woła do mnie: „Czemu go wołacie?“ Odpowiedziałem, że stróż przyniósł mi tytoń, lecz Rozowski, jak gdyby domyślał się, lub przeczuwał coś, zaczął dopytywać się: „dlaczego dziś nie śpiewaliśmy? dlaczego nie ma pukania?“ Nie pamiętam już, com mu odpowiedział, postarałem się też odejść ode drzwi jak najprędzej, by nie rozmawiać z nim dłużej... Tak...

Noc przeżyliśmy straszną. Ja cały czas wschłuchiwałem się w każdy dźwięk, w każdy szept i szmer. Nagle nad ranem otwierają się drzwi od korytarza i słyszę kroki jakiejś dużej ilości ludzi. Zerwałem się z łóżka i stanąłem przy okienku. Na korytarzu paliła się lampa. Najpierw ukazał się dozorca. Był to człowiek barczysty, otyły; z twarzy jego zazwyczaj przebijła energja i pewność siebie. Zmienił się tak, że go poznać nie mogłem: był blady, ponury i jakby wystraszony. Za dozorcą szedł jego pomocnik z twarzą zachmurzoną, lecz zdecydowaną; za nimi szedł konwoj. Pochód cały zatrzymał się przed drzwiami sąsiedniej celi.

Wkrótce usłyszałem głos pomocnika, który jakimś dziwnym głosem zawołał: „Łoziński, wstań pan i włóż czystą bieliznę!“ Potem znów usłyszałem, jak zgrzytnęły drzwi i wszyscy weszli do celi Łozińskiego; następnie usłyszałem jego kroki. Szedł w głąb, w przeciwną stronę korytarza. Z okienka mego widzieć mogłem tylko dozorcę. Stał on blady, zmieniony, zapinał i odpinał guzik przy mundurze i wzruszał ramionami. Nagle, jakby zląkł się czegoś, szybko usunął się na bok. To przeszedł obok niego Łoziński i zbliżył się do moich drzwi. Był to piękny młodzieniec, tego, wie pan, pięknego polskiego typu; czoło miał szerokie, wyniosłe, jasne blond, zlekka kędziarzawe, cienkie włosy i piękne niebieskie oczy. Był to młodzian kwitnący, pełen zdrowia i sił żywotnych. Stanął przed mem okienkiem w ten sposób, że widzieć mogłem całą twarz jego, twarz wychudłą, szarą, straszną... „Krylcow macie papierosy?“ zapytał mnie. Już chciałem mu je podać, kiedy dozorca, jak gdyby, bojąc się spóźnić, wyjął szybko swą papierośnicę, i podał mu ją. Łoziński wziął papierosa. Pomocnik zapalił mu go. Zaczął palić i zamyślił się. Potem, jak gdyby sobie coś przypomniał, zaczął mówić: „I okrutne to i niesprawiedliwe. Zbrodni przecież nie popełniłem. Ja...“ — na jego młodej, białej szyi, od której oczu oderwać nie mogłem, dostrzegłem dziwne jakieś drżenie, Łoziński umilkł.

W tejże chwili usłyszałem głos Rozowskiego, który coś wołał swym cienkim głosem. Łoziński rzucił niedopałek papierosa i odszedł dalej. W okienku mem ukazał się Rozowski. Jego dziecinna z wilgotnemi, czarnemi oczyma twarz była czerwona i spocona. I on także miał na sobie czystą bieliznę. Spodnie jego były dlań zbyt szerokie i on, drżąc na całem ciele, wciąż obu rękoma podciągał je do góry. Po chwili biedną swą twarzyczkę zbliżył do mego okienka i spytał: „Wszak prawda, że doktor zapisał mi lekarstwo na piersi? Jestem chory... ja jeszcze będę zażywał lekarstwo“. Nikt mu nie odpowiadał, a on pytająco spoglądał to na mnie, to na dozorcę. Co on chciał przez to powiedzieć, nie zrozumiałem dotychczas... Tak, tak...

Wtem pomocnik zrobił surową minę i piskliwym jakimś głosem zawołał: „Co to za żarty? Chodźmy!“ Rozowski najwidoczniej nie mógł pójąć, co go oczekuje, i, jak gdyby spiesząc się, zaczął iść, biec prawie korytarzem, pozostawiając wszystkich daleko w tyle. Potem zatrzymał się nagle, stanął, usłyszałem jego przejmujący głos i płacz. Zaczęło

się szamotanie, tupot nóg... Rozowski począł przenikliwie piszczeć i płakać. Po chwili skrzypnęły drzwi od korytarza i wszystko ucichło. Tak... Powieszono ich. Obu uduszono postronkami... Jeden ze stróżów był świadkiem egzekucji i opowiadał mi później, że Łoziński nie opierał się wcale. Rozowski zaś długo szamotał się, tak, że siłą wciągnięto go na szafot, siłą też założono mu na szyję pętlicę.

Stróż ten był trochę głupkowaty. Mówił on: „Powiadali mi, panie, że to jest straszne. Wcale nie. Kiedy zawiśli w powietrzu, obaj tylko tak drgnęli, poruszyli ramionami" — tu pokazał mi, jak to ramiona powieszonych kurczowo podniosły się i opuściły — „potem kat pociągnął za nogi, aby pętlice mocniej się zacisnęły i koniec: nie drgnęli już ani razu".

„Wcale to nie jest takie straszne" — powtórzył Krylcow słowa stróża i spróbował uśmiechnąć się. Zamiast jednak uśmiechu, rozpłakał się serdecznie.

Długą chwilę milczał, dysząc ciężko i powstrzymując spazmy, które ściskały jego gardło.

— „Od tej chwili jestem rewolucjonistą".

Wiktor Gomulicki.

Długie życie.

Samolub i rozkoszniś zwykle żyją długo;
Lecz każdy jednej myśli zrobiwszy się sługą,
Daremnieby latami długość życia mierzył:
Kto nie cierpiał — nie kochał; kto nie kochał — [nie żył!

Klasyczne myśli Marksa.

Historja wszystkich dotychczasowych społeczeństw jest historją walk klasowych.

Wolny i niewolnik, patrycjusz i plebejusz, baron i poddany, majster cechowy i czeladnik, krótko: uciskający i uciskany stali zawsze w ustawicznem przeciwieństwie, prowadzili nieprzerwaną, bądź to tajną bądź jawną walkę, walkę która zawsze kończyła się rewolucyjnem przekształtowaniem całego społeczeństwa lub też wspólną zagładą klas walczących.

Nasza epoka, epoka burżuazaji, odznacza się jednak tem, że uprościła przeciwieństwa klasowe. Całe społeczeństwo rozdziela się coraz to wyraźniej na dwa wielkie obozy, na dwie wielkie bezpośrednio stojące przeciwko sobie klasy: burżuazję i proletarjat.

* * *

Ten rozdział, to pohańbienie burżuazyjnego społeczeństwa jest naturalnym fundamentem, na którym spoczywa państwo nowożytne, tak jak społeczeństwo oparte na niewolnictwie, było podstawą państwa starożytnego. Egzystencja państwa i egzystencja niewolnictwa są nierozdzielne od siebie. Państwo starożytne i starożytne niewolnictwo — szczere przeciwieństwa klasyczne — były nieinaczej wewnętrznie spojone jak państwo nowożytne i nowożytne szachrajstwo — uświęcone przeciwieństwa chrześćjańskie.

Ze stanowiska wyższej ekonomicznej formacji społeczeństwa własność prywatna jednego poszczególnego indywiduum na kuli ziemskiej przedstawiać się będzie tak dziwacznie, jak prywatne posiadanie jednego człowieka przez drugiego.

Nawet wielkie społeczeństwo, naród, ba wszystkie współczesne społeczeństwa razem wzięte nie są właścicielami ziemi. Oni są tylko jej posiadaczami i mają ją tylko jako „boni patris familias" (dobrzy ojcowie rodziny) ulepszoną pozostawić następnym pokoleniom.

* * *

Państwo burżuazyjne nie jest niczem innem jak tylko wzajemną asekuracją klasy burżuazyjnej wobec swoich poszczególnych członków, jakoteż wobec klasy wyzyskiwanej, asekuracją, która musi się stawać coraz kosztowniejszą i choćby z pozoru coraz samoistniejszą wobec społeczeństwa burżuazyjnego, ponieważ władanie nad klasą wyzyskiwaną staje się coraz trudniejszem.

* * *

W tej mierze, jak postęp nowożytnego przemysłu rozwinął przeciwieństwo klasowe między kapitałem a pracą, rozszerzył je i pogłębił, w tej samej mierze otrzymała władza państwowa coraz bardziej charakter publicznej władzy dla uciskania klasy robotniczej, maszyny dla panowania klasowego.

* * *

Warunkiem wyzwolenia klasy pracującej jest usunięcie wszelkich klas... Klasa pracująca w dalszym rozwoju na miejsce społeczeństwa burżuazyjnego postawi asocjację, która wykluczy klasy i ich przeciwieństwa; nie będzie już żadnej rzeczywiście politycznej władzy, ponieważ właśnie władza polityczna jest oficjalnym wyrazem przeciwieństwa klasowego w łonie społeczeństwa burżuazyjnego.

* * *

Klasa, w której koncentrują się rewolucyjne interesy społeczeństwa, skoro tylko powstanie znajduje bezpośrednio w swem własnem położeniu treść i materjał swej rewolucyjnej działalności: powalić wrogów, chwycić się środków wskazanych przez potrzeby walki a konsekwencje ich własnych czynów poprowadzą ją dalej. Nie potrzebuje ona nawet wychodzić z teoretycznych roztrząsań nad własnemi zadaniami.

* * *

W społecznej produkcji swojego życia wchodzą ludzie w oznaczone, konieczne, od ich woli niezależne stosunki, stosunki produkcyjne, które odpowiadają określonej stopie rozwoju ich materjalnych sił produkcyjnych. Zbiorowość tych stosunków produkcyjnych stanowi ekonomiczną strukturę społeczeństwa, podstawę realną, na której wznosi się prawna i polityczna nadbudowa, której odpowiadają określone formy świadomości społecznej. Sposób produkcji warunkuje wogóle procesy życia społecznego, politycznego i duchowego. To nie świadomość człowieka określa jego byt, ale odwrotnie — byt jego społeczny określa z góry jego stopień świadomości.

* * *

Ludzie tworzą swoją własną historję, ale nie tworzą jej z dowolnych kawałków, nie w warunkach samowolnie wybranych, lecz w bezpośrednio im stworzonych i przekazanych.

* * *

Polityczną władzą w właściwem znaczeniu jest władza jednej klasy zorganizowana dla ucisku innej.

Kiedy proletarjat w walce przeciw burżuazji z konieczności zjednoczy się w osobną klasę, drogą rewolucji uczyni się klasą panującą i jako klasa panująca siłą usunie dawne stosunki produkcyjne, usunie wraz z tymi stosunkami produkcyjnymi warunki istnienia przeciwieństwa klasowego, klasy wogóle a wraz z tem swoje własne panowanie jako klasy.

W miejsce starego społeczeństwa burżuazyjnego z jego klasami i przeciwieństwami klasowemi wstępuje asjocjacja, w której swobodny rozwój każdego jest warunkiem swobodnego rozwoju wszystkich.

A. N.

Śpisz jeszcze szlachcicu? Ach ile tat spłynie
Nim czasy cię zbudzą w twym dworze?
Śpij dalej! Lecz pomnij: gdy w dziejów godzinie
Świat nowy z pogardą twe progi ominie:
Lud orał — zalegał ty łoże! —

Kronika przyrodnicza.

Przyrząd do mierzenia siły mięśnej. — Nieco o poziewaniu. — Promienie Röntgena przy badaniu mięsa.

Substancje odżywcze odgrywają, jak wiemy, podwójną rolę w organizmie, służąc z jednej strony sprawie odtwarzania zniszczonych tkanek — z drugiej dostarczając ustrojowi potrzebnej energji życiowej. Niektóre substancje, np. ciała białkowe i tłuszcze, zarówno przyczyniają się do wytwarzania energji, jak do odnawiania tkanek, inne natomiast, np. węglowodany, zdają się być wyłącznie źródłem energji. Znaczenie poszczególnych substancji odżywczych nie zostało jeszcze należycie zbadane. Wyjaśnienia zawiłych stosunków spodziewać się należy na drodze wyłącznie doświadczalnej, czemu głównie na przeszkodzie stoi brak bardziej dokładnego miernika energji życiowej. — Pewien fizjolog paryski zajął się zbadaniem wpływu, wywieranego na stan sił organizmu ludzkiego przez różnego rodzaju djety. Zbudował on pomysłowy przyrząd, służący do mierzenia ilości energji, zawartej w mięśniach. Główną część przyrządu stanowi balon gumowy, połączony z rurką metalową i napełniony rtęcią. Człowiek, którego siłę mieśną badamy, ściska balon w dłoni, powodując podniesienie się rtęci w rurce do pewnej wysokości; rtęć wprawia w ruch przyrząd piszący. Zapis dokonany zostaje na owiniętym w arkusz papieru, podzielonego na działki, walcu metalowym. Przyrząd opisany przewyższa pod względem ścisłości wszystkie znane dotąd mierniki siły mięśnej.

* * *

Poziewanie polega na charakterystycznym głębokim wciąganiu powietrza do płuc z następnym wolnym jego wydychaniem, odbywającem się z mniejszym lub większym szmerem. Fizjologiczne przyczyny poziewania nie są znane. Wiemy jedynie, że występuje ono na tle pewnych stanów psychicznych, jak to: znudzenia, senności i znużenia. Pozostaje również w bliskim związku ze stanem naładowania żołądka. U wielu osób występuje ono przy silnym uczuciu głodu. Patologiczne znaczenie poziewania jest nader nieznaczne, ograniczając się do dziedziny histerji, gdzie przybiera postać spazmatycznych napadów. Ciekawszem jest poziewanie z innego punktu widzenia. U ludzi zdrowych posiada ono cechy naturalnej potrzeby organizmu, nawet wtedy, gdy następuje po znużeniu fizycznem. Nigdy jednak nie ma miejsca poziewanie w przypadku przemęczenia. W ciężkich cierpieniach zakaźnych chorzy zapadają w rodzaj drzemki gorączkowej; dopiero po ustąpieniu gorączki powraca im zdolność poziewania, a z nią razem pokrzepiający głęboki sen. Cięższe postacie obłąkania wykluczają ziewanie. Zatracają tę zdolność również ludzie, zatruci przez narkotyki. W oświetleniu powyższych faktów, poziewanie uznane być musi za objaw pomyślny; może niedalekiem od prawdy będzie twierdzenie, że u chorych, którzy mogą poziewać, niebezpieczeństwo życia nie zachodzi.

* * *

Znajdujące się w płucach czynniki chorobotwórcze gruźlicy posiadają własność wydzielania utworów wapiennych. Powyższe zwyrodnienie tkanki, dotkniętej gruźlicą, francuski lekarz Martel bierze za punkt wyjścia przy rozpoznaniu tej choroby u bydła i nierogacizny. Jeżeli przy pomocy promieni Röntgena będziemy badali płuca tych zwierząt, część tkanki okaże się przejrzystą, rzucając na płytkę zaledwie lekkie cienie, natomiast miejsce, objęte gruźlicą, wyróżni się, jako mniej lub bardziej wyraźne plamy ziarniste. Metoda powyższa, umożliwiająca wykazanie ukrytych ognisk gruźliczych u zwierząt żyjących, znaleźć powinna zastosowanie przy badaniu jakości mięsa w szlachthuzach.

Rozmaitości

Telegraf bez drutu przez Atlantyk. Wynalazek profesora Branly, który za pomocą doświadczeń w laboratorjum odkrył naukową zasadę porozumiewania się na odległość bez żadnych przewodników, znalazł rozległe zastosowanie we wszystkich krajach.

We Francji próby telegrafowania bez drutu dały szybko bardzo pomyślne wyniki. Od czasu pierwszych doświadczeń, przeprowadzonych pomiędzy wieżą Eifla a Panteonem, nowy system telegrafowania uczynił niespodziewanie świetne postępy, przechodząc przez coraz dalsze etapy rozwoju. Odległość punktów, pomiędzy którymi zaprowadzano komunikację tegraficzną, stawała się coraz większa. Z Paryża udawało się wysyłać depesze początkowo do Szerburga, do Brestu, potem na wyspy Porquerolles, do Bizerty, a wreszcie do Casablanca.

Na morzu semafor przylądka Lezard, na południowowschodnim brzegu Anglji, komunikował się ustawicznie w promieniu stu mil morskich ze statkami, posiadającymi aparaty odbiorcze.

Wówczas wynalazcy zaczęli marzyć o połączeniu Europy z Ameryką. Czy jednak siła promieniowa i intenzywność fal Hertza pozwolą na skomunikowanie tak odległych stacji? Pytanie to stawiało sobie wielu uczonych. Obecnie problemat komunikacji transatlantyckiej został rozwiązany teoretycznie w zupełności, a praktycznie — w najważniejszych swych trudnościach.

Pewien uczony amerykański, Lee de Forest, zawarł kontrakt z rządem francuskim w celu zaprowadzenia telegraficznej komunikacji bez drutu między Paryżem a Nowym Jorkiem. Za kika dni odbędą się pierwsze próby pomiędzy stacją na wieży Eifla, a drugą stacją, zainstalowaną w Nowym Jorku. Dr. de Foerst wybrał w tym celu jeden z tych olbrzymich gmachów w stolicy amerykańskiej, które znane są pod nazwą „drapacze nieba" (Sky-Crasers). Na dwudziestem piątem piętrze takiego budynku, należącego do pewnej kompanji amerykańskiej umieścił pomysłowy uczony swe aparaty odbiorcze. Według umowy, zawartej z rządem francuskim, telegraf bez drutu Paryż—Nowy Jork ma zacząć funkcjonować w bliskiej przyszłości.

W kołach uczonych czynią poważne zarzuty przeciw tej śmiałej próbie. W liczbie argumentów przeciwników telegrafu transatlantyckiego najważniejszym jest wzgląd na budowę kuli ziemskiej i wielką odległość pomiędzy Paryżem a Nowym Jorkiem — zbyt wielką, aby fale Hertza mogły ją przebyć bez zatracenia dostatecznej intenzywności. Jednak dyrektor obserwatorjum meteorologicznego w Aix-la-Chapelle (we Francji), doktor Polis, otrzymywał w odległości ośmiuset mil morskich od brzegu amerykańskiego biuletyny meteorologiczne ze Stanów Zjednoczonych. Ten sam uczony w odległości 1200 mil od brzegu Anglji sporządzał mapy meteorologiczne, dla których wskazówki nadsyłały mu statki, przechodzące w odległości ośmiuset mil. Te próby dają nadzieję, że komunikacja telegraficzna bez drutu między Europą a Ameryką będzie mogła funkcjonować normalnie. Pociągnie to za sobą wielkie udogodnienia, nie mówiąc o znaczeniu, jakie ten doniosły wypadek mieć będzie dla nauki i dla sprawy światowego rozwoju.

* * *

Telegraf przez Saharę. Dyrektor poczt i telegrafów w Algierze przedłożył gieneralnemu gubernatorowi, Jonnartowi, kompletny projekt urządzenia linji telegraficznej przez Saharę. Dotąd istniały linje między Oranem i Beni-Abbes, Algierem i Pimnimoun. Jedna z tych linji zostałaby przedłużoną do Adrar, ostatniego posterunku wojskowego, 1200 klm. odległego od wybrzeża. Z tego końcowego punktu przeprowadzony będzie drut telegraficzny na Niger 1400 klm. dalej, z czego 1000 klm. przypada na teren al-

gierski, a 400 klm. na sudański. W tej drugiej części założonych ma być sześć małych fortec z pośrednimi posterunkami pomocniczymi. Ponieważ wielbłąd robi dziennie 100 klm., więc posterunek od posterunku będzie odległy najwyżej na długość 24 godzinnej jazdy wielbłąda. W Bourren nastąpi rozdział linji; jedna prowadzić ma do Timbuktu i Senegalu, druga do Say i Zinder w okolicy jeziora Czad. Druty będą rozpięte na słupach metalowych, 4.50 m. wysokich, a 100 m. od siebie odległych. Jeździec na wielbłądzie podjedzie pod nie snadnie. Koszta budowy obliczono na 2,500,000 franków, a czas budowy na ośmnaście miesięcy.

* * *

Największy teleskop świata będzie niebawem umieszczony w instytucie Carnegiego w Waszyngtonie. Średnica olbrzymiego instrumentu wynosi półtrzecia metra. Szkła do teleskopu przygotowuje prof. Titcher. Blok szklany, który będzie oszlifowany, ma ciężar około 4000 kilogramów. Odlano go w fabryce w Saint-Gobain.

* * *

Mosty stworzone przez naturę. U stóp Błękitnych Gór na południowy wschód od Utah (Stany Zjednoczone), zdala od dróg komunikacyjnych w kraju pustym, niezamieszkanym, znajduje się pewna liczba ciekawych tworów natury. Są to potężne mosty stworzone przez przyrodę w ten sposób, że woda z biegiem wieków wydrążyła w nagromadzonych skałach olbrzymie otwory. Mosty te, których jest około 12, są przeważnie małe, trzy jednak z pośród nich odznaczają się tak wielkimi rozmiarami, że przewyższają wszystkie podobne dotychczas znane, jak np. most w Virginii, którego szerokość wynosi 28 metrów, a wysokość 63 metrów.

Jeden z tych wielkich mostów w Utah, zwany mostem Edwina, ma rozpiętość 63 metrów, a wysokości 37 metrów. Drugi zaś, zwany mostem Karoliny, ma rozpiętości 76 metrów, a 56 metrów wysokości. Największym z nich jest most Augusty, szerokości na 76 metrów, a wysokości na 106 metrów, szerokość drogi, przechodzącej nad sklepieniem, wynosi w przecięciu 10 metrów. Te rzadkie gieologiczne formacje znajdują się nad rzęką zwaną Biały Lanon, która niegdyś obfitowała w wodę, dziś jednak jest zupełnie wyschnięta.

* * *

Wpływ pogody na człowieka, na jego zdrowie, usposobienie i życie umysłowe, ujawnia się w różnorodny sposób. I tak słota wpływa zgubnie na umysły ludzi wrażliwych, których czyni nieznośnymi i niezdolnymi do pracy. Przeciwnie słońce wprawia ich w nastrój pogodny, ożywia ich i pobudza ich siłę twórczą. Podług badań, dokonanych w Kopenhadze, siła muskułów w styczniu, wraz z siłą chemicznie czynnych promieni słońca, zaczyna wzrastać, aż dopiero wysoka temperatura w miesiącach letnich powoduje zastój.

W lecie wielu ludzi sypia gorzej, i nie doznają w śnie pokrzepienia, podczas gdy zimno samo działa usypiająco. W lecie przeważają choroby przewodu pokarmowego, w zimie natomiast wzrasta ilość przeziębień. Klimat tropikalny wpływa też na cały charakter narodu. Południowcy są o wiele żwawsi niż mieszkańcy północy. Klimat tropikalny po dłuższym czasie odbiera chęć do pracy. Zimno, jeżeli trwa dłuższy czas, czyni powolniejszemi wszystkie czynności organizmu, człowieka wychowuje do lenistwa, jak to można zauważyć u eskimosów. Najodpowiedniejszym dla ludzi jest klimat stref umiarkowanych, bo właśnie zmiana pór roku wpływa bardzo zbawiennie na organizm ludzki. Dlatego nie powinno się spędzać zimy na południu, a lata na północy.

* * *

Niezwykłe dziecko. Do dr. Fuksiewicza w Radomiu zgłosiła się mieszkanka wsi Wola Solecka, z powiatu iłżeckiego, Aniela Skrzyńska z chłopczykiem dwumiesięcznym, do którego piersi przyrosły jest potworek kształtu ludzkiego, ale bez głowy; potworek posiada prawidłowo rozwinięte kończyny górne i dolne.

Dziecko właściwie jest normalne, dobrze odżywione, z rzędu siódme u rodziców żyjących z sobą 12 lat i zupełnie zdrowych.

Przyrosły tułów porusza swobodnie rękoma i nogami. Rozdzielenie tych dwuch ciał jest niemożliwe z powodu znajdujących się w miejscu zrośnięć: serca i dużych naczyń krwionośnych, wobec czego dr. F. musiał żądaniu jego matki, bogatej kolonistki, odmówić.

Niezwykłe to dziecko waży 25 funtów i, jak utrzymują lekarze, jest zupełnie do dalszego życia zdolne, wobec czego ochrzcono je, nadając mu imię Józef.

Do rodziców dziecka o 4 rękach i 4 nogach, zgłaszał się już jakiś pomysłowy przedsiębiorca z propozycją „wydzierżawienia“ dziecka na lat kilka, spotkała go jednak kategoryczna odmowa ze strony matki.

* * *

Ubóstwo artystów. Z okazji otwarcia salonu jesiennego w Paryżu podaje Gil Blas cały szereg faktów z życia wielkich i gienjalnych malarzy, świadczących, iż ubóstwo bywało zawsze w ciągu wieków nierozłącznym ich towarzyszem. Rembrandt w ostatnich latach życia otrzymywał wsparcie z dobroczynnego przytułku; perła jego twórczości, „Portet własny“, dzisiaj ozdoba Luwru, przyniósł mu 10 holenderskich koron; „Portret mężczyzny“, który znajduje się obecnie w galerji berlińskiej, sprzedany został wraz z ramą, na dzisiejszą walutę za 1 koronę 20 halerzy. Salomon Ruysdael umarł w ubóstwie w domu noclegowym; Correggio był tak biedny, że nie mógł wezwać lekarza do umierającej żony; Salvator Rosa żebrał na ulicy; Claude Audran był furtjanem, Poussin malował szyldy sklepowe, Millet dla oberży wymalował szyld za 24 franki. Annibale Carraci „Zmartwychwstanie“ swoje, które dziś znajduje się w Luwrze, oddał nabywcy za miarkę zboża i miarkę wina, Corregio za „Chrystusa na górze Oliwnej“ otrzymał ćwiartkę wołu i trzy bochenki chleba, Watteau za perukę odstąpił fryzjerowi swojemu dwa obrazy. — Z nowszych Ingres w Rzymie sprzedawał swe obrazy po 4 talary za sztukę. Aby je wogóle móc sprzedać, potrzebował protekcji posługacza publicznego, który go rekomendował w „swych kołach“. O niektórych polskich malarzach sprawozdawca Gil Blas'a oczywiście nic wiedzieć nie może.

Z literatury i sztuki

Nr. 8 (na wrzesień) **„Przewodnika zdrowia“** (Czarnowski Berlin Weissenburgerstr. 27) wyszedł i zawiera:

Treść: Sposoby i przepisy lecznictwa przyrodniczego. — Polewania. — Ćwiczenia w oddychaniu. — Nasze „obyczaje“ weselne ze stanowiska hygjeny. — Ospa w r. 1907 — w Niemczech — „ochronnie“ szczepionych. — Przestrogi i rady. — Rozmaitości. — Piśmiennictwo.

Miklaszewski, Dr. W. — Wstęp do hygjeny dla proletarjatu. Nakł. „Przewodnika zdrowia“ (A. Czarnowski, Berlin N., Weissenburgerst. 27). Cena z przysyłką 30 fen. = 35 hal. = 20 kop.

„Nauka dla wszystkich“. Treść nr. 9: Kwiatkowski R. Współcześni słowianie. — X. Y. Galicja. — Kilka słów o bakterjach. — Sprawa szczepienia ospy. — Z literatury pedagogicznej. — Siły wulkaniczne. — Rozmaitości.

Adres: Księgarnia M. Arcta w Warszawie. Rocznie 75 kopiejek.

„Myśl Niepodległa“, nr. 76 (trzecia dekada na wrzesień)

Treść: A gdyby z martwych powstali? — Djalog. — Historjozofja Turgenjewa. — Promotorzy rozdziału Kościoła od Państwa we Francji. — Kodeks a śmierć. — Żałoba. Nie odbierajcie wiary maluczkim. — Nebukad Nezar. — Kalendarz Wolnego Myśliciela. — Wolna Gmina. — Zapiski. — Książki.

Adres: Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10.

Poradnik teatrów i chórów włościańskich organ „związku teatrów i chórów włościańskich“ przynosi w 7 i 8 zeszycie (za sierpień) następującą treść: Z nieznanych wierszy Władysława Ludwika Anczyca (z przedmową Maryana Szyjkowskiego i z portretem autora.) — Władysław Ludwik Anczyc, przez Maryana Szyjkowskiego (dokończenie.) — Teatr na wsi. — Na muzyce. Obrazek ludowy w jednym akcie przez Zofję Rzepecką. — Dwa występy, przez Ap. — Korespondencje. — Wiadomości z teatrów i t. d.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 41. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 10 października 1908.

R. Bracco.

Zbawienie dusz.

Tłóm. W. R.

Siostra Filomena. dotykając ustami kraty konfesjonału, z pokorą mówić poczęła:

— Ojcze, nie jestem pewna, zalim zgrzeszyła. Sumienie chwilami powiada mi, że tak, chwilami znów zaprzecza. I zaprawdę, ojcze, stokroć więcej cierpię wówczas, kiedy zaprzecza, niż kiedy mnie oskarża.

Spowiednik nie rozumiał:

— Wytłomacz to lepiej, dziecko. Powiedz jaśniej. Przypomnij sobie wszystko dokładnie. Jesteś tak młoda! W ośmnastej wiośnie serce ma dużo do zwierzenia. A sąd mnie pozostaw. Pan Bóg mnie swoją radą oświeci. Zaniepokoiłaś mnie bardzo. Mów, mów!

— Opowiem, ojcze, wszystko jak było. W poniedziałek koło północy numer 7, z sali piątej, gdzie zastępuję siostrę Marję, odkąd wstąpiłam do szpitala, otrzymywał ostatnie sakramenty. Lekarz miejscowy oznajmił, że już nie było nadziei, dodając, że agonja nie potrwa długo i zgon nastąpić może przede dniem: „Chory nie będzie się dużo męczył; gdyby jednak zaszła potrzeba pomocy, proszę obudzić mnie bez skrupułu. Co do reszty chorych możemy być spokojni; nie sprawią nam kłopotu.“ I udał się na spoczynek. Ja czuwałam. Obowiązk mój polegał na udzielaniu choremu co pół godziny łyżeczki lekarstwa. Siadłam na zwykłem swem miejscu obok łóżka i z uwagą żarliwą jęłam modlić się za jego duszę.

— Za czyją duszę?

— Tego biedaka, co umierał.

— A więc to był mężczyzna?

— Czyż nie powiedziałam tego, ojcze?

— Mówiłaś o numerze 7-ym, jeśli się nie mylę, a numer 7, moje dziecko, płci nie posiada. Słucham, cóż dalej?

— Była godzina trzecia, kiedy głosem przerywanym i spalonym od gorącego oddechu wymówił: „Siostro Filomeno! umieram“. Od północy zaś leżał ciągle w milczeniu, jakby drzemał. „Wola boża“, szepnęłam mu do ucha, „wytrwaj! Bóg cię nie opuści“. Wtenczas powoli, cichuteńko, usiłując wymawiać całkowite wyrazy, ciągnął dalej: „Gotów jestem na śmierć. Smutno w 25-ym roku rozstawać się z życiem, lecz już się z losem pogodziłem. Być może, że tak jest lepiej. Żyłem sam jeden, byłem ubogi. Wierzyłem w natchnienie, w poezję, wierzyłem w siebie — a byłem niczem. Myślałem, iż znajdę miłość a nikt na świecie mnie nie kochał. Gdybym teraz nie miał ciebie tak blisko, umierałbym samotny jak śród pustyni.“ Tu umilkł, ja zaś powtarzałam: „Wytrwania! wytrwania!“ W pewnej chwili spostrzegłam, że oczy jego błękitne, już niemal zaświatowe, napełniają się łzami. Wtenczas zapytał mnie: „Czy mogę o jedną łaskę prosić, siostro Filomeno?“ Odrzekłam: „O wszystko, co jest w mojej mocy“. Chcesz-li, abym śmierć miał cichą i spokojną? abym konał błogosławiąc Pana?“ Tak właśnie umierać winien dobry chrześćjanin“, odpowiedziałam.

— Doskonale!

— Konający z nieopowiedzianą słodyczą dodał: „Dopomóż mi, abym stał się takim!“ „Czemże zdołam to sprawić?“ On zaś: „Spraw, abym progi życia opuszczał bez gniewu, bez szału przekleństw i rozpaczy! Spraw, abym uniósł w świat inny ze sobą wspomnienie łaski i dobroci. Siostro Filomeno! ulituj się nad nieszczęsnym... pocałuj mnie...

— Pocałuj?

— Ja raz jeszcze powtórzyłam: „Wytrwaj! staniesz przed sądem bożym, otrzymasz niezadługo pocałowanie wieczności“...

— Doskonale.

— Lecz on, ostatek sił zbierając, jął błagać zaklęciami: „Łaski, łaski! Nie rozumiesz, siostro, że to będzie zbawieniem mojem? Pragnież na wieki pozostać obarczona wyrzutem? Żądasz dla mnie nędzy potępienia? wiekuistej zatraty?“

— A ty?... a ty?

— Ja, ojcze, tak przeraziłam się tych słów! Pomyślałam, że on schodząc z świata bez wspomnienia dobroci, popadłby w niebezpieczeństwo zguby. Pomyślałam, że ten sam wyrzut zgubiłby i mnie. Pomyślałam, że zgon jego nadejść może przed świtem i z każdą chwilą, co upływa, śmierć podkrada się nieubłaganie. W ciszy słyszałam tylko jego oddech, coraz krótszy, coraz gorętszy. Na sali było chorych niewielu, wszyscy spali, bez ruchu. Światło lampki chwiało się blade i martwe. Białe łóżka, w cieniu pogrążone, stały podobne do otwartych trumien. On zaś czekał. Ogarnął mnie smutek nieprzezwyciężony. Rzuciłam wzrok dokoła. Potem, nachyliwszy się lekko, pocałowałam go. O struny duszy mej musnęło jakoby cichutkie: „Dzięki.“ Wtenczas rozpoczęłam w spokoju przerwaną modlitwę.

— I gdzież pocałunek złożyłaś? — zapytał z niepokojem ksiądz, pokrywając łagodnym akcentem wewnętrzny ogień wzburzenia i głęboką rozterkę z gruntu wykolejonych zasad.

— Było prawie ciemno, ojcze — odrzekła spokojnie siostra Filomena — lecz zdaje mi się, że pocałowałam go w usta.

— To nierozsądnie! Co najmniej nierozsądnie! Prawda, że to było spełnienie w imię dobrego celu, ale... Powodowało tobą, dziecino, uczucie miłosierdzia, niewątpliwie wzniosłe, ale, w danym wypadku, skierowane niewłaściwie; powiem nawet — niebezpiecznie. W czoło pocałować należało, nigdy w usta. Dla zbawienia byłoby to wystarczające. Zresztą — pocałowałaś mężczyznę konającego...

— Myślałam sobie tak samo.

— I dziś, gdy zapewne leży umarły i pogrzebany, requiescat in pace, i nie mówmy o nim więcej.

— Nie, ojcze; stało się inaczej. On żyje.

— Żyje?

— Tak. Zmagał się ze śmiercią do rana, aż ją pokonał. Pierwsze żarzewie słońca wlało weń jakoby nową siłę Lekarz wstępując na salę nie umiał ukryć zdumienia wobec zmiany, która w nim zaszła: Na wargach chorego igrał uśmiech radosny. Doktór zbadał go pilnie, zastosował nowe środki; poczem rzekł półgłosem do mnie: „Dziwna rzecz; nadzieja znowu zaświtała.“

— Ależ to fatalne! — wybuahnął nagłe spowiednik.

— Co mówisz, ojcze?

— Eh! Tu nie ma wątpliwości, tu nie ma się co łu-

dzić! Jeżeli pocałowałaś w usta mężczyznę, który żyje i który żyć będzie, to ja nie widzę poprostu środków ocalenia. W obliczu śmierci bliskiej i niechybnej — rzecz całkiem inna. Wszystko dałoby się ułagodzić przed sądem najwyższego. Ale tak — przepadło. W zgryzotę chcesz zapędzić dobrotliwość boską! Mówmy jasno: pozory ocalić trzeba za wszelką cenę!

I po krótkiej chwili ważenia w umyśle decyzji spowiednik zaczął badanie:

— Powiedz mi, siostro Filomeno, co za jeden jest ów lekarz?

— O, to zacny człowiek.

— Lecz jako lekarz, jaką cieszy się opinją?

— Jeden z najsłynniejszych.

— A chory ów jak się ma dzisiaj?

— Lepiej.

— No, to zgubiona jesteś!

— O, Boże! Boże!

— I ty śmiesz nadomiar wzywać imienia Jego!

— Zali tak wielką jestem grzesznicą, ojcze?

— Niegodną szaty, którą nosisz!

Lecz gdy siostra Filomena zaniosła się od płaczu, wybuchającego z głębi rozdartego bólu, spowiednik ozwał się z mniejszą surowością:

— Zaprawdę, w tem niepodobna się zorjentować. Na początku upewniałaś mnie, że kiedy sumienie rozgrzesza cię z winy, cierpisz srożej, niż kiedy cię nią obarcza. Czyż możliwą jest taka sprzeczność? Czyż możliwą do pojęcia?

— Ja nie wiem, ja sama nie rozumiem, ojcze. Znam jedno, znam to, co czuję, a to wyznałam ci szczerze.

— Czy jednak nie doznajesz żalu, teraz, z powodu tego, co się stało?

— Jeśli to grzech tak wielki, to się przymuszę do żalu.

— Lecz nie spodziewaj się, żebym natychmiast udzielać miał rozgrzeszenia. Poczekajmy dni parę. Kto wie?... Zobaczymy, jaki obrót weźmie choroba tego młodzieńca, i postąpimy według wskazania wypadków. Możesz odejść. Dłużej dzisiaj słuchać cię nie będę. A podchodząc do jego łóżka, spłoń od wstydu! Pomnij!

— Ja płonęłam zawsze, ojcze.

— Tem lepiej.

— — — — — — — — — — — — —

Upłynęło dni parę — i siostra Filomena stanęła powtórnie u ściany konfesjonału.

— Powiedz, jak miewa się Nr. 7.

— Znacznie lepiej.

— A jakie jest przekonanie lekarzy?

— Sądzą, że wróci do zdrowia.

— Tedy nie widzę dla ciebie ratunku.

— Powiedziałam to właśnie jemu.

— Coś powiedziała?

— Powiedziałam, że potępiona zostanę z jego powodu i że nie pocałowałabym go za nic, przewidując, iż żyć będzie.

— Cóż odrzekł ów nagły ozdrowieniec?

— Odrzekł, iż nie dopuści do mojej zguby, i że na ten raz on wybawi duszę moją od męki.

— Zbawiłby ciebie, gdyby umarł.

— On też przysiągł mi, iż w owym dniu, kiedy ze szpitala wyjdze wyleczony zupełnie, sam zabije się natychmiast dla mnie.

Spowiednik doznał oszołomienia wobec tych nowych powikłań. Zamyślił się, potem rzekł stanowczo:

— Skoro się zestawi jedno z drugiem i zważy, lepiej dać rozgrzeszenie odrazu. Mam powód do obawy, że gdy nad tym wartogłowem znowu śmierć zawiśnie, cała historja się powtórzy.



Prof. G. Bunge.

Alkoholizm a robotnicy.

Mowa dra Bungego profesora chemji fizjologicznej na uniwertsyecie w Bazylei, wygłoszona na publicznem zgromadzeniu soc.-dem. stowarzyszenia „Zeitgeist“

Moi Panowie!

Z radością uczyniłem zadość wezwaniu do wzięcia udziału w dyskusji nad kwestją alkoholizmu, gdyż jestem przekonany, że właśnie w Waszem gronie poważne omówienie tej kwestji padnie na grunt najpodatniejszy. Albowiem z pośród wszystkich spraw społecznych, jakie nas tu razem sprowadzają, jedną z najważniejszych jest niezaprzeczenie sprawa używania alkoholu. Twierdzę to na następujących podstawach:

Po pierwsze. Każdy z Was przyzna mi bezwarunkowo, że zdrowie jest większem dobrem, niż majątek. Zwykle jednak przy omawieniu kwestji socjalnej chodzi tylko o stosunek mego do twego, o sprawiedliwy podział zysków z pracy.*) Przy rozpatrywaniu zaś kwestji alkoholizmu chodzi o to, aby zapobiedz marnieniu najszlachetniejszych ras ludzkich wskutek całego szeregu najstraszniejszych chorób ciała i umysłu, jakie pociąga za sobą alkoholizm.

Po drugie. Rozwiązanie kwestji szerzenia się alkoholimu jest mojem zdaniem pilniejsze i bardziej niecierpiące zwłoki niż rozwiązanie wszelkich innych kwestji socjalnych. Gdyż niesprawiedliwy podział zarobków da się powoli wyrównać; ale jeżeli społeczeństwo całe toczone będzie przez dziedziczne cierpienia, to wywiąże się stąd nieskończony łańcuch nędz i mąk, które nigdy nie dadzą się załagodzić.

Po trzecie. Rozwiązanie wszelkich innych kwestji socjalnych w znacznym stopniu ułatwionem by było przez rozwiązanie sprawy alkoholizmu. Szczególniej dla rozwiązania kwestji robotniczej pierwszorzędnego znaczenia rzeczą jest trzeźwość, zdrowie i siła klasy robotniczej. W każdem położeniu, przy każdem przedsięwzięciu klasa robotnicza przez swą wstrzemięźliwość mieć będzie ogromne pierwszeństwo w walce.

Niech mi wolno będzie dowieść tego na prostym i bliskim przykładzie. Wyobraźcie sobie wypadek strejku. W jakich warunkach będą pomyślniejsze widoki zwycięstwa robotników: gdy są oni wstrzemięźliwi, czy też gdy są niewolnikami nieszczęsnego nałogu? Oczywiście, że wstrzemięźliwi robotnicy z łatwością oszczędzą tyle, aby kilka tygodni lub nawet miesięcy wytrwać bez pracy, a w ciągu strejku zadowolnią się skromniejszymi środkami, gdyż mają o jednę kosztowną potrzebę mniej. niż ci, co piją. Nie biorę już pod uwagę tego, że są oni inteligientniejsi, łatwiej się dają zorganizować, utrzymać w porządku i ochronić od ekscesów. Robotnicy przyzwyczajeni do picia o wiele prędzej w walce uledz muszą.

Po czwarte. Każdy z Was może sobie przyszłe państwo socjalistyczne wyobrażać jak chce, ale na jednym punkcie zgodzicie się pewnie wszyscy. Oto pierwszym warunkiem w ustroju socjalistycznym będą sumienni, obowiązkowi i pracowici urzędnicy. A teraz pytam Was: co bardziej niszczy wszelką obowiązkowość i sumienność, co sprowadza więcej wstrętu do pracy i niezdolności do niej, niż nałóg picia?

Po piąte. Wstrzemięźliwość czyni stan robotniczy swobodniejszym, mniej zależnym od klas posiadających. Kiedy w zimie 1860–61 roku w Londynie panowały straszne mrozy i wielka nędza wśród ludu, a ilość wsparć wydanych z kasy miejskiej wzrosła niesłychanie (udzielono ich wówczas 130 tysięcom 370 osób) — pokazało się, że z 7 tysięcy 947 robotników, będących członkami towarzystw wstrzemięźliwości, żaden nie potrzebował publicznego wsparcia. Jestto moi panowie fakt, który daje wiele do myślenia. Z pewnością pragnęlibyście wszyscy, aby dumna i uświadomiona klasa robotnicza, która walczy z kapitałem o słuszne swoje prawa, nigdy nie była zmuszoną przyjmować jałmużny!

*) Niezaprzeczam przez to, że niesprawiedliwy podział własności pośrednio zdrowiu również zagrażać może i że ta strona kwestji socjalnej jest równie ważną jak kwestja alkoholizmu.

Jak wysoko stałaby wstrzemięźliwa klasa robotnicza wobec knajpującej burżuazji! A nie powinniście lekceważyć tej olbrzymiej siły, jaką daje człowieki w każdej walce poczucie własnej wyższości moralnej.

Zresztą o wszystkiem tem wiecie wszakże nawet lepiej niż ja i w tę dyskusję nie będę się wdawał. Raczej zapewne oczekiwaliście odemnie, że będę przemawiał do Was jako przedstawiciel wiedzy lekarskiej. Na to jednakże oświadczyć muszę, że według mego najgłębszego przekonania znajomość medycyny i fizjologji zupełnie jest niepotrzebna do ocenienia praktycznej strony kwestji alkoholizmu. Jeżeli bowiem w Anglji pięć miljonów ludzi jaknajrozmaitszych zawodów utrzymuje się w dobrem zdrowiu, sile i wesołości bez użycia jednej kropli alkoholu i jeśli statystyka kas chorych i towarzystw ubezpieczeń na życie uczy nas, że ci wstrzemięźliwi znacznie dłużej żyją i rzadziej chorują, niż nawet umiarkowanie pijący — to jest już wszystko, co potrzebuje wiedzieć kazdy człowiek, aby sobie w kwestji alkoholizmu wyrobić również kompetentne zdanie, jak najuczeńszy fizjolog.

A jeżeli powyższe dane zestawione są w porównaniu z pijącymi umiarkowanie, to nie potrzebuję już ani jednego słowa tracić na opowiadanie o skutkach picia nad miarę. Wy wszyscy, którzy w życiu praktycznem codziennie spotykacie się oko w oko ze spustoszeniami wywołanemi przez alkohol, znacie skutki nieumiarkowania lepiej odemnie! Mogę tylko jeszcze w dodatku przypomnieć statystykę zebraną przez lekarzy, a dotyczącą przyczyn śmierci ludności w miastach szwajcarskich. Mianowicie w Szwajcarji umiera co dziewiąty człowiek bezpośrednio lub pośrednio wskutek pijaństwa. Ta statystyka nie jest bynajmniej tendencyjną, gdyż lekarze wcale nie są fanatykami wstrzemięźliwości, a nie mogliby wykazać pijaństwa jako przyczyny śmierci, jeśliby w rzeczywistości pijaństwo tą przyczyną nie było. A więc jest faktem, że w miastach szwajcarskich co dziewiąty obywatel jest pijakiem!

A ileż taki pijak zniszczy szczęścia cudzego, zanim jeszcze umrze jako pijak; ile chorób w krew swym dzieciom zaszczepi, ileż nieszczęścia naokół siebie sieje! A wszakże tyle jest ludzi przez lekarzy nieuważanych jeszcze za pijaków, którzy już jednak fatalne skutki użycia alkoholu w dziedzictwie potomkom swym przekazują. Czyż jest możliwem, aby w obliczu takiego bezgranicznego zła i cierpienia — przyjaciel ludzkości — socjalista, założył ręce i powiedział: „Ach, tak przecież zawsze było", lub: „Ach, kiedyś będzie lepiej!" Nie, moi, panowie, nie będzie lepiej! Nędza wzrastać będzie w przerażającej mierze i nareszcie ludzkość zmuszoną będzie do kompletnej wstremięźliwości.

Ale największem złem jest to, że ludzie już teraz nie uciekają się do wstrzemięźliwości, że patrzą spokojnie na to, jak tysiące i tysiące rodzin ginie w nędzy, a cała ludzkość obarczona jest brzemieniem tylu dziedzicznych chorób. Niepodobna wobec tego spodziewać się, że się da coś zrobić półśrodkami, bo one jesze nigdy do niczego nie doprowadziły. Tylko najradykalniejsze środki byłyby skuteczne. Anglja ma 5 miljonów wstrzemięźliwych, a jednak tam wciąż wzrasta jeszcze konsumcja alkoholu i nędza. Statystycznie wykazano zmniejszanie się konsumcji alkoholu w tych tylko krajach, w których towarzystwa wstrzemięźliwości doszły do takiej potęgi, że zmusiły prawodawców do liczenia się z ich żądaniami, jak to np. ma miejsce w Finlandji, Norwegji i niektórych stanach Ameryki północnej. Nie trzeba więc czasu tracić na półśrodki, niech każdy zacznie od siebie, porzuci stanowczo użycie alkoholu i zapisze się do towarzystwa wstrzemięźliwości; nie można bowiem zwalczać żadnej tyranji społecznej, nie zorganizowawszy się również społecznie!

Wiem już, że wśród dzisiaj zgromadzonych z tych nawet, którzy mi dotychczas rację przyznawali, teraz powiedzą: „Taka ofiara jest zbyt wielką!" Moi panowie, znaczenie tej ofiary jest stanowczo przecenione. My, ludzie wstrzemięźliwi, którzy nie używamy ani odrobiny alkoholu, my tylko możemy z całą stanowczością z własnego doświadczenia twierdzić, że ta ofiara jest żadną. Nam, tym 10 miljonom wstremięźliwym, po poniesieniu tej ofiary nie brakowało i nie brakuje nic, przeciwnie, zyskaliśmy tylko na zdrowiu, energji, sile do pracy i zadowoleniu. Gdyby tak nie było, nasz przykład nie znajdowałby tylu naśladowców. A nigdzie jeszcze na kuli ziemskiej nie zanotowano zmniejszenia się liczby wstrzemięźliwych, przeciwnie, ilość ich wzrasta wszędzie i ciągle.

Smutnem następstwem pijaństwa jest to, że ulegają mu bynajmniej nie zawsze wyrzutki społeczeństwa — przeciwnie, najczęściej są to ludzie najlepsi, ludzie z rozumem i z sercem, najlepsi towarzysze i koledzy. Dzięki właśnie tym przymiotom, dają się wciągać w pijące towarzystwa i zarażają się tym przyładem. I nie trzeba im robić zarzutu, że jeżeli się dają tak łatwo wciągnąć, to są to widocznie ludzie słabi, z których i tak świat nie miałby pożytku. Tak nie jest: alkohol osłabia najprzód siłę charakteru przez umiarkowane jego użycie, a potem prowadzi już osłabiony charakter do nieumiarkowania. Twierdzę stanowczo, że kusicielami nie są nałogowi pijacy, bo ci mają przynajmniej tę niewątpliwą zasługę, że przykład ich odstręcza od picia — lecz właśnie pijący umiarkowanie. Bo proszę tylko spróbować usiąść przy szklance wody w towarzystwie umiarkowanie pijących: wszyscy obecni wnet wysilać się zaczną, aby namówić owego wstrzemięźliwego do picia wraz z nimi — a przecież, broń Boże, nie chcą oni go namawiać do pijaństwa, tylko do picia umiarkowanego! Ale nieumiarkowanie idzie z czasem za tem samo i wzmaga się tak, że co dziewiątego człowieka doprowadza do śmierci z pijaństwa.

Proszę się zastanowić nad jedną jeszcze kwestją: ileby to siły roboczej przybyło, ile ludzi stanąć mogło do pożytecznej pracy, gdyby usunięto całkowicie z produkcji i użycia alkohol! Obliczono, że w Niemczech $^1/_{10}$ część całej ludności robotniczej zajęta jest przy produkcji alkoholu. Jeżeli zliczymy wszystkich niezdolnych do pracy wskutek picia, odliczymy wszystkie utracone dnie i godziny robocze, weźmiemy pod uwagę chorych w szpitalach, zbrodniarzy w więzieniach, obłąkanych w domach warjatów, całą służbę ich wszystkich doglądającą — to otrzymamy z pewnością jesze $^1/_{10}$ część klasy robotniczej, padającą ofiarą skutków konsumcji alkoholu. Te $^2/_{10}$ cz. $^1/_5$ ludności pracującej byłaby zupełnie wolną, gdyby alkohol usunięto całkiem z użycia. Gdyby te odzyskane siły zużyto na poprawienie istniejącego zła, gdyby je zwrócono ku uszlachetnieniu i wydoskonaleniu rodu ludzkiego — jakież wspaniałe horyzonty przyszłości otworzyłyby się przed postęp miłującym człowiekiem! A jako przyrodnik tyle tu dodać muszę, że jedyną rozumną polityką na przyszłość jest ta, która zgadza się z odwiecznemi prawami natury. Natura zaś dąży ku wszechstronnemu postępowi; pracujmy więc w zgodzie z nią, pracujmy nad udoskonaleniem własnem, dążąc w ten sposób do wysokiego celu, jaki nam ta natura wskazuje.

Rozmaitości

Kongres... zbrodniarzy. Aczkolwiek kongresy od dłuższego już czasa stają się zjawiskiem coraz baidziej częstem, gdyż żywa wymiana myśli pomiędzy ludźmi jednego zawodu, jednych przekonań, zdążających do jednego celu, nie da się zastąpić słowem drukowanem, to jednak najbujniejsza fantazja naszych przodków nie mogła im nasunąć myśli o możliwości zwołania... kongresu zbrodniarzy... Nie tych, co to ufni w potęgę złota lub piastowanej przez nich władzy, na każdym kroku popełniają zbrodnie bezkarnie, a „prawdziwych" zbrodniarzy, ściganych i karanych przez państwa spółczesne... A jednak idea zwołania takiego kongresu już się zrodziła i inicjator tej sprawy bardzo energicznie się krząta, by i to słowo stało się ciałem...

Jakiż jest cel, jaka myśl takiego kongresu?

„Zwracamy uwagę na zbrodniarza dopiero wtedy, gdy popełnił przestępstwo" — motywuje swój projekt inicjator tego kongresu, lekarz amerykański Dr. Reisman. — „Jest to stanowczo za późno. Należy go poznać wtedy, gdy jest wolny".

To da możność dowiedzenia się z ust samych zbrodniarzy, co ich popchnęło na drogę przestępstw i czego oczekują od społeczeństwa.

Doktor Reisman traktje swój projekt bardzo poważnie. Zdając sobie zupełnie jasno sprawę z tego, że wszelkie reformy częściowe w dziedzinie ustaw karnych korzyści przynieść nie mogą i że odtrutką może być w tem tylko nowy ustrój społeczeństwa, wzywa on do udziału w kongresie wybitnych socjologów...

Jak dotąd, urzeczywistnienie tego projektu natrafia na przeszkody jedynie ze strony policji. Policja chciałaby „po swojemu" skorzystać z kongresu, zwłaszcza że na kongres się wybierają wszystkie „znakomitości" świata zbrodni, których policji nie udaje się złapać, doktór Reisman zaś żąda dla uczestników kongresu gleitu bezpieczeństwa.

Ze względu na rzeczywiście poważne znaczenie, jakie mógłby mieć ten kongres przez uchylenie rąbka zasłony, oddzielającej społeczeństwo od tego świata, kongres ten znajduje coraz większy zastęp zwolenników i policja amerykańska prawdopodobnie będzie musiała się zgodzić na wydanie listów żelaznych uczestnikom kongresu i kongres się będzie mógł odbyć.

* * *

Ciemnota ludu rosyjskiego. Jak wielką jest ciemnota ludu rosyjskiego, nawet wśród robotników petersburskich, daje wyobrażenie kilka faktów z dziedziny grasującej obecnie cholery, podanych w petersburskiem „Słowie". I tak przy ulicy Znamienskiej policja rozpędziła tłum robotników, przysłuchujących się uważnie objaśnieniom jednego ze swoich towarzyszów, wypuszczonego przed chwilą z baraków szpitala Botnikowskiego. Robotnik głośno opowiadał, jak zamiast przyjęcia „środka" przepisanego przez lekarzy, wylał je pod łóżko szpitalne, że trzej jego towarzysze, którzy przyjmowali lekarstwo umarli, a tylko on, dzięki swemu sprytowi wyszedł cało i uwolnił się ze szpitala.

Najpodejrzliwsi są sklepikarze.

Przy ulicy Woroneskiej jeden z subjektów w sklepie powziął podejrzenie na dwuch kupujących, że sypią jakiś proszek choleryczny. Subjekt narobił tyle krzyku, że zebrał się tłum i policja z trudnością uratowała dwuch „podejrzanych" przez lud ciemny młodzieńców, którym groziło zlinchowanie.

Na ulicy Litejnej roznosiciel owocu Mitrochin zażądał dokonania rewizji u jednego z kupujących, zapewniając, że widział u niego w zanadrzu jakąś rurkę kauczukową z płynem, którym ów kupujący usiłował polać towary. Okazało się, że żadnej rurki nie było.

* * *

Z historji sztucznego lodu. W upalnej porze letniej, kiedy sztuczny lód oddaje człowiekowi tak znaczne usługi przy konserwowaniu artykułów żywności i oziębianiu napoi, warto przypomnieć sobie pierwsze zaczątki tego wynalazku. Powszechnie sądzi się, że fabrykacja sztucznego zimna i sztucznego lodu jest dziełem nowożytnem, w rzeczywistości sięga ona odległej przeszłości. Interesujące szczegóły z tego zakresu podaje prof. Kluge w wydanej niedawno książce „Bunte Blätter". Przytacza on między innymi ustęp z dzieła, napisanego przez króla anglosaskiego, Alfreda Wielkiego, z którego wynika, że fabrykacja sztucznego lodu była już znaną przed przeszło tysiącem lat. Jakiś podróżnik, pochodzący ze Szlezwiku, który zwiedzał dalekie kraje, opowiadał królowi, co następuje: „Istnieje u estończyków pewien szczep, który umie fabrykować pewne zimno. Wskutek tego zwłoki leżą tam nieraz bardzo długo, nie psując się wcale, bo umieszcza je się w sztucznym chłodzie. A jeżeli postawi się tam wiadro wody lub piwa, to woda zamarza, a piwo ogromnie się oziębia, bez względu na to, czy to jest pora letnia, czy zimowa". Ale ta umiejętność dalekich estończyków pozostała dla ludności Europy przez długi czas nieprzeniknioną tajemnicą. Bardziej szczegółowe wiadomości o fabrykacji sztucznego lodu pochodzą dopiero z XVI stulecia ze wschodu. Podróżni, zwiedzający Turcję, opowiadają w swych sprawozdaniach, że sułtan i jego baszowie założyli wielkie doły lodowe, z których ciągną co roku znaczne dochody, wynoszące aż do 80 tysięcy guldenów.

Towar ten — mówi Salomon Schweigger w sprawozdaniu ze swej podróży w r. 1587 — kupują w lecie handlarze owoców. Ma on wielkość ćwierci bochenka chleba. Zapomocą niego oziębiają napoje, a każdy kupujący puhar sorbetu lub wody orzeźwiającej kupuje także kawałeczek lodu, aby go wrzucić do naczynia. I mój gospodarz wydaje codziennie na ten cel pół talara, a kiedy ma gości musi nieraz zapłacić za lód i dwa talary... Lodowni takich jest wiele dookoła miasta, na polach około Gałaty. Są to głębokie doły, nakryte drewnianymi chatami. Osobni robotnicy gromadzą tu w zimie śnieg, który przemienia się potem w masę lodową, tę zaś tnie się później piłami na tak wielkie kawały, że silny koń zaledwie dwa unieść może. Ale i ten podróżnik albo nie zdołał zbadać tajemnic fabrykacji, albo nie zajmował się nimi wcale, tak, że sposób ówczesny wytwarzania sztucznie lodu nie jest nam znany. Europa też poznała lód sztuczny rzeczywiście dopiero w niedalekiej przeszłości, kiedy po skonstruowaniu maszyn oziębiających zaczęto go produkować fabrycznie na wielką skalę.

Z literatury i sztuki

Dzieła Słowackiego.

W następnym roku obchodzoną będzie 100-letnia rocznica urodzin jednego z największych poetów polskich — Juljusza Słowackiego. Z tego powodu **nowe wydanie dzieł Słowackiego** ukaże się niebawem nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie. Będzie to pierwsze zupełne wydanie dzieł wieszcza z warjantami i objaśnieniami. Wydanie to, składające się z dziesięciu tomów, zawierać będzie cały szereg utworów dotychczas zupełnie nieznanych i nie drukowanych oraz liczne portrety i 50 podobizn autografów poety. Tekst oparty jest na pierwszych edycjach pism Słowackiego, lub na autografach, zebranych przez wydawców z bibljotek lub zbiorów prywatnych w całej Polsce rozsianych. Wydawnictwem tem zajął się profesor lwowskiego uniwersytetu, dr. Bronisław Gubrynowicz i dr. Wiktor Hahn. Pierwszy z nich przygotował do druku lirykę, epikę i prozę, drugi zaś — dramaty.

* * *

„Myśl Niepodległa", Treść nr. 76 (pierwsza dekada na październik): Czterdziestolecie pracy Aleksandra Świętochowskiego. — Aforyzmy Świętochowskiego. — Etyka polityczna. — Lew Tołstoj. — W wytchnieniu. — Wolna gmina. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Zapiski. — Książki.

Adres: Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10.

* * *

„Krytyka", miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt X na październik. Treść: 1. (f) Idea polska w polityce trzech zaborów. — 2. Tad. Nalepiński: Chrzest. O Polsce strof czterdzieści cztery. — 3. Prof. J. Baudouin de Courtenay: O języku pomocniczym międzynarodowym. — 4. Roman Zrębowicz: Nowe poezje (Norwid—Staff). — 5. Michał Sobeski: Szlakiem żurawim. — 6. Jerzy Kurnatowski: Etyka indywidualna. — 7. L. Thomas: Włóczędzy. Tłóm. K. Błeszyński. — 8. Andrzej Strug: Sielanka. — 9. Przegląd: I. Prasa polska. II. Prasa obca. III. Peregrinus Polonus: Z marzeń kawiarnianego polityka. IV. Skiba: Ruch kobiecy. V. Ze sztuk plastycznych. Kraków. S. Hirszenberg. VI. Junius: Z trzech zaborów. — 10. Sprawozdania naukowe i literackie.

Adres „Krytyki": Kraków, ul. Stachowskiego 14. Kwartalna prenumerata 3 marki.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 42. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 17 października 1908.

Rozczarowanie.

Jan Góral wlókł się ociężale do domu. Wchodził do izby, jak przestępca, który popełnił wielką zbrodnię, a teraz szedł stanąć przed sądem i wysłuchać sprawiedliwego wyroku. Już naprzód widział w wyobraźni wynędzniałe, wybladłe twarze dzieci i pytający, pełny niemego wyrzutu, wzrok żony, wzrok matki, nie mającej dać co jeść dzieciom. Słyszał ciche, beznadziejne głosy swych dzieci: „Tato nic nie przyniósł“. I głos starszej córki, poważnie przekładającej młodszemu rodzeństwu. „Dzisiaj znowu pójdziecie spać bez jedzenia. Tylko nie płaczcie, to nic nie pomoże. Ale za to jutro będziecie jedli i śniadanie, i obiad, i kolację. Aż trzy razy. Już dawno tak nie jedliście, jak jutro będziecie jedli. Tato przyniesie węgle, mama napali w piecu, będzie ciepło, bardzo ciepło. Będziecie mogli siedzieć w domu bez szub i palt. A na obiad będziecie jedli gorące, gotowane jedzenie. Tak jak dawniej jedliście. Pamiętacie, kiedy tato pracował w fabryce“.

I słyszał jeszcze wiele, wiele dobrego kłamstwa z ust swej najstarszej córki. Ale kłamstwa te były drogocenne. One zastępowały jedzenie, one przynajmniej w części zagłuszały głód nadzieją na jutro, na to jasne, piękne jutro. A tymczasem dzisiaj znowu szedł z pustemi rękami. Chodził, dowiadywał się przez cały dzień wszędzie, gdzie tylko miał nadzieję otrzymania pomocy. Ale nigdzie jej nie znajdował dla siebie. Partje pomagały swoim członkom, związki również dawały zapomogi w łącznie członkom swoim. Bezpartyjni zaś, do których i on należał, mogli mieć nadzieję na pomoc dopiero po zaspokojeniu potrzeb członków związkowych. Ponieważ zaś składki na lokaut napływały jeszcze bardzo powoli, więc nie było wielkiej nadziei na rychłe otrzymanie zapomogi. Najprędzej można było oczekiwać pomocy za tydzień lub dwa. A tymczasem w ciągu tego czasu musiał z całą rodziną mrzeć z głodu. Z ciężkiem więc sercem szedł do domu. Gdy się znalazł w mieszkaniu, po minie jego wszyscy poznali, że znowu wraca z niczem. Jednakże dla pewności i ażeby wyrwać z siebie z korzeniem wszelką nadzieję, żona zapytała: „No i cóż? Znowu nic“.

Machnął rozpaczliwie ręką i siadł na stołku w kącie, ażeby nie być na oczach u wszystkich. Dzieci patrzyły na niego takiemi wielkiemi, smutnemi oczyma. Widział w nich wyrzut dla siebie, że on, ojciec, nie umie dostarczyć im pożywienia. Agnieszka, jego żona, rzekła głośno do najstarszej córki: „Rozpal ogień i wstaw do fajerki garnek z kartoflami. Dziś na kolację będziecie jedli kartofle z solą. Tylko oszczędzaj węgla, bo wiesz, że może nieprędko będziemy mieli drugi“.

Ciężkie milczenie zaległo izbę. Wszyscy byli pogrążeni w czarnych myślach o głodzie i nędzy. Jan siedział jak winowajca, który popełnił ciężką zbrodnię. Głośne westchnienia, ukradkowe spojrzenia w jego stronę, ciche skargi zgłodniałych dzieci: jeść mi się chce — wszystko to kładło się ciężkiem brzemieniem na jego serce i gniotło je niewymownie boleśnie. Chciałby uciec z domu, nie widzieć tego wszystkiego, nie słyszeć, szukać pomocy do upadłego, ale nie miał już sił więcej. I tak od rana do zmierzchu włóczył się po mieście bezustanku. Teraz ze zmęczenia prawie nie mógł poruszać nogami. Nie mógł więc iść i chociażby błąkać się bez celu wśród zmroku ulic, dopóki żona i dzieci nie pokładą się spać. Wyczerpane głodem ciało odmawiało posłuszeństwa. Musiał siedzieć w domu i trawić w sobie mękę bezradnego ojca rodziny.

Milczenie przerwała Agnieszka. „Wiesz co? Myślałam dużo o tem, ktoby nam mógł pomóc w biedzie — i znalazłam. Myśmy zupełnie zapomnieli o księżach. Oni nam napewno pomogą. Oni tak zawsze bronili robotników przed socjalistami i tak wiele mówili o przyjaźni i miłości do ludu. Oni napewno nam pomogą. Idź jutro do naszego księdza proboszcza. On zna nas jako pobożnych i uczciwych katolików, on nam nie może odmówić pomocy. On tak pięknie, aż do łez, umiał zawsze wzruszać ludzi kazaniami o biednym Łazarzu i o tem, że trzeba głodnego nakarmić, nagiego przyodziać, — koniecznie musisz iść do niego zaraz jutro“.

— „Wiesz, że to dobra myśl — odrzekł radośnie Jan. — Niechby nam dopomóg choć niewiele. Poźniej mam obiecaną pomoc od redakcji „Przyjaciela Ludu“. Powiedzieli, że muszą wpierw zbadać, czy rzeczywiście ja jestem najbardziej potrzebującym. Chociaż to niewielka będzie pomoc, ale zawsze i to coś znaczy. Związki również obiecały wkrótce dawać zapomogi bezpartyjnym. Jakoś tam będzie. Da Bóg, że z głodu nie pomrzemy. Najgorszy czas, to jest teraz, kiedy jeszcze wpływa niewiele składek robotniczych, ponieważ nie wszędzie wiedzą o lokaucie, i z prowincji pieniądze dochodzą późno“.

I dalej jeszcze pocieszał siebie i rodzinę.

* * *

„Jak się macie, przyjacielu. A co to mi powiecie? Na mszę chcecie dać?“ Jan stał onieśmielony i drapał się w głowę. — „E, nic, proszę księdza proboszcza“ — odrzekł powoli. Nie wiedział, jak przystąpić do rzeczy. On przyszedł prosić o pomoc, a tu ksiądz, że on jemu przyniósł pieniądze. „Prawda, — zaświtało mu w głowie, — jestem taki blady i wyglądam tak nędznie, że łatwo przyjął mię za chorego, który daje na mszę za swoje zdrowie“. Tymczasem ksiądz pytał dalej: „Może chrzest chcecie zamówić, albo jaki inny obrządek kościelny?“ — Jan chwilę stał nieruchomie, wreszcie zebrał się w sobie, śmiało podszedł do księdza i, całując go w rękę, rzekł: „Ja przyszedłem dopraszać się łaski księdza dobrodzieja. Teraz fabrykę zamknęli, nie ma roboty, a w domu żona z pięciorgiem drobnych dzieci nie mają co jeść. Może ksiądz dobrodziej dopomoże biednym ludziom w nieszczęściu“.

Ksiądz zmarszczył brwi i wyraz niezadowolenia odbił się na jego twarzy. Rzekł niecierpliwie: „Cóż to ja dla was pieniędzy naskładałem, czy co? I tak teraz większość robotników żyje zdaleka od kościoła w odstępstwie. Namnożyło się między nimi mnóstwo różnych socjalistów, niedowiarków, masonów, marjawitów i bandytów, a to wszystko dla tego, że zapomnieli o kościele, o Bogu i o księżach. Rzadziej niż dawniej dają na msze, a śluby, chrzty i inne posługi religijne trzeba im robić za połowę dawniejszej ceny i jeszcze się targują i odgrażają, że pójdą do marjawitów. Jesteście w nędzy, a dla czego? — bo nie pracujecie. A nie pracujecie, boście próżniaki, robić się wam nie chce, ot co“.

W tem miejscu Jan podniósł wlepione dotychczas w ziemię oczy na księdza. Wzrok ten był pełen niemego zdziwienia i pytania. Spostrzegł to proboszcz, bo dodał pośpie-

sznie: „No, nie patrzcie tak na mnie. Nie mówię tego o wszystkich robotnikach. Są pomiędzy nimi jednostki uczciwe, pamiętające o kościele, ale większość — to łajdaki, którzyby nic nie robili i chcieli zagrabić dla siebie to, co do nich nie należy. Za takie ich zdrożne dążenia Pan Bóg karze wszystkich — winnych i niewinnych. Są jednakże piśmidła w rodzaju „Przyjaciela Ludu", które pochwalają za to robotników i nawet składki zbierają na tych rozbestwionych, zdziczałych buntowników i nicponiów. Tych panów, co piszą w tej szmacie mało byłoby powiesić. Oni są przyczyną, że rozwydrzeni robotnicy, widząc pomoc, nie chcą ulegać władzy fabrykanta. A wiadomo, że wszelka władza pochodzi od Boga. „Tak, tak" — powtarzał przoboszcz, chodząc wzburzony po pokoju. Wreszcie przypomniał sobie o Janie, który stał pokornie w kącie pokoju. „Cóż ja wam mogę poradzić. Idźcie, namawiajcie opornych, ażeby ulegli woli fabrykanta, żeby się zgodzili na wydalenie części robotników, a fabryka będzie otwarta, będziecie mieli pracę i nie będziecie cierpieli głodu".

Upokorzony Jan, nie żegnając się nawet z proboszczem, z głową opuszczoną na dół, krokiem ociężałym skierował się ku wyjściu. Kiedy był już w sieni, proboszcz widocznie sobie coś przypomniał, bo zawołał: „Poczekajcieno jeszcze chwilkę". Siadł przy stole i napisał jakąś kartkę, zwracając się zaś do Jana, rzekł: „Macie tu kartkę do „Przyjaciela Ludu". W kartce tej powiedziano, że jesteście bardzo potrzebujący. Za nią dostaniecie zapomogę prędzej od innych. No, idźcie już. Nie zapominajcie tylko o kościele".

Naglił Jana do odejścia, jak gdyby się obawiał pytań z jego strony. Jan wyszedł od księdza i gorzki, ironiczny śmiech wyrwał się z jego piersi. I długo się śmiał jeszcze, przystanąwszy na ulicy. W oczach jego pokazały się łzy i nie wiadomo było, czy przyczyną ich był śmiech, czy też wielki ból serca.

L. Podlaski.

S. HAECKER.

Nauka walczącego proletarjatu.

Bezprzecznie każdego, kto śledzi umysłowy rozwój ludzkości, uderza to zjawisko, że nauki społeczne dopiero w naszym wieku powstały i, podczas kiedy przez całe stulecia były w powijakach, teraz w tak krótkim czasie nietylko ogromnie się rozwinęły, ale nawet pierwszorzędne we współczesnem życiu umysłowem zajęły stanowisko. Dzisiaj nauki społeczne są osią ruchu literackiego, zajmują każdego myślącego człowieka, są niezbędne do ogólnego wykształcenia, a my socjaliści przeważnie się niemi zajmujemy i do nich największą przywiązujemy wagę w uświadomieniu proletarjatu. Dlatego nie od rzeczy będzie wglądnąć bliżej w przyczyny tego zjawiska.

Jak w przyrodzie, tak i w życiu społecznem niema nic przypadkowego, wszystkiem rządzą pewne prawa, każdy fakt jest ściśle określony swemi przyczynami. A więc i ten nagły rozwój nauk społecznych nie można policzyć na karb przypadku, ma on swe uzasadnienie w ogólnym rozwoju historycznym. Marx udowodnił, że nietylko moralność, ale także religja, filozofja, słowem cały światopogląd społeczeństwa zależy od stosunków ekonomicznych. Z niemi razem się rozwija i zmienia. I w miarę potrzeby to jedna, to druga nauka zdobywa sobie w nim dominujące stanowisko.

Musimy sobie przypomnieć zdanie Marxa, że „historja wszystkich dotychczasowych społeczeństw jest historją walk klasowych". Coraz to inna klasa społeczna dobija się panowania. Formułując tedy swe żądania, uzasadniając ich słuszność, tworzy ona nową teorję, i w ten sposób przez krytykę dawnych, a budowanie nowych poglądów przyczynia się do rozwoju wiedzy ludzkiej. Tak więc stosunki ekonomiczne wpływają na rozwój życia umysłowego.

Nie każdy członek świeżo na arenę polityczną wstępującej klasy społecznej rozumie jej — a tem samem i swoje — interesy. Zanimby konieczność zmusiła wszystkich członków danej klasy do jasnego poznania swego położenia, potrzeb, sił itd., dużoby czasu upłynęło; jeżeli zaś jednostki, które poznały i zrozumiały swe interesy wcześniej i jasno sobie swój program sformułowały, program ten jakoteż jego uzasadnienie wśród swej klasy rozszerzają i o słuszności swej sprawy ją przekonywują zapomocą naukowych dowodów, to przez to przyspiesza się ów przewrót społeczny oddający rządy społeczeństwa w ręce tej klasy. Tak więc płody ducha ludzkiego, jakkolwiek mają swe źródło w stosunkach społecznych, nie pozostają bez wpływu na te ostatnie, — owszem przyspieszają ich rozwój.

Nie myślę tu roztaczać dokładnego obrazu rozwoju nauk społecznych od najwcześniejszych początków. Albowiem w starożytności organizm społeczny nie był tak skomplikowany jak dzisiaj, interesy poszczególnych żywiołów społecznych nie były tak zawikłane, stosunki ekonomiczne były nader proste; a zatem teorje społeczne na takich danych osnute nie przedstawiają dla nas bezpośredniej wartości.

Wieki średnie również nie były zdolne wytworzyć tego, co dziś zowiemy naukami społecznemi. Jedyną warstwą oświeconą było wówczas duchowieństwo, cały ówczesny świat umysłowy ogarnięty był przez biblję i pisma ojców kościoła, biblja była jedyną powszechną lekturą, ludzkie myślenie obracało się wyłącznie w formach religijnych, o ile wzbijało się ponad drobne sprawy codziennego życia do wyżyny teorji. Tem należy sobie tłómaczyć, że nietylko filozofja, etyka i prawo, lecz nawet żądania i programy polityczne przybierały cechy religijne, a wojny handlowe i walki społeczne charakter walk religijnych.

Gdy rozwój przemysłu wytworzył w miastach silną liczebnie, bogatą i wykształconą klasę mieszczańską, rozpoczęła ona walkę z feudalizmem, t. j. z rządami szlachty. Feudalny ustrój cechowy krępował rozwój przemysłu, szlachta, jako klasa właścicieli ziemskich, miała interesy sprzeczne z interesami przemysłowego mieszczaństwa i rządziła naturalnie korzystnie dla siebie, a ze szkodą przemysłu i handlu, chłopi zaś byli własnością szlachty, nie wolno im było opuszczać pańskiej gleby, dał się więc powszechnie odczuwać brak robotników dla powstających właśnie w wielkiej ilości fabryk. Mieszczaństwu (czyli burżuazji) było to bardzo niewygodne. Zaczęło więc ono dążyć do pochwycenia rządów państw w swoje ręce, aby stworzyć ustrój sprzyjający rozwojowi przemysłu, aby usamowolnić chłopów, aby w miejsce absolutyzmu wprowadzić mieszczańską konstytucję. Szlachta i sprzymierzona z nią korona wywodziły swe prawo do panowania od praw boskich lub od praw historycznych. Nasza klasa rządzi niepodzielnie już setki lat — mówiła szlachta — więc i mamy prawo do panowania, bo my jesteśmy „dobrze urodzeni". Na to odpowiadało mieszczaństwo: Nieprawda, nie jesteście „lepiej urodzeni" niż mieszczanie lub chłopi, wszyscy ludzie rodzą się jednako, wszyscy ludzie równi są wobec natury czy Boga. Tak więc burżuazja przeciwstawiła „prawo naturalne" owemu „prawu historycznemu", na które powoływali się monarchowie i szlachta.

Cały ten spór był kwestją prawną, a mianowicie o to, czy słuszne są prawa rozgraniczające ludzi na „dobrze urodzonych" i uprzywilejowanych z jednej strony, a „nisko urodzonych" i pozbawionych wszelkich praw z drugiej. Była to więc walka o prawo i dlatego rozwinęła się wówczas nauka prawa. Z tej nauki czerpały obie strony swoje argumenty w agitacji, filozofja prawa, nauka prawa wogóle stała się dominującą w ówczesnem życiu umysłowem. Przywódcami walczącej o swe równouprawnienie burżuazji byli przeważnie prawnicy, adwokaci; naczelny wódz burżuazji w wielkiej rewolucji francuskiej Robespierre był adwokatem. Biblją walczącego mieszczaństwa stała się książka Jana Jakóba Rousseau p. t. „Kontrakt społeczny", książka czysto prawnicza, udowodniająca, że społeczeństwo nie jest niczem innem jak dobrowolnym układem czyli kontraktem między ludźmi i że jedynie ten kontrakt jest źródłem wszelkich praw. Tak więc w okresie walki między burżuazją a kapitalizmem rozwinęła się i zapanowała nad życiem umysłowem epoki nauka prawa i filozofja prawa.

Zwycięstwo wielkiej rewolucji francuskiej dało początek panowaniu burżuazji na kontynencie Europy. W Anglji już wcześniej, jeszcze w XVII stuleciu, dokonał się był taki sam przewrót. Runęły szranki prawne dzielące ludzi na uprzywilejowanych i pozbawionych praw, na wolnych i pańszczyźnianych — nastała równość ludzi wobec prawa, ale

mimoto nie znikły sprzeczności klasowe, owszem przepaść dzieląca społeczeństwo na rządzących i zależnych, na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych zwiększyła się może jeszcze bardziej. Wyszło zatem na jaw, że nie ustawa taka lub owaka jest przyczyną nierówności pomiędzy ludźmi, że nierówność ta istnieje spokojnie dalej mimo a nawet wbrew ustawom. Zaczęto przyczyn tego szukać głębiej. I to dało początek naukom społecznym: ekonomji politycznej i socjologji.

(Dokończenie nastąpi.)

Dr. Michał Wyrostek.

Szkolnictwo ludowe w Szwajcarji.*)

Sprawa szkolnictwa ludowego jest obecnie rzeczą kantonów. Konstytucja związkowa zawiera tylko pewne zasadnicze postanowienia, głównie ze względu na zagwarantowaną przez siebie wolność wiary i wyznania. Związek sam utrzymuje jedynie politechnikę w Zurychu, tudzież ma prawo tworzyć wyższe naukowe zakłady lub istniejące wspomagać.

„Związek jest uprawniony, prócz istniejącej szkoły politechnicznej, założyć uniwersytet i inne wyższe zakłady naukowe lub też zakłady tego rodzaju wspierać.

„Kantony mają pieczę o dostateczne nauczanie początkowe, które stać ma pod świeckim wyłącznie kierownictwem. Jest ono obowiązkowym i w szkołach publicznych bezpłatnym.

„Szkoły publiczne powinny być tak urządzone, by mogli do nich uczęszczać wyznawcy wszystkich wyznań, a to bez naruszenia swobody ich wiary i wyznania.

„Przeciw kantonom, które tych zobowiązań nie dopełnią, wyda Związek potrzebne zarządzenia".

Oto wszystko, co postanawia Związek w sprawach szkolnictwa.

Nie potrzeba jednak było wydania tych specjalnych zarządzeń, o jakich konstytucja związkowa wspomina. We wszystkich kantonach istnieje szlachetne współzawodnictwo o jak największe udoskonalenie szkolnictwa. Probierzem niejako tych usiłowań, a zarazem kontrolą dla Związku, jest wprowadzone w r. 1875 obowiązkowe egzaminowanie wszystkich rekrutów i ogłaszanie jego rezultatów; o czym poniżej dokładniej.

Nie jest dziwnym, że wobec zupełnej samodzielności kantonów na polu nauczania publicznego, organizacja szkolnictwa, tak jak i oszystkich innych urządzeń publicznych, nadzwyczajną wykazuje rozmaitość. Będziemy się starali obraz tych urządzeń w ogólnych podać zarysach i z tej masy rozmaitości wyłowić to, co w urządzeniach pojedyńczych kantonów jest wspólnego.

Szkolnictwo swajcarskie cechuje w ogólności brak wszelkiej rutyny, skostniałości, przyzwyczajenia do starych form i utartych dróg, dalej brak wszelkiego biurokratyzmu w tych sprawach, lecz zainteresowanie jak najszerszych warstw ludności sprawami oświaty, wpływ bezpośredni ludności na bieg spraw szkolnych, sposoby nauczania itd.

„Nie przy zielonym stole, nie przez skostniałych biurokratów wymyślone zostały owe w wielu wypadkach wyborne ustawy, lecz wypracowane one zostały przez mężów, którzy w ciągłym stali kontakcie z życiem bieżącym i którzy, obdarzeni subtelnym zmysłem spostrzegawczym, znali potrzeby czasu, wymagania teraźniejszości i z uznania godną gotowością umieli modyfikować swoje poglądy, skoro doświadczenie nie potwierdziło ich teoretycznych przesłanek. Biurokratyczny mąż stanu nie będzie mógł patrzeć na szkołę szwajcarską bez pewnego lęku. Dzisiaj wydana ustawa ulega nazajutrz zmianie, skoro się tylko okaże potrzeba zmiany", pisze Beer.

Zainteresowanie ludności sprawami szkolnictwa jest olbrzymie. Najważniejsze kwestje wychowania i nauki są roztrząsane szczegółowo i dokładnie nietylko w rozlicznych czasopismach, poświęconych wyłącznie kwestjom pedagogicznym, a wychodzi ich tutaj znaczna ilość, ale też czasopisma codzienne, polityczne poświęcają tym sprawom baczną uwagę.

Przejdźmy do omówienia szkolnictwa ludowego.

Wykazuje ono w swojej organizacji: 1) stopień pierwszy, właściwą szkołę ludową z nauką codzienną, przez cały rok trwającą; 2) stopień wyższy, urządzony dla tych, którzy nie idą bezpośrednio ze stopnia pierwszego do jakiegoś średniego zakładu naukowego. Stopień wyższy rozpada się z reguły na dwa działy: a) wyższą szkołę ludową, do której uczęszczanie jest dobrowolne, i która obejmuje kilka klas o nauce codziennej, cały rok trwającej, a nazwaną rozmaicie: szkołą realną, powiatową, najczęściej drugostopniową (Sekundarschule; b) dalszy ciąg szkoły ludowej, urządzony przeważnie jako obowiązkowa nauka dopełniająca.

Obowiązek uczęszczania do szkoły rozpoczyna się z ukończonym 6 tym rokiem, w 11 kantonach dopiero z 7-mym rokiem życia, a trwa on w 8 kantonach 6, w 6 kantonach 7, w 9 kantonach 8 lat, a w 2 kantonach, Berno i Waadt, nawet lat 9.

Wspomnieć trzeba o zadaniach, jakie spełniać ma wyższy stopień szkoły ludowej, szkoła drugostopniowa. Zadanie to jest podwójne. Z jednej strony ma ona w związku z właściwą szkołą ludową dać ogólne, stanowiące dla siebie całość zamkniętą wykształcenie, z drugiej zaś strony stanowić ma ona niejako podwalinę szkoły średniej, względnie tworzyć klasy równoległe z niższemi klasami szkół średnich, co przynosi tę korzyść, że szkoła ta, związana ze szkołą ludową, a nie średnią, daje skutkiem decentralizacji swojej możność większej liczbie młodzieży uzyskania wykształcenia, jakie daje niższa szkoła średnia, i to w miejscu pobytu ucznia, a nie w punkcie centralnym kantonu, gdzie się zwykle znajdują szkoły średnie, a więc bez znaczniejszych kosztów.

Z tego drugiego zadania, jakie ma szkoła drugostopniowa, wynikałoby właściwie, że jej do szkolnictwa ludowego zaliczaćby nie należało, lecz do średniego. Czyni to jednak Dr. Hunziker, na którym się głównie opieramy, z tego względu, że w szkołach tych znacznie przeważa procent młodzieży, która w nich wykształcenie kończy, nad ilością tych uczniów, dla których jest ona jedynie stopniem pierwszym szkoły średniej, przyczym podnosi Hunziker, że wobec mieszanego charakteru tej szkoły trudno wynaleźć ogólną zasadę, wedle której należałoby ją umieścić w kategorji szkolnictwa ludowego lub średniego.

W przeważnej ilości kantonów, bo w 19 z nich, stanowi tak właściwa szkoła ludowa, jak i drugostopniowa jedną jednolitę szkołę o 6—7 latach nauki, a tylko w niektórych kantonach po kilku latach nauki w szkole pierwszostopniowej odgałęzia się szkoła drugostopniowa, tworząc osobny zakład.

W szkole pierwszostopniowej panuje wszędzie w nauczaniu system nauczycieli klasowych. Jeden nauczyciel uczy więc w danej klasie wszystkich przedmiotów. Na stopniu drugim napotykamy system nauczycieli fachowych, ale nie wszędzie.

Każdy kanton przepisuje muksymalną liczbę uczniów w pewnej klasie, tak, że przekroczenie tej cyfry spowodować musi otwarcie nowej klasy. Cyfry te są rozmaite. Przeważnie wynoszą one 70 dla szkoły pierwszo- a 45 dla szkoły drugostopniowej.

W większości kantonów pobierają naukę chłopcy i dziewczęta razem w jednej klasie, a tylko katolickie kantony okazują dążność do rozdziału klas wedle płci, skoro zajdzie potrzeba podziału klasy.

Przedmiotem naki w pierwszo- i drugostopniowej szkole ludowej jest język ojczysty, rachunki i gieometrja (w 9 kantonach nie udzielają jej wcale, albo jest ona tylko przedmiotem nadobowiązkowym), historja i gieografja przeważnie tylko Swajcarji, nauki przyrodnicze, których braknie w planach 7 kantonów, a we Fryburgu i Tessinie są one przedmiotem nadobowiązkowym. Wszędzie obowiązkową jest dalej kaligrafja, śpiew, rysunki (braknie ich w 4 kantonach, a w dwuch są nadobowiązkowe), gimnastyka i to albo dla chłopców i dziewcząt, albo tylko dla chłopców. Dziewczęta nie pobierają wcale nauki gimnastyki w 6 kantonach, w berneńskim i lucerneńskim jest ona dla nich nadobowiązkową. Na mocy postanowień Związku, jest nauka gimnastyki obowiązkową dla wszystkich chłopców, od 10-go roku życia

*) Wyjątek z obszernej pracy p. t. „Urządzenia polityczne Szwajcarji. Kraków. Spółka nakładowa „Książka".

począwszy aż do czasu powołania do wojska, t. j. do ukończenia lat 20, z czego dwa ostatnie lata mogą być poświęcone, prócz gimnastyki, nauce strzelania.

Religja jest wszędzie, z mocy postanowień konstytucji związkowej, przedmiotem nadobowiązkowym.

Prócz powyższych przedmiotów, które znajdujemy w planach naukowych wszystkich kantonów, są w niektórych kantonach obowiązkowemi jeszcze inne przedmioty. I tak: buchalterja w 10 kantonach, nauka o ustroju państwa w 5 kantonach. Dla dziewcząt jest w 6 kantonach obowiązkową nauka gospodarstwa domowego. Prócz tego, spotykamy tu i owdzie naukę hygjeny, hodowli drzew owocowych, gospodarstwa rolnego, tudzież drugiego języka krajowego.

Stopień wyższy szkoły ludowej tym się różni od niższego, że przedmiotów obowiązkowych udziela się w większym zakresie, a nadto obowiązkowym jest drugi, albo nawet i trzeci język krajowy. Prócz tego dla dziewcząt jest obowiązkową na wyższym stopniu w 15 kantonach nauka robót kobiecych. Jako przedmiot nadobowiązkowy, wyznaczone są w rozmaitych kantonach rozmaite przedmioty, z pośród których wymienimy ćwiczenia bronią, zaprowadzone w kantonach Berno, Waadt i Neuenburg. Oddziały uczniów, pobierających naukę ćwiczenia bronią, tworzą korpusy kadeckie.

Taką jest w ogólnych zarysach organizacja szkolnictwa ludowego.

W r. 1904 było w całej Szwajcarji 4.665 szkół ludowych pierwszego stopnia, liczących razem 492.768 uczniów, z czego chłopców było 245.638, a dziewcząt 247.130. Nauczycieli było męskich 6.877, a żeńskich 4.100, czyli razem 10.977. Na jednego nauczyciela wypadało tedy przeciętnie 35 uczniów, stosunek, którego pozazdrościć mogą Szwajcarji galicyjskie szkoły średnie, nie mówiąc już nic o ludowych.

Prócz powyższych szkół ludowych, istnieją w przeważnej ilości kantonów szkoły żeńskich robót, bardzo często jako osobna zupełnie instytucja, urządzona na podstawie specjalnych przepisów, wcielona do organizmu szkół ludowych. Uczęszczanie do tych szkół jest w jednych kantonach obowiązkowe, w innych pozostawione woli rodziców. Istnieją dalej specjalne szkoły sójdu dla chłopców, powstałe przeważnie za inicjatywą osób prywatnych i stowarzyszeń, ale wspierane finansowo przez państwo. W r. 1891 było takich szkół 84.

Wspomnieć nam tu wypada o szkołach dopełniających (Fortbildungsschulen), noszących rozmaite nazwy, jak: szkoła przemysłowa, rzemieślnicza, niedzielna, wieczorna, szkoła rysunków itd., a które określa Dr. Hunziker jako szkoły, „w których młodzi ludzie jednej lub drugiej płci, po dopełnieniu powszechnego obowiązku szkolnej nauki, w pewnych określonych godzinach tygodnia lub dnia, pobierają naukę obok swoich zajęć zawodowych, bądź to dla otrzymania, bądź też dla powiększenia ogólnego wykształcenia, bądź nareszcie dla uzyskania szczególnych wiadomości i zręczności, potrzebnych do wykonywania zawodu".

W organizacji tych szkół dla młodzieży męskiej zauważyć można 2 kierunki: 1) szkoły dla dalszego wykształcenia specjalnego w zawodzie, do których uczęszczanie z natury rzeczy nie jest obowiązkowe i 2) szkoły dla uzupełnienia ogólnego wykształcenia w wieku od lat 14—20, przeważnie obowiązkowe.

Szkoły dopełniające przemysłowe, należące więc do pierwszego z powyższych kierunków, stoją pod kontrolą Związku i pobierają od niego subwencje. Szkół takich było w r. 1891 96. Liczba ich od tego czasu, naturalnie, znacznie wzrosła. Istnieją też dopełniające szkoły rolnicze, tudzież takie same szkoły dla dziewcząt.

Rozmaitości

Elektryczny dom. Elektrotechnik francuski Grzegorz Knap wystawił sobie kamienicę z elektrycznemu rządzeniem do najdrobniejszych szczegółów, począwszy od elektrycznego czyszczenia obuwia aż do elektrycznego odwiedzania oper teatralnych, które najzwyczajniej się słucha przez specjalnie w tym celu urządzony aparat. Najciekawszą jest kuchnia, w której maszynka do siekania mięsa, młynki i różni inne przyrządy wraz z samem gotowaniem są kierowane i pędzone siłą elektryczną.

W jadalni wystarczy nacisnąć guzik na środkowej płycie stołu, by opróżnione półmiski zniknęły, a miejsce ich zajęły świeże potrawy. Podobnej zmianie podlegają i wypróżnione butelki.

* * *

Tramwaj bez szyn posiada wiele dogodności, jakich nie ma tramwaj zwyczajny: przedewszystkim zaś jest tańszy. Tramwaj bez szyn Stolla biegnie po zwykłej drodze i u góry ma tylko jeden przewód elektryczny, zresztą jest zupełnie urządzony na podobieństwo naszych tramwajów. Jeden przewód górny wystarcza dlatego, ponieważ wóz może robić pewne, choć niedalekie zboczenia od linji pod przewodem biegnącej, gdy się więc dwa wozy spotkają, to jeden z nich zjeżdża trochę na bok, staje i odłącza od drutu przewodowego wystający po nad dachem kij, wskutek czego idący naprzeciw wóz wygodnie wyminąć go może.

Opis powyższy, choć pobieżny tylko, wystarcza do zrozumienia o ile tańszą jest instalacja takiego tramwaju. Dość powiedzieć, że otwarta tamtego tygodnia linja takiego tramwaju z Klosterneuburga do Weidlingu pod Wiedniem kosztowała wraz z parkiem, t. j. z halą i trzema wozami tylko 120 000 koron! Wozy są są na resorach i wskutek tego nie czuć wstrząśnień. Rozumie się jednak, że droga pod taki tramwaj musi być równą i dobrze ubita.

* * *

Telegraf piszący. Wynalazca telegrafu piszącego Grzanna, pochodzący z Prus Wschodnich, pertraktuje z władzami pocztowemi w sprawie zastosowania swego wynalazku. Za pomocą tego przyrządu przesyłać można telegraficznie oryginalne rękopisy. Na stacji, odbierającej rękopis, jest umieszczona mała ciemnica, w której przesłane pismo wytwarza się automatycznie na papierze wrażliwym na światło. Ponieważ w ten sposób można przesyłać także szkice i rysunki, przeto ten wynalazek ma doniosłe znaczenie dla przemysłu, handlu, kryminalistyki. Władze policyjne będą mogły telegraficznie przesyłać listy gończe z odnośnemi szkicami. Telegraf piszący Grzanny potrzebuje tylko 12 Volt prądu elektrycznego i funkcjonuje przy każdym aparacie telefonicznym w ten sposób, że nawet rozmowa telefoniczna nie potrzebuje być przerwana. Administracja pocztowa zarządziła tymczasem próby na krótszych przestrzeniach, ale także pomiędzy Berlinem a Dreznem. Zaprowadzenie telegrafu piszącego wywołałoby przewrót w dziedzinie telegrafów.

Z literatury i sztuki

„Myśl Niepodległa", Treść nr. 77 (druga dekada na październik): Krematorjum w Medjolanie. — Krematorjum w Moguncji. — Deotyma i jej otoczenie. — Dokąd idziemy. — Etyka polityczna. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Zapiski. — Książki.

Adres: Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10.

Zero. W krakowskim pałacu sztuki otwarto w niedzielę w południe zbiorową wystawę obrazów Stowarzyszenia polskich artystów, związanych pod nazwą „Zero", wobec grona przedstawicieli ze świata naukowego i artystycznego, oraz przy licznym udziale publiczności.

Na wystawę tę nadesłali dzieła artyści-malarze: Brandt, Hoffman, Kossak, Kowalski, Krasnowolski, Lenc, Siedlecki, Rauchinger, Tetmajer, Weyssenhof, Wojtkiewicz, Wywiórski — w najbliższych zaś dniach nadeślą obrazy: Gawiński, Stasiak i Żmurko.

„Zero" otrzymało już zaproszenie, aby po zamknięciu wystawy przenieść ją do Wiednia, niemniej toczą się rokowania, aby wziąć gremjalny udział w międzynarodowej wystawie w Wenecji.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 43. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 24 października 1908.

Starzec i dziecię.

— I po co ty narodziłeś się?

— Żyć chcę.

— Żyć? Inaczej, mój maleńki, słowo to brzmi z kolebki, a inaczej z grobu. Te je wymawiasz tonem nadziei, a ja — rozpaczy. A mój ton jest zwykłą pieśnią schodzących ze świata.

— Ile ludzi, tyle bogów, a każdy syn jest szczęśliwszym o całe doświadczenie ojca.

— Doświadczenie!... Gdybyśmy cierpieli jedynie za winy i błędy własne lub nawet za odziedziczony spadek grzechów rodzicielskich, wierzaj mi, że życie byłoby rozrywką. Ale ty nieraz musisz pokutować za to, żeś się narodził, że twoje piersi chcą oddechać tym nie innym powietrzem, że twoje serce uderza silniej na ten, a nie inny głos, że... Dziecię, nieświadome warunków ludzkiego istnienia, czy ty wiesz, że może barwa twej skóry lub zakręty twych włosów będą dla ciebie kiedyś źródłem utrapień!

— Czas postępuje, a z nim wszystko, co on niesie w swym łonie.

Zobacz rzekę: środkiem bieży jej nurt ciągle, ale na załamach stromych brzegów tworzą się wiry, a po gładkich bokach nieruchome rozlewy. Tak płynie i rozwój cywilizacji. Nie marz, że będziesz pędził z tą falą, która szybko naprzód się toczy, bo ugrzęźniesz w stojącej łasze, którą tylko powódź z głównym potokiem zlewa, a zwykle ledwie czasem wiatr silniejszy jej powierzchnię pomarszczy.

— Można kręte brzegi wyprostować i wiry usunąć, można także przekopami do łachy ruch wprowadzić.

— Można? Taką niedorzeczną naiwność przebaczyć należy jedynie ludziom, którzy się dziś urodzili. Mów, że opukawszy ziemię, zbadałbyś, gdzie w niej tkwią źródła wulkanów lub zdrojów, mów, że z krzemienia wyrabiałbyć gąbki, a z korka brzytwy, mów, że ze śniegu wyrzeźbiłbyś posągi, a marmury wydął w balony, ale nie mów, że zawsze i wszędzie bez narażenia się na niebezpieczeństwo kij nazwiesz kijem.

— Przesadzasz, starcze, albo obrzydzasz sobie życie, ażebyś łatwiej mógł się z nim rozstać.

— O, biedne pisklę, nie przeczuwasz rozczarowań swej wiary, którą, jak wątły puch, poutracasz strzępkami, przedzierając się przez ciernie, aż dojdziesz do kresu nagi i pokaleczony. Niejeden przytem kolec oko ci rozedrze lub w serce się wbije. Mnie niczego nie żal. Jeśli cię los rzuci w głęboką otchłań i jeśli, spadając, odbijać się będziesz o jej twarde i chropowate ściany, zapragniesz wreszcie roztrzaskania głowy o jej dno. Taką zaś otchłanią jest zwykle życie.

— Dlaczegoż ludzie nie umierają bezpotomnie i rodzą dobrowolnie męczynników?

— Dlatego, że dzieci są zwykle owocami nieprzytomnych upojeń, zwierzęcych namiętności lub lekkomyślnej igraszki. Gdyby w płodzeniu ich uczestniczył rozum, ród człowieczy zmalałby do garstki zadowolonych swą tłustością karmników.

— Bluźnisz, ojcze, mózg ci schorzał.

— Stary mędrzec błogosławił bogów, że każdemu pozwolili pozbawić nas życia, a nikomu — śmierci. Powtórzysz to, zanim opadnie z ciebie ostatni zwój powijaka. Bo czy ty znasz swoją dolę? Ulicznik może stłuc szybę twego schronienia i wpuścić przez nią na ciebie rozwścieklony mróz, złodziej ci może zabrać twoją poduszkę i podesłać swemu psu, morderca może ci zabić matkę dla zrabowania jej srebrnego medalika, możesz spłonąć w ogniu, zgnić w błocie — a struny sprawiedliwości, potrącone twym krzykiem, nie wydadzą najmniejszego dźwięku.

— Nad ludźmi nie czuwają już aniołowie, ale czuwają prawa.

— Dla siły gwałtu wynaleziono tylko prawa, które je tłómaczą, ale nie takie, któreby je nazawsze ubezwładnić mogły.

— Nie dręcz mnie, przekorny duchu, bo twych przestróg nawet nie pamiętam! Jeśli nie będę mógł zostać panem świata, zostanę jego żebrakiem — a jałmużnę mi da.

— Mylisz się — nie da. Czy sądzisz, że więcej od niego żądałem? Bynajmniej, nie pragnąłem, ażeby kapota moja była z jedwabiu, tylko żeby mi pozwolono załatać jej dziury, nie wymagłem nawet, ażeby moja torba była pełną, tylko żeby w niej leżał kawałek chleba. I tego mi odmawiano. Gdy pracowałem, oskarżono mnie, że zubożam innych, gdy śpiewałem po podwórzach pieśni, wypędzano mnie, oskarżając, że zakłóciłem spokój. Raz, usiadszy przy drodze, zamyśliłem się. Ktoś podszedł, szarpnął mnie za ramię i pogroził: ostrożnie z marzeniami! — Ja spoglądam na księżyc — rzekłem. — I na księżyc tak długo patrzyć nie wolno.

— Śnisz staruszku?

— Nie śnię, prawdę mówię... Przodkowie moi dostatnio żyli i nadużywali wszystkiego, bo nawet swej wspaniałomyślnośc'. Dziad mój, dojrzawszy na niebie kometę, marzył na chwilę o lepszej doli. Ale ja nie, ja nie pragnąłem więcej od jaskółki: żeby gniazdo przypiąć pod ulubioną strzechę, w powietrzu nieco much złapać i przy strudze wody się napić. Szkodnicy gniazdo tykami zdrapywali, a do mnie ciągle myśliwy dla nabrania wprawy strzelał. Tak moje dziecię, byłem w żądaniach skromny, mniej niż skromny. Ale świat nie każdemu równą z innymi przestrzeń wymierzył. Jeden może oprzeć nogi o dwa bieguny globu, a drugi musi skakać, bo mu nigdzie stanąć nie wolno.

— Czyś ty rzeczywiście pracował, ojcze?

— Tak ciężko, że przez pory mojego ciała nie pot, ale krew przeciekała. Ale wtedy krzyczano, że w morderstwie zbroczyłem ręce. Musiałem kryć się lub uciekać. Gdy sadziłem drzewka, sąsiad ostrzegał: przycinaj, niech nie podrosną zbyt wysoko!...

— Któ?

— Każdy, kto nie lubi zagajników.

— Nie rozumiem cię, starcze. Mówisz językiem zagadkowym, tajemniczym, który skrzypi w ustach, jak chrzęst kości szkieletu, ale nie przekonywa.

— Zrozumiesz mnie, gdy sam umierać będziesz.

— Może — teraz nie. Teraz dziękuję ci tylko, że skargi twoje skreślisz, jak czarnoksięskie znaki, dla mnie niepojęte. Gdybym je całkowicie odgadł, straciłbym nadzieję, która jest duszą dziecka.

— Zatrzymaj ją z życzeniem moim: bodajbyś tym samym wyrazem życie zakończył, którym je zacząłeć. Złudzenie daje odwagę Najśmielej płynie przez morze ten, kto mniema, że spód okrętu, jest dnem głębiny, a wiatry

sznurami huśtawki. Zresztą, masz młodsze oko, więc może niem dalej widzisz. Przedemną rozpościera się tylko mrok, rozświetlany iskrami, krzesanemi przez zgrzytające lub żrące się zęby.

— A ja dostrzegam oddalone ogniska na ziemi i gwiazdy na niebie, których promienie padają na moją drogę.

— Dostrzegasz rzeczywiście?

— Tak. Ty mi je zasłonisz, ale nie zgasisz.

— Senny lunatyku, co się tobie majaczy. To ślepie wilka lub tygrysa, czatującego na zdobycz, zabłyszczały w gęstwinie. Ha, ha, ha, świat powinien codzień zmieniać ludzi, bo noworodkom dałby szczęście. Będziesz je miał, tylko nie zapragnij niczego więcej nad to, na czem poprzestaje kamień, który nie myśli i nie czuje, który dziś znosi uderzenia przejeżdżających kół, jutro tkwi w bruku chodnika, w progu kościoła lub bożnicy.

— Kłamiesz!

— Umieram.

— A ja żyć będę.

— Musisz, bo chcesz.

— Skonał. Naokoło słyszę jakieś przyciszone głosy: on powiedziałby, że to groźne zmowy lub szemrania, a ja przypuszczam, że to miłośne szepty. Lulu, lulu — ten świat jest piękny, lulu, lulu — świat rozkoszny, lulu, lulu — świat sprawiedliwy.

Okoński.

(Al. Świętochowski)

(„Prawda", r. 1884).

S. HAECKER.

Nauka walczącego proletarjatu.

(Dokończenie.)

Gwałtowny rozwój kapitalizmu wywołał cały szereg zmian i nowych, nieznanych dotąd zjawisk w ustroju społecznym. Zaczęto badać te zjawiska i okazało się, że w nich należy szukać podstaw ustroju i rozwoju społecznego.

Dotąd myślano, że jednostki mądre, silne lub szczęśliwe rządzą losami ludności. Panował pogląd (a i dziś jeszcze niestety tak uczą w szkołach), że historja jest zbiorem różnych wypadków, które niezależnie od siebie po sobie następowały, wywołane dobrą lub złą wolą, mądrością lub głupotą, energją lub niedołęstwem poszczególnych ludzi. Od tego roku do tego roku rządził ten a ten król, mądry lub głupi, dobry lub zły, dzielny lub tchórz, sprytny lub niedołęga, szczęśliwy lub pechowiec, i dzięki jego rządom narodowi działo się dobrze lub źle, cywilizacja lub dobrobyt rozwijały się lub upadły, wybuchały wojny lub panował pokój, zwyciężano w wojnach lub je przegrywano. Po nim wstąpił na tron znów ten a ten król i znowu od jego usposobienia, charakteru, rozumu, szczęśliwej ręki zależały dalsze losy narodu. W tym a w tym roku wystąpił znów taki a taki myśliciel z takiemi a takiemi, dobremi lub złemi ideami i po krótszym lub dłuższym czasie, po mniej lub więcej zaciętych walkach, zależnie od tego, czy ludzkie rozumy łatwiej czy trudniej te idee zrozumieć zdołały, przyjmowano je, jeżeli były dobre, odrzucano, jeżeli były złe; czasem ten lub ów zdołał ludzi „obałamucić", że przyjmowali złe, a odrzucali dobre idee, i było im z tem dobrze lub źle, aż znowu przyszedł jakiś król lub myśliciel i tak dalej bez końca i bez sensu. Tak dziecinnie pojmowano dzieje ludzkości.

Ten naiwny pogląd obaliła dopiero nauka w XIX stuleciu. Wykazała ona, że historja społeczeństw nie zależy od przypadku, ani od jednostek, ani od ustaw, lecz od pewnych określonych praw rozwoju historycznego, tak jak wszystkie zjawiska natury zależą od nieugiętych praw przyrody. Wykrycia praw rozwoju społecznego dokonali ostatecznie mistrze socjalizmu Marx i Engels. Nauka zaś o prawach rozwoju historycznego, która długi czas zwała się filozofją historji, otrzymała później nazwę socjologji.

Socjologiczna teorja Marxa i Engelsa znana jest pod nazwą materjalistycznego pojmowania dziejów, lub krócej materjalizmu historycznego

W myśl tego poglądu budowa społeczeństwa ludzkiego zmienia się ustawicznie. Zmienia się ona jednak nie dlatego, że ludzie mądrzeją. Nie od myśli ludzkiej zależy życie społeczne, przeciwnie od warunków społecznego bytu zależy myśl ludzka. Podstawę ustroju społecznego stanowią stosunki ekonomiczne. Ludzka działalność skierowana jest przedewszystkiem na zdobycie utrzymania. Ustawy i stosunki polityczne wypływają ze stosunków produkcji i są ich zewnętrznym wyrazem, przystosowywują się do nich i muszą się wraz z nimi zmieniać. Gdy siły produkcyjne ludzkości tak się rozwiną, że z istniejącymi stosunkami prawnymi i politycznymi, z istniejącym systemem własności wejdą w sprzeczność, wtedy te ustawy itd., które dotąd były formami rozwoju sił produkcyjnych, stają się dla nich hamulcem dalszego rozwoju. Musi więc nastąpić przewrót w ustroju społecznym, któremu równocześnie daje wyraz odpowiedni przewrót w pojęciach religijnych, moralnych i filozoficznych, w ustawodawstwie, w literaturze i sztuce, słowem w świadomości ludzkiej. Dla objaśnienia tego faktu, że świadomość ludzka zależy od warunków bytu ekonomicznego, podamy tu parę przykładów. W wiekach średnich toczył się cały szereg wojen krzyżowych, chrześcjanie z całej Europy tłumnie dążyli do Palestyny, aby stamtąd wypędzić pogan. Dlaczego dziś niema wojen krzyżowych? Bo wówczas turcy, mając w swych rękach Palestynę i Syrję, zagradzali europejczykom drogę do złotodajnych Indji. Dlatego to myśl wypędzenia turków z Palestyny znajdowała taki posłuch w całej Europie. Gdy odkryto drogę morską do Indji, gdy w tym samym czasie odkryto Amerykę, a stosunki z tymi krajami stały się źródłem nowych bogactw dla Europy — ustały nagle wojny krzyżowe, przestano w Europie myśleć o wypędzeniu pogan z Palestyny. — Weźmy inny przykład: Za czasów feudalizmu chłop pańszczyźniany stanowił własność szlachcica, jak koń lub wół, i szlachcic mógł z nim robić, co mu się żywnie podobało. Nikt wówczas przeciwko temu nic nie miał, nawet kościół to pochwalał. Dziś, w ustroju kapitalistycznym, uważa się to za szczyt barbarzyństwa, ażeby człowiek był własnością swego bliźniego. Za to dziś uważa się za całkiem naturalną rzecz, że jeżeli ktoś nie ma własności i nie może sprzedać drugiemu swej siły roboczej, to może ginąć z głodu. W społeczeństwie socjalistycznem pogląd taki będzie budził zgrozę i odrazę w sercach wszystkich ludzi. Tak więc wraz ze zmianą stosunków ekonomicznych zmienia się i moralność ludzi.

Ale nietylko moralne pojęcia, lecz także i naukowe poglądy zależą od interesów ekonomicznych. N. p. w Anglji bogacze nie chcieli płacić podatku na utrzymanie ubogich. Wtedy pastor Malthus wystąpił z teorją, że ludzie rozradzają się daleko prędzej, niż środki żywności, więc ludzkość kiedyś musiałaby wymrzeć z głodu. Niech każdy sam o własnych siłach walczy o byt, niech wszyscy walczą ze wszystkimi: kto silny, zwycięży w tej walce, kto słaby, niech zginie! Było to hasło wolności konkurencji, wolności wyzysku. Książka Malthusa stała się ewangielją kapitalistów, teorja jego, oparta na wyssanych z palca twierdzeniach, nietylko posłużyła jako środek agitacji przeciwko podatkowi na ubogich, lecz stała się źródłem mądrości burżuazyjnej. Widzimy więc, że i nauka stoi w usługach interesów ekonomicznych.

A ustawodawstwo? Weźmy taki przykład: W jakimś kraju jest silnie rozwinięty przemysł, którego wyroby mogą śmiało konkurować na rynku światowym. Państwo to nie boi się konkurencji handlowej, owszem pragnie jej, bo w niej zwycięża. Dlatego w ustawodawstwie takiego państwa (n. p. Anglji) panować będzie zasada wolnego handlu. W innem państwie (n. p. w Rosji) znów jest przemysł słaby, dopiero w powijakach, trzeba go rozwijać i chronić przed zagraniczną konkurencją. Takie państwo wyda więc ustawy nakładające cła na zagraniczne towary. — Inny przykład: Na Węgrzech, gdzie klasa robotnicza jest jeszcze mało rozwinięta, ogromną przewagę mają właściciele wielkich obszarów rolnych. To też obszarnicy węgierscy przeparli w parlamencie ustawę, nakładającą straszne kary na strejkujących robotników rolnych. W państwach zaś, gdzie klasa robotnicza uzyskała już pewien wpływ, ustawy coraz bardziej chronią robotników przed wyzyskiem, a coraz mniej bronią

prawa kapitalistów do wyzysku. — Ustawodawstwo jest zawsze wyrazem istniejących stosunków ekonomicznych i musi się do nich przystosowywać.

Chcąc więc zbadać dany ustrój społeczny i warunki jego rozwoju, trzeba się zapoznać z jego stosunkami gospodarczymi. Do poznania tychże prowadzi nas nauka zwana ekonomją polityczną.

Na podstawie zbadania ekonomicznych stosunków ustroju kapitalistycznego doszli Marx i Engels do swojej teorji socjologicznej, zwanej materjalizmem historycznym, a której ogólny zarys tu podaliśmy.

Ten materjalistyczny pogląd na historję otworzył ludziom oczy na rzeczywiste czynniki rozwoju społecznego. Wykazał on, że kapitalizm w chwili swego powstania już musiał wytworzyć swego śmiertelnego wroga: proletarjat, że wraz z rozwojem kapitalizmu musi rosnąć i coraz bardziej potężnieć ten jego wróg, który go kiedyś, gdy cały kapitał skupi się w nielicznych rękach garstki posiadających, a ogromna większość ludu stanowić będzie wywłaszczony proletarjat, obali, znosząc prywatną własność, doprowadzoną do absurdu, usuwając system klasowy i wprowadzając ustrój socjalistyczny, oparty na równości, wolności i własności wspólnej. Tą drogą podąży rozwój ludzkości z nieubłaganą koniecznością, niezależnie od woli jednostek.

Ta nauka zatem nietylko wskazała proletarjatowi, jaką ma kroczyć drogą, ale dała mu niezwyciężoną broń naukową, dała mu niezłomną wiarę w zwycięstwo jego słusznej sprawy.

Dlatego to nauki społeczne: ekonomja polityczna i socjologja stały się naukami walczącego proletarjatu.

Tem, czem dla życia umysłowego ludzkości była w wiekach średnich teologja, w epoce walki między feudalizmem a burżuazją o „prawa człowieka“ znowu nauka prawa, w epoce walki kapitalizmu ze szczątkami feudalnemi o rynek światowy, o wolną konkurencję, o wolny handel, o wolność wyzysku — nauki przyrodnicze, — tem w dobie obecnej, w dobie walki klasowej między burżuazją a proletarjatem są nauki społeczne. Tak proletarjat jak i jego wrogowie z nich czerpią wszystkie swe argumenty w agitacji, w walce.

Stąd to pochodzi, że socjalna demokracja kształci robotników przedewszystkiem w tych naukach. Są one dla nas ewangielją walki z uciskiem i wyzyskiem, dobrą nowiną przyszłego porządku społecznego, opartego na swobodzie, dobrobycie i szczęściu wszystkich ludzi.

Koniec.

Kronika przyrodnicza.

Zaginione olbrzymy.

Znalezienie wiosną r. b. na górze św. Bronisławy pod Krakowem szczątków mamuta obudziło żywe zajęcie do zaginionych przedstawicieli świata zwierzęcego zamierzchłych epok gieologicznych. Znalezione kości, jakkolwiek pochodzące od kilku osobników, nie są jednak kompletne i najlepiej zachowane, nadto część z nich, dzięki nieświadomości robotników, ponownie została zakopana do ziemi. Najlepszych okazów mamuta dostarczyła Syberja, zwłaszcza zlodowaciałe wybrzeża jej potężnych rzek północnych kilkakrotnie były terenem nadzwyczaj szczęśliwych odkryć, przyczem dochować się zdołały nietylko kości szkieletu, lecz również części miękkie ciała.

Pierwszy zanotowany wypadek znalezienia szczątków mamuta w Syberji sięga końca XVII stulecia, gdy natrafiono na trupa tego zwierzęcia nad Jenisejem. Odmarzł on już był jednak parę lat pierwej i, zanim ludzie dowiedzieli się o nim, stał się w części łupem drapieżców, w części zaś zgnił. Odtąd znajdowano mamuty niejednokrotnie, rzadko jednak w całości i nieuszkodzone. Przed siedmiu laty dopiero zdołano odnaleść całkowity, doskonale zachowany okaz, który wysłanej specjalnie wyprawie naukowej ze znacznym trudem powiodło się uwolnić z powłoki lodowej i przewieść częściami do akademji petersburskiej.

Miejsce, na którem znaleziono owego mamuta, leży na wyniosłym brzegu Berezówki, na wysokości kilkudziesięciu metrów nad obecnym poziomem wody. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zwierzę, pasące się na łące, niebacznie zawędrowało na stok rzeki i załamało się na dole wypłókanym ze spodu przez wodę. Upadek tak był gwałtowny, że śmierć nastąpić musiała bardzo szybko i mamut nie zdążył nawet przełknąć pokarmu, który trzymał w pysku. Połamał sobie przytem niektóre kości kończyn, prócz tego nastąpić musiały krwotoki wewnętrzne, cała bowiem jama brzuszna i piersiowa wypełnione były mnóstwem ciemnej, zakrzepłej krwi. Jednak ze zgiętej pozycji nóg przednich wnosić można, że ginące zwierzę nie dało odrazu za wygranę, że szukało przez parę chwil punktu oparcia, daremnie usiłując wydostać się z zagłębienia lodowca. skąd dopiero po ubiegu tysiącleci wydobyła je wyprawa naukowa.

Jakkolwiek cielsko mamuta znaleziono we dwa lata po jego odtajaniu, było ono jeszcze w całkiem dobrym stanie. Wprawdzie wilki i lisy ucztowały na ciele martwego olbrzyma, lecz dość względnie: zdążyły one zepsuć jedynie część skóry na głowie i grzbiecie wraz ze znajdującem się pod nią mięsem, pozostawiły jednak nietknięte prawie wszystkie kości. Uwłosienie było mocno przerzedzone; tylko na jednej z nóg pozostały w całości długie, brunatne włosy, dające pojęcie o tej wspaniałej sierści, którą ongi był porosły mamut. Szczególnie długimi były włosy na brzuchu, dochodziły tu bowiem pięćdziesięciu centymetrów. Dzięki nim mógł mamut spokojnie kłaść się na śniegu bez obawy o zimno z dołu. Z dzisiejszych zwierząt uwłosienie tego rodzaju posiada tybetański jak, podobnież mieszkaniec surowego klimatu. — Nadzwyczaj ciekawy szczegół stanowi dochowanie się w doskonałym stanie pokarmu roślinnego po części w pysku między zębami, po części w żołądku. Zebrano go starannie i oddano do zbadania naukowego, które ustaliło sposób odżywiania się mamuta.

Mamut różni się wybitnie od spokrewnionych z nim dziś żyjących słoni tem, że stopy jego były czteropalcowe, gdy te posiadają po pięć palców. Dowodzi to, że nie mógł on być bezpośrednim ich przodkiem, lecz stanowi boczne rozgałęzienie rodziny słoni, rozgałęzienie, które na nim się skończyło. Drugą właściwością stonowi olbrzymia głowa, zajmująca trzecią część długości tułowia. Olbrzymi rozwój głowy pozostaje w związku z nadzwyczaj długą trąbą i potężnymi kłami. „Kły“ mamuta, podobnież jak wszystkich słoni, nie są wcale kłami, lecz nadmiernie wybujałymi siekaczami. Nie ulega wątpliwości, iż podobnie wydłużone zęby służyły słoniom do torowania sobie drogi przez gąszcza lasów pierwotnych. Mamuty jednak, przystosowując się do warunków epoki lodowej, zmieniły obyczaje i ze zwierząt leśnych stały się stepowemi. Odtąd kły straciły swe znaczenie i wskutek nieużywania rozwinęły się do potężnych rozmiarów.

Narzędy wewnętrzne znalezionego mamuta były tak dobrze zachowane, że można było zbadać dokładnie mięśnie, nerwy, naczynia krwionośne i samą krew. Ta ostatnia z krwią słonia indyjskiego dała tak zwaną reakcję biologiczną, wskazując na bliskie pokrewieństwo między obu zwierzętami.

Przez długi czas nauka wahała się z przyznaniem, iż człowiek mógł życ współcześnie z mamutem, który, jak przypuszczano, miał zaginąć znacznie pierwej i ludzie poznali się jedynie z takimi zamrożonymi okazami, jakie dziś znajdujemy. Obecnie nikt już nie wątpi, że człowiek z epoki lodowej był współczesnym temu olbrzymiemu kosmatemu słoniowi. Co więcej, wedle podawanych przez nas danych, do wytępienia mamutów przyczyniły się nie tyle złe warunki klimatyczne, ile zaciekłe polowania, jakie na nie urządzali nasi praojcowie z dalekiej epoki lodowej. Byli oni wielkimi amatorami pieczeni mamuciej, oraz szpiku kości tych zwierząt. Łowy podobne, prowadzone zapewne nie rodzinami, lecz całymi szczepami, uzbrojonymi w najlepszą broń ówczesną, opłacały się sowicie, olbrzymie bowiem cielsko zabitego mamuta było w stanie dostarczyć żywności dla całego plemienia na długie tygodnie. — Prześladowane i tępione zawzięcie, musiały mamuty opuszczać dawne siedziby i szukać nowych, kędy nie dotarł jeszcze zajadły ich wróg dwunogi. W ten sposób znikły one z Europy środkowej, gdzie żyły jeszcze ku końcowi epoki lodowej i ustępując coraz bardziej na północ, znalazły wreszcie ostatnie schronienie na krańcach Syberji.

Niema powodu tłómaczyć zniknięcia mamutów zmianą

warunków klimatycznych lub jakiemi katastrofami. Czynnikom powyższym przypadać mogła rola drugorzędna. Przemawia za tem wiele faktów, między nimi — rodzaj pożywienia, znalezionego w żołądku mamuta z pod Berezówki. Rośliny, któremi się żywił, po dziś dzień rosną w tych miejscach, jak i przed wiekami, zaś gęste uwłosienie dostatecznie zabezpieczać go musiało od wszelkich zmian temperatury. Potężnego olbrzyma zmiótł z powierzchni ziemi człowiek, podobnież, jak to uczynił z wieloma innemi stworzeniami, które nie potrafiły stawić czoła niszczycielskiej jego działalności.

Organizacja a przesilenie.

Okres przesilenia daje się przedewszystkiem odczuć organizacji robotniczej. Jest ona najczulszym miernikiem wielkości i rozmiarów przesilenia a siła jej jest w odwrotnym do tychże stosunku. Statystyka wykazuje, że z nastaniem przesilenia zaczyna się stagnacja, zastój w życiu organizacji robotniczej. Kiedy w okresie silnej produkcji liczba członków stowarzyszeń robotniczych rośnie z dniem każdym, to z nastaniem kryzysu nietylko, że członków nie przybywa, ale liczba tychże zaczyna się zmniejszać przerażająco. Da się to zupełnie dobrze wytłómaczyć w następujący sposób:

W okresie wzmożonej produkcji poszukuje się sił roboczych — na targu pracy robotnik jest w wielkiej cenie — jest towarem gorliwie poszukiwanym. Wtedy i płaca dzienna rośnie i warunki pracy się polepszają. Przedsiębiorca i majster traktują go lepiej a robotnik ma wtedy tyle śmiałości i na tyle odwagi, aby walczyć o lepszy byt. A to naprowadza go na myśl organizacji i łączenia się wzajemnego i wiąże go poczuciem solidarności proletarjackiej.

W czasie przesilenia jednak dzień pracy nagle się zmniejsza, a z nim i płaca, groza braku roboty przeraża robotnika i dręczy go nieustannie, widmo nędzy i głodu stoi mu wciąż przed oczyma a przełożeni dają mu na każdym kroku odczuć, że rąk do pracy mają dość i zaczyna się okres szykan i brutalnego obchodzenia się z robotnikami.

A robotnik staje się wtedy potulnym i nieśmiałym, liczy się z każdem słowem, drży na myśl o jutrze i traci wszelką ochotę do walki. O ile jest uświadomionym, rozumie on, że wtedy nie wolno rozpoczynać akcji cennikowej, ani walki o krótszy dzień roboczy — że tego na co przedsiębiorcy chętnie w czasie wielkiej produkcji się zgadzają, w czas kryzysu uzyskać nie można.

Wie on, że w taki czas trzeba wszystkich sił użyć, aby zatrzymać to, co się dotąd wywalczyło. I dla tego stara się unikać wszelkich zatargów z przedsiębiorcą i nieporozumień, nie chce się narazić na niebezpieczeństwo wyrzucenia go z roboty i przestaje agitować za swą organizacją, nie zdobywa dla niej członków i zaniedbuje tę pracę, której nigdy zaniedbać nie wolno. Przeto też upada organizacja skutkiem tego, że nowi członkowie nie przybywają — a starzy albo idą w świat szukać zarobku — albo porzucają swój zawód i występują ze stowarzyszenia. W takich chwilach muszą funkcjonarjusze stowarzyszeń robotniczych podtrzymywać ducha w upadłych i zwątpiałych, powinni dodawać im odwagi i jest to ich najświętszym obowiązkiem. Powinni wtedy na zebraniach i posiedzeniach wzywać wszystkich do wytrwania, do licznego brania udziału w zgromadzeniach, powinni wykazać im i pouczyć ich, że każde przesilenie jest tylko przejściowem i że lepsze czasy wnet nastać muszą. A robotnikowi wtedy najbardziej uwidocznia się znaczenie organizacji i jasnem mu się staje całe jej zadanie. Chwile nędzy i niedoli każą mu się zastanowić nad swem położeniem i czuje on, że nikt za nim nie stanie, nikt się nie ujmie jego krzywdy — tylko jedynie organizacja robotnicza.

To należy robotnikowi przedstawić w okresie przesilenia, trzeba mu wykazać korzyści organizacji, jej zdobycze i świadczenia — wogóle całokształt jej działalności dla klasy robotniczej.

Trzeba mu w chwili niedoli przypomnieć, że jutro zajaśnieje nowe słońce, że i dla niego nastaną czasy lepsze, że rozpaczać i załamywać ręce może tylko niewolnik podły. Świat i przyszłość cała należą do wolnych i śmiałych.

Rozmaitości

Na 120 miljonów koni parowych obliczają siłę czynnych maszyn parowych na całej kuli ziemskiej, wliczając w to również maszyny okrętowe i lokomotywy. Do utrzymania ruchu maszyn przez 300 dni w roku, po 10 godzin dziennie, potrzeba 7200 miljonów ton paliwa, co odpowiada wartości przeszło 5 miljardów marek. Obliczając tę ilość paliwa wyłącznie na węgiel, potrzeba go dziennie 120000 wagonów, co się równa 36 miljonom wagonów węgla rocznie. Gdybyśmy tę ilość wagonów ustawili naraz jeden za drugim, to utworzylibyśmi pociąg na 400000 km. długi, t. j. wystarczający na dziesięciokrotne opasanie kuli ziemskiej.

Oto jakie zmiany po 100 latach wywołał na całym świecie, jeden tylko wynalazek maszyny parowej! Wiek nowy, ze swemi zdumiewającymi wynalazkami, którymi ujarzmia się elektryczność na usługi człowieka, wywoła jeszcze szybsze i potężniejsze zmiany wśród społeczeństw.

* * *

Najstarszy człowiek na świecie. Do Mińska przyjechał A. Szmidt, który się urodził w r. 1771, ma zatem obecnie 137 lat. Urodził się w Szawlach na Litwie, brał udział w słynnej alpejskiej wyprawie Suwarowa. Żona Szmitda umarła 70 lat temu. Szmidt jest dotąd zupełnie zdrowym i krzepkim człowiekiem, aczkolwiek nie ma zębów zupełnie, jest siwym jak gołąb i gęste zmarszczki zorały mu twarz. Wzrok, słuch i pamięć dotąd mu dopisują. Jeżeli starzec kiedy skarży się na co, to jedynie na bóle w ongi zranionej nodze.

* * *

W jakich dniach tygodnia odbywa się najwięcej aresztowań z powodu pijaństwa? Z góry już przypuszczać można, że największa ilość wypadków nagłych oraz wykroczeń i objawów zdziczenia spotyka się w dniach około świątecznych, gdzie też najwięcej pijaństwo święci tryumfów i gdzie najliczniejsze wypadki aresztowań zdarzać się muszą. Statystyka stwierdza to dowodnie. Tak np. w Wiedniu w roku 1898 w dzielnicy Landstrasse na 302 aresztowań z powodu wykroczeń i zaburzeń nocnego spokoju z przyczyny opilstwa, główna ilość przypadała na czas od soboty po południu do poniedziałku rano, w dzielnicy Favoriten w pierwszej połowie roku 1890, na 288 aresztowań z powodu wykroczeń i zaburzeń nocnego spokoju z przyczyny opilstwa wypadało 132 wypadków na niedzielę, 28 na sobotę. W Liverpoolu wedle zestawienia z roku 1903 przypada na 7340 wypadków aresztowania z powodu opilstwa, na sobotę 2317 — 31,6 proc., na poniedziałek 1303 — 18 proc., na wtorek 870 — 11,7 proc., na środę 851 — 11,6 proc., na piątek 766 — 10,4 proc., zaś na niedzielę 495 — 6,7 proc. Surowo przestrzegany spoczynek niedzielny w Anglji, w którym to czasie wszystkie szynki i restauracje zamknięte być muszą, wyjaśnia dostatecznie niską cyfrę aresztowań w niedzielę, podczas gdy w sobotę, dniu wypłaty, gdzie alkohol szczególniej poszukiwany bywa, ilość aresztowań osiąga cyfrę taką, jak 3 dni dalsze, od wtorku do czwartku razem wzięte. Poniedziałek, gdzie jeszcze pozostało tyle pieniędzy, aby sobie niedzielną wstrzemięźliwość powetować, okazuje wzrost drugorzędny cyfry aresztowań, natomiast w innych dniach tygodnia w miarę uszczuplania się zasobów pieniężnych maleje stopniowo ilość wykroczeń aż do piątku.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 44. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 31 października 1908.

BOLESŁAW CZERWIENSKI.

Na pobojowisku.

Ustała bitwa... Umilkły armaty,
Dym wzbił się w górę, wróg pierzchnął [w nieładzie,
Sława, odziana w krwi ciepłej szkarłaty,
Na bohaterów czoła laury kładzie,
A z tysiąc piersi okrzyk w niebo bije:
„Zwycięstwo nasze! — Hura! — Król niech żyje!“

Tysiące trupów i rannych tysiące
Wśród szczątków broni leży na poboju...
Błękit bez chmurki — na niebiosach słońce
W majestatycznym spogląda spokoju —
Wiosenny wietrzyk wieje od zachodu,
Pełen zapachu żywicy i chłodu.

Cisza... Czasami cichy jęk, stłumiony,
Doleci — skrzypną ambulansów koła,
Zabrzęknie bronią patrol oddalony,
I znowu cisza panuje dokoła...
Tylko słowika, co w pobliskim lesie
Skrył się przed bitwą — wiatr piosenkę niesie...

Słońca promienie, wietrzyk, śpiew słowika,
Swiatła, zapachów i tonów kaskada
Łączy się z sobą — pochwyca — przenika —
I na ściernisko krwawe śmierci pada...
Wobec tych trupów, tych rannych — mój Boże!
Jak wietrzyk śmiać się — słowik śpiewać może?...

Pod nikłym krzakiem wśród trupów gromady
Obok lawety młody żołnierz leży —
Oczy otwarte ma — smiertelnie blady —
Wielkie, czerwone plamy na odzieży...
Z piersi mu struga purpurowa płynie,
Po trawie sączy się — i w ziemi ginie...

Przycichłym głosem ranny jęknął: „Matko!“
„O matko moja! — Wzięli mię od ciebie!
„Jak ty przed pustą płakać będziesz chatką,
„Gdy o mym krwawym dowiesz się pogrzebie
„I siwe włoski targać będziesz z głowy...“
Wtem silniej wietrzyk zaszumiał majowy.

„Kto Zosi kwiatki co rana przyniesie?
„Kto wieczór piosnkę do snu jej zanuci?
„Upiór mój chyba usiadłszy na strzesie
„Skon mój objawi i spokój zakłóci —
„I wróci znowu spocząć pod mogiłą...“
Na niebie słońce silniej zaświeciło.

„O Boże! Czemuż mi każesz umierać?
„Niech jeszcze matkę, kochankę popieszczę!
„Jam siał dopiero — owoce daj zbierać!
„Jeszczem tak młody! O, pozwól żyć jeszcze,
„A będę imię twe chwalił radośnie!“
W odpowiedź słowik zakwilił rozgłośnie,

Tchu mu zabrakło — opadła mu głowa —
Jęknął: „Ratujcie! Kropelkę choć wody.“
Bez echa w polu przebrzmiały te słowa —
I skonał, szepcąc: „Jam jeszcze tak młody!..“
A w dali okrzyk z tysiąc piersi bije:
„Zwycięstwo nasze! — Hura! — Król niech żyje...“

Zdrajca.

(Z niemieckiego).

— Kroć sto tysięcy djabłów!

Z temi słowi, które zostały mu jako spuścizna z czasów wojskowych, wstąpił stary Werner, siedemdziesięcioletni staruszek i portjer firmy Stiegel do pokoju. Rzucił kapelusz na łóżko i usiadł na ławeczce koło pieca.

— Czterdzieści lat służę wiernie mojemu panu, ale coś podobnego jeszcze świat nie widział. Strejkować, u mojego pana strejkować! Tegom jeszcze musiał dożyć!

— Tak, tak, czasy się zmieniły, wtrącił syn jego siedzący przy stole.

Stary drgnął ze złości i podskoczył w górę.

— Od wszystkich innych byłbym to jeszcze zniósł; ale że i ty, maszynista fabryki, porzuciłeś pracę, to wnie do grobu zapędzi. Czy zasłużyłem na to z twojej strony? Mnie masz do zawdzięczenia, że jesteś dziś dobrze płaconym robotnikiem, ale jeszcze więcej naszemu panu. Czy to nie on umożliwił ci zdanie egzaminu? A ty teraz w ten sposób odwdzięczasz się za wszystkie dobrodziejstwa, które dla nas uczynił, co?

— Ja sobie moją płacę musiałem ciężko zapracować, nikt mi nic nie podarował. A zresztą ja nie mogę przecież zostać w pracy, jeżeli wszyscy inni odejdą.

Zapalił sobie papierosa i unikał spojrzeć ojcu w oczy.

— Wszyscy inni! A cóż ciebie wszyscy inni obchodzą? Czyż oni postarają ci się o posadę, jeżeli cię nasz stary pan nazad nie przyjmie?

— Oni za tem obstaną, że mnie nazad przyjąć musi!

Stary zaśmiał się ochrypłym głosem.

— Czy ty naprawdę myślisz, że ta biedna zgłodniała hołota potrafi od naszego pana, który posiada sto miljonów, coś wymusić?

Ojciec usiadł przy boku syna.

— Patrz, Antoś — mówił ojciec pochlebiająco — stary nasz pan był wieczorem sam u mnie i powiedział, że on uznaje, iż twoja płaca nie odpowiada twej pracy i że jest gotów tę płacę na 50 koron tygodniowo podwyższyć, słuchaj, 50 koron tygodniowo.

Tutaj stary zrobił pauzę i zdaje się czekał na wrażenie, jakie słowa jego wywarły na syna.

— Pięćdziesiąt koron? Czy też to prawda, ojcze? — zapytał Antoś z niepokojem.

— Czy słyszałeś już kiedy z moich ust nieprawdę? Tu masz, jeżeli niechcesz w to wierzyć, twoją zapłatę za pierwszy tydzień.

Wyjął z kieszeni banknot pięćdziesięciokoronowy i położył na stole niedowierzającemu synowi.

Na chwilę wlepił wzrok w gładki kolorowany papier. Jego kościste palce drżały gorączkowo, kiedy wyciągnął rękę, ażeby go wziąść, zbladł jak ściana i trwożliwie patrzał w rozpromienioną i pomarszczoną twarz ojca.

— A więc jutro o 5 godzinie rano?

— Tak, jutro o 5 godzinie rano — odparł cichym głosem maszynista i poszedł do swej komórki,

* * *

Ciemność otaczała olbrzymie zabudowania fabryki. Niebo zasłoniło się czarnemi masami mgły, z której drobny deszcz padał, a przez ulice wiał ostry wiatr północny. W małych chatkach robotniczych, które otaczały fabrykę, panował głęboki spokój, mieszkańcy tych chatek spoczywali jeszcze w objęciach snu, tylko tu i ówdzie zaskrzypiały drzwi i ciemna postać przybiegła przez ulicę i przyłączyła się do stojących przed bramą fabryki na posterunku strejkowym. — Mężczyźni stojący tutaj drżeli od zimna, przemokłe ubrania ciążyły jak ołów na ich wychudłych kościstych postaciach. Z nogi na nogę przestępując, otrząsali się od czasu do czasu jak mokry pudel, pomimo tego pozostali dalej na swym posterunku.

Kiedy zegar na wieży zwiastował piątą godzinę, przybliżyły się do budynku fabrycznego dwie postacie.

— Dokąd? — spytał jeden ze stojących na posterunku.

— Do fabryki — brzmiała krótka odpowiedź.

— To jest stary Werner, ten może pójść — wmięszał się inny.

— Kto jest ten drugi?

— Mój syn.

— Coooo?

— Cóż tu jest do dziwienia się? On jest maszynistą i ma swój obowiązek spełnić. A teraz zróbcie miejsce?

— Co, ty chcesz się stać łamistrejkiem? A wiesz ty co ty czynisz? Ty chcesz stać się zdrajcą wszystkich robotników?

Te pytania ze wszystkich stron dolatywały do niego? Na chwilę stał niezdecydowany przed bramą, którą stary otworzył.

— Chodź — krzyknął stary na niego.

Zawiasy zaskrzypiały, a ojciec i syn znikli w czarnej przepaści.

— Psie przeklęty! — krzyknęli za bramą stojący i splunęli ze wzgardą na twardy gościniec.

* * *

— Młody Werner stał się łamistrejkiem?

Te słowa lotem błyskawicy poszły od domu do domu, od pokoju do pokoju, od ust do ust. Ulewny deszcz nie powstrzymał wielkich mas robotników, którzy zebrali się w południe przed bramą fabryki. — Brama otwarła się, a Werner pod osłoną dwóch żandarmów wyszedł na ulicę. Ze spuszczoną głową, blady jak ściana kroczył, drżąc na całem ciele przez krzyczącą masę. Spuścił wzroz i wlókł się ledwie do swej chatki.

— Nie rób sobie z tego nic Antosiu, ci ludzie nie umieją inaczej postępować — pocieszał go ojciec, kiedy syn stękając rzucił się na krzesło.

— Có? Ty mówisz, że oni nie umieją inaczej postępować? — wrzasnął maszynista. — Oni bardzo dobrze wiedzą, że ja jestem zdrajcą i wstrętną kreaturą. Ale oni nie mogą wiedzieć, że ty, mój własny ojciec, doprowadziłeś mnie do tego!

— Antoś ty odważasz się mi to powiedzieć!

— Tak! Tu masz twoją zapłatę judaszowską, za którą sprzedałeś honor twego syna.

To mówiąc rzucił ojcu pod nogi ów banknot pięćdziesiątkoronowy i opuścił pokój i chatę — od tego czasu nikt go więcej w tej miejscowości nie widział.

Karta z dziejów kultury.

Już bardzo duwno zauważono, że pewien dziki szczep ludzki, w porze dojrzewania dziko rosnących roślin, zbierał ich płody, zostawiając kilka okazów tej rośliny na zasianie się. Nadto w porze letniej podpalali liście i łodygi roślin, ażeby w ten sposób użyźnić grunt i otrzymać lepsze zbiory. Prawdopodobnie w ten sposób powstała uprawa zbóż.

Przez czas długi prowadził człowiek rolnictwo koczownicze. Za pomocą ognia wypalał pewną przestrzeń lasu, poruszał motyką wierzchni pokład i rzucał nasiona, a kiedy po paru latach grunt przestał rodzić, obierał sobie inne pola pod uprawę i przenosił chatę na nową siedzibę.

Pierwotnie uprawą roli zajmowały się wyłącznie kobiety.

Dopiero wynalezienie sochy (pługa) i zaprzężenie doń zwierzęcia ustaliły rolnictwo na dobre i zmusiły mężczyznę do uprawy ziemi. Nie ze względów jednak uczuciowych oswobodził mężczyzna kobietę od tego ciężaru, lecz uważał, że nie jest ona godną dotknięcia się świętego wołu, który ciągnął sochę.

Każda nowa umiejętność zwiększała panowanie człowieka nad przyrodą i zachęcała go do dalszych wysiłków. Nieraz znajdowano to, czego nie szukano. N. p. spostrzeżono, że koszyk oblepiony gliną nie przepuszcza wody. Postawiono go na ogniu, aby wodę ugotować i chociaż koszyk spalił się do szczętu, glina się nie rozpadła, lecz mogła służyć jeszcze nieraz do gotowania. Stąd powstało garncarstwo.

W miarę zdobywania wiedzy, rosły potrzeby człowieka. Z dzikiego niemal stada, ludzie zaczęli się przekształcać na dzisiejszą społeczność.

Niezmiernie ważny moment w dziejach ludzkości stanowi znajomość ognia. Prawdopodobnie ujarzmiono go również z żywiołu natury, jakoteż przy pomocy tarcia dwóch kawałków drzewa suchego, lub kamieni zdobywano iskrę, którą wciąż podniecano i utrzymywano ogniska. Znajomość ognia szczególnie ważną odegrała rolę w życiu kobiety. Mając bowiem możność ugotowania pokarmów, kobieta nie była zmuszoną do karmienia własną piersią dzieci przez pierwsze parę lat życia, co zmniejszyło dzieciobójstwo, które się wytworzyło wskutek niemożliwości wyżywienia niemowląt. Ugotowane pokarmy wpływały również na uszlachetnienie wyrazu twarzy ludzkiej. Działo się to w ten sposób: mięśnie twarzy podczas spożywania pokarmów pieczonych, czy też gotowanych, nie potrzebowały wykonywać tak silnej pracy, jak to było przy żywieniu się surowymi produktami, wskutek tego malały i zmieniały wyraz oblicza ludzkiego.

Dorobek materjalny, mnożąc się w liczbie i jakości, z biegiem czasu zniósł koczownictwo i przykuł człowieka do ziemi. Tak też i dzisiaj się dzieje, że w miarę wzrostu naszego dobrobytu materjalnego (maszyn, środków przewozu itd.) życie codziennie, a z niem i stosunki społeczne zwolna się przekształcają.

Rozpatrując początki życia gromadnego wśród rodzaju ludzkiego, musimy dojść do przekonania, iż są one pokrewne z takiemż życiem wyższych zwierząt-ssaków.

Uczeni twierdzą, iż społeczeństwo ludzkie wyłoniło się ze stada. Na tę myśl naprowadziły ich spostrzeżenia nad życiem zwierząt roślino-żerczych. N. p. dzikie konie żyją tabunami, składającemi się z paruset sztuk. Większy tabun pospolicie rozpada się na mniejsze gromady, a na czele każdej znajduje się ogier. Zazdrosnem okiem spogląda on na dorastających współzawodników i wygania ich z tabunu.. Ci wabią do siebie klacze i tworzą nową gromadę.

To oddzielenie młodego pokolenia męskiego od gro-

mady, istnieje też u ludów pierwotnych. Jeszcze i dzisiaj niektóre dzikie ludy amerykańskie lub australskie mają porę parzenia się, tak samo, jak jeleń, łoś, antylopa i inne zwierzęta.

Przesuwając karty zamierzchłej przeszłości, rzućmy okiem w przyszłość.

Kto wie, czy przeniesieni w przyszłe wieki, nie spoglądalibyśmy na wiele odkryć ówczesnych z tym samym podziwem, z jakim dzikus patrzy na wytwory naszej cywilizacji. Kto wie, co człowiekowi przyniesie daleka przyszłość!

Uczeni przedstawiają nam w przyszłości ziemię naszą powiązaną kolejami, opasaną siecią drutów telegraficznych i telefonicznych. Opału i światła dostarcza elektryczność! Na całym globie ziemskim powinien nastąpić podział pracy, stosownie do miejscowych warunków, t. j. w miejscach obfitujących w rudę żelazną powstaną huty, w krajach gdzie produkują bawełnę — warsztaty tkackie i przędzalnie. W miarę postępu cywilizacji, wzajemna zależność ludzi musi się zmniejszyć.

Dziki, będący na łasce natury, prowadzi życie nędzne, troska wyżywienia siebie i rodziny pochłania mu całe życie. Wobec szczupłości darów natury jedni ludzie zaprzęgli w jarzmo drugich, ażeby zaspokoić potrzeby swoje i stąd powstało niewolnictwo, a w czasach późniejszych pańszczyzna.

Obecnie maszyny zastąpiły posłusznych niewolników. W przyszłości rozwój postąpi może tak daleko, że parę godzin pracy dziennej wystarczą na zaspokojenie potrzeb codziennych, reszta zaś czasu zostanie obróconą na kształcenie się i obowiązki społeczne.

Zabiegliśmy myślą w przyszłość jasną, która za cenę tylu ofiar i nędzy zwolna się wytwarza i wciela w życie.

Ludność, postępując naprzód, różnemi kroczyła drogami i do rozmaitych doszła wyników. Jedne ludy, wskutek ciężkich warunków, pozostały w pierwotnem pasterstwie, a nawet w stanie dzikim.

Nie potrzebujemy nawet sięgać tak daleko, gdyż i dokoła naszych cywilizowanych społeczeństw istnieje jeszcze często ciemnota i zastój!

Cywilizacja nasza jest jak pasmo gór: szczyty kąpią się w promieniach słońca, w dole zalega mrok...

Droga daleka oddziela nas od progów tej jasnej przyszłości, daleka i ciężka, potrzebująca siłaczy i siłaczek, ktoryby pracowali nad jej utorowaniem.

Cholera.

Cholera obchodzi w roku bieżącym jubileusz swego „zdemaskowania“ przez sławnego bakterjologa niemieckiego Kocha. Właśnie upływa 25 lat od czasu, w którym udało się temu uczonemu odkryć złośliwe „prątki choleryczne“, jedynych sprawców strasznej choroby. I oto w roku swym jubileuszowym pani cholera opuściła mroki głębokiej Azji, gdzie ma swą stałą rezydencję, i, jak się zdaje, ma szczery zamiar przejechać się nieco po Europie. Miejmy nadzieję, że skończy się tylko na jej dobrych chęciach.

„Prątek choleryczny“, jak już sama nazwa wskazuje, ma kształt przecinka, który jednak u starszych osobników zanika i staje się bardziej zbliżonym do kuli. Długość jego wynosi trochę ponad jedną tysiączną część milimetra, a szerokość jego jest cztery razy mniejsza. Jest więc tak małym, że nie można go wcale dostrzec wolnem okiem, co bardzo utrudniało jego badanie. Dopiero od czasu udoskonalenia mikroskopu, gdy badania bakterjologiczne postąpiły znacznie naprzód, można też było i prątki choleryczne poddać ściślejszym obserwacjom. Bakrerje choleryczne są opatrzone rzęską czyli długim, nitkowatym ogonkiem, który służy im do poruszania się. Niektóre osobniki mają nawet po kilka takich ogonków. Za pomocą rzęsek tych bakterje choleryczne mogą pływać tak prędko w kropelce wody, że wyglądają w niej jak rój muszek.

Najchętniej rozwijają się one w jelitach człowieka, ponieważ temperatura, która panuje w ciele ludzkiem, najbardziej im odpowiada. Prątki choleryczne nie posiadają wielkiej odporności na wpływy zewnętrzne. Nie mogą np. żyć bez wody, a umieszczone w suchem miejscu giną w przeciągu 2 do 3 godzin. Jest to okoliczność bardzo ważna i bardzo dla człowieka korzystna. Gdy mianowicie przy innych epidemjach największe niebezpieczeństwo zarażenia się występuje w postaci pyłu bakterjonośnego, to przy cholerze niebezpieczeństwo takie wcale nie zagraża, albo przynajmniej w bardzo małym stopniu. W temperaturze 100° giną bakterje choleryczne natychmiast, a w temperaturze 80° po upływie 5 minut. Są przytem bardzo wrażliwe na wszelkie kwasy, szczególnie karbolowy, a jeszcze więcej na roztwór sublimatu. W wodzie destylowanej giną w przeciągu 24 godzin, z powodu braku powietrza, a i w płynącej wodzie nie może żyć dłużej jak kilka dni. W wodzie jednak zwyczajnej można jeszcze po upływie kilka miesięcy wykazać ich obecność. Wogóle jednak bakterje te żyją stosunkowo krótko, tak że nawet w wydzielinach chorego na cholerę nie znajdują się dłużej jak 3 dni. Obecność ich w środkach żywności, zależy od natury tychże. Jeżeli środki spożywcze przechowywane są w stanie suchym i mają charakter kwaśny, wówczas nie stanowią dla bakterji cholerycznych odpowiedniego środowiska. Godnem uwagi jest, że w mleku sterylizowanem żyją one o wiele dłużej niż w takiem, w którem znajdują się jeszcze inne bakterje.

Prątek choleryczny dostaje się do organizmu ludzkiego przez usta, a miejscem jego rozwoju jest wyłącznie jelito cienkie.

Stwierdzono niewątpliwie, że zakażenie nie może nastąpić zapomocą wdechania, ani też zapomocą rany. Nie może się też bakcyl choleryczny żadną miarą rozwijać poza organizmem ludzkim, a zakażenie może nastąpić głównie za pośrednictwem wydzielin chorego, lub środkami spożywczymi (w pierwszym rzędzie wodą), temi wydzielinami zanieczyszczonymi.

Z powyższego przedstawienia rzeczy można łatwo zrozumieć, jakich należy użyć środków, celem ochrony przed cholerą. Są jednostki, które zupełnie nie są wrażliwe na zakażenie bakcylem cholerycznym. Jest to zjawisko ogólnie znane w przyrodzie pod nazwą „odporności“. Człowiek jest odpornym wobec rozmaitych chorób zwierzęcych, jak cholera kurza, dżuma bydlęca i inne, zwierzęta na odwrót, z wyjątkiem małp nie przyjmują zarazka syfilitycznego, murzyni jak wiadomo nie podlegają żółtej febrze, która dziesiątkuje europejczyków, zamieszkałych w okolicach międzyzwrotnikowych. Co do zarazka cholerycznego, stwierdzono, że może on się znajdować w niektórych organizmach ludzkich, nie przynosząc im żadnej szkody, skoro się jednak za pośrednictwem wydzielin dostanie się do innego organizmu, powoduje w nim chorobę. Znaczy to innemi słowy, że niektórzy ludzie są wobec cholery odporni, inni odporności tej nie posiadają. Do tych ostatnich należą w największej ilości wypadków ludzie źle odżywiani i chorowici, a więc ubogie warstwy ludności. Cholera jest chorobą proletarjatu par excelence, rozwija się bowiem w zastraszający sposób tam, gdzie ludność z powodu nędzy nie może się odżywiać odpowiednio, gdzie nie może zastosować tych wszystkich środków czystości i hygjeny, które na wypadek pojawienia się choroby konieczne są dla jej zwalczania.

Jeżeli mówimy o środkach przeciw cholerycznych, to nie mamy tu zazwyczaj na myśli środków leczniczych podczas samej choroby, ale środki profilaktyczne, zapobiegawcze. Najlepszym z tych środków jest, jak już wyżej wspomnieliśmy, pedantyczna czystość, szczególnie w zastosowaniu do środków żywności, i odpowiednie odżywianie się. Ponieważ cholerze łatwiej ulegają ludzie, skłonni do zaburzeń przewodu pokarmowego, przeto należy baczną zwrócić uwagę na wszelkie katary żołądka i kiszek, oraz na wszelkie zmiany w procesie trawienia. Ponieważ prątki choleryczne najłatwiej przenoszą się za pośrednictwem płynów, przeto w czasach grożącej epidemji cholerycznej, należy się pilnie wystrzegać nadużywania tychże, szczególnie naczczo, ponieważ właśnie wówczas żołądek mało wydziela kwasu solnego, zabójczego dla bakterji.

Epidemje choleryczne zazwyczaj najgroźniej występują ku końcowi lata. Okoliczność ta tłómaczy się tem, że wówczas to podczas panujących upałów, ludność zbyt niebacznie używa wody do picia, nie przebierając w jej jakości, tem, że obfitość wielka owoców w tym czasie daje często powód do błędów dyetetycznych, powodujących zaburze-

nia żołądkowe. Nie trzeba przez to rozumieć, jakoby owoce były szkodliwe same w sobie, nadużywanie ich jednak lub spożywanie ich, w stanie niedojrzałym, jak to się często dzieje na wsi, szczególnie pomiędzy dziećmi, może pociągnąć za sobą niepożądane skutki. Co do używania do picia wody przegotowanej w czasach cholerycznych, to oczywiście nie można mieć nic przeciw temu, ponieważ woda przegotowana, podobnie jak destylowana, będąc zupełnie nieodpowiedniem podłożem dla rozwoju prątków cholerycznych może być w danym wypadku znakomitym środkiem ochrony przeciw chorobie. Srodek ten jednak nie jest koniecznym tam, gdzie woda do picia nie pochodzi ze studzien, ale z publicznych wodociągów, pozostających pod nadzorem czynników miarodajnych.

Nakoniec podnieść należy, że wszelka przesada jak wszędzie, tak i w tym wypadku zgubny tylko wpływ wywrzeć może na organizm ludzki, czyniąc go podatniejszym do przyjęcia wszelkich zarodków chorobowych, a więc i cholerycznych. Umiarkowanie, idące w parze z czystością, będzie zawsze rękojmią zdrowia a więc i odporności.

Co do obaw zawleczenia cholery z okolic nawiedzonych epidemją, to przy obecnym stanie nauki nie powinno grozić żadne niebezpieczeństwo. Nauka ma w ręku niechybną broń przeciw zarazie cholery, a jest nią izolacja chorych lub podejrzanych i natychmiastowe niemal stwierdzenie choroby zapomocą zbadania mikroskopowego wydzielin. Zastosowanie tych środków, jakoteż wydanie odpowiednich rozporządzeń celem zapobieżenia rozszerzaniu się choroby i zabezpieczenia mieszkańców, przez obowiązkową dezynfekcję, jest już jednak rzeczą władz odnośnych, a nie pojedyńczego człowieka. Chcemy wierzyć, że z tej strony przedsięwzięto u nas wszystko, aby niebezpieczeństwo odsunąć.

„Głos".

Rozmaitości

Najście szarańczy w Afryce. Rok 1908 zaznaczył się przez kilka najść szarańczy, które przyczyniły poważnych krzywd Algierowi i Tunisowi. Już w roku zeszłym owady w dość znacznych ilościach ukazały się na południu, lecz zatrzymały się na płasko-wzgórzach. W roku jednak obecnym szarańcza poszła dalej i literalnie zalała Algier i Tunis. Oto gazeta oficjalna tuniska już w początkach czerwca komunikowała, że przeszło 6000 hektarów pokrytych zostało przez szarańczę.

Owady przyleciały z pustyni tak ogromnemi chmurami, że całkowicie zasłoniły światło słoneczne; tam, gdzie osiadły, pokryły ziemię żółtym dywanem tak gęstym, że pociągi stawały w drodze, nie mogąc przebrnąć przez zaporę. W tym stanie robią one względnie jeszcze niewielkie krzywdy, gdyż mało jedzą i nie przenoszą się z miejsca na miejsce, zajmując się głównie znoszeniem jajek. Lecz skoro po 40 (mniej więcej) dniach z jajek wyklują się owady bezskrzydłe, zaczynają one niszczyć wszystko naokół. Poruszając sie z miejsca na miejsce z niezmierną szybkością, dla zaspokojenia głodu zjadają w drodze wszystko: liście, gałąski a nawet młode drzewka.

Owady te suną zazwyczaj masami, tworząc jakby armję, która pełznie po powierzchni ziemi na przestrzeni kilku kilometrów szerokości i kilku — długości. Używany przeciwko nim powszechnie sposób nosi miano cypryjskiego, ponieważ rozpowszechnił się z Cypru. Polega on na tem, że posuwającej się naprzód kawalkacie szarańczy stawiają barykady z woskowanej materji. Owady nie mogą barykady tej przejść, ponieważ stale ześlizgują się ze śliskiej powierzchni. Wówczas cała masa zaczyna zdążać wzdłuż barykady, pragnąc ja obejść. Tutaj jednak napotykają na cały szereg specjalnie wykopanych dołów, gdzie zabijają je bądź bezpośrednio bądź lejąc w jamy gryzące płyny.

Taki był dotychczasowy klasyczny sposób tępienia szarańczy. Widzimy jednak, że był to sposób dość utrudniony, ponieważ barykady musiały się ciągnąć na znacznej przestrzeni. Obecnie też jeden z kolonistów w Algierze, nazwiskiem Ortel, wynalazł sposób znacznie dogodniejszy. Oto zaobserwował on, że owady wybierają zazwyczaj drogę najmniejszego oporu, nigdy nie wchodzą pod górę, a najchętniej schodzą w dół, i że z dwu kierunków wybierają ten, który pozwala im spuszczać się na dół. Korzystając z tych obserwacji, p. Ortel zastosował następujący sposób: Miejsce, na którem szarańcza złożyła jajka, okopuje się całą siecią schodów, między któremi znajdują się głębokie rowy. Młode owady, gdy zaczynają się poruszać, instynktownie obierają drogę w schodach i wpadają olbrzymiemi masami w jamy, gdzie giną. Doskonałym w danym razie na nie środkiem jest roztwór fenolu 3 na 10. W ten sposób w roku bieżącym udało się wytrzebić w Tunisie szarańczę co do ostatniej sztuki.

* * *

Nowe badania o słońcu. Słońce nasze ciągle jeszcze jest zagadką dla uczonych, a rozwiązanie jej zdaje się nie tak prędko jeszcze nastąpi. Do niewyjaśnionych zjawisk, które na słońcu obserwować można, należą między innemi t. zw. plamy na słońcu, których istoty dotychczas nie udało się stwierdzić. Długo też nie można było obliczyć chyżości obrotowej słońca i do niedawna jeszcze panowały na tem polu znaczne różnice zdań. Obecnie uczyniono nieoczekiwane odkrycie, że słońce niezawsze z jednakową chyżością obraca się naokoło swej osi. Ruch wirowy jego czasami jest szybszy, czasami powolniejszy. Stwierdził to z wszelką dokładnością niemiecki astronom Scheller, który przez długie lata w tym kierunku pracował i zauważył, że przed dziesięciu laty słońce obracało się o wiele szybciej niż obecnie. Ma to związek nie tylko z zjawiskiem plam słonecznych, ale także z odchyleniem osi ziemskiej. W czasie, gdy słońce obraca się najpowolniej, odchylenie osi ziemskiej było największe, a i plamy na słońcu wówczas występowały najobficiej. Związek przyczynowy między temi zjawiskami, będzie jeszcze musiał być bliżej zbadany.

Z literatury i sztuki

Nr. 10 (na październik) **„Przewodnika zdrowia"** (Czarnowski Berlin Weissenburgerstr. 27) wyszedł i zawiera:

Treść: Odwar strączyn szablaku (fasoli) jako znakomity środek lekarski. — Gimnastyka wyprężna i ćwiczenia w głębokiem oddychaniu. — Strzykawka odbytowa. — Matki, karmcie dzieciny wasze własną piersią! — Przestrogi i rady. — Rozmaitości. — Piśmiennictwo.

* * *

Szwajcarja w obrazkach. Z dniem 1-go grudnia r. b. zacznie wychodzić w Zurychu dwutygodnik ilustrowany w zeszytach pod tytułem „Szwajcarja w obrazkach" w języku polskim. Adres wydawnictwa: Zurych IV, Ottikerstrasse 14.

Kącik humorystyczny.

Dlaczego jest Mojżesz największym z ludzi?

W jednej amerykańskiej szkółce żydowskiej zdarzyła się niedawno pocieszna historja. Nauczycielka pytała chłopców:

— Kto jest największym z ludzi?

— Mojżesz — odowiedziano jej chóralnie.

— Dobrze. A dlaczego Mojżesz? — pytała nauczycielka dalej.

Na to nie otrzymała odpowiedzi. Jedynie najdrobniejszy z małych podnosi swą rączkę w górę.

— Ja wiem, dlaczego — woła.

— A więc powiedz.

— Ponieważ złamał naraz wszystkich 10 przykazań — brzmiała tryumfująca odpowiedź chłopca.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 45. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 7 listopada 1908.

ANTONI LANGE.

Kołysanka.

(Z pieśni o nędzy).

I.

Śpij, moje dziecię! Sen daje ciszę,
Sen troski życia z duszy wypędza;
Lecz ja do innych snów cię kołyszę —
Ja twa piastunka, matka twa — Nędza,
Ja czuwam wiecznie nad twym snem.

Jam cię znalazła nad nędznym ściekiem,
Jam cię w łachmany swe ogarnęła,
Karmiła swojem zatrutem mlekiem,
Jad swojej piersi w pierś ci zionęła
Uścisków mych mogilnym tchem.

Więc ja ci nie dam rojeń wiosennych,
Lecz dam ci hańby widziadła czarne,
Gdzie ujrzysz w grozie mroków bezdennych
Twego żywota wieszczby cmentarne —
Więc śpij, wybrańcze, synu mój!

Śpij, w mą zgrzytliwą wsłuchany pieśnię,
Bo pójdziesz wcześnie — może zawcześnie —
Na bój bez armat i bez kartaczy,
Bój bez doboszów i bez trębaczy —
Z głodem na bój!

II.

Jam ci okryła dziecięce łono
Mego wybraństwa wieczystym kirem;
Skroń ci obleję łzą potu słoną
I kaleczącym usypię żwirem
Czarniejsze twe od nocy dni!

Żadna tak matka, jak ja, nie kocha!
Słuchaj, ja zawsze będę przy tobie:
Kościstą ręką ujmę pieszczocha,
Zimnym oddechem utulę w grobie —
Nie ujdziesz mi! nie ujdziesz mi!

Nie ujdziesz ramion mych ołowianych,
Próżne twe młoty, próżne oskardy,
Ja nie opuszczam moich wybranych;
Wszędzie dosięga uścisk mój twardy,
W snach i na jawie, synu mój!

Więc ja cię wcześnie tęczą nie złudzę,
I nim noc minie, ja cię przebudzę —
Na bój bez armat i bez kartaczy,
Bój bez doboszów i bez trębaczy —
Z głodem na bój!

III.

Nie będą tobie śpiewać słowiki,
Ni gaj zielenią świeżą zaszumi —
Ty słyszeć będziesz przekleństw okrzyki,
Stęchłe powietrze oddech ci stłumi,
A mroki ci zakryją dzień!

Ilekroć zechcesz ludzką mieć duszę,
Ja w tobie zbudzę troski bydlęce,
Ja w tobie myśli wszystkie zagłuszę,
Spodleniem czucia wszystkie okręcę,
By duch twój nie miał żywych drgnień.

Na co ci sennne cisze i zorze?
Ha, nie śpij wcale! I czuwaj we śnie.
Czcij swe barłogi, czcij swe obroże,
W wiernej macierzy wsłuchany pieśnię!
Więc nie śpij, ty wybrańcze mój!

Czuwaj i zbudź się — i wdziej łachmany
I wstań, bo oto jużeś wezwany —
Na bój bez armat i bez kartaczy,
Bój bez doboszów i bez trębaczy —
Z głodem na bój!

BOHDAN ŁEPKI.

Przed śmiercią

— Jegomość! Wstawajcie! Do chorego trzeba.

— Co? Do chorego? Po djaka niech skoczą. Niechaj cierkiew otworzy i wszystko, co rychlej, przygotuje. Ja zaraz wstanę.

Służąca zamknęła drzwi, i słychać było, jak w kuchni powtarzała zlecenie jegomości.

— Do chorego? Cóż robić? Trza iść, choćby się spało.

Nigdy sen nie wydaje się tak smacznym, jak wtedy, gdy nam spać nie dają. Poprawił kołdrę i na chwilkę przymrużył powieki. Myśl o chorym przypomniała mu dzwony, i pod wrażeniem ich dalekich dźwięków ukołysał się i zasnął na nowo.

— Jegomość, proszę, djak już dawno czeka.

— Czeka? Powiedz, że idę.

I za godzinę ulicą wiejską ciągnęły dwie postacie. Tonęły we mgle, niby w mlecznem morzu, i nie widziały siebie. Na przenikliwy odgłos dzwonka klękali przechodnie, jako się winno zawdy czynić, kiedy ksiądz idzie z Panem Bogiem.

Na dworze był jesienny przymrozek. Wiejskie, jak ciasto w dzieży, wymieszane błoto ścięło się i świeciło brudnymi kryształkami, które łamiąc się pod nogami, chrzę-

ściały jak szkło stłuczone. Ksiądz poczuł zimno i spieszył, djak kroczył przed nim poważnie i co dwa, trzy kroki — dzwonił. Tak przeszli długą ulicę i stanęli przy studni, obok szkoły.

— To tutaj — oznajmił djak.

— Tutaj? — powtórzył ksiądz, uważnie wsuwając się we wrota. Zdziwiony był niepomału,że nikt nie wyszedł na jego spotkanie, że ani sąsiadów nie widzi, ni krewnych, ani lekarzy wiejskich, ni lekarek.

— Może to nie tu? — zawahał się.

— Tutaj, wiem dobrze, toć Skrechota chory. Wejdźmy! I weszli. W chacie było cicho. Pusto, jak wymiótł. Pościel rozrzucona, ale chorego nie widać.

— Hej, jest tu kto — wyhukiwał djak, zaglądając do kuchenki i do świetlicy. Ale nikt się nie odezwał prócz drobiu na bantach.

Siedli na ławie i czekali. A tu i słońce zaświeciło, i mgła się podniosła na chłopa od ziemi. Wtem słyszą z pola:

— Aciu, aciu do chlewa!...

Postąpili za próg i zobaczyli staruszka bosego, z pomierzwionym ponad czołem włosem, jak uganiał za podświnkami, chcąc je namówić, by zaszły do chlewa. Lecz one, widząc jego niemoc, biegały po całym podwórzu i miały widoczną chęć zaglądnąć do sadu, tembardziej, że płot był lichy, a furtka ladaco. Starzec wołał za niemi rękami i głosem, wlokąc bezradne i bezsilne nogi.

Ksiądz patrzył się na to chwilę, wreszcie się począł niecierpliwić.

— A co to wy — powiada — co wy se myślicie? Zwołujecie mnie z łóżka, nie wiedzieć poco i naco? Kto u was chory?

Stary popatrzył i przykiwnął głową.

— To to ja, proszę jegomości, to ja umieram.

— Co to, wy kpicie sobie ze mnie, czy co? Umiera i za bezrogami lata po całem obejściu...

— A jakże, proszę ojca duchownego... Jak wyszły, to trzeba zegnać. Poszłyby w ogród, albo do sąsiada... Aciu!...

Kto wie, jak długo jeszcze trwałby ten pościg nierówny, gdyby nie djak. Ten położył na ziemi dzwonek i latarnię i podążył staremu na pomoc. Wiepizki, widząc przed sobą tak poważną osobę, dały się zaraz uprosić i zaszły do chlewa. Stary jeszcze raz skarcił je słowami ostro i zamknął drzwiczki na grabowy kołek. Teraz dopiero podszedł do kapłana i pocałował go w rękę.

— Niech też jegomość nie gniewają się na mnie. Bo jak to zwyczajnie — wyrwały się, to je trza poganiać.

— Ja nie gniewam się na was — odrzekł ksiądz — lecz trudzić mię bez naglącej potrzeby, to niesumiennie. Wy przecież moglibyście w niedzielę przyjść do cerkwi i wyspowiadać się.

— Boże ty mój kochany! W jaką niedzielę! Ja przecież do południa, kto wie, czy dociągnę. Ciało mi cierpło, by spowiedzi doczekać. Bóg widzi, że nie kłamię.

— No, zobaczymy — mruknął ksiądz, wchodząc do izby...

Staruszek zaś podszedł do komórki, aby się przebrać. Wnetki wrócił biały i uczesany. Ksiądz nie spieszył się zbytnio, nie widział potrzeby. Rad zaś był pogawędzić ze starym, co umierając, świnie jeszcze chciał pozganiać.

— A dawno-ście wy chorzy? — spytał siadając przy nim na ławie.

— O, dawno, dawno!... Tak niby boleć, to mnie nic nie boli, jeno siła ze mnie wyszła i już jej nie czuję. Siła wyszła, a niemoc wstąpiła i zimno jakoś wkrada się do piersi: wyraźnie śmierć.

— I wy tak sami?

— Nie sam, mam dzieci, dobre dzieci, grzech byłoby narzekać. Dziś żadne z chaty iść nie chciało. Obstąpili mnie i płaczą. Ale ja mówię: Poco tu te płacze? Idźcie każde do swojego. Mnie nikt nie ukradnie. A jak mam umrzeć, to i bez was umrę. Ty, Hryńku, mówię do starszego syna, idź na Zmyjnę. Rola gotowa, dawno zasiać trzeba. Może przyjść pogrzeb, znowu się przeciągnie... Ty, powiadam do córki, idź do miasta i kup, co potrzeba. Przyjdzie co do czego, to tu na miejscu u żydów dwa razy drożej. Synową posłałem do sąsiedniej wsi, aby dała znać swoim, a zięć miał pójść po księdza i wstąpić do cieśli. Zostałem oto sam i cicho leżę na pościeli, gdy wtem słyszę: podświnki się wypuściły. Patrzę przez okno — ryjkami wrota podnoszą. Trza je pozganiać — myślę se — i jakoś, Bogu niech będzie chwała, pozganiałem.

— No, i jakże wam, nie straszno przed śmiercią?

— Czego się mam bać? Nikomu człek życia nie skrócił, nikogo nie okradł. Przeżył swoje i wynoś się. To tak, jak ten najemnik na polu. Ukończył pracę — i hajda do chaty! Już drugi miesiąc, sprawiedliwie mówiąc, chleb święty trwonię. Siła uciekła, nic zrobić nie zdolę, a tak podaremnicy dzieci objadać, to niepięknie. I w gardło nie chce iść. Ot, Bogu dzięki, że koniec nadchodzi. Czego się mam bać? Dzieci na ludzi wyprowadziłem, wyposażyłem je, czem mógł, rozumu trochę przyuczyłem...

— Możemy zacząć?... — odezwał się pleban.

— Zacznijmy z Bogiem — szepnął starzec, żegnający się trzy razy.

* * *

Co tylko ksiądz powrócił do domu i brał się do śniadania, gdy z dzwonnicy odezwały się dzwony: Bam! Bam! Bam!

Stary Skrechota umarł.

Pszenica już zasiana, i podświnki w chlewie, córki z miasta tylko co nie widno — mógł spokojnie umierać...

Przy wulkanie w Dębowcu.

Zachęcony opowiadaniem dzienników, postanowiłem wreszcie udać się do Dębowca, by ujrzeć to dziwne zjawisko, jakiem jest wybuch gazów z szybu wiertniczego. Wraz z kilkoma znajomymi wsiedliśmy do pociągu, odchodzącego w kierunku Krakowa i po godzinnej jeździe znajdowaliśmy się na dworcu stacji kolejowej Pruchna.

W pociągu rozmawialiśmy o przyczynach niezwykłego zjawiska, to o szalonym świście wylatujących w powietrze gazów, to znowu o lekkiem drżeniu ziemi w okolicy szybu.

Jakież było nasze zdziwienie, kiedy w polu tuż za dworcem kolejowym usłyszeliśmy dziwny szum, jak gdyby złowrogi ruch tysięcznych skrzydeł ptaków, przylatujących z oddali. W miarę, jak zbliżaliśmy się do miejsca wybuchu — szum stawał się coraz silniejszy, zwolna przemieniał się w głuchy pomruk, rozdzierał powietrze potężnym, przytłumionym świstem, skoro stanęliśmy tuż przy szybie.

Dębowiec leży w odległości 12 km. od Pruchnej a 13 km. od Cieszyna w kierunku północno-wschodnim, w malowniczej dolinie, otoczonej wokół wieńcem wzgórz, na stokach których wśród lasów i pól majaczeją osady śląskie.

W poszukiwaniu za węglem akcjonarjusze berlińscy zapędzili się do tej cichej, spokojnej wioski i rozpoczęli przedwstępne prace wiertnicze. Praca z początku szła szybko, dowiercono już do głębokości 400 metrów, gdy nagle przed dwoma tygodniami nastąpił wieczorem gwałtowny wybuch gazów. Swider wiertniczy i sztaby żelazne, długości 300 metrów, maszyny, przybory — wszystko wyleciało w powietrze na wysokość 300 - 500 metrów. O niezwykłej sile wybuchu świadczy fakt, że świder, poprzerywany na części, wyleciał w powietrze a spadając powbijał się w ziemię na głębokość 3 metrów. Co jest przyczyną wybuchu gazów, na razie dokładnie nie wiadomo. Pełno najrozmaitszych domysłów, mniej lub więcej prawdopodobnych.

Wokół szybu stoją gromady ciekawych i przysłuchują się w milczeniu gwałtownemu wybuchowi. Miejsce wybuchu gazów dokoła otoczone deskami, w środku wznosi się na wysokość kilkunastu metrów wieża wiertnicza z porozrywanem rusztowaniem, pogiętemi u wierzchu sztabami żelaznemi. Z otworu wylatują w powietrze z szalonym świstem i rykiem gazy w kształcie słupa biadego dymu. Wokół ziemia drży, woda wylatująca z gazami skrapla się i spada na ziemię w postaci drobnego deszczu. Ryk ani na chwilę nie ustaje. Z jakąś pełną grozy, tajemniczą siłą wylatują z głębi gazy i rozdzierają powietrze. Patrząc nań wyczuwam całą mą bezsilność i niemoc wobec tej potęgi przyrody,

buntującej się przeciw śmiałkom, zapuszczającym w łono ziemi zachłanną dłoń, zabierającą skarby, które jej samej przynależą.

Grozę zjawiska potęguje nieme zduminnie gawiedzi, snującej się koło szybu, zaglądającej przez szpary płotu. Tam chłop wdrapał się na płot i patrzy osłupiałymi oczy przed siebie, obok znajoma moja, żona lekarza S., zagląda ciekawie w każdą szparę płotu, by lepiej ujrzeć ryczącego potwora.

Mówić nie można. Szum tak potężny, iż każde słowo ginie, zanim się je wypowie. Zbliżam się do znajomego inżyniera i powiadam mu głośno do ucha:

— Patrz pan na ten pogięty kawał świdra. —

— Szalona siła — odpowiada wrzeszcząc mi prosto w nos. —

— A jak pan sądzi, długo potrwa ten wybuch? —

— To nie wiadomo, zależy od jakości i ilości pokładów ziemnych. W Ameryce mamy podobne wybuchy, które trwają lata całe. —

— Podobno napotkano tutaj wodę słoną, jodową, węgiel a nawet i naftę. —

— Całkiem możliwe. —

— Co pan mówisz? — drę się mu na całe gardło do ucha. —

— Całkiem mo-żli-we... — odpowiada mi wytrzeszczając oczy. —

Czuję, że rozmowa w takim huku staje się niemożliwą — napróżno bym się silił. Odchodzimy na bok. Przed gospodą istny jarmark. — Całe szeregi powozów, dorożek, automobilów, cyklistów. Zgiełk, hałas, gawiedź giestykując żywo rozdeptuje błoto, pcha się ławą do karczmy. W gospodzie za szynkwasem gospodzki spocony rozdaje w szalonych ruchach piwo, wódkę, wino, kiełbasę. W sali ruch jak na weselu... pełno śmiechu, wesołych okrzyków.

— Proszę mi dać papierosów — mówię do gospodzkiego. —

— Zaraz służę panu — pierwiej piwo, bo ludzie czekają. —

— Przynajmniej pan na tym wybuchu nie straci. —

— Niema złego — proszę pana — odpowiada mi szybko — co by na dobre nie wyszło... —

— Tak, tak — powiadam i z trudem wydostaję się ze ścisku na pole, gdzie gromadka kobiet przysłuchuje się z niedowierzaniem opowiadaniu jakiegoś ananasa w wyświechtanej bluzie.

— E to nie ma możne — mówi młoda ślązaczka. —

— Ale je to możne — tela roków już kopiemy a jeszcze my nie naszli piekła aż dziepiero w Dębowcu przewiertali. —

— To w Dębowcu je piekło? — powtarza zwolna, spoglądając z podejrzeniem na huczący potwór w oddali.

Mimowoli zanoszę się od śmiechu. Czego się pan tak śmiejesz? zapytuje mnie pani S. —

— A bo widzi pani, zrobili już piekło w Dębowcu.

— Jak to piekło?! —

— Opowiadają sobie, że te gazy wylatują wprost z piekła i dlatego tak ryczą i świszczą. —

— Ale by pan nie chciał wpaść do niego? —

— O to prawda — proszę pani — że nie, bo z pewnością bym wyleciał z niego na jakie 500 metrów w górę jak ten świder...

Zwolna zmrok zaczął zapadać. Wybieramy się z powrotem do Cieszyna. Szyb huczy ciągle i zdaje się jak gdyby potężniał w tym potwornym ryku. Ściemnia się szybko — poczynamy iść raźniej. Ja na czele z inżynierem.

— A co pan sądzi — pytam go — o tem przypuszczeniu, że gazy wybuchające pochodzą z zagłębia ostrawsko-karwińskiego a szyb wiertniczy w Dębowcu jest takim przypadkowym szybem wiatrowym dla zagłębia?

— Widzi pan i to możliwe — gdyż gazy mogą sobie tworzyć podziemne chodniki — wędrówki te wywołują wewnętrzne zaburzenia, gdyż gazy wskutek swej wielkiej prężności szukają jak największej przestrzeni. Ponieważ zaś znajdują się pod ciśnieniem kilkuset metrów ziemi, są za słabe, aby wydobyć się na powierzchnię; przypadkowo znalazły ujście w szybie wiertniczym i dziś jak pan słyszał, szaleją z taką potworną siłą.

— A czy gazy mogą pochodzić z utleniania się kredowo-wapiennych pokładów, podobno takie znajdują się w obfitej masie w tutejszej okolicy.

— Zwykle przy wierceniu w poszukiwaniu za węglem napotykamy pokłady wapienne a pod nimi dopiero węgiel.

— Więc możliwe, że ten fakt ma tutaj miejsce.

— A tak. W Ameryce, widzi pan, gazy wydobywające się z ziemi tak, jak w Dębowcu, odprowadzają rurami niekiedy na 30.000 kilometrów i oświetlają niemi całe miasta, poruszają olbrzymie motory.

— W każdym razie niezwykłe zjawisko.

Dobrze było już ciemno, kiedyśmy nie długo stanąć mieli w Cieszynie. — Wybuch gazów w Dębowcu dochodził nas jak przytłumiony szum, powoli ginął, cichł w wilgotnych mgłach nadchodzącej nocy... X.

„Górnik".

Rozmaitości

Atlantyda. Atlantydą nazywała się olbrzymia wyspa, która, według starożytnych podań, miała się znajdować na Oceanie Atlantyckim, między Europą a Ameryką, a która z przyczyn niezbadanych miała się zapaść w morze. Wierzą w to nietylko teozofowie i okultyści, ale i nauka zaczyna się w nowszych czasach interesować tym zaginionym lądem. Obecnie praski profesor Juljusz Nestler miał w Wiedniu odczyt „Zatopiona Atlantyda w świetle nowoczesnej nauki", w którym omawiał cały szereg bardzo ciekawych szczegółów. Jedyną wiadomością historyczną, jaką mamy o Atlantydzie jest wzmianka, zawarta w fragmencie „Timeusa" Platona. Platon znowu powołuje się na Solona i tradycje egipskich kapłanów, którzy uczonemu ateńskiemu, bawiącemu w ich kraju na dobrowolnem wygnaniu, przekazali pewną wiadomość o istnieniu tej wyspy. Mieszkańcy Atlantydy, która w ciągu jednego dnia i jednej nocy zapadła się w morze, mieli według podania bardzo wysoką kulturę. Profesor Nestler jest przekonany o tem, że opowiadanie Platona nie jest fantazją, ale opisem z dziejów ludu, który się rozwijał i żył, jak inne. Wynika to stąd, że Plato, oprócz właściwej Atlantydy, wspomina jeszcze o istnieniu innych wysp na zachodzie, a wreszcie o istnieniu jakiegoś obszernego lądu, który nie może być niczem innem, jak Ameryką. Hypotezę o dawnem istnieniu Atlantydy potwierdziły badania głębin morskich. Okazało się w rzeczywistości, że na dnie Oceanu Atlantyckiego znajdują się znaczne wzniesienia. Ta sama siła, która spowodowała zatonięcie Atlantydy, działa jeszcze i teraz na wybrzeżach Grenlandji. Dowodem istnienia Atlantydy jest też t. zw. przez Kolumba Morze Sargasów. Jest to ogromny obszar Oceanu Atlantyckiego bardzo płytki i tak gęsto zachwaszczony wodorostami, że okręty omijają go stale, ponieważ przebycie go dla zwyczajnych statków jest wręcz niemożliwe. Pewien duński naturalista postawił sobie zdanie zbadanie tego morza, nie doszedł jednak wskutek niepomyślnej pory roku do żadnych pozytywnych rezultatów. Widział tylko liczne szczątki rozbitych okrętów, zaplątanych w wodorosty i wyraził zdanie, że zbadanie tej części Oceanu Atlantyckiego n leżałoby podjąć już ze względu na samą korzyść materjalną, jaką możnaby odnieść, odszukawszy zatopione okręty, leżące na dnie. Profesor Nestler podziela w zupełności zapatrywanie tego badacza. Przytacza też dalsze argumenty, oparte na fizjologji zwierzęcej i roślinnej, a przemawiające za istnieniem obszernego lądu między Europą a Ameryką. Baskowie, żyjący w zachodniej części Hiszpanji, zdaniem profesora, są potomkami ludności, zamieszkującej niegdyś Atlantydę, czego dowodzi też podobieństwo ich języka do narzeczy szczepów indjańskich Ameryki Północnej. Profesor Nestler ma zamiar odbyć podróż naukową do Ameryki celem stwierdzenia istnienia dawnej Altantydy, a w razie pomyślnych rezultatów i odpowiedniego poparcia, chce rozciągnąć swoje badania także na morze Sargasów.

* * *

Szpital pereł. Dotychczasowy system wyławiania pereł był i jest gospodarką rabunkową w najgorszem znaczeniu słowa. Zrozumieć to łatwo, jeżeli się zważy, że z po-

śród stu muszel perłowych zaledwie jedna przedstawia wartość handlową. Tak więc dla zdobycia jednej perły niszczy się dzisiaj dziesięć tysięcy muszel.

Już przed siedmiu laty prof. Rafael Dabosi z Ljonu zwrócił uwagę na tę fatalną gospodarkę i doradzał zastosowanie promieni Röntgena do badania zawartości muszli perłowych. Praktycznie zastosował ten pomysł dopiero obecnie inżynier nowojorski, John Salomon.

Swierdził on, że nawet dłuższy, niż potrzebny zazwyczaj do ekspozycji, wpływ promieni Röntgena nie zabijał małży. Niebezpieczeństwem grozi im raczej oderwanie od pokładu, przez uszkodzenie t. zw. „byssusa“ i transport do laboratorjum.

Pod tym względem zarządzono jednak liczne środki zabezpieczające. Wydobyte z morza muszle sprowadza się tysiącami do niezbyt odległego laboratorjum i tu poddaje się je setkami działaniu promieni.

Na podstawie otrzymanego obrazu odłącza się muszle, zawierające perły, inne zaś przenosi się ostrożnie do morza i umieszcza z powrotem na ławicach.

O ile badający ujrzy w muszlach niekształtne, lub za małe jeszcze perły, w takim razie umieszcza je w osobnym basenie, który możnaby nazwać szpitalem pereł, gdyby nie to, że przedsiębrane tam zabiegi mają na celu nie usunięcie, lecz raczej wzmożenie się choroby, powodującej tworzenie się drogocennych pereł. Zwłaszcza w tym ostatnim kierunku osiągnął Salomon bardzo wybitne rezultaty.

* * *

Moda tępicielką ptaków. Prawdopodobnie nic na świecie nie jest związane z większem okrucieństwem, jak moda ubierania kapeluszy damskich głowami ptasiemi i piórami. Modystki paryskie spotrzebowują rocznie czterdzieści tysięcy mew. Jeden z handlarzy londyńskich sprzedał w roku ubiegłym 32 tysiące rajskich ptaków, oraz 80 tysięcy całych upierzeń i 800 tysięcy par skrzydeł różnych ptaków. Liczbę ptaków, które corocznie padają w Europie ofiarą mody kobiecej, można śmiało określić na 300 tysięcy. A nie można nawet w przybliżeniu obliczyć szkody, jaką to tępienie ptaków przynosi rolnictwu, gdyż ptactwo należy do naturalnych jego ochron. Niektóre kraje są ogołocone z różnych gatunków ptactwa, ktare dawniej tam tylko można było znaleźć. Tak naprzykład znikły kaczki z Labradoru, gołębie z wyspy św. Maurycego, szpaki z wyspy Réunion, kardynały i zięby z wysp Azorskich. Aby pióra zatrzymywały swój połysk pierwotny wyrywają je ptakom za życia. Ptaki chwytają w sidła, wyrywają im pióra i jeszcze ociekające krwią zanoszą do przerabiacza ptasich piór, który je preparuje. Ptaki w kilka minut po wyrwaniu im piór giną.

* * *

Z zapisków Hartewelda. W opowiadaniach kompozytora Hartewelda o więzieniach syberyjskich, drukowanych obecnie w „Nowej Rusi“, znajdujemy ciekawe wiadomości o katordze akafujskiej i o ucieczce tow. Karpowicza, sprawcy zamachu na ministra Bogoliepowa. „Przedewszystkiem uderzyło mnie“, pisze Harteweld, „gdy zwiedzałem więzienie kartożne w Akatuju, że wszyscy kartożanie nie mają przednich zębów. Gdy zapytałem o przyczynę tego faktu, odpowiedziano mi, że jest to dzieło naczelnika katorgi Fedorowa. Ten sam Fedorow chwalił się później przedemną: „jednem uderzeniem pięści nie wybijam nigdy mniej niż dziesięć zębów!“ O ucieczce Karpowicza opowiada Harteweld tak: „Gdy Karpowicz odbył więzienie samotne, został wypuszczony do tak zwanej „wolnej komandy“, dzięki czemu mógł przebywać poza murami więzienia w pewnych określonych granicach. Strzeżono go pilnie, musieli więc przyjaciele Karpowicza obmyślić podstępny plan ucieczki. I oto pewnego dnia Karpowicz został wywieziony w wozie z kapustą włoską poza ustanowioną granicę. Gdy wóz przejeżdżał przez tę granicę, żołnierz posterunkowy zbadał zawartość wozu, wtykając w kapustę w kilku miejscach ostrze dzidy i lekko poranił Karpowicza, lecz te rany dały zbiegowi wolność. Dalej Karpowicz jechał „na pieriekładnych“, to jest zmieniał co 20 wiorst konie i w ten sposób zmienił konie 800 razy, zanim dojechał do Władywostoku. Przybył tam bezpiecznie, chociaż został wysłany za nim pościg. We Władywostoku Karpowicz wsiadł na statek angielski „Diana“, który przygotowano dlań zawczasu. W tej samej chwili, gdy „Diana“ wyruszała z przystani, nadbiegła policja piesza i konna z naczelnikiem na czele i chciała dokonać na statku rewizji. Wówczas kapitan statku wywiesił flagę angielską i zaprotestował przeciw rewizji. Podczas sporu z naczelnikiem miasta statek zwinął kotwicę i odjechał, kierując się do Japonji. Ucieczka Karpowicza kosztowała partję socjal-rewolucjonistów dziesięć tysięcy rubli. Harteweld widział w więzieniu akatujskiem Spirydonównę, Sazonowa i innych. Wszyscy czuli się dobrze z wyjątkiem Spirydonówny, która silnie pożółkła i spuchła z powodu choroby. Rozmawiać z nimi Harteweldowi zabroniono.

* * *

Za kradzież psa — dożywotnie więzienie. Wielkie oburzenie wywołał w Anglji wyrok sądowy, którym niejaki Burdett za kradzież psa zasądzony został na dożywotnie więzienie. Sprawa przedstawia się tak: Burdett przyłapany został w Londynie na kradzieży psa i został za to zasądzony na 15 miesięcy więzienia. Burdett został jednak w r. 1888 za usiłowane morderstwo rabunkowe zasądzony na dożywotnie więzienie, a po odsiedzeniu 5 lat został w myśl ustaw angielskich warunkowo wypuszczony na wolność. Ponieważ przez kradzież psa okazał niechęć do poprawy, musi teraz odcierpieć całą karę, pierwszym wyrokiem nań nałożoną.

* * *

Płuca robotnika w fabryce porcelany są narażone na ustawiczne wdechiwanie drobnych ciał mineralnych. Dowodem tego jest badanie, jakiemu niedawno poddano płuca takiego robotnika w Jenie. Były one tak twarde, że z trudnością tylko udało się je rozdzielić zapomocą noża i nożyczek. W 40 g popiołu, pochodzącego ze spalenia kawałka tych płuc, znaleziono 0,7343 g kwasu krzemowego, 0,8524 g tlenku glinowego i 0,0888 g tlenku potasowego.

Z literatury i sztuki

L. Tołstoj. — **Pierwszy stopień** czyli wstrzemięźliwość jako pracnota. — Nakł. „Przewodnika zdrowia“ (Czarnowski, Berlin N., Weissenburgerstr. 27). Cena 75 fen. = 90 hal. = 40 kop.

Włosy i ich pielęgnowanie, leczenie chorób włosów oraz zapobieganie łysieniu. Nakł. „Przewodnika zdrowia“ (Czarnowski, Berlin N., Weissenburgerstr. 27). Cena 1 mk. = 1,20 kor. = 50 kop..

* * *

„Nauka dla wszystkich“. Treść nr. 10: Aleksander Świętochowski. — Duma o hetmanie. — Cecorskie pola. — Nowa Turcja. — Galicja. — Rozmaitości.

Adres: Księgarnia M. Arcta w Warszawie. Rocznie 75 kopiejek.

* * *

„Myśl Niepodległa“, Treść nr. 79 (dekada pierwsza na listopad): Wyrok w sprawie objaśnienia katechizmu. — Czy jesteśmy jeszcze chrześćjanami. — Kwestja żydowska w oświetleniu pozytywnych badań. — Gieneza i rozwój pierwszych kościołów. — Jeneralny znachor warszawski. — Misjonarze. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Wolna Gmina. — Zapiski. — Książki. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Adres: Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10.

* * *

„Poradnik teatrów i chórów włościańskich“ organ „związku teatrów i chórów włościańskich“ przynosi w 9 i 10 zeszycie (na październik) następującą treść: Znaczenie i dzieje widowisk teatralnych (IV.) przez J. J. Kapuścieńskiego. — Chleba i widowisk! przez J. B. — Przegląd sztuk do grania, przez Z. M. — Wieczór Anczycowski w „Czytelni kol.“ we Lwowie (z ryciną). — Wiadomości z teatrów i chórów. — Ojcowizna. Sztuka ludowa w 3 obrazach z muzyką. Nagrodzona na konkursie dram. Napisał Fran. Domnik. — Korespondencje (Zboiska, Osiek, Przedrzymichy, Litiatyn). — Sprawy Związku. — Teatry i chóry włościańskie. — Wykaz członków Związku. — Ogłoszenia.

Adres: Lwów. ul. Chodowskiego 5 I.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 46. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 14 listopada 1908.

MY TACY PROŚCI.

Z niemieckiego przełożył F. H. Nowicki.

My tacy prości! nam orać i siać,
Nam orać pługami krąg świata
I znojem podlewać wśród lata,
Na zimę kłos zżąć i światu chleb dać.
My dosyć prości, aby światu nieść
Chleb, pracą wydarty z pól krwawą,
Chleb światu dać — to dla nas prawo!
Lecz my za prości, aby ten chleb jeść.

My tacy prości! zgrubiała nam dłoń,
W głąb ziemi my niesiem swe młoty,
Tam kopiem tęczowe klejnoty,
A zgarnia je król — i zdobi swą skroń,
Złota świat pragnie! my idziem je brać
W wieczyste kopalni ciemności.
By płacić mu — my nie za prości,
Lecz prawa głosu świat nie chce nam dać.

My tacy prości! z marmurowych płyt
My piętrzym pomniki, kolosy,
My kujem z granitu skał ciosy
Na dumnych świątyń i pałaców szczyt.
Dźwigamy cegły na ramionach swych
Na zamków rozkosznych ogromy;
My prości dość, by stawiać domy,
Lecz my za prości, aby mieszkać w nich.

My tacy prości! z fabryki dmie dym,
Jedwabiu przędziemy tam tyle!...
Lecz spoczniem w łachmanach w mogile,
A tylko bogacz będzie błyszczał w nim.
Przędziem i przędziem... cóż dał nam ten [znój?
Od wieków mróz łamie nam kości,
By odziać świat, my dosyć prości,
Ale za prości, by mieć ciepły strój.

My tacy prości, lecz gdy grozi wróg,
Gdy sygnał do boju uderzy,
Miljony ludowych rycerzy
Biorą z nas w roty; wśród rzezi, krwi strug
Każą gnać wroga za graniczny słup,
Mordować go, grzebać narody...
Lecz inni laur biorą nagrody,
Bo my za prości dzielić laur i łup.

Ach, my tak prości!... czyż wiecznie nam [nieść
Prostactwo przypadło w udziele,
Gdy innym los życie ich ściele
Złotem, kwiatami i daje im cześć?
Z wszystkiego przeszłość zrabowała nas
W szeregu męczeńskich stuleci...
Lecz przyszłość nam czoła okwieci,
Bo nasze jutro! Bo nadszedł nas czas!

Włodzimierz Jarosz.

Samarytanka.

Umarła żydowi córka. Takiemn, wiecie, pejsaczowi, co to handluje mąką na naszem przedmieściu. Miał jeno dwie — i obie dawał do szkół rozmaitych. A kiedy wróciły, to opowiadała stara żydowica, że one i za nauczycielki mogą być — takie uczone...

Ładne były, można powiedzieć i w samej rzeczy przystojne. Tej mi najbardziej żal, co umarła — choć powiadają ludzie, że to grzech żyda żałować.

Ale i ona mnie czasem pożałowała.

Przyciągnę, bywało, parę wozów mąki po takim mrozie, że ci gnat od gnata odłazi, to pójdę się zagrzać do kuchni. Nieboszczka... (Boże odpuść: jakże nieboszczka, kiedy to żyd), to ci mi pokryjomu przed starą żydówką wyniesła haraku.

— Napijcie się — powiada — boście pewnie zmarzli.

Nigdym nikogo na całym świecie nie obchodził... Co ją to miało boleć, że ja zmarzł?...

Raz stało mi się nieszczęście. Ściągam worki jedną ręką, a drugą-m se, wiecie, pomagając, sparł mocno na ręczycy. Ten hycel, syn blacharza z przeciwka, zachodzi koło wozu z tej i z tamtej strony... Powiadam mu po dobroci: Odejdź psi synu, bo jak cię dopadnę... A ten nic. Jeszcze mnie przezywa: — Woziwoda żydowski — powiada. Co mi ten huncfot zdrowia zje... Aż porywa za dyszel i skręcił. Złapało mi rękę między koło i ręczycę i z trzech palców het zdarło mi skórę do znaku.

Lecę ja do huchni, a ona się akurat nawinęła. Niech jej ta Bóg grzechy odpuści... choć to żydówka. Opatrzyła mi palce, owiązała starannie, pomalutku...

— Bardzo was boli? — pyta się mnie i widzę na jej twarzy troskę rzetelną.

Poco ona się pytała? — powiedzcie... Czy ją to bolało? Nikt nigdy na calutkiem świecie nie pytał się, czy mnie co boli.

Aż raz zasłabła. Nie wiem, co jej się takiego stało, dość, że zasłabła. Leżała jeno bez cztery dni — dochtorów, to żyd sprowadzał, jakich jeno świat miał — nic nie pomogło. Śmierci nie przekupi, moiściewy, choćby jej worek pieniędzy nasypał. Nic nie pomoże.

Wracam z mąką i słyszę od przekupki, że już po niej

Coś mnie ukłuło w samo serce, jakby kto szpilką dźgnął. Zajeżdżam bliżej, a tu krzyk. Żyd prawie od rozumu odchodzi, garściami wyrywa se pejsy. Matkę zemgliło do cna, nawet już nie krzyczy. Ja stoję z biczyskiem w ręku — patrzę na to wszystko, i czegoś mi żal... Czegoś mi, wiecie, okrutnie zal...

Ludzi się nazlatywało moc — słyszę, gadają o niej dokoła, ale nikto nie żałuje.

— Umarła — mówią między sobą. — Jednego żyda mniej.

— A djabli z radością tańcują...

Dyć prawda, co powiadają — żyd pono nie pójdzie do nieba. A przecie ona się mnie pytała...

— Nie żałujcie parszywki, Mikołaju. Każdy żyd jednaki złodziej.

— Dużo wam ukradła?

Maciejowa narobiła krzyku. Sponiewierała mi przy ludziach familją, ale niech tam... Sekutnica baba i tyle, wszyscy wiedzą, że trzech mężów do grobu wegnała.

Zaraz na drugi dzień kazali dziewczynę pochować, że to umarła na tyfus. Trumnę rzucili na wóz, jak nieprzymierzając z jakiem niechrzczonem stworzeniem — i powieźli. Stary ojciec szedł w ciżbie, jakby sam umarły, a matka to już i nie szła — nie godna była iść.

I ja się, wiecie, pomiędzy ciżbę wplątał — poco, naco — i polazł, choć to powiadają grzech... Ale niech ta, już bardziej nie zgrzeszę. Chłopczyska gonią za wozem... blacharzów syn też, i drą się na całe gardło:

— Djabli żyda wzięli!...

A mnie, jakby kto po pysku bił, taki za nich wstyd jakiś. Jakby i ja był co winien...

Ludzie wyzierają z okien, wychodzą przed sienie. Wyjrzał i blacharz z przeciwka, patrzy na syna i śmieje się po cichu.

A mnie wstyd pali, nie wiem już za kogo... Jakby ja sam był winien... sam...

Może i źle robię, myślę, że idę na pogrzeb żydówki. Bo przecie nią była. Darmo — każdy wie o tem.

Ale ona się wtedy pytała, czy mnie boli... a nikt nigdy na całutkim świecie nie pytał się mnie o to... Ona jedyna.

Bośnja i Hercegowina.

Słów kilka o kraju i ludzie.

Oto dwa zakątki ziemi, mało komu znane, lubo ostatnimi czasy wszędzie o nich mowa. Dwie te prowincje, stanowiące ongi cząstkę ottomańskiego, t. j. tureckiego państwa, a obecnie wcielone do Austro-Węgier, graniczą na północ ze Slawonją i Kroacją, na południo-zachodzie z Kroacją, Dalmacją i morzem Adrjatyckiem, do którego wązkimi paskami w dwu miejscach docierają: przy cieśninie Stanio i w zatoce Bocca-di-Catarro, a na wschodzie z Czarnogórzem, Starą Serbją i Serbją dzisiejszą. Charakter tych miejscowości przeważnie górzysty. Mieszkańców liczą one 1,568,092 na 945,26 kw. milach.

Pod względem etnograficznym większość mieszkańców stanowią kroaci; pod względem religijnym dzielą się mieszkańcy na: mahometan, prawosławnych i katolików. Największą liczbę stanowią prawosławni, później muzułmanie, a katolicy stanowią prawie połowę liczby prawosławnych. Bośniaccy muzułmanie z pogardą odzywają się o osmanlisach, zowiąc ich „turkaszami“, siebie zaś uważają za właściwych turków. Wielu z nich wcale nie rozumie po turecku, a i ci, co nawet znają ten język, wolą posługiwać się ojczystym z domieszką wielu tureckich wyrazów. Do Islamu są fanatycznie przywiązani i skrupulatnie wypełniają wszelkie przepisy koranu. Trzymają się obyczajów wschodnich nawet w odzieży. Po wioskach noszą zawój na głowach, po miastach fezy, co stanowi także nakrycie głów i dla niewiast.

Pod względem administracyjnym u steru rządów dotychczas stał namiestnik cesarski, jednoczący w swem ręku władzę cywilną i wojskową, którą sprawowano z całą bezwzględnością, jak w kraju podbitym, w czasie (dość wspomnieć o znanych prześladowaniach socjalistów) stanu wojennego. W Bośnji i Hercegowinie do dziś dnia istniał — stempel dziennikarski! Cała kraina podzielona została na 6 okręgów i 24 powiaty, zwane „Kotarami“. Na ich czele stoją austrjacy. Katolicy posiadają arcybiskupa w Serajewie, głównem mieście Bośnji, i dwóch biskupów mostarotrebińskiego i banialuckiego. Pod względem gospodarczym stosunki pozostały te same, co i za czasów tureckich. Ziemia należy do państwa, do duchowieństwa („wakufy“) i szlachty muzułmańskiej (do begów i agów). Ludność chrześćjańska nie ma prawa posiadania ziemi, a za dzierżawę odrabia pańszczyźniane obowiązki właścicielom! Pod rządem austrjackim zachowały swoją moc stare prawa, jak np. trzecia część urodzajów należy do bega, dziesiąta do rządu — w gotówce; wprowadzone zarazem nowe — wprost i ubocznie. Ciężkie położenie rolników — „kmieci“, niejednokrotnie było powodem wzburzeń, które były stłumione siłą. Główne bogactwo kraju stanowią lasy, w których pełno jeszcze grubszej zwierzyny, jak: jeleni, sarn, niedźwiedzi, lisów, rysi, żbików i odyńców. Za tureckich rządów dobywano żelazo, a teraz znaleziono bogate pokłady węgla kamiennego, miedzi, ołowiu, jak również srebra i rtęci.

Do IX wieku Bośnja stanowiła jeden z okręgów (żup) Starej Serbji, zwany Raszką. Przy podziale Serbji, Bośnja odpadła, ale nie mogąc stanowić samodzielnego państwa, przyłączyła się do Chorwacji i razem z nią w XII wieku stała się zależną od Węgier, zachowując tylko wielkorządców własnych, zwanych banami. Po nieszczęsnej bitwie na Kossowem Polu (1389), banowie bośniaccy musieli zostać lennikami Turcji. Jeden z banów, Stefan Tomaszewicz, przyjął koronę królewską z rąk papieża i licząc na jego pomoc, przestał płacić lenno turkom. Wtedy sam sułtan Mahomed II na czele 150 tysięcy wkroczył do Bośnji (1483 r.) i po wzięciu szturmem stołecznego miasta, zmusił bez oporu następnie 70 miast do poddania się. Biedny król Stefan, opuszczony przez papieża, dostał się do niewoli, gdzie został stracony wraz ze stryjem swoim i znakomitszymi bojarami. Hercegowina zaś po upadku carstwa Duszanowego dostała się pod władzę bośniackiego bana Twertka I, który oddał ją w zarząd wojedwodzie swojemu Władko Chraniczowi. Jeden z potomków owego Władko poddał się pod panowanie cesarza Fryderyka III i otrzymał od niego tytuł „herzog'a“, po serbsku „hercega“, od czego kraina przezeń rządzona, poczęła się zwać Hercegowiną. Po zajęciu przez turków Bośnji, władca udzielny Hercegowiny zawarł pokój z turkami pod warunkiem płacenia daniny 8 tys. dukatów. Po śmierci Stefana Kosacza zajęły Hercegowinę wojska tureckie. Przed laty 30 zajęły Bośnję i Hercegowinę wojska austrjackie, stoczywszy kilka zwycięskich bitew. Pod rządami Austrji kraj pozostawał prowizorycznie, będąc jeszcze częścią państwa tureckiego. Skutkiem wcielenia stały się te kraje częścią składową Austro-Węgier.

Kronika przyrodnicza.

Barwa głosu własnego. — Promieniowanie ciała ludzkiego. — Walka z komarami.

Zwrócono uwagę na ciekawe zjawisko, że w fonografie z łatwością poznać możemy mowę osób znajomych, lecz własny nasz głos wydaje się nam częstokroć całkiem obcym. Można z powyższego wyprowadzić wniosek, że głos nasz musimy zazwyczaj słyszeć inaczej, niżeli ci wszyscy, do których mówimy. Jakie jednak mogą być tego przyczyny? Dźwięki naszej własnej mowy dochodzą nas nietylko przez powietrze, lecz również przez części głowy, zmieniając swą barwę zależnie od charakteru przewodników. Wszystkie poszczególne barwy dźwięków sumują się w uchu, podczas gdy do osób obcych głos nasz dochodzi, posiadając barwę bardziej jednolitą. Słuszność powyższych uwag sprawdzić można za pomocą nader prostego doświadczenia. Osoba jedna ujmuje zębami koniec linji drewnianej, około pół metra długiej, i wymawia pewną samogłoskę; drugi koniec linji znajduje się w pobliżu ust innej osoby, która linję ko-

lejno chwyta zębami i puszcza. Nietrudno w ten sposób będzie przekonać się, że dźwięki w pierwszym i drugim słyszane wypadku bardzo się różnią od siebie, gdyż do ucha obserwatora dochodzą raz tylko fale powietrzne — drugi raz fale dźwiękowe przechodzą przez kości głowy osoby mówiącej, przez drzewo, wreszcie przez kości głowy słuchającego.

* * *

Prof. Charpentier uczynił odkrycie, że ciało ludzkie stale wysyła promienie świetlne, posiadające wszelkie cechy zasadnicze promieni n. Środkiem do ujawnienia tych niewidzialnych promieni służą między innemi substancje słabo fosforyzujące, których blask potęguje się przy ich działaniu. Pomieniony uczony profesor zauważył, iż drobny przedmiot fosforyzujący mocniej poczyna świecić, skoro go zbliżymy do ciała, zwłaszcza wpobliżu którego mięśnia. To samo zjawisko obserwujemy w sąsiedztwie nerwu, przyczem natężenie świecenia rośnie w miarę wzmożonej czynności danego nerwu. Występuje ono nietylko przy bezpośredniem zetknięciu przedmiotu świecącego z ciałem, lecz również ujawnia się z pewnej odległości. Wysyłane promienie przenikają przez te wszystkie substancje, które przepuszczają promienie n, jak papier, szkło, glin itd. — i odwrotnie nie przechodzą przez przedmioty dla promieni owych nieprzenikliwe. Za pomocą soczewek szklanych udawało się wytwarzać ogniska rzeczywiste, w których obserwować można było wyraźnie maksyma oświetlenia. Ponieważ wszystkie inne cechy odkrytych promieni odpowiadały również właściwościom n, należy uznać za dowiedzione, że ciało nasze ten właśnie rodzaj promieni wysyła. Największą ich ilość wydzielać zdają się tkanki, które w danej chwili pełnią najbardziej intensywną czynność.

W chwili, gdy człowiek mówi, lewa połowa czaszki jego wysyła znaczną ilość promieni. Po ustaleniu miejsca najsilniejszego promieniowania, upewniamy się, że to jest miejsce, w którem znajduje się znany fizjologom ośrodek mowy artykułowanej. Co dziwniejsze, że opisane zjawiska nie ustają ze śmiercią organizmu. Po upływie dłuższego czasu od chwili ustania czynności życiowych, ciało nasze wciąż jeszcze nie przestaje być źródłem tej zagadkowej emanacji promienistej.

* * *

Do największych plag ludzkości i zwierząt należą niewątpliwie komary, drobne, dokuczliwe istoty, dające się we znaki we wszystkich niemal szerokościach gieograficznych, od równika, aż do chłodnych krain podbiegunowych. Kto zna tajgi syberyjskie, podaje zdumiewające opisy unoszących się tam całych chmur małych kąśliwych owadów, które ukazują się w przeciągu krótkiego lata i doprowadzają niemal do szaleństwa mieszkańców. W Laplandji powietrze bywa literalnie wypełnione rojami komarów; oddychanie bez siatki ochronnej przedstawia fizyczną niemożliwość, gdyż za każdym oddechem owady wpadają gromadnie do ust i otworów nosowych. Nie lepiej rzeczy stoją w krajach podzwrotnikowych. Z czasów wojen amerykańskich zachowały się opisy, świadczące, iż wojsko cierpiało więcej od komarów, niżeli od oręża nieprzyjaciół. Żołnierze na noclegach zmuszeni byli do kopania sobie dołów w ziemi, do których wsuwali głowy i przysypywali je z wierzchu piaskiem. Jest rzeczą wobec tego zrozumiałą, że oddawna silono się na różne sposoby, zabezpieczające przed tą plagą skrzydlatą. Pokazało się, że najłatwiejszym środkiem pozbycia się komarów jest tępienie na niższych szczeblach rozwoju — ich jaj, larw i poczwarek. Komary, jak wiemy, lęgną się w wodzie, unikają jednak większych zbiorników, zamieszkałych przez ryby i drapieżne owady, tępiące bezbronną młódź. Prawdziwemi więc gniazdami komarów są drobne kałuże, ścieki i beczki z wodą deszczową, znajdujące się w pobliżu siedzib ludzkich. Pewien uczony zapragnął zbadać zawartość jednej takiej beczki i naliczył ni mniej ni więcej, jak 19.000 młodych postaci tego owadu! Chcąc zwalczać skutecznie komary, należy więc opanować źródła ich powstania. Da się to uskutecznić w sposób dwojaki. Popierwsze — nie pozwalać im doczekać się stanu dojrzałości. Ponieważ komar na całkowity swój rozwój, od jajka aż do „pełnoletności", wymaga co najmniej dni dziesięciu, nie powinno się nigdy pozwalać na przechowywanie wody w beczkach dłużej, niż jeden tydzień. Drugi, jeszcze pewniejszy sposób, polega na radykalnem niszczeniu wszystkich istot żywych zamieszkujących dany zbiornik. Wystarczy w tym celu wlać do wody trochę nafty, która, trzymając się u góry, przykryje cienką błonką powierzchnię. Dopóki się nafta nie ulotni, ani jeden komar nie wylęgnie się. Sposób powyższy z powodzeniem stosowano w paru stanach Ameryki północnej, gdzie w przeciągu jednego lata potrafiono zupełnie się uwolnić od nieznośnych owadów. Metoda ta, niestety nie daje się stosować w większych zbiornikach, których woda przeznaczona bywa do picia. Z używanych w ostatnim wypadku sposobów walki wymienimy jeden bardzo pomysłowy, oparty na znajomości obyczajów wroga. Wiadomą jest rzeczą, że larwy komarów z upodobaniem trzymają się wód zacisznych, nie znosząc wszelkiego ruchu i niepokoju. Owóż w Texas postanowiono — „zatruć komarom życie". W tym celu w pomniejszych nawet zbiornikach powznoszono małe wiatraczki, obracające zanurzone do wody koła, które wprawiają w nieprzerwany ruch środowisko życia komarowej młodzi. Istotnie zabieg ów zdołał tak gruntownie uprzykrzyć komarom żywot, że nikły na zawsze z niespokojnych okolic, ku niemałemu zadowoleniu wynalazczych mieszkańców.

Rozmaitości

Swiat w cyfrach. Według najnowszych dat centralnego biura gieograficznego w Londynie wyraża się cały świat w następujących cyfrach:

Części świata: 1) Europa 437 miljonów mieszkańców, 2) Afryka 126 miljonów, 3) Azja 851 miljonów, 4) Ameryka 161 miljonów, 5) Australja 51 miljonów. Razem na lądach mieszka 1626 do 1685 miljonów ludzi.

Państwa co do wielkości zaludnienia: 1) Anglja (razem z kolonjami) 403 miljony mieszkańców, 2) Chiny 350 miljonów, 3) Rosja 152 miljonów, 4) Stany Zjednoczone 98 miljonów, 5) Francja 81 miljonów, 6) Niemcy 78 miljonów, 7) Japonja (z Koreą) 62 miljonów, 8) Austro-Węgry 50 miljonów, 9) Holandja 44 miljony, 10) Turcja 38 miljonów, 11) Włochy 36 miljonów, 12) Belgja (z Kongiem) 27 miljonów, 13) Hiszpanja 20 miljonów.

Miasta: 1) Londyn 7 miljonów, 2) Nowy Jork 4 miljony, 3) Paryż 3 miljony, 4) Chicago 2 miljony, 5) Berlin 2.100.000, 6) Wiedeń 2 miljony, 7) Tokjo $1^3/_4$ miljona, 8) Filadelfja $1^1/_2$ miljona. 9) Petersburg 1.400 000, 10) Moskwa 1.300.000, 11) Konstantynopol 1.200.000, 12) Buenos-Ayres 1 miljon, 13) Pekin 1 miljon.

Rzeki co do długości: 1) Nil w Afryce, 2) Amazonka w Ameryce, 3) Jenisej w Azji, 4) Wołga w Europie.

Budowle co do wysokości: 1) wieża Eiffel w Paryżu 300 metrów, 2) obelisk w Waszyngtonie, 169 m., 3) wieża w Turynie 164 m., 4) wieża w Kolonji 156 m.

Góry najwyższe: 1) Everest w Azji 8840 m., 2) Aconcagua w Ameryce 7040 m., 3) Elbruz w Europie 5269 m.

Koleje. Długość wszystkich linji kolejowych na świecie wynosiła z końcem 1907 r. 933.850 klm., a szyny mogłyby 26 razy otoczyć kulę ziemską. Najwięcej kolei (473.096 klm.) ma Ameryka, dalej Europa 316.093 klm., Azja 88.000 klm., Australja 28.510 klm., Afryka 28. 193klm. Linje kolejowe w pojedyńczych państwach mają długość: w Stanach Zjednoczonych 361 500 klim., w Niemczech 57.376 klm., w Rosji europejskiej 56.670 klm., we Francji 47.000 klm., w Anglji 37.000 klm., w Austro-Węgrzech 41.000 klm. Wartość tych kolei wynosi: w Europie 100 miljardów, poza Europą 66 miljardów.

* * *

Otwarcie domu ludowego w Helsingforsie. W tych dniach odbyło się w stolicy Finlandji uroczyste otwarcie domu robotniczego przy olbrzymim napływie publiczności. Dom ten znajduje się w środku dzielnicy robotniczej obok domu, należącego do partji socjalno demokratycznej. Olbrzymi gmach domu robotniczego składa się ze stu pokojów, z których 80 oddano do rozporządzenia związkom za-

wodowym. Ściany każdego pokoju ozdobione są odpowiedniemi ornamentacjami. Jeden pokój przeznaczony jest dla robotników rosyjskich. Na dole znajduje się restauracja. Całe prawe skrzydło zajmuje olbrzymia sala, w głębi której urządzono scenę.

Ciekawą jest historja tego domu. Budowali go sami robotnicy w niedziele i święta przez ciąg dwu lat, tak, że tylko materjał kosztował. Dzięki temu koszta budowy tego kolosalnego gmachu wynosiły zaledwie 300.000 rubli.

* * *

Gorączka u roślin. Zranione rośliny, podobnie jak zranione zwierzęta, krwawią, a rany roślin, tak samo jak rany zwierząt zabliźniają się; jest to rzecz powszechnie wiadoma. Nowsze badania wykazały nadto, że energja przemiany materji dla zwalczania zarazków chorobotwórczych może się spotęgować do tego stopnia, iż wytwarza u roślin, zupełnie tak samo jak u zwierząt, prawidłową gorączkę — podwyższenie temperatury, najpierw tylko lokalne, dokoła rany, które następnie szerzy się dalej. Botanicy amerykańscy przeprowadzając biologiczne badanie roślin, przy pomocy przyrządu termoelektrycznego, który może jeszcze wskazać czterechsetną część stopnia, stwierdzili u zranionego kartofla taką podwyższoną temperaturę lokalną, która po 24 godzinach dosięgła najwyższego stopnia, poczem zaczęła opadać. W ten sam sposób zraniona cebula wykazała jeszcze znaczniejsze podwyższenie temperatury niż kartofel, a gorączka nie ograniczyła się na miejscu zranionem, lecz ogarnęła całą cebulę. Wykazało się przytem, że właśnie cebula jest szczególnie intenzywnie podwyższeniem temperatury reagującą na zranienia częścią rośliny. Botanicy amerykańnscy prowadzą w dalszym ciągu te ciekawe doświadczenia.

* * *

Walka o prawo — całusami. Angielskie zwolenniczki prawa głosowania kobiet (sufrażystki) wynalazły nowy i — jak się zdaje — wielce skuteczny środek walki o prawo wyborcze dla kobiet. Dowodzi tego wesoła przygoda, jaka spotkała posła do parlamentu angielskiego Waltersa przed kilku dniami. Walters zauważył w przedsionku sali obrad izby gmin, młodą, przystojną kobietę, usiłującą się zbliżyć do niego, mimo protestu policjanta. Wreszcie odważna sufrażystka dopadła zdziwionego posła, podała mu kartkę z napisem: „prawo wyborcze dla kobiet", poczem objęła go rękami za szyję i pocałowała kilkakrotnie.

Z literatury i sztuki

„Krytyka", miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt XI na listopad. Treść: 1. (f) W pryzmacie dziejowym. — 2. Bron. Ostrowska: Ofiarne chusty. — 3. Dr. Bol. Limanowski: Monizm w historji. — 4. St. Lack: „Noc listopadowa". — 5. Jerzy Kurnatowski: Etyka indywidualna. — 6. W. F.: „Duma o hetmanie". — 7. Wł. Orkan: Z poezji. Wszystko mija... Uważ... — 8. Andrzej Strug: Sielanka. — 9. Savitri: Modlitwa o łzy. Upadłem i cierpiałem... — 10. Prof. I. Baudouin de Courtenay: O języku pomocniczym międzynarodowym. — 11. Przegląd: I. Prasa polska. II. Prasa obca. III. Genjusz a społeczeństwo. (Wobec pierwszej rocznicy zgonu St. Wyspiańskiego). IV. (x) Teatr krakowski. V. Ze sztuk plastycznych. Ruch artystyczny we Lwowie (Maskaron). VI. Karol Estreicher: Wspomnienie. VII. J. Krzesławski: Młodzież na emigracji. VIII. Sowizdrzał nawrócony, czyli p. Nowaczyński w Kanossie. — 12. Sprawozdanie naukowe i lirerackie.

Adres „Krytyki": Kraków, ul. Stachowskiego 14. Kwartalna prenumerata 3 marki.

* * *

Słowniki rzemiosł. Towarzystwo popierania przemysłu i handlu w Warszawie utworzyło specjalną komisję, której zadaniem będzie wypracowanie nazw polskich dla każdego rzemiosła z osobna, a mianowicie dla: szewiectwa, garbarstwa, mularstwa, ciesielstwa, tapicerstwa, zduństwa, pozłotnictwa, rzeźbiarstwa, introligatorstwa, tokarstwa, mydlarstwa, sztukatorstwa, kołodziejstwa, stelmachostwa, bednarstwa, zegarmistrzostwa, bronzownictwa, odlewnictwa, rękawicznictwa, zecerstwa, jubilerstwa, blacharstwa, kowalstwa, szklarstwa i malarstwa. Już wypracowany kompletny słownik polski posiada jedynie stolarstwo, dla ślusarstwa zas opracowuje się dopiero.

* * *

Arcybiskup przeciwko Żeromskiemu. W sejmie galicyjskim dnia 3 listopada była na porządku sprawa podwyższenia płac dla księży. Nawet ksiądz Stojałowski był przeciwny tej pozycji. Podnoszono, że najpierw należy poprawić nędzne pensje nauczycieli ludowych. Przy tej sposobności arcybiskup Teodorowicz pozwolił sobie na bezsensowną wycieczkę przeciwko jednemu największemu, współczesnemu, polskiemu pisarzowi — Stefanowi Żeromskiemu i to przeciwko jego ostatniemu utworowi „Dzieje grzechu". Arcybiskup wywodził: „Wziąłem do ręki książkę rozbieraną, rozchwytaną przez niedorostków i pensjonarki masami całemi, książkę, napisaną przez człowieka talentu, ale która wyprowadza na wierzch taką moralną zgniliznę i w taki sposób realistyczny, że Zola z pewnością byłby się zapłonił, bo jego pióro tak daleko pójść nie umiało. Nie wchodzę w krytykę, nie wchodzę w ocenę, ale tego uczucia doznałem, czytając: Jak to obce, jak to nam obce, co tam przedstawiono; a jednak, co tam było pisane, było zbiorem, reprodukcją, zdjęciem fotograficznem tych prądów rewolucyjnych obcych naszej kulturze, zagrażających strasznie naszemu duchowemu życiu i duchowemu bytowi. Jeżeli więc ta myśl w literaturze co prawda i poezji przebłyska, aby tylko oderwać się od sztandaru chrześćjaństwa i katechizmu, patrzcie panowie, jak mimowoli samą siłą ciężkości musi przestać być narodową i przestać być samodzielną".

Żeromskiemu przeciwstawia arcybiskup Orzeszkową jako środek na „błoto materjalizmu".

Polska ceni dziś już zanadto gienialnego swego pisarza, jakim jest Żeromski, by zaściankowe wystąpienie arcybiskupa było w stanie zmniejszyć jego sławę.

Kącik humorystyczny.

Kupił swoje własne woły.

Doskonałą historję opowiada „Gazeta Ludowa": W miejscowości Smorżem w Galicji koło Skolego zdarzył się tymi dniami ogromnie zabawny, ale równocześnie i ogromnie pouczający wypadek. Oto pewien gospodarz z Wołosianki przyprowadził woły na jarmark do Smorżego, tłuste i pięknej maści, jednak zależałe i pełne po bokach przyschłego gnoju, nieczesane, zaniedbane.

Trafił się kupiec żyd, który kupił je za 480 koron i natychmiast postanowił zrobić na tym interesie jeszcze lepszy interes. Zaprowadził woły do pewnego gospodarza w Smorżu, wyczyścił je z gnoju, porządnie zmył wodą, powycierał, wysuszył. wyczesał zgrzebłem, poczyścił nogi, racice, rogi wygładził i zdał je drugiemu żydowi, który je znowu poprowadził na targ. Woły tak się zmieniły i podobały owemu gospodarzowi, który je przed kilku godzinami sprzedał, że natychmiast kupił je za 560 koron.

Zadowolony, że ładne woły tanio kupił, prowadzi je do domu. Po drodze spotyka sąsiadów, którzy przyglądając się tym kupionym wołom, twierdzą, że to jego woły.

— Ale gdzie tam — powiada — wszak moje były mniejsze, inne, a przecież i zapłaciłem za nie 560 koron.

— Ano, wiesz co — mówią sąsiedzi — puść woły luzem, jeżeli same trafią na twoje obejście, toś kupił swoje własne woły.

Tak się też i stało. Woły nietylko trafiły na obejście, ale weszły do stajni i każdy stanął na swojem dawnem miejscu. Nietylko było w gminie śmiechu z niego wiele, lecz nawet otrzymał już i przydomek „samokup".

Z tego wesołego przypadku jest taka nauka, że na utrzymaniu zwierzęcia w czystości można łatwo zarobić 100 koron, a kupno własnych wołów jest wtedy niemożliwe.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 47. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 21 listopada 1908.

MARJA KONOPNICKA.

Ofiara pracy.

Czarna otchłań kopalni lampek błyska żarem,
Huk ciężkich kroków z szybu blizkiego dolata,
Ponurym korowodem, zgięci pod ciężarem,
Idą górnicy, niosąc zabitego brata,
Na noszach ciało nagie, sztywne, wynędzniałe,
Na pierś zimną rzucona kurtka, łachman zdarty,
Z pod kurty wisi ręka, a z niej, jako z karty
Krwawej, widne dzieje życia tego całe.
Zwolna sunie korowód w milczeniu głębokiem,
Na twarzach skamieniałych ni bólu, ni skargi,
A przed marami, świecąc, silnym idzie krokiem
Górnik w kapturze, pięści ściskając i wargi.
W spojrzeniu błyskawica nagła i ponura,
Czoło zbrużdżone, piorun buntu po niem lata;
Zakryty idzie. Jutro uchyli kaptura
I ukaże oblicze zmienionego świata.

ZBIGNIEW WOSZCZYŃSKI.

Beznadziejne życie.

Cały oddział kobiecy otoczyli kozacy. Oni również wkroczyli na podwórze, zajęli korytarze. Nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że jesteśmy zdradzone, że za chwilę wkroczą do naszych cel i rozpocznie się rewizja.

— Co robić?...

Ogarnął nas taki lęk i przerażenie, że nawet jedna drugiej nie śmiała postawić tego prostego pytania. I po co, zresztą? Wszak nie można było wątpić, że znajdą wszystko... a później...

I na myśl tego, co może nastąpić, wzdrygają się nasze dusze.

— Zabiją — to nic... Powieszą — i to nie straszne... ale przedtem jeszcze... kozacy. I sturamienny lęk chwyta naszą myśl w żelazne kleszcze strasznych przypuszczeń i przeżywać każe mękę oczekiwanych zniewag.

Nie pamiętam już której z nas wpadła do głowy szalona myśl, abyśmy się prędko rozebrały i pokładły do łóżek. Myśl ta wydała nam się niemal wybawieniem. Przecież według regulaminu więziennego dawno już powinniśmy spać!...

Naiwnie, nie rozumując, poddałyśmy się tej myśli i szybko ściągnąwszy z siebie ubranie, pochowały pod kołdry.

Leżałyśmy tak długą chwilę, nadsłuchając... Mimo gwaru żołdactwa słyszałam bicie własnego serca, tak się ono tłukło.

Wreszcie ktoś cicho, szeptem zapytał:

— A gdzie bomba?...

W popłochu zapomniałyśmy o niej.

Od kilku dni, przechowując ją u siebie, dla niezwrócenia uwagi, trzymałyśmy ją zawsze w szufladce stolika, owiniętą w olbrzymi kłęb włóczki. Dziś jednak, w oczekiwaniu chwili, która miała być dla nas wybawieniem, trzeba ją było mieć w pogotowiu, zdolną do czynu. Odwinąwszy z włóczki, położyłyśmy do łóżka Kory. Tej biednej, chorej Kory, którą trawiła beznadziejność choroby piersiowej i oczekującego ją sądu wojennego, a co zatem idzie — stryczka... Smierć z dwu stron wyciągała do niej swoje zimne, kościste dłonie. — — —

Pytanie o bombie powtórzył jeszcze ktoś i na to odpowiedział mu cichy szept Kory:

— U mnie... w łóżku...

— Ależ to niemożliwe! — poczęłam mówić w obawie o Korę, która nawet siły dosyć nie miała, aby bombę dobrze przy sobie podczas rewizji ukryć, ale zgrzyt otwieranych drzwi przerwał moje słowa.

Do celi wkroczył oficer kozacki, żołdactwo i żandarmi.

Oficer krzyknął do nas groźnie:

— Milczeć! Nie ruszać się z miejsc, nie rozmawiać!...

Przy łóżku każdej z nas postawił żołdaka z bronią i dodał zwierzęco:

— Na zabawę będzie czas później... przy rewizji... a teraz, jeśli która drgnie choćby — strzelać, jak do psa!...

I wyszedł wraz z resztą żołdactwa.

Starałam się zapanować nad sobą, ale nie mogłam. Całe ciało moje ogarnęło jakieś nerwowe drżenie. Wysiłkiem woli chciałam zdusić ogarniający mnie lęk, ale nerwy, poszarpane przez długie miesiące podziemnej pracy rewolucyjnej, a obecnie doprowadzone do ostatecznych granic rozstroju kilkudniowem, naprężonem oczekiwaniem ucieczki, rozprzęgły się zupełnie.

Poczęłam febrycznie szczękać zębami...

Żołdak, stojący koło mojego łóżka, popatrzył się na mnie, bagnetem odchylił ściskaną kurczowo na piersiach kołdrę i z brutalną bezmyślnością zimnym ostrzem stali począł dotykać odsłonionych piersi.

Czułam, jak ostrze wpija się w moje ciało, a płomień wstydu oblewa twarz. Próbowałam zerwać się... krzyknąć... ale wola moja umarła, a ciało leżało sparaliżowane lęku strasznego widmem. I żołdak bezkarnie mógł lizać obmierzłem spojrzeniem pierś moją nagą, mógł ostrzem bagnetu wpijać się w ciało.

— Nu, panienka! tobie zimno? — pytał z całą okrutnością nieokiełznanego zwierzęcia i dodał z błyskiem w oczach:

— Poczekaj... po rewizji, to już ja ciebie rozgrzeję!... Aż piszczeć będziesz, tak ci będzie ze mną ciepło...

Jak dobijane pałkami zwierzę, szarpnęłam się ostatnim odruchem woli i śliski bagnet żołdaka zagłębił się na chwilę w moje ciało.

Żołdak cofnął bagnet.

— Nu, głupia! — rzekł i otarł spokojnie skrwawione ostrze rękawem.

Po ciele mojem spływały zwolna gorące, purpurowe krople krwi.

Nie miałam jednak czasu myśleć, ani bólu nawet nie czułam, bo oto ciszę w tej chwili rozdarł krzyk szalony, krzyk bólu niezmiernego i męki. A krzykowi wtórował śmiech żołdactwa... śmiech zwierząt... śmiech szakali...

W celi sąsiedniej robiono rewizję. Słychać było głos oficera, jak wołał zgniewany:

— Rozebrać ją! prędzej! No... koszulę!...

I znowu ten sam krzyk. — — — A później głuche uderzenia pięści żołdackich i przekleństwa dzikie. A jeszcze później jęki i bezsilny, bolesny płacz...

— Do ciemnej celi ją wziąć... na tydzień... Tak... nagą!...

Klucz zgrzytnął w drzwiach naszej celi.

— Wstawać!

Któraś z nas odważyła się na uwagę, że jesteśmy rozebrane. Oficer uśmiechnął się dwuznacznie, z zadowoleniem.

— To i lepiej! Mniej roboty... nie trzeba się rozbierać.

Dał znak żołdakom. Wymierzyli oni lufy karabinów w nasze głowy i rozległ się trzask zwodzonych kurków.

— Ręce do góry!

Żołdacy ślizgali się bezwstydnie spojrzeniami po naszych falujących łonach, otaczali wzrokiem nogi, biodra... I pod biczem tych spojrzeń dusz zgłodniałych zbrodni, stałyśmy bezsilne i znękane.

Już miano przystąpić do rewizji, gdy oficer zauważył, że Kora nie wstała.

— A ty, czego leżysz! — zawołał z dziką wściekłością i rzucił się ku niej z podniesioną pięścią.

— To chora — starał go się uspokoić naczelnik więzienia.

— Chora? Nu, ona u mnie zaraz wyzdrowieje! Wstawaj! ty...—

I rzucił słowo... jedno podłe słowo, co jak policzek smaga, jak ogień pali, a lipkie jest, jak błoto uliczne.

Kora blada, chwiejąc się, wstała powoli. Zdawało się, że wszystka krew zbiegła jej z twarzy, że to nie człowiek, ale kościotrup się posuwa. Podeszła blisko — — blisko — — i plunęła mu w oczy.

— Podły! — szepnęła z wysiłkiem.

Chciała podnieść dłoń, chciała mu może wymierzyć policzek, ale w tej chwili grad kolb karabinów żołdackich uderzył w jej ciało, zwalił z nóg i głuchym łoskotem odbijał się bez liku, bez upamiętania. Była to orgja zwierząt rozjuszonych, krwi żądnych.

Rzuciłyśmy się ku niej, na nic nie pomne, by bronić, ratować... Ale dłonie nasze skrępowano, ale ciała oplotły żelazne ramiona żołdaków.

W naszych oczach wleczono ją po celi za włosy, zdarto z niej koszulę, deptano obcacami, pastwiono się nad jej białem, delikatnem ciałem. Bezwładną, przerzucano kopnięciami nóg z jednego w drugi kąt celi, a gdy z ust jej buchnęła krew, usta zatkano. — — —

— — — Ciało Kory w mękach sztywniało powoli...

— — — — — — — — — — — — — —

Przy rewizji znaleziono w łożku Kory schowaną w sienniku bombę. Nie pytano się nawet, do kogo należy. Spisano protokół i kazano nam podpisać, że Korę złapano za rękę, gdy chciała bombę rzucić w oficera.

Odmówiłyśmy.

Kazano nam się ustawić w rząd, poździerano z nas bieliznę.

Wywołano jakiegoś żołdaka i jedną z nas, stojącą jako pierwsza w szeregu.

— Podpisz! — i oficer podsunął jej pióro.

Stała bezradna, ale nie podpisywała...

Trwało to chwilę tylko może, ale ta chwila wydała nam się tak długą, tak strasznie długą...

Oficer skinął na żołdaka:

— Bierz ją sobie!

...Podpisała. I myśmy wszystkie podpisały — już bez oporu, bez zgrozy objęć żołdackich.

Ogniem hańby, ogniem wspomnień palone, burzyłyśmy się przeciwko sobie, przeciwko naszym duszom skarlałym, że zniosły to wszystko. I wstyd nam było, wstyd, który się w myśli rumienić każe.

Wreszcie w zdeptanych duszach powstała myśl buntu, myśl szalonego protestu śmierci.

Protestem, buntem — miała być dobrowolna męka głodu...

I oto poczęły się wlec leniwie chwila za chwilą, jedna od drugiej dłuższa i posępniejsza.

Leżałyśmy bez ruchu, bez myśli i tak przepędzałyśmy godziny... dni... tygodnie może... — nie wiem, nie wiem... A kiedy ból skręcał wnętrzności, szarpał je wściekle i jęk tłumiony z piersi wydobywał — to jęk to był bezdźwięczny. Nic... — nic nie wyrażał. Tylko gdzieś w duszy, tylko gdzieś w myśli powstawała utęskniona nadzieja śmierci, taka nam bliska i taka droga.

Kiedy byłyśmy już bez sił i pamięci, konające, wprowadzono znów do naszej celi żołdaków i znów uległyśmy. —

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Nad Korą odbył się sąd.

Sądzono właściwie jej trupa... Aby nie wydawać ciała rodzinie, aby nie było oględzin lekarskich, osądzono martwą, na martwej wyrok wykonano i zakopano na śmietniku w podwórzu więziennem.

Siedzimy teraz boleśnie pogrążone w sobie i jedna drugiej w oczy spojrzeć nie śmie... Ściany celi, zbryzgane niezmytą jeszcze krwią Kory, dławią nam piersi, odbierają wszelką nadzieję i chęć do walki.

Kamienne, zimne ściany! — — —

Beznadziejny smutek i beznadziejna rozpacz — oto jedyni przyjaciele naszych dusz umęczonych.

DR. WŁADYSŁAW GUMPLOWICZ.

Dziesięć największych państw na świecie.

Które są największe państwa na świecie?

Aby na to pytanie trafną dać odpowiedź, trzeba pamiętać o tem, że jedno i to samo państwo może posiadać prowincje w różnych częściach świata. O wielkości i potędze Anglji naprzykład otrzymalibyśmy całkiem niedostateczne pojęcie, gdybyśmy uwzględnili tylko Anglję właściwą i europejskie jej posiadłości, a zapomnieli o tem, że Anglja ma oprócz tego także zamorskie posiadłości, czyli tak zwane kolonje w Azji, Australji, Ameryce i Afryce. Coprawda, w posiadaniu kolonji przez jakiekolwiek państwo, zawsze tkwi pewna niesprawiedliwość, którą partja socjalistyczna zasadniczo potępia. Albowiem mieszkańcy kolonji zazwyczaj są innej narodowości, innym językiem mówią i inne mają zwyczaje, aniżeli mieszkańcy kraju panującego, a w każdym razie już ze względu na odległość siedzib swoich mają odrębne interesy; więc też zwierzchnictwo kraju panującego nad kolonjami prawie zawsze staje się źródłem ucisku i wyzysku. Niemniej jednak, aby poznać dzisiejszy stan rzeczy, przy obliczeniu wielkości każdego państwa z osobna trzeba zawsze doliczać jego kolonje.

Po zatem odpowiedź na pytanie, które są największe państwa, rozmaicie wypadnie, zależnie od tego, czy za podstawę obliczenia weźmiemy przestrzeń, zajętą przez dane państwo na powierzchni ziemi, czy też liczbę ludności. Nie zawsze bowiem równe przestrzenie mają równą ilość mieszkańców. Kraj o bardzo rozległym obszarze może być bardzo słabo zaludnionym, a naodwrót kraj o niewielkim obszarze może mieć ludność bardzo gęstą.

Jeśli tedy zestawimy dziesięć państw o największym obszarze, to będą to następujące:

	Państwo:	Przestrzeń:
1.	Państwo angielskie	33 mil. kilometr. kwadrat.
2.	„ rosyjskie	22 „ „ „
3.	„ chińskie	11 „ „ „
4.	Stany Zjednoczone Ameryki Półn.	10 „ „ „
5.	„ „ Brazylji . .	8½ „ „ „
6.	Państwo francuskie	6½ „ „ „
7.	„ niemieckie przeszło	3 „ „ „
8.	„ tureckie	3 „ „ „
9.	Stany Zjedn. Argentyny niespełna	3 „ „ „
10.	Państwo kongolańskie „	2½ „ „ „

Z tych dziesięciu państw dwa: monarchja angielska i republika francuska, mają ośrodek rządów w Europie, ale posiadają kolonje we wszystkich czterech pozostałych częściach świata. Państwo rosyjskie leży częściowo w Europie, częściowo w Azji; niegdyś, pół wieku temu, Rosja posiadała także rozległe ziemie w Ameryce, ale sprzedała je amerykanom z powodu kłopotów pieniężnych, w które popadła po powstaniu polskiem 1863 r. Cesarstwo chińskie leży całe w Azji. Z obszaru państwa niemieckiego trzy czwarte przypadają na kolonje niemieckie w Afryce, jedna szósta na Niemcy właściwe wraz z polskiemi dzielnicami pod zaborem pruskim, a reszta na posiadłości w Australji i Azji. Turcja ma swoją stolicę na pograniczu Europy i Azji; największa część państwa leży w Azji, mniejsza w Afryce, najmniejsza w Europie. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej do niedawna leżały całe w Ameryce, obecnie jednak posiadają kolonje w Australji i Azji. Stany Zjednoczone Argentyńskie całe leżą w Ameryce Południowej. Państwem kongolańskiem wreszcie nazywają się owe dzikie kraje murzyńskie w Afryce środkowej, gdzie jako samowładca panuje Leopold, król belgijski. Nie jest to jednak kolonja Belgji, bo Leopold rządzi tam nie jako konstytucyjny król belgijski, tylko całkiem na własną rękę, tak że belgijski parlament nie ma w sprawach kongolańskich nic do gadania. Tak przynajmniej dotąd było; dopiero teraz toczą się rokowania o przyłączenie państwa kongolańskiego do Belgji. Socjaliści belgijscy nie są jednak przychylni temu projektowi, po pierwsze dlatego, że dzieją się tam straszne okrucieństwa, za które towarzysze nasi nie chcą brać współodpowiedzialności na siebie; proponują tedy, żeby kraj kongolański oddać w opiekę międzynarodowej komisji, w którejby wszystkie mocarstwa miały swoich przedstawicieli.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa, jeśli porządkujemy państwa nie według obszaru, tylko według ludności. Dziesięcioma najludniejszemi państwami na świecie są:

	Państwo:	Ludność:
1.	Państwo angielskie	400 mil. mieszkańców
2.	„ chińskie	330 „ „
3.	„ rosyjskie	146 „ „
4.	Stany Zjedn. Ameryki Północnej .	90 „ „
5.	Państwo francuskie	88½ „ „
6.	„ niemieckie	73 „ „
7.	„ japońskie	61 „ „
8.	Austrja wraz z Węgrami i Bośnją	49 „ „
9.	Państwo holenderskie	43 „ „
10.	„ włoskie	34½ „ „

Przy porównaniu tej tabliczki z poprzednią, ogromne różnice odrazu wpadają w oko. Przedewszystkiem Rosja i Chiny zamieniły miejsca; państwo chińskie, którego obszar wynosi tylko połowę obszaru Rosji, ma przeszło dwa razy więcej mieszkańców. Tłómaczy się to po części nadzwyczajną skrzętnością włościan chińskich, którzy na maleńkim skrawku ziemi potrafią wyhodować żywność dla całej rodziny, po części zaś tem, że Chiny mają błogosławiony klimat, podczas gdy wiele okolic Rosji ma klimat tak mroźny i surowy, że ludzie tam tylko z największą trudnością istnieć potrafią, a i to tylko w bardzo niewielkiej liczbie, bo zboże tam nie rośnie, a z myśliwstwa i rybołówstwa tylko bardzo nieliczna ludność żyć może. Ba, na północy Syberji są nawet dość rozległe kraje, gdzie wogóle ludzi niema, bo mróz jest zbyt zabójczy; kraje te na mapie przyczyniają się do wielkości państwa, ale w rzeczywistości prawie żadnego znaczenia nie mają. Dalej spostrzegamy, że państwo angielskie, mimo, że obszar jego jest tylko o połową większy od obszaru Rosji, mieszkańców ma nie o połowę więcej, tylko blisko trzy razy więcej; tłómaczy się to po części wysoką kulturą anglików, przedewszystkiem zaś ciepłym klimatem i urodzajną glebą Indji Wschodnich, oraz pracowitością mieszkańców tej największej kolonji angielskiej. Dalej czterech państw znanych nam z pierwszej tabliczki: Brazylji, Turcji, Argentyny i państwa kongolańskiego na drugiej tabliczce wcale niema; są to państwa tylko obszarem wielkie, a nie ludnością. Argentyna naprzykład ma tylko pięć miljonów mieszkańców, czyli o trzecią część mniej niż Galicja. Ale też wnętrze Argentyny zajmują suche stepy odludne, a wnętrze Brazylji niemniej odludne puszcze; państwo kongolańskie jest całe jedną wielką puszczą, wśród której tu i ówdzie tylko murzyni wykarczowali kawał ziemi pod niewielką osadę. Turcja zaś posiada kraje z natury nader bogate, które były siedzibą prastarej cywilizacji; ale wskutek haniebnej gospodarki rządu tureckiego kraje te są dzisiaj zaniedbane i spustoszone, tak, że mają bodaj mniej mieszkańców, niźli miały trzy tysiące lat temu.

Z drugiej strony, w spisie dziesięciu państw najludniejszych spotykamy cztery państwa, których wcale nie było w spisie dziesięciu państw najobszerniejszych. Są to więc państwa niezbyt rozległe, ale ludne. Są niemi: Japonja, Austrja wraz z Węgrami i Bośnją, państwo holenderskie i Włochy. Z tych Japonja składa się głównie z długiego łańcucha wysp, sięgającego od strefy wiecznych śniegów aż do gorącej strefy podzwrotnikowej. Wnętrze tych wysp zajmują odludne puszcze górskie, ale za to w nizinach nadmorskich włościanie japońscy nadzwyczaj skrzętnie i umiejętnie uprawiają każdą piędź ziemi; w miastach są liczni a zręczni rzemieślnicy, a ost tnimi czasy mnożą się robotnicy fabryczni. Nadto japończycy podczas ostatniej wojny zdobyli Koreę, która wprawdzie jest mniej kulturalną i słabiej zaludnioną od Japonji, ale zawsze liczy około dziesięć miljonów mieszkańców. Co do monarchji austrjacko węgierskiej, to nie posiada ona żadnych kolonij zamorskich, ale za to jest przeciętnie jedenaście razy gęściej zaludnioną od państwa rosyjskiego. Co do Holandji, to, gdyby chodziło tylko o europejskie jej prowincje, należałoby ją zaliczyć do małych państw, tak pod względem obszaru jak i ludności: obszar Holandji europejskiej równa się bowiem dwom piątym obszaru Galicji, a ludność zaledwie przewyższa połowę ludności Królestwa Polskiego. Ale Holandja jest pierwszorzędnem państwem kolonjalnem; a mianowicie, na drugim końcu świata, na południowo-wschodnich kresach Azji, Holandja posiada szereg ogromnych wysp, z pośród których sama tylko wyspa Jawa, o niezwykle bujnej roślinności, ma blisko 30 miljonów mieszkańców. Coprawda, wątpliwem jest, czy Holandja długo jeszcze zdoła utrzymać władzę swoją nad temi bogatemi wyspami, na które już dawno pożądliwem okiem spoglądają i Japonja i Anglja. Co się wreszcie tyczy Włoch, to posiadają one tylko dwie kolonje w Afryce wschodniej, niezbyt wielkie i dość odludne; ale za to Włochy właściwe są siedzibą wysokiej, odwiecznej cywilizacji. Tam już od tysiąca lat stały grody warowne, pisano księgi i rzeźbiono posągi, kiedy jeszcze przodkowie dzisiejszych Niemców wpół dzicy koczowali po puszczach. To tłómaczy, dlaczego Włochy do dziś dnia są gęściej zaludnione od niemiec, mimo że górzyste wnętrze Włoch nie bardzo się do gęstego zaludnienia nadaje.

Istotnie też Japonję, Austrję i Włochy, mimo ograniczonej wielkości obszaru, powszechnie zalicza się do mocarstw, podczas gdy Brazylja i Argentyna, Turcja i państwo kongolańskie mimo wielekroć większego obszaru żadnemi mocarstwami nie są.

Z tego wszystkiego widzimy, że o rzeczywistej wielkości i potędze państwa przestrzeń zgoła nie rozstrzyga. Istotnymi czynnikami potęgi państwowej są z jednej strony: klimat, gleba i położenie, z drugiej strony zaś: ludność, kultura i dobre urządzenia polityczne. Tak tylko zrozumieć można, że Japonja mogła zwyciężyć Rosję, mimo że przed wojną obszar Rosji był prawie pięćdziesiąt sześć razy większym on ówczesnego obszaru Japonji, a nawet i dzisiaj, kiedy japończycy zmusili rosjan do ustąpienia z Mandżurji, a sami zagarnęli Koreę, obszar Rosji wciąż jeszcze wynosi trzydzieści pięć razy tyle, co obszar państwa japońskieego.

To też prawdziwym patrjotą nie jest ten, kto za wszelką cenę powiększyć chce obszar państwa, a raczej ten, kto dąży do tego, aby wewnątrz państwa zakwitła kultura i wolność, oraz żeby urządzenia państwowe były zgodne ze sprawiedliwością społeczną. A do tego dąży socjalizm.

Rozmaitości

10 przykazań dla uniknięcia nieszczęśliwych wypadków.

1. Nie zostawiaj nigdy dzieci samych w mieszkaniu, nigdy nie pozwól siedzieć dziecku samemu przy otwartem oknie.
2. Nie zostawiaj zapałek, garnków z ukropem, gorącego żelaza tam, gdzie dziecko sięgnąć może.

3. Zamknij dobrze każdą truciznę a butelkę opatrz napisem, żeby się nikt nie mógł omylić.
4. Nie używaj nigdy butelek, słoików, naczyń i t. p., zanim ich dobrze nie wymyjesz ciepłą wodą sodową.
5. Nie używaj niepobielanych, miedzianych (koprowych) lub cynkowych naczyń.
6. Nie dolewaj nigdy do palącej lampy lub maszynki nafty lub spirytusu.
7. Strzeż się, żeby się do rozpalonego tłuszczu nie dostała woda, gdyż para może ci oczy wyparzyć.
8. Nie wywabiaj plam, nie pierz rękawiczek bencyną lub terpentyną przy lampie lub świecy — bencyna bowiem łatwo eksploduje.
9. Nie zasuwaj klapy u pieca dopóki się węgiel nie wypali, bo się zaswędzisz.
10. Gdy sobie skaleczysz palec lub rękę, owiń natychmiast; jeśli kurz lub trująca materja dostanie się do rany, może łatwo nastąpić zakażenie krwi.

(„Przewodnik zdrowia").

* * *

Elektryczna fotografja na odległość. Elektromechanik Stanisław Chrzanowski w Przemyślu wynalazł aparat, zapomocą którego można dokonywać zdjęć fotograficznych na odległość. Wynalazek ten ma specjalnie wielkie znaczenie dla wojskowych celów, to też wynalazca skomunikował się z wojskowym komitetem technicznym w Wiedniu. Z jego polecenia odbyła się 13 b. m. próba, która miała dać znakomity rezultat. Wynalazek swój nazwał p. Chrzanowski „telektroskopem".

* * *

Nowy sposób gaszenia pożarów. Jak donoszą z Nowego Jorku, sikawki, nawet pożarowe, staną się wkrótce przyrządami zbytecznymi. W mieście owem zaprowadzono nowy sposób gaszenia ognia, a próby wypadły nadspodziewanie pomyślnie. Urządzono tam centralną stację pomp, które wtłaczają wodę w sieć osobnych rur, idących pod ulicami. Gdy wybuchnie pożar, straż ogniowa łączy węże z najbliższym otworem rury i strumień wody tryska w górę, pędzony siłą pomp centralnej stacji. Po raz pierwszy system ten wytrzymał próbę — dosłownie — ogniową, gdy wybuchł pożar w 5-piętrowym budynku przy ulicy Franklina. Założono 5 wężów, z których woda tryskała na wysokość 225 stóp, gdy dotychczasowe sikawki działają zaledwie na $^1/_3$ tej wysokości. W ciągu 15 minut pożar został ugaszony. Po tej pomyślnej próbie urządzono w Nowym Jorku drugą stację pomp, a sieć rur rozciąga się już na przestrzeń 65 mil.

* * *

Automobile powiększają w wielkim stopniu liczbę ofiar nieszczęśliwych wypadków w komunikacji. Według londyńskiego „Economist" na ulicach Londynu było ofiar komunikacji:

W roku	zranionych	zabitych
1905	11 684	172
1906	14 060	212
1907	16 772	283

Ten szybki wzrost należy przypisać wzrostowi komunikacji automobilowej. Za to ma ludność, płacąca podatki, to jedyne zadośćuczynienie, że musi dzięki panom automobilistom ponosić zwiększone koszta konserwacji dróg, automobile bowiem niszczą drogi w znacznie większym stopniu, niż zwykłe wozy. Oto jak wzrastały koszta utrzymania dróg, licząc w funtach szterlingów, za milę angielską:

W hrabstwach	1901	1906	1907	wzrost procentowy
Hertfordshire	46	54	63	35
East Sussex	79	111	119	49
Hamshire	45	72	72	60
Berkshire	61	81	100	63
Surrey	151	248	267	77

Oto ofiary w mieniu i krwi, jakie ponoszą masy ludowe dzięki warjactwom automobilowym kapitalistów!

* * *

Smutne porównanie. Odkąd połowa Sachalinu przeszła w ręce japończyków, można było nareszcie przekonać się, czy też ta „wyspa przeklęta" jest istotnie ubogim krajem, czy też poprostu nikt należycie nie eksploatował jej bogactw przyrodzonych. Niedawno powróciło stamtąd kilka osób, które jeździły w celu zbadania gieologicznego tej krainy. Opisują one swe wrażenia w sposób następujący: W części rosyjskiej wyspy pusto i bezludno, żadnego ruchu w przemyśle nafciarskim ani drzewnym, nawet bogate niegdyś rybołostwo w zaniedbaniu zupełnem. W części japońskiej życie wre wszędzie; sieć dróg żelaznych i szos ma połączyć miejscowości zaludnione, wioski i kolonje powstają, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, prowadzą się badania gieologiczne, odkrywają bogate pokłady węglowe, zaprowadza się umiejętna gospodarka leśna. W jednych kopalniach węgla i eksploatacji leśnej 200 tysięcy ludzi znajduje pracę dla siebie i utrzymanie dla swych rodzin. To jest dowodem, jak przy energicznej i umiejętnej pracy kraj, napozór nędzny, zmienia się w kwitnącą kolonję.

* * *

Polowanie a ludożerstwo. W czasopiśmie „Le Tour du Monde" ogłosił sprawozdanie ze swej podróży kapitan Lenfant, dowódca ostatniej wyprawy francuskiej do Konga. Lenfant stwierdził, że podobnie, jak plemiona wschodniego Konga, tak i murzyni, nad rzeką Langa mieszkujący, są ludożercami. Wszędzie podczas podróży napotykał Lenfant ślady ludożerstwa. W pewnej wsi widział w kotle gotujące się ramiona i piersi kobiety. Murzyni tamtejsi nad wszystko przenoszą ciało ludzkie, zwłaszcza „białych". Zjadają przedewszystkiem jeńców i zabitych wrogów, prócz tego zaś kobiety z własnego plemienia, jako „ofiary". W razie nieurodzaju, złych polowań, albo niszczącej wojny, plemię wydaje na ofiarę pewną liczbę dziewic, które po uroczystym tańcu pośród okrzyków i uderzeń „tamtamu" duszą i gotują. Każdy uczestnik uroczystości otrzymuje swoją porcję i wraca do chaty, ażeby w spokoju delektować się niezwykłym kąskiem. Jeden z tubylców, niosący pakunki wyprawy Lenfanta, zbiegł w owych okolicach. Jak się później okazało, murzyni zjedli go już nazajutrz po ucieczce. Ludożerstwo wzrasta w porze, gdy brak zwierzyny, małp, szczurów i wężów. W takich razach pod jakimkolwiek pozorem ludność daje na ofiarę kobiety i zjada je po uduszeniu. Nawet stałe uroczystości połączone ze spożywaniem ciała ludzkiego wypadają zawsze w porach, gdy w lasach zwierzyna cofa się w niedostępne knieje i trudno ją upolować.

Z literatury i sztuki

Zniszczone witraże Wyspiańskiego. W Krakowie podczas fakelcugu straży pożarnej zostały w kościele Franciszkanów roztrzaskane 3 witraże St. Wyspiańskiego: dwa witraże kwiatowe zostały bardzo zniszczone, w pierwszym rozbitych 8 kwater okna, w drugim 6; trzeci zaś witraż, św. Salomea, wstawiona dopiero przed paru tygodniami, wykazuje uszkodzenie u dołu okna i na szyi postaci św. Salomei. Zniszczenie spowodowane zostało tem, że fotograf „Nowości ilustrowanych", robiąc zdjęcie fakelcugu przy świetle magnezjowem, wywołał eksplozję kali chloricum. Zniszczone witraże Wyspiańskiego mają być powtórnie wykonane podług oryginalnych kartonów.

* * *

Nr. 11 (na listopad) **„Przewodnika zdrowia"** (Czarnowski Berlin Weissenburgerstr. 27) wyszedł i zawiera: Ćwiczenia gimnastyki wyprężnej (20 rycin). — Wyjaśnienia i środki zaradcze przeciw wadom serca, według nowych zapatrywań dra. Jeżeka (10 rycin). — 10 przykazań dla uniknięcia nieszczęśliwych wypadków. — Przestrogi i rady. Rozmaitości.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 48. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 28 listopada 1908.

Franciszek Henryk Nowicki.

U wrót ludowych

Zewsząd wygnana, z wściekłością ścigana
Z twierdz, miast, pałaców, z wsi, pustyń, z gór [szczytu,
Odarta z prawa do życia i bytu,
Pośród kul, strzałów jak zwierz dziki szczwana,
Ucieka po świata przestworze
I wiecznie pada, ginąca, krwią zlana,
I wstaje, bo umrzeć — nie może!

Wieki już pierzcha i leje krew wieki,
Krew swą serdeczną, krew ssaną od wrogów,
Nigdzie gościnnych nie znalazła progów,
Nigdy bezsennej nie zwarła powieki,
W tułactwie, ucieczkach wiekowych,
Aż raz w zaułku u chaty dalekiej
Do wrót zapukała ludowych.

Kto?... lud zapyta. — Ja... ranna... goniona...
Wejdź tu — tuś pewna — podzielim się głodem,
Prześladowaniem, łachmanem i chłodem.
Dzięki ci ludu! rzekła zamyślona,
Żeś pierwszy mię przyjął w twą chatę,
Nie wiesz ty, kogoś przygarnął do łona
I jaką dam za to zapłatę.

Gnębią mię prawa ludzi wśród natury,
Ale, o ludu, jestem nieśmiertelną!
Ja tchnę ci w serce siłą czynu dzielną,
Ja dam ci w ręce, o tłumie ponury,
Ląd, morze, ich skarby olbrzymie,
Dam ci rząd świata, rozkosze kultury,
Dam dłoń swą, mnie Wolność na imię.

ANDRZEJ STRUG.

Ostatni spacer.

Ktoś chce wejść do celi — klucz w zamku — kroki kilku ludzi za drzwiami. Ciężko stukają kolby stawianych na podłodze karabinów. Zimne, przenikliwe uniesienie...

Długo nie wie, czego chce od niego żandarm, co mówi. Wreszcie odgadł. Spadł mu ciężar z mózgu i serce zaczęło znowu bić. Ale gdy szedł przez korytarz, zbudziło się w nim gorzkie uczucie zawodu.

— Jeszcze trzeba czekać, jeszcze długo, a przecie jakież to będzie szczęście iść tędy, tym korytarzem, temi schodami, przez ten ogródek — tam, tam na stoki, gdzie się wszystko urwie na zawsze. Ustanie myślenie, wyjaśnią się ostatecznie lub zagasną na wieki wszelkie tajemnice, ukoi się ten żal głupi, ludzki, nieprzezwyciężony żal za życiem...

Jednak, gdy się znalazł w ogródku, ogarnęło go wzruszenie na widok drzew, krzewów, trawy, kwiatów. Zdawało mu się, że od długiej zimy dopiero teraz po raz pierwszy zobaczył młodą, bujną zieleń na drzewach i murawie. Wyprowadzano go tu codziennie, był tu i wczoraj — dlaczegóż tak cudny i niesłychany stał się ten zakątek? Kilka marnych drzew, śmieszny klombik z ordynarnymi kwiatami, strzępy murawy, na której więcej było gruzu i śmiecia, niż trawy — oto wszystko.

Stanął pośrodku ścieżki i upajał się urokiem wiosny, który przyszedł i tutaj w to ponure miejsce, wiecznie młodzieńczy i nieodparty. Wyobrażał sobie wieś, szerokie łąki, żółte od kaczeńca, świeże, jasne listowie lasów, przypomniał sobie słyszany kiedyś śpiew wiejskiej, wykręconej z wierzby fujarki, przypłynęła doń słodka jak wiosna piosenka skowronka... Radował się tem szczerze, głęboko, bez goryczy, bez zawiści. Niechaj żyją ludzie, niechaj się cieszą, niech doczekają lata, jesieni — i długo, długo, co roku poją się pieśnią młodości i odrodzenia — tym szeptem liści wiosennych, wonią wilgotnej ziemi, pięknem, zdrowiem — życiem...

Urwał gałązką z drzewa i z rozkoszą przytulił twarz do chłodnych, pachnących liści. Pochylił się nad klombem, zerwał kilka białych stokrotek i jakiś śmieszny, wzruszająco skromny żółty kwiateczek. Z głęboką uwagą wpatrywał się w białe gwiazdeczki stokrotek, jak gdyby je widział po raz pierwszy w życiu. Oderwał go od tego żandarm. — Nie wolno rwać kwiatów, co to, nie wiesz pan, czy co? — Wiem, ale urwałem dlatego, że mnie jutro powieszą — odpowiedział z prostotą. — W żadnym razie nie dozwolono.

Tu wzrok jego padł przypadkiem na małego żołnierzka, który stał obok na warcie. Na pospolitej twarzy sołdata odbiło się tyle smutku, tyle na wpół dziecinnej zgrozy, że na widok tego nieoczekiwanego współczucia łzy zakręciły mu się w oczach. Patrzył nań przez chwilę, jak na kogoś blizkiego, rodzonego, a ilekroć go mijał, chodząc po krótkiej dróżce, spotykał jego wystraszone, zmartwione i współczujące spojrzenie.

Z jednego okna ktoś mu dawał znaki. Gdy się zbliżał, na mgnienie oka wychylała się głowa z górnego lufcika i znikała natychmiast. To on — z nim razem jutro. Kiwał mu głową i jak mógł dawał mu do zrozumienia, że go poznał i że... Cóż tu można, co można wyrazić ukradkowym giestem w takiej chwili? Towarzyszowi walki, towarzyszowi śmierci? Myślał o tem, co przechodzi teraz w samotnej celi ten człowiek prosty, i myśl ta gnębiła go jak gryzący wyrzut nieomylnego sumienia. Kto wyrwał tego chłopa, tego Jana Kuczmę z cichej jego dalekiej wsi? Kto go nauczył być „buntownikiem“, kto mu dał do ręki „maszynę“, kto mu kazał iść zdobywać „carskie monopole?“ Bolała go ta krzywda i zapomniał o sobie, o jutrze.

— Wróciła, jeszcze raz wróciła gorzka, nierozumna nie na te czasy myśl. — Czemużeś przyszła teraz, kiedy

a przecie w łasnem życiem płacę? Nie dość ci tego, jeszcze mało, cóż więcej może dać człowiek? Co jest w ludzkiej mocy? Odpowiedz, odpowiedz...

Przypomniał sobie, że jutro razem z nim umierać będzie jeszcze ten trzeci, nieznajomy mu osobiście chłopak, ten, który w uroczystej chwili odczytywania wyroku ryknął na całą salę: precz z caratem! Ciężko mu było myśleć, że nic o nim nie wie, że nie zdążył się go o nic zapytać podczas sądu.

Poczuwał się do winy. Nie uczynił tego, co należało. Trzeba się było postarać, trzeba było przezwyciężyć trudności — zmusić się, poniżyć się i prosić o połączenie ich razem z nim w jednej celi. Byłoby im lżej. Sprawić im tę ulgę było jego ostatnim obowiązkiem, był przecie ich przewodnikiem, rozkazywał. Teraz nie uczynił tego nawet, co mógł — bo przecież było można. Już zapóźno, już im nie będzie przewodził, śmierć ich sama poprowadzi.

Coby zresztą mógł dla nich uczynić? Co im ma do powiedzenia? Dodawać im odwagi? Przeszkadzać temu dzielnemu, uczciwemu chłopu modlić się przed ostatnią godziną? Uczyć tego robociarza i uświadamiać go co do rzeczy ostatecznych, o których sam nie ma pojęcia? Opowiadać mu o materjaliźmie życia i śmierci, w co sam nie wierzy, odpowiedzieć na jego zapytanie, co też Marx pisał o życiu przyszłem?

Potrafią, potrafią umrzeć mężnie, jeżeli o to chodzi. Bez metafizyki, bez kultury, bez całego balastu kunsztownego myślenia pójdą jutro. Z prostotą, bez giestów polegną. Nie będą potrzebowali żałować swojej wszystko ogarniającej inteligiencji, nie będą wiedzieli, że ginie wraz z nimi cały świat, nie będą się dziwili, że nie przychodzi trzęsienie ziemi, potop lub zwycięska rewolucja, by przeszkodzić spełnieniu się wyroku. O — ci nie będą się zbytnio szacowali. Jeszcze nie wiadomo, kto ma kogo uczyć, kto ma kogo w tej godzinie wspomagać. Co wiesz o tych ludziach? Nie wiele, a to, co wiesz, czyż nie wystarcza, aby się uspokoić i być skromniejszym? Przeto się nie wyrywaj — złóż, złóż oznaki swojej władzy, zachowaj na własny użytek tę niby twoją przewagę.

Przypomniał sobie, o czem rozmawiał na sądzie z Kuczmą — parę słów, nie więcej. — No co, towarzyszu? — Ano nic, to mi jest tylko ciężko, że jak Pan Bóg miłosierny zapyta: cóżeś, Kuczma, zrobił dobrego w tej rewolucji, to wstyd mi będzie wyznać, że jeno te monopole... — Snać snił i Kuczma o wielkiej wojnie — i on, szeregowiec, pełen był tej samej tęsknoty, tej zazdrości i tego tajonego wstydu, które jak cierń tkwiły w duszach najlepszych, żądnych wzniosłości i wielkiej otwartej walki i złotej promiennej sławy... Potem, na zapytania sądu odpowiadał w słowach prostych, nieuczonych. Była w nich głęboka powaga i nienaśladowane piękno otwartego, nieulękłego wyznania. Bez chlubienia się i chwalby, w spokojnej godności mocnym swym głosem odpowiadał krótko. I gotowe były te słowa, by je bez zmiany, bez żadnego upiększenia wyryć gdzieś na kamiennej tablicy i skrzętnie z miłością zachować do tej dziejowej chwili, gdy stanie wyniosły pomnik tych czasów, i tam tę cegłę wmurować...

Kuczmo, drogi bracie, trzęsła ci się ręka, gdyś już skazany podpisywał swe imię pod protokółem sprawy? Jakże cię przebłagam, jak odkupię tę myśl moją? Tyś ją odgadł i nauczyłeś mnie, inteligienta, że gruba i czarna od pługa ręka zawsze się trzęsie, gdy ujmie pióro w nieprawne palce. Tyś mi to powiedział tak zwyczajnie, tak prosto — o, ty potrafisz...

Z historji tytoniu.

Kiedy zaczęto palić w Europie?

Kiedy „wynaleziono" palenie — trudno oznaczyć. Już w starożytności istniały narody, u których panował zwyczaj odurzania się dymem rozmaitych ziół. Starożytni gallowie i giermanowie podniecali się np. dymem spalanych konopi, a możliwem jest, że w Babilonji znano nawet tytoń. W Europie jednak zwyczaj palenia tytoniu przyjął się dopiero po odkryciu Ameryki przez Kolumba, którego majtek Sancho był pierwszym chrześćjańskim palaczem. Krajowcy w Ameryce otaczali się całemi chmurami dymu tytoniowego, który bądź wprost przez widełkowate rurki wciągali do nosa, bądź wdechali go przez usta, paląc coś w rodzaju naszych cygar. Palenie było u nich obrzędem religijnym, któremu się oddawali z wielką powagą i nabożeństwem. Mnich Romana Paua, który towarzyszył Kolumbowi podczas jego drugiej wyprawy, pierwszy opisał ziele tytoniowe, któremu przypisywał niezwykłe własności lecznicze. Zaczęto więc najpierw używać tytoniu jako środka leczniczego, który znalazł jednak tak wielkie uznanie nawet wśród zdrowych, że palenie, już jako namiętność zaczęło się szerzyć coraz bardziej. We Francji zwyczaj ten wszedł w modę w 17 w. za Ludwika XIV, i wywołał formalną burzę wśród ówczesnych pisarzy, którzy zajęli stanowiska „za" i „przeciw". Moliere zjadliwie się wyraża o „pożeraczach tytoniu", a Boileau odwraca się ze wstrętem od pocałunków, „pełnych dymu tytoniowego". Nawet panie, bogate i ubogie kosztowały tej trucizny. Wkrótce też opodatkowano uprawę i sprzedaż tytoniu, co otworzyło nowe źródła dochodu dla skarbu państwa.

Najbardziej rozpowszechnioną była namiętność palenia w Holandji. Otwierano tam specjalne domy dla palaczy, które wywoływały powszechne zgorszenie. Wielu palaczy „wypijało" dziennie po 20 fajek. Nawet sześcio- i siedmioletnie dzieci siedziały przy stole z fajkami w ustach.

W Niemczech tak się rozpanoszył zwyczaj palenia, że, jak twierdzi jeden ze znakomitych obserwatorów ówczesnych stosunków, „nie ma ani jednej chaty wieśniaczej, gdzieby nie było fajki. Jedzą, palą tytoń i nos sobie nim zatykają, i należy się dziwić, że go sobie nie wtykają do uszu". W Szwecji natomiast późno zapoznano się z tytoniem. Za królowej Krystyny jeszcze był on chłopom tak mało znany, że wałki jego, wyrzucone na brzeg po rozbiciu się okrętu holenderskiego, brali za sznury i używali ich do wiązania bydła. W Turcji i w Rosji początkowo zakazywano używania tytoniu. Sułtan Amurat naznaczył karę śmierci dla każdego, kogoby przychwytano na paleniu. Zaraz też kazał jednemu kupującemu i jednemu sprzedającemu obciąć nogi i ręce i powiesić ich tak, aby z upływu krwi umarli. Równocześnie w Petersburgu wyklęto tytoń, ogłoszono go za nieczysty i przedstawiono palenie jako grzech śmiertelny. Gdy zakazy jednak nie skutkowały, naznaczono ostre kary na palaczy. Wszystko to jednak nie pomogło, i wreszcie car Piotr, za sumę 15.000 funtów szterlingów udzielił anglikom pozwolenia przywozu tytoniu do Rosji. Jak w tym wypadku, tak i wszędzie gorliwość państw w zwalczaniu nałogów swych poddanych znacznie zmalała, skoro przekonały się one, że nałogi dają się znakomicie opodatkować.

Nowe wykopaliska na Krecie.

Tegoroczne prace około wykopalisk na Krecie prowadzone były głównie przez włochów w okolicach Festo. Starano się w szczególności oznaczyć dokładnie obszar dużego pałacu mykeńskiego, który już dawniejszemi laty został odkryty. Przytem zupełnie niespodzianie natrafiono na nowe skrzydło, składające się z komnat prywatnych, pełnych naczyń z palonej gliny. Wraz z tem skrzydłem odkopany pałac zajmuje obszar 11.600 m². Skonstatowano też, że pod pałacem mykeńskim znajdują się resztki starszego pałacu z czasów przedmykeńskich, a więc pałacu, który pochodzi z 3 r. przed Chr. Pod tym znowu pałacem znaleziono w głębokości 11 metrów ślady domów i chat z okresu t. zw. neolityjskiego. Najważniejszem jednak jest odkrycie, jakie uczyniono w jednej z komnat pałacu mykeńskiego. Jest to wogóle najważniejsze odkrycie, jakie kiedykolwiek na Krecie uczyniono. Chodzi tu mianowicie o t. zw. dysk, czyli krążek, z palonej gliny, którego obie strony pokryte są znakami hieroglificznymi. Znaki te są podobne do hieroglifów egipskich, stanowią jednak system odrębny, który prawdopodobnie powstał na Krecie. Ważnym szczegółem tego

napisu jest, że został on wyciśnięty na dysku przed wypaleniem, zapomocą ruchomych foremek. Można wynosić z tego, że pierwsze zasady sztuki drukarskiej były już znane w odległej starożytności. Dotychczas nie odcyfrowano jeszcze napisu. Jakie ciekawe szczegóły odsłoni nam jego treść — niewiadomo. Spodziewać się w każdym razie należy, że choć w części uchyli zasłony tajemniczej dotychczas cywilizacji kreteńskiej.

Żelazo w ciele ludzkiem.

Ze wszystkich metali jedynie żelazo odgrywa ważną rolę w organizmie ludzkim. Podczas, gdy niektóre metale, jak rtęć, ołów i inne są dla człowieka gwałtowną trucizną, to żelazo jest nieodzownym składnikiem ciała ludzkiego. Wprawdzie ilość żelaza w ciele ludzkiem jest nader małą, nie przewyższa bowiem kilku gramów, składnik ten jest tak ważnym, że życie nawet bez tak małej ilości żelaza jest zupełnie niemożliwem.

Najwięcej żelaza mieści się we krwi. Wprawdzie i w innych tkankach organizmu znajdują się jego ślady, ale tam nie odgrywa ono tak wybitnej roli. Żelazo, znajdujące się w krwi człowieka, ma swój odrębny cel, spełnia niejako oddzielną swą funkcję! Żelazo, jako związek chemiczny, w stanie nadzwyczaj rozdrobnionym mieści się w czerwonych ciałkach krwi, którym udziela właściwej im barwy. Ponieważ w jednym cm sześciennym krwi znajdują się 3 miljony ciałek czerwonych, a w 5 litrach krwi, znajdującej się w ciele ludzkiem, 25 biljonów, ponieważ jeszcze w każdem pojedyńczem ciałku znajduje się bodaj ślad żelaza, przeto widzimy, w jak wielkiem rozdrobnieniu umieszczone jest żelazo w ciele ludzkiem.

W krwi odbywa się głównie proces t. zw. spalania. Tlen, wdechany przez płuca, styka się z częściami pożywienia, rozpuszczonemi we krwi, a przedewszystkiem z cukrem, i spala go na kwas węglowy, który stanowi większą część wydechanego powietrza. Tlen jednak nie działa bezpośrednio na cukier, wszak widzimy, że na powietrzu cukier wcale nie zmienia się pod wpływem tlenu, a dopiero żelazo w stanie rozdrobnienia odgrywa rolę pośrednika między tlenem a cukrem. Tlen na drodze swej przez organizm wszędzie spotyka żelazo, które mimo małej ilości zajmuje ogromną przestrzeń, i przy jego pomocy łączy się z sokami, rozpuszczonymi we krwi. Ponieważ ciało, wydzielając zużyte pokarmy, a przyjmując nowe, ciągle się zmienia, przeto okazuje się potrzeba dostarczania organizmowi nowych ilości żelaza. Gdy człowiek posiada w organizmie zbyt mało tego pożytecznego pierwiastka, wówczas występują objawy chorobowe, które można usunąć zapomocą wprowadzania do organizmu żelaza w postaci preparatów. Znanym jest korzystny wpływ żelaza w wypadkach anemji i blednicy, który prawdopodobnie polega na tem, że żelazo sprzyja tworzeniu się czerwonych ciałek krwi.

Rozmaitości

Alkohol a wzrok. Alkohol, jak to niejednokrotnie stwierdzono, bardzo zgubnie wpływa na oczy, powodując w nich rozmaitego rodzaju zaburzenia, które niekiedy mogą przybrać bardzo ostrą formę, i przejść w stan chronicznego cierpienia. Do takich zaburzeń należą częściowy lub zupełny daltonizm (nierozróżnianie, lub fałszywe rozpoznawanie barw), tak, że alkoholikom częstokroć wszystkie widziane przedmioty przedstawiają się z zielonawym odcieniem, osłabienie wzroku, kurza ślepota i katar spojówki. Wszystkie te zmiany uważać należy za mniej lub więcej rozwinięty paraliż nerwu wzrokowego lub mięśnia ocznego, i są one wynikiem nadmiernego używania alkoholu. Choroby te, z małymi wyjątkami są uleczalne, jeżeli chory da się skłonić do zaprzestania wprowadzania do organizmu swego zabójczej trucizny, jaką jest alkohol. Już po krótkiej wstrzemięźliwości daje się zazwyczaj zauważyć znaczne polepszenie, częściowy paraliż ustępuje powoli, i wzrok po jakimś czasie wraca do normalnego stanu.

* * *

Czerwone morze. Czasami można zauważyć na morzu czerwone zabarwienie na obszarze kilku mil, przyczem woda wydaje woń nieznośną. Ryby giną masami, a tysiące nieżywych zwierząt morskich, ryb i krabów zalegają wybrzeże. Powodem tego zjawiska jest pojawienie się masowe mikroskopowych żyjątek, które po silnym deszczu i obniżeniu temperatury znikają. Żyjątka te, należące do gatunku peridium, ostatnio ukazały się koło Rhode Island. Także koło Bombaju i w Morzu czerwonem obserwowano to zjawisko. Ponieważ peridie pojawić się mogą nietylko w wodzie morskiej, ale i rzecznej, przeto z łatwością tłómaczą one jedną z t. zw. plag egipskich, podczas której, „za sprawą Mojżesza", woda Nilu zamieniła się w krew, a egipcjanie przez siedm dni nie mogli używać jej do picia, z powodu odrażającej woni, jaką wydawała.

* * *

Układ dziesiętny w czasie. We Francji już od 100 lat, a w nowszych czasach także w Niemczech, Austrji, Szwajcarji i innych krajach podnoszą się liczne głosy o układ dziesiętny w czasie, t. zn., aby dzień był podzielony na 10 równych okresów, a nie na 12, jak jest teraz. Poważne pisma niemieckie, jak: „Hansa", „Marine Rundschau" i „Globus" kilkakrotnie poruszały tę kwestję. Chodzi mianowicie o zaprowadzenie na całej kuli ziemskiej jednolitego czasu dziesiętnego.

* * *

Szkoła ludowa w Szwecji. W Szwecji władze szkolne rozwiązały jedno zagadnienie, jedno zło, na które w innych wielkich miastach nie znaleziono tak radykalnego środka zaradczego. Tem złem jest tak zwana „szkoła złego na ulicy", która deprawuje i niszczy dzieci najuboższe, pozostawione bez opieki i rzucone na pastwę złemu przykładowi, jaki ulica w wielkich miastach daje szczególnie tak wrażliwym umysłom, jakimi są umysły niedorostków.

W 1902 roku zaprowadzono w Szwecji prawo, upoważniające „szkolne rady nadzorcze" do objęcia opieki prawnej nad dziećmi moralnie zaniedbanemi. Każda szkoła ma listę dzieci według ustawy szkolnej podlegających przymusowi szkolnemu. Listy te są troskliwie kontrolowane. Gdy jakieś dziecko, na listę wniesione, nie zjawia się do szkoły, władze wzywają rodziców i dają im napomnienie. Gdy to ostatnie nie pomaga, władze szkolne mogą nawet zarządzić odebranie dziecka rodzicom, którzy mają tylko prawo apelacji do gubernatora miasta. W 1906 roku w stolicy kraju na 35.672 dzieci, podlegających przymusowi szkolnemu, rady nadzorcze objęły opiekę nad 508 dziećmi „zaniedbanemi". Z tej liczby 332 dzieci zostało oddanych pod opiekę do rodzin różnych, którym władze szkolne płaciły „pensję". Reszta dzieci była umieszczona w zakładach.

Poza tem siły obywatelskie utworzyły całą sieć organizacji. Oprócz stowarzyszeń „letnich dla dzieci" istnieje całe mnóstwo stowarzyszeń, biorących pod opiekę dzieci podczas dnia — poza godzinami szkolnemi. Istnieją więc stowarzyszenia dla uczenia dzieci gimnastyki, śpiewów, robótek; stowarzyszenia te albo mają swoje lokale i kluby dziecinne, albo też postarały się o to, by gmachy szkolne odpowiednio powiększyć. To też niektóre szkoły ludowe w Sztokholmie są istnymi pałacami, w których dzieci korzystają z sal kąpielowych, sal gimnastycznych i t. d. W gmachach szkolnych są kuchnie i jadalnie, w których dziatwa może się nakarmić.

W ten sposób dzieci, pozbawione należytej opieki w domu, znajdują w szkole całodzienne zajęcie, hygjeniczne tak pod względem fizycznym, jak i moralnym. Część wydatków ponosi miasto; za kąpiele np. (których w przeciągu roku dano z górą 2000000, nie licząc kąpieli morskich latem) miasto zapłaciło 20000 marek z górą. Inną część wydatków ponoszą stowarzyszenia prywatne, których każda szkoła ma całą sieć.

To też uderza przybysza każdego do Sztokholmu to, że nie masz tam wcale wałęsających się po ulicach miasta dzieci.

„Dobry sędzia" w Anglji. W tych dniach zmarł w Londynie jeden z najpopularniejszych sędziów angielskich, członek trybunału apelacyjnego James Mathew. Popularność swą i tytuł „dobrego sędziego" uzyskał przez swój zdrowy rozum, dowcip i uczucia ludzkie, z jakiemi traktował oskarżonych. Krąży o nim legion dowcipów, a szczególnie popularnem stało się jego wyrażenie, że „siła prawdy jest tak wielką, że nawet pod przysięgą wychodzi na jaw". Innym razem wyraził się, że mąż i żona są wprawdzie wedle ustawy jednem ciałem, ale jeżeli mąż zabije swą żonę, jest to przecież morderstwo, a nie samobójstwo. W procesach cywilnych, które miał rozsądzać, nie dopuszczał adwokatów do wygłaszania długich mów; żądał tylko podania faktów, na podstawie których mógłby sobie wyrobić zdanie o sprawie.

* * *

Uczczenie Kelvina. Elektrotechnika stawia swoim wielkim ludziom trwałe pomniki, nazywając ich imieniem szereg jednostek pomiarowych. Tak np. „ohm", jednostka oporu elektrycznego, przypomina fizyka z Erlangen Jerzego Szymona Ohma; „ampére", jednostka siły prądu, nazwę swoją zawdzięcza francuzowi Andrzejowi Marji Ampére'owi; jednostka siły elektromotorycznej „volt" nazwana została dla uczczenia fizyka włoskiego, Aleksandra hr. Volta; „coulomb", jednostka ilości elektrycznej, wskazuje na Karola Augustyna de Coulomb, zaś Anglik, Michał Faraday, użyczył nazwiska swego jednostce pojemności elektrycznej, „faradowi".

Idąc za tym przykładem, zamierzają elektrotechnicy amerykańscy nazwać jednostkę wydajności elektrycznej, zamiast, jak dotąd, kilowatem, „kelvinem", a to celem uczczenia znakomitego fizyka angielskiego, lorda Kelvina (Williama Thomsona).

* * *

Potwory ludzkie. Niektóre potwory ludzkie okazują znaczną żywotność, w pewnej liczbie przypadków — jak słynni bracia syamscy — dorastają nawet wieku dojrzałego. W towarzystwie lekarskiem w Bordeaux przedstawiono ciekawego potwora, reprezentującego ową szczególną postać potworności złożonej, w której jeden ze zrośniętych z sobą osobników jest znacznie od drugiego mniejszy, stanowiąc niejako jego „pasożyta". Potwór ów, ośmnastoletni włoch, jest synem jarmacznego pogromcy zwierząt. Osobnik dodatkowy, złączony z przednią częścią klatki piersiowej „gospodarza", składa się z dwóch kończyn przednich, klatki piersiowej, miednicy, słabo rozwiniętych kończyn dolnych i dobrze wykształconych narządów płciowych. Temperatura ciała osobnika dodatkowego, pozbawionego całkowicie głowy, stale o kilka stopni jest niższa od temperatury „gospodarza", który cieszy się naogół dobrem zdrowiem. Potworności rego rodzaju od dość dawna znane są w literaturze naukowej. Opisany wypadek nabiera jednak szczególnej wagi z tego powodu, że potwór posiadał liczne rodzeństwo, pośród którego również były dwa potwory złożone: jeden z nich, urodzony przed pomienionym, składał się z dwóch jednakowych osobników, zrośniętych w okolicy mostka, i żył do lat dziesięciu — drugi potwór przyszedł na świat przedwcześnie. Rzuca to poniekąd światło na przyczyny powstawania podobnych potworności; przyczyn tych szukać zapewne należy w pewnych anormalnych właściwościach organizmów rodzicielskich.

* * *

Ręka prawa i lewa. Jakkolwiek przewaga prawej ręki nad lewą przedstawia dziś zjawisko powszechne u ludzi, nie należy stąd wnosić, by zawsze tak było. Profesor Martens wyraża pogląd, że przewaga ręki prawej stanowi w dziejach ludzkości objaw wtórny — wynik intensywniejszego jej używania. Od najdawniejszych czasów bowiem ludzie stale posługiwali się prawą ręką w walce ze swymi współbraćmi i zwierzętami, lewej używali natomiast do zasłaniania serca od ciosów. Przewaga ta sięgać musi jeszcze czasów przedhistorycznych, najwcześniejszych okresów rozwoju rodzaju ludzkiego, wyprzedając zapewne powstanie mowy członkowanej. Badania uczonych nad bronią i narzędziami, pozostałemi z epoki kamiennej, zgodnie stwierdzają, że różnica między obu rękami była wtedy mniej wyraźną, niż obecnie, że śród odległych naszych przodków istniała nadto spora liczba mańkutków. Ponieważ u małp człekokształtnych posiłkujących się rękami swemi również do chodzenia i wspinania się po drzewach, różnice podobne naogół nie są znane, przypuścić wypada, że większy rozwój prawej ręki datuje się u ludzi od chwili, gdy zarzucili już oni posługiwanie się rękami do chodzenia i poczęli ich używać do celów specjalnych. Wszakże wynikłe stąd różnice rozpowszechniły się stopniowo i nie odrazu uczyniły się właściwością całej ludzkości; w chwili obecnej przewaga prawej ręki znacznie jest wyraźniejsza u ludów cywilizowanych, u których praca ręczna osiągnęła wysoki rozwój, niżeli u plemion dzikich.

* * *

Rad, jako niszczyciel. Rad należy z pewnością do rzędu najciekawszych ciał w przyrodzie. Czynione przez uczonych doświadczenia, celem zbadania jego wpływu na materję żywą, wykazują, że pierwiastek ów działa przeważnie w sposób niszczący. Na skórze człowieka rad wywołuje oparzeliny i obrzmienia. U świnki morskiej, królika, białej myszy — powoduje wypadanie włosów, paraliż, wreszcie śmierć. W jaju kurzem, przez czas pewien wystawionem na działanie radu, białko przetwarza się w zawiesistą m sę, żółtko ulega zwyrodnieniu, skorupa przybiera brunatne zabarwienie. Jaja żaby, ropuchy i jeżowca rozwijają się pod wpływem radu w potworne larwy. Drętwa elektryczna traci zdolność do wyładowań elektrycznych. Wreszcie bakterje przestają się rozmnażać i szybko giną. Co najdziwniejsze jednak, że ciała zwierząt, zabitych przez promienie radu, same czynią się radioaktywnemi, tj. nabierają własności radu. Świadczy o tem następujące ciekawe doświadczenie. Gdy trupa świnki morskiej owinięto szczelnie w papier czarny i położono na płycie fotograficznej, powstała wyraźna odbitka zwierzęcia, na której można było odróżnić nawet oddzielne włoski sierści. Z narządów wewnętrznych świnki najsilniejszą radioaktywność wykazaty płuca.

Z literatury i sztuki

Sposoby i przepisy lecznictwa przyrodnego. Opis zwięzły wszelkich zachodzących w lecznictwie przyrodnem działań i czynności ze szczególnem uwzględnieniem najnowszych sposobów. Z 80 rycinami. Wydawnictwo „Przewodnika Zdrowia" (Czarnowski, Berlin, Weissenburgerstr. 27). Cena z przesyłką 55 fen. = 60 hal. = 30 kop.

* * *

Nowy dramat Gerharta Hauptmanna. Gerhart Hauptmann ukończył nowy dramat p. p. „Griselda", który zostanie wystawiony w Berlinie w teatrze Lessinga.

* * *

„Myśl Niepodległa", Treść nr. 81 (dekada trzecia na listopad): Nasza umysłość. — Geneza Sonetów Krymskich. — Kwiat swego narodu. — Ośli wybraniec. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Zapiski. — Książki. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Adres: Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10.

* * *

Album ludowe Artura Grottgera. zawierające trzy cykle jego obrazów: „Wojnę", „Polonię" i „Litwanię", tudzież jego portret własny, oraz jego życiorys i objaśnienia napisane przez tow. Emila Haeckera, wyszło świeżo z druku w trzeciem wydaniu, bo dwa poprzednie wydania zostały w zupełności rozkupione, a popyt na album nie ustawał. Nie dziw, bo za 40 hal. dostaje tu publiczność w gustownem wydaniu na ślicznym papierze 27 artystycznych reprodukcji znakomitych obrazów pierwszorzędnego mistrza, natchnionych ideą wolności i braterstwa. Adres na zamówienia: Z. Klemensiewicz, Kraków, Wiślna 5.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 49. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 5 grudnia 1908.

RYSZARD DEHMEL.

Pieśń robotnika.

Przełożyła z niemieckiego Marja Markowska

Niczego nam nie brak na świecie,
Tak, żono!
Jest w chacie i łóżko i dziecię,
I słońce i gwiazdy nam płoną,
Roboty aż nadto jest przecie. —
By wolnym jak leśny być ptak,
Drobnostki brakuje nam pono —
To czasu brak!

Gdy wyjdziem na pola,
Dziecino,
Tam w skrzydła uderza jaskółek swawola,
A fale kłosiane i gwarzą i płyną,
Na wszystkiem słoneczny żar leży. —
Nie braknie nam tedy świątecznej odzieży,
By pięknym jak leśny być ptak, —
Lecz czasu brak!

Hej czasu! Huragan się zrywa,
Grzmi w dali, –
Już mija ta wieczność straszliwa!
Wszak nikt się na braki nie żali,
Bo tylko brak w chacie nędzarza
Wszystkiego, co pracą swą stwarza, —
By wesół był każdy jak ptak,
Dziś czasu brak!

MARJA KONOPNICKA.

Banasiowa.

Południe było ciche i gorące. Park Łyczakowski we Lwowie zdawał się topnieć w powietrzu rozjarzonem, drgającem od natężonych, promienistych blasków. Park był pusty. Ci, co tu bywają rankiem, już odeszli, ci, co szukają cienia i chłodu, nie przyszli jeszcze.

Naraz usłyszałam za sobą pospieszny stukot kija. Obejrzałam się. Ku ławce mojej szła drobnym, pospiesznym krokiem mała, mocno do ziemi przygięta staruszka. Biały jej czepiec olśniewająco srebrzył się pod słońce, równie jak biała, skrzyżowana na grubym kaftanie chustka i takiż obszerny fartuch. Jedno jej ramię obciążone było koszem, drugie wyciągało się miarowo, stukając niewielkim kijem, który nogom za podporę służył, a i oczom pomagał może.

Daleko jeszcze była, kiedy już usłyszałam jej oddech krótki i ciężki. Widocznie spieszyła do ławki, by spocząć i kosz na niej postawić. Dopiero kiedy cień mój znalazł się tuż przed nią, wstrzymała się nagle, rozprostowała nieco i twarz podniosła ku mnie. Jaka to była sieć zmarszczek! Życie, co przędło nitki tej sieci, musiało być długie, bardzo długie; musiało też nie spoczywać nigdy. Musiało ono przy ogarku do pracy się brać, a kończyć ją pół ślepo o pianiu północnych kurów. Musiało na szare wrzeciono swoje wytargać z tej piersi wszystkie włókienka; musiało nić swoją rwać, plątać i znów rwać, i znów plątać, nie wygładzając węzłów, tylko spiesząc, spiesząc, spiesząc...

Stała tak chwilkę, jakby w zadziwieniu, mrugając małemi, szaremi oczkami, poczem znów się ruszyła, do ławki podeszła i kosz, do połowy napełniony piernikami o nią oparłszy, odetchnęła głęboko raz i drugi.

— Siądziecie może trochę?

— I... co ta siadać, proszę łaski pani! Tak się aby zeprę. Starocie takiej to i siedzieć, i wstać trudno. Zaraz cości w krzyżu trzeszczy...

— Ileż sobie lat liczycie?

— A cóż ja tam mam liczyć, proszę łaski pani. Pan Jezus je ta bezemnie liczy... Zawszeć będzie tego z osiemdziesiąt chyba... osiemdziesiąt, albo i więcej. Tak z pamięci to trudno wszystko do kupy złożyć, ale że w naszej parafji ludzie wiedzą... papiery na to są...

— Toście nie tutejsi, matko?

— Bobym zaś, proszę łaski pani, tutejsza miała być? Z Wadowic jestem, z miasteczka. A jakże! Zawsze mnie tam ludzie znają. Banasiowa, ta i Banasiowa; mały, duży o mnie wie, co i jak.

— I takeście do Lwowa przywędrowali?

— A gdzieby ja tam do Lwowa, proszę łaski pani! Albo mnie to Lwów co da, albo i pomoże? To tam młodym dobrze ubiegać po świecie i pod wiater dmuchać, ale nie na moje lata! Ino, że tu dzieci mam, niby córkę, co za gwoździarzem we fabryce je... A jakże! To jak ta święta ziemia zaczęła do siebie wołać, takem do nich na śmierć ściągła. Zawszeć to u swoich lżejsze umieranie.

— I dobrze wam u dzieci?

— A cóż? Dobrze. Staremu wszędzie dobrze, bo już od złego nie ubiega. Ino, że mi się tak nie wyszykowało, jakiem sobie umyśliła.

— I z czemże wam się tak nie wyszykowało?

— Ano, niby z tem umieraniem, proszę łaski pani. Tu na śmierć do dzieci ściągłam, a tu precz żyję, taj żyję. Ze samego początku, to tam kramu żadnego, chwalić Boga nie było. Zameldowali mnie pięknie, ładnie; bywało zięć na robotę do fabryki idzie, córka się po stancji kręci, a ja wedle pieca siądę, pierza sobie, com ta miała zebranego poduszczynę, drę, pacierz mówię i onej ostatniej godziny czekam. Czekam miesiąc, czekam dwa — nic. Aż mnie coś przenika z tego czekania.

Tak przychodzi raz w niedzielę stróż i powiada: „A wy Pietrze — niby, że to zięciowi Pietr ze chrztu świętego — matce kartę pobyt szykujcie, kiedy u was siedzi“. Tak zięć się zastanowił i powiada: „A siłaż to tam tego? Tak stróż powiada: „A dwa złote przez kwartał.“ Ano poczę-

stował go zięć tabaką, poszedł! Jak też poszedł, tak mówię ja Pietrowi: „Na co mi, synku, ta karta-pobyt, kiedy ja tu na śmieść ściągła, nie na życie? Takem sobie na rozum brała, że to ta niedługie już rzeczy ze mną. Ale co ta grzeszny człowiek może wiedzieć. Zeszedł kwartał, zeszedł drugi — nic, precz żyję. Licho co zjem, na ziemi pod piecem się prześpię — i żyję. A jakże! Aż mi dziwno. Czy też tam Pan Jezus — myślę ja sobie — nóżką swoją przenajświętszą moją liczbę przestąpił, czy co?... Tak raz wraca zięć z roboty, a tu za nim stróż we drzwi. „Bójcie się Boga, Pietrze — powiada — cóż z tą waszą matką. Na śmierć mówicie, ściągła, a tu już trzeci kwartał żyjąca je i karty-pobyt nie płaci. Już na drugie tyla kary narosnęło". Tak się Piotr zafrasował, czapkę na stół cisnął i jak stanął na wpośrodku izby, tak stoi i w głowę się drapie. A córka się zaraz zapaliła na twarzy i powiada: „Matka też to, Boże odpuść, nie wiedzieć po jakiemu się wyrachowała! Na umieranie ściągła, a tu umieranie — gdzie! Drugi człowiek to i na starość rozumu nie ma. Gdzie tu teraz walić dziesięć złotych, a jeszcze nie koniec!" Tak Pietr na nią. „Cichoj Franka, nie mamrocz, nie wiesz jeszcze sama do siebie, na co ci przyjdzie" — że to miłosiernego serca, proszę łaski pani, był, muchy by nie zabił. A jakże! Ano rada w radę, dał zięć stróżowi dwadzieścia i trzy grosze, żeby ta jako zachraniał, aby do czasu, że to niby, co drzwi skrzypną, to śmierci patrzeć. Jak mu też te dwadzieścia i trzy grosze dał, tak mnie ino pod serce ścisło.

Odetchnęła głęboko i otarła pot kroplisty z czoła.

— No i cóż dalej?

— A no co! Przyszła druga zima i nic. Stróżowi się ta podetkło co nie co i cicho.

Aż tu mnie na zezimek znów po kościach łamać zaczęło, kaszel mi się przyplątał, dychawica jakaś... Franka! — mówię do córki — juz tera będzie koniec, bo i tchnąć za kaszlem nie mogę. A córka: „Co ta matce będzie!" Tak, nie wymawiając Panu Jezusowi, zaczęłam ja dwa dni suszyć do Przemienienia Pańskiego. Bo mnie już i wstyd było przed ludźmi. W całych suterynach wiedzieli, żem do dzieci umierać ściągła, to co kto spojrzy na mnie, to się dziwuje... A jakże! Z początku to mi ta zięć nie dał suszyć. „Co ta matce po tem — powiada — Pana Boga kusić! Co ma przyjść, to i tak przyjdzie. Tera, na zezimek, najwięcej starych umiera, to ta i bez suszenia na matkę trafi". Ale żem sobie przeperswadować nie dała.

— I pomogło?

— A pomogło! Na trzeci tydzień tom tak zasłabła, żem już stancji zamieść nie mogła, gdzie! ani wody przełknąć. „Śmierć moja" — myślę ja sobie — i zara mi się lżej na sercu zrobiło. Umyłam się tak pięknie, ładnie, oblokłam czystą koszulę, siadłam na progu, paciorek sobie święty mówię i czekam. Jak na to uderzyły dzwony nad miastom... Tak mówię ja sobie:

„Wieczny odpoczynek racz mi dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mi świeci na wieki wieków! amen"... Aż tu ktoś idzie, butami stuka. Patrzę ja — stróż idzie. Papier niesie, do policji woła, do kancelarji, niby o tę kartę-pobyt... Myślałam, że się ziemia podemną rozstąpiła. Pietra nie było w domu, córka prała, to ta do niej i nie gadać wtedy wiele, tak weszłam do stancji, stanęłam i stoję, nie mający się zaradzić kogo.

— I cóż? — spytałam z cicha, gdy się uspokoiła nieco.

— A cóż! Musiałam zapłacić. Pięć papierków, pani moja, jak lodu. A jakże! Jeszcze mi Pietr pół papiera ze swoich dał. Co było na pochów, poszło... Niech im tam Bóg przenajświętszy nie pamięta! A to i oni, chudziątka niewinni, ino, że takie prawo je... niby przykaz taki... A co? Jak takie twarde życie we mnie je, to może jeszcze i ten rok płacić będzie potrzeba.

Zapatrzyła się przed siebie, podniósłszy wysoko brwi siwe, wypełzłe i chwiała głową na obie strony, jakby w wielkiem zadumaniu nad porządkiem świata.

Historja zapałki.

Z tygodnika „Wiedzy"

Komiczny tytuł, nieprawdaż? I cóż za historję może mieć patyczek, umaczany w siarce. Wstrzymajmy jednak na chwilę uśmiech i posłuchajmy, jakie to koleje przechodził wynalazek tej niezbędnej dziś zapałki.

200 lat temu odkryto ciało, zwane fosforem. Zawdzięczamy odkrycie to alchemikom, którzy, jak wiadomo, poszukiwali sposobu wyrabiania złota z metali pospolitych. Były to poszukiwania bezowocne, niemniej jednak alchemicy wzbogacili wiedzę niejednem ciekawem odkryciem.

Jeden z alchemików, Brandt, był to kupiec w Hamburgu, po stracie majątku, wziął się z zapałem do alchemji. Złota poszukiwać należało według niego nie utartą drogą, przetapiając metale, lecz w „najwspanialszym tworze natury, a tym jest bez wątpienia ciało ludzkie, ten mały światek, „mikrokosmos". W myśl tego rozpoczął on poszukiwania w... moczu ludzkim.

Gotował, mieszał, destylował mocz, az pewnego dnia r. 1666-go ujrzał na dnie retorty ciało o dziwnych własnościach. Mało to ciało słaby zapach czosnku, smak ostry i wstrętny. Już przy zwykłej temperaturze parowało, para świeciła w ciemności. Potarł tym ciałem palce zlekka, poczęły one świecić. Rzucił wtedy ciało do wody gorącej i o dziwo! utworzył się w wodzie tajemniczy, świecący obłok. Ciało to nazwał Brandt fosforem i odtąd sprzedawał małe ilości na wagę, tajemnicy zaś nie wydał. Jeszcze w roku 1730-ym uncja (31 gramów) fosforu kosztowała od 10 do 16 dukatów.

Oczywiście, że współcześni mu alchemicy starali się wszelkiemi możliwemi środkami tajemnicę tę zbadać. Między innemi kusił się też o to alchemik ówczesny Kunkel. W 60-ych latach siedemnastego stulecia wstąpił on do służby na dwór książęcy w Dreznie, jako zarządzający apteką królewską. Żywą była tam tradycja, że ojciec panującego księcia znał wiele tajemnic naukowych, a między innemi miał też odkryć kamień filozoficzny. Temu przypisać należy zapał, z jakim Kunkel podjął się pracy w aptece książęcej, jak z pamiętników jego bowiem sądzić należy, nie opływał on w dostatki: książę-pan nie płacił mu nic. Z za kart manuskryptu przegląda też gorzko uśmiechnięta twarz uczonego, szczególniej gdy mówi: „muszę się wynieść z Drezna, ze skruchą bowiem przyznaję, że sztuki umierania z głodu nie posiadam".

Gdy się Kunkel dowiedział o nowym odkryciu, zawarł umowę z niejakim Krafftem, lekarzem awanturniczego usposobienia, by tajemnicę, za grosz wspólnie zebrany, odkupić.

Krafft stał się panem tajemnicy za 200 talarów, lecz Kunkla podszedł i sam objechał dwory książęce z fosforem. Wkrótce jednak udało się również Kunklowi z moczu otrzymać fosfor. A wtedy już tajemnica ustała. Za 10 talarów uczono teraz wszystkich tajemnicy.

W umyśle niejednego z czytelników powstanie pytanie, skąd się wziął jednak fosior w moczu? Tłómaczy się to w ten sposób. Jak wiadomo, spożywamy pokarmy różne, by utrzymać ciało nasze przy życiu. Pokarmy przeważnie składają się z ciał organicznych (zawierających węgiel), muszą jednak też zawierać i ciała nieorganiczne, jak to: sól kuchenną, fosforan wapna dla kości, żelazo dla czerwonych ciałek krwi i t. d. W ciele ludzkim, w tym złożonem a cudnem laboratorjum, następuje rozkład tych ciał. Krew we wszystkich kierunkach roznosi soki pożywne i unosi ciała zużyte lub też powstałe z ich rozkłada. Organizm uwalnia się wreszcie od ciał zbytecznych przy pomocy nerek, które wydzielają w moczu ciała w stanie rozpuszczonym. Dlatego to w moczu znajdujemy sól kuchenną, żelazo, fosforan wapnia, fosforan sodu. Jezeli się więc wyparuje na gorąco urynę, to węgiel ciał organicznych połączy się z tlenem kwasu fosforowego, tak że otrzymamy fosfor wolny.

Od odkrycia fosforu do zastosowania tego ciała w przemyśle upłynęło lat wiele. Naturalnie wynaleziono nowe sposoby otrzymywania go w większej ilości, zasada jednak jego fabrykacji pozostała ta sama. Fosfor wydobywają obecnie z kości, w ostatnich czasach otrzymują go z kwasu fosforowego, dystylując go z węglem.

Pierwsze zapałki były to szklane rurki z kawałkiem fosforu wewnątrz i lontem (światełka turyńskie). Rurkę tłuczono, fosfor się zapalał, płomień przenosił się na lont.

Wynalazek zaś właściwych zapałek zawdzięczamy podobno młodemu węgrowi Stefanowi Irinyi'emu. Myśl ta strzeliła mu do głowy podczas odczytu z chemji, na którym był obecny, gdy robiono doświadczenia z fosforu. Już w 1833 r. założono fabrykę gąbek do zapalania i zapałek, lecz zapałki te były niebezpieczne, pryskały i eksplodowały łatwo, a to wskutek tego, że do fosforu dodawano ciała bardzo niebezpiecznego, tak zwanej soli Bertholeta, której też próbowano używać do wyrabiania prochu, lecz młyn wraz z prochownią wyleciał przy tem w powietrze. Postarano się też zastąpić sól ową ciałem mniej niebezpiecznem i główkę zapałki pokrywano cienką warstwą laku.

Zapałki zaś robiono w sposób następujący: Na deseczkę kładziono kilkaset cienkich pręcików rzędem, kilkanaście takich deseczek kładziono jedną ponad drugą i umocowano klamrą ze śrubami, przyczem z każdej deseczki wystawały pręciki, robotnik miał skierowane ku sobie końce tysięcy pręcików. Należało teraz pogrążyć końce te w masę palną, a każdy pręcik otrzymywał główkę.

Zapałki te były przez czas długi w użyciu, lecz były one niebezpieczne dla robotników, którzy je wyrabiali i dla szerszej publiczności. Fosfor żółty bowiem, którego do zapałek używano, jest nietylko łatwopalny, ale i trujący. Robotnicy, mający do czynienia z fosforem, (ulatnia się on i mięsza z kurzem), nabawiają się ciężkich chorób, wypadają im zęby, gnije szczęka, rany po oparzeniu fosforem z trudnością się goją, na oparzenie zaś narażona jest i publiczność. Dlatego to już dawniej starano się zastąpić fosfor żółty ciałem innem, i już w r. 1848 chemik Böttcher we Frankfurcie wynalazł tak zwane zapałki szwedzkie. Zastąpił on fosfor żółty fosforem czerwonym, który ma własności znacznie łagodniejsze. Brał on ów fosfor czerwony z domieszką ciała któreby powiększało tarcie, naprz. pyłu szklanego i pokrywał tem tekturę. Z wyżej wspomnianej soli Bertholeta z domieszką ciał, w tlen bogatych, zrobił on główkę. Zapałka taka, potarta o tekturę, zapala się łatwo, o inną płaszczyznę znacznie gorzej.

Był to dowcipny pomysł, lecz mamy tu do czynienia z faktem, często w technice spotykanym. Od pomysłu do urzeczywistnia go na wielką skalę upłynęło lat 22. Ten wynalazek Böttchera dopiero w Szwecji w r. 1870 wyszedł na właściwą drogę i zrobił przewrót w fabrykacji zapałek. Nastąpił wtedy okres zapałek szwedzkich. Masą Böttchera pokrywano boki pudełka, drewienka zaś maczano w siarce z domieszkami ciał, tlen zawierających. Dzisiejsze zapałki nie odbiegają w zasadzie od tego sposobu fabrykacji. Jeżeli zapałką potrzesz, czytelniku, o pudełko, to w miejscu tarcia zapali się fosfor czerwony na pudełku, płomień przenosi się na siarkę, następnie na drzewo zapałki. Chemja wypowieziała w dziedzinie tej fabrykacji ostatnie słowo, postępy też polegają tylko na maszynach.

Co się tyczy ilości wyprodukowanych zapałek, to Szwecja przodowała zawsze w tym wypadku. W r. 1865 wywóz wynosił 1,114,000 kilogramów (kilogram = 2,0 funt) w r. 1871 już 4,281,000, w r. 1872 — 6,000,000 kilogr.

Fabryka w Jönköfing zatrudniała już w r. 1872 — 255 mężczyzn, 849 kobiet, 105 chłopców, 141 dziewcząt, razem 1,350 ludzi. Z robotnic 668 zajmowało się perjodyczne sklejaniem pudełek w domu. Ten rodzaj pracy utrzymał się po dziś dzień naprz. w Królewcu, w Prusiech.

We Francji „Compagnie générale des alumettes" miała w 1872 r. monopol na wyrób zapałek i płaciła rocznie rządowi 16 miljonów franków, dokąd potrzeby krajowe nie przeniosły 40 miljardów zapałek. Było już wtedy we Francji 833 fabryk. Dzienna potrzeba wynosiła 180 miljonów. Na zapałki szło 1,500,000 kilogr. siarki i 302,000 kilogr. fosforu rocznie.

W 1889 roka pojawiły się w handlu zapałki „Oltosy" bez główek. „Głupią" taką zapałkę można było z dwuch stron zapalać, a więc były one do użytku dwa razy. Okazały się jednak niepraktycznemi, już choćby dlatego, że zapalona raz zapałka nie traciła własności palnych, rzucona mogła wniecić pożar.

Maszyny uprościły fabrykację zapałek. Już w r. 1892 5 robotników robiło tyle, co niegdyś 22. Od tego czasu ulepszenia szły szybkim krokiem w Ameryce. Narzuciły się one jednak uwadze fabrykantów europejskich w r 1906. Z powodu wynikłego strejku francuskie towarzystwo monopolu zapałek zakupiło te maszyny. Skutek był ten, że gdy strejkujący wrócili do pracy, odmówiono im zajęcia, maszyna ich zastąpiła.

Ponieważ do obsługi tych maszyn potrzeba bardzo mało robotników, przeto zapałka należy do fabrykatów, których cena nie jest zależna od lonu robotników; suma, którą się wypłaca robotnikom, podzielona przez ilość pudełek, jest tak mała, że się z nią liczyć nie warto, robotnikom więc tu można opłacać znacznie drożej, nie odbije się to jednak na cenie pudełka, a tembardziej zapałki.

Taka sama zależność istnieje w fabrykacji igieł do szycia przez nowoczesne maszyny amerykańskie. Pół tuzina robotników może podobno wystarczyć na całe Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. I tutaj więc podwyższenie lonu nie wpłynie na cenę igły.

Na zakończenie rzucimy pytanie. Czyś nie myślał, czytelniku, o tem co będzie, gdy drzewa do zapałek zabraknie. Gdyby każdy z mieszkańców Warszawy zużył jedną zapałkę dziennie, to potrzeba dzienna wyniosłaby 600,000 pręcików. Ogołocilibyśmy wkrótce wszystkie lasy wokół Warszawy.

Nie troszczcie się jednak o to, już zastąpiono drzewo w niektórych miejscowościach torfem. Istnieje też już maszyna, przerabiająca w 24 godziny 5,000 kilogramów (300 pudów) torfu na 36 miljonów pręcików.

Oczywiście, że Ameryka nie potrzebuje się do torfu uciekać, ma bowiem drzewa dużo; tak zwanego Cotton wood. 100 sześciennych metrów takiego drzewa kosztuje około 700 rubli, lecz fracht do Hamburga wynosi około 1,400 rubli, jest więc to drzewo dla Europy za drogie.

Zapałki wyrabiają w tych krajach nawet, gdzie przemysł naogół jest słabo rozwinięty. A więc w Persji, Brazylji, na Jawie, w Japonji. Monopole istnieją we Francji, Rumunji, Serbji, Grecji, we Włoszech, Portugalji. Konkurencja japończyków, nizka płaca ich robotników, jako też i inteligiencja tych ostatnich daje się we znaki na dalekim Wschodzie. Fabryka na Jawie zbankrutowała podobno z tego powodu.

A. Czerniaków.

Rozmaitości

Jak cesarz chiński radził się lekarzy. O chorobie cesarza Kwang-Hsü mało szczegółów przeniknęło do wiadomości publicznej. Przed kilku laty wezwano do niego lekarza poselstwa francuskiego w Pekinie, dra Dèthéve, ten nie mógł jednak postawić należytej djagnozy, ponieważ według przepisów etykiety nie wolno mu było cesarza się dotknąć, tylko wzrokiem go badać.

Sławny lekarz chiński Chen opowiada, że przed kilku laty powołano go z Szangaju do cesarza i przyrzeczono mu honorarjum 6000 taëlów. W otoczeniu cesarza zastał już dwóch innych lekarzy chińskich, którzy leczyli chorego środkami domowymi na nieokreśloną bliżej chorobę. Przyjęcie Chena odbyło się w następujący sposób: Cesarz siedział obok cesarzowej-wdowy na tronie, do którego Chen musiał zbliżyć się na klęczkach. Cesarz był bardzo blady i małomówny, podczas gdy cesarzowa wyglądała świetnie i ciągle gadała. Ponieważ lekarzowi nie wolno było stawiać pytań, musiał wyrobić sobie zdanie o chorobie na podstawie tego, co mu cesarzowa opowiadała, a co cesarz potwierdzał skinieniem głowy. Nawet popatrzeć na twarz pacjenta nie wolno było lekarzowi, tylko musiał słuchać, z wzrokiem utkwionym w dywan na podłodze. Po długich targach udało mu się uzyskać pozwolenie dotknięcia się palcem cesarza.

Z opowiadania cesarzowej dowiedział się, że pacjent ma nabrzmiałości na języku i w gardle. Po tem szczególnem „badaniu" zaprowadzono Chena przed oblicze wielkiej rady, której zdał sprawozdanie w tym sensie, że cesarz cierpi na chorobę płuc i ogólne wycieńczenie; obok tego głównym objawem choroby jest depresja moralna. Jako

środki lecznicze zalecał spokój i zapisał masę chińskich lekarstw oraz ścisłą djetę.

Po kilku dniach wezwano Chena powtórnie do cesarza. Ordynacja odbyła się w ten sam sposób, co poprzednim razem, wprawdzie cesarz usiłował kilkakrotnie sam przemówić, ale cesarzowa energicznie go powstrzymywała. Wobec tego stanu rzeczy widział Chen, że nie ma dla niego co robić i oświadczył wielkiej radzie, że musi powrócić do domu do swej chorej matki. Pozwolenie na odjazd otrzymał jednak dopiero po złożeniu okupu kilku dygnitarzom, na co wydał większą część swego honorarjum.

* * *

Marszałek Nodzu. Zmarły w tych dniach marszałek armji japońskiej, hr. Miszuzyra Nodzu, urodził się w Kagoszymie dnia 30 listopada r. 1841. Wstąpiwszy do armji japońskiej, już w r. 1874 dosłużył się stopnia pułkownika. Podczas służby swojej odbywał kilka podróży naukowych do Europy, ostatnią w r. 1887. W chwili wybuchu wojny chińsko-japońskiej Nodzu stał na czele armji japońskiej, operującej w Korei, i rozpoczął kampanję bitwą zwycięską z chińczykami pod Pijon-jangiem, gdy zaś wódz naczelny armji japońskiej, marszałek Jamagata, zachorował i musiał wrócić do ojczyzny, Nodzu objął dowództwo naczelne i kierował operacjami wojennemi aż do zawarcia traktatu pokojowego w Szymonoseki. Zasługi jego podczas tej wojny mikado nagrodził nadaniem mu tytułu hrabiego oraz mianowaniem go dowódzcą gwardji. Następnie otrzymał Nodzu stanowisko inspektora gieneralnego zakładów wojskowych, z wybuchem zaś wojny japońsko-rosyjskiej powrócił na pole walki, gdzie odznaczył się jako jeden z najzdolniejszych pomocników Ojamy w operacjach przeciwko gienerałowi Kuropatkinowi.

* * *

Z historji nowożytnej Turcji. Wypadki, towarzyszące detronizacji sułtana Abdul Azisa 1876 r., nie są dotąd historycznie uwierzytelnione. Krążące o niej rozmaite wersje prostuje obecnie jeden z biorących w wypadkach tych udział w następujący sposób: Detronizację na wniosek Midhat paszy uchwalili na tajnem zebraniu dygnitarze Mehmed Reszid, szeik ul Islam Chajrullah, minister wojny Hussein, minister marynarki Kaisarli Achmed i minister spraw zagranicznych Raszid. Detronizacja imiała nastąpić 30 maja 1876 r., ale w ostatniej chwili w obawie przed zdradą postanowiono zrobić to o dzień wcześniej. Szef sztabu gieneralnego Refik basza wtargnął wieczorem 29 maja do pałacu Dolma Bagcze, gdzie zastał Abdul Azisa, syna jego Jusufa i brata sułtana Murada, następcę tronu. Siłą wyprowadził Murada z pałacu, wsadził go do powozu i kazał jechać do ministerstwa wojny. Warta pałacowa nie przeszkadzała, myśląc, że dzieje się to na rozkaz sułtana. Po odwiezieniu Murada wrócił Refik do pałacu i zawiadomił Abdul Azisa, że na rozkaz nowego sułtana Murada uważa go za więźnia. — Abdul Azis poddał się swemu losowi, a w kilka dni później został uduszony.

* * *

Ulepszenie telegrafu bez drutu. „Matin" donosi, że dwom oficerom włoskiej marynarki Belliniemu i Tosiemu, którzy otrzymali od rządu francuskiego pozwolenie na ustawienie aparatów do telegrafowania bez drutu w Dieppe i Havre, udało się po półtorarocznej pracy umożliwić skierowanie fal elektrycznych w pewnym, ściśle określonym kierunku. Ma to doniosłe znaczenie nietylko z tego powodu, że odtąd już nikt niepowołany nie będzie mógł podchwycić depeszy wysłanej zapomocą telegrafu bez drutu, ale daje też możność dokładnego określenia w aparacie przyjmującym kierunku, skąd fale przychodzą. Będzie więc można w ten sposób porozumiewać się n. p. z okrętami znajdującemi się w niebezpieczeństwie, albo dowiedzieć się o kierunku w jakim płynie dana flota.

* * *

Budowa dzwonnicy św. Marka w Medjolanie doprowadzoną już została do połowy wysokości, która wynosi 48,17 metrów, a wraz z podstawą 49,51 m.; całkowita wysokość wynosić będzie 99,32 metrów. Budowa właściwego, złobionego trzonu wieży, na co zużytkowano miljon cegieł, z których każdy waży 7 kg i jest dwa razy większą od zwyczajnej, ukończoną została w październiku. Pozostaje do wzniesienia część gładka trzonu (5,58), cela dla pomieszczenia dzwonów, na co się zużytkuje 2500 bryl kamienia, wreszcie szczyt wieży. Budowa właściwej dzwonnicy rozpoczęła się w połowie listopada.

* * *

Walka szczupaka z łabędziem. Jedna z gazet szwajcarskich podaje ciekawe opowiadanie osoby, która była naocznym świadkiem napadu szczupaka na młodego łabędzia. Na jeziorze genewskiem pod Tour de Pelz ukazała się grupa łabędzi, złożona z pary rodzicielskiej i trzech młodych. Naraz zauważono, że jeden z młodych łabędzi dostał się głową pod wodę i napróżno usiłował się wyrwać jakiejś tajemniczej sile, która go przytrzymywała. Zobaczywszy to stare łabędzie, pospieszyły natychmiast z pomocą, bijąc gwałtownie skrzydłami o wodę. Świadek tej sceny wyjął lornetkę i teraz dopiero zobaczył pod powierzchnią wody ogromnego szczupaka, trzymającego w zębach głowę łabędzia. Gdy stare łabędzie zaczęły coraz gwałtowniej atakować, napastnik wypuścił nareszcie swą ofiarę, która atoli była już martwa. Rybacy dowiedziawszy się o tem, urządzili połów i schwycili sześciofuntowego szczupaka, przypuszczalnie mordercę łabędzia. Według zapewnienia wspomnianego świadka tej niezwykłej walki, jest to już drugi wypadek napadu szczupaka na łabędzia.

* * *

Niezwykłe zjawisko atmosferyczne. W okresie pomiędzy 7 a 10 ubiegłego miesiąca obserwowano w Król. Polskiem niezwykłe zjawisko na niebie. Korespondent Ziem. Lub. za Warszawy podaje następujący opis zjawiska, które obserwowało wielu ludzi w dniu 10-tym ubiegłego miesiąca wieczorem.

Oto najpierw ukazały się na północy słupy czerwonej barwy, a było ich około szesnastu. Kiedy podeszły wysoko w górę, niezadługo ukazała się znowu na letnim zachodzie druga gromada ośmiu słupów żółtego koloru i poczęły się posuwać na północ, jakby nacierając na słupy czerwone. Aż tu wkrótce wystąpiła trzecia gromada słupów, koloru żółto-czerwonego, ale już w oddaleniu, bo aż na zimowym zachodzie i poczęła także zbliżać się do słupów północnych. Wtem wychodzi czwarta gromada słupów, koloru żółto-zielonkowatego od strony jesiennego zachodu. Wszystkie te trzy gromady słupów poczęły jakby nacierać na północne, tak, że te stały się krwawe, a potem gasły powoli. Tylko słupy żółte zaczęły świecić mocno. Potem wszystko zgasło.

* * *

Zyski trustu naftowego. Podczas rozprawy o rozwiązanie trustu naftowego przed trybunałem najwyższym w Nowym Jorku Rockefeller przyznał, że kapitał akcyjny „Standard Oil Company" 56 mil. wynosił dolarów, a zyski za lata 1899—1907 — 570 miljonów dolarów; za rok ubiegły obliczają zyski na 80 miljonów dolarów. Zapytany o inne kweste, oświadczył Rockefeller, że sobie nic nie przypomina.

Z literatury i sztuki

„Nauka dla wszystkich". Treść nr. 11: F. L.: Słowiańszczyzna południowa. — Znaczenie kapitału w gospodarstwie społecznem. — Z. K.: Bujność życia w morzu. — Dr. K. B.: Jak powinniśmy się żywić i mieszkać? — Władysław Gacki: Czy alkohol jest pokarmem? — W. Ż.: Obrazy ziemi polskich.

Adres: Księgarnia M. Arcta w Warszawie. Rocznie 75 kopiejek.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 50. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 12 grudnia 1908.

Juljusz Słowacki.

Z „Kordjana“*)

(Sala admaszkami wybita w Watykanie. Papież siedzi na krześle w złocistych pantoflach; koło niego na złotym trójnogu tjara, a na tjarze papuga z czerwoną szyją. Szwajcar, odmykając drzwi dla wchodzącego Kordjana, krzyczy głośno)

Szwajcar.

Graf Kordjan, Polak!

Papież.

Witam potomka Sobieskich.

(Wyciąga nogę. — Kordjan przyklęka i całuje.)

Polska musi doznawać zawsze łask niebieskich,
Dziękczynień modły niosę za ów kraj szczęśliwy,
Bo cesarz, jako anioł z gałązką oliwy,
Dla katolickiej wiary chęci chowa szczere.
Powinniśmy hosanna śpiewać.

Papuga (cienko i chrapliwie.)

Miserere!!!**)

Kordjan.

W darze niosę ci Ojcze relikwję świętą,
Garść ziemi, kędy dziesięć tysięcy wyrżnięto
Dziatek, starców i niewiast. Ani te ofiary
Opatrzono przed śmiercią chlebem eucharystji;
Złóż ją tam, kędy chowasz drogie carów dary,
Wzamian daj mi łzę, jedną łzę —

Papuga.

Lacrima Christi...***)

Papież (z uśmiechem do papugi, machając chustką).

Precz Luterku! precz, mówię. — Cóż, synu Polonie,
Byłeś że w Piotra gmachu? w Cyrku, w Panteonie?
Ostrzegam: bądź w niedzielę w Chórze Bazyliki,
Bo właśnie nowy śpiewak przyjechał z Afryki —
Dej mi go przysłał Fezki. — Jutro z majestatu
Dam wielkie pożegnanie Rzymowi i światu,
Ujrzysz, jak całe ludy korne krzyżem leżą!
Niech się polaki modlą, czczą cara i wierzą...

Kordjan.

Lecz garści krwawej ziemi nikt nie błogosławi...
Cóż powiem? —

Papuga.

De profundis clamavi, clamavi! ****)

Papież (zmięszanie śmiechem pokryć usiłuje i spędza papugę).

Precz szatanku! Z tjary na pastorał rusza,
Przeklęte zwierzę ptasie — o mało nie powiem,
Że w niej zaklęta Lutra pokutuje dusza;
Pełna przysłówków — ergo, ponieważ, albowiem
Raz za firanką skryta, wdała się w dysputy
Z kardynałem, prezesem dotarji biura.
Rozumiał, że mu doktór jaki tęgo kuty
Odpowiadał na kwestje*) — ona trzęsła pióra,
A kardynał rwał włosy i nadrabiał krzykiem.
Papuga odrzucała odpowiedzi ślepe,
Nakoniec go zabiła hebrajskim językiem,
Krzycząc: „Pappe satan! pappe satan! aleppe!“
Głupie stworzeńko! Takto czasem Bóg pozwala,
Że słaby Goljatów rozumy obala.
No, mój synu, idź z Bogiem, a niechaj wasz naród
Wygubi w sobie ogniów jakobińskich**) zaród,
Niech się weźmie psałterza i radeł i sochy.

Kordjan (rzucając na powietrze garść ziemi.)

Rzucam na cztery wiatry męczennika prochy!
Ze skalanemi usty do kraju powrócę. —

Papież.

Na pobitych polaków pierwszy klątwę rzucę!
Niechaj wiara jak drzewo oliwkowe buja,
A lud pod jego cieniem żyje.

Papuga.

Aleluja! —

*) Papierz Grzegorz XVI wydał w 1832 roku encyklikę, w której nazwał powstanie polskie buntem przeciwko legalnej (prawnej) władzy i sławił wspaniałomyślność cara. To miał na myśli Juljusz Słowacki, opisując scenę przyjęcia w Watykanie.

**) Zmiłuj się!

***) Łza Chrystusa.

****) Z głębin wołałem, wołałem!

Zima.

I znowu rok minął. Ta sama szaruga jesienna, brudna, wilgotna, przygnatająca mgłą smutku, a taka ciężka, beznadziejna, odgrzebująca w duszy człowieka wszystko, co zatraca ufność w przyszłość, co mrozi uśmiech, siejąc bruzdy i zmarszczki na twarzy człowieka z sercem i czuciem.

Konanie przyrody, konwulsyjne drganie ginącej zieli i kwiecia, jękiem wichru i szumem potoków deszczowych znaczone, dziwnie nastraja duszę człowieka. Żal, żal tęskny, ten, co nie do płaczu, nie do śmiechu rozpaczy, ale do smutku cichego, zamkniętego w sobie, do myśli ponurej usposabia, osiada na mózgu człowieka, gnie ku ziemi, rozsiewa wkoło duszną atmosferę, nakazując myśleć tylko o bólu i cierpieniu.

Ma zima w każdej dziedzinie życia, w każdem najdrobniejszem jego rozgałęzieniu swe specjalne znamiona, wy-

*) Zapytania.

**) Rewolucyjnych.

ciskające piętno zamierającej przyrody. A wszystkie te znamiona równie do siebie podobne, równie smutne, tak, jakby miały jedną matkę, zrodzoną z łez i krwi. Są wprawdzie osobniki, są grupki jednostek, dla których świat poetów potrafił i z śmiertelnego całunu zimy wykrzesać śmiech perlisty i rozkosz bogów, dla których zima jest rozkoszą wiosny, tylko w odmienną strojna szatę. Ależ, czy ci są tymi, o którychby powiedzieć można, że zalali sobą skorupę ziemską, że są jej bytem, istnieniem, jej obiegiem krwi, jej siłą ożywczą, że na nich odbija się zmiana w życiu przyrody? Nie! Im dano, aby mniej jeszcze siejąc i zbierając, jak ptaki niebieskie, byli zawsze syci i niezapomniani, by na to smuciła się przyroda, aby oni z smutku tego pili wino śmiechu. Dla tych niema zimy!

Zima płynie albo górą z huraganem wichru i chmur śniegowych, gryząc sobą poddasza i strychy, albo z jękiem spada ku dołowi, tarza się w zapasach po ziemi, niosąc tym, których świat przykuł do piwnic i suteryn, śmierć i nędzę. Ot, zwykła, powszednia tragedja, omawiana w dziesiątkach tematów z czasów przeczulenia humanitarnego, dziś spowszedniała, wyśmiewana, znaczona słowem prowincjonalnego dramatu.

Nerwy ludzkie, uczucie, filozofja humanitaryzmu — wszystko to stępia się z czasem, wychodzi z mody literackiej, tworząc przy wznawianiu uśmiech szyderczy na twarzach otoczenia, cedzącego przez zęby: demagogja uczucia, parafjańskie nerwy!...

U drzwi przytułków publicznych, w kruchtach kościelnych, kaźniach szupaśniczych, na rynku taniego towaru prostytutek nieletnich, na korytarzach sądowych i w kaźniach więziennych, słowem, wszędzie, gdzie nieograniczenie panuje nędza i występek, zima święci tryumfy. Wkoło siebie zgromadziła ona kulawych starców, łachmany żebracze, suchotnicze szwaczki, nędzarzy z piwnic, suteryn, poddaszy, rozwalonych chałup przedmiejskich, szop cegielnianych, tworząc z nich gwardję, podatną do eksperymentów dzisiejszej urzędowej cywilizacji, czy ona występuje w todze sędziowskiej, czy w sukni kapłana, czy krzyż papieski filantropa ją zdobi, lub szare płaszcze zakonu brata Alberta.

W tym kalejdoskopie nędzy przesuwają się tak szybko obrazy, pełne dramatu i tragedji, że trudno je wszystkie uchwycić, należycie nacieniować, by raziły jakiemś odmiennem, niecodziennem światłem, od tysiąca podobnych, wiecznie, ciągle snujących się z niezmordowaną systematycznością i z płachtą białej, śnieznej, mroźnej zimy, na swym odrażającym szkielecie.

W małej o głupkowato-szarych patronowych freskach sali sądu prowincjonalnego staje przed sędzią wychudła kobieta o więcej niż zapadłych w czaszkę oczach, ochrypła, z popuchniętemi wargami i oczyma, oskarżona o kradzież kilku polan drzewa. Treść rozprawy zwykła, powszednia, tylko niezwykłe generalja oskarżonej, wyrok i głos urzędowego zastępcy prawa i ustawy. Posłuchajmy.

— Czy oskarżona zamężna? — Tak! — Mąż żyje? — Nie! — Dzieci są? — Jest czworo; najmłodsze 3 tygodnie, przyszło na świat w kilka tygodni po śmierci męża, zarobnika dziennego. — Czemu oskarżona ukradła tych kilka polan drzewa? — Tu zaczyna się płacz, łkanie, z którego wyrozumieć można, że nie miała za co dzieciom swoim ogrzać bodaj trochę wody gorącej, a po połogu roboty nigdzie nie miała.

Prokurator, taki młody bez wąsów, ma może 20, a może 21 lat, ranga jego: nieetatowy auskulant, syn radcy sądowego, domaga się ukarania surowego winnej. Sędzia podnosi się do wydania wyroku, wtem widzi w kącie wyprostowanego policjanta, którego w roli świadka obciążającego zapomniał przesłuchać. Siada więc ponownie i pyta: — Świadek widział, że oskarżona kradła? — Nie! — Dlaczego ją świadek aresztował? — Bo skąd taka obdarta może nieść drzewo rąbane?

Prokurator uśmiecha się, robiąc uwagę: Psycholog.

— Gdzie ją świadek aresztował? — W domu. — Czy oskarżona przyznała się? — Tak.

Sędzia zamyślił się chwilę, a potem do oskarżonej: Wyście siedzieli kilka dni w śledztwie, co się przez ten czas stało z dziećmi?

Następuje gwałtowny, spazmatyczny płacz oskarżonej. Sędzia marszczy brwi, podnosi się i ogłasza wyrok uwalniający. Prokurator zgłasza zażalenie nieważności, z dalszem przytrzymaniem w areszcie śledczym, z obawy przed ucieczką.

Prawda, jakie to proste, jakie zwyczajne, a przecież dla tego, co ma serce i czucie, takie pełne tragedji, że wszystko, co z tragedją ma coś wspólnego, a co wyprowadzono na sceny teatru światowego, jest zaledwie słabem odbiciem, cieniem niewyraźnym tej nieteatralnej tragedji.

Znalazł się jakiś demagog uczucia, ot taki parafjanin, co płacze jak czyta żywot świętej Genowefy i chciał publicznie wystąpić przeciw takiemu zimnemu zastosowywaniu ustawy do matki, która unikając zbrodni dzieciobójstwa, popełniła przekroczenie kradzieży. Wyśmiano go w redakcjach pism, głoszących wiecznie hasła humanitaryzmu, cywilizacji i ludzkości, powiedziano mu, by nie udawał pensjonarki, zresztą trudno, aby prokurator złodziejki pasował na zakonnice cnoty...

Zima ciężka, śnieżna spadła na przedmieścia, przygniotła do ziemi pokrzywione domki nędzarzy, niosąc w te spelunki nędzy grozę głodu, hańby i zimna, z którem walczyć nie mogą odarte postacie, by nie natknęły na prawo, na publiczną moralność, na urzędowe uczucie, na humanitaryzm kapłanów i przewodników cywilizacji.

W fantazji poetów zima jest oblubienicą, idącą w białych szatach na gody weselne, przeglądającą się w srebrzystych blaskach księżyca i gwiazd migocie. Dla poetów bez fantazji zima jest ostrym rylcem brutalnie prawdziwego pisarza, który nieubłaganie, odrzucając szkoły i metody pisarskie, kreśli prawdę życia ludzkiego, jego hańbę, znikczemnienie, jego krwiożercze instynkta, bydlęce znieczulenie.

Powiadają naturaliści, że w gniazdach inteligientnych czworonogów matce-zwierzęciu wszystkie samce znoszą pożywienie i wspólnie bronią słabe jeszcze potomstwo.

Natura-matka, stwarzając zimę, sądziła zapewne, że i dwunogie stworzenia tak czynić będą, dlatego dała zimę, nie wiedząc, że ona stanie się dla jej najinteligientniejszych istot straszną plagą...

Witold Reger.

Nowy reformator wykształcenia fizycznego.

W Szwajcarji rozpoczął propagandę reformator, który postawił sobie za zadanie połączenie rozwoju fizycznego młodzieży z estetycznym. Ten wybitny człowiek nie tylko wygłosił oklepane „w zdrowem ciele zdrowa dusza", lecz dodał „w zdrowem, giętkiem i pięknem ciele, mieszkać musi zdrowa i odczuwająca piękno dusza".

Jakób Dalcroze, gdyż o nim to mowa, jest skromnym profesorem w instytucie muzycznym w Gienewie. Posiadając rzeczywisty instynkt obserwacyjny, spostrzegł on, że nic tak nie umuzykalnia dzieci, jak bezpretensjonalne piosenki, chansons de gestes, śpiewane przy akompanjamencie fortepjanu, oraz giestów, wyrażających rytm i ich nastrój.

Zgłębiając przyczynę tego zjawiska, dostrzegł on, iż podstawą nietylko muzyki, lecz wszelkiej czynności w życiu człowieka jest rytm. Prototypem rytmu jest puls czyli bicie serca. Już Stanisław Mleczko w pracy swojej „Serce a heksametr" zauważył, iż rytm tętna sercowego wykształca formę bardzo wielu zjawisk biologicznych. Praca kowala, czy poety ulega jednakowo zasadom rytmu.

Wychowanie współczesne spacza poczucie tempa, które bardzo silnie wyraża się u ludzi, żyjących w stanie natury.

Aby czynność ludzka była rytmiczna, musi człowiek mieć doskonale rozwinięte nietylko system mięsny i kostny, lecz co ważniejsze system stawów. Giętkość członków, nadająca mieszkańcom Jawy tyle wdzięku, jest następstwem właściwego wyćwiczenia stawów. Samodzielność i niezależność oddzielnych członków ciała jest ideałem, do którego dąży cały system gimnastyki Dalcroze'a, przezwanej przez autora „rytmiczną". Odbywa się ona stale przy dźwiękach muzyki. Za pomocą odpowiednich akordów raz wyrażane bywają nuty pełne, innym razem pół nuty, ćwierć, ósemki, itd. Stosownie do taktu ruchy dzieci są szybsze lub powolniejsze. Cała metoda systematycznie uwzględnia fakt, iż

podczas ruchu głębokość oddechu czterokrotnie powiększa się w stosunku do stania lub siedzenia. To też wszystkie niemal ruchy są dokonywane podczas marszu. Dzięki temu zarazem dziecko nie nabywa tej drewnianej niezręczności, która jest cechą charakterystyczną wielu ćwiczeń niemieckich.

Aby wydoskonalić samodzielność kończyny, dokonywać one muszą obok ćwiczeń symetrycznych całego szeregu asymetrycznych jednocześnie obu rękoma ewentualnie nogami. Ćwiczenia te w olbrzymiej większości ograniczają się do ruchów prostych: chodzenia, mówienia, śpiewu, giestów naturalnych, a wszystko jest dokonywane z precezją i naturalnie, bez nieśmiałości i ruchów zbytecznych. Zdaje się nam, że widzimy obrazy z waz etruskich, lub obrazów greckich, przedstawiających ruchy modlitewne kapłanek, lub ćwiczące się na polach Sparty młode obywatelki greckie.

Uwaga jest niezbędnym atutem przy wykonywaniu ćwiczeń rytmicznych, ale wkrótce ulega ona takiemu wyćwiczeniu, iż czynności te stają się automatycznemi. Nawet dziecko, całkowicie pozbawione słuchu, a więc nie umiejące przystosować swego kroku do tempa muzyki, wkrótce przezwycięża przeszkody i nabywa tej najkardynalniejszej podstawy muzykalności. Jednocześnie wzmagająca się giętkość stawów czyni ciało coraz elastyczniejszem i mocniejszem, a ruchy stają się bardziej okrągłe, pełne gracji. Może mniej szczęśliwym, aczkolwiek poważnym atutem dla rozwoju uwagi i woli jest komenda „hop", na której dziecko zmienia ruch momentalnie.

Oceniając wartość gimnastyki rytmicznej, która nie dąży i nie może zastąpić ćwiczeń greckich, musimy wskazać wielką wartość współrzędnego stosowania obu metod.

Gimnastyka Dalcroze'a rozwijająca zarówno kończyny, jak tułów, oraz szyję i głowę, budzi w człowieku cywilizowanym ową pierwotną rytmiczność ruchów żywych i oddziaływa na różnorodne strony jego wychowania.

Rozmaitości

Największe katastrofy w górnictwie w ostatniem czterdziestoleciu. W obec okropnej katastrofy na kopalni „Radbod" wskazanem jest przypomnieć sobie wogóle katastrofy ostatnich lat. Zestawienie niniejsze nie jest atoli zupełne, bo brak w niem zupełnie katastrof na Górnym Śląsku, jak np. na kopalni „Kleofas" itd.

		zabitych	ranionych
1868	15 stycznia: kopalnia „Neu-Iserlohn" pod Langendreer	101	—
1869	2 sierpnia: kopalnia „Gottes Segen und Hoffnung" pod Potschappel	274	—
1876	4 lutego: „St. Etienne", Francja	216	—
1876	4 lipca: „Karlingen" pod St. Avold, Lotaryngja	147	—
1877	14 lutego: „Graissesac", franc. departament Herault	55	—
1877	28 marca: „Apedale", North Staffordshire	30	—
1877	22 października: „High-Blantyrep", Glasgow	210	—
1878	13 marca: „Keharnley", Anglja	44	—
1878	7 czerwca: kopalnia „St. Helens", Lankashire w Anglji	182	—
1878	11 września: kopalnia „Abercarne", Old Pitt Moumoutshire	258	—
1879	14 stycznia: „Dinas", pod Cardiff (Anglja)	60	—
1879	17 kwietnia: „Frameries", pod Mons (Belgja)	151	—
1879	1 grudnia: „Brückenschacht", Zwikau	89	—
1880	20 stycznia: kopalnia „Fairlady", (Anglja)	80	—
1881	24 czerwca: „Louise Tiefbau"	17	—
1881	23 grudnia: „Hardenberg"	24	—
1882	„Neu-Iserlohn"	71	—
1882	10 maja: kopalnia „Pluto"	62	12
1883	16 lutego: kopalnia „Borussia"	6	—
1883	2 czerwca: „Verein. Präsident", szyb 1	9	1
1883	13 września: „General Blumenthal"	6	3
1883	19 września: „Massener Tiefbau"	16	1
1884	21 stycznia: „General Blumenthal"	17	7
1884	18 sierpnia: „Shamrock"	8	—
1884	3 listopada: „Viktor"	12	5
1885	18 marca: kopalnia „Camphausen", pod Saarbrücken	175	—
1885	4 listopada: „Oberhausen" szyb Osterfeld	12	3
1886	13 stycznia: „Neu-Iserlohn", szyb	5	2
1886	22 lipca: „König Ludwig"	8	1
1884	24 września: „Konsolidation 2"	56	8
1887	8 czerwca: „Hibernia"	52	4
1887	14 listopada: „Gneisenau"	15	4
1889	„Constantin"	14	—
1889	„Erin"	12	—
1891	2 stycznia: „Amalia"	7	4
1891	23 stycznia: „Hibernia"	57	22
1891	12 listopada: „König Ludwig"	11	2
1892	5 stycznia: „Monopol"	4	5
1892	8 stycznia: „König Wilhelm"	10	3
1892	8 lutego: „Bruchstrasse"	—	17
1892	17 października: „Concordia"	1	10
1892	28 grudnia: „Heinrich Gustav"	1	20
1893	27 marca: „General Blumenthal"	10	5
1893	18 sierpnia: „König Ludwig"	8	7
1893	19 sierpnia szyb „Kaiserstuhl"	61	12
1895	25 lipca: „Prinz von Preussen"	36	10
1895	14 sierpnia: szyb „Recklinghausen 2"	3	10
1896	19 listopada: „General Blumenthal"	26	5
1897	1 grudnia: „Frankenholz", Kaiserslautern	44	—
1897	22 grudnia: szyb „Kaiserstuhl 2"	20	6
1898	17 lutego: „Carolinenglück"	127	40
1906	10 marca: „Courrieres"	1235	—
1807	28 lutego: „Reden"	148	—
1908	12 listopada: „Radbod"	360	27

* * *

Co kobiety myślą o kobietach? Telefonistki paryskie świeżo wniosły, jak donosi „Vie de Paris", prośbę do ministra poczt i telegrafów, w której upominają się o to, by na ich czele postawiono mężczyznę. „Mężczyzny chętnie byśmy słuchały — piszą — natomiast tyranja kobiety jest niezmiernie uciążliwą... Kobiety nie umieją wobec innych kobiet zachowywać bezstronności, albowiem wszystkie sobie wzajem zazdroszczą... Gustowna suknia, nowy kapelusz, jakiś wytworniejszy przystrój lub nawet skromna kokarda, mogą przełożoną, ubraną gorzej, doprowadzić do pasji... A jeżeli ta przełożona jest przytem nieosobliwie wykształconą i gdy ma do czynienia z podwładną dowcipną i ciętą, czyż nie będzie odczuwała w głębi ducha swej niższości? I czy nie będzie przy sprzyjającej okazji szukała małostkowej zemsty?...

Argumenty te nie są, oczywiście, feministyczne, natomiast... bardzo kobiecie.

* * *

Spożywanie koniny w Niemczech jest w stosunku do innych rodzajów mięsa bardzo wysokie. Według statystyki głównego państwowego urzędu sanitarnego za trzeci kwartał 1908, czyli za czas 1 lipca do 1 października rb. oddano ich na rzeź ogółem 26.581. Z innych rodzajów bydła zabito w tym samym czasie wołów 155.348, stadników 136.717, krów 411.750, młodocianego bydła czyli jałowic 312.860, cieląt 1.136.182. świń 3.813.083, owiec 742.663, kóz 38.378.

* * *

Wpływ pijaństwa na ochotę do pracy. Jest ogólnie stwierdzoną rzeczą, że po pijackich zabawach dni świątecznych jakoteż po dniach wypłaty liczba wypadków bezrobocia znacznie wzrasta. Wynika to dowodnie ze statystyki, zebranej przez dr. Rosenfelda (Stat. Monatschrift 1907), a dotyczącej okręgu górniczego Ostrawa-Karwin (Morawy).

Mianowicie odsetek górników, niezgłaszających się do pracy samowolnie (t. j. nie uwolnionych i nie chorych) wykazuje następujące cyfry:

	1899	1900	1901	1902	1903
w zwykłych dniach roboczych	3·4	3·8	3·1	2·3	2·0
" dniach poświątecznych	5·9	6·0	5·7	4·0	3·6
" " po wypłacie zaliczki	7·5	6·8	6·9	5·4	5·1
" " po wypłacie głównej	7·9	8·4	7·7	5·6	5·5

W dniach poświątecznych zatem liczba robotników, opuszczających samowolnie pracę, wzrasta w dwójnasób, zaś w dniach po wypłatach niemal że w trójnasób, co tylko do zgubnego wpływu nadużycia wyskoku odnieść należy.

* * *

Brykiety torfowe. Jednemu z swedzkich inżynierów, dr. Marcinowi Ekenbergowi, udało się w zupełności zastąpić węgiel zapomocą torfu. Dotychczas torf, jako środek opałowy, nigdy nie dawał zadowalniających rezultatów. Teraz dr. Ekenberg rozwiązał tę kwestję zapomocą specjalnego, przez siebie wynalezionego postępowania. Chodzi przedewszystkiem o to, aby torf uwolnić od wielkiej ilości wody, którą zawiera. Ponieważ, wobec konsystencji torfu nie da się to uskutecznić prasowaniem, a wysuszenie zapomocą ogrzania byłoby zbyt kosztownem, przeto Ekenberg zastosował inny sposób.

Po oddzieleniu dokładnem wody pozostaje ciało stałe, twarde, podobne do węgla, o wysokiej wartości kalorycznej. Brykiety takie, sporządzone w temp. 150° C. dają $^2/_3$ ciepła, wytworzonego przez spalenie tejsamej ilości dobrego angielskiego węgla; brykiety sporządzone w 200° dają jeszcze więcej. Brykiety mają oprócz tego tę zaletę, że nie wydzielają zbyt wiele dymu i nie pozostawiają wielkich ilości popiołu.

* * *

Odnalezienie zwłok Andreego. O odnalezieniu zwłok Andreego, który w swoim czasie przedsięwziął podróż do bieguna balonem, zginął jednak w czasie wyprawy niewiadomym sposobem, donoszą do „Berliner Tageblatt" z Kopenhagi: Do Aalborga w Jutlandji nadszedł list kapitana okrętu „Inga", Storma o treści następującej:

„Przybyliśmy do Labradoru równocześnie z nowofundlandzkim okrętem „Pelops", którego kapitanem był Chalker. Otóż Chalker podał, że o dwa kilometry od brzegu w północnowschodniej części Labradora znalazł mogiłę z krzyżem, na którym umieszczony był napis „Andree". Kapitan Chalker rozkopał mogiłę, i znalazł tu szczątki zwłok, a obok nich skrzynię z papierami. Gdzie te papiery obecnie się znajdują, kapitan Chalker nie chciał powiedzieć. Chalker jest synem europejczyka i eskimoski, i swego czasu był w Grenlandji jako członek wyprawy Peary'ego. Przy tej sposobności często słyszał nazwisko Andreego. Teraz dopytywał się, jak się pisze to nazwisko, a dowiedziawszy się, wyciągnął z kieszeni kawał papieru, na którym była kopja napisu na krzyżu. Miejsce, na którem znajdowała się mogiła, rzadko jest odwiedzane przez eskimosów. Krzyż został przez Chalkera usunięty. Co się stało z oboma towarzyszami Andreego — niewiadomo. Prawdopodobnie papiery zawarte w skrzyni dadzą pewne objaśnienia w tym względzie.

* * *

193 kilometrów na godzinę. Z Nowego Jorku donoszą: Na przestrzeni Nowy Jork-Filadelfja ma być dotychczasowa kolej pensylwańska zmieniona na kolej elektryczną, co umożliwi olbrzymie skrócenie czasu jazdy. W fabrykach maszyn zamówiono juz potężne elektryczne lokomotywy i motory o sile 250 000 koni, a w celu uczynienia toru bardziej wytrzymałym na zwiększoną chyżość, wzmacniają szyny i nasypy. Po ukończeniu tych robót będzie można całą przestrzeń długości 193 km przebyć w przeciągu jednej godziny.

* * *

Najwięcej palące miasto. Pisma amerykańskie twierdzą, że w Chicago wypala się najwięcej tytoniu i cygar. Obliczeń cyfrowych nie podają wprawdzie, za to wymieniają następstwa dymienia. A więc: ogólne zaflegmienie, ani jedna czysta firanka w mieszkaniach, walki między chłopcami o rekord w paleniu, mierzenie się na siły między chłopcami i dziewczętami itd. Jak dalece namiętność palenia ogarnęła wszystkich, wynika z tego, że kucharka przy godzeniu się do służby wymawia sobie wolność palenia przy gotowaniu, a uczniowie pewnej szkole zagrozili strejkiem, jeżeli nie otrzymają pozwolenia palenia przynajmniej w czasie przerw. Największą szkodę ponoszą handlarze tytoniu do żucia, tego tak bardzo rozpowszechnionego nadużycia, szczególnie w klasie robotniczej; dla ochrony sw ch interesów wnieśli do kongresu stanowego petycję, aby tytoń do palenia obłożono wyższym podatkiem, aniżeli tytoń do żucia.

* * *

93 godzin zasypani w kopalni. W piątek 20 listopada nastąpiła w kopalni „Hannover" eksplozja gazów, podczas której dwaj górnicy Holstein i Nowak zostali zasypani. Wszczęto natychmiast roboty ratunkowe i udało się otworzyć przejście do świeżego powietrza, ale innego przystępu nie było, tak że zasypanym groziła śmierć głodowa. W międzyczasie energicznie pracowano nad wyratowaniem ich, co nareszcie po 93 godzinach się udało. Obaj są w dobrem zdrowiu, tylko strasznie wycieńczeni głodem i ciągłą obawą o swój los.

Z literatury i sztuki

„Myśl Niepodległa", Treść nr. 82 (dekada pierwsza na grudzień): Bankrut. — Świat ginący. — Polski sejm w Kurytybie. — Nauka i wychowanie w ochronkach. — Inkwizycja w Polsce. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Zapiski. — Książki. — Ogłoszenia.

Adres: Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10.

* * *

„Miesięcznik dla popierania ruchu wstrzemięźliwości". Treść nru. na listopad: Wpływ alkoholu na pracę umysłową. — Przyczynek do psychologji pijaństwa. — Drobiazgi historyczne do dziejów alkoholizmu w Polsce. — Zdania wybitnych mężów. — Wiadomości ze świata. — Ziemie polskie. — Rozmaitnści. — Wiadomości z towarzystw. — Z piśmiennictwa.

Adres: A. Sumulska, Pleszew-Pleschen (Prov. Posen). Rocznie pod opaską 3,40 mk.

Kącik humorystyczny.

Restauracja, w której jest wszystko.

Znaną jest anegdota o restauratorze, który nigdy nie odmawiał gościom czegokolwiek tylko zapragnęli, a w razie niemożności spełnienia ich życzeń, odpowiadał, że „już wyszło". Podobna historja przytrafiła się raz wielkiemu pisarzowi francuskiemu Balzacowi. Wyszedł on raz na spacer poza Paryż i wstąpił po drodze do restauracji na śniadanie. Między nim a kelnerem zaczęła się następująca rozmowa:

— Macie pieczony udziec barani?

— Jaka szkoda, przed chwilą zjadł ostatni kawałek jakiś anglik!

— Macie może potrawkę z kur?

— Kury, proszę pana, są w tym sezonie właściwie bardzo twarde.

— Takich nie chcę; macie może frykando?

— Będzie gotowe, ale dopiero o godzinie piątej po południu.

Balzac patrzył przez chwilę uważnie na chłopca, a potem zapytał nagle:

— Może macie sfinksa?

— Zaraz zobaczę w kuchni — odparł chłopiec i zniknął.

Po chwili powrócił, a gdy poeta patrzył na niego z natężeniem, co mu odpowie, chłopiec rzekł:

— Niestety, już nic niema!

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 51. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 19 grudnia 1908.

MARJA KONOPNICKA.

W piwnicznej izbie.

W piwnicznej izbie zmrok wczesny pada
Wilgotny a ponury:
Mętnemi szyby drobne okienko
Na brudne patrzy mury.

W piwnicznej izbie głos dziecka słychać:
To westchnie, to zagada...
Ojciec chleb czarny wykuwa młotem,
Przy igle matka blada.

— Moja mateńko, moja rodzona,
Jak też tam na wsi onej?
Czy też tam dzieci chodzą w słoneczku
Po trawce, po zielonej?

I nie mieszkają jak my w piwnicy?
I widzą het... obłoki?
— Oj, widzą, synku, wszyściutko widzą,
Caluśki świat szeroki.

Oj, widzą one pola i lasy
I łąki i zagaje,
Widzą, jak słonko idzie do morza
I jak znów rankiem wstaje...

Widzą, jak pługi rzną wiosną skiby,
Jak siewacz rzuca ziarna,
Jak woły ciągną zębatą bronę,
Jak rodzi ziemia czarna...

Oj, widzą one, jak źródła biją,
Jak modre rzeki płyną,
Jak dzikie gęsi na ugór lecą,
Jak staw zarasta trzciną...

— A niema takich murów dokoła,
Że aż się przegiąć trzeba,
Żeby choć skrawek, choć odrobinkę
Zobaczyć czasem nieba?

— Niebo tam, synku, wszystkim otwarte,
Z wschodu na zachód wolne,
Czy zorza świeci, czy gwiazdy wschodzą,
Jako te kwiaty polne...

— To i pan Jezus bliżej być musi
I patrzy na te dzieci...
A od nas tutaj do Pana Boga
I pacierz nie doleci...

. . . . . .

W piwnicznej izbie głos zabrzmiał cichy,
Matka się po niej krząta.
W gęstnącym zmroku głos dziecka słaby
Z ciemnego słychać kąta:

— Moja mateńko, moja rodzona,
A jak tam jest w tem polu?
— W polu to, synku, zboża a zboża,
Przetkane w kwiat kąkolu...

Takie ci owsy, takie ci żyta,
Że się w nich człowiek schowa,
A grusza na nie cień rzuca chłodny,
A wkoło woń chlebowa.

Spojrzysz na lewo, spojrzysz na prawo,
To kłosy aż się garną,
Jakby kto złotą nakrył kurzawą
Całą tę ziemię czarną.

A wierzchem takie ci idą szumy,
Takie w powietrzu granie,
Jak kiedy, na ten przykład, w kościele
Zagrają na organie.

Od spodu słoma jak trzcina stoi,
Ot, gdzie tam do niej tobie!
A takie ziarnem pełniuśkie kłosy,
Aż kładą się po sobie.

A jęczmień to ci taki wąsaty,
A gryka to ci taka miodna,
A lny — jak niebo... a grochy w strączkach,
Że ich nie przejrzysz do dna.

A tu ci zając z pod miedzy smyrgnie,
Przepiórka w głos zadzwonni,
A z łąki kędyś po rosie słychać
Spętanych rżenie koni.

. . . . . .

W piwnicznej izbie zmrok coraz gęstnie,
Wilgotne ściany płaczą..
Dziecko w ciemności oczy otwiera,
Czy czego nie zobaczą...

. . . . . .

— Moja mateńko, moja rodzona,
A jak tam na tej łące?
— Na łące, synku, to trawy rosną
W srebrzystej mgle stojące...

A w trawach kwiecie żółte i białe,
A bokiem modra struga,
A słonko sobie po niebie chodzi
I złotem oczkiem mruga...

A po mokradłach bocian szczudłuje
I żaby dzióbem bierze,
A skowroneczek do Boga leci
I śpiewa swe pacierze.

I dziewczę idzie i krówkę pędzi —
Chuścina i zapaska —
A krówka ryczy a porykuje,
A pastuch z bicza trzaska.

Brzeczkiem nad rowem złocieniec rośnie
I wierzba na fujarki,
A siwy kaczor w trzcinach się zrywa,
Sznurkuje derkacz szparki.

A po przydrożku pod leśną ścianą
Kosiarze idą z kosą,
A te dziewszątka jak gąski białe
W dwojakach jeść im niosą...
. . . . . .

W piwnicznej izbie głos dziecka wzdycha
Z wilgotnej, brudnej pleśni...
A oczy jego patrzą w okienko,
Czy mu się czasem nie śni...

— Moja mateńko, moja rodzona,
A jak tam jest w tym lesie?
— W lesie to, synku, szum się okrutny
Po wielkich sosnach niesie.

I wielkie jakieś dziwy powiada
O starych onych czasach,
Co to już o nich wieść tylko lata
Po ciemnych, cichych lasach.

A taki zmrok tam zielony, świeży,
Że gdzie!... I ksiądz sam nie ma
Na Boże ciało na procesji
Takiego baldachima!

Dęby a jodły jako te wieże
Pod niebo się dźwigają,
Że i królowie w złotych pałacach
Piękniejszych wież nie mają.

A sosny śmigłe szumią a szumią,
A brzozy liściem trzęsą,
A dzień się przez nie jak sitem sieje
I patrzy złotą rzęsą.

Czasem gdzieś gołąb dziki zagrucha,
Czasem wiewiórka świśnie,
A jarzębiny w kolorach stoją
I pachną leśne wiśnie.

A jakie to tam gniazda ptacie,
Furkania a szczebioty...
A gąszcz ci taki, że słońce ledwo
Przeciśnie smużek złoty.

A co tam żuczków, co muszek brzęku,
A co tam jagód krasnych,
A co mchów tkanych, jak aksamity,
A co dzwoneczków jasnych!

A owczarz sobie pod lasem stoi
Siwe owieczki pasie,
A Kurta szczeka a naszczekuje:
A nawróć się! A zasię!...

A z bożą męką krzyż w macierzankach
Starej mogiły strzeże,
A kto tam przejdzie, ten sobie westchnie
I szepce swe pacierze...

A dech ci taki słodki, a mocny,
Gdzie stąpisz dookoła,
Bo smółki topną i mirrę sączą
I zdrowiem tchną tam zioła...

— A to i jabym może, mateńko,
Ozdrowiał w onym lesie?
A w tej piwnicy tom jak źdźbło ono,
Co się za wiatrem niesie...

— Oj, ozdrowiałbyś, synku, nieboże,
Mój ty świerszczyku cichy!
A tak mi zemrzesz jeszcze przed zimą
Jak ten wróbelek lichy...

Oj, ozdrowiałbyś, synku rodzony,
Mój ty robaczku marny!
A tak mi przyjdzie twoją głoweńkę
Zakopać w dołek czarny!...
. . . . . .

— Nie płaczcie, matuś, nie płaczcie ino!
Może się jeszcze uda...
A teraz precz mi rozpowiadajcie,
Jakie to tam są cuda!

— Oj, są tam cuda, dzieciątko moje
Serdeczne a rodzone!
Złociste łany, srebrzyste zdroje,
I sady rozkwiecone...

Oj, są tam takie cuda na niebie
I na tej bożej ziemi,
Że człowiek nie wie, na co ma pierwej
Oczami patrzeć swemi!

— A jaż, mateńko, nie taki samy,
Jako te insze dzieci,
Co to się dla nich zieleni łąka
I jasne słonko świeci?
. . . . . .

W piwnicznej izbie ciężkie westchnienie
Z ciemnego słychać kąta...
Ucichło dziecię na swym barłogu,
Matka się we łzach krząta.

W piwnicznej izbie zmierzch zapadł czarny
Jako ta czarna dola...
— Któż dziecku temu da trochę słońca,
Pokaże lasy, pola?

Towarzyszu, czy uświadomiliście już swoją żonę?

Praca kobiet w przemyśle jest tak dawną, jak i kapitalistyczna wielka produkcja, bo choć i poprzednio istniały kobiety, które się z pracy swych rąk utrzymywały, była to jednak przeważnie taka praca, która od wieki wieków była udziałem kobiety. Istotne robotnice fabryczne zjawiają się dopiero wraz z zaprowadzeniem produkcji maszynowej, i zarazem dopiero wówczas, gdy większość dawnych robót domowych kobiecych przez wielki przemysł podjętą została. Kobieca praca w przemyśle jest zatem wyłącznie dzieckiem kapitalizmu, jest jednem z wielu zjawisk, towarzyszących wielkiemu przemysłowi. Dziś już wie każdy robotnik, że kobiety zaludniają fabryki, nie dlatego, że się one same do nich cisną, lecz dlatego, że je fabryka wzywa, że kapitalizm potrzebuje pracy kobiecej. Kapitalizm rzucił na bruk całe rzesze męskich pracowników, pozostałym zaś obniżył zarobki tak dalece, że nie byli już w stanie sami utrzymać z nich swych rodzin. W ten sposób kapitalizm zmusił kobiety i młode dziewczęta do oglądania się za zarobkiem, i znalazły go w tychże samych fabrykach, które ich mężów i braci pozostawiły bez pracy. Tak więc uprzemysłowiony kapitał najpierw stworzył pole dla pracy kobiecej, a następnie kobietę potrzebującą tej pracy. Kobiety idą do fabryk nie dlatego, żeby mężczyzn z tychże fabryk wyrugować, lecz dlatego, że są do fabrycznej pracy zmuszone. Głupstwem byłoby dzisiaj chcieć tę pracę kobiecą zwalczać, nie usunąwszy wprzód wielkiego kapitału i systemu prywatnych przedsiębiorstw przemysłowych. Klasa robotnicza musi się z tem pogodzić, że kobiety pracują w fabrykach, ale zarazem musi działać tak, aby pracy kobiecej odjąć właściwości, zagrażające ogółowi proletarjatu. Musi ona usiłować zapobiec

temu, aby praca kobiet obniżała zarobki mężczyzn, i również wszelkiemi siłami starać się wciągnąć pracujące kobiety do ruchu, obejmującego klasę roboczą, zjednać je dla ideałów walczącego proletarjatu, i wychować sobie z nich świadome swych celów towarzyszki. To znaczy, że robotnice muszą być zjednane dla organizacji zawodowej i politycznej, dla walki klasowej.

Ta konieczność dawno już jest uznaną, i we wszystkich gałęziach przemysłu, w których kobiety pracują, próbowano już oddawna, zainteresować robotnice dla organizacji fachowych. Do pewnego stopnia się to już udało, ale niestety bynajmniej nie w tej mierze, w jakiej byłoby to koniecznem dla osiągnięcia powodzenia w walce z kapitalizmem. Im więcej szerzy sobie drogę przekonanie, że robotnicy nie będą mogli postępować naprzód bez czynnej pomocy swych towarzyszek zawodu — tem większemi są wysiłki, dla zorganizowania kobiet podejmowane. Ale wyniki pozostawiają wiele do życzenia, organizacja kobiet połączona jest bowiem ze specjalnemi trudnościami. Przedewszystkiem bardzo trudno jest namówić kobiety do uczęszczania na zgromadzenia. Jeśli jakaś specjalna okoliczność nie wzbudzi ich zainteresowanie w tym kierunku, to prawie każda znajdzie jakąś wymówkę lub uważa inne sprawy za ważniejsze od pójścia na zgromadzenie. W fabrykach i warsztatach nie można też wcale z niemi mówić, raz dlatego, że czyniąc to, robotnik naraża sie na kary z powodu przekroczenia regulaminu, a powtóre dlatego, że zwykle robotnice pracują w oddzielnych ubikacjach. Mimo to, dałoby się jednak przy dobrej woli i rozumnem wzięciu się do rzeczy osiągnąć znacznie lepsze wyniki, niż to dotychczas zrobiono na polu osobistej agitacji. Przedewszystkiem nie należy zniechęcać się początkowem niepowodzeniem — choćby nawet niektóre robotnice przyjmowały zrazu poważne namowy śmiechem lub lekceważeniem, to jednak i tu wytrwała agitacja wpływ swój osiągnie, i dadzą się one wreszcie przekonać. I wtedy najważniejsza rzecz już będzie osiągnięta, gdyż kobiety z reguły bardzo energicznie popierają sprawy, które je zainteresowały, i bardzo świadomie i konsekwentnie dążą do urzeczywistnienia swych postulatów. Na tem polu jest bardzo wiele do zrobienia dla tych zwłaszcza robotników uświadomionych, którzy w najbliższej swej rodzinie lub kółku znajomych mają robotnice fabryczne. Obowiązkiem ich jest, swe żony, córki, siostry, kuzynki lub znajome do fachowej organizacji wprowadzić, zwłaszcza, że w takich warunkach nastręcza im się mnóstwo sposobności do poważnej rozmowy. Jeśli robotnik sam jest przejęty głęboko ideałami wolności i podniesienia się z duchowej i materjalnej nędzy, to potrafi ten zapał przelać na swe otoczenie. Z domu robotniczego najkrótsza i najdogodniejsza wiedzie droga do organizacji kobiet — krótsza i lepsza niż przez fabryki lub zgromadzenia. Ale ta droga właśnie najrzadziej bywa uczęszczaną; zarosła ona różnego rodzaju chwastami i krzakami i nikt jej nie dostrzega. Wśród towarzyskich stosunków wiele się rozmawia, żartuje, bawi, często nawet dyskutuje się lub sprzecza — ale o organizacji się nie myśli, schodzi ona zaraz z oczu i z pamięci, gdy tylko jarzmo kapitalizmu na chwilę nie da się odczuwać. A jednak jest to obowiązkiem robotnika, jak już wyżej powiedzieliśmy, wszystkie kobiety, z któremi przestaje, do organizacji wprowadzić. Ma on ten obowiązek jako przynależny do klasy walczącej o wolność, ale także leży to w jego własnym interesie. Wie on przecież — lub wiedzieć powinien, że obojętność dla sprawy wśród jego towarzyszek pracy jest dlań zarówno szkodliwą, jak indyferentyzm (obojętność) innych jego współtowarzyszy. Wszakże wiadomą mu jest rzeczą, jaki wpływ fatalny na zarobki mężczyzn wywiera konkurencja tańszych sił kobiecych; widzi on też dobrze, że przedsiębiorca pozostaje zwycięzcą we wszystkich tych walkach, w których robotnice udziału nie biorą.

Kobieta jako proletarjuszka, jako podawczyni siły roboczej, tak bardzo przez przedsiębiorców cenionej, tak dla nich niezbędnej i niezastąpionej — jest niezmiernie ważnym czynnikiem współczesnej produkcji, i posiada niedocenianą dotychczas społeczną potęgę. Ale potęgi tej swojej zupełnie dotąd kobiety sobie nie uświadomiły, a przecież łatwo spostrzec, jak rychło przedsiębiorca ustępuje, gdy natrafi na poważny i stanowczy upór robotnic! Praca kobiet stanowi najpotężniejszą broń kapitalisty w walce z wszystkimi robotnikami, ale jest to broń, która śmierć mu może zadać, zwróciwszy się przeciw niemu. Z tą chwilą, gdy kobiety staną po stronie mężczyzn i wspólnie z nimi zwalczać będą wspólnego wroga — pryśnie potęga kapitału. Przeciw strejkowi solidarnych robotników trzymać się może bogaty przedsiębiorca miesiącami, bo pozostaje mu zawsze praca kobiet, którą tamtych pokonać może. Ale gdy i robotnice go zawiodą, wtedy fabryki stanąć muszą, a tego żaden przedsiębiorca przez czas dłuższy nie zniesie.

Powiedzieć to wszystko robotnicom, objaśnić im, jak ważną rolę grają one w kapitalistycznej produkcji, w fabryce, w magazynie i w kantorze, przedstawić im jasno ich położenie — oto zadanie organizacji i jej członków. I tu wiele zaniedbanem i zapomnianem zostało — musimy to powetować!

Jeszcze więcej zaniedbano starań wobec kobiety jako robotnicy. Gdy przed paru dziesiątkami lat ukazała się znakomita książka Bebla p. t.: „Kobieta i socjalizm", niejeden się spodziewał, że teraz już kobiety obudzone zostaną z ich wiekowego snu, że wyswobodzą się z duchowej niewoli, że podniosą się ze swego niskiego stanowiska społecznego. Od tego czasu dzieło to rozeszło się w setkach tysięcy egzemplarzy, ale jeśli zapytamy, ile kobiet robotnic czytało tę książkę? przekonamy się, że zna ją niezmiernie mały ich procent. A przecież powinniśmy się starać, aby tę płomienną ewangelję kobiecę czytały wszystkie robotnice: czytajcie, i przekonajcie się, w jak ciężką niewolę i ucisk was wtrącono, z którego was nikt i nic nie wydobędzie jak tylko socjalizm! Czytajcie i przekonajcie się, że tylko w solidarności z waszymi braćmi-robotnikami utorujecie zwycięską drogę socjalizmowi; nauczcie się, że obecne wasze dobro, i los wasz przyszły leżą w organizacji proletarjatu, w waszym udziale w wielkiej i świętej walce o prawa ludzkie i wolność ludzi.

Czy obecnie młoda robotnica, przykuta do maszyny, lub szwaczka schylona nad igłą, pytają kiedy o socjalizm? Dlaczegóż nie wie ona o nim nic, lub tyle tylko, ile jej wrogowie nasi powiedzą? A przecież socjalizm jest pochodnią, która płonie w sercach ludzkich — dlaczego jednak nie w sercach kobiet? Dlatego, że niejeden dzielny towarzysz partyjny, przepełniony ideami socjalizmu, sam tylko cieszy się nadzieją zwycięskiej wolności; wierzy i marzy, walczy i zwycięża — a pozwala żonie swej tępo wetegować obok siebie! Musi więc każdy towarzysz sobie dobrze uświadomić fakt, że jego dom własny jest najlepszą kołyską ducha socjalistycznego i zarazem najlepszem ogniskiem agitacji za organizacją. Mąż, ojciec, brat proletarjuszki są prawdziwie powołanymi nauczycielami kobiety, która będzie dla nich wówczas nietylko żoną, córką i siostrą, lecz i wierną towarzyszką w walce o lepszą przyszłość!

Dr. Daszyńska Golińska.

Alkohol a kobiety.

Szerokim jest teren naszych niedomagań, błędów, a jednocześnie klęsk i nieszczęść. Jedne z drugimi ściśle są związane, każdy na nie narzeka w życiu prywatnem i w stosunkach publicznych, każdy, a zarazem kobieta nie mniej niż mężczyzna radaby je odmienić i poprawić. Pierwszym szczeblem jest tu poznanie złego, tak jak i przyczyną wielu upadków i mylnych kroków jest niewiedza.

Taki gruby mrok nieświadomości pokrywa sprawę trunków gorących i działania ich na organizm, umysł, wolę i charakter człowieka. A przecież jest to jedno z najważniejszych zagadnień, które dziś już nauka rozwiązała i które ogół ludzi znać powinien.

Pijąc wódkę, piwo, wino, likiery, miód, nalewając do herbaty i kawy rum i tak zwane krople, — przyjmujemy nie wiedząc o tem truciznę, alkohol. Już to, co prawda, zdradza się taka trucizna przy każdym nadużyciu. Pijaka jakby nawiedzała choroba, albo bies opętał. W biesy nie wierzymy, tym biesem jest alkohol czyli wyskok, ciało bez barwy i zapachu, silnie upajające. Używanie jego może do-

prowadzić do chorób i śmierci, a sam pociąg do kieliszka i szklanki, któremu się niejeden biedak oprzeć nie może, jest już chorobą.

Na potępienie pijaństwa i trunków, a szczególniej wódki, która je sprowadza, godzą się wszyscy. Czy jednak można przypuszczać, ażeby ten sam trunek mógł raz szkodzić, drugi raz zaś rozgrzewać, pożywiać, wskrzepiać, wlewać siłę w ciało i otuchę w serce. Samo to przypuszczenie jest śmiesznem.

Wiemy niezbicie, iż po wypiciu jednego litra spirytusu t. j. alkoholu, niejeden padł trupem, wiemy również, ilu pijaków wódka czy piwo zaprowadziło na tamten świat. W Rosji, gdzie liczą niedokładnie, zapiło się na śmierć 26.000 ludzi, w Anglji, której cyfrom więcej wierzyć można, co roku od opilstwa umiera 40.000 osób. Byłoby dziwnem, ażeby codzienny kieliszek wódki, czy szklanka piwa, nie szkodziła nam wcale.

Alkohol we wszystkich trunkach gorących i pod każdą postacią, jak już się powiedziało, jest trucizną. Organizmowi człowieka szkodzi on głównie przez to, że zabiera mu najważniejszy składnik, to jest wodę. Działa on szkodliwie na wszystkie nasze organy, a głównie na serce, wątrobę i mózg. Przytem osłabia organizm, który pod jego działaniem staje się słabszym i łatwiej ulega chorobom. A zatem zapalenie płuc łatwiej zabija ludzi, którzy piją. Pijakowi prawie niepodobna się z niego wyleczyć. Podobnie przyśpiesza alkohol rozwój gruźlicy (suchot); w razie panowania cholery, ludzie używający trunków gorących, narażeni są na tak wielkie niebezpieczeństwo, że nad szynkami powinnoby się napisać: tu sprzedają cholerę. A iluż to ludzi zaprowadziły trunki do szpitalów dla obłąkanych lub do więzień? Badania 12-letnie w więzieniach szwedzkiego miasta Sztokholmu, wykazały, że na 10 ludzi 7 popełniło zbrodnie w stanie nietrzeźwym lub pijanym. Trucizna alkoholowa nie ogranicza swego działania na człowieka pijącego, ale bardzo szkodliwie odbija się na potomstwie. Dzieci spłodzone w stanie alkoholowego podniecenia, albo dzieci pijaków, nie nadają się zwykle do życia. Pewien uczony niemiecki doktór Demme obserwował 10 rodzin pijackich i 10 trzeźwych i zauważył, że rodziny pijackie miały mniej dzieci, że znaczna ich liczba przechodziła na świat nieżywych, że wiele umierało w pierwszym roku po urodzeniu, inne zaś podlegały chorobom i do nauki mało były zdolne. Uczony Bunge odkrył, że córki ludzi pijących, to jest alkoholików, traciły pokarm i nie mogły dzieci karmić piersią. Zdolność karmienia nie powracała już u następnego pokolenia. Dziś zauważyć można, zwłaszcza po miastach, że dużo kobiet, pozornie zdrowych i silnych, nie może karmić dzieci. Brak pokarmu, tego naturalnego i najzdrowszego pożywienia odbija się szkodliwie na zdrowiu dzieci. Niewątpliwie winno tu powszechne używanie alkoholu. Podobnie tak częste dziś psucie się zębów już u dzieci nawet, przypisać należy temu, że wszyscy pijemy trunki i zatruwamy organizm.

Sprawdza się tu niestety przysłowie japońskie: człowiek wziął wódkę, wreszcie wzięła wódka człowieka. Jesteśmy niewolnikami nałogu picia, a ten u jednych umiarkowany, nie sprowadza tak widocznych następstw, innych przecie doprowadza wnet do pijaństwa, bo słusznie mówią, że 50 pijących, to materjał na jednego pijaka.

Czy zatem wolno człowiekowi pić bodaj po małym kieliszku, czy szklance napoje alkoholowe? Co powiedzielibyście czytelnicy, gdyby ktoś po troszeczku dosypywał sobie codzień do jedzenia arszeniku, fosforu, dolewał karbolu? Powiedzielibyście, że robi zamach na swoje zdrowie i życie, a że odrazu nie umiera, to tylko dlatego, że trucizny jest zamało. Tymczasem bogaci, czy ubodzy, na wsi, czy w mieście, ludzie czynią to samo z alkoholem. Gdy chcą na wsi kogoś przyjąć, okazać mu gościnność, stawiają wódkę i piwo, koniaki i likiery, wina szampańskie, reńskie, węgierskie w domach bogaczów. Więc przyjaciół swoich częstujecie trucizną, więc przy weselu, chrzcinach, zabawach zatruwacie siebie i waszych gości?

Nie mówcie, że wódka rozgrzewa, a piwo posiła. O ileż częściej zmarznie na mrozie pijak, niż człowiek trzeźwy? Ciepło, odczuwane przy wypiciu kieliszka wódki, jest tylko pozornem, potem następuje jeszcze większe oziębienie, kawałek chleba lub szklanka kawy daleko lepiej rozgrzeje. A co do posiłku, który daje jakoby piwo, to jest on zły, bo połączony z trucizną i drogi. Istnieją dobre i złe pokarmy. Dobrym posiłkiem jest chleb lub mleko, złym trunki, bo w każdym z nich znajduje się alkohol. A przecież na napoje alkoholowe wydaje niejeden więcej niż na mieszkanie.

(Dokończenie nastąpi.)

Rozmaitości

Statystyka religji. W roku bieżącym ukazała się amerykańska księga błękitna misjonarzy, która zawiera statystykę wyznawców różnych religji. I tak jest na świecie:

Katolików	272 mil.	638 tys.	500
Protestantów	166 „	066 „	—
Greckich ortodoksów . .	120 „	157 „	—
Żydów	11 „	220 „	—
Mahometan	216 „	630 „	—
Buddystów	137 „	935 „	—
Hindusów	209 „	659 „	—
Wyznawców Konfucjusza	231 „	816 „	—
Szintoistów	24 „	900 „	—
Fetyszystów	157 „	069 „	—
Różnych	12 „	352 „	—

Między pogańskimi ludami Afryki i Azji osiągnięcie danych co do wyznania jest niezmiernie utrudnione, to też pod tym względem u różnych autorów są inne cyfry.

Z literatury i sztuki

Nr. 12 (na grudzień) **„Przewodnika zdrowia“** Czarnowski Berlin Weissenburgerstr. 27) wyszedł i zawiera: Treść: Ćwiczenia poszczególne w celu gruntownego wzruszenia jelit. — Co można czynić dla podniesienia wzrostu ciała? — Ćwiczenia w celu wydłużenia ciała (6 rycin). — Nieco o wpływie gimnastyki wyprężnej i oddechowej na narząd trawienia. — Zakrzepianie narzędu nerwowego przez ćwiczenia wyprężne i oddechowe. — Ćwiczenia wyprężne jako zabieg przeczyszczający ciało. — Życie serca na podstawie monistychnych zapatrywań fizjologji (z rycinami). — Podniety przez dra Miklaszewskiego. — Przestrogi i rady. — Rozmaitości. — Spis rzeczy zawartych w XIV roczniku „Przew. Zdr.“ 1908.

* * *

„Myśl Niepodległa“, Treść nr. 83 (dekada druga na grudzień): Historja literatury niepodległej Polski. — Filozofja Jana Kochanowskiego. — Dogmat i aksjomat. — Przekleństwo zwierza. — Orzeł i świnie. — Kalendarz wolnego myśliciela. — Zapiski. — Książki. — Ogłoszenia.

Adres: Warszawa, ul. Marszałkowska 48 m. 10.

Kącik humorystyczny.

Lekarz „werkowy“.

(Prawdziwe). „Jaki ci to dureń tak rękę spaskudził?“ Górnik, kaleka: „Panie doktór, to oni sami mnie kuryrowali dwa lata temu“.

* * *

Honorliwy.

(Prawdziwe). Góral, w kancelarji adwokata: „Panoczku, a jak tam terazy facki stojom?“ Adwokat: „Albo co? Daliście komu?“ Góral: „To ni, alech ich dostał aże pięć.“ — Uwaga: Facka, znaczy policzek.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 52. Rok II.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 26 grudnia 1908.

MARJA KONOPNICKA.

Z szopką.

Przed dworskim gankiem stanęło ich czworo,
Główki na mrozie odkrywszy z pokorą. —
Zwyczajnie, dzieci, z maleńka już karne,
Wiedzą, że dwór jest rzecz pańska, wielmożna;
Nie to, co chaty ich, nędzne i czarne,
Gdzie ledwo śnieżnej zamieci ujść można.
Nie wiem, czy które z tych biednych usłyszy
Kiedy w swem życiu, co godnem jest cześci;
Nie wiem, czy przyjdzie kto, by w chaty ciszy
Zasiąść do wielkiej lat dawnych powieści;
Czy im kto powie, jak kochać potrzeba
Zagon ojczysty, co daje kęs chleba;
Jak cudze prawa szanować, jak żywem
Poczuć się w wielkim łańcuchu ogniwem;
Lecz wiem, że zdawna uczono batogiem
Odkrywać głowę przed pańskim tym progiem.

* * *

Stanęły zbite w gromadkę; nad niemi
Jaskrawa gwiazda na żerdzi wybłyska,
Ścieląc snop światła krwawego po ziemi, —
Kometa drżąca, dziwna, bez nazwiska,
Co raz do roku zjawia się i świeci
Ponad głowami bosych chłopskich dzieci...
Drżące od zimna podniosły się głosy
I uderzyły po śnieżnej przestrzeni...
A noc słuchała smętna, a niebiosy
Pełne się zdały iskier i płomieni
I ech żałosnych, zmieszanych w rozdźwięki,
I w jakieś ciche westchnienia — i w jęki.

* * *

Najmłodszy, dziecko drobne, co z drugiemi
Stał wpośród jasnej okien dworskich łuny,
Odziany w łachman, z stopami bosemi,
Umilknął nagle, jak rwiące się struny...
I ponad gwiazdą klejoną z tektury,
Wielkie i smutne oczy wzniósł do góry
I myślał sobie: „Czemuto, mój Boże,
Choć Chrystus przyszedł, tak źle jest na świecie?
I czarnej mąki garść tylko w komorze?
I niema ciepłej sukmanki na grzbiecie?
I tatuś, taki pijany z wieczora,
Matulę bije, choć płacze i chora?
Czemu to ludzie w przednówek tak bladną,
I jakby cienie po drogach się włóczą?
A dzieci we wsi z maleńka już kradną?
A jego dotąd na książce nie uczą?
Choć radby wiedzieć, co jest tam daleko,
Het, het, za lasem, za młynem, za rzeką!...
Widać dla chłopów nie przyszedł Bóg może?
Wszakże, choć co rok do dworu chłopięta
Idą z kolendą i z szopką w tej porze,
On przecie nigdy, jak żyw, nie pamięta,
Żeby kto z dworu do chaty przychodził
I mówił: „bracia, Chrystus się narodził!“
Czemu?...
O dziecię! Mgła nocy zasłania
Dzień, co odpowie na twoje pytanie.

CZESŁAW WROCKI.

Młodość i trud.

Szła sobie bujna i beztroska młodość drogą prostą i równą, szła wprost przed siebie, uśmiechając się pogodnie do słońca, do życia, do własnych marzeń i nadziei, której kwiaty barwne i wonne pod stopy się jej słały. Z purpurowych, pełnych ust ciskała w przestrzeń pieśń radości, upojenia — pozdrowienie słała ziemi i niebu...

— Jakże pięknym, jak prostym i dobrym jesteś o życie! — szeptała radośnie. I śmiała się i rzucała wyzwanie szczytom, które na krańcach widnokręgu dumnie swe uśnieżone głowy w słonecznych blaskach kąpały.

— Jakżeż łatwo dojść tam na szczyty. I pocóż zbaczać z tej drogi najprostszej, gdy ona najpewniej i najłatwiej tam mnie zawiedzie! O, zaiste! Najłatwiejszą jest do celu i chwały droga prawdy i najpiękniejszą! I niema nic, nikogo, ktoby mnie z drogi tej zboczyć zniewolił.

Tak wzmyślała bujna i beztroska młodość i krokiem giętkim, niemal tanecznym zdążała ku szczytom.

* * *

Wtem zastąpiła jej drogę postać potężna, mąż nagi olbrzymiego wzrostu, o piersi szerokiej, gęstym porosłej włosem, o ramionach, których żyły i mięśnie były nakształt węzłów, sęków i grubych narośli, jakby na konarach odwiecznego dębu. Pod niskiem czołem oczy małe, przebiegłe, błyszczące. Wśród twarzy zmarszczkami gęsto pooranej, usta wąskie, bezkrwiste, mocno a złośliwie zaciśnięte. Zaciętości srogiej i mocy straszliwej wyraz, mocy nieustępliwej i śmiercią grożącej. Na potężnych stopach, łydach i udach, jakoby spiżowych. Herkulesowa pierś. Skóra koloru wypolerowanego bronzu.

— Kto jesteś? — pyta cicha młodość, ze drżeniem pobladłych nagle warg.

— Nie znasz mnie? — Juści mnie nie znasz młodziku! Jam trud, twój ojciec i brat od dnia dzisiejszego! — odrzekł olbrzym.

— Ustąp, abym ja, młodość mogła iść dalej tą prostą

drogą, ku onym hań szczytom! Ustąp bracie!... Oto idę i śpiewam sobie pieśni, wesołoć wielbię słońce i ziemi wszelką żywiznę...

— Ohaha! Powoli synku! — Już cię nie odstąpię: Chcesz-li iść tą drogą dalej, to mnie obal! Drżysz? Ano spróbuj! Nie ma rady; spróbować się musimy. Obalisz mnie, a droga dla cię do szczęścia i chwały otwarta. Obalę ja ciebie, to zginiesz, spełniając swój obowiązek! Zginiesz, jak tylu innych nieznanych lub zapomnianych bohaterów...

— Ustąp, daj przejść!... Lękam się ciebie! Jakoż ja, młodość słaba i bezbronna mogę się mierzyć z tobą, olbrzymie?

— Daremne twe prośby, nie ustąpię!... Ha! ha! więc się lękasz, słabyś?... A więc dobrze, wskażę ci drogę inną. Spojrz! tam w oddali wije się kręta ścieżka.

— Ależ tam bagno, a ścieżka kręta i długa — szeptała z lękiem młodość.

— Ha! nie ma dróg innych! — mruknął olbrzym. Jest tylko jedna droga prosta, którąś szła dotąd — i tamta kręta. Tu musisz się mierzyć ze mną, tamta zaś wiedzie przez bagno grząskie i smrodliwe... Może przejdziesz.

— Ha, wolę zrezygnować ze szczytów, z prawdy i ze sławy, niżeli narażać me zdrowie i życie na bój z tobą — olbrzymie!

— Jak chcesz — odburknął niechętnie olbrzym.

I zeszła bujna i beztroska młodość z drogi prostej i pięknej na bagno. A gdy nań wstąpiła, rozwarła otchłań swą cuchnącą paszczę...

A olbrzym trud śmiał się długo i posępnie na prostej drodze stojąc...

Dr. Daszyńska Golińska.

Alkohol a kobiety.

(Dokończenie.)

Obliczono, że ludność Galicji wydaje na napoje alkoholowe rocznie 30 miljonów marek. Możnaby za to kupić 300 miljonów funtów chleba. Co powiedzielibyście czytelnicy, gdyby te 300 miljonów funtów chleba naładować na wozy i zatopić je w rzece. Sądzę, że ludność podniosłaby bunt i rozszarpała woźniców. Tymczasem prawie wszędzie dzieje się gorzej, bo pieniądze, za któreby można kupić ten chleb, topi się w alkoholu, który posiłku nie daje, tylko zdrowie podkopuje. Włościanin przepija często cały grosz gotowy, niesie go do karczmy i uboży rodzinę i kraj.

Najtrudniejsze prace, największe wysiłki dokonywać można bez alkoholu. Strzelcy, urządzając popisy strzeleckie, starają się nic nie pić, to samo czynią alpiniści, wchodząc na niebezpieczne szczyty górskie. Kiedy norwegczyk Nansen urządzał wyprawę do bieguna północnego, obywał się on na okręcie prawie bez alkoholu. Kiedy zaś we dwuch z przyjacielem siedli na sanie tam, gdzie już okręt nie mógł dojechać, wśród mrozów, dochodzących do 40 stopni Celsiusza, przez 9 miesięcy nie mieli wcale alkoholu i temu zawdzięczali, że zdrowie dopisywało im doskonale. Gdy Japonja wymagała od żołnierzy największego poświęcenia, ażeby szli na pewną śmierć na okrętach, które miały zatonąć (branderach), dowódca-admirał Kamimura pił ich zdrowie wodą, wiedząc dobrze, że człowiek zebrać musi całą siłę woli, ażeby ponieść ofiarę życia. Alkohol zaś wolę osłabia.

W ostatnich latach patrzyliśmy na wybuchy rewolucyjne w Rosji, w Królestwie i w Finlandji. Jedna Finlandja potrafiła z rewolucji tak skorzystać, że ma dziś wolność i dobrą konstytucję. Czy nie daje to do myślenia, skoro dodam, że w Finlandji na 100 gmin 97 nie ma już szynków, że w każdej szkole pouczają dzieci o szkodliwości alkoholu?

Ktokolwiek pozna działanie trunków alkoholowych i zrozumie, że można się w życiu bez nich obejść, ma obowiązek wpisać się do armji wstrzemięźliwych i szerzyć zupełną trzeźwość. Ale w pierwszym rzędzie obowiązek ten spoczywa na kobietach.

Kobieta zarządza groszem, ona robi dla domu zakupy, przygotowuje posiłek, ona wreszcie jest wychowawczynią, nie tylko matką dzieci. W imię szczęścia i spokoju rodziny powinna rozpocząć walkę z trunkami gorącymi. Ponieważ najwięcej działa tu przykład — najlepiej niech sama wyrzecze się używania wszelkich trunków. Wtedy i męża łatwo jej będzie powstrzymać od picia. Gdy w domu będzie schludnie i wygodnie, gdy za oszczędzone pieniądze sprawi niejeden sprzęcik ładny, gdy poda mu posiłek zdrowy i smaczny, rzadko który mężczyzna przeniesie karczmę nad przebywanie wśród rodziny. Dodajmy tu dobrą książkę lub pismo, uprzejmość dla gości, ład, porządek, zgodę, a dom najbiedniejszy stanie się pociągający. Nie wydając na trunki, dużo łatwiej będzie i o lepszy obiad, i o miłe mieszkanie. Najwięcej przecież zyskają na tej zmianie dzieci. Organizm dziecinny jest tak wrażliwy na działanie alkoholu, że były wypadki, iż niemowlęta dostawały konwulsji od okładów ze spirytusu. Każda kropla alkoholu, czy to w wódce, czy w piwie, najszkodliwiej wpływa na dziecko. To też dzieci nigdy trunków kosztować nie powinny. Dzieci stale pijące trunki wyjątkowo tylko dobrze mogą się uczyć. Wstrzemięźliwość wyrabia w nich lepszy charakter, większą siłę woli. Zresztą skoro uznamy szkodliwość trunków, to pocóż mielibyśmy przyzwyczajać do nich dzieci!

Przez szerzenie wstrzemięźliwości kobieta spełnia obowiązek obywatelski wobec swej rodziny i swego społeczeństwa.

Wiemy, że lud pracujący wszystkie obowiązki brać na siebie musi, ażeby zdobyć wszelkie prawa. Sumieniem pracującego ludu powinny być kobiety. One czuwać muszą nad ciałem i duszą dziś żyjącego pokolenia i pokoleń przyszłych. One zatem powołane są w pierwszym rzędzie do szerzenia trzeźwości. Działać tu mogą różnymi drogami:

Przykładem, wyrzekając się zupełnie wszystkich trunków, wychowując dzieci tak, aby nie znały alkoholu. Urządzeniem domu takim, aby w nim nie było miejsca na trunki. Zakładaniem kółek ludzi wstrzemięźliwych. Wreszcie zbiorowem wspólnem żądaniem, ażeby władze dbały o zmniejszenie liczby karczem, o pouczenie wstrzemięźliwości w szkołach i o gospody, w których nie byłoby trunków.

(Koniec.)

Skarby w wodzie morskiej.

Oddawna wiadomo, że w wodzie [redacted] dużo szlachetnych kruszców [redacted] robota nie opłacałaby się. Według najnowszych poszukiwań, których rezultat ogłosił chemik L. Wagner w piśmie fachowem „Cosmos“, woda morska nie we wszystkich miejscach zawiera złoto w jednakowej ilości. Wedle jego doświadczeń jest ilość złota tem większą, im głębiej czerpie się wodę. Jest to zjawisko zupełnie naturalne, gdyż złoto jako bardzo ciężkie dąży w dół, na dno morskie. Stosownie do tej zasady należałoby wydobywać osad morski, jako zawierający największą ilość szlachetnego metalu.

Wydobywanie złota z wody morskiej próbowano już niejednokrotnie. Przed kilku laty powstało w Anglji przedsiębiorstwo, które na drodze elektrycznej przenosiło złoto z wody na płyty miedziane, skąd je potem zeskrobywano. Okazało się to jednak mało rentownem i dalszych prób zaniechano. Dalsze próby robiono z poddawaniem wody morskiej parowaniu, ale i te próby nie opłaciły się. Te i podobne próby były często nadużywane przez rozmaitych oszustów, którzy zakładali fikcyjne przedsiębiorstwa, obliczone na wyzysk łatwowiernych.

Sławny fizyk angielski Ramsay obliczył, że w 160.000 tonach wody morskiej znajduje się 1 klgr. złota; inni podają, że jest więcej lub mniej, z czego wynika — co powyżej powiedziano — że wartość złota nie wszędzie jest jednakowo. Wagner twierdzi, że na niektórych miejscach oceanu Spokojnego w pobliżu wybrzeża Ameryki znalazł w wodzie 4 razy

większą ilość złota, aniżeli wedle obliczenia Ramsaya wypada. Obok złota znalazł też znaczną stosunkowo ilość srebra, a to w ilości 5 do 6 razy większej niż złota.

Gdyby się udało małym kosztem wyzyskać skarby złota w wodzie morskiej rozpuszczone, wszystkie zapasy tego metalu spadłyby w cenie, albowiem złoto i srebro dlatego są tak drogie, ponieważ istnieje ich mniej, aniżeli zapotrzebowanie wynosi. Całe złoto w morzu rozpuszczone ma przewyższać ilość żelaza na ziemi się znajdującego, tak że z uzyskaniem go możnaby złotem jako tańszem zastąpić żelazo do wyrabiania wielu przedmiotów.

Umysł ludzki, zachęcony taką perspektywą, nie spocznie, aż mu się nie uda znaleźć sposób do przezwyciężenia obecnych trudności. Gdy to nastąpi, przyjdzie kolej i na wody rzeczne, zawierające również złoto. Znawcy podają, że najwięcej złota znajduje się w rzekach Bośnji; także Dunaj i Ren zawierają je. Obliczono, że Ren w biegu swym przez terytorjum Niemiec prowadzi w swej wodzie złota za 160 miljonów.

Kronika przyrodnicza.

Surowica przeciw-wężowa. — Wędrówki jeziora. — Telegraf bez drutu nad morzem i lądem. — Wrażliwość mrówek na promienie pozafijoletowe.

Rok rocznie tysiące ludzi przypłacają życiem ukąszenie węży jadowitych, które licznie zamieszkują zwłaszcza kraje podzwrotnikowe. Wobec tego wartość nieocenioną przedstawia surowica przeciw ukąszeniu tych gadów, wyrabiania od lat kilku w instytucie Pasteura w Paryżu. Przyrządzanie jej nie należy do zajęć łatwych, ani bezpiecznych. Sprowadzane ze stref międzyzwrotnikowych różne gatunki węży zajmują przy instytucie osobny budynek, w którym liczna obsługa ma za zadanie utrzymać w stanie pomyślności zdrowie jadowitych lokatorów, bowiem od tego zależne jest wydzielanie silnego jadu. Zadanie powyższe o tyle bywa utrudnione, że węże w niewoli często odmawiają przyjmowania pokarmu. W podobnym wypadku niezbędnym się staje zastosowanie odżywiania sztucznego, co uskutecznia się zwykle w ten sposób, iż jeden z żywicieli chwyta węża mocno za szyję, drugi zaś w owym czasie wstawia mu do paszczy lejek szklany, przez który wlewa do przełyku kilka surowych jaj. Ta sama manipulacja powtarza się przy zbieraniu jadu, dokonywanem mniej więcej w przerwach dwutygodniowych. Wyciśnięty z gruczołów jad wysuszony zostaje pod dzwonem machiny pneumatycznej, gdyż doświadczenie nauczyło, że wtedy przechowuje się on najlepiej. Dla otrzymania surowicy, zastrzykuje się różnym zwierzętom [illegible] drobne zrazu, nieszkodliwe dawki [illegible] do 16 [illegible]. Drżąc dochodzi się np. [illegible] wiosły się głosy [illegible] dawki, wystarczającej do [illegible]. Pod wpływem tych stopniowych zastrzykiwań wytwarzają się w krwi zwierząt substancje uodporniające, czyli t. zw. antytoksyny. Z krwi uodpornionych zwierząt przyrządza się surowicę, która, po wypróbowaniu na królikach, podzielona zostaje na porcje, jakie zastrzykiwać należy człowiekowi, ukąszonemu przez węża. Skuteczność surowicy przeciwwężowej mimowoli sprawdzić wypadło na sobie dyrektorowi instytutu, który ukąszony przez jednego z niewdzięcznych pensjonarzy — po zastosowaniu odpowiedniej dawki — w przeciągu kilku godzin szczęśliwie powrócił do zdrowia.

* * *

Ciekawy przyczynek do wyjaśnienia działalności różnorodnych czynników, pracujących nieprzerwanie nad powolnem przeistoczeniem powierzchni skorupy ziemskiej, stanowią spostrzeżenia podróżnika Sven Hedina nad wiekowymi ruchami jeziora Lop Nor w Azji środkowej. Dzisiejsze jezioro Kara-Koszun, leżące na wysokości przeszło siedm stóp niższej od północnego wybrzeża dawnego Lop-Noru, cofa się stopniowo z miejsca, na którem znalazł je przed laty Przewalski i pełznie zwolna ku północy do dawnego swego łożyska. Południową część jeziora zapełnia coraz widoczniej ił, piasek i szczątki organiczne, natomiast lotne piaski pustynnego łożyska na północy, ulegając silnej erozji wiatrowej, pogłębiają z rokiem każdym jego dno. Razem z jeziorem przesuwa się na północ roślinność, zwierzęta pustyni, rybacy ze swymi szałasami — wszystko podąża za ustępującem wybrzeżem, obecne zaś dno jeziora przekształca się stopniowo w suchą kotlinę. Można przewidzieć, że pod wpływem tych samych czynników nastąpi po pewnym okresie czasu ponowna wędrówka jeziora do zajmowanego obecnie łożyska na południu. Oryginalne to jezioro przedstawia tedy jakby wahadło, zakończone rzeką Tarim, każde jednak jego wahnięcie — trwa conajmniej lat tysiąc.

* * *

Kapitan Jackson, który poświęcił kilkanaście lat życia sprawie przystosowania fal Hertza i telegrafu bez drutu do celów marynarki, zgromadził obfity materjał, ilustrujący wpływ różnorodnych warunków na przenoszenie się fal elektrycznych. Największą odległość wyraźnego telegrafowania pomiędzy dwoma okrętami osiągnąć można na pełnem morzu, gdy na drodze, między stacjami, nie leży żaden ląd. Gdy fale telegrafu, systemu Marconiego, przebiegać muszą nad ziemią, odległość sygnalizacji maleje, w ścisłej zależności od charakteru i mineralogicznego składu danej miejscowości. Teoretycznie rzecz biorąc — fale Hertza mogłyby obiec wkoło całej kuli ziemskiej, lecz w praktyce, w przebiegu nad lądem, energja falowań słabnie w sposób podobny, jak siła fal morskich, rozbijających się o skały i rafy. Jeśli ląd składa się z miękkiego piaskowca lub łupku, zmniejszenie odległości jest nieznaczne, większe, gdy w skład gleby wchodzą twarde wapienie, bardzo znaczne, skoro zawiera ona rudę żelazną. Również zawieszone w powietrzu drobne okruchy pyłu lub soli wywierają wpływ ujemny, skutkiem rozpraszania i pochłaniania fal. Podobne działanie okazują zaburzenia elektryczne w atmosferze.

* * *

Widmo słoneczne — prócz siedmiu barw zasadniczych — zawiera, jak wiadomo, t. zw. promienie pozafijoletowe, o których istnieniu upewnić się możemy tylko drogą pośrednią, obserwując np. działanie ich na niektóre ciała chemiczne. Już znany uczony angielski Lubbock zapoczątkował przed dwudziesu laty badania, celem otrzymania odpowiedzi na interesujące pytanie: czy niewidzialne owe promienie dla istot żyjących są wogóle niedostępne, czy też przeciwnie — istnieją może zwierzęta, obdarzone specjalnym zmysłem, wrażliwym na promienie pozafijoletowe? Doświadczenia jego z mrówkami sprawdzone zostały z możliwą ścisłością przez dwóch uczonych francuskich. Część mrowiska razem z poczwarkami („poduszkami" mrówczemi) przeniesiono do skrzyni, przykrytej cienką płytką żelatynową, przepuszczającą promienie pozafijoletowe. Natychmiast po „oświetleniu" tymi promieniami części skrzyni, gdzie złożone były poczwarki, mrówki zaczęły pospiesznie przenosić te ostatnie do ok[illegible] zacienionych. Doświadczenie powtórzono kilkakrot[illegible]wsze z jednakowym wynikiem. Te zmyślne, r[illegible]wórzonka odczuwają tedy promienie pozafijoletowe, [illegible] oko nasze w zupełności pozostaje niewrażliwem. [illegible]u jeden jeszcze dowód znanego faktu, że zwierzęta [illegible] posiadają pod niektórymi względami organizację bardziej subtelną, niż „król stworzenia".

„Naprzód".

Rozmaitości

Wysoka śmiertelność uczniów i młodych pomocników w wielu zawodach. Na podstawie statystyk śmiertelności można wykazać, że we wszystkich prawie gałęziach przemysłu, najmłodsze klasy robotników bywają najwięcej obciążone. Wyjątek w tym względzie stanowią fabryki zapałek, wyrobów drzewnych, cukrownie oraz wielkie drukarnie. Znaczną śmiertelność młodych pomocników wykazują wielkie piwiarnie, fabryki naczyń glinianych i porcelanowych, służba kolejowa oraz przemysł chemiczny. Przyczyny tego zjawiska upatrywać należy z jednej strony w niedoświadczeniu i niezręczności, z drugiej w niedostatecznym rowoju fizycznym i braku odporności. Do chorób, które u młodych robotników częściej występują, niż w późniejszym wieku

należą choroby ogólno ustrojowe, w szczególności niedokrewność i kiła, ponadto angina, ból zębów, choroby ócz i uszu, choroby skóry.

* * *

Odkrycie radjum w Druskienikach. Do Warszawy nadeszła wiadomość z Druskienik o odkryciu, mogącem mieć wielkie znaczenia dla tego zdrojowiska polskiego. Oto rektor uniwersytetu petersburskiego prof. Borgman, znany prof. dr. Mezernickij i chemik petersburski prof. Djanin odkryli w wodzie druskienickiej oraz w borowinach druskienickich zdolność promieniowania radjowego. Dotychczasowe wyniki analizy świadczą nader pomyślnie o obecności radjum w borowinie druskienickiej, która zawsze wykazywała jakąś niewyjaśnioną do niedawna odmianę borowiny. Po ukończeniu badań, opis ich przebiegu będzie przesłany do słynnej rodaczki naszej w Paryżu p. Curie Skłodowskiej. Wkrótce też wyniki tego odkrycia będą ogłoszone w fachowych pismach lekarskich.

* * *

Wydobywanie platyny w Rosji. Główne pokłady platyny zmieszanej ze złotem znajdują się na stoku Uralu po obu stronach rzeki Iss. Po zdjęciu pokładu wierzchniego 1,5—6 m grubego, wybiera się pokład platynonośny średnio 1 6 m gruby i poddaje wymywaniu. Przemywaczki, oddzielające okruchy skały od gliny i piasku, składają się z naczyń żelaznych walcowych 37,5 cm wysokich, z dnami podziurawionymi (śr. otworów 1,5 cm) i z mieszadła obrotowego ustawionego w środku; u górnego zaś brzegu naczynia, woda, dopływająca rurą podziurawioną, skrapla wciąż zawartość. Gdy mieszadło puszcza się w ruch (25 obr. min.), woda wypłukuje za skały muł i piasek wraz z metalem, który przedostaje się przez otwory w dnie, skałę zaś z naczynia stopniowo się usuwa. Piasek i namuł wypłukuje się na przemywaczkach zwykłych pochyłych gracami, złoto wreszcie oddziela się za pomocą rtęci (amalganacja), a pozostałość jako platyna surowa stanowi przedmiot zbytu.

* * *

Monety aluminjowe. Rząd francuski zamierza w przyszłym roku przystąpić do wybijania monet aluminjowych. Zastąpić one mają pozostające dotąd w obiegu pięcio i dziesięciocentymowe monety niklowe. Nowe monety ważyć będą: 10-centymowa 3 gramy, 5-centymowa 2 gramy. Kilogram aluminjum kosztuje 5 franków, ponieważ zaś rząd potrzebuje 2,171,250 kilogramów, koszta materjału nowej monety wynosić zatem będą 10,856 250 franków. W porównaniu zaś z kosztami menniczymi, obliczonymi na [illegible] franków, łączną sumę 12,056,250 franków. Dzięki czemu ministra finansów skarb państwa zyska przy wybijaniu nowych monet 696,426 franków. Koszta wybijania monet niklowych wynosiły 12,7[illegible]

* * *

Ludność polska w Stanach Zjednoczonych. W ostatni numer „Polskiego Przeglądu emigracyjnego" [illegible] bardzo ciekawe daty o ludności polskiej w Ameryce.

Społeczeństwo polskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej przedstawia pod względem swej liczebności tak wielką cyfrę, że słusznie należy mu się nazwa „czwartej dzielnicy Polski". Według obliczenia dokonanego przed kilku laty przez ks. Wacława Kruszkę, autora dzieła „Historja Polski w Ameryce" i opartego na bardzo sumiennych badaniach, liczba polaków, przebywających w Stanach Zjednoczonych, wynosiła naówczas przeszło 2 miljony 200 tysięcy. Obliczenie to, oparte na wykazach parafjalnych i mało uwzględniające, zdaje się, polaków innych wyznań, nie mogło być zupełnie dokładnem — w każdym razie ściślejszem było od statystyki urzędowej, która polaków, urodzonych już w Ameryce, uważa często za amerykanów (jankesów), innych zaś niekiedy zapisuje jako austrjaków, prusaków lub rosjan, odpowiednio do zaboru, z którego pochodzą. Zresztą trzeba przyznać, że wogóle obliczenie ludności polskiej w Ameryce ogromnie utrudnia okoliczność, iż znaczna jej część składa się z robotników, którzy bądź ciągle zmieniają miejsce pobytu, bądź też powracają do „starego kraju", zamieniani przez nowych emigrantów z Europy, przybywających zazwyczaj w coraz większej liczbie.

Jeszcze mniej więc dokładne mogło być obliczenie, ogłoszone w organie Stowarzyszenia gazet polskich „The polish Press" („Prasa Polska") w Milwaukee w numerze z dnia 1 lipca 1907 r. Na podstawie tego obliczenia ludność polska w Stanach Zjednoczonych wynosiła w r. 1907 już przeszło 3 miljony głów.

Naogół można stwierdzić, że najwięcej polaków zamieszkuje stany, położone na północnym wschodzie, jak: Pensylwanja, New-Jork, Massachussetts, Illinois, Michigan, Wisconsin. Stany te, nietylko ze względu na sąsiedztwo z portami oceanu Atlantyckiego, a więc większą dostępność, lecz również dzięki bardzo rozwiniętemu w nich przemysłowi, najliczniej skupiają wogóle wychodźtwo europejskie, a więc również emigrantów z innych krajów europejskich.

W numerze „Polskiej Prasy" (redaktorem jej jest pan Michał Kruszka, brat ks. Wacława Kruszki i wydawca „Kurjera Polskiego" w Milwaukee), z dnia 15 go listopada b. r. znajdujemy najnowsze obliczenie ludności polskiej w Stanach Zjednoczonych, oczywiście także zestawione w przybliżeniu i bez wielkiej, zdaje się pretensji do ścisłości. Według tego obliczenia ludność ta wynosi obecnie już cztery miljony, a mianowicie w Stanach:

Pensylvanja . .	525.000	Texas	25.000
New-York . . .	500.000	West Virginja . .	25.000
Illinois	450.000	Delaware	20.000
Massachusetts . .	300.000	North Dakota . .	15.000
Wisconsin . . .	250.000	Kansas	8.000
Michigan . . .	250.000	Californja . . .	8.000
New Jersey . .	200.000	Washington . . .	7.000
Minnesota . . .	140.000	Colorado	6.000
Connecticut. . .	125.000	Iowa	6.000
Ohjo	125.000	Oklahoma . . .	6.000
Indjana	70.000	Oregon	6.000
Missouri . . .	60.000	Vermont	6.000
Maryland . . .	50.000	South Dakota . .	5.000
Nebraska . . .	50.000	Kentucky	5.000
Rhode Island . .	40.000	Montana	5.000
Maine	35.000	Tennessee . . .	5.000

Wszystkie inne stany liczą mniej niż 5.000 polaków.

Z miast amerykańskich najwięcej polaków mieszka w Chicago, bo aż 300.000 (czyli więcej, niż we Lwowie i Krakowie razem wziętych), następnie w Nowym Jorku (Great New Jork), t. j. 250.000, w Buffalo z przedmieściami ma ich być 80.000, w Milwaukee około 75.000, w Detroit również 75.000.

* * *

Jak [illegible] grzebie zmarłych [illegible] cmentarzu. Cesarzowie chińscy grzebani są [illegible] w pobliżu Pekinu, przyczem dla każdego [illegible] wznoszone bywa specjalne mauzoleum. Pod jednym względem w Chinach utrzymuje się bardzo dziwny zwyczaj. W dniu wstąpienia na tron nowego cesarza, na cmentarzu rozpoczyna się budowa mauzoleum, w którym będą złożone jego zwłoki po śmierci. Budowa odbywa się powoli, ponieważ jej kierownicy liczą na to, że małoletni władcy państwa Niebieskiego nie prędko umrą. Lecz za każdym razem, kiedy cesarz zachoruje, budowniczy dworski zapędza robotników na cmentarz... Kiedy cesarzowi lepiej, robotników rozpędzają. Mauzoleum podczas budowy ze wszystkich stron jest zasłonięte wysokim wałem i dostęp do niego jest zabroniony pod groźbą kary śmierci.

Głowa zmarłego chińczyka umieszczona jest w trumnie na podniesieniu, nogi zaś są wyciągnięte. W nogach trumny skrzynka z podwójnem dnem do ściekania tłuszczów. Trumny bywają smarowane specjalną substancją; wszystkie szczeliny dobrze zatkane. Zewnątrz trumna ozdobiona jest złotem i różnobarwnemi materjami. Na wieku trumny wypisuje się imię zmarłego i kilka modlitw. Im bogatszym był nieboszczyk, tem ozdobniejszą jest trumna. Trumny cesarzy kapią od złota i drogich kamieni.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Львівська бібліотека
АН УРСР